

ALICE HOFFMAN

Gołębiarki



ALICE HOFFMAN

Gołębiarki

Z angielskiego przełożył
Bohdan Maliborski



Niech moje brzemie będzie twoim, a twoje brzemie moim.

Część pierwsza

Lato 70 roku naszej ery

Córka skrytobójcy

*Nadciągaliśmy przez pustynię jak gołębie
W czasach, gdy nie było nic prócz śmierci,
za wszystko byliśmy wdzięczni,
a najbardziej za przebudzenie nazajutrz.*

Wędrowaliśmy tak długo, że zapomniałam, jak to jest mieszkać w czterech ścianach i przespać całą noc. Utraciłam wtedy wszystko, co mogłabym mieć, gdyby Jerozolima nie upadła: męża, rodzinę, przyszłość. Moje dzieciństwo rozplynęło się na pustyni. Dziewczynka, którą kiedyś byłam, zniknęła, gdy otulałam się bielą w tumanach pyłu. Byliśmy nomadami, którzy zostawiali za sobą sienniki, dobytek, kobierce i mosiężne garnki. Teraz naszym domem stała się pustynia, czarna nocą i oślepiająco biała w południe.

Powiadają, że najczystsze piękno drzemie w najsurowszej krainie i że ci, którzy mają oczy otwarte, odnajdą w niej Boga, lecz ja zamykałam je przed porywami wiatru, który potrafi oślepić w jednej chwili. Kiedy nad ziemią zaczynały wirować burze, stawał się cud. Nikt nie umie wyobrazić sobie głosu powstającego z ciszy, póki go nie usłyszy. Ryczy, gdy przemawia, mami i przekonuje, okrada i pozostawia bez słowa pociechy, bo w takim miejscu jej nie ma. Przetrwa jedynie to, co okrutne, ranka doczeka to, co przebiegłe.

Miałam skórę spaloną słońcem i szorstkie dłonie. Poddalam się pustyni, uległam jej potężnemu głosowi. Wszędzie, gdzie szłam, podążało za mną przeznaczenie doszyte czerwoną nicią do mych stóp. Wszystko, co kiedykolwiek się zdarzy, zostało już dużo wcześniej napisane. Nie możemy uczynić nic, by to powstrzymać. Nie mogłam pobiec w inną stronę. Z Jerozolimy wiodły jedynie trzy drogi: do Rzymu, ku morzu lub na pustynię. Moi ziomkowie, ponownie wyklęci, stali się wędrowcami, jak na początku świata.

Ruszyłam z miasta za ojcem, bo nie miałam wyboru.

Po prawdzie, nikt go nie miał.

Nie wiem, jak to się zaczęło, wiem za to, jak się skończyło. Zdarzyło się w miesiącu *aw*, którego symbolem jest *arje* – lew. To czas upadku naszego ludu, gdy kamienie na pustyni są tak gorące, że nie sposób ich dotknąć, by nie poparzyć palców, gdy owoce schną na drzewach, nim dojrzeją, a ziarna przesypują się w nich niczym w grzechotce, i gdy niebo jest białe i nie spadnie deszcz. W tym miesiącu zniszczono pierwszą Świątynię. Narzędzia służyły do walki i nie można ich było użyć do budowy najświętszego ze wszystkich miejsc. Wielki waleczny król Dawid nie mógł wnieść Świątyni, gdyż zaznał okrucieństw wojny. Honor ten przypadł jego synowi, królowi Salomonowi, który wezwał na pomoc szamira, robaka przegryzającego kamień, i zbudował Świątynię na chwałę Pana bez użycia żelaznych narzędzi.

Została wzniesiona, jak Bóg przykazał, bez rozlewu krwi i wojny. Jej dziewięć bram pokryto srebrem i złotem. Tam, w najświętszym z miejsc, spoczywała Arka, w której złożono nasze przymierze z Bogiem, skrzynia z najprzedniejszego drzewa akacjowego, przyozdobiona posążkami dwóch złotych cherubinów. Mimo swojej wspaniałości pierwsza Świątynia została zburzona, a nasz lud wygnany do Babilonu. Powrócił po pięćdziesięciu latach, by odbudować ją w tym samym miejscu, w którym Abraham chciał złożyć w ofierze Najwyższemu swego syna – w miejscu stworzenia świata.

Druga Świątynia stała setki lat jako dom słowa bożego, środek wszelkiego stworzenia w sercu Jerozolimy. Ale znów nastał czas rozlewu krwi. Rzymianie postanowili zabrać wszystko, co nasze. Potężne legiony zalały nasz kraj jak tyle innych przedtem, żądne, by podbić, lecz i upokorzyć, odebrać ziemię i złoto, lecz i człowieczeństwo.

Spodziewałam się katastrofy, niczego innego. Zaznałam jej uścisku, nim wydałam pierwsze tchnienie i otwarłam oczy. Byłam drugim dzieckiem w rodzinie, rok młodszym od mojego brata Amrama, lecz – całkiem odmiennie od niego – naznaczonym przez brzemień pierwszego oddechu. Matka zmarła, nim się urodziłam. W tamtej chwili mapa mojego życia objawiła się na skórze w postaci czerwonych znamion, które – gdyby za nimi podążyć – przywiodły mnie do mego przeznaczenia.

Pamiętam chwilę, kiedy wkroczyłam w świat, nagle zaburzony wielki spokój, ciepło pulsującej krwi pod skórą. Wyjęli mnie z łona matki, rozciętego ostrym nożem. Jestem pewna, że słyszałam ryk rozpaczony mojego ojca, jedyny dźwięk, jaki rozdarł straszliwą ciszę dziecka zrodzonego ze śmierci. Sama nie płakałam ani nie kwiliłam. Wszyscy to zauważyli. Akuszerki szeptały między sobą, przekonane, że błogosławiona lub przeklęta. Nie tylko ta cisza była we mnie niezwykła ani rdzawe piegi, które pokryły skórę godzinę po porodzie, lecz także gęste włosy w kolorze krwistej czerwieni,

zupełnie jakbym już zaznała tego świata, jakbym już była tu wcześniej.

Mówią, że oczy miałam otwarte, co jest oznaką wyróżnienia. Spodziewano się tego po noworodku martwej kobiety, gdyż dotknął mnie Malach ha-Mawet, anioł śmierci, nim przyszedłam na świat w miesiącu *aw*, dziewiątego dnia, *tisza be-aw*, pod znakiem lwa. Zawsze wiedziałam, że lew będzie na mnie czekał. Śniłam o nim, odkąd pamiętam. W snach karmiłam go z ręki, a on chwycił ją w paszczę i pożarł mnie żywcem.

Gdy zostawiłam za sobą dzieciństwo, zaczęłam okrywać głowę, nawet na podwórzu domu mojego ojca. Zamknęłam się w sobie. Przy rzadkich okazjach, kiedy towarzyszyłam kucharce w drodze na targ, widywałam radosne młode kobiety i zazdrościłam im, nawet tym najbrzydszym. Ich życie było pełne, ja zaś myślałam tylko o tym, czego nie mam, podczas gdy one świergotały o swej przyszłości u boku męża, wystając przy studni lub w zaułku piekarzy w otoczeniu matek i ciotek. Miałam ochotę im przygadać, lecz milczałam. Jak mogłam mówić o zazdrości, skoro istniały rzeczy, których pragnęłam bardziej niżli męża, dzieci czy własnego domu?

Marzyłam o nocy bez snów, świecie bez lwów i o roku bez gorzkiego miesiąca *aww* kolorze rdzy.

Opuściliśmy miasto, kiedy drugą Świątynię obrócono w perzynę, i zapuściliśmy się w Dolinę Cierni. Miesiącami Rzymianie kalali Świątynię, krzyżowali w jej świętych murach naszych ziomków i odzierali ze złota przedsionki i portyki. To do niej przybywali Żydzi z całego świata, by składać ofiary w tym najświętszym miejscu, i w niej gromadzili się tysiącami w Święto Przaśników, pragnąc choćby rzucić okiem na złote mury domu słowa bożego.

Gdy Rzymianie zaatakowali trzeci mur, nasi ziomkowie zostali zmuszeni do ucieczki z tej części Świątyni. Następnie legion zburzył drugi mur, ale i tego było im za mało. Wielki Tytus, naczelny dowódca wojsk rzymskich w Judei, nakazał budowę czterech wież oblężniczych. Zniszczyliśmy je ogniem i kamieniami, jednak szturm na mury Świątyni osłabił nasze szyki obronne. Wkrótce potem Rzymianie dokonali pierwszego wyłomu. Niczym szczury wdarli się do labiryntu murów otaczających przenajświętsze z miejsc z wysoko uniesionymi tarczami, a ich białe tuniki pokryły plamy gorejącej krwi. Zniszczyli Świątynię własnymi rękami. Potem padnie też miasto i osunie się na kolana jak pospolity jeniec, gdyż bez Świątyni przestanie istnieć *lew ha-olam*, serce świata, i nie zostanie nic, o co warto walczyć.

Pragnienie zdobycia Jerozolimy było niczym płomień, którego nie sposób ugasić. W tym przenajświętszym z miejsc tliła się iskra, która sprawiała, że każdy chciał ją

posiąść – a ludzie często niszczą to, czego usilnie pragną. Nocą jęczały i drżały mury, które miały przetrwać wieczność. Im więcej z nas uwięziono za zbrodnie przeciwko Rzymowi, tym bardziej spieraliśmy się między sobą co do działań, jakie należy podjąć. Może świadomość, że nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się potędze Rzymu, sprawiła, iż żyjąc w mrocznej aurze lęku, podzieleni przez zawiść i zdradę, zaczęliśmy zwracać się przeciwko sobie.

Ofiary często napadają na siebie nawzajem, niczym przestraszone, kłótlive kury. Z nami też tak było. Nie dość, że osaczyli nas Rzymianie, to jeszcze toczyliśmy wojny między sobą. Kapłani zachowywali się ulegle, stając po stronie Rzymu. Tych, którzy się sprzeciwiali najeźdźcom, wyzywano od złodziei i łajdaków – tak jak mojego ojca i jego przyjaciół. Podatki były tak wysokie, że biedacy nie mieli czym wykarmić dzieci, za to poplecznicy Rzymian kwitli i obrastali w bogactwa. Ludzie donosili na sąsiadów, okradali się nawzajem i zamykali drzwi przed potrzebującymi. Im bardziej stawaliśmy się podejrzliwi wobec swych ziomków, tym dotkliwsze ponosiliśmy porażki, podzieleni na zwaśnione klany, choć w istocie byliśmy jednym – córkami i synami królestwa Izraela, wyznawcami Adonaj.

Podczas miesięcy poprzedzających upadek Świątyni, gdy toczyliśmy mozolne boje z wrogiem, wokół panował chaos. Czyniliśmy wszystko, by wygrać tę wojnę, lecz tak jak Bóg stworzył życie, tak i stworzył zniszczenie. W przerażającym, krwawym miesiącu *aw* puchnące zwłoki zapełniły *kidron*, głęboki wąwóz oddzielający miasto od połyskliwej Góry Oliwnej. Krew ludzi i zwierząt tworzyła ciemne sadzawki w najświętszych z miejsc. Nastąpiły tajemnicze i nieubłagane upały, jakby ziemia oddawała swoją podłość, będąc niczym lustro naszych grzechów. W najbardziej sekretnych zakamarkach Świątyni stopiło się i rozlało złoto, po czym przepadło bez śladu, skradzione z przenajświętszych miejsc.

Nie wiał choćby najłżejszy wietrzyk. Wraz z chaosem wzrastał buchający z ziemi upał, a bruk pokrywający wybudowane przez Rzymian drogi był tak gorący, że parzył stopy tych, którzy, zdesperowani, szukali bezpiecznej kryjówki w stajni, opuszczonej izbie czy nawet w wygaszonym kamiennym piecu. Żołnierze Dziesiątego Legionu, sunący pod sztandarem ze znakiem dzika, zatknęli chorągwie na ruinach Świątyni, w pełni świadomi swego bezceństwa, gdyż ciskali nam w twarz wizerunek zwierzęcia uznawanego przez nas za nieczyste. Sami byli jak dziki, zuchwali i okrutni. Przemierzali prowincję i żeby nas znieważać i przekląć, zarzynali białe koguty przed synagogami, miejscami spotkań służącymi zarówno za *bejt keneset*, jak i *bejt tefila*, domy zgromadzeń i modlitwy. Ich krew bezceściła nasze domy kultu. Zawodzące

kobiety szorowały schody ługiem, jednak byliśmy skalani bez względu na to, jak mocno drapały kamień i jak dużo wody na niego lały.

Z każdym takim postępkim Rzymian docierała do nas przestroga: „To, co czynimy kogutom, możemy uczynić wam”.

Pewnego wieczoru nad miastem rozbłysła gwiazda w kształcie miecza. Można ją było wypatrzeć co noc, świecącą jasnym blaskiem na wschodzie. Przekonani, że to zły znak, ludzie zaczęli drzeć przed tym, co miało nadejść. Niedługo potem wschodnia brama Świątyni sama się rozwarła. Przerażony tłum był pewien, że wkroczy przez nią nieszczęście, bo przecież bramy nie otwierają się bez powodu, a miecze nie rozbłyskują na niebie, gdy ma nadejść pokój. Nasi sąsiedzi zaczęli wyprzedawać nieliczne cenne rzeczy, które im pozostały, i ruszyli zatłoczonymi ulicami z mocnym postanowieniem, by umknąć z tym, co jeszcze mają. Zabrali dzieci i uciekali z Jerozolimy w nadziei, że dotrą do Babilonu lub Aleksandrii, tęskniąc za Syjonem już w chwili, gdy z niego umykali.

Rowy, w których podczas nagłej powodzi zbierała się deszczówka, rychło przemieniły się w rzekę krwi spływającej ze Świątyni. Krew ta lkała, szlochała i przeklinała, gdyż ofiary nie oddały życia bez walki. Żołdacy wpierw wymordowali powstańców, potem zaczęli zabijać na oślep. W ich sieć wpadał każdy, kto miał pecha i znalazł się w pobliżu. Rozdzielali rodziny i pędzili pojmanych ulicami. Aż nadeszła noc zwana Nocą Rzezi. Prysły wszelkie iluzje, że nasze modlitwy zostaną wysłuchane. Ilu spośród nas straciło wówczas wiarę? Ilu odwróciło się od tego, w co zawsze wierzył nasz lud? Pewnego dziesięciolatka skuto, po czym ukrzyżowano, bo nie pokłonił się żołnierzom. Chłopiec cierpiał na głuchotę i nawet nie dosłyszał rozkazu, ale takimi rzeczami nikt się już nie przejmował. Światem zaczęła rządzić nienawiść.

Grzech, który spowodował tę śmierć, rozrósł się niczym chmura i wszyscy go dojrzeli. Panika ogarnęła dwadzieścia tysięcy ludzi na ulicach. Porzuciwszy godność, tratali się nawzajem jak oszalali, wylewając się na drogi prowadzące z miasta. Do świtu niemal wszyscy zdążyli opuścić Jerozolimę.

Mój świat się zawalił, jeszcze nim ogień ogarnął Świątynię i pył pokrył zaułki miasta. Straciłam wiarę na długo przed upadkiem Świątyni. Byłam dla mojego ojca nikim. Porzucił mnie już w chwili narodzin. Całkiem by mnie zaniedbał, lecz rodzina matki uparła się, by nająć piastunkę. Ściągnięto młodą dziewczynę z Aleksandrii, ale kiedy zaczynała śpiewać kołysanki, mój ojciec, srogi Josef bar Elchanan, zawsze ją uciszał, a kiedy mnie karmiła, mówił, że zjadłam już dość.

Ledwo nauczyłam się chodzić, gdy wziął mnie na stronę i powiedział prawdę o mych narodzinach. Rozplakałam się, odkrywwszy ich okoliczności, i przyjęłam na siebie

brzemie przyjscia na ten swiat. Na imie mialam Jael i byla to pierwsza rzecz, jaka zaczelam w sobie pogardzac. Moja matka tez nosila to imie. Za kazdym razem, gdy je wypowiedano, ojciec przypominalem sobie, ze moje pojawienie sie na swiecie pozbawilo go zony. „Co to z ciebie czyni?” – pytal z gorycza. Nie umialam odpowiedziec na to pytanie, ale widzialam wtedy siebie jego oczami. Bylam morderczynia godna jego potepienia i gniewu.

Moja piastunke wkrótce odeslano, a wraz z nia odeszlo wszelkie ukojenie i pociecha. Wiedzialam, ze teraz czeka mnie kalekie zycie pólsieroty. Kiedy odchodzila, szlochalam i czepialam sie jej spódnicy, domagajac sie goracych uscisków. Mój brat Amram powiedzial, zebym nie plakala, bo mamy siebie nawzajem. Piastunka podarowala mi owoc granatu na szczescie i delikatnie uwolnila spódnice z mych objeć. Jej mlodość sprawiala, ze moglaby byc moja siostra, jednak byla mi jak matka i okazywala czulość, jakiej nigdy nie zaznalam.

Ofiarowany granat oddalam bratu, gdyz postanowilam, ze zawsze bede stawiac go na pierwszym miejscu. Nie byl to jednak jedyny powód. Odczuwalam juz przesyty własnym smutkiem.

Kiedy dorastalam, bylam cicha i grzeczna. O nic nie prosilam i wlasnie tyle dostawalam. Nawet jezeli bylam sprytna, to staralam sie tego nie okazywac. Jezeli zostalam zraniona, zachowywalam swe rany dla siebie. Zawsze odwracalam glowe na widok dziewczynek w towarzystwie ojców, gdyz mój własny ojciec nie chcial, by widywano go ze mna. Nie odzywal sie do mnie ani niebral na kolana. Dbal jedynie o mojego brata, darzac go miłością na kazdym kroku. Razem zasiadali do wieszery, a mnie zostawiali w sieni, gdzie sypialam. W kątach zaszywaly sie tam skorpiony, ktore wkrótce do mnie przywykly. Z lękiem, ale i z podziwem patrzylam, jak zasadzaja sie na zdobycz na chłodnych kamieniach, nigdy nie zdradzajac swojej obecności. Poczucie wstydu ukrylam glęboko w sobie, niczym skorpion, który skrywa swa ządze. W tym byliśmy do siebie podobni.

Mimo to pozostalam ludzka. Tęsknilam za kosmykiem wlosów matki, bo chcialam wiedziec, jakiego byly koloru. Czesto plakalam w sieni, marzac, by mnie przytulila.

– Myślisz, ze mi cie zal? – spytal pewnego razu ojciec, kiedy mial juz dosc mojego zawodzenia. – Pewnie zabilas ja swym placzem. Wywolalas powódz i utopilas od wewnatrz.

Nigdy wczesniej z nim nie dyskutowalam, ale wtedy wybuchlam. Zarzut, ze utopilam matke we własnych łzach, to bylo zbyt wiele. Poczulam, jak plonie mi serce i gardlo. W tamtej chwili nie dbalam o to, ze czlowiek, który przede mna stoi, to Josef

bar Elchanan, a ja sama jestem nikim.

– To nie ja zawiniłam – odparłam.

Dojrzałam na twarzy ojca dziwny grymas. Cofnął się o krok.

– Twierdzisz zatem, że to moja wina? – spytał, wznosząc dłonie, jakby bronił się przed klątwą.

Nie odpowiedziałam, lecz gdy wybiegł, zrozumiałam, że jednak coś mnie z nim łączy, coś więcej niż ze skorpionem – nawet jeśli nigdy do mnie nie przemawia ani nie nazywa po imieniu. Zabiliśmy moją matkę razem, ale on chciał, żebym tylko ja czuła się winna. A skoro tak, to, jako posłuszna córka, przyjmę na siebie owo brzemię, jednak już nigdy nie zapłacę. Nic nie było w stanie sprawić, bym odwołała to ślubowanie. Kiedy użądliła mnie osa i na ręce pojawiła się czerwona opuchlizna, przemogłam się, by zachować spokój i nie czuć bólu. Przybiegł do mnie brat, żeby sprawdzić, czy nic mi się nie stało. Nazwał mnie sekretnym imieniem, które mi nadał, gdy oboje byliśmy bardzo mali – Jaja. Uwielbiałam, kiedy tak mnie nazywał, bowiem zdrobienie to przypominało mi kołysanki mojej piastunki i czasy, gdy nie byłam świadoma, że doprowadziłam rodzinę do zguby.

Miejsce po ukąszeniu bardzo piekło, lecz udawałam, że nic mi nie jest. Spojrzawszy na Amrama, dostrzegłam w jego oczach łzy. Można by pomyśleć, że to on został ukąszony. Był o wiele mniej odporny na ból i znacznie wrażliwszy ode mnie. Czasami, kiedy nie mógł zasnąć, śpiewałam mu kołysanki z Aleksandrii, których słowa zapamiętałam, jakbym poznała je w innym życiu.



Przez całe dzieciństwo zastanawiałam się, jak by to było mieć ojca, który nie odwraca się na twój widok i powtarza ci, że jesteś piękna, choć twoje włosy płoną dziwną rudością, a skórę pokrywają piegi o barwie ziemi, jakby wykąpano cię w błocie. Raz usłyszałam, jak ojciec mówi do kogoś, że to krople krwi mojej matki. Próbowalam usunąć je paznokciami, boleśnie się raniąc, ale brat mnie powstrzymał, gdy ujrzał zaczerwienione strupy na moich rękach i nogach. Przekonał mnie, że te piegi to drobinki popiołu, który opadł z gwiazd, i że dzięki nim będę świeciła w ciemnościach, a on zawsze będzie mógł mnie odnaleźć, bez względu na to, jak daleko zawędruje.

Kiedy stałam się kobietą, nie miałam matki, która by mi powiedziała, co robić z krwią pojawiającą się co miesiąc, czy zaprowadziła mnie do mykwy, rytualnej łaźni przynoszącej całkowite oczyszczenie. Gdy zdarzyło się to pierwszy raz, myślałam, że umieram, póki nie ulitowała się nade mną stara sąsiadka, która opowiedziała mi

o miesiączce. Słuchałam jej ze spuszczonego wzrokiem, wstydząc się, że obca osoba mówi mi o tak intymnych sprawach. Nie do końca jej wierzyłam. Dziwiłam się, dlaczego Bóg pozwala, bym stała się nieczysta. Do dziś sądzę, że mogłam mieć rację, drżąc ze strachu w dniu pierwszego krwawienia. Być może to, że stałam się kobietą, oznaczało mój koniec, gdyż zrodziłam się we krwi i zasługiwałam, by w ten sam sposób odejść z tego świata.

Nie nacierałam powiek kohlem ani nie skrapiałam nadgarstków olejkiem z granatu. Flirtowanie nie było mi w głowie. Nie uznawałam siebie za ładną. Nie namaszczałam włosów wonnościami, splatałam je w warkocze, które zwijałam na karku. Okrywałam głowę najzwyklejszym wełnianym szalem, jaki zdołałam znaleźć. Ojciec zwracał się do mnie tylko wtedy, gdy chciał, bym przyniosła mu posiłek lub uprała szaty. Zaczęłam już rozumieć, co robił, kiedy wymykał się wieczorami na spotkania ze swymi kompanami. Często narzucał na ramiona jasnoszary płaszcz, ponoć utkany ze strzępów pajęczyny. Raz dotknęłam jego rąbka. Wydał mi się jednocześnie ponury i piękny. Pozwalał się ukryć. Gdy ojciec wychodził, jakby zapadał się pod ziemię, gdyż miał zdolność znikania, nawet kiedy stał blisko.

Słyszałam, jak sąsiedzi nazywają go skrytobójcą. Krzywiłam się wtedy i w to nie wierzyłam, lecz im baczniej zaczęłam się przyglądać jego eskapadom, tym bardziej docierało do mnie, że to jednak prawda. Należał do tajnego stowarzyszenia zelotów, którzy nosili zakrzywione sztylety sykariuszy, skrywając je w połach płaszczy. Sykariusze karali nimi tych, którzy nie chcieli walczyć z Rzymem, zwłaszcza kapłanów przyjmujących w Świątyni ofiary od legionistów i cieszących się ich przychylnością. Byli bezwzględnyimi zabójcami, nawet ja to wiedziałam. Nikt nie czuł się wolny od ich zemsty. Inni zeloci się ich wyparli, sprzeciwiając się brutalności sykariuszy. Twierdzili, że posunęli się oni w walce przeciwko Żydom uległym wobec Rzymu zbyt daleko i że nasz wielki Bóg Adonaj nigdy nie wybaczy mordu, szczególnie z rąk brata. Żydzi byli jednak podzieleni w swym braterstwie, poróżnieni – nawet jeśli nie w modlitwie, to w obrządku. Sykariusze wyśmiewali pogląd, że Bóg pragnie czegoś innego niż wolności dla wszystkich. Cena nie grała tu roli. Ich celem był jeden władca – nie cesarze, nie królowie, tylko Król Stworzenia. Jedynie on mógł decydować o końcu ich posługi na ziemi.

Mój ojciec parał się zabijaniem od tak dawna, że jego ofiary były niczym liście na wierzbie – nie do policzenia. Z uwagi na swą rzadką moc niewidzialności potrafił wślizgnąć się do izby jak duch i rozprawić z wrogiem, nim ofiara zdołała się zorientować, że ktoś otworzył okno lub zamknął drzwi.

Ku mej rozpaczy mój brat podążył w ślady ojca, gdy tylko osiągnął wiek, w którym mógł się stać czeladnikiem zemsty. Amram był niebezpiecznie podatny na okrutne metody sykariuszy, gdyż w swej niewinności postrzegał świat jako dobry lub zły, bez odcieni pośrednich. Często obserwowałam, jak ojciec szepcze bratu do ucha, ucząc go zasad mordu. Któregoś dnia, wzięwszy tunikę i płaszcz Amrama, by uprać je przy studni, znalazłam sztylet z karmazynowymi śladami na ostrzu. Zapłakałabym, gdybym mogła, ale już dawno zarzuciłam łzy. Nie chciałam utopić brata, tak jak utopiłam matkę.

Ruszyłam, żeby go odszukać. Odnalazłam Amrama na targu z przyjaciółmi. W tych wąskich zaułkach, wśród mężczyzn, nieczęsto widywano samotne kobiety. Te, które musiały wyjść bez męskiej eskorty, śpieszyły do zaułka piekarzy lub do kramów z garnkami i dzbanami wytwarzanymi z jerozolimskiej gliny, po czym równie szybko wracały do domu. Zasłoniłam twarz i ciasno owinęłam się płaszczem. Na targu spotykało się *zonot*, kobiety z odkrytymi głowami i ramionami, które sprzedawały się mężczyznom. Jedna z nich mnie zaczepiła, gdy przemykałam obok. Kiedy mnie wypatrzyła, na jej zasepioną twarz wypłynął szyderczy uśmiech.

– Myślisz, że jesteś inna od nas? – zawołała. – Jesteś tylko kobietą, tak jak my.

Odciągnęłam brata na bok. Stanęliśmy pod drzewem ognistym. Jego czerwone kwiaty pachniały ogniem. Pomyślałam, że to zły znak, że mój brat zazna ognia. Martwiłam się, co się z nim stanie, gdy nadejdzie noc i sykariusze zbiorą się pod cedrami, gdzie zwykle snuli swe plany. Zaklinałam go, by porzucił przemoc, lecz on – jak to młody – łaknął sprawiedliwości i ustanowienia nowego porządku, w którym wszyscy są sobie równi.

– Nie zmienię swojej wiary, Jaja.

– Lepiej pomyśl o swym życiu – odpowiedziałam.

Przekomarzając się ze mną, zagdakał jak kura, zaczął dreptać i machać wyimaginowanymi skrzydłami, pochyliwszy do przodu szczupłe i silne ciało.

– Chcesz, żebym siedział w domowym kurniku, gdzie mnie zamkniesz, by mieć pewność, że jestem bezpieczny?

Mimo obaw zaczęłam się śmiać. Amram był dzielny i urodziwy. Nic dziwnego, że ojciec go faworyzował. Miał złociste włosy i ciemne, roziskrzane oczy. Zrozumiałam, że chłopiec, któremu kiedyś matkowałam, stał się mężczyzną o czystych intencjach. Mogłam jedynie protestować przeciwko ścieżce, jaką obrał. Mimo to postanowiłam działać, by go chronić. Kiedy wrócił do kolegów, ruszyłam krętymi uliczkami przez targ, aż dotarłam do zaułka wybrukowanego zakurzoną burą kostką. Słyszałam, że

gdzieś tutaj można kupić szczęśliwy talizman. Sąsiadki rozprawiały szeptem o tym tajemniczym kramie. Gdy się pojawiałam, zwykle milkły, lecz zaciekało mnie to i podsłuchałam, że podążając za niewyraźnym wizerunkiem oka obwiedzonego kołem, można trafić do miejsca, gdzie królują leki i czary. Ruszyłam tą drogą, aż doszłam do domu *keszafim*, magicznych praktyk, którym potajemnie oddawały się kobiety.

Zapukałam do drzwi. Stała w nich starsza niewiasta i zaczęła mi się bacznie przyglądać, po czym poirytowana spytała, po co przychodzę. Widząc moje wahanie, próbowała zamknąć przede mną drzwi.

– Nie mam czasu dla kogoś, kto nie wie, czego chce – burknęła.

– Pragnę chronić brata – wyjąkałam, zbyt zdenerwowana, by powiedzieć coś więcej.

W Świątyni czary odprawiali kapłani, święci namaszczeni modlitwą, wybrani, by składać ofiary, czynić cuda i dokonywać egzorcyzmów – wypędzać zło, które opętało ludzi. Na ulicach magią zajmowali się pogardzani przez kapłanów *minim*, zwani przez niektórych szarlatanami i oszustami, choć wielu darzyło ich szacunkiem. Domy *keszafim* uważano za siedliska najpodlejszych magicznych praktyk złych i mściwych czarownic. Jednak rzucający czary i klątwy *min* nie zechciałby rozmawiać z kimś takim jak ja, gdybym przyszła do niego bez srebrników ani polecenia ojca bądź brata. Gdybym zaś zwróciła się o amulet do kapłana, odmówiłby mi, gdyż byłam córką jednego z tych, którzy mu się sprzeciwiali. Nawet ja wiedziałam, że nie zasługuję na przychyłność.

Izba, z której wynurzyła się ta starsza kobieta, była nieoświetlona, lecz dojrzałam zioła i inne rośliny zwisające ze sznura rozciągniętego pod powałą. Rozpoznałam tam rutę, mirt, suszone żółte owoce mandragory i coś, co zwa *jawrucha*, silne, trujące zioło o właściwościach afrodyzjaku i środka odpędzającego demony. Wydało mi się, że słyszę dochodzące z głębi mrocznej izby beczenie kozy, ulubionego zwierzęcia czarownic.

– Nim zmarnujesz mój czas: masz dość sykli, żeby kupić amulet? – spytała kobieta.

Pokręciłam głową. Nie miałam monet, lecz przyniosłam ze sobą zwierciadełko, które dostałam po matce. Było pięknie wykonane z brązu, srebra i złota i osadzone w lapis-lazuli o głębokiej, błękitnej barwie. Była to jedyna cenna rzecz, jaką posiadałam. Staruszka obejrzała je dokładnie. Zadowolona, przyjęła podarunek i weszła do izby. Zamknęła drzwi i usłyszałam szcęk zasuw. Przez chwilę bałam się, że zniknęła i że już nigdy nie zobaczę ani jej, ani zwierciadełka, jednak wyszła ponownie i kazała mi rozewrzeć dłoń.

– Na pewno nie chcesz amuletu dla siebie? – spytała, podkreślając, że na całym świecie jest taki tylko jeden. – Może i tobie przyda się w życiu ochrona?

Potrząsnęłam głową i wtedy zsunął się z niej mój pospolity, wełniany szal. Kiedy staruszka dostrzegła szkarłatnych włosów, cofnęła się, jakby ujrzała demona.

– Dobrze, że go nie chcesz – przytaknęła. – Na nic ci się nie zda. Potrzebujesz talizmanu o dużo większej mocy.

Chwyciłam amulet, odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Zdziwiłam się, gdy staruszka kazała mi zaczekać.

– Nie spytasz dlaczego? – Gestem nakazała, żebym do niej wróciła, lecz nie posłuchałam. – Nie jesteś ciekawa, co cię czeka, siostrze? Mogę ci przepowiedzieć, kim będziesz.

– Wiem, kim jestem – odrzekłam. Byłam córką zrodzoną z martwej kobiety, byłam kimś, kto nie może patrzeć na własną twarz. Odczułam ulgę, że pozbyłam się tego zwierciadła. – Nie chcę twojej przepowiedni! – krzyknęłam w czeluść zaułka.

Wróciłam do domu i przekazałam podarunek bratu. Był to cieniutki, srebrny naszyjnik. Na medalionie przedstawiono scenę, w której Salomon walczy z rozciągniętym przed nim na ziemi demonem. Na odwrocie wyryto grecki napis „Pieczęć Boga” oraz klucz symbolizujący moc Mojżesza otwierającego wrota boskiej opieki. Amulet ten będzie chronił mojego brata w skąpanej w krwi przyszłości, ku której zmierzał.

Amram się nim zachwycił. Stwierdził, że potrafię czytać w jego myślach, gdyż modlił się o mądrość, choćby odrobinę tej, którą Bóg przekazał Salomonowi. Nie wyjawiał mi, że za tą magią stoję nie ja, lecz kobieta znająca jego pragnienia.

Mój brat zarzekał się, że demony nie mogą wygrać. Na tym polegała misja sykariuszy, która musiała się powieść. Otworzył przede mną serce, a ja w niego uwierzyłam. Amram umiał przekonać innych do swej wizji, tak że postrzegali ją jego oczami. Gdy patrzyłam na brata, widziałam przed sobą królestwo Syjonu i nasz lud, wreszcie wolny.

W niedługim czasie Amram prześcignął ojca w ich mrocznym procederze. Był najlepszy nie z przypadku, lecz z wyboru. Nauczył się zasad mordu od ojca oraz od człowieka o imieniu Jachim ben Szymon, który stał się jego mentorem. Mówiło się, że ben Szymon zna śmierć jak mało kto. Jego umiejętność władania srebrnym nożem o podwójnym ostrzu wzbudzała podziw i szacunek. Amram postanowił doskonalić swe umiejętności pod jego okiem, by wznieść się ponad innych. Mój brat poświęcił się temu zajęciu bez reszty, ćwicząc z zapamiętaniem swój fach niczym najdoskonalszy rzemieślnik. Zaczął jednak na moich oczach stawać się innym człowiekiem. Widziałam, jak z dobrze znanego mi chłopca zmienia się w zimnego, nieustraszonego

zabójcę. Przejął od ojca zdolność przekradania się nocą niepostrzeżenie i wspinania się na wieże za pomocą pojedynczego sznura, którym obwiązywał się w pasie. Doskonalił się w sztuce milczenia, nie odzywając się przez wiele dni. Potrafił tak się wyciszyć, że nawet mysz w ogrodzie nie zauważała jego obecności. Chadzał bosy, by nie wydawać żadnego dźwięku, gdy zbliżał się do ofiary. Siekł nożem z zaskakującą szybkością, której nauczył go ben Szymon, a którą on sam wzmógł jeszcze bardziej, dzięki wrodzonej zręczności.

Wkrótce mojemu bratu zaczęto przydzielać najniebezpieczniejsze zadania, niosące w sobie chłód śmierci. Choć nie miał ponoć zapewniającego niewidzialność płaszcz, dysponował wielkim darem przywdziewania cudzych szat. Przebierał się za kapłana lub biedaka, skrywał się pod fałszywym odzieniem i tym sposobem zyskiwał dostęp do każdego, kogo uznano za zdrajcę. Potrafił się postarzyć, malując na twarzy zmarszczki węglem, lub przemieniać w chłopca o roziskrzonych oczach. Ludzie szeptali, że jest niewyciężony, i wkrótce rozeszła się plotka, że amulet Salomona, który nosi na szyi, chroni go od wszelkiego zła. Przyjaciele wielbili go i nadali mu przydomek *Chol*, czyli Feniks. Zarzekali się, że przypomina tego mistycznego ptaka, który powstał z ognia i popiołów. Amram wychodził obronną ręką ze wszystkich zasadzek zastawianych przez Rzymian, którzy próbowali go pojmać i zamordować.

Ze względu na mojego ojca i brata mężczyźni bali się ze mną rozmawiać. Działania sykariuszy były owiane mgłą tajemnicy, choć niektóre ich sekrety wszyscy znali, zwłaszcza mieszkańcy Jerozolimy. Ojca i Amrama pokazywano sobie na ulicy i szeptano o nich. Wielbiono ich i nimi pogardzano. Nic zatem dziwnego, że nikt nie chciał mnie za żonę, nawet osiłek pędzący osły na targ. Byłam młodą kobietą, lecz wyszydzano mnie, traktowano jak żebraczkę i kalano moją cześć. Dopiero gdy mężczyźni mogli ujrzeć niezwykłą barwę mych włosów, dostrzegałam u nich ciekawość i nierzadko żądze. Rzucali mi bezczelnie pożądliwe spojrzenia, co było oczywiste nawet dla kogoś tak niewinnego jak ja. Wiedziałam, że wtargnę w ich sny, kiedy nie będą mogli osiąść tego, czego pragną. Ale sen jest w tym świecie nic niewart. Na co były mi ich żądze? Za dnia tylko mnie mijali. Chciałam krzyknąć do każdego: „Weź mnie, ratuj po tym, co się stało, odczaruj słup soli, jakim się stałam, wyrwij ze zbrodni, którą popełniłam, nim przyszłam na świat, zabierz od mężczyzn w mym domu, którzy czyhają przed Świątynią, łaknąc jedynie zemsty. Weź mnie do swego łoża, domu, miasta!”.

Odsłaniałam twarz w miejscach publicznych, nie zaplatałam warkoczy, pozwalałam lśnić włosom, szukając wybawienia od samotności.

Tymczasem oni odwracali głowy, nie dostrzegali mnie, gdyż byłam dla nich ledwie rdzawym powietrznym wirem, niewidzialnym dla ich oczu.

Wkrótce na murach pojawiły się listy gończe z podobizną mojego brata. Rzymianie byli gotowi płacić za donos; więcej, gdyby go schwytano, jeszcze więcej, gdyby uznano za winnego i ukrzyżowano. Amram przestał pojawiać się w domu. Mógł poruszać się po mieście jedynie nocą. Z codzienności przeszedł na stronę snu. W domu mieszkaliśmy teraz tylko ja i ojciec. Choć nie odzywaliśmy się do siebie, kiedy zapadał zmierzch, oboje wpatrywaliśmy się w mrok. Wiedzieliśmy, że gdzieś tam jest Amram. Znow coś nas połączyło. Każda wiadomość, że kogoś schwytano, wywoływała grymas lęku na naszych twarzach. Okazywaliśmy sobie przebłyśki prostych uczuć za każdym razem, gdy trzasnęły drzwi. Ale to nie był Amram, tylko wiatr.

A pewnej strasznej nocy to nie był wiatr, lecz oddział żołnierzy. Ojciec wzdrygnął się, gdy padło imię Amrama. Upierał się, że nie ma syna, że spotkało go w życiu nieszczęście, bo ma tylko jedno dziecko, nic niewartą córkę.

Kiedy nawet przyjaciele Amrama, ci, którzy nazywali go niezwyciężonym Feniksem, stracili śmiałość, by mu pomagać, mój brat zrozumiał, że jego dni w Jerozolimie są policzone. Nie miał wyjścia, musiał uciekać. Na pustyni niektóre twierdze były w rękach naszych ludzi. Gdyby dotarł do którejś z nich, byłby bezpieczny. Nim tam wyruszył, zaryzykował i przyszedł się z nami pożegnać. Najpierw wyściskał ojca, a później wziął mnie na stronę. Przyniósł mi pożegnalny podarunek, błękitną chustę. Była dla mnie zdecydowanie zbyt piękna, nie zasługiwałam na nią, lecz nalegał, bym ją przyjęła.

– Istnieją robaki, które przędą te nitki przez całe swoje życie, a ty pogardzasz ich dziełem?

– To nie dzieło robaków! – Roześmiałam się na myśl, że tak boską tkaninę utkały owady. Była przeciwieństwem pajęczego płaszcza mojego ojca, utkanego z materiału tak bladego, że rozpływał się w powietrzu. Kawałek błękitnego jedwabiu krzyczał swą zaskakującą barwą.

Amram zarzekał się, że mówi prawdę, i dodał, że jedwabniki utkały tę chustę na gałęziach morwy, bowiem są mi oddane, tak jak on sam. Ukończywszy pracę, każdy z nich przemienił się w błękitnego motyla i poleciał do nieba, gdyż wypełnił swą ziemską posługę.

Okryłam głowę chustą. Za każdym razem, gdy ją włożę, będę myśleć o niewzruszonym w swej wierze bracie. Stałam przy bramie naszego domu i wspominałam, jak powiedział, że moje piegi są niczym odpryski gwiazd i, jak

gwiazdy na niebie, znów go do mnie przywiodą.

W Jerozolimie pozostało nas już niewiele. Krążyliśmy ostrożnie wśród ruin, drżąc o życie. Nocą słyszeliśmy krzyki prowadzonych do Świątyni, których schwyтали Rzymianie patrolujący zaułki w poszukiwaniu wyznawców naszej wiary. Legioniści upijali się piołunówką, niebezpieczną, niemal zabójczą nalewką, która przemieniała ich w bestie. Żadna kobieta nie mogła czuć się bezpiecznie. Życie żadnego mężczyzny nie zależało już tylko od niego. Kto mógł, umykał do Aleksandrii lub na Cypr, jednak ojciec uparł się, że zostaniemy. Miał dużo pracy, której narzędziem był skrywany pod płaszczem sztylet. Kiedyś Jerozolima się przebudzi i niczym lew oswobodzi z niewolniczego jarzma. Słyszałam, jak mówi: „Kły i pazury – oto, co przyniesie nam przyszłość”, ale wiedziałam, że tak naprawdę ma na myśli ciała i kości.

Wiedziałam też ze snów, czym jest spotkanie oko w oko z lwem.

Nad miastem unosiły się łuny pożarów, a dym działał jak zasłona, która umożliwia naszym ziomkom ucieczkę przed szwendającymi się żołdakami. Czułam zapach drewna oliwnego i płonących wierzb. Tłący się żar przenosił ogień na kryte liśćmi palm dachy i stogi siana. Leżąc na sienniku w naszym niewielkim domu, zakryłam głowę i marzyłam, by znaleźć się w innym miejscu i czasie. Marzyłam, żeby nigdy się nie urodzić.

Któregoś popołudnia, gdy szukałam na niemal ogołoconych kramach na targu fasoli i grochu na lichą wieczerzę, Rzymianie zajęli nasz dom. Przyglądałam się temu z kryjówki na opuszczonym podwórzu sąsiadów. Ich dom popadł w ruinę wiele miesięcy wcześniej. Żołdacy złupili nasz dobytek, nim podłożyli ogień. Nasze rzeczy walały się w kurzu. Iskry ulatywały w górę niczym białe ćmy, lecz gdy spadały na ziemię, płonęły jasnym karmazynowym blaskiem jak płatki kwiatów drzewa ognistego.

Przedtem miałam niewiele, a teraz nie zostało mi prawie nic. Przeszukałam pogorzelnisko i zabrałam to, co zdołałam wziąć w ręce – niedużą formę do pieczenia macy, lampę z białej jerozolimskiej gliny zapalaną w szabat, tałes ojca z frędzlami na rogach, jego skórzany bukłak i paczkę soli, która podczas gotowania będzie pachniała dymem. Czekałam na ojca, ukryta za ścianą. Moją skórę pokrył kurz, miałam popiół we włosach. Pomyślałam, że jeśli nie wróci, jeśli został zamordowany lub uciekł, nie uprzedziwszy mnie o tym, mogę zostać za tą ścianą, wrosnąć tam niczym drzewo ogniste.

W końcu się pojawił, zamajaczył w półmroku w płaszczu, który sprawiał, że mógł

przemykać w mieście niezauważony. Kiedy ujrzał w moich dłoniach swój tałes, zrozumiał, że już czas uciekać. Lękałam się, że mnie tam zostawi i stanę się grzebiącą w śmieciach żebraczką, ale skinął na mnie, jakby przywoływał psa. Postanowiłam go usłuchać i ruszyłam za nim. Być może więzy krwi coś jednak dla niego znaczyły, a może zabrał mnie ze sobą, bo się bał, jak zareaguje moja matka w Przyszłym Świecie, jeśli porzuci mnie na ulicy. Może też przypomniał sobie, że to on mnie spłodził i że słusznie uznaję go za współnika swojej zbrodni. Może i utopiłam matkę w swych łzach, lecz to on tchnął w nią moje życie.

Nocami chodziliśmy od domu do domu, błagając, żeby nas wpuścili. Z każdym dniem było coraz mniej naszych w Jerozolimie. Większość uciekła lub się ukrywała i trudno było znaleźć kogoś chętnego do udzielenia pomocy. Byłam jak pies, który nie zadaje pytań i nie jest zdolny do myślenia. Wystawałam w mroku, gdy wszyscy nas odprawiali. Nawet zwolennicy poglądów politycznych mojego ojca traktowali nas nieufnie, nie chcąc ryzykować. Tylko nieliczni otwierali przed nami drzwi, lecz i oni odwracali wzrok i nie witali nas uściskiem. Sypialiśmy na słomianych siennikach, wdzięczni za schronienie przeznaczone dla kóz. Naszemu niespokojnemu snowi w oborach towarzyszył oddech zwierząt. Wciąż śniło mi się to samo. W tym śnie lew spał w słońcu i bałam się, że go obudzę. Pewnej nocy przyśniło mi się, że zjadł go wąż, który pożerał wszystko, co napotkał na swej drodze. Stałam bosa na kamienistej ziemi tak oślepiająco białej, że nie mogłam otworzyć oczu. Współczułam temu dzikiemu zwierzowi, królowi pustyni, bo w moich snach poddawał się wężowi bez walki. Patrzył mi błagalnie prosto w oczy.

Tamtej nocy obudził mnie ojciec. We śnie moje stopy krwawiły na kamieniach. Widziałam przed sobą zwijającą się, czarną pustynną żmiję, która okręca się wokół ofiary i nie puszcza. Pożarła lwa, a teraz przyszła po mnie. Ofiarowałam tej pokrytej łuskami bestii migdały i winogrona, lecz ona miała chęć na ludzkie mięso. Błagałam, żeby darowała mi życie, bo opłakiwałam lwa. Tęskniłam za nim tak, jak tęskni się za swym przeznaczeniem. To, co się zdarzy, zostało już wcześniej napisane, a lew był wpisany obok mojego imienia.

– Musimy iść i nie oglądać się za siebie – powiedział ojciec, kiedy mnie obudził.

Gdybym się ociągała, na pewno by mnie zostawił. Nie sprzeciwiłam się, choć poczułam w mrocznej izbie falę przerażenia. Szatę zabójcy plamiła krew, a jego oczy lśniły. Coś się wydarzyło, lecz nie śmiałam o to spytać. Wstałam z siennika, gotowa do drogi. Zebrałam rzeczy, jakie nosiłam ze sobą. Błękitną chustę od brata, formę do pieczenia i lampę, które znalazłam w zgłiszczach naszego domu. Wyruszyliśmy wraz

z rodziną innego zabójcy, Jachima ben Szymona, człowieka, który szkolił mego brata w mordowaniu zakrzywionym sztyletem o podwójnym ostrzu, znanego z tego, że gdy atakował wroga, przerażał niczym wichur szukający jedynie zemsty. Kiedyś był kapłanem, pierworodnym synem rodziny kapłańskiej, który spędził młodość na nauce i modlitwie. Spostrzegł jednak, że złoto wypycha kieszenie tylko nielicznych, biedacy zaś są gnębieni, uciskani i zniewaleni. Widział, jak jego własny ojciec składa ofiary w imieniu Rzymian w naszej Świątyni w Dniu Pojednania, twierdząc, że można zarzucać ich grzechami nasze ołtarze i zyskać przebaczenie naszego Boga.

Upodobał sobie sztylet sykariuszy i doszedł we władaniu nim do prawdziwego kunsztu. Jachim był zaiste bardzo groźny, zbudowany z samych ścięgien i mięśni. Kiedy zobaczyłam jego wielką, wyrazistą głowę, spuściłam wzrok, gdyż nie chciałam patrzeć na człowieka siejącego taki strach. Jego żona miała na imię Sija, a nieletni synowie Nechemia i Oren. Słyszałam, jak Sija płacze, tuląc do siebie synów. Mieli niewiele więcej dobytku niż my, ale za to osła, na którym jechała żona ben Szymona z dziećmi. Szłam za nimi niczym kobieta zhańbiona, jednak przywykłam do bycia wyrzutkiem i we własnym towarzystwie było mi najlepiej. Jachim zerknął raz przez ramię i wyglądał na zaskoczonego, jakby zapomniał o moim istnieniu i nagle ujrzał ducha.

Gdy opuszczaliśmy Jerozolimę, próbowałam sobie wyobrazić, kto spośród nas przeżyje, a kto zginie, bo przecież nie wszyscy przetrwamy. Bez stosowania brutalnej siły nasza ucieczka wydawała się trudna. Ulice opanował chaos. Wszyscy Żydzi zostali wypędzeni z miasta, a jeśli jakiegoś schwytano, mordowano go natychmiast. Tak głosił nowy edykt i takie też było prawo. Wielu kapłanów skryło się w kanałach, licząc, że uda im się wymknąć tą drogą poza mury Jerozolimy, lecz ten wybieg na niewiele się zdał, gdyż trafili do królestwa szczurów i walczyli o życie tak jak pozostali.

Usłyszeliśmy dźwięk przypominający ryk, kiedy burzono Świątynię. Był *tisza be-aw*, dziewiąty dzień miesiąca, dzień moich urodzin. Przez następne lata wszyscy zarzekali się, że sześć aniołów zstąpiło z niebios, by strzec murów Świątyni, aby nie uległa całkowitemu zniszczeniu. Przysięgali, że anioły te siedziały tam i płakały i że płaczą do dziś. Rzymianie użyli ważących około trzystu tysięcy talentów^[1] taranów, na które napierało ponad tysiąc ludzi, by najpierw poruszyć, a później zrzucić wielkie głazy z insygniami króla Heroda. Liny trzymały setki Rzymian, ale też i zniewolonych Żydów, przeklinających swój los i niecność własnych uczynków. Kamień jest wieczny, lecz tamtej nocy zrozumiałam, że to jedynie forma pyłu. Obłoki świętego kurzu unosiły się w powietrzu i wszyscy wdychaliśmy pozostałości po Świątyni, która miała

trwać wiecznie.

Ponownie wzniecone pożary znów utworzyły chmurę dymu, która pomogła nam w ucieczce. Dziękowaliśmy za to Bogu, choć towarzyszył temu straszliwy upał. Powietrze zrobiło się szare i gęste. Przyłożyłam chustę do ust, starając się nie wdychać iskier. Podejrzewałam, że ojciec zabił kogoś wcześniej i dlatego jego szaty zbryzgała czerwień. Szłam zatopiona w myślach, gdy żona ben Szymona, Sija, zrównała się ze mną. Współczuła mi, bo podążałam z tyłu w tumanach kurzu. Była jakieś dziesięć lat starsza ode mnie i miała burzę ciemnych włosów zwiniętych w pukle. Oczy też miała ciemne, ze złotymi cętkami. Kiedyś mogła być piękna, lecz została oddaną żoną zabójcy i urodę zniszczył lęk. Pomyślałam wtedy, że zabójcy nie powinni się żenić, mieć córek ani pozwalać, by ktokolwiek ich pokochał.

– Może pojedziesz na osiołku z moimi synami? – zaproponowała Sija.

Widziałam, że jest zmęczona, a sama nawykłam do marszu. Podziękowałam jej, mówiąc, że mogę iść dalej pieszo. Liczyłam, że da mi spokój.

– Tak się cieszę, że jesteś tu z nami – rzekła. – Ciężej byłoby mi wyjechać bez drugiej kobiety u boku.

Spojrzałam na nią, zastanawiając się, czego ode mnie chce. Uśmiechnęła się i ujęła moją dłoń. Wtedy zrozumiałam. Chciała przyjaźni.

Powiedziałam, żeby wracała do synów. Powinna mnie zostawić na końcu pochodu, gdyż dla większości byłam niewidzialna, choć nie miałam płaszcza, jaki nosił mój ojciec. Może odziedziczyłam po nim tę właściwość, a może ją przejęłam, kiedy go podpatrywałam. Tak czy siak, w miejscu, w którym się zjawię, ścigający nas Rzymianie dostrzegą jedynie obłok kurzu.

Sija nie chciała o tym słyszeć.

– Mylisz się – zawołała. – Będziesz pierwszą, którą dojrzą. Masz piękne włosy. Kojarzą mi się z drzewem ognistym.

Zaczęłam się zastanawiać, czy jej słowa to klątwa, gdyż stałam pod takim drzewem, kiedy brat wyjawiał mi, że jest zabójcą. Sija nie mogła o tym wiedzieć, lecz przy tych rzadkich okazjach, gdy śniła mi się matka, jawiła się zawsze pod postacią drzewa ognistego. Chyliłam wówczas przed nią głowę i płakałam.

Kiedy się w to wgłębiłam, zrozumiałam, że Sija pragnęła być dla mnie miłą w tę niebezpieczną i niepewną noc. Szliśmy zwartą grupą, lgnąc do siebie z powodu czyhających wokół zagrożeń. Wędrowaliśmy przez Dolinę Cierni pod niebem roziskrzonym tyłoma gwiazdami, że nasuwały na myśl niezliczone skały pustyni, zbyt jaskrawe, by na nie patrzeć. Mówią, że oblicze naszego Stwórcy jest właśnie takie – tak jasne, że jedno spojrzenie wywołuje ślepotę. Wbijałam wzrok w ziemię. Wolałabym

ić samotnie, lecz Sija dotrzymywała mi kroku, ująwszy mnie pod ramię.

Wyjawiała, że mój ojciec i jej mąż zamordowali rzymskiego dowódcę i dlatego musieliśmy tak śpiesznie uciekać. Sija własnoręcznie oczyściła ostrza ich sztyletów, myjąc je w czystej wodzie i odmawiając modlitwę. Nie wolno jej było zadawać pytań, miała ślepo słuchać męża, ale nagle, gdy sunęliśmy za mężczyznami, odczuła potrzebę, by mi wyznać, że dotykała sztyletu ociekającego ludzką krwią. Powiedziała to łamiącym się głosem.

– Jak Bóg mnie ukarze? – wyszeptała.

Uciszyłam ją, gdyż kobiety nie powinny rozmawiać o takich sprawach, lecz było już za późno. Ben Szymon usłyszał jej słowa, odwrócił się i popatrzył na nas. Był wysokim, imponującym mężczyzną o oliwkowej cerze. Wzbudzał strach. Jego twarz szpeciła głęboka blizna. Ponownie wbiłam wzrok w ziemię, by uniknąć jego spojrzenia. Ostro nakazał Sii milczenie.

– Nie rozmawiajmy o tym – powiedziała później. – Czasami lepiej nie wiedzieć, co robią mężczyźni.

Kiedy nie mogliśmy już dłużej iść, zatrzymaliśmy się, by odpocząć w oazie, którą towarzysze mojego ojca, inni zabójcy, bardzo zachwalali. Każdy zelota miał plan na wypadek katastrofy, miejsce, do którego w razie potrzeby mógł uciec. Był to nasz pierwszy postój, niewielka zielona przestrzeń, gdzie schroniły się wielbłądy, uciekając przed chaosem. Gdy się zbliżyliśmy, pierzchły, wzniecając tumany kurzu. Bały się, że spętamy im sznurami szyje, bo, tak jak my, nie chciały popaść w niewolę. Rósł tam cedrat. Z jego owoców, zwanych *pri ec hadar* lub *etrog*, robi się marmoladę. Te były poranione i kwaśne, nie mogliśmy dosłodzić ich miodem, ale było nam wszystko jedno. Dręczył nas głód i pragnienie. Pochłanialiśmy tę naszą skromną wieczerzę w milczeniu. W oddali widzieliśmy łunę nad płonąca Jerozolimą. Kłęby dymu wzbijały się wysoko ku niebu, po czym niknęły. Liczyłam jaśniejące nad nami gwiazdy. Sija usiadła obok i zaczęła szeptać. Była przekonana, że fakt, iż natrafiliśmy na cedrat w pierwszym dniu wędrówki, dobrze nam wróży. Nie oponowałam, choć byłam innego zdania. Jego gorzkie owoce były niczym klucz do wrót – wrót, które prowadziły na pustynię.

Podśluchałam rozmowę ojca z ben Szymonem. Nie umykaliśmy do Aleksandrii ani na Cypr. Zmierzaliśmy pradawną drogą wiodącą nad Morze Soli, szlakiem wyklętych. W miesiącu *aw* ptaki nie były w stanie tam latać, nawet nocą, gdyż panował morderczy upał, niczym w piecu. Na kamieniach można było piec chleb. Mieliśmy się zapuścić w głąb pustyni, bo, zdaniem mojego ojca, napotkamy tam zelotów – a wśród

nich Amrama – oraz ich twierdze.

W noc naszej ucieczki, gdy płonąła Świątynia, a niebo rozświetlały kręgi ognia, wiał lekki wiatr. Miała to być najchłodniejsza noc, jakiej zaznamy, nim powędrujemy na pustynię. Zdarzyło się wtedy coś jeszcze, co popchnęło mnie ku burzliwemu światu. Poszłam do dawno nieużywanej studni. Nie było w niej wody. Nie zdziwiło mnie to. Mówiąc o niej, ludzie często mijali się z prawdą, obiecując jeziora tam, gdzie ich nie było, gdyż marzyli o wodzie w świecie, w którym był tylko piach. Mimo to, gdy ktoś opadł na czworaki i zaczynał w nim grzebać, mógł dokopać się do błota. Wystarczyło wówczas docisnąć dłonie, by woda wyciekła między palcami tego, kto zechciał szukać jej na kolanach. Nie wstydziłam się tego czynić.

Postanowiwszy, że zdobędę to, na czym tak mi zależało, zdołałam napełnić połowę dzbana brudną wodą, którą wpierw precedziłam przez palce, a potem przez moją błękitną chustę. Wstałam, czując niepowstrzymane pragnienie. Odwróciłam się od studni i, zaniepokojona, rozejrzałam wokół. Nie widziałam rozgwieżdżonego nieba ani łuny nad Jerozolimą, tylko zabójcę ben Szymona, który mnie obserwował. Miałam umazane błotem ręce i rozsuniętą tunikę. Nagle poczułam, że cała płonę. Nie wiedziałam, skąd się tam nagle znalazł i czemu mi się przygląda. Nawet nie znał mojego imienia. Liczyłam, że zaraz odejdzie, lecz wciąż się we mnie wpatrywał, jak myśliwy, który ocenia, czy łania jest zbyt daleko, czy może jednak zdoła ją dopaść. Gdy skinął głową, zrozumiałam, że jednak nie jestem niewidzialna.

Odliczałam dni na pustyni, nacinając zaostrozonym kamykiem skórę na nodze. Nie wolno nam było się okaleczać; czynili to tylko poganie i nomadowie podczas żałoby. „Nie będziecie nacinąć ciała na znak żałoby po zmarłym. Nie będziecie się tatuować” – nakazuje Pan w Trzeciej Księdze Mojżeszowej^[2]. Ale ja słyszałam jedynie głos pustyni, a nie słowa Wszechmogącego. Skrywałam rany pod szalem. W tym nowym życiu ból był czymś, do czego należało przywyknąć i na co trzeba się było uodpornić. Wolałam zranić się sama, niż gdyby miał to zrobić ktoś inny, więc okaleczałam się zapamiętale i bez wyrzutów sumienia.

Pierwszy raz złamałam prawa naszego ludu. Później wszystko przychodziło już łatwo.

Narzucono mi obecność Sii i jej dzieci, choć wolałabym samotność. Sija okazywała mi jednak życzliwość, więc przyzwyczaiłam się do niej. Była mężatką, i to starszą ode mnie, dlatego spodziewałam się, że będzie wymagać uległości. Tymczasem traktowała mnie jak siostrę i nawet ją polubiłam. Zdarzało się nam śmiać i przemieniać nasz ciężki los w zabawę, choć mężczyźni rzucali nam ponure spojrzenia. Dobrze się

rozumiałyśmy, gdy zbierałyśmy nieliczne jadalne rośliny i przyrządzałyśmy posiłki z kurczących się zapasów oliwy, oliwek, suszonych fig i soczewicy. Piekłyśmy chleb na rozgrzanych przy ognisku kamieniach, posypując go popiołem, żeby się zarumienił. Niekiedy mężczyźni wyruszali na polowanie i wracali z przepiórką, którą dodawałyśmy do naszej stawy.

Urzekło mnie to, jak dobrą matką była dla swych synów Sija, jak cierpliwą, gdy dopominali się o jej uwagę. Chłopcy ledwie wyszli z niemowlęctwa, więc śpiewała im co wieczór kołysanki, pomna, by nie szczędzić czułości okazywanej w świecie, który pozostawiliśmy za sobą. Zawsze, kiedy je śpiewała, wspominałam zajmującą się mną w dzieciństwie dziewczynę z Aleksandrii. Często zasypiałam przy dzieciach Sii, wyobrażając sobie, że te kołysanki są dla mnie. Moja nowa przyjaciółka niezmordowanie wyczesywała popiół, który opadł na moje włosy, gdy płonęła Jerozolima. Kiedy natrafiłyśmy na płytką sadzawkę, pośpieszyłyśmy w jej stronę, jak tylko ujrzałyśmy migoczącą wodę, zapominając, choć na krótką chwilę, o naszym losie, i zaczęłyśmy ochlapywać się nawzajem niczym prawdziwe siostry.

Wciąż odznaczałam potajemnie na swym ciele dni spędzone na pustyni. Trzymałam się z boku, ale miałam nieustanną świadomość obecności ben Szymona i jego oszpeconej blizną twarzy. Gdy widziałam, że mi się przygląda, szybko zasłaniałam nogę. Nie chciałam, by się domyślił, kim naprawdę jestem – zaniedbaną i brzydką dziewczyną z dłońmi o zgrubiałej skórze. A jednak coś nas łączyło, może te nasze blizny. Najwyraźniej postrzegał mnie jak nikt wcześniej. Widziałam, jak zmienia mu się twarz, kiedy na mnie patrzy. W jego oczach pojawiał się niepokój i żar. Aż w końcu czułam, że żyję, tylko wtedy, gdy mnie obserwował. Jego obecność była niczym ukąszenia pszczoł, skupiała na sobie moją uwagę. Zaczęłam o nim rozmyślać, zastanawiać się, skąd ma tę bliznę i jakim mrocznym uczynkiem oddawał się w Jerozolimie. W głowie kłębiły mi się uporczywe myśli na jego temat, których się wstydziłam i które sprawiały, że czułam się jak zdrajczyni, choć nie zrobiłam nic złego.

Pewnego wieczoru, w bladej poświacie księżyca, ruszyłam do sadzawki, w której kąpałyśmy się z Siją. Podczas comiesięcznego krwawienia, zgodnie ze zwyczajem, żyłam w odosobnieniu. Kiedy miesiączka ustąpiła, musiałam się oczyścić. W Jerozolimie chodziłyśmy wtedy do mykwy, a tutaj była tylko sadzawka w *nachal*, wąwozie, gdzie wieczorami zlatywały do wodopoju ptaki – stada kruków, skowronków i wielkich sępów, silnych, nieustraszonych stworzeń, zwanych przez nas *neszer*, gniezdzących się w skałach. Stwierdziłam, że w upale miesiąca *aw* woda szybko znika,

zdjęłam jednak tunikę, podmyłam się i odczułam pewną ulgę. Nagle usłyszałam szelest dochodzący z tamaryszków, rosnących nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach. Szybko nasunęłam na siebie szatę, bojąc się, że lampart, na którego teren wkroczyliśmy, jest na tyle głodny, iż zechce uczynić ze mnie swą zdobycz.

Wtedy posłyszałam odgłos kroków i zamarłam, póki nie ucichł. Wróciłam do obozowiska, oczyszczona, lecz pełna napięcia. Wszyscy spali w niewielkim namiocie z koziej skóry, przymocowanym do ziemi za pomocą zwierzęcych rogów, jedynie ben Szymon czuwał. Wydał mi się niespokojny. Zarumieniłam się na myśl, że mógł mnie podejrzeć przy sadzawce. Przywołał mnie do siebie. Podeszłam ze spuszczonego wzrokiem.

– To ryzykowne – ostrzegł.

Nigdy przedtem do mnie nie przemówił. Nie wiedziałam, czy chodzi mu o to, że ryzykowne są samotne spacerowanie, czy to, że spojrzałam mu w oczy. Byłam wściekła, że próbuje mnie pouczać, traktując jak dziecko albo – jeszcze gorzej – jak niewolnicę, lecz odczułam także dreszczyk przyjemności, zauważywszy spiczaste zielone liście w jego włosach. To były liście tamaryszku rosnącego przy sadzawce, drzewa, które unosi gałęzie ku niebu w miejscu, gdzie nie przetrwa nic innego.

Dwadzieścia jeden nacięć i wreszcie noc, gdy się to zdarzyło. Później zastanawiałam się, czy przypadkiem nie odliczałam dni do tej chwili. Czy to na to czekałam? Czy do tego prowadziło mnie pożądanie? Może wejrzałam w Księgę Życia, która odmierza los, i w głębokim śnie dojrzałam wypisane tam jego imię? A może byłam tylko zawistną dziewczyną, która nie miała nic i pragnęła odebrać innej, swej jedynej przyjaciółce, to, co należało do niej?

Przygotowywałam ognisko, by upiec soczewicę na blasze zabranej z Jerozolimy. On przykucnął obok pod upalnym, bladym niebem. Wokół latały skowronki i słychać było nawoływania żołn, których połyskliwe błękitne pióra przeszywały zamglone powietrze. Jachim ben Szymon był bardziej władczy niż inni mężczyźni. Bił od niego żar. Tym razem na mnie nie patrzył, tylko wyciągnął rękę i przesunął ją po mojej nodze, zatrzymując przy bliznach, aż poczułam, jak płonie mi skóra.

– Nie boisz się rzeczy, których lękają się inne kobiety – powiedział.

Uświadomiłam sobie, że tak jest w istocie. Wciąż na mnie nie patrzył, ale wydawało się, że mnie zna, choć skrywałam się pod welonami. Większość kobiet drżała o życie swych dzieci i mężów. Bały się głodu, choroby, demonów i zniewolenia. Ja bałam się lwów i byłam niemal gotowa uwierzyć, że pożre mnie jedna z bestii prześladowających mnie w snach. Obawiałam się, że spotkam na pustyni anioła zesłanego, by mi

powiedzieć, że moje życie to pasmo błędów, że urodziłam się morderczynią, która uśmierciła własną matkę, nim pierwszy raz zaczerpnęła tchu, i że moja zbrodnia jest gorsza niż występki któregokolwiek z morderców, gdyż jestem winna nie tylko w oczach ojca, lecz także i Boga.

Ben Szymon cofnął rękę, ale wciąż czułam żar jego dotyku. Czułam go wiele dni. Czyżby był on ukrytym pośród nas aniołem, który mnie osądzi, czy tylko mężczyzną, który chce sobie dogodzić?

Niemal oślepił nas w jaskrawym świetle przeświecającym przez namiot w najcięższej porze dnia. W upale nie dało się wędrować, a bezlitosny wiatr mógł pociąć człowieka na kawałki. Byliśmy mieszkańcami miasta, którzy zapuścili się w głąbę, wędrowcami bez celu podróży na terytorium zbirów, rabusiów i świętych pustelników. Nazwą ponurej krainy, którą przemierzaliśmy, była pustka. Nikogo nie spotykaliśmy. Gdy w piasku pustyni zniknęła sadzawka mętnej wody i nawet błoto, jakie po niej pozostało, przemieniło się w zapieczoną skorupę, nie było już powodu, byśmy pozostali w obozowisku.

Spakowaliśmy nieliczny dobytek – namiot z koziej skóry, wrzeciona, na których przedłżyliśmy wełnę, noże, formy do pieczenia, dzban z resztką oliwy i lampę, którą zapalaliśmy w szabat. Ruszyliśmy dalej w poszukiwaniu wody. Parliśmy w głąb pustyni wczesnym rankiem, kiedy niebo było jeszcze ciemne, skwar nie tak dokuczliwy, a z mroku nie zdążyło się wynurzyć słońce. Udało się nam dotrzeć do studni, ale była wyschnięta. Dalej rósł gaj, lecz drzewa w nim nie rodziły owoców. Oliwki zwiędły, a ich srebrzysta kora przemieniła się w wydmuszkę. Ponoć pustynni nomadowie, gdy nie mogli zaspokoić pragnienia, często musieli zabijać wielbłądy i pić ich gorącą krew. Nie rosła tam żadna trawa i nawet stada dzikich kóz, którym niestraszne są najbardziej skaliste stromizny, nieczęsto zapuszczały się na tę nieprzyjazną ziemię. Przychodziły tu jedynie lamparty. Choć robiły to ukradkiem i rzadko, czasami natrafialiśmy na ślady ich łap. Zwierzęta te były nieziemsko piękne i najszybsze ze wszystkich stworzeń, lecz wędrowały samotnie. Zjawiali się tu tylko ci, którzy żyli odcięci od własnej rasy.

Szliśmy przed siebie, wierni, którzy nie mają nic, w co mogliby wierzyć. Usta mieliśmy tak suche, że aż spękane i pobielale. Sija natarła resztką oliwy wargi synów, żeby nie krwawiły. Mijające dni były niczym usypana sterta gałęzi, pogiętych i bezużytecznych. Znaleźliśmy mętą sadzawkę, której powierzchnię pokrywała powłoka brudu, mimo to – jak psy – zanurzyliśmy w niej twarze. Z Edomu nadciągnął buchający zarem *ruach kadim*, wschodni wiatr. Opatuliliśmy się cienkimi lnianymi

chustami, lepszymi na upał niż wełna, może dlatego, że len rośnie na mokradłach i nici zawierają więcej wody. Przesłoniliśmy też twarze i zakryliśmy uszy dłońmi, lecz nawet to nie wyciszyło jęku pustyni, atakującego nas niczym zwierz.

*

Schroniliśmy się w grocie i pozostaliśmy tam przez wiele dni, zbyt wycieńczeni i spragnieni, by ruszyć w dalszą drogę. Baliśmy się, że napotkamy rzymskie patrole. Aby odstraszyć szakale, rozpalaliśmy ognisko z gałązek ciernistych krzaków głogu. Smuga białego dymu ulatywała przez otwór jaskini, a popiół drażnił nasze oczy i gardła. Mężczyźni próbowali coś upolować, lecz bez skutku. Modlili się, ale i to nie przynosiło ulgi. Wciąż nacinałam ostrym kamieniem skórę na nodze. Gdybym sama nie odliczała dni swego życia, nikt inny by tego nie zrobił. Z czasem zaczął zaglądać nam w oczy głód. Znowu się zastanawiałam, kto spośród nas przetrwa najdłużej. Brak pożywienia sprawił, że byliśmy wymordowani i otepiali. Spaliśmy tak dużo, że już nie wiedziałam, co jest snem, a co jawą. Śniłam o Jerozolimie, o matce i drzewie ognistym na targu. Obrazy te zdawały się bardziej realne niż odór jaskini. Zaczęłam po kryjomu zjadać przesiąkniętą wilgocią ziemię leżącą pod skałami. Skóra mi poszarzała, jakby wylewała się ze mnie pustynia, tak jak piasek, który ponoć wysypuje się z demona, gdy dźgnąć go pobłogosławionym i obmytym w czystej wodzie nożem.

Któregoś wieczoru mój ojciec i ben Szymon poderznęli osłu gardło. Niektórzy twierdzą, że zwierzęta nie mają duszy, lecz ja słyszałam, jak ten osioł rzeził – zupełnie niczym kobieta lub mężczyzna błagający o litość. Kiedy wybiegłam z groty, jego ryk wciąż niósł się echem pośród skał. Mężczyźni odmówili modlitwę, dziękując Bogu za – jak sobie wmówili – lekką śmierć nieszczęsnego bydłęcia, gdyż zaszlachtowali je rytualnym nożem. Później rozpalili ognisko z gałązek i upiekli w nim mięso. Widziałam kałużę ciemnej, zakrzepłej osłej krwi na zboczu u wejścia do jaskini. Na niebie świeciły gwiazdy, niektóre jasno, inne mniej, próbując przesyć swym blaskiem mrok. Czekaliśmy na gwiazdę poranną, zwaną przez nas Kochaw ha-Szachar, a przez innych Wenus, która pojawi się spowita w blade pierścienie i przyniesie światło, a wraz z nim kolejny dzień.

Po jedzeniu poczułam się skalana. Kości osła bulgotały w garnku nad ogniem. Strawa ta miała wystarczyć nam do następnego szabatu, pocięta na drobne ochłapy, które pochłanialiśmy z wilczym apetytem, zupełnie jakbyśmy cofnęli się w rozwoju, stając się pustynnymi barbarzyńcami. Niektórzy nomadowie tak właśnie żyli. Czasami natykaliśmy się na ich ślady. Byli nieokrzesanymi poganami o umalowanych

twarzach, z dzidami o podwójnym ostrzu, powrzaskującymi na siebie niczym dzikusy. Uzależnieni od wielbłądów dających im mięso, mleko oraz schronienie, bo ich garbowane skóry służyły za poszycie namiotów. Kobiety nomadów rodziły na piasku, zostawiając na nim mokre, krwawe plamy. Zmarłych porzucali na skałach, niczym padlinę. Ich mężczyźni byli niebezpieczni, gdyż postępowali wyłącznie wedle własnego uznania. Nie oszczędzali nikogo, kto wszedł im w drogę. Niektórzy mieli po sześć żon. Traktowali swoje kobiety jak osły: krzywdzili je i nimi handlowali.

Ben Szymon natrafił na ciała dwóch takich żon. Właściwie były dziećmi, pewnie jeszcze nie krwawiły co miesiąc. Próbowały uciec od takiego losu. Zatrzymała je pustynia. Ben Szymon znalazł ich zwłoki, kiedy wybrał się na polowanie. Były przysypane piachem i kamieniami. Kobiety trzymały się za ręce, a ich oczy wypatrywały nieruchomo Przyszłego Świata. Miały długie ciemne włosy i typowe dla swego ludu chusty w kolorze indygo. Spoczęły, wyczekując śmierci, tak jak panna młoda wyczekuje oblubieńca. Ich dłonie i stopy zdobiły misterne, wymalowane henną wzory towarzyszące ceremonii *thania*, które miały przynieść szczęście mężowi. Może je wykorzystał, a później porzucił, a może uciekły razem przed zaślubinami i zabłądziły.

Akurat czyściłam garnek, gdy ben Szymon skinął na mnie. Ruszyłam za nim, choć nie rozmawialiśmy od chwili, kiedy przestrzegł mnie przed niebezpieczeństwem. Pokazał mi ciała tych żon. Nie odezwaliśmy się, nawet na siebie nie spojrzeliśmy. Dziwiłam się, dlaczego postanowił podzielić się tą tajemnicą właśnie ze mną, dlaczego pozwolił mi zobaczyć, że ma w oczach łzy, gdy patrzy na dwie martwe kobiety – on, okrutny zabójca o twarzy naznaczonej szpetną blizną, który zamordował tyle osób i co noc zmywał z rąk krew.

Staliśmy pod ciemniejącym niebem w godzinie, kiedy ziemia przybiera barwę granatu. To czas, gdy wędrowcy często widują miraże i są gotowi przysiąc, że skały, po których stąpają, przemieniły się w morze. Możliwe, że dwie nieletnie żony uznały, iż uratują się w morzu śmierci, gdyż przedkładały ją nad życie, w którym traktowano je jak bydła wymieniane na garść srebrników. Nagle zrozumiałam – ben Szymon mówił mi, że nigdy nie przywiedzie mnie do takiego końca, że będzie chronił i o mnie dbał. Dojrzałam, co mnie czeka, kiedy z czułością grzebał te dwie zmarłe żony – zupełnie jakby otworzyła się przede mną Księga Życia.

Ja nigdy bym od niego nie uciekła.

Co wieczór leżałam zwinięta w kłębek i nie spałam, gdy innych już dawno zmorzył sen. Ale nie ja jedna. Pewnej nocy przyszedł do mnie Jachim ben Szymon. Legł obok

i wziął mnie w ramiona. Czekałam na niego, jednak kiedy się zjawił, oniemiałam, niezdolna do tego, by się poruszyć lub choćby zakrzyknąć. Zajrzał mi w oczy głębiej niż przy wyschniętej studni czy grobie dwóch zbiegłych żon. Czułam, że widzi mnie całą. Widział, że przywykłam robić wszystko, co każe mężczyzna, że bez słowa podążyłam z Jerozolimy za ojcem. Ale dostrzegł też, że jest we mnie coś więcej. Zobaczył, że płonę, że jestem samotna, że w snach osacza mnie lew, zobaczył anioła, którego wyczekiwałam, i piętno moich narodzin.

Pewnie niedługo zginiemy. Nasze kości zbieleją na białych skałach. Rozszarpią nas orły i zjedzą szakale. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Wciąż żyliśmy. Ben Szymon wsunął dłoń pod moją szatę. Widziałam w ciemnościach grube żyły na jego ramionach. Poczułam, jak przy mnie twardnieje. Bałam się, że rozerwie mnie na dwoje. Mimo to nie próbowałam go powstrzymać. Płonęłam jak liście granatu w miesiącu *aw* – wpierv zielone i nagle niczym ogień. Sija miała rację. Byłam jak drzewo ogniste – im mocniej płonęłam, tym więcej było we mnie życia. Gdyby przysunęła się bliżej, poczułaby zapach ognia i by się mnie strzegła, zamiast obdarowywać swoją przyjaźnią.

Ben Szymon wsunął mi rękę między nogi. Głośno wciągnęłam powietrze. Natychmiast zakrył mi usta drugą dłonią. Pozostali spali po przeciwnej stronie grotu. Nie mogą nas usłyszeć. Ben Szymon szepnął, że cisza jest jedyną rzeczą, jakiej ode mnie żąda. Gdy skinęłam głową, zabrał rękę z mych ust. Jego dotyk rozpałił moje wargi. Ale chciałam coś wiedzieć, nim złożę śluby milczenia, powstrzymam słowa i dochowam tajemnicy. Czułam, jak wciąga mnie ta zmowa, lecz zanim się to dokonało, musiałam zadać mu jedno pytanie. Pragnęłam, żeby mi powiedział, skąd ma bliznę na twarzy. To był jego sekret. Jeśli go poznam, może poznam też jego i odtąd będzie należał do mnie, nawet jeżeli pozostanie mężem Sii.

Odrzekł, że to ślad po lwie. Wzdrygnął się, przywołując to wspomnienie. Za młodu, gdy jeszcze nie był żonaty, schwytali go przed Świątynią Rzymianie. Wysoki, muskularny, o mocnych ramionach – właśnie kogoś takiego szukali. Potrzebowali gladiatorów, których najpierw poddawali próbie. Zamykali dziesięciu kandydatów w lochu z lwem. Kto przeżył, tego wysyłali do Rzymu. Dziewięciu zginęło, lecz kiedy przyszła kolej na tego, który leżał teraz obok mnie, lew jedynie zadrapał mu twarz pazurem i padł u jego stóp. Zdechł nagłą śmiercią, powalony w jednej chwili na kamienną posadzkę. Być może zwierz odniósł rany we wcześniejszych pojedynkach, ale ben Szymon oznajmił żołnierzom, że zadał mu śmierć jednym spojrzeniem. Było to tak niewiarygodne, że oniemiałi Rzymianie jęli rozprawiać o możliwych przyczynach tego przedziwnego zdarzenia, co umożliwiło ben Szymonowi ucieczkę, choć jego rana

nie przestała krwawić.

Przeraził się, że zabił tak piękne zwierzę. Po stokroć wolałby wymordować żołnierzy, gdyż jednym z niedoszłych dziewięciu gladiatorów, którzy stracili życie w tej potyczce, był jego brat.

– W istocie byłem zgorzkniały – wyszeptał mi do ucha, próbując wyjaśnić, czemu lew padł u jego stóp. – Nie smakowałem mu.

Przesunęłam w mroku dłonią po jego twarzy, zastanawiając się, jak to jest stanąć oko w oko z lwem. Może zwierzę wyczuło coś w nim – lwa w ciele człowieka. Zapłakałabym nad poniżeniem i cierpieniem, jakich ben Szymon doznał z rąk Rzymian, lecz pustynia pozbawiła mnie łez. Może i ja byłam zgorzkniała.

Tamtej pierwszej nocy nie śpieszył się. Robił mi rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Całował wszędzie i skłonił, bym to samo czyniła jemu. Po chwili jego rozkosz stała się moją. Chciałam, by tulił mnie i pożądał jeszcze bardziej. Kiedy we mnie wszedł, oczy miałam otwarte. Dojrzałam bliznę, którą pozostawił mu lew, i zrozumiałam, że moje sny to opowieść o mym życiu, o tym, co już się w nim zdarzyło i co jeszcze nadejdzie. Ben Szymon był mężem innej, lecz tamtej nocy należał do mnie, był lwem, który – wiedziałam to zawsze – w końcu mnie odnajdzie. Powinnam zachować siebie dla własnego męża, ale pojęłam, że nie zostanę młodą żoną, której bliscy będą chcieli obejrzeć ślady krwi po nocy poślubnej. To ten mężczyzna wyznał mi, że jestem piękna – i to w taki sposób, że mu uwierzyłam.



Gdy minął miesiąc *elul*, staliśmy się ludźmi pustyni, szczelnie owiniętymi szatami przed słońcem, poszukującymi za dnia czegokolwiek, co dałoby się zjeść. Przestaliśmy czcić święta. Nawet szabat był już dniem jak każdy inny, choć pięknym, świętym i należało go obchodzić radośnie na chwałę Pana. Wszystkie pory dnia stały się białe, jednakowo rozpalone słońcem. Wkrótce jedynie mój ojciec modlił się trzy razy dziennie, lecz i on w końcu zrezygnował i zaczął, tak jak ben Szymon, odmawiać modlitwę tylko raz na dzień, o świcie, z twarzą zwróconą ku Jerozolimie.

Pewnego popołudnia do ben Szymona uśmiechnęło się szczęście, gdyż udało mu się schwytać młodą kozę. Kiedy przyprowadził ją do obozowiska, natychmiast podeszła do mnie, więc mi ją podarował. Od razu się do mnie przywiązała: dopominała się o pieśczoć i podążała za mną krok w krok. Tak mi to schlebiało, że nie mogłam się przemóc, by oddać ją tej, której się słusznie należała. Sija była żoną ben Szymona i była ode mnie starsza, jednak gdy próbowała przywołać kozę, machając do niej, ta

nie podchodziła, tylko się ploszyła i uciekała.

Trzymałam ją uwiązaną na powrozie. Dawła nam mleko, z którego przyrządzałam jogurt, zwany przez nas *lebben*, a przez innych *homes*. Odciskałam twaróg przez chustę. Powstawała z tego maślana *chema*, którą jedliśmy, nim zrobiłam z niej ser. W tych okolicznościach ta prosta strawa jawiła się nam jako prawdziwy smakołyk. Wykopałam dołek w piasku w ocienionym miejscu, gdzie rosła pojedyncza wiekowa oliwka, skarłowaciała, bo bezustannie chłostana przez wiatr. Dokopałam się do błota, z którego odcedziłam trochę mętnej, słonawej wody. Wtedy mogłam się zabrać do robienia sera, *haris halab*, zawijając całość w płótno, by mieszanka stwardniała i była gotowa do jedzenia. Im więcej potraw z koziego mleka pojawiało się w naszych posiłkach, tym bardziej Sija cierpiała i zżerała ją zazdrość. Któregoś dnia pochyliła się nad kozą i starała się ją nakłonić, by wybrała sobie nową panią, jednak zwierzę czmychnęło i przybiegło do mnie. Zaczęłam się wówczas zastanawiać, czy Sija już wie. Przesłaniała oczy, lecz później usłyszałam jej szloch. Na pustyni, gdzie było zbyt sucho na lzy, wciąż potrafiła zapłakać.

Miałam już wtedy niezliczone nacięcia na nodze. Blizny przecinały się, pokrywając całą skórę. Napotkaliśmy po drodze kilku wędrowców i za każdym razem próbowaliśmy dobić z nimi targu. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość – skórzany baniak na wodę mojego ojca, ślubne bransoletki Sii – wymieniliśmy na sól i kminek. Raz udało się nam kupić kilka wychudzonych kurcząt. Urządziliśmy sobie wówczas królewską ucztę, lecz na koniec zostały tylko nóżki i kości. To skromne pożywienie musiało nam później wystarczyć na bardzo długo. Chodziliśmy głodni, a głód sprawiał, że staliśmy się lekkomyślni. Mieliśmy tak niewiele, że właściwie nic nie łączyło nas z tym światem, oprócz więzów, które łączyły nas ze sobą.

Kiedy nadszedł mój czas i zaczęłam krwawić, oderwałam rąbek tuniki i wcisnęłam go sobie między nogi. Nic innego nie miałam. Przemieniliśmy się w dzikusów, byliśmy jak barbarzyńskie plemiona zamieszkujące pustynię i przestrzegające jej bezlitosnych praw. Przetrwaj, jeśli zdołasz, lub zostań ze starcami i chorymi jako ofiara dla polujących nocą drapieżników. Obwiązałam głowę podarowaną mi przez brata błękitną chustą, choć błękit był kolorem młodych żon, które znaleźliśmy martwe na pustkowiu. Cały nasz dobytek nieśliśmy na plecach. Przyświecało nam jedynie jasne światło Wszechmogącego. Przeżyliśmy, bo na to zezwolił. Każde nasze tchnienie należało do Pana, który dał nam jeszcze jeden dzień na ziemi.

Teraz, za każdym razem, gdy zbliżałam się podczas marszu do Sii, ta przyspieszała

kroku. Nasza bliskość obróciła się w pył. Kiedy wspólnie gotowałyśmy, nie odzywała się do mnie. Czasami, będąc obok, zachowywała się niepewnie. Raz, poirytowana, oparzyła się w rękę, dotknąwszy stojącej na ogniu formy. Kiedy po rozbiciu kolejnego obozowiska natrafiliśmy na płytką sadzawkę, zaproponowałam, żebyśmy się w niej wykapały. Odrzekła, że wykąpie się sama, ale w końcu tego nie zrobiła. Przyglądała mi się za to z wyrzutem zza skał, bo moje młode ciało było dla niej niczym obelga. Słyszałam, jak płacze. Też bym zapłakała, gdybym jeszcze umiała, ale poprzysięgam sobie dawno temu w domu swojego ojca w Jerozolimie, że nigdy więcej nie uronię łzy. Wkrótce koza stała się moją jedyną towarzyszką. Przemawiałam do niej, lecz przypominałam sobie, że ponoć robią to tylko czarownice, więc zaczęłam szeptać, żeby nikt nie usłyszał.

*

Kiedy wreszcie trafiliśmy do miejsca, gdzie mogliśmy pozostać dłużej, bo rosły tam kępy mięty, a w pobliskim wąwozie żółte cebule, wdrapałam się do położonej wyżej groty skalnej, by w samotności przeczekać czas krwawienia, podczas którego kobieta była uznawana za nieczystą, *nida*, i musiała na siedem dni odłączyć się od innych. Nawet pojedyncza kropla krwi zmuszała niewiastę do porzucenia świata mężczyzn, póki nie obmyła się w mykwie, łaźni z czystą wodą płynącą wprost od Boga.

Odizolowałam się, gdyż tak nakazywało odwieczne prawo, ale istniał także inny powód. Nie mogłam sypiać w tej samej izbie co Sija. Wyobrażałam sobie, jak leży w ciemnościach, kiedy jej mąż przychodzi do mnie, teraz już natarczywy, jakby żądał czegoś, co mu się należy. Zastanawiałam się, czy zatyka sobie uszy, czy – co gorsza – podsłuchuje. Odizolowałam się, żeby umknąć przed jej dociekliwym wzrokiem. W istocie wolałam być sama. Dla ochłody nacierałam skórę błotem. Rozplotłam włosy. Na grani, w miejscu, gdzie obecnie sypiałam, gwiazdy świeciły jaśniej, rozpraszając mrok. Widywałam kobiety podążające za nomadami, drugie i trzecie żony, którym nie wolno było wędrować w towarzystwie innych kobiet. One też nacierały ciała błotem. Choć kroczyły w poniżeniu, były jeszcze piękniejsze niż pierwsze żony, ze skórą białą, żółtą i rdzawą od błota i rozpuszczonymi włosami opadającymi im na plecy niczym woda. Wydawały się dziwnie dumne, bowiem jeśli nie było niczego, co mogło ugasić męskie pragnienie, miały do zaoferowania przynajmniej to – swoje ciała i dusze.

Uczciliśmy święto nowiu księżyca, Rosz Chodesz, wyznaczające początek miesiąca *tiszri*. „Błogosławiony niech będzie Ten, który przemówił i wszystko powstało”. Każdy miesiąc rozpoczynał się, jak napisano w pierwszych słowach Tory, nowym życiem,

które wieściło pojawienie się księżyca. Wędrowaliśmy już prawie pięćdziesiąt dni, wystrzegając się Rzymian. W Dniu Pojednania poczułam wyrzuty sumienia, gdy z przerażeniem uświadomiłam sobie, że Bóg wie o mych nocnych uczynkach. Ukradłam komuś coś, co do mnie nie należało, jak zwykła złodziejka, jak morderczyni, za jaką miał mnie mój ojciec. Rzadko ze sobą obcowaliśmy, choć często przebywaliśmy razem na ograniczonej przestrzeni i wspólnie jadaliśmy posiłki. Zwykle odwracaliśmy się do siebie plecami. Ojciec spożywał strawę, jaką przed nim stawiałam, lecz jestem pewna, że uznawał ją za nieczystą. Słyszałam, jak odmawia nad miską modlitwę, niczym człowiek, który pragnie odgonić demony.

– Myślisz, że mogłabym cię zabić od wewnątrz? – spytałam go buńczucznie pewnego razu, gdy mamrotał nad warzywami, które mu ugotowałam.

Posłał mi złe spojrzenie. Siedział zgarbiony, nagle przemieniony w kruchego starca. Pierwszy raz zobaczyłam, kim jest naprawdę, mimo szaty zapewniającej niewidzialność. Poczułam, że jest przybity, i dotarło do mnie, że szepcze modlitwę za zmarłych: „Błogosławiony jesteś Panie nasz, Boże i Królu wszechświata”. Odkąd się urodziłam, pozostawał w żałobie, wciąż oplakując moją matkę. Niespodziewanie zrobiło mi się wstyd. Nieważne, jak był okrutny, był moim ojcem, a ja nie okazywałam mu szacunku.

Obchodziliśmy na chwałę Pana Święto Namiotów. Mężczyźni modlili się, lecz nie mieliśmy winogron ani czerwonych granatów, których sok spływałby nam z ust po ramionach, zatem dzień ten prawie nie różnił się od pozostałych. Niedługo potem zaczęła się zmieniać pogoda. Wreszcie pojawiły się ptaki. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak cichy był świat w miesiącach wielkiego upału, póki nie dojrzałam przelatujących nad nami stad. Przemierzały ten szlak, by spędzić zimę na południu, gdzie noce nie są tak mroczne i zimne. Niebo wypełniły sznury skowronków i szkarłatnych dziwonii. Były też trznadle, turkawki, turkusowe kraski, połyskliwe ibisy, a także całe kolonie cudownych, nawołujących się nawet nocą żółto-turkusowych żółn. Szybowała nad nami paleta barw, sunąc na południe w poszukiwaniu trawy. Niekiedy ptaki te były niczym chmury na horyzoncie, a innym razem przesłaniały całe niebo. Widok tych żywych, wibrujących stworzeń we wszystkich odcieniach czerwieni i błękitu nad białą pustynią był jak cud. Już nie odliczałam dni swego życia z żalem, lecz z radością.

Mimo że byłam nieczysta i odizolowałam się od pozostałych, a Sija mogła w każdej chwili obudzić się w ciemnościach, by stwierdzić, że jej mąż zniknął, ben Szymon wciąż do mnie przychodził. Prawo nakazywało, by – jak napisano w Trzeciej Księdze Mojżeszowej – mężczyźni wystrzegali się kobiet, kiedy co miesiąc krwawią, jednak na

pustyni złamaliśmy wszelkie prawa. Zaczęło się to od nacinania skóry na nodze, pierwszej zasady, jaką naruszyłam. Nie miałam matki, która przemówiłaby mi do rozsądku, lecz, prawdę powiedziawszy, i tak bym jej nie posłuchała. Jedno wykroczenie prowadziło do następnego. Ben Szymon również stał się nieczysty, gdyż plamiła go moja krew, tak jak krew Rzymian, gdy ruszył na nich na dziedzińcu Świątyni. Nawykł już do występku. Był jednocześnie czuły i po męsku brutalny. Kiedy kładł się przy mnie, twarde, z dłonią na mym biodrze, nie dostrzegałam w jego oczach poczucia winy. Twierdził, że Bóg odróżnia grzesznika od grzechu i że nasze uczynki pozostają poza Jego osądem.

Gdy do nich schodziłam ze swej jaskini, czułam, że Sija wie, dokąd idzie jej mąż, kiedy zostawia ją śpiącą. Poznawałam to po tym, jak się krzątała bez skargi i krzywiła. Nie mogłam spojrzeć przyjaciółce w oczy. Wszystko, czym byłam kiedyś, zniknęło. Dziewczyna, która ruszyła w stronę oazy w noc spalenia Świątyni, przepadła bez śladu. Ta, która miała popiół w długich rudych włosach i opłakiwała swe miasto i dom, została tam, gdzie rósł cedrat. Klucz, który otworzył przede mną wrota na pustkowiu, otworzył też Siję na moją zdradę.

Czułam piach w zębach. Byłam teraz kobietą pustyni, już nie nieśmiałym odmieńcem, dziewczyną z miasta bojącą się skorpionów. Zdziczałam, byłam gotowa zrobić wszystko, by zdobyć to, co zechcę. Tacy rodzili się myśliwi. Czułam w sobie tę dzikość, iskrę woli w mroku, która pozwala przetrwać. Jeśli czegoś chciałam, zdobywałam to. Podkradałam się do wędrownych ptaków i łapałam je w chustę, a czasami gołymi rękami. Byłam przebiegła niczym lwica. Podpatrzyłam, jak czarna pustynna żmija hipnotyzuje wzrokiem ptaka, jak z wolna owija się wokół swej ofiary i na koniec śmiertelnie ją kęsa.

Nasz lud wierzył, że każde stworzenie ma w sobie iskrę, *nicoc*, coś świętego, i że winniśmy okazywać mu dobroć i współczucie. Wszystkie zwierzęta, tak jak ludzie, chwalą Pana swymi trelami i odgłosami. Zimą poświęcaliśmy jeden szabat ptakom, by się im odwdzięczyć i podkreślić, że to dzięki nim ludzie nauczyli się chwalić Stwórcę pieśnią. Musieliśmy nawet odganiać kury, nim zebraliśmy jajka, żeby nie widziały, co spotyka nienarodzone stworzenia, które miały zostać ich potomstwem. Kiedy zachciało się nam mięsa, należało poderznąć gardło bydłęcia jednym sprawnym ruchem, aby duch mógł ulecieć miarowym strumieniem światła. Nie wolno nam było spożywać krwi pod żadną postacią. Musiała ściec z szyi ofiary, by powrócić do ziemi, z której przyszła.

Widziałam jednak śmierć na pustyni, gdy żmija czyhająca w cieniu skał zdobywała pokarm – i wyciągnęłam z tego wnioski. Skręcałam ptakom karki, ale błyskawicznie

i zawsze odmawiając modlitwę. Później kładłam truchło tych bezbronnych stworzeń na kolanach, oskubywałam z pierza i zapominałam, że odebrałam życie tak cudnym istotom. Do czego nie byłabym zdolna? Jakiego potwornego okrucieństwa bym się nie dopuściła? W jaskini wyrosły mi kły i szpony. Mój ojciec przepowiadał, że właśnie to stanie się z nami na pustyni. Zuchwałość sprawiła, że już nie zważałam na to, że ktoś podsłucha nas nocą. Było mi wszystko jedno, czy Sija ma opuchnięte oczy i czy ojciec splunie na mój widok, by chronić samego siebie, bo najwyraźniej dojrzał we mnie zło i bał się, że sprowadzę na niego klątwę. Niech myślą, że słyszeli lwy, które zeszły z górskiego matecznika i hałasowały jak wściekłe nocą. Sija nic dla mnie nie znaczyła. Jej dzieci nie były moimi. Przetrwanie zależało od mocnych ścięgien, mięśni i bezwzględnej siły woli. Miałam to wszystko. Przestałam sypiać w namiocie, pozostałam w jaskini.

Nastał, zwany przez niektórych ciężkim, miesiąc *cheszwan*, czas Noego, kiedy ziemia tonie w deszczu, tak jak ja tonęłam w miłości. Pozwoliłam ben Szymonowi oglądać moją nagość, stojąc na skałach nad grotą. Pozwoliłam, żeby mnie tam posiadał na oczach jastrzębi, Pana wszelkich stworzeń i własnej żony, gdyby odważyła się spojrzeć na moją ulubioną grań. Mój kochanek nie zapuścił się dalej, do jaskini, dając mi do zrozumienia, że to ja muszę zgrzeszyć. Każdy mężczyzna miewa złe pokusy – nie byłby nim, gdyby nie rozsadzała go żądza – lecz kobieta, która mdleje na myśl o upodleniu, zostanie surowo osądzona, gdyż, jako córka Ewy, powieli pierwszy grzech w raju, łamiąc boskie przykazania dla własnej rozkoszy. Pogodziłam się z tym. Już byłam przestępczynią, morderczynią własnej matki. W obliczu tamtej zbrodni moja chuć była niczym.

Kiedy ben Szymon mnie przywoływał, biegłam do niego jak pies, ale taki, który przynajmniej sam wybrał swego pana. Pozwalałam, by mnie dopadał jak pies sukę, a później jak lew lwicę, w uścisku. Gdy mówił, że już na niego czas, nie chciałam go puścić. Zaspokajałam każde jego pragnienie, gotowa zrobić wszystko, byleby tylko został. Płonęłam wraz z nim, gorąca i mokra w jego objęciach. Nasze ciała trwały w mrocznym zespoleniu, byliśmy jak zwierzęta, które znają tylko ten jeden język. Słone łzy szczypały mnie w oczy, lecz nie wypływały. Niszczycielska to była miłość. Kiedy ben Szymon czuł się upokorzony własnymi zachciankami, obrzucał mnie obelgami, a później zaczynał szlochać i ponownie brał w ramiona. Wciąż było mi go za mało, bo wiedziałam, że gdy tylko odejdzie, znów trafi do swych bliskich. To do nich należał. Nigdy tego nie krył. Kiedy odchodził, wpatrywałam się w ślady jego stóp i nim zniknął, już go oplakiwałam.

Nastała pora, gdy wspominaliśmy ponowną konsekrację Świątyni po przepędzeniu Syryjczyków, kiedy to Adonaj sprawił, że olej, który mógł starczyć ledwie na jeden dzień, płonął przez osiem nocy na chwałę naszej wiary i odniesionego tryumfu. Teraz jednak Świątynia była stracona, a olej palił się, dymiąc na czarno. Palenisko zastąpiła skała, na której płomyki ognia lizały nieliczne pogięte gałązki, jakie udało się nam znaleźć. Nagle spadł słaby deszcz i przygasił ognisko, mieszając nam szyki. Naszą ucztę stanowił samiec turkawki, którego złapałam w chustę. Pięknie gruchał, wydając z siebie dźwięki przypominające słowo *tor* oznaczające po naszymu turkawkę. Spojrzałam na krzak mirtu i zauważyłam tam jego towarzyszkę. Zastanawiałam się, czy później, gdy turkawki ruszą na południe, samica odleci samotnie, czy też zostanie, żeby go oplakiwać. Przypomniały mi się słowa wypowiedziane przez Salomona do ukochanej: „O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jak piękna, oczy twe jak gołębice!”^[3]. Dojrzałam smutek w ciemnych oczach samicy z krzaku mirtu i czułość, jakiej nie widziałam u żadnego człowieka. Podeszłam do samotnej turkawki, głowiąc się, czy mam skrócić jej samotność, lecz przeskoczyła na wyższą gałąź, połyskując bladymi piórkami, zbyt piękna, bym mogła ją zabić.

Tamtego wieczoru za wino służyła nam woda, gdyż nie mieliśmy winogron ani czasu, by sporządzić wino z dzikich fig, na które czasami trafialiśmy. Przywykłam do takiego życia i znajdowałam pocieszenie w milczeniu. Pokochałam ostry, wonny zapach pustyni nocą. Wędrowaliśmy z miejsca w miejsce, podążając za śladami przepiórek w nadziei, że dotrzemy do wody. Wciąż trzymałam się na uboczu, żeby ben Szymon mógł mnie odwiedzać, kiedy jego żona i dzieci zasną. Pewnego dnia, gdy udał się na polowanie, przyszedł do mnie ojciec i spytał, czy chcę zostać *zona*. Poczułam się, jakby mnie spoliczkował. Przyrównał mnie do ladacznic z obrzeży Jerozolimy, które rozbiorą się dla każdego, kto im zapłaci, nawet dla rzymskich żołnierzy.

– Skoro taka jestem, to przez ciebie – odrzekłam mojemu ojcu, człowiekowi, który zamordował tak wielu swym zakrzywionym sztyletem, który mną gardził, traktował mnie jak psa i nie zawahał się poprowadzić na pustynię, gdzie czekała mnie tylko taka przyszłość, jaka już została napisana.



Przestałam odliczać dni. Nie pragnęłam znaleźć się w innym miejscu, choć wciąż nie było śladu mojego brata ani twierdzy opanowanej przez zbuntowanych Żydów. Upał zelżał i zaczęły się ulewy. Wkrótce w *nechalim*, wąwozach, utworzą się sadzawki, a z

rozpadlin między skałami wypłyną wodospady opalizującej wody. Byłam jak lampart przemierzający pustynię. Myślałam tylko o przetrwaniu i o tym, czego mogę potrzebować, by przeżyć kolejny dzień. Widziałam ich ślady na piasku, zawsze pojedyncze, nigdy nie wędrowały parami. Były takimi samotnikami, że gdy napotykały inne lamparty, zaczynały warczeć, bo choć ciągnęło je do siebie, to wciąż traktowały się nawzajem jak wrogowie. W niczym nie przypominały lwów, które wiążą się i pozostają w swych objęciach aż do śmierci.

Raz natknęłam się na lamparta, chociaż widywało się je niezwykle rzadko. Zaczaiłam się tamtego dnia za skałami, gdzie gnieździły się ptaki, i czekałam, aż któryś zbliży się na tyle, bym mogła go schwytać. Nagle spojrzałam w górę i zobaczyłam lamparta, ciemnobrązowego z czarnymi cętkami. Był wielki, z łatwością zdołałby mnie rozszarpać. Poczułam, jak wali mi serce. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie życia. Stałam na głazie i uniosłam nad głową chustę. Wyglądałam groźnie – moje rude włosy powiewały na wietrze, zaczęłam też warczeć, jak lampart. Spojrzał na mnie zaskoczony i czmychnął. Zniknął między skałami, po czym pognął przez równinę, niemal sunąc nad ziemią. Cała się trzęsłam, oszołomiona swoją dzikością. Tym teraz byłam: bestią, której nie obchodzi cudzy głód, bo myśli wyłącznie o własnym.

Mogłabym tak żyć do śmierci – czekać na zmrok i cieszyć się ben Szymonem, ale nie to było mi pisane. Pod koniec miesiąca *kislew*, gdy niebo zasnuły chmury, a noce zrobiły się zimne, synowie Sii zachorowali. Nieszczęście czaiło się za każdym razem, kiedy spożywaliśmy posiłek bez błogosławieństwa lub piliśmy wodę z sadzawek. Porzuciliśmy wprawdzie miejsce opanowane przez demony, lecz pewnie kilka podążyło za nami przez wrota Syjonu. Chłopcy byli uroczy, zawsze chętni, by wyruszyć ze mną na poszukiwanie fig w żyznych wąwozach, póki matka nie zabroniła im towarzyszyć mi. Gdy spytałam, czy mogę im jakoś ulżyć w chorobie, Sija dała do zrozumienia, że na nic się jej nie zdam. Powiedziała, że to nie moje dzieci. Dojrzałam w niej cierpienie, lecz jej nie wsparłam, gdyż to ja byłam powodem jej rozpacz. Rzecz jasna, chciała, bym trzymała się od niej z daleka.

Choć zrobiło się chłodno, z każdym dniem ciała chłopców stawały się coraz bardziej rozpalone. Wkrótce zaczęli z trudem łapać powietrze. Pojawiła się drobna czerwona wysypka. Słyszałam, jak Sija szlocha, kiedy nie chcieli zjeść zupy z parzonej wyki, którą im uwarzyła. Zaklinała Boga, by zabrał ją zamiast jej dzieci. W głębi duszy modliłam się o to samo. Straszne to, ale prawdziwe. Czułam, jak nisko upadłam, mimo to pragnęłam, by od nas odeszła. Taka się stałam, taką uczyniło mnie moje pożądanie.

Rozmyślając, kto pierwszy z nas zginie, liczyłam, że właśnie ona.

Jeśli nie stać cię na okrucieństwo, nie przetrwasz na pustyni. Wciąż to sobie powtarzałam i w to wierzyłam. Nie byłam osłem, niewinną dziewczyną, zmartwioną matką ani gorączkującym chłopcem, lecz rudowłosą kobietą, która przepłoszyła spojrzeniem lamparta. Przemawiałam na górskiej grani do kozy. Zobaczyłam, że ben Szymon zasiadł, by czuwać przy dzieciach. Niepokój odmienił jego surową twarz. Podeszłam do niego, pokłoniłam się i zaczęłam błagać, bym mogła się nimi zająć. Uśmiechnął się blado, pogładził mnie po włosach, lecz odrzekł, że ich życie jest w rękach Boga, nie moich.

Przeglądała się temu Sija. Jej twarz aż pobieliała.

– Pokażę ci, co potrafię – nalegałam.

W ciągu jednego dnia złapałam trzy dzikie kury i ugotowałam je w ognisku. Znalazłam też wodę bijącą ze źródła u stóp sykomory, z której zerwałam kilka pomarańczowych owoców. Przyrządziłam pożywną zupę dla chłopców i pocięłam owoce na cienkie, kojące plastry, które przykładalam do ich rozpalonych warg.

Sija nie mogła mi niczego zarzucić. Nie miała wyjścia – musiała przyjąć moje zabiegi z pokorą. Poświęciłam się sztuce przetrwania. Uczyniłam z tego swe powołanie, w przeciwieństwie do mojego ojca, który, gdy niebo zmieniało kolor z białego na błękitny, wciąż kierował bez celu wzrok w stronę Jerozolimy. Tego buntownika i renegata, który zabił dziesiątki Rzymian, pokonały Judea, wiatr i głód, ukazując jego bezradność. Kiedy chłopcy zachorowali, przeraził się i całymi dniami wyśpiewywał pieśni do Wszchemmogącego. Nie bał się jednak o dzieci, lecz o własny los. Twierdził, że demony potrafią przechodzić z jednej osoby na drugą przez dotyk lub oddech. Gardziłam nim i odwróciłam się od niego. Gdy poprosił o wodę do obmycia rąk, powiedziałam, żeby sam ją sobie zdobył, tak jak robiłam ja, przesiewając błoto przez palce.

Liczył się dla mnie tylko jeden człowiek: ten, który stawił czoło lwu. Bałam się jednak, że ma zbyt miękkie serce i wróci do żony i rodziny. Przestał do mnie przychodzić nocą. Drżałam samotna w grocie. Cierpiąc, podglądałam ich zza skał. Ben Szymon przesiadywał z dziećmi przy ognisku usypanym z gałęzi, jakie zebrałam, jadał ugotowaną przeze mnie zupę i pił wodę, którą znalazłam. Uzdrowiałam ich dla siebie nawzajem. Raz widziałam, jak ujmuje Siję za rękę swą wielką dłonią i dociska ją do ust. Miał prawo, była jego żoną, mimo to ogarnęła mnie wściekła zazdrość. Nie mogłam zjeść zupy, którą sama ugotowałam, i nie wypić wody, którą znalazłam pod sykomorą.

Z tego, co mówiły kobiety przy studni w Jerozolimie, wiedziałam, że istnieje sposób,

by związać ze sobą mężczyznę tak, by nie odszedł. Wymagało to krwi – mówiły z trwogą – lecz ja się jej nie bałam. Udałam się w miejsce, gdzie zauważyłam czarne żmije. Rósł tam gaj żółtych jabłoni sodomskich, których długie włókniste nasiona służyły nam w szabat za knoty, gdy starczyło tłuszczu z kuropatw na świece. Opadłam na czworaki i narysowałam patykiem na piasku pysk lwa. Potem otoczyłam go kamykami spryskanymi własną comiesięczną krwią. Chciałam zamknąć mojego lwa w klatce i sądziłam, że w ten sposób mi się to uda. Nie miałam matki, która nauczyłaby mnie prostszych metod, jednak czary odniosły skutek. Ben Szymon przyszedł do mnie tamtej nocy. Wciąż mnie pożądał. Przewięzałam włosy błękitną chustą. Byłam ostrożna, milcząca i ponad wszelką miarę wdzięczna. Teraz wszystko łatwo było zniszczyć. To, co nas łączyło, rozrosło się jak kwiat, czerwony pąk drzewa ognistego, który barwi palce, kiedy go zerwiesz, zaplątany w kłujących łodygach.

– Nie powinienem tu przychodzić – rzucił ben Szymon.

Też tak uważałam – i żałuję, że tak mu nie odpowiedziałam. Zamiast tego podeszłam do niego i nie odmówiliśmy sobie niczego. Żadne z nas nie powinno trafić na to pustkowie, ale tak jak było napisane, że tu dotrzemy, tak było też napisane, że on do mnie przyjdzie. Pragnęłam jedynie jego dłoni na swym ciele, jego ust na mych wargach i tego, byśmy stali się jednym. Wtedy żyłam naprawdę. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie rzuciłam uroku na siebie i czy nie przyjdzie mi za to zapłacić. Ben Szymon powinien był zadbać o żonę i dzieci, lecz nie pozwoliłam mu odejść. Lampart wie, kim jest, nie myśli o agonii i lęku swej ofiary, tylko biegnie, bo do tego został stworzony, i bierze, co jego.

Może było mi lepiej, gdy byłam niewidzialna – kiedy mężczyźni odwracali wzrok, przechodząc obok, i kiedy siedziałam w domu jak pies. Teraz ledwie siebie znałam, ale wiedziałam, czego chcę. Gdy spacerowałam boso pośród skał, zostawiałam za sobą ślad, a on zawsze za mną podążał. Jednak to nie on grzeszył, bo kiedy się zjawiał, nigdy mu nie odmówiłam.



Noce stały się chłodniejsze, a błękitne powietrze znad Wielkiego Morza ściągnęło za sobą deszcz padający ze spiętrzonych chmur. Mimo to gorączka u chłopców nie ustąpiła. Chorowali już zbyt długo. Ich usta obrzmiały i zbieleły. Przewracali oczami i rozmawiali z duchami. Obserwowaliśmy ich z niepokojem, bojąc się najgorszego. Wreszcie doszło do tego, że przestali jeść i pić. Aż tu pewnego dnia, gdy gałązki tamaryszku rozkwitły różowym kwieciem, a na grani, między skałami, pojawiły się

kępki szałwii, rozchorowała się Sija. Zarzekała się, że nic jej nie jest, lecz cała się trzęsła i odmówiła jedzenia. Wieczorem legła obok synów i nazajutrz rano już nie wstała. Przyjęła wodę, którą jej przyniosłam, ale posłała mi straszne spojrzenie. Kiedy chwyciła mnie za rękę, przestraszyłam się, że zaraz mnie przeklnie. Tymczasem ona wbiła rozgorączkowane spojrzenie w moje oczy. Nie wiem, czy znalazła w nich to, czego szukała, choć pewnie tak, bo spytała, czy o niego zadbam, gdy umrze. Wiedziałam, kogo miała na myśli. Skinęłam głową.

– Jasne, że tak – wyszeptała. Nie była zła, raczej sprawiała wrażenie kobiety, która dała za wygraną i już nie musi się przejmować sprawami tych, którzy pozostaną na ziemi. Chciała mieć tylko pewność, że ktoś jeszcze pokocha jej męża.

Później nie mogłam spojrzeć jej w oczy, mojej jedynej przyjaciółce, która okazała mi tyle dobroci. Robiłam, co mogłam, czuwając przy niej z wilgotną szmatką chłodzącą jej rozognioną skórę. Przygotowałam wywar z pokrzywy i mięty, lecz nie mogła pić. Ugotowałam rosół z kości i mięsa kuropatwy, ale pokręciła tylko głową. Nigdy nikogo nie doglądałam, żadnego chorego ani umierającego. Leżała bez słowa skargi u boku dzieci, które cicho pojękiwały. W Jerozolimie można było opłacić *minim*, by śpiewały swe tajemne pieśni i wznosiły modły o uzdrowienie do Najwyższego. Były one też biegłe w sztuce *pharmaka* i miały dostęp do leków na ślepotę, bóle głowy czy gorączkę. Kiedy ktoś dostawał ataku, podawały mu tłuczony korzeń peonii. Gorący wosk mógł powstrzymać krwotok. *Minim* wypisywały po tysiąc razy imię Wszechmogącego i chowały zwój do skórzanego futerału wraz z modlitwami i tajemnicami tak wielkimi, że można je było szeptać jedynie Bogu. Gdybym tylko mogła, poszłabym do jednej z tych zamieszkujących zaułki kobiet – jak wtedy, gdy udałam się po amulet dla Amrama – gdyż znały one groźne zaklęcia mogące przywrócić do życia kogoś, komu anioł śmierci szykował się je odebrać.

Wokół nie było jednak nikogo, do kogo moglibyśmy się zwrócić o uzdrowienie – tylko piach. Mijały dni, a chorzy nie przestawali gorączkować. Nawet ja wiedziałam, że człowiek długo nie wytrzyma w walce z takimi demonami.

Pewnego wieczoru ben Szymon nie zjawił się u mnie. Poszłam pod krzak tamaryszku. Kamyki, które tak starannie ułożyłam, były porozrzucane, pewnie przez dzikie wielbłądy albo szakale szykujące sobie nocne legowisko. Tak czy siak, urok został odczyniony. Wróciłam do obozowiska i zastałam tam ben Szymona tulącego do siebie synów i szlochającego. Przekonałam się, że się myliłam. Człowiek mógł płakać na pustyni, nawet ten naznaczony przez lwi pazur. Wtedy zrozumiałam, kim dla niego jestem – nie pierwszą, drugą ani nawet trzecią.

Nie poczułam się przez to gorsza ani nie zmieniło się to, kim on był dla mnie. Ale zrozumiałam.

Istniała tylko jedna rzecz, jaką mogłam dla niego zrobić. Gdy mu powiedziałam, że wyruszam po lek, uściskał mnie. Spijałam jego wdzięczność jak wodę. Chciałam iść sama, ale mi nie pozwolił. Kobieta na pustyni była jak ptak w sidłach – każdy mógł ją dopaść. Ben Szymon zdecydował, że wyruszę z ojcem. Ten, choć mną gardził, zgodził się mi towarzyszyć, pewnie dlatego, żeby nie przebywać wśród obłożnie chorych.

Ben Szymon dał mi swój sztylet, ten, którym tak wielu wymordował. Miał na sobie rdzawe ślady, lecz jego srebrne ostrze było tak ostre, że gdy przejechałam nim po dłoni, z kciuka popłynęła krew. Ukryłam go pod tuniką, owinąwszy w kawałek wełny, który obwiązałam nicią z włosa mojej kozy. Ben Szymon nalegał, abym ją ze sobą zabrała, bo jeśli nie znajdziemy niczego innego, zawsze pozostanie nam jej mleko. Dał mi też sakwę na wodę i resztkę jęczmiennego podplomyka. Wzięłam to, choć w pierwszej chwili nie chciałam. Podarunek oznaczał początek, ale i koniec. Kiedy się zegnaliśmy, zdarzyło się coś ważnego. Ben Szymon dał mi wszystko, co miał, lecz jednocześnie opadła między nami zasłona. Czułam ucisk w gardle, serce waliło mi młotem. Spojrzałam na twarz ukochanego, jednak on już we mnie nie wglądał. Stałam się dla niego przezroczysta, niczym powietrze. Zupełnie jak w dniu, gdy opuszczaliśmy Jerozolimę, nim podejrział, jak odcedzam wodę z błota, i nim poznał moje imię. Pomyślałam, że może właśnie tak żegna się zabójca: brutalnie i z godnością. Nie miałam pojęcia, że już przeczytał to, co zostało napisane.

Wyruszyliśmy przed świtem, kiedy po niebie szybowały jastrzębie.

Nie wiedzieliśmy, ile czasu upłynie, nim znajdziemy lek, ani czy w ogóle jest czego szukać. Nie bez powodu przepelniała nas nieufność. Równie dobrze mogliśmy dotrzeć do jakiejś osady, jak i zginąć. Bandy rabusiów koczowały w jaskiniach w całej Judei. Zbiegli niewolnicy, złodzieje i niemający nic do stracenia buntownicy. Był to ogromny obszar. Wszystkie wapienne skały przypominały te, które już minęliśmy. Unikając rzymskich żołnierzy, krążyliśmy w miejscu przez kilka dni, podczas gdy koza, którą ze sobą zabrałam, tylko rozdziawiała pysk, by dać nam do zrozumienia, że błądzimy. Byli i tacy, którzy wędrowali tu przez całą wieczność i nigdy nie powrócili do cywilizacji. Słyszałam przy studni w Jerozolimie opowieści kobiet o zaginionej dziewczynce, która żyła z hienami, biegając z nimi, sypiając i żywiąc się padliną. Kiedy ją odnaleziono, miała ostre kły, bo już przestała być człowiekiem.

Gdy trzeci raz minęliśmy te same skały, nie miałam wyjścia – wzięłam podarowaną mi przez brata jedwabną chustę i podarłam ją na paski. Przywiązałam strzępki

błękitu do ciernistych krzewów, by wskazywały nam drogę powrotu.

Po kilku dniach wędrówki ojciec zaskoczył mnie, gdyż nagle przemówił. Właściwie nie powinnam była tego wyczekiwać, bo nie powiedział nic miłego. Krzyczał, że usidliłam ben Szymona, jakbym była lwicą, która go pożarła, odbierając żonie. Spojrzałam na niego buńczucznie, zastanawiając się, co by zrobił, gdybym go tam zostawiła na pastwę losu. Tymczasem on oświadczył, że jeśli synowie ben Szymona wyzdrowieją, będą zawdzięczać mi życie i staną się moimi synami w równym stopniu co Sii. Jego oczy płonęły gniewem:

– Może wtedy Bóg ci wybaczy.

Nie broniłam się. Często gładziłam dłonią blizny na nodze odznaczające czas spędzony na pustyni, zatrzymując się przy tej wskazującej dzień, w którym ben Szymon pierwszy raz do mnie przyszedł. Prawdę powiedziawszy, zapuściłam się na pustkowie w poszukiwaniu leku, by znów go do siebie przyciągnąć. Do tamtej chwili nie myślałam o chłopcach ani o Sii. Bóg z pewnością mi nie wybaczy.

Gdy zapadł zmierzch, rozbiliśmy obozowisko. O tej porze roku noce były chłodne, więc zbierałam po drodze gałęzie na podpałkę. Kiedy jej nie było, paliliśmy własne i kozie łajno, a dym okropnie cuchnął. Przy tej przerażającej łunie wstępował we mnie lęk, że zawędrowaliśmy w miejsce, gdzie Bóg stracił nas z oczu. Sypialiśmy na siedząco, oparci o siebie plecami i owinięci szatami ciężkimi od brudu. Słyszeliśmy odgłosy grasujących w mroku zwierząt, dzikich psów i szakali, a raz nawet niedźwiedzia zmierzającego do gawry. Szlakiem tym podążało niewielu wędrowców, gdyż nigdzie wokół nie było śladu wody. Wiedzieliśmy, jaki los spotkał Sodomę, miasto spalone do cna przez pioruny. Mówiono, że są tam drzewa pełne pięknych owoców, które po zerwaniu przemieniały się w dłoń w pył. Za dnia każdy oddech palił nam krtań. Nie odważyliśmy się odwiedzić żadnej oazy, ponieważ baliśmy się, że napotkamy Rzymian. Koza nie piła wody od tak wielu dni, że przestała dawać mleko. Lgnęła do mnie. W kopyta wbijały się jej kamyki, które starałam się wyłuskiwać. Wydawało mi się, że szlocha za każdym razem, gdy ruszaliśmy dalej.

Szliśmy już tak długo, że z mojej chusty zostały jedynie skrawki. Błękit, który pozostawiłam za sobą, wskazywał drogę przez pustkowie do ben Szymona. Nasza wędrówka zdawała się beznadziejna, gdyż nie widzieliśmy przed sobą nic oprócz białych skał. Ojciec zaczął gderać, że mógł to przewidzieć, bo zawsze byłam zwiastunem nieszczęścia. Aż tu pewnego dnia, wspiąwszy się na skałę, ujrzeliśmy przed sobą widok, od którego serce rośnie. Było to Morze Soli, ciągnący się po horyzont lazur. Woda zmieniała barwę. Raz była błękitna, raz zielona, po czym stawała się szaroniebieska. Kiedy nadciągały chmury, szarość przechodziła w czerń. Rzymianie

nazywali to morze Asfaltitis, gdyż wyrzucało na powierzchnię plamy smołowatego asfaltu, nam jednak skojarzyło się z rajem i widząc ten bezmiar błękitu, musieliśmy powstrzymać łzy.

Wydawało się bliskie, niemal w zasięgu ręki, lecz ojciec uświadomił mi, że dotrzemy do niego dopiero za kilka dni. Przestrzegł, iż bliskość ta to jedynie złudzenie mylące nawet największych mędrców, którzy znaleźli tam śmierć. Byli pewni, że morze jest tuż-tuż i ruszyli ku niemu w bezlitosnych promieniach słońca, trafiając wprost w objęcia Malach ha-Mawet, anioła śmierci, który ma ponoć tysiąc oczu i nigdy nie traci z pola widzenia żadnej ze swych ofiar.

Mijały kolejne dni w palącym słońcu, a my sunęliśmy pradawnym szlakiem w stronę morza. Minęliśmy ruiny osady, w której ujrzelśmy dwa księżycy – ten drugi jako odbicie pierwszego na powierzchni Morza Soli. Osadę zniszczyli Rzymianie. Miała być rajem wzniesionym przez Jachad, grupę wyznawców z sekty esseńczyków, Żydów przestrzegających surowych zasad i ścisłych pór modłów. Mawiano, że nasz naród został podzielony na cztery wyznające własną filozofię części, z których każda podzieliła się na cztery następne. Najbardziej prawi esseńczycy odcięli się od wszystkich pozostałych.

Zwolennicy Jachadu nazwali swą oazę Sechacha, strzechą, gdyż pokrywali dachy domów szerokimi liśćmi palm daktylowych. Przybyli na pustynię jako ludzie prawdziwie pobożni, porzuciwszy wygodne życie w Jerozolimie. Przewidzieli upadek Świątyni i zaszyli się w tym miejscu, by wyczekiwać Końca Czasów. Pragnęli spędzić ostatnie godziny na modłach. Skrybowie zapisywali zwoje pergaminu, by mieć pewność, że ich prawdy nie zaginą. Esseńczycy tak jak my zakazywali czczenia bożków, lecz posuwali się w tym znacznie dalej, gdyż nie wolno im było nawet dotykać grawerowanych monet. Uważali, że żaden człowiek nie powinien być królem, jednocześnie zaś wyrzekli się walki z ciemnościami. Twierdzili, że skoro nasz los pozostaje w rękach Adonaj, używanie włóczni i strzał nie ma sensu. Według nich dzieliliśmy się na dzieci ciemności i dzieci światła, a istotą walki na ziemi było pozostanie w kręgu światłości i wznoszenie modłów ku chwale wszytkowiedzącego *Elohim*.

Ujrzelśmy zrujnowany akwedukt i tamę przy wodospadzie. Napiliśmy się wody do woli, choć roiło się w niej od pozostałości po zniszczonej przez Rzymian osadzie: lamp oliwnych, kawałków szklanych naczyń, glinianych kałamarzy i stert *ostraca*, skorup ceramicznych do pisania. Wokół wciąż rosły zapewniające pstrokaty cień wysokie dęby i laury, lecz wszystko, co wykonały ludzkie ręce, obrócono w perzynę. Połamane legary

wyciosane z palm i pomarszczone liście, którymi kryto dachy, tworzyły szerniałe hałdy śmieci. Weszłam do dawnej biblioteki. Posadzkę zaścielały przewrócone półki i zawalone kolumny. Strzępy podartych zwojów z kozłej skóry i papirusu gniły w piachu. Ruszyłam brukowaną uliczką w stronę rytualnej łaźni z szerokimi gipsowymi schodami. Teraz, obok kałuż cuchnącej wody, gnieździły się tu węże.

W końcu natrafiłam na sterty kości, szczątki wiernych. Choć byłam niegodna, dokonałam *keri'a*, drąc swe łachmany na znak szacunku i żałoby, i wyszeptałam modlitwę za zmarłych: „Niech będzie wywyższone i uświęcone Jego wielkie Imię. Niechaj będzie błogosławione na wieki i na zawsze”.

Wróciłam do ogniska, które rozpałił ojciec. Zostaliśmy na noc w oazie, gdyż wiedzieliśmy, że Rzymianie unikają tego miejsca i duchów ludzi, których wymordowali, ale ściągnęły do nas szakale, wyczuwając nasz lęk. Musiały tu zaglądać już wcześniej, bo szczątki zmarłych były tak porozrzucane, że nie mogliśmy ich zebrać do kamiennego ossuarium, tak jak było przykazane. Spojrzeliśmy na siebie i pewnie ujrzeliśmy się w innym świetle, bowiem nad nami świeciły gwiazdy, a wokół błyszczwały kości. Ojciec przestał słać na mnie gromy i zaproponował, żeby pierwsza udała się na spoczynek, podczas gdy on będzie czuwał, by nie dopadł nas jakiś zwierz. Pierwszy raz okazał mi taką czułość.

Nazajutrz ruszyliśmy dalej. Być może prowadził nas anioł, bo odnaleźliśmy drogę na południe, do źródeł. To z nich esseńczycy z Sechachy wozili wodę do swej osady. Podążyliśmy ścieżką porośniętą jeżynami. Wygłodzona koza skubała ich ostre, brązowe liście. Gdy zapuściliśmy się głębiej, wśród skał pojawiła się zieleń. Poczuliśmy wiatr niosący ze sobą delikatny, niemal niewyczuwalny zapach wody. Nagle posłyszałam bzyczenie pszczół. Tak długo nie słyszałam ich słodkiej pieśni, że prawie zemdlałam. Dotarliśmy do oazy, w której z ziemi biło źródło i rosły wielkie palmy daktylowe. Powietrze było jak chłodny balsam, tak rześkie, że zdawało się, jakbyśmy wkroczyli w obłok wonności pachnących mirrą i kolendrą. Napotkaliśmy tam członków sekty Jachad, którzy przeżyli i osiedlili się w oazie, by wyczekiwać Końca Czasów.

Ich ogrody i winnice lśniły pod rozpalonym do białości niebem. Piękno świata buchało ze wszystkich roślin. Na okraszonym słońcem złotożółtym polu rosły pszenica i len. Słyszeliśmy dźwięk dzwonków, rozwieszonych na drzewach na czarnych postronkach, kołyszących się przy podmuchach wiatru. Kilkanaście morw i oliwek otaczało kamienną studnię, a w pobliżu wyrastał gaj zielonych pistacji. W cienistej zagrodzie było czterdzieści kóz, nieopodal natomiast drzemało na słońcu czterdzieści owiec.

Wielu spośród tych ludzi pochodziło z rodów kapłańskich. Niektórzy żyli w celibacie pośród wapiennych skał. Wejścia do ich jaskiń zdobiły mezuzy, puzderka ze zwojami, na których wypisano modlitwy. Mężczyźni ci byli zbyt czyści, by zajmować się doczesnymi sprawami, lecz byli tam i tacy, którzy przybyli z okrywającymi głowy, przyodzianymi w białe płócienne stroje żonami i córkami. Mieszkali z rodzinami w dużych namiotach. Niektórzy uciekli z Sechachy, a inni przywędrowali całkiem niedawno, po zburzeniu Świątyni, z Jerozolimy.

Zerkali na nas, gdy szliśmy przez oazę. Były tam kamienne rytualne łaźnie i biblioteki, w których uczeni w Piśmie sporządzali dokumenty, pracując trójkami, by móc na okrągło, dzień i noc, zapisywać zwoje ze zwierzęcej skóry bądź papirusu. Może jawiliśmy się im jak demony z piasku, a nie ludzie z krwi i kości? Widzieli nasze przeżarte brudem twarze. Moje włosy przypominały strumień krwi zalewający plecy aż do pasa. Kilka kobiet przetarło oczy ze zdumienia na mój widok, lecz żadna nie szczydziła. Członkowie sekty Jachad wyznawali ideę braterskiej miłości w naszych, jak wierzyli, ostatnich dniach na ziemi. Co było własnością jednego z nich, należało też do jego sąsiada.

Kobiety przyszły nas powitać. Nici, które przędły, były tak cienkie, że ich szaty powiewały na wietrze. Marzyłam, by owinąć się płachtami płótna, żeby nikt mnie nie widział. Może wtedy zdołałabym znieść moc światłości Boga, gdyby Ten nie wybaczył mi moich uczynków.

Mimo że ci święci ludzie stracili z rąk Rzymian wielu bliskich – jak nam wyznali, Sechacha padła jeszcze przed zburzeniem Świątyni – to esseńczycy nie zamierzali zbroić się w sztylety, gdyż uznawali to za obelgę dla chwały Pana. Mój ojciec postanowił, że nie powie im, iż jest jednym z sykariuszy, bo ludzie ci mieli ich za bojowników mroku, węże rzucające wyzwanie Adonaj. Wyjaśniliśmy im jedynie, że jesteśmy wygnańcami z Jerozolimy, biednym ojcem i córką, którzy przemienili się w wędrowców. Kiedy napomknęliśmy o matce i młodszym rodzeństwie, będących z nami w drodze, którzy zapadli na ciężką gorączkę, kobiety okazały współczucie i postanowiły nam pomóc. Jedna z nich, Tamar bat Aaron, zaprowadziła mojego ojca do światłego człowieka, nauczającego prawości kapłana, którego wierni nazywali Abbą, ojcem, i ochoczo podążali za jego wskazówkami.

Abba był tak sędziwy, że czterech silnych mężczyzn nosiło go na krześle, i tak czysty – szepnęła mi Tamar – że musiałyśmy usiąść sześćdziesiąt łokci od niego; kobiety zawsze okrywały przy nim głowy, a oczy miały spuszczone, choć lśniące, bo nawet jeśli nie były dopuszczane do ścisłych praktyk sekty, to promieniały, słysząc przemowy tego wielkiego człowieka. Inny tak wysoko postawiony kapłan odprawiłby

nas z kwitkiem, zbyt zaprzątnięty modlitwami, by wysłuchać naszych prośb. A może i by nas wysłuchał w zamian za opłatę w srebrnikach. Abba wierzył jednak, że wszyscy ludzie są braćmi. Był wyznawcą pewnego rabbiego z Galilei, który nauczał, że pokój to jedyna nadzieja ludzkości. Bez tego byliśmy niczym więcej niż szakale na pustyni.

Tamar szepnęła mi również, że Abba miał dziesięć żon i wszystkie przeżył. Teraz spędzał czas, głosząc chwałę Panu i potrzebę pokoju. Mężczyźni modlili się tam trzy razy dziennie – rankiem, stojąc twarzą w stronę Jerozolimy, o zachodzie słońca i po zmroku. To, co święte, nosili w sobie, gdyż każdy człowiek jest świątynią, a każdą wypowiedzianą modlitwę słyszy nasz Ojciec w niebie.

Kiedy opowiedzieliśmy mu o naszym nieszczęściu, Abba przekazał ojcu amulet przeciwko gorączce: spisana modlitwę umieszczoną w metalowej tubce, którą należało przywiązać do ręki chorego. Podarował mu też kawałek pobłogosławionego sznurka, który przywiązany do szat dzieci dawał im zdrowie, oraz cenną główkę odstraszającego demony ciemnofioletowego czosnku. Mieliśmy wymówić sto razy imię Adonaj nad kubkiem z wodą i trzykrotnie ugotowanym we wrzątku czosnkiem i podać wywar chorym modlącym się o miłosierdzie do Pana.

Dali nam suszone daktyle i jęczmienne podpłomyki i pozwolili zostać na noc. Spadł lekki deszcz, po którym pojawiły się kałuże. Mężczyźni zaprosili ojca do domu modłów. Uwiązałam kozę do tamaryszku i poszłam z niezamężnymi dziewczętami, które przyglądały mi się z zadziwieniem. Pewnie wydawałam im się dziką bestią. Kiedy odkryłam głowę i pokazałam włosy, wpadły w popłoch, widząc, jak są splątane, i jęły je rozczesywać drewnianymi grzebieniami. Zaprowadziły mnie do rytualnej łaźni. Gdy weszłam do wody, od razu zrobiła się czarna. Sądziłam, że to zły znak, ale one tylko wybuchnęły śmiechem i stwierdziły, że błogosławiona woda obmyła mnie ze wszystkich grzechów. Esseńczycy wierzyli, że zanurzenie się w niej przybliży ich do Boga, i brali kąpiel kilka razy dziennie. Do sadzawki prowadziły schody z dwóch stron. Jedne służyły wchodzącym, a drugie obmytym, którzy mogli z niej wyjść, nie stykając się z nieczystymi. Kiedy się stamtąd wynurzyłam, pierwszy raz, odkąd wyruszyłam z Jerozolimy, poczułam się oczyszczona. Moje włosy stały się tak rude, że aż zleciały się do nich pszczoły. Dziewczęta żartowały, że pewnie wzięły je za ogród różany. Zaczęłam uciekać przed rojem, krzycząc, że jestem kobietą, nie kwiatem.

Tamar dała mi tunikę. Była to prosta biała szata z paskiem z koziej wełny. Stwierdziłam, że to zbyt hojny dar, lecz Tamar nalegała, bym go przyjęła:

– Rzeczy są niczym, gdyż w Przyszłym Świecie stracą wszelką wartość. Nie

zabierzesz żadnej z nich do domu Pana.

Przeszłość stała się dla mnie niczym odległy sen. Byliśmy daleko od rzezi w Jerozolimie, a od jaskiń, w których znaleźliśmy schronienie, dzieliło nas kilka dni drogi. Jednak moje uczynki i doświadczenia były czymś więcej niż tylko snem. Kiedy zmrużyłam oczy, widziałam poza gajami postrzępione wapienne skały i ścieżkę, którą oznaczałam strzępkami błękitu. Czułam, jak pulsuje mi krew, gdy z nagłym przerażeniem wróciło do mnie, że zostawiłam tam Jachima ben Szymona. Bałam się, że jeśli straci mnie z oczu, zniknie to, co nas łączy. Może dojdzie do wniosku, że ja też byłam tylko snem, z którego właśnie się przebudził.

Zastanawiałam się, co pomyśleliby nasi gospodarze, gdyby poznali prawdę. Ojciec wciąż nie zdradzał naszych tajemnic. Uważał tych pobożnych ludzi za głupców, przekonany, że ci, którzy tylko wyczekują Końca Czasów, sami go na siebie sprowadzą. To oczywiste, że tak myślał, gdyż każdy, kto toczy wojnę, wmawia sobie, że potrafi odmienić to, co zostało napisane, i że to on, nie Bóg, wykuwa swój los i może go do woli kształtować.

Rankiem, kiedy opuszczaliśmy osadę, Tamar zaprosiła mnie do swego domu i podarowała mi słodkie suszone daktyle oraz duży kawałek sera, słonego białego *haris halab*, który przez kilka dni miał zachować świeżość i zaspokoić nasz głód. Była matką czterech małych synów nieprzywykłych do obcych, którzy wpatrywali się we mnie, rozdziawiając buzie, póki ich nie przegoniła. Gdy zostałyśmy same, przestrzegła mnie, byśmy zachowali ostrożność podczas wędrówki. Nieco wcześniej doszło do ataku na inną oazę, Ejn Gedi, gdzie łączą się cztery źródła, tworząc wielkie wodospady. Jeden z nich wpada do sadzawki, w której ponoć król Dawid ukrył się przed prześladowcami. Rosła tam *Moringa peregrina*, roślina o magicznych właściwościach, dzięki której Dawid napisał tak cudowne pieśni. Nieopodal wody znajdowały się też obsypane kwieciami akacje i jujuby, których pomarańczowe owoce przyciągały ptaki z Grecji i Egiptu, oraz balsamowce, których lepka żywica służyła za kadzidło cenniejsze od złota. W czasach głodu Ejn Gedi było krainą obfitości, z tego też powodu nęciło wszystkich niemających co jeść. Sykariusze przyszli nocą. Wymordowali bądź pojmali siedmiuset mieszkańców i splądrowali osadę. Esseńczycy rozpoznali ich po zakrzywionych sztyletach, które same odnajdują ofiarę i wypruwają z niej duszę. Złodzieje zabrali wszystko: zboże, wino i wodę, a także życie niewinnych.

Serce mi zamarło na wzmiankę o tym, że dokonali tego sykariusze.

– Ci mordercy nie dopadną was, jeśli będziecie ostrożni – pouczyła mnie Tamar. – Gdy na pustkowiu ktoś zacznie się do was zbliżać, dobrze się ukryjcie. Może teraz

zrozumiesz, skąd w nas ta pewność, że koniec świata jest już bliski. Tyle w nim zdrady, że aniołowie na pewno przybędą i poprowadzą nas do Przyszłego Świata.

Przytaknęłam, choć ojciec twierdził, że to sztylety, a nie aniołowie są właściwą odpowiedzią na zdradę. Nie wygadałam się, że mój brat mógł być jednym z napastników w Ejn Gedi. Zaczęliśmy szykować się do drogi, kiedy jeden z mężczyzn przyniósł nam ostatnią wiadomość od Abby. Ojciec skrył już oczy pod kapturem i zamknął swe serce, lecz jej wysłuchał, gdyż był gościem w osadzie i przynajmniej musiał udawać, że wie, co to dobre maniery. Gdy usłyszałam słowa, jakie padły, natychmiast spuściłam wzrok. Ojciec skinął posłańcowi na pożegnanie, lecz nie podziękował. Taki właśnie był – milczący i okrutny. Takiego go znałam. Machnął na mnie ręką i, jak pies, podążyłam za nim w pewnej odległości, ze spojrzeniem wbitym w ziemię.

Odprowadziło nas kilka kobiet. Machały mi na pożegnanie, życząc szczęścia i wołając, że ładnie wyglądam w nowych szatach. Wiedziały o mnie niewiele, tyle, ile im wyjawiałam, i mogły podejrzewać, że jestem nieuczciwa. Ja i mój ojciec też byliśmy sobie obcy. Wiedzieliśmy o sobie równie mało co esseńcyzy o nas. Przed nami było wiele dni drogi, lecz choć ojciec przestał mnie upokarzać i łajać, nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Nie wiedziałam nic o jego życiu w czasach, nim chwycił za sztylet, chociaż słyszałam plotki, że miał brata, którego sprzedano jako niewolnika. Kiedy widzisz swego brata spętanego powrozem i wleczonego po kamiennym bruku, to czy potrafisz później dostrzec cokolwiek innego? Jeśli dziesięciu mężczyzn trafia do klatki z lwem i tylko jeden wychodzi z niej żywy, to kim staje się ów człowiek? Jeśli rudowłosa kobieta wciąż milczy, to czy będzie jeszcze umiała szczerze przemówić?

Wędrując, oglądaliśmy się za siebie, by znowu zobaczyć zmieniającą barwę toń Morza Soli. Widzieliśmy żagle łodzi zmierzających do krainy Moab rządzonej przez wojowniczych Nabatejczyków. Ponoć w tej żyznej ziemi pochowano Mojżesza, lecz nikt dotąd nie odkrył tego świętego miejsca, choć wielu próbowało. Zresztą może i dobrze, bowiem Mojżesz dzierżył klucz do tajemnic niepojętych dla ludzi, będących zarazem darem i jarzmem zbyt ciężkim, by zdołali je unieść.

Pewnego dnia, gdy wspięliśmy się na najwyższą skałę, morze zniknęło nam z oczu, jakby połknęła je ziemia. Nad miejscem, w którym przedtem było, unosił się rozedrgany żar, gdyż jego wody były jeszcze gorętsze niż powietrze. Wkrótce jednak nawet i on zanikł. Szliśmy dalej. Nie myślałam o tym, że jestem młodą kobietą, samotną i rozgniewaną. Odciągałam myśli od grasujących wokół dzikich zwierząt i rabusiów. Przede wszystkim jednak próbowałam nie wyobrażać sobie, co się działo w obozowisku podczas naszej nieobecności, nie dopuszczać do siebie myśli, że gorączka

może parzyć jak ogień, dopóki nie pozostanie nic prócz popiołu, i rozprzestrzenia się jak płomień, przeskakując z jednej ofiary na drugą.

Mieliśmy błogosławieństwo Abby i lekarstwo. Teraz musieliśmy tylko odnaleźć drogę. Pośpieszałam ojca, zbierając skrawki błękitu, za którymi podążaliśmy, wdzięczna bratu za jego dar. Materiał był poszarpany. Niektóre strzępki porwały hieny lub wiatr i pozostały z nich tylko nici wyrobione przez jedwabniki, które zamieniły się w motyle. Pewnego dnia spadła potężna ulewa. Ojciec chciał ją przeczekać, kryjąc się w wapiennej grocie, lecz nastawałam, byśmy się nie zatrzymywali, choć nasze skóry lśniły od wody, a szaty przemokły. Ojciec nie miał wyjścia. Zgubiłby się beze mnie, bo tylko ja znałam drogę, którą musieliśmy podążać. Zaczął utyskiwać i się skarżyć, ale ulewa wkrótce ustała i zmieniła się w nawracający deszcz, więc szliśmy na przemian w strugach wody i w chłodnej, świeżej bryzie.

Obozowisko zastaliśmy puste. Było tam palenisko i kosz, do którego zbierałam miętę i warzywa. Były miski, z których jadaliliśmy, i siekiera, którą torowaliśmy sobie drogę przez cierniste krzaki. Wszystko przykrywała warstwa piasku. Pomyślałam o dwóch żonach, których ciała pokazał mi ben Szymon, o tym, jak nad nimi szlochał i jak mnie wtedy zauroczył. Dzieliliśmy się kradzionym czasem, który w ciemnościach zdawał się nieskończony. Poczułam w gardle ostry ból. Nie wiedziałam, że to początek mojego cierpienia, póki ojciec mnie nie uciszył. Zaczęłam zawodzić jak lampart, który wydaje z siebie nagłe ryk, nie zważając na inne stworzenia.

Znaleźliśmy ich w wilgotnej jaskini, gdzie najwidoczniej szukali ulgi i schronienia w ostatniej godzinie. Byli razem, tak jak na to zasłużyli. Wszyscy mieli czerwoną wysypkę na skórze i byli tak wychudzeni, że z ciał sterczały im kości. Ben Szymon ułożył żonę i dzieci na kamiennej półce, nim sam legł obok. Żyły na jego ramionach wciąż były niebieskie, lecz zaczęły zanikać, a ciało wystygło. Padłam na kolana i przywarłam do niego, szukając choć odrobiny ciepła. Przytknęłam usta do jego warg, ale nie oddychał, nie było w nim życia. Poczułam smak Przyszłego Świata.

Nawet nie drgnęłam, gdy ojciec krzyknął i podniósł na mnie rękę. To on musiał ich pochować. Powinnością kobiety było przygotowanie zwłok dla anioła śmierci i lamentowanie. Później winna stać z boku, póki nie opuści ją widmo zgonu, jednak ja odmówiłam. Zsiniwały mi plecy i ramiona od razów zadawanych przez ojca, ale tamtego dnia nie zgodziłam się być jego psem. Grzmiał, że jestem tchórzem, który boi się zadbać o zmarłych, lecz był w błędzie. Nie bałam się, że stanę się nieczysta, i nie lękałam się zwłok, a jedynie tego, że jeśli ben Szymon zbyt długo pozostanie w moich ramionach, to już go z nich nie wypuszczę.

Ojciec zaniósł ciała na najwyższą skałę i ułożył na nich kamienie, by nie dopadły ich

jastrzębie, sępy i szakale. Odmówił modlitwy, nakrywszy ramiona tałasem ben Szymona, by oddać mu cześć. Przez siedem dni po odbyciu tego obrządku musiał przesiadywać w słońcu, by się oczyścić, gdyż tak blisko obcował ze zmarłym, że był uznawany za *tame*, nieczystego. Śpiewał żałobne pieśni, które winna odśpiewać kobieta, bo mnie nie przeszły przez gardło. Nie pogodziłam się ze śmiercią ben Szymona i nie chciałam być świadkiem tego, jak zmierza do Przyszłego Świata. Gdy zamknęłam oczy, wciąż widziałam jego siłę i wrodzoną grację, ostre rysy twarzy i głębokie aprobujące wejrzenie, którym przeszywał mnie na wylot. Nie chciałam się z nim rozstać, lecz nawet kiedy zatykałam uszy, docierało do mnie zawodzenie i modlitwy ojca. Były niczym szum wiatru i jak wiatr mnie osaczały, aż w końcu słyszałam tylko pojedynczą pieśń.

Zastanawiałam się, czy ben Szymon był w swej chorobie jak lew, który tak zajadle walczył z dziewięcioma przeciwnikami, nim pochylił głowę i skonał przed dziesiątym. Zastanawiałam się, czy wytrzymał do dnia, w którym spadł deszcz i byliśmy już tak blisko, ledwie parę chwil od niego, i czy ten deszcz to były jego łzy, bo ben Szymon nie wstydził się płakać.

Wróciły do mnie słowa, jakie posłyszałam, nim opuściliśmy esseńczyków, wypowiedziane przez posłańca Abby do mojego ojca: „Nawet ludzi prawych ukarać może tylko Adonaj”. Może ów święty człowiek od początku wiedział, kim jesteśmy. Teraz spadła na nas kara zabójców. Skoro każdy z sykariuszy nosił na swych barkach wszystkich, których wymordował, wszędzie tam, dokąd się udawał, to czy ci nie zapragnęli w końcu się zemścić? Może ich duchy podążały za ben Szymonem i gdy osłabł w nieszczęściu z oczami mokrymi od łez, wpatrując się w swoje martwe dzieci, przeniknęły do jego ciała i go pokonały?

Zakopałam lekarstwo Abby, gdyż stało się bezużyteczne, jak, zdaniem niektórych, wszystkie rzeczy doczesne. Kopiając twardą białą ziemię, zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie ja zostałam ukarana, bo powinnam cierpieć tak, jak cierpiała moja przyjaciółka, kiedy ukradłam jej tego, który należał do niej.

Przez te siedem dni, gdy ojciec oddalił się, by się oczyścić po obcowaniu ze zmarłym, nie jadłam ani nie piłam. Przywiązałam kozę do małego krzaka i nie odpowiadałam, kiedy mnie wołała. Codziennie o świcie wyrażałam swój smutek nacięciem na nodze, stopniowo coraz głębszym. Teraz kaleczyłam się ostrym sztyletem ben Szymona. Każda rana była jak pocałunek, bolesne wspomnienie miłości. Bił z niej zapach krwi i rozchodził się wokół. Pewnej nocy zjawił się lampart, przysiadł po drugiej stronie ogniska i wlepił we mnie wzrok. Nie poderwałam się, żeby go odpędzić. „Śmiało, pożryj

mnie. Mam to gdzieś”. Spojrzałam mu w oczy i dostrzegłam w nich żółtą iskierkę okrucieństwa. Widocznie jednak uznał, że żadna ze mnie zdobycz, bo w końcu czmychnął.

Kiedy po siedmiu dniach ojciec wrócił oczyszczony, doznał szoku na mój widok. Ledwo mogłam się podnieść, byłam szara jak proch, którym się kiedyś stanę. Nic mi nie pozostało oprócz czekania, aż sama przejdę na tamten świat. Bo czym było dla mnie życie? Więzienną celą, postronkiem. Ojciec wciąż mi powtarzał, że jestem nikim – i tym właśnie się stałam. Później przyznał, że gdy mnie wtedy ujrzał, pomyślał o mojej matce, która odeszła z tego świata w dniu mych narodzin. Kiedy zobaczył, jak zmarniałam, zaczął się zastanawiać, co by zrobiła, gdyby to ona była tam ze swą jedyną córką. Chciałaby mnie ratować – dlatego ostatecznie przekonał mnie, żebym wypila łyk wody.

Osiem dni po tym, jak Jachim ben Szymon został pochowany pod stosem kamieni, przerwałam głodówkę i napiłam się z jego skórzanego bukłaka. Zrobiłam to nie dla siebie, lecz dla mojego ukochanego, który jeszcze ode mnie nie odszedł. Choć porwał go anioł śmierci, część jego duszy pozostała ze mną.

Wówczas już wiedziałam, że nie będę więcej krwawić.



Niedługo potem ojciec miał proroczy sen. Kiedy się przebudził, po jego twarzy spływały łzy, a w serce na powrót wstąpiła wiara. Śniło mu się, że mój brat wyczekuje nas w jakiejś wieży. Wizja ta była tak realna, że ojciec wręcz słyszał, jak Amram mówi do niego: „Rozglądaj się, a przyjdę do ciebie”. Zarzekał się, że gdy tylko znikną chmury, ujrzy swego syna.

Głęboko w to wierząc, wziął laskę, by wspiać się na najwyższą grań, gdzie – jak sądził – mógł zaznać na jawie tego, czego doświadczył we śnie. Nie oponowałam, choć raczej w to wątpiłam. Mojemu ojcu wróciła wiara, lecz mnie – nie. Wiedziałam, kim jesteśmy: kruchy starzec, który nie nadaje się na skrytobójcę, i jego zrozpaczona córka, która nie jest w stanie płakać ani krwawić. Podejrzewałam, że ktoś rzucił na mnie klątwę, może Sija przed śmiercią – i być może tylko na to zasługiwałam.

Deszcz rozpadał się na dobre. Ulewa sprawiała, że powietrze stało się niebieskie i wilgotne. Przesiedzieliśmy kilka dni w jaskini, chroniąc się przed nagłymi powodziąmi. Naszym jedynym towarzyszem była koza. Ta cuchnąca grota okazała się ostatnim miejscem pobytu ben Szymona na ziemi. Wdychał wilgotną woń wapiennych skał, aż wreszcie wyzionął ducha w tej zasnutej pajęczynami norze. Sądziłam, że tutaj

będę bliżej niego, lecz to duch Sii unosił się w powietrzu. Czułam, jak mnie szczypie, by zwrócić na siebie moją uwagę. Prześladowała mnie też w snach. „Myślałaś, że inaczej się to skończy? Myślałaś, że dostaniesz to, o czym marzysz?”. Czasami, gdy budziłam się, łapiąc oddech, wydawało mi się, że słyszę jej śmiech, jakbyśmy stoczyły walkę, którą wygrała i teraz napawa się zwycięstwem.

Nadeszła zima. Chciałam stamtąd uciec, ale lejący jak z cebra deszcz sprawił, że stało się to niemożliwe. Nagle pustynia przemieniła się w morze. Tam, gdzie przedtem tylko hulał wiatr, słyszeliśmy wyłącznie plusk potoku w wąwozie. Tego, za czym tęskniliśmy, było obecnie pod dostatkiem. Wszędzie wokół tworzyły się sadzawki. U wylotu jarów woda była tak rwąca, że bez przeszkód mogła porwać ze sobą kozicę lub jelenia. Pojawiły się roje owadów, które wylęgły się nad bajorami deszczówki. Koziorożce wreszcie mogły zaspokoić pragnienie. Moja kózka szarpała się na uwięzi. Zwykle nie odstępowała mnie na krok, lecz teraz zapach deszczu wprawiał ją w istny amok. Wierzgała, ganiała w kółko i dawała dużo mleka, które smakowało świeżą trawą. Szlochałam na myśl, że życie toczy się dalej, nawet kiedy tyle utraciliśmy – że wciąż pada i między gałęziami kielkują gałązki mirtu.

Trafiłam na żleb, w którym zebrała się czysta woda. Przypomniałam sobie, że nie myłam się od czasu, gdy wzięłam kąpiel w rytualnej łaźni w osadzie esseńczyków. Rozebrałam się i stwierdziłam, że jestem wychudzona i posiniaczona. Ledwo poznałam własne ciało. Tylko brzuch wydawał się wydęty, jakbym opiała się wody. Dostrzegłam, jak głęboko pokaleczyłam sobie nogę. Te blizny nigdy w pełni nie znikną. Powstrzymałam się przed pocięciem się na strzępy, bo kiedy przykładałam sztylet do skóry, czułam, jakby ben Szymon znów mnie brał, a pragnęłam tego ponad wszystko.

Byłam w kąpieli, gdy zapadł zmierzch. Wkrótce na niebie miały rozbłysnąć gwiazdy. Kiedy usłyszałam szloch, byłam pewna, że to czuła, zawsze gotowa do płaczu, zrozpaczona Sija, i zaczęłam zaklinać ducha żony mojego kochanka, by zostawił mnie w spokoju.

Nie miałam wątpliwości, że łzy, które wtedy wypłakałam, były jej, nie moje.

Pod koniec miesiąca *szewat* rozkwitły kolorowe polne kwiaty, a wierzby obsypały girlandy delikatnych zielonych listków. Jakoś sobie z ojcem radziliśmy. Nie skarżyliśmy się na swój los i nie roztrząsaliśmy przeszłości, mimo to co wieczór wspinałam się na grań, gdzie spoczywały szczątki zmarłych. Słońce gasło, kończył się dzień, a ja klękałam. Modliłam się o coś, co nigdy nie mogło się spełnić – o inne życie, to, które już miałam i straciłam.

Siedziałam tam pewnego dnia, gdy niebo zaczęło przybierać swą przedwieczorną, różowoszarą barwę, aż nagle wypatrzyłam dwóch mężczyzn przemierzających pustynię. Byli młodymi wojownikami. Zawołałam ojca. Wdrapał się na górę, podpierając laską, którą wystrugał z gałęzi tamaryszku. Stanęliśmy na grani i obserwowaliśmy intruzów wzniecających każdym krokiem tumany kurzu jawiące się nam niczym obłoki.

– Ziścił się mój sen – rzucił radośnie ojciec. – Te chmury wskażą nam drogę. Ci ludzie doprowadzą nas do wieży, w której skrył się Amram.

Długo przebywaliśmy samotnie na tym pustkowiu, a naszymi jedynymi towarzyszami były kości pogrzebane pod kamieniami. Jednak przemawiały do mnie. Mówiły, że moje modlitwy nigdy nie zostaną wysłuchane. Nigdy nie uzyskam przebaczenia. Będę musiała zapłacić za swe uczynki. Chciałam uciec przed ich głosem, który brzmiał jak głos Sii. Może gdybym odeszła, wreszcie by zamilkł. Pragnęłam wierzyć w sen ojca. Byłam mniej ufna od niego, lecz ja także czułam, że mój brat jest blisko.

– Jeszcze w to nie wierzę – odparłam i ojciec pierwszy raz nie próbował mnie przekonać. Sny przychodzą do ludzi z różnych powodów: zarówno jako wyrocznie, jak i przestrogi.

Przyglądałam się dwóm mężczyznom z ciekawością, owinięta szalem. Ojciec przygotował się na wypadek, gdyby okazali się wrogami. Był gotów walczyć, jeśli zwróciliby się przeciwko nam, a jego sen okazałby się fałszywym proroctwem. Ujął w dłoń sztylet i wyszeptał modlitwę, prosząc Boga o wsparcie.

Mężczyźni zatrzymali się w żlebie poniżej miejsca, w którym staliśmy. Pozdrowili mojego ojca i zapewnili, że są zelotami. On również ich pozdrowił, choć wciąż trzymał w zanadrzu sztylet. Był osłabiony i już niemłody, lecz nadal potrafił cisnąć w kogoś nożem z daleka i zabić go od razu. Widziałam na własne oczy, jak rzymski żołnierz odciął mu drogę w zaułku nieopodal naszego domu. Później ojciec odszedł stamtąd, nie oglądając się za siebie, jakby nic się nie stało.

Ci dwaj oświadczyli, że przysyła ich Chol. Znali tego wojownika, który odradzał się niczym feniks z popiołów tam, gdzie inni dawno by padli. Usłyszawszy pieśczośliwą formę imienia mojego brata, którą znali jedynie jego najbliżsi przyjaciele, ojciec odłożył sztylet. Łzy napłynęły mu do oczu, a na jego pomarszczonej, mocno postarzałej od czasu, gdy opuściliśmy Jerozolimę, twarzy zagościł uśmiech.

– Prowadźcie mnie do niego – zażądał.

Uderzyło mnie, że nie powiedział „nas”. Znów, jak zawsze, byłam nikim. Jedynie kiedy potrzebował mnie jako przewodnika, karmicielki i oparcia na pustkowiu,

przypomniał sobie, że też jestem jego dzieckiem.

Ci, którzy po nas przyszli, nie mogli być starsi od mojego brata, lecz dzięki temu, co widzieli i przeżyli, stali się niezłomni. Jednego z nich rozpoznałam, Jonatana z Jerozolimy. Kiedyś pilnie studiował Torę. Wszyscy sądzili, że zostanie rabbim lub uczonym w Piśmie. Nie spodziewali się, że przystanie do mego brata i chwyci za sztylet. Drugi miał na imię Uri, czyli światło. Był tęgim, dobrodusznym młodzieńcem, którego dowcip okraszał wszystkie rozmowy. Usunęłam się w cień, lecz przyjaciele mojego brata skwapliwie mnie odnaleźli i zaprosili do swego grona. Amram opowiadał im o mnie – o siostrze, którą nazywał Jaja. Mówił, że dbałam o niego jak matka, gotowałam mu, szyłam tuniki i płaszcze i wysłuchiwałam najbardziej sekretnych zwierzeń. Jonatan wyciągnął błękitny strzępek jedwabiu, który wiatr zagnał pod stopy mojego brata. Tak nas znaleźli.

Mieliśmy ruszyć szlakiem wiodącym na południowy kraniec Morza Soli. Wiedziałam, że nie mogę oglądać się za siebie. Miałam opuścić ben Szymona, jedynego mężczyznę, który do głębi mnie poznał. W rocznicę śmierci jego kości nie zostaną umieszczone w kamiennym ossuarium, jak było w zwyczaju. Gdybym tam jednak została, pustynia szybko by mnie pochłonęła. Nie mogłam się wahać i pod wpływem impulsu lec obok zwłok ukochanego.

Mieliśmy wędrować przez najdziksze pustkowia, krainę soli i smutku, jeszcze trudniejszą do przemierzenia niż dolina, w której natrafiliśmy na esseńczyków. Ponoć kręciły się tam rzymskie oddziały, których musieliśmy skrzętnie unikać, w razie konieczności nadrabiając drogi. Pomyślałam o mojej biednej, karmiącej mnie swym mlekiem kozie. Mówią, że na pustyni grasuje kozi demon, Sa'ir, tymczasem ja trafiłam na kozę, która okazała się aniołem. Uratowała nam życie, gdy nie mieliśmy nic. Żyła na wolności, której ją pozbawiłam, ale mi wybaczyła. Była moją jedyną przyjaciółką w samotności.

Zwróciłam jej wolność, nim wyruszyliśmy w drogę. Obwiązałam szyję czerwonym sznurem i zaprowadziłam na najwyższą grań. „Biegnij” – powiedziałam, uwalniając ją z postronka, lecz tak się do mnie przywiązała, że nie czmychnęła. Stała i zaczęła się we mnie wpatrywać. Dałam jej klapsa, zachęcając do ucieczki. Pomyślałam o ciemnych oczach ben Szymona, jego oliwkowej skórze i uśmiechu, jakim reagował na widok potulnie podążającej za mną kozy. „Trzymaj się ode mnie z daleka!” – krzyknęłam, odpędzając ją.

Wiedziałam, że choć zwracam się do zwierzęcia, to przemawiam do ducha Sii.

Tam, skąd ruszyliśmy, skały były tak wysokie, że mężczyźni musieli obwiązać mnie i ojca liną, by pomóc nam się wspiąć na kolejne wapienne półki. O tej porze roku w rozpadlinach rosły zioła i dzikie szparagi. Powietrze pachniało miętą i cierpką szalotką. Odczuwaliśmy rozkosz na widok każdej kępki zieleni. Kwitły tam też na żółto gałązki gorczycy, niczym opadłe na ziemię gwiazdy. Owoce sykomory przybrały jasnopomarańczową barwę. Ich soczysta woń przyciągała osy. Cieszyliśmy się na te przejawy życia, lecz musieliśmy wejść jeszcze wyżej, tam, gdzie powietrze rozrzedza się i drga. Brnęliśmy przez pola kamieni tak ostrych, że nie zapuszczały się na nie nawet koziorożce. Nasze stopy krwawiły już na drugi dzień.

O zmierzchu siadywałam samotnie i w milczeniu przygotowywałam wieczorną strawę. Co wieczór szukałam ptaków. Pewnego razu wypatrzyłam gniazdo z delikatnych gałązek i przycupnęłam cicho w pobliżu. Ptaki przyszły do mnie, pewnie sądząc, że jestem kamieniem, niczym więcej niż fragmentem pustyni. Skręcając im karki, zakryłam ich oczy, choć w istocie powinnam pozwolić ulecieć duszom natychmiast, zadając śmierć jednym ruchem noża. Zawsze miałam przy sobie sztylet ben Szymona. Trzymałam go pod tuniką, blisko ciała, ale używałam jedynie wtedy, gdy wykonywałam nacięcia na nodze. Najpierw przytuliłam ptaki i wsłuchiwałam się w bicie ich serc, a później zrobiłam to, czego nauczyła mnie pustynia.

Upiekliśmy je w ognisku rozpalonym przez przyjaciół mojego brata. Chwalili strawę, którą im przygotowałam. Stwierdzili, że mam talent. Żartowali, że wytrawny ze mnie myśliwy. Ojciec promieniał, słysząc te pochwały.

– To nic takiego – odrzekłam. – Te ptaki same do mnie przyszły.

Zachowywali się jak młodzi chłopcy, drocząc się ze mną na temat mego łowieckiego kunsztu. Nadal jednak próbowałam usunąć się w cień, jak kiedyś, w Jerozolimie, gdyż nocą chłopcy przemieniali się w mężczyzn o gorącej krwi, którzy sięgają po to, co zakazane. Nie miałam szarego płaszcza, lecz umiałam się rozpląnąć, wtopić w tło i unikać cudzych spojrzeń, przygarbiona nad garnkiem, który szorowałam piachem. Ale zsunęła mi się z głowy chusta i przyjaciele mojego brata dostrzegli, że mam rude włosy. Ujrzeni, że nie jestem już dziewczęciem. Nagle skrępowani odwrócili wzrok, zawstydzeni swymi myślami. Nie wolno im było siedzieć przy ognisku z kobietą, która nie była ich matką, siostrą lub żoną, i przyjmować strawy z mych rąk. Byłam *nida*, nieczysta, ponieważ nie było tam mykwy ani nawet brudnej sadzawki. Nie mieli jednak wyjścia, bo przecież byliśmy na pustyni. Jedli więc upolowane przeze mnie ptaki, pomagali mi wspinać się na skały i prowadzili mnie do mojego brata. Snuli przy tym opowieści o swojej twierdzy, które zdawały mi się niedorzeczne.

Twierdzili, że jest nie do zdobycia, gdyż kraina, która ją otacza, jest tak okrutna, iż żaden szturm nie może się powieść. Mieścił się tam kiedyś niezmiernie piękny, zawieszony pośród chmur pałac wzniesiony przez króla Heroda. Słyszałam o tym władcy. Słynął z okrucieństwa. Ponoć pewnego razu rozciął jeża, wywrócił go na drugą stronę i naciągnął na twarz wroga, którego w ten sposób oślepił. Zdradzał wszystkich wokół i odpowiadał za śmierć swojej żony Mariamme, którą oskarżał o przyrządzanie *philtrons* i *pharmaka*, leków, napojów miłości i magicznych wywarów. Była tak piękna, że rzymski dowódca Marek Antoniusz oszalał na jej widok i koniecznie chciał ją posiadać. Z tego powodu Herod skazał ją na śmierć. Niedługo potem oskarżył syna o przechowywanie trucizny sporządzonej z jadu żmij przez pewną niewiastę z Edomu, parającą się *keszafim*. On również został stracony.

Każdy zdrajca wie, że spotka go takie samo nieszczęście, jakiego przysporzył bliźnim, lecz Herodowi śniło się, że uda mu się oszukać los i przeskoczyć stronicę, na której był zapisany. Wzniósł zatem twierdzę na zachodnim zboczu góry Masady. Budowę ukończono sto lat wcześniej, niż się tam zjawiliśmy. Tymczasem królowa Egiptu zapragnęła Judei dla siebie. Zaklinała Marka Antoniusza i Rzym, by przekazali jej tę pustynię w darze, gdyż marzyła o jej niezliczonych skarbach – szlaku prowadzącym nad morze, solniskach, balsamicznych lasach w krainie Moabu, gajach mirry i kadzidła.

W twierdzy mieszkało ponad dziewięćset osób, w tym trzystu wojowników. Pięć lat wcześniej, zimą, odbili ją z rąk niewielkiej grupy rzymskich żołnierzy. Łatwo im to przyszło, bo przekradli się pod osłoną nocy po wschodnim zboczu góry, co Rzymianie uznawali za niemożliwe. Przekonali się oni jednak, że wszystko jest możliwe. Żydzi zdołali wspiąć się niemal do nieba, bliżej Boga.

Kiedy przyjaciel mojego brata zarzekał się, że Pałac Północny króla Heroda jest piękniejszy niż wiszące ogrody Babilonu, jeden z cudów świata, zaczął mi się on jawić jak jakiś sen. Czarne i białe kolumny przybyły z Grecji. Przemierzyły morze na okrętach, po czym niewolnicy przeciągnęli je za pomocą lin i bloków przez Judeę. Lśniące mozaiki ściągnięto na to pustkowie z Italii. Układali je najlepsi murarze, kafelek po kafelku. Łaźnie, podgrzewane przez ceramiczne cysterny umieszczone w podłodze, obłożono kwarcem tak doskonałym, że gdy słońce stało wysoko na niebie, zaczynały świecić czerwonym blaskiem. Posadzki ułożono we wzory w odcieniach różu, zieleni i czerni, a freski malowały setki malarzy przy użyciu najlepszych pigmentów sprowadzonych z Rzymu: akwamaryny, szafiru i krwawnika, lśniących niczym drogocenne klejnoty. Ja znałam teraz tylko biel pustyni, czerń nocy i czerwień własnej

krwi na poranionych przez kamienie stopach.

Ci dwaj opowiadali nam o tych cudach w wilgotnych, pełnych skorpionów jaskiniach, w których kryliśmy się przed szalejącymi wichurami. Przypomniały mi się skorpiony gnieźdzące się w sieni, gdy byłam dzieckiem, zastygające w bezruchu tak, iż zdawały się iluzją, póki zniemacka nie zaatakowały ofiary. Przekonałam się, że z wyrzutami sumienia jest tak samo. Czają się, by nagle się odezwać. Wciąż ją słyszałam – moją przyjaciółkę, którą zdradziłam. We śnie czułam jej biodro przy swoim. Mówiono, że demony potrafią uczepić się człowieka. Kiedy to czyniły, nie sposób było się od nich oderwać czy je przegnać. Nocą zakrywały dłońmi twe oczy, drapieźnie biorąc cię w posiadanie, i szeptały do ucha jedno słowo: „Mój”.

Poczucie winy i milczenie wciągały mnie w to pustkowie jeszcze głębiej, osaczały niczym dzikie cierniste krzaki płataniną zdradzieckich gałązek. Wokół kręciły się hieny, słyszeliśmy ich nawoływania. Nocą tworzyły wokół nas krąg, czając się pośród czarnych drzew. Chwytałyśmy wtedy kamienie, gotowi przepędzić bestie, gdyby głód pchnął je do ataku. Ręce miałam brudne, a chusty postrzępione, jakby ktoś pociął je nożem. Został mi tylko jeden skrawek błękitu jako pamiątka po bracie i życiu, które wiodłam, nim trafiłam w to miejsce.

Nie umiałam sobie wyobrazić, że zapuszczając się jeszcze dalej w tę głuszę, dotrzemy do fresków mogących konkurować z najpiękniejszymi w całym imperium i królewskiego pałacu. A jednak przyjaciele mojego brata przysięgali na Judę Galilejczyka, przywódcę pierwszego buntu zelotów przeciw kapłanom chylącym głowy przed Rzymem, że tam, dokąd zmierzamy, noc rozświetli tysiąc lamp oliwnych, płonących jasno niczym gwiazdy na niebie. Gdy spytałam, kiedy dotrzemy do tego cudownego miejsca, roześmieli się i odrzekli, że trochę to potrwa, gdyż twierdza stoi na samym końcu świata i musimy uważać, by nie zbłądzić. Wystarczy jeden krok, aby wypaść poza krawędź wieczności.

Powietrze było łagodne. Szczęśliwie znaleźliśmy się tam zimą i słońce nie paliło nas żywcem. Wraz z chmurami z zachodu nadciągnął chłodny wiatr od morza *ruach ha-jam*. Drżeliśmy w jego zimnych podmuchach. Podwiewał mi tunikę i przypominał o rzeczach, o których lepiej było zapomnieć. Dotyk ben Szymona, to, że stawaliśmy się jednym, i to, jak zawsze potrafił mnie dojrzeć, przykucniętą w mroku. Choć słuchałam opowieści o pałacu Heroda, nie nęciły mnie myśli o jego cudach i przyszłości. Tęskniłam za tym, co miałam i co utraciłam w jeden dzień, w chwili, gdy odebrano mi ben Szymona.

Moje życie na pustyni przemieniło się w nicość. Spotkała mnie zasłużona kara. Tak

jak nie chciałam puścić jej męża, tak teraz Sija nie chciała puścić mnie, bez względu na to, jak daleko zawędrowałam. Myślałam, że zostawię ją za sobą, tymczasem dzieląca nas odległość sprawiła, że jej duch jeszcze się wzmocnił. Wił się wokół mnie i dziobał, kiedy tylko próbowałam coś zjeść. Potrafiłam wmusić w siebie ledwie kęs strawy. Gdy przymykałam oczy, by zasnąć, Sija już na mnie czekała. Rzucała mi to samo bolesne spojrzenie jak wtedy, kiedy spytała, czy zatroszczę się o ben Szymona, choć wiedziała, co robiłam z nim w mroku i kim dla mnie był. Tęskniłam za nim, lecz to ona oplatała mnie ramionami, gładziła palcami moją skórę i szeptała mi do ucha. Czułam jej rozgorączkowanie każdą cząstką swego ciała.



Pewnego wieczoru rozłożyliśmy obóz tak blisko Morza Soli, że przebudziwszy się, stwierdziłam, iż mam sól we włosach, a ich końce stwardniały i pobieleły. Śniły mi się kamienista ścieżka i wąż tak ogromny, że mógł pożreć całe miasto. Próbowałam przemówić do oślizłego gada, zaklinając go, by pozostawił nas w spokoju, lecz on nie chciał o tym słyszeć. „Zbliź się” – syknął cicho. Marzyłam, by przyśnił mi się lew, tęskniłam za nim i pragnęłam go, mimo że był groźny. Wyciągnęłam rękę do węża, ale ten czmychnął, a w dłoni została mi jedynie garść czarnego piachu.

Obudziły mnie krzyki przyjaciół mojego brata. Półprzytomna, otrząsnęłam się z resztek snu. Wstałam, starłam sól z powiek i nagle ujrzałam przed sobą dziw większy, niż gdyby nagle oderwało się od ziemi tysiąc błękitnych motyli. Twierdza Heroda wisiała w powietrzu, wyrastając z białej skalnej półki u szczytu, dokładnie tak, jak opisywali to dwaj wojownicy. Istny cud świata.

Do Masady prowadziła ścieżka wijąca się pośród niebotycznych skał. Jeden fałszywy krok, chwila wahania, i wspinaczka kończyła się śmiercią w dolinie poniżej twierdzy. Życie na pustkowiu sprawiło, że przestałam wierzyć w cokolwiek, ale wspinając się po zboczu tą ścieżką węża, poczułam, że coś się we mnie otwiera. To tu przywiódł nas wąż z mojego snu. Rozpoznałam tę ścieżkę, jakbym przemierzyła ją wcześniej sto razy – karłowate wierzby, kępy powyginanych oliwek, kredowobiała ziemia i wapienne głazy. W Księdze Życia zostało napisane, że tutaj trafimy – i tak się stało.

Nad nami krążyły drapieżne ptaki, sokoły i jastrzębie. Wiedziałam, że jeśli się potknę, rzucają się na mnie, by pomścić wszystkie ptaki, jakie zabiłam na pustyni, wszystkie pióra, jakie wyrwałam im palcami, a kiedy przymierałam głodem – także zębami. Życzyłam komuś śmierci i wzięłam sobie mężczyznę, który nie był mój. Uległam pustyni i stałam się tym, kim teraz byłam – kobietą opętaną przez ducha,

opłakującą życie, które już nie wróci, kryjącą w sobie tajemnicę, która wyjdzie na jaw i ukaże moje złodziejskie oblicze.

Skupiłam się na wspinaczce, za wszelką cenę starając się nie myśleć o tym, co o mnie powiedzą. Byłam jak barbarzyńca: moją skórę pokrył biały pył, szaty miałam brudne, włosy przypominały przezartą solą słomę – pobielale na końcach, a u nasady szkarłatne, w mych oczach odbijał się tylko piach pustyni. Byłam jak lwica bez pazurów i kłów, zgarbiona staruszka szukająca ścieżki wśród skał. Tak do siebie niepodobna, że ledwo pamiętałam swe imię. Pomyślałam o obietnicy milczenia, jaką złożyłam ben Szymonowi. Teraz ono było wszystkim, co miałam. Wspinaliśmy się coraz wyżej, a wokół hulał wiatr.

Ścieżka węża zdawała się nie mieć końca. Kamienie sypały się nam spod nóg, a ich odgłos niósł się echem w dolinie. Zasnuty kurzem świat dookoła wydawał się odległy i nierealny. Odwiązałam linę krępującą mnie w pasie i postanowiłam, że dalej będę szła bez zabezpieczenia. Odtąd samodzielnie pokonywałam nawet największe stromizny. Słyszałam swój ostry, świszczący oddech. Twierdza była niczym sen i szłam ku niej jak we śnie, zauroczona tym, co widziałam. Wyglądała tak, jak mi ją opisano, a pustka wokół sprawiała, że wrażenie było jeszcze bardziej przemożne.

Pan odnalazł nas i poprowadził do tego miejsca tak blisko niebios, że usłyszeliśmy Jego głos. Ocalił nas i wyzwolił, jak wieszczyła Tora. Przechodząc przez bramę twierdzy, byłam gotowa uczynić wszystko ku Jego chwale, lecz nie mogłam wybaczyć Mu tego, co utraciłam.

Mój brat nosił pod płaszczem pancerz chroniący go podczas nocnych wypadów. Sztylet już nie wystarczał. Potrzebował cięższej broni: łuku, strzał, topora i drewnianej włóczni obitej mosiądzem. Przypominał pokrytego łuską smoka lub srebrzystego węża, bestie znane tylko Bogu, których lękali się ludzie. W twierdzy istotnie było trzystu wojowników, mimo to natychmiast rozpoznałam wśród nich brata pod kopułą kwitnących na różowo migdałowców. Poznałam go po zamaszystym kroku i jasności, jaka biła z jego duszy. Nawet zbroja nie zdołała jej ukryć. Ojca zaprowadzono do niego od razu, ja, nim spotkałam się z Amramem, musiałam odbyć rytualną kąpiel. Trafiłam do jednej z kilku mykw. Niektóre były przeznaczone dla kobiet, a inne dla mężczyzn. W największej na schodach tworzyły się osobne kolejki dla tych, którzy już się obmyli, i nieczystych. Kiedy weszłam do sadzawki, woda aż poczerniała, więc inne kobiety szybko ją opuściły, by się nie skalać. Nie zdziwiło mnie to, gdyż nic nie mogło zmyć moich uczynków.

Włożyłam podartą tunikę i chusty, które podarowała mi Tamar, i pobiegłam na

spotkanie z bratem. Gdy zamknęłam oczy i poczułam zapach migdałowców, wyobraziłam sobie, że wkraczam w inne życie. Może kiedyś wrócimy do Jerozolimy i odnajdziemy świat, który nam skradziono. Może te wszystkie miesiące to tylko sen, tak jak ten o lwie. Nagle usłyszałam wołanie Amrama i zrozumiałam, że nie ma powrotu. Nazwał mnie moim dziecięcym imieniem Jaja, a przecież tamtej dziewczynki już nie było.

– Długo trwało, nim do mnie przyszłaś – przywitał mnie, tuląc, a później odsunął, by mi się przyjrzeć.

Od naszego ostatniego spotkania minęło ledwie kilka miesięcy, lecz zdawało się, jakby to było dziesięć lat. Kiedyś Amram zawsze wyglądał na młodszego brata, tymczasem teraz przemienił się w prawdziwego wojownika, bezwzględnie i pewnie siebie. Wreszcie poczułam się jak młodsza siostra. Ujrawszy go, pomyślałam o stali, żelazie hartowanym w ogniu. Nie chciałam wiedzieć, ilu ludzi zabił ani jakich okrutnych uczynków się dopuścił. Przerazała mnie myśl, że mógł być jednym z tych, którzy wtargnęli do Ejn Gedi i wymordowali wyznawców naszej wiary.

– Ale w końcu przyszłam – odpowiedziałam.

Włosy miałam czyste, natarte olejkiem i zaplecione na czubku głowy. Widziałam w jego oczach, że bardzo się odmieniłam. Przypatrywał mi się, zgłębiał rysy twarzy, nie do końca rozumiejąc, na czym ta zmiana polega, a jednak całkowicie jej świadom. Zostałam pogryziona przez lwa, lecz by dojrzeć blizny, trzeba było wejrzeć w moją duszę.

– Myślałem, że szybciej cię odnajdę. Musiałaś się dobrze ukryć, Jaja – rzucił, drocząc się ze mną.

Pomyślałam o grotach, w których znajdowaliśmy schronienie, o tym, co tam robiłam, i o tej ostatniej, ponurej, w której ben Szymon wyzionął ducha. Gdyby ruszył ze mną do osady esseńczyków, pewnie by przeżył. Przyszło mi do głowy, że wiedział, co go spotka, jeśli tam zostanie, a mimo to został. Powinnam była się tego domyślić, gdy przy pożegnaniu odwrócił wzrok, jakbyśmy już się rozstali, choć wciąż przed nim stałam. Powinnam była to odgadnąć, kiedy dał mi swój sztylet.

Postanowiłam ukryć swą hańbę przed bratem. Przysiadłam na trawie pod różowym baldachimem migdałowców. Odwróciłam twarz, by uniknąć zaciekawionego spojrzenia Amrama. Mówią, że migdały z drzew kwitnących na różowo są gorzkie, a z tych na biało – zawsze słodkie. Spuściłam wzrok, jak miały w zwyczaju młode niezamężne kobiety.

– Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy – odrzekłam.

– Pozostali mieli mniej szczęścia. Z przykrością przyjąłem wiadomość o ich śmierci.

Liczyłem, że Jachim ben Szymon się o ciebie zatroszczy, dlatego powierzyłem cię jego opiece.

– Było im pisane, by odejść do Przyszłego Świata, i tyle – odpowiedziałam.

Mój brat usiadł obok. Przez chwilę znów wydawał się radosnym chłopcem, a nie wojownikiem. Miał blizny, których nie widziałam przedtem, jedną bardzo głęboką na szyi, w miejscu, w które trafiła strzała. Gdy rozpiął pancerz, zauważyłam, że łuk odcisnął na jego ciele trwałe ślady – na plecach i piersiach biegła linia w kształcie półksiężyca.

Zapucił włosy i wiązał je w ogon, jak zwykli czynić wojownicy. Twarz miał wciąż piękną, lecz ogorzałą od słońca i wychudzoną. Młodzieńcza otwartość zniknęła. Już nie był chłopcem marzącym o buncie w poszatkiwanym promieniami słońca cieniu drzewa ognistego.

– Ta twierdza to jeden z ostatnich przyczółków w całej Judei – wyjaśnił. – Wciąż padają kolejne, ale my nie pierzchliśmy i nigdy nie pierzchniemy.

Do Masady prowadziły jedynie dwie drogi: ta, którą przyszlismy przez bezlitosną pustynię ciągnącą się aż po góry Moabu po drugiej stronie Morza Soli, oraz kamienisty szlak łączący Edom i dolinę Arawa z Ejn Gedi i Jerozolimą. Z grani widać było obydwie.

– Tu jesteśmy bezpieczni – dodał uspokajająco.

Powiedział, że po zdobyciu twierdzy powstańcy ściągnęli znad bramy pałacu złotego orła króla Heroda. Miało nie być tu bożków ani żadnych znamion bogactwa. Tutaj wszyscy byli równi: nie było królów, jedynie królestwo Boga. Nikt nie musiał się przed nikim kłaniać, nawet przed Eleazarem ben Jairem, przywódcą powstania, wielkim człowiekiem i wojownikiem.

Amram pokazał mi, że wciąż nosi na szyi amulet Salomona, który mu podarowałam. Był z niego bardzo dumny.

– A gdzie twoja chusta? – spytał.

Wyjęłam jedyny skrawek jedwabiu, jaki mi pozostał. Opowiedziałam mu, jak chusta uratowała życie mnie i ojcu, przemieniwszy się w drogowskazy zaczepiane na ciernistych krzewach, które przeprowadziły nas przez pustynię. Ku mojemu zdumieniu brat również wyciągnął strzępek błękitu. Wyjaśnił, że przywiał go wiatr. Z początku Amram pomyślał, że to jakiś ptak, i wyciągnął ku niemu rękę, a skrawek materiału opadł na nią, jakby go przywołał. Dzięki temu nabrał pewności, że żyję, że mnie odnajdzie i że nasza obecność tak blisko Boga została zapisana w Księdze Życia.

Ruszyliśmy przez gaj w stronę tarasów, gdzie rosły wiekowe oliwki i wielkie,

powyginane winorośle. Hodowano tu też cebulę, ciecierzycę, ogórki i melony. Było to możliwe dzięki zachwycającemu systemowi cystern i sadzawek wzniesionych przez Heroda. Za nami rozpościerało się pole pszenicy i jęczmienia, na którym leżały przewiązane powrozem snopy. Kosa – długi drewniany pał z metalowym ostrzem – ciągniona przez osły ścinała resztę kłosów, a dwaj chłopcy zachęcali zwierzęta do pracy. Rżysko miało intensywnie żółty kolor, niczym miód przelany do misy.

Amram opowiedział mi o wielkich spiżarniach z czasów Heroda, pełnych ogromnych glinianych naczyń z winem i oliwą, sprowadzonych z Rzymu i Grecji. Wiele z nich wciąż nosiło pieczęć króla. Przez Bramę Wodną i południową Bramę Wodną przywożono na grzbietach osłów drewniane beczki napełniane wodą z sadzawek w wąwozach. Wlewano ją do dwunastu cystern i czterech łaźni, z których największa mogła pomieścić pięćdziesiąt osób. Brak wody nie stanowił problemu nawet w porze suchej. Na terenie twierdzy powstał targ przypominający ten w Jerozolimie. W niewielkich kramach wzdłuż muru obok głównego placu mieściły się piekarnie, garbarnie i tkalnie. Pod murami stały namioty i drewniane domy.

Wojownicy zajęli kwatery, w których wcześniej stacjonowali Rzymianie, za to kapłani i mędracy niewielkie pałace wzniesione niegdyś przez Heroda dla jego krewnych i doradców. Łaźnie publiczne zdobiły przepiękne mozaiki tworzące kamienne pola kwiatów lub wzory geometryczne. Na pałacowych ścianach wymalowano czerwono-pomarańczowe freski, z których część została obramowana złotymi liśćmi. Ben Jair i jego bliscy mieszkali w najmniejszym z pałaców z widokiem na dolinę. W Północnym, najwytworniejszym i najbardziej imponującym, mogącym śmiało konkurować z najwspanialszymi budowłami świata, przechowywano broń i zapasy żywności. Postawiono tam również małe kramy, warsztaty kamieniarskie i rzeźnie, gdyż wystawny pałac nie był potrzebny powstańcom, a jedynie królowi, który go wznosił, by dowieść, że jest panem świata.

Ludzie, którzy schronili się w twierdzy na Masadzie, byli wierni idei Syjonu, gotowi do wszelkich poświęceń i odważni do zatrącenia. Nie chcieli być niczymi niewolnikami. Ponoć ben Jair nie lękał się nawet anioła śmierci. Gdyby po niego przyszedł, zamierzał wyrwać złowrogiej bestii jej dwanaście skrzydeł, rzucić je pokrwawione i obrośnięte piórami na ziemię i złożyć w ofierze Bogu.

Stałem z bratem przed pałacem Eleazara ben Jaira.

– Służyć pod nim to zaszczyt – oświadczył Amram.

– Mieszka w pałacu, a ja mam spać pod gołym niebem? – spytałam przekornie.

Brat odrzekł, że mam się udać do kwatery przygotowanej dla ojca, by się nim zajmować. Był zaskoczony, jak bardzo się postarzał.

– Chorował? – spytał zatroskany.

– Nie chciał spocząć, póki cię nie odnajdzie.

Postanowiłam oszczędzić mu prawdy. Ojciec szybko się zestarzał, bo ciążyło mu poczucie winy za popełnione mordy i odrzucenie własnej córki. Bezlitosna pustynia ostatecznie powaliła go na kolana.

Amram dopytywał o szczegóły naszej wędrówki, lecz odpowiedziałam tylko, że jakoś udało się nam przetrwać. Nie wspomniałam o mężczyźnie podrapanym przez lwa ani o kobiecie, której duch mnie prześladowa. Opowiedziałam mu za to o kozie, która musiała być aniołem, gdyż jej mleko uratowało nas od śmierci głodowej. Wybuchnęliśmy śmiechem na myśl, że koza może być aniołem. Wyznałam bratu, że tęsknię za nią, bo stała się moją powiernicą i przyjaciółką. Przypomniał mi, że słowo „anioł” oznacza w naszym języku również posłanica, a jego mądrość poznajemy po wiadomości, jaką nam przekazuje. Może ta koza miała mnie nauczyć, jak przeżyć w krainie, w której przetrwanie zdaje się niemożliwe.

– A ty? – spytałam. – Też dostałeś jakieś przesłanie?

Speszyło go to pytanie, znów z zimnego wojownika przemienił się w chłopca. Dawniej wyjawiał mi swoje sekrety, jednak te czasy już minęły. Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał, że wzywają go do dowództwa. Zjawiała się też matka jego przyjaciela, Uriego, by zaprowadzić mnie do kwatery.

– Nie oczekuj zbyt wiele – przestrzegła.

Nie oczekiwałam niczego, więc byłam mile zaskoczona tym, co zobaczyłam. Nasza izba przylegająca do muru Heroda wyglądała znacznie lepiej niż jakiegokolwiek miejsce, w którym znaleźliśmy schronienie, odkąd wyruszyliśmy z Jerozolimy. Miała dach z tkaniny i trzy drewniane ściany. Przy czwartej, kamiennej, wybudowano palenisko. Była tam jeszcze mała alkowa, w której miałam spać. Kiedy stanęłam na palcach, mogłam obserwować okoliczne skały przez otwór w murze. Pobłogosławiwszy nasz nowy dom, ojciec już tam na mnie czekał.

– Mówiłem, żebyś zaufała Bogu – pouczył mnie. – Nie powinnaś tracić wiary.

Powstrzymałam cisnące się na usta słowa: „To ty płakałeś na pustyni, nie ja. To ty lękałeś się dzikich zwierząt i głodu, gdy ja chwytalam ptaki i płoszyłam lamparty”.

Urządziłam dom przedmiotami, które – zgodnie z dekretem starszyzny – przysługiwały wszystkim rodzinom: siennikami ze słomy, dwiema oliwnymi lampami, tkanymi kocami, kamiennymi kubkami i misami. Matka Uriego przyniosła nam przydział daktyli, soczewicy i owoców, gliniany garnek oraz dzban oliwy do gotowania i zapalania lampy w szabat. Uprzedziła, że w twierdzy żyje się ciężko. Potakiwałam, udając, że słucham, choć ledwo powstrzymywałam się od śmiechu. Ona była czysta,

miała zaplecione włosy, a ja byłam barbarzyńcą, który przepędzał lamparty. Na koniec podziękowałam jej za okazaną mi życzliwość.

Od pierwszego dnia pobytu w twierdzy często wracałam do gaju, w którym kwitły migdałowce. Nastął miesiąc *adar* wyznaczający początek wiosny. Szukałam dla siebie miejsca dającego schronienie przed złością ojca. Rzucał mi nienawistne spojrzenia, wściekły, że musi ze mną mieszkać, zazdrosny o ciasną alkowę i przeklinający moje istnienie. Nie ośmieliłam się buntować. Minęły trzy miesiące od mego ostatniego krwawienia. W gajach zaroilo się od pszczoł, powietrze stało się łagodne i przybrało barwę rózu. Przybyliśmy z pustkowia do ogrodu, z dolin śmierci do pól obfitości. Tak przywykłam do oślepiającego, jaskrawego światła, że mój wzrok z trudem przyzwyczajał się teraz do niezliczonych odcieni złota, rózu i zieleni. Mrużyłam oczy i osłaniałam je dłonią. Przywykłam też do ciszy na pustyni, a tu żyło prawie tysiąc osób, istna ludzka zbieranina. To zawieszone w chmurach miasto nie potrzebowało reszty świata. Starszyzna biła w mennicy własne monety. Z winogron powstawało wino, pszczoły w ulach wytwarzały miód. Na placu ustawiono krosna. Wieczorami niósł się po nim śpiew gręplujących wełnę kobiet. Z gałązek ciernistych krzewów wybudowano zagrody dla zwierząt. Słysząc było beczenie owiec. Czarne kozy brykały tam ze swymi młodymi. W powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba, gotowanej strawy i ostra woń świeżych ziół: kolendry, kopru i szarawej szałwii.

Zbyt wiele było tego dla mnie po wędrówce przez pustynię. Ten potok dźwięków i zapachów zalewał mnie niczym fale przyływu. Tęskniłam za tym, co minęło. Za ptakiem wśród skał i śladami lamparta na piasku. Rzadko się odzywałam, a jeśli już podnosiłam wzrok, to tylko na chwilę. Kobiety przyglądały mi się z zaciekawieniem, kiedy przechodziłam obok. Niektóre do mnie machały, lecz wtedy głębiej naciągałam chustę na oczy. Raz grupa młodych dziewcząt przemknęła koło mnie w drodze do łaźni. Poczułam żal na ich widok. Chciałabym zdjąć chustę i pobiec za nimi, rozświergotana i pełna nadziei. Gdybym tylko mogła zsunąć szaty i wskoczyć razem z nimi do mykwy, może doznałabym oczyszczenia i uzyskała przebaczenie. Mogłabym zacząć wszystko od nowa. Za nic jednak nie chciałabym się wyrzec tego, co się zdarzyło. Tęskniłam za tym, co utraciłam. Marzyłam, by znów mieć swoją kozę, mego anioła. Zawięzałabym dzwoneczki na jej szyi i swych nogach, byśmy zawsze mogły się odnaleźć w czasie burzy. Patrzyłabym na nadciągające ciemne chmury, nasłuchując ich dźwięku. Nie musiałabym udawać, że jestem kimś innym niż tym, kim się stałam.

Wypatrzyłam *auguratorium*, wieżę obserwacyjną, pozostałość po stacjonujących tu Rzymianach. Była jedną z wielu wież wzniesionych wzdłuż murów otaczających

twierdzą. Miała wyjątkowo korzystne położenie, gdyż rozciągał się z niej widok na góry od północy, a powietrze łagodziła chłodna bryza. Widywałam takie wieże w Jerozolimie, święte budowle, gdzie rozrzucono kości ptaków, aby przewidzieć przyszłość, i skąd wróżbici przypatrywali się ruchom ptasich stad, żeby przepowiadać to, co miało się dopiero zdarzyć.

Mędrcy nakazywali, by magię studiować, ale nigdy się jej nie oddawać. Była zakazana, lecz można się było na nią natknąć w mrocznych zakamarkach lub właśnie w takich wieżach. Weszłam po drewnianej drabinie na górę. Panował tu jeszcze większy chłód. W oddali migotał rozedrgany krajobraz. Aż jęknęłam, gdy go ujrzałam, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu. Po niebie szybowały jastrzębie, jednak nie wiedziałam, czego zapowiedzią może być ich opadanie ku skałom lub wzbijanie się ku chmurom. Ani trochę nie znałam się na magii.

Przykucnęłam, by przyjrzeć się setkom rozrzuconych białych kości pozostawionych przez uciekających Rzymian. Cała posadzka była nimi usiana. Nie miałam pojęcia, co znaczą, lecz do głębi poruszył mnie widok tylu ostrych, pustych w środku ich kawałków, w których gwizdał wiatr. Poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Podniosłam wzrok i dostrzegłam gołębia, który przysiadł na murze. Nie odezwałam się, tylko wyciągnęłam rękę. Choć popełniłam tyle złych uczynków i tyle razy zgrzeszyłam, przyfrunął do mnie, nie bał się.



Rankiem przysłano do mnie dziewczynę – może jedną z tych, które przemknęły obok w drodze do łaźni – zbyt młodą i niewinną, by wiedzieć, jakie sekrety łączą kobietę i mężczyznę, myślącą, że nie istnieje nic oprócz tego, co widzi za dnia, i niemającą żadnej wiedzy o tym, co się zdarza nocą. Była ładna i grzeczna, miała nie więcej niż trzynaście lat, maleńkie złote kolczyki z krwawnikiem, a na imię Nahara, czyli światło, jak nieśmiało napomknęła. Przyniosła mi parę sandałów. Roześmiała się, gdy zobaczyła, że waham się, czy przyjąć taki dar od obcej osoby.

– Przydadzą ci się tam, dokąd się udasz – rzuciła.

Moje rozpadły się podczas długiej wędrówki, włożyłam więc te nowe. Pasowały idealnie. Po drodze Nahara wyjaśniła, że prowadzi mnie do pracy, którą mi przydzielono. Spytała, jak mam na imię. Tak dawno go nie wypowiadałam, że niemal zapomniałam, jak brzmi.

– Jest brzydkie – odrzekłam. – Nie tak jak twoje.

Przeszliśmy przez Działziniec Zachodni, wyłożony wielkimi kamiennymi płytami

ściągniętymi z za morza, z Grecji.

– Muszę cię jakoś nazywać – nalegała Nahara. Była poważną i cichą, lecz upartą dziewczyną, nawykłą do radzenia sobie ze starszą siostrą i młodszym bratem.

Niektórzy wierzyli, że poznając czyjeś imię, uzyskuje się dostęp do jego duszy. Większość rodziców ujawniała imię syna dopiero po obrzezaniu, osiem dni po narodzinach, by zdążył zebrać siły i uodpornić się na demony, które mogą go przywoływać. Nahara tylko wzruszyła ramionami, kiedy powiedziałam jej, że imię to tajemnica, którą zna jedynie Adonaj. Była pewna, że moje brzmi pięknie, gdyż – jak stwierdziła – miałam najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziała. Wyjawiała mi, że rozprawiają o nich wszystkie kobiety. Mówiły też, że zostałam wypalona w ogniu i stąd wzięły się moje piegi oraz włosy o barwie płomieni.

– Niech uważają, żebym na nie nie dmuchnęła – ostrzegłam. – Mogę być smokiem, przysypią je iskry.

Nahara roześmiała się, po czym wyznała, że jej matka, zobaczywszy mnie w *auguratorium*, uznała, że mam szczególny dar.

– Dlatego będziesz doglądać z nami gołębniki. Wybrała cię, kiedy zobaczyła cię w wieży.

Zamarło mi serce. Było tyle innych miejsc, do których wolałabym trafić. Niemal każde byłoby lepsze: gaj oliwny, piekarnia, nawet zagroda dla kóz. Miałam się zajmować trzema *columbaria*, gołębnikami wybudowanymi jeszcze przez Rzymian. Dwa z nich były podłużnymi budynkami, a trzeci okrągłą wieżą z platformą u szczytu, wykorzystywaną jako obserwatorium. Otwory okienne przesłaniały siatki chroniące przed jastrzębiami. Wszystkie trzy budynki wzniesiono z kamienia i pokryto białym tynkiem. Stały na wysokich fundamentach, by nie wślizgiwały się do nich węże poszukujące jaj. Trzymano tam tysiące gołębi. W każdej z wyrzeźbionych w białych ścianach nisz gnieździła się para ptaków, związanych ze sobą na całe życie. W czasach, gdy Masadę zajmowali Rzymianie, składano w nich urny z prochami zmarłych, lecz teraz znów urządzono tam gniazda. Powstańcy przywracali dawny blask wszystkiemu, co rzymscy legioniści zniszczyli po upadku króla Heroda. To, co służyło kiedyś śmierci, obecnie było życiem pulsującym w bijących sercach ptaków. Nie uznawaliśmy przemiany ciała w proch. Oddawaliśmy cześć szczątkom przodków, zakopując ciała w ziemi, gdzie powstały w czasach stworzenia. Miejsce to znów wypełniło się pieśnią, kojącym gruchaniem, które nauczyłam się naśladować na pustyni, by gołębie przylatywały do mnie i uznawały za swoją.

Jednym z bezceństw, jakich dopuścili się Rzymianie, było przekształcenie synagogi

w stajnię. Jej czyszczenie i usuwanie łąjna trwało wiele tygodni. Ponoć nawet teraz, gdy padał deszcz, czuć było tam końską woń, dlatego każdego ranka palono kadzidła. Żadne kadzidło natomiast nie było w stanie stłumić ciężkiego, wilgotnego smrodu gołębiego łąjna, który uderzył mnie w nozdrza, kiedy weszłam z Naharą do największego z trzech gołębników. Jeszcze bardziej dokuczliwy był hałas. Gdy wkroczyłyśmy w mrok przez ciężkie drewniane drzwi, harmider stał się przytłaczający, gdyż wszystkie ptaki przemawiały jednym głosem. Przystanąłam, przerażona trzepotem skrzydeł, i znów zatęskniłam za ciszą, jakiej zaznałam na pustyni.

Widząc to, Nahara się roześmiała.

– One nie gryzą – powiedziała uspokajająco. – Przywykniesz.

Delikatnie podniosła ptaka, który sfrunął na posadzkę. Miałyśmy się o nie troszczyć, karmić, zbierać jaja i – co ważniejsze – odchody do nawożenia pól. To dzięki nim na tych wapiennych skałach pokrytych cienką warstwą lichej ziemi wyrosły tak piękne gaje, a powietrze pachniało migdałami. Łajno użyźniało pola – to w nim krył się sekret ogrodów na pustkowiu.

W gołębniku zastałyśmy trzy krzątające się kobiety. Kiedy weszłyśmy, wszystkie zwróciły na mnie oczy. Mogłoby się wydawać, że te przykre obowiązki to ostatni rodzaj zajęcia, jakie ktoś chciałby wykonywać, lecz niewiasty sprawiały wrażenie dumnych ze swej pracy.

Jedna z nich, już starsza, o imieniu Riwka, obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem, jakbym bez zaproszenia wkroczyła do jej królestwa. Z góry uznała, że na to nie zasługuję. Była tam jeszcze starsza siostra Nahary i ich matka, jedna piękniejsza od drugiej. Aziza miała szesnaście lat i ciemnooliwkową skórę. Kiedy stanęła przy tej, która ją urodziła, trudno je było od siebie odróżnić. Do pracy w gołębniku wybrała mnie Szira, matka obydwu dziewcząt.

Nahara szepnęła, bym poszła przodem, przypominając, że jej matka we mnie wierzy. Zastanawiałam się, przy przypadku nie widziała, jak przyfrunął do mnie gołąb, choć go nie wołałam.

Mimo iż w gołębniku panował taki harmider, Szira była pogodną, emanującą spokojem kobietą. Zbliżyłam się do niej i stanęłam onieśmielona. Popatrzyłyśmy na siebie i niespodziewanie poczułam zalewającą nas falę gorąca. Miałam wrażenie, że przenika mnie wzrokiem na wylot.

– Ciekawe, jak lwica poradzi sobie w gołębniku. Potrafisz powstrzymać swoje kły i pazury?

Pozostałe kobiety, które nas otoczyły, wybuchnęły śmiechem na tę uwagę. Poczułam

się bezbronna i wystawiona na cudze spojrzenia, choć w pomieszczeniu było ciemno, gdyż do środka wpadały jedynie wąskie snopy światła przez dach i przesłonięte siatką okna.

Szira miała długi, czarny, opadający na plecy warkocz. Była niezwykle piękna, z twarzą o szerokich kościach policzkowych i ciemnymi, niemal czarnymi oczami. Reszta kobiet sądziła, że się ze mną droczy, wyczuwszy moją niechęć do zajmowania się ptactwem. Nie zrozumiały jej, ale ja tak. Szira знаła tajniki mej duszy.

– Żadna ze mnie lwica – odpowiedziałam potulnie. – Raczej biedna tułaczka.

– Jak my wszyscy – przytaknęła Riwka. – Myślisz, że czymś się różnimy? Uważasz, żeś za dobra, by przerzucać gołębnie łajno? – spytała z pogardą. – Bo jeśli tak, lepiej od razu stąd idź.

Kobiety wpatrywały się w moje rude włosy. Nahara miała rację – wszyscy natychmiast je zauważali. Pewnie myślały, że ich kolor skojarzył się matce Nahary z lwią grzywą. Nie miały pojęcia, kim jestem ani co czyniłam. Wokół trzepotały ptaki, które mimowolnie do mnie ciągnęły. Wbiłam wzrok w ziemię. Chciałam, by te kobiety zostawiły mnie w spokoju.

– Wykonam każdą pracę, jaką mi przydzielicie – odrzekłam.

„Uczyn mi, co zapragniesz, co tylko zechcesz, bo nie zasługuję na nic innego niż to, co mnie spotyka”.

Szira podeszła do mnie z przepięknym koszem wplecionym z liści palmowych. Miała wielkie oczy i powieki pomalowane kohlem. Jej ręce zdobiły złote bransoletki. Na szyi zawiesiła czerwony rzemyk z amuletami. Dwa z nich, złote, lśniły w półmroku. Obydwie córki objęły smukłą kibić matki. Najwidoczniej bardzo ją kochały. Zazdrościłam im. Chciałabym wiedzieć, jak to jest mieć matkę, kogoś, kto stoi przy tobie bez względu na wszystko.

Dookoła gruchały gołębnie. Poczułam ucisk w gardle na wspomnienie o tym, jak czyhałam na nie na pustkowiu, jak do mnie przylatywały i jak je zabijałam. Szira podała mi kosz. Zaczęłam się zastanawiać, czy wpleciono go z liści palm z Ejn Gedi, czy jakaś kobieta wykonała ten wzór rankiem w dniu swojej śmierci.

– Nawet lwica musi pracować – powiedziała.

Od razu wzięłyśmy się do pracy. Wszystkie byłyśmy ubrane na białe, ponieważ żywe kolory ponoć drażniły gołębnie i zniechęcały je do znoszenia jaj. Może to nie był przypadek, że Tamar podarowała mi tę tunikę – może przeczuwała, że przydzielą mnie do gołębnika. Może wcale nie byłam tak niewidzialna, jak mi się zdawało.

Nie miałam czasu na rozmyślanie i skargi. Aziza pokazała mi, jak karmić ptaki

prosem, pszenicą i wyką i jak ploszyć je z gniazd, by zebrać jaja i łajno. Z pozostawionych jaj w krótkim czasie wykluwały się młode, nad którymi czuwali oboje rodzice. Aziza gorliwie wprowadzała mnie w zwyczaje gołębi. Była jak łania – szczupłe nogi i ramiona – z grubym warkoczem, jak u matki czarnym jak noc. Podczas gdy jednak oczy Sziry były niczym smoła, spojrzenie Azizy miało niezwykły, jasnoszary odcień, jak migotliwa toń wody w rzece. Pod okiem, niczym ledwo zauważalna łza, widniała maleńka blizna.

Podeszła do nas Nahara, żeby poplotkować na mój temat z siostrą. Ich oczy błyszczały. Cieszyły się, że pojawiła się nowa i mają się z kim droczyć, bo dawało im to okazję do zerwania z codzienną monotonią.

– Nie chciała powiedzieć, jak ma na imię – poinformowała siostrę Nahara.

Stały, opierając ręce na biodrach i zastanawiając się, co mają ze mną zrobić. Czułam się skrepowana ich nagłym zainteresowaniem.

– Musimy jakoś cię nazywać – naparła Aziza, najwyraźniej chcąc się ze mną zaprzyjaźnić.

Były tak ze sobą zżyte, że ich słowa wydawały się niczym koraliki przylegające do siebie na złotym łańcuszku. Może jeśli wypowiem swoje imię, przestaną mnie wypytывать. W końcu miałyśmy razem pracować, więc musiały się do mnie zwracać.

– Jael – wydusiłam wreszcie, gdyż słowo to pozostawiało gorycz w moich ustach. Zawsze brzmiało jak klątwa, teraz też.

Poczuły się usatysfakcjonowane i zapewniły mnie, że to piękne imię.

– Jesteś tu z kimś? – drążyły. Widać było, że chciały się dowiedzieć więcej.

Obojętnie wzruszyłam ramionami.

„Lew, duch, koza, która jest aniołem, setki ptaków z ukreconymi łebkami”.

– Ściągnął mnie tu brat, Amram, syn Josefa bar Elchanana – rzuciłam sucho.

Ku mojemu zdziwieniu ich ciekawość prysła, a moje słowa padły jak kamienie w wodę. Imię brata odbiło się echem w mej głowie. Cisza, która potem nastąpiła, była czymś, do czego nawykłam. Lepiej nie wkraczać do królestwa tajemnic.

Matka przywołała do siebie Naharę. Była zadowolona, że ma wymówkę, by udać się do najmniejszego z gołębników, choć gołębiarki nie lubiły tam zaglądać, gdyż w środku mieściła się tylko jedna osoba. Tymczasem Aziza wróciła do pracy i zaczęła przeganiać gołębie, by zebrać jaja. Jej rozmarzone szare oczy były niczym lustro. Nie musiała nic mówić, bym zrozumiała, jak bardzo rozpala ją imię mojego brata. Kiedy padło, już w nich pozostało.



Przez następne dni trzymałam się na uboczu, wykonując zajęcia, jakie przydzielono mi w gołębnikach. Zachowywałam się uprzejmie, lecz nigdy nie odzywałam się pierwsza. Byłam ich służką, nikim więcej. Nie udawałam, że przynależę do ich grona. Już kiedyś miałam przyjaciółkę i ją zdradziłam. Nie potrzebowałam kolejnej.

One jadały wspólny posiłek w południe – ja zawsze oddzielnie. Szłam do sadu, zabierając ze sobą placek i ser. Podchodziłam do muru i spoglądałam na północ, tam, skąd przyszedliśmy i gdzie pozostawiliśmy szczątki zmarłych. Pewnego dnia przysiadły się do mnie kobiety pracujące na polach, które upinały włosy i zakrywały głowy chustami, by chronić je przed słońcem. Ręce miały jednak ogorzałe od pracy w niewielkim gaju pistacjowym i śliskie od oleistych orzeszków. Przybyły z Jerozolimy z mężami, ojcami lub braćmi. Teraz były szczęśliwe, jakby odnalazły drogę do Rajskiego Ogrodu. Słyszałam, jak śpiewają przy pracy. Kilka nosiło na przytroczonych do pleców plecionych nosidełkach niemowlęta. Niezameżne chciały się ze mną umówić w łaźni, ale pokręciłam głową i odmówiłam. Nie mogłam pozwolić, żeby zauważyły moją krągłość, kiedy się rozbiore. Wymówiłam się obowiązkami w gołębnikach, podkreślając, że jestem tam nowa i chcę się przypodobać Szirze. Gdy to usłyszały, stały się podejrzliwe.

– Dobrze – odrzekła jedna z nich. – Skoro wolisz tę Czarownicę z Moabu...

Przestrzegły mnie szeptem, że Szira przybyła do Masady z drugiego brzegu Morza Soli. Słona morska woda sprawiła, że nie potopiła się wraz z córkami. Przekonywały, że potrafi ona przywoływać chmury, tak jak przywołuje do siebie gołębie. Kiedy znalazła się w twierdzy, zaczęły się trwające wiele tygodni ulewy. Deszcz lał się strumieniami, aż zazieleniły się pola i ludzie płakali z radości. To dlatego ich przywódca ben Jair po nią posłał. Co prawda Szira była jego krewną, lecz nie to zadecydowało. Nawet wielcy potrzebują czasami czarownic.

Uznałam, że kobiety te są skupione na sobie i głupie. Która czarownica chciałaby pracować w gołębniku, jadać soczewicę, usuwać ptasie odchody czy zbierać jaja do koszyka? Szira nie różniła się od innych. Gdy jednak wróciłam do pracy, dostrzegłam w niej zadziwiającą intuicję. To, co dla innych było nieistotne, jej jawiło się jako wyraźny znak. Czasami, kiedy zamykała wieczorem gołębniki, rzucała mi spojrzenie. Czułam wtedy, że wszystko o mnie wie. Choć byłyśmy sobie prawie obce, nie pragnęłam niczego przed nią zatajać. Chciałam opowiedzieć jej o nocy, gdy po raz dwudziesty pierwszy się okaleczyłam, o poranku, kiedy wyruszyłam na poszukiwanie

leku, i o wieczorze, gdy zobaczyłam, że ben Szymon odszedł do Przyszłego Świata. Może rzeczywiście skłanianie innych do tego, żeby się zwieriali, było magią.

Pewnego wieczoru przy wejściu do największego gołębnika czekała młoda kobieta. Była służącą sprowadzoną z Jerozolimy przez swego pana i jego rodzinę. Mieszkała z nimi, gotowała im i prowadziła dom. Widziałam ją wcześniej na polach. Gestem przywołała do siebie Szirę, która akurat nakazywała córkom, by poszły do domu, zajęły się młodszym bratem i przygotowały wieczorną strawę.

Szira podeszła do dziewczyny, a ja, zaciekawiona, ruszyłam za nimi. Zdjęłam sandały i szłam boso, tak jak wtedy, gdy tropiłam ptaki. Czułam się trochę winna, jednak nie przystanęłam. Szira i służąca doszły do najdalszego fragmentu murów i zaszyły się w mrocznym kącie. Było to niedaleko miejsca, gdzie stały wielkie wrzeciona, przy których wieczorami zbierały się kobiety po codziennej harówce. Skryłam się za rzucającą zielonkawe cienie kolumną. W mojej szyi pulsowała krew, jak wówczas, gdy czyhałam na pustyni na ofiarę.

Szira narysowała kawałkiem nadpalonego drewna oko na murze. Później wypięła igłę z rąbka spódnicy i, recytując zaklęcie, zaczęła kłuć nią oko. Do mych uszu docierało jej powolne, rytmiczne zawroscenie. Choć nie rozumiałam słów, domyśliłam się, jaki jest cel tego rytuału. Szira pragnęła skłonić jakiegoś mężczyznę do wierności, tak jak ja uczyniłam to na pustkowiu, kiedy wyrysowałam pysk lwa na piasku. Inni mogli swawolić, lecz ten dochowa wierności, związany szwem wydzierganym przez igłę.

Nie powinnam była się tam kręcić. Mogłam bez trudu wrócić, niezauważona, tą samą drogą, którą tu przyszłam, jednak patrzyłam jak zauroczona. Pieśń Sziry usidliła mnie i zniewoliła, oplatając, jakby miała wiązać nie tylko kochankę służącej, ale i mnie. Szira popatrzyła w moją stronę, niczym skorpion, który ściga wzrokiem mysz. Odeszłam stamtąd śpiesznie, lecz cały czas czułam na sobie jej spojrzenie.

Nazajutrz przyszłam do gołębnika w chuście przesłaniającej twarz, mając nadzieję, że dzięki niej stanę się niewidzialna, tak jak ojciec w swym płaszczu, który skrywał jego prawdziwą naturę. Szira zaprosiła mnie gestem do środka. Na jej twarzy igrał uśmiezek. Mogłabym przysiąc, że widzi mnie przez moją zasłonę. Gdy inne kobiety udawały się w południe do kuchni pod gołym niebem, by ugotować sobie soczewicę z groszkiem, Szira stwierdziła, że muszę jej w czymś pomóc. Nie miałam wyjścia. Nie byłam nikim więcej niż służącą, która przyszła do niej poprzedniego dnia.

Ruszyliśmy z koszami na pole. Słońce mocno prażyło.

– Poprosiła mnie o to – wyjaśniła Szira, kiedy znalazłyśmy się w poprzetykanym promieniami cieniu migdałowców. – Nie prosi o miłość, lecz o uczciwość.

Kobiety spożywające swą południową strawę w gaju zaczęły nam się przyglądać i szeptać między sobą, wszystkie, oprócz służącej, która zbierała orzeszki dla swej pani. Wokół spadały blade płatki kwiatów migdałowca, w połowie gorzkie.

– Gdy nadejdzie czas i będziesz potrzebowała pomocy, ciebie też wysłucham – zapewniła Szira. – Zrobię wszystko, o co poprosisz.

– Czy o cokolwiek cię prosiłam? – Zarumieniłam się, speszona.

Szira postawiła kosz z łąjnem pod najwyższym migdałowcem obsypanym tysiącem kwiatów. Przyszło mi do głowy, że potrafi domyślić się prawdy, nawet gdy ta pozostaje niewypowiedziana.

– Zaiste, nie prosiłaś – odparła.

Ruszyliśmy z powrotem obok ciężkich od czarnych owoców krzaków morwy i drzew pistacjowych, gdzie wciąż uwijała się służąca, zrywając orzeszki. Zauważyłam, że nawet na nas nie spojrzała, choć Szira dotknęła jej ramienia w niemym geście powitania.

– Jeszcze nie – dodała.



Wszystko, co znajdowało się w Pałacu Zachodnim i w przeszłości służyło królowi, teraz służyło nam. W niegdyś eleganckich komnatach przechowywano zboże. Garbarze, piekarze i kowale krzatali się w ogromnej sali z marmurową posadzką, nie gorszą niż te w Atenach czy Rzymie. Przybyszów z małych wiosek wytworność tych wnętrz oszałamiała. Tam, gdzie kiedyś zbierała się rodzina królewska, teraz służyliśmy ku chwale Wszechmogącego, a nie po to, by zaspokoić swoją chciwość. Powstańcy byli ludźmi o czystym sercu, ale żyli w ciągłym napięciu, jak mój ojciec. Każdego ranka chadzał do synagogi wbudowanej w zachodni mur twierdzy, by się modlić i słuchać mędrców rozprawiających o tym, co przyniesie przyszłość. Wstawałam godzinę wcześniej od niego, by upiec mu jęczmienny podplomyk. Byłam jego służącą, psem, własnością. Jego życzenia były moimi rozkazami, jego nastroje rządziły moim życiem.

Mężczyźni spotykali się w synagodze i zamartwiali o los swego przywódcy, który opuścił twierdzę kilka dni wcześniej, by pozyskać wsparcie mieszkańców miast w całej Judei. Zwolennicy Eleazara ben Jaira modlili się o jego bezpieczny powrót. Podczas nieobecności przywódcy zagrożenie wydawało się po stokroć większe, gdyż chroniło nas jedynie trudno dostępne urwisko. Gdy w czasie narady pewien starzec zapytał, kto zastąpi ben Jaira, jeśli ten padnie w walce, wszyscy zamilkli. Nikt nie chciał wyobrazić sobie Masady bez dowódcy, ciała bez ducha. Bez Eleazara byliśmy

zgubieni, zdani na łaskę bliźnich, skakaliśmy sobie do gardeł. Wraz z ben Jairem, obok innych wojowników, wyruszył mój brat, więc martwiłam się szczególnie, by ci, którzy niedawno się odnaleźli, znów się nie rozstali.

Jeszcze tego samego dnia, jakby dając odpowiedź wątpięcym, ben Jair – nasz wybawca, człowiek, który uratował nasz lud, gdy padła Jerozolima – powrócił. Zjawił się o zmierzchu. Wszyscy ruszyli na mury, by popatrzeć, jak pnie się ze swymi towarzyszami ścieżką wiodącą do królestwa Boga. Niektórzy wierzyli, że rozmawia z aniołami, że sam Rafael kroczy obok niego z lśniącym mieczem wymierzonym w naszych wrogów. Spoglądaliśmy na niego ponad chroniącymi nas skałami i byliśmy szczęśliwi, że mamy tak szlachetnego wodza.

Pod wpływem zimowych ulew świat w dole znów się zazielenił. Na pustyni pojawiły się krzaki mirtu, co zapowiadało szczęście. Kobiety nosiły jego gałązki pod bielizną, by roztaćać wokół siebie słodką woń. Zmianie pór roku towarzyszyło uczucie radości, także mojej, wiążącej się z tajemnicą, która była we mnie. Odetchnęłam z ulgą, gdy ujrzałam Amrama. Chciałam jeszcze zobaczyć ben Jaira, człowieka, który poprowadził mego brata i jego przyjaciół w to odległe i groźne miejsce. Ludzie zaczęli przepychać się w tłumie. Każdemu przyświecał jeden cel – ujrzeć wodza i poczuć jego moc. Musiałam wspiąć się na palce. Wszyscy byli gotowi oddać za niego życie, chętnie osłoniliby go własną pierśią przed strzałami wroga. Wielu chyliło głowy w jego obecności, niczym przed świętym czy mędrce.

W Jerozolimie pewnie zniknąłby w tłumie. Nie imponował wyglądem. Nie był wysoki ani przystojny, jedynie szeroki w barach. Miał zacne wejrzenie, kilka blizn i potężne ramiona, zdolne cisnąć topór na polu bitwy. Dominował nad innymi i cechowała go energia, która przyciągała jak magnes. Błyszczał, gdyż pozostali szli za nim, wielbili go, okazywali mu szacunek i zaufanie. Był mężczyzną o ciemnych włosach i cerze, lecz bił od niego niewytłumaczalny blask. Nawet kiedy stanął nieruchomo, nasz wzrok spoczywał na nim. Właśnie dlatego nam przewodził.

Powracający wojownicy przyprowadzili osły objuczone bronią: strzałami, łukami różnych rozmiarów oraz dziesiątkami tarcz odebranych pokonanym. Rozbili kolejny rzymski garnizon – to, co należało do Rzymian, przeszło na naszą własność. Część zbroi z brązu zostanie przetopiona na monety. Jedną stronę przyozdobią liście winorośli, a drugą napis: „Za wolność Syjonu”. Za osiołkami sunęli dwaj zakrwawieni mężczyźni. Upokorzeni, rzucali niepewne spojrzenia w tłum. Byli rzymskimi żołnierzami wcielonymi do służby w legionach w jakiejś bardzo odległej krainie. Nikt z nas nie widział jeszcze ludzi o tak bladej, mlecznobiałej skórze. Na głowach mieli rzymskie hełmy, lecz ich tuniki pochodziły z kraju urodzenia, z wyszytymi wzorami

o niespotykanym kształcie, w barwach szarej, błękitnej i czerwonej. Ich widok był dla nas krzepiący, gdyż zawsze uważaliśmy się za ofiary niesprawiedliwej wojny, a oto mieliśmy przed sobą dwóch skutych łańcuchami najemników.

Byli wśród nas niewolnicy, którzy przybyli wraz z uciekinierami z Jerozolimy, ale traktowaliśmy ich jako pomoc w domostwach i na roli i nierzadko, po wielu latach służby, zwracaliśmy im wolność. Nie chodzili pokrwawieni ani skuci. Schwywanie jeńców przyjęliśmy brawami. Stali z opuszczonymi głowami, spodziewając się, że pewnie wkrótce zginą. Jednak niebawem tłum o nich zapomniał. Skupił się na swym bohaterze, wykrzykując imię Eleazara ben Jaira niczym spragniony, który dopomina się wody. Niektóre kobiety twierdziły, że oczy ben Jaira zmieniają kolor. Zwykle były szare, jak woda w studni, ale czasami przybierały odcień jasnozielony, niczym wodospad nad sadzawką. Podobnie niełatwo było określić jego charakter. Był człowiekiem, który odchodził, gdy się z kimś nie zgadzał, lecz kiedy przemyślał sprawę, wracał i żądał kolejnych argumentów. Miał wrodzony dar przekonywania i wielkie serce. Gdy jeden z wojowników został ciężko ranny w walce, nie posyłał innego, by go z litości dobił. Sam dokonywał tego straszliwego dzieła, po czym odmawiał modlitwy w akcie miłosierdzia, za które poległy nigdy mu się nie odpłaci. Był otwarty na ludzi żywo na niego reagujących. Czcili go i lękali się jego gniewu, ale też miłowali go jak syna lub brata.

Tamtego dnia, kiedy wrócili z jeńcami, ben Jair miał dwie świeże rany: na szyi i piersi. Nosił długie włosy, które wiązał w ogon, jak czynili to wojownicy. Zawsze okrywał się tałasem, niezmiennie gotowy do modlitwy. Być może prawdą było to, co szeptali ludzie, że wie więcej niż inni i że jego moc bierze się z daru proroctwa. Potrafił odróżnić prawych od niegodziwych, a gdy spoglądał na wroga, umiał przez szaty i ciało dojrzeć jego duszę.

Kiedy podniecony tłum ruszył ku niemu, skuliłam się w sobie, lękając się, że ben Jair przejrzy także mnie. Ludzka ciżba mogła z łatwością zdeptać tych, którzy nie dotrzymywali jej kroku. Po niebie przeleciało stado dzikich gołębi, lecz nawet jeśli był to jakiś znak, nie umiałam odczytać tego proroctwa. Ptaki szybko znikły, kierując się najpierw na wschód, a później na północ, w stronę Jerozolimy. Zauważyłam, że Szira je obserwuje, a na jej twarzy pojawił się grymas rozpacz. Zaczęłam się zastanawiać, czy dojrzała coś, co mnie umknęło. Trzymała w dłoni gałązkę mirtu, jak panna młoda w noc zaślubin.

Ben Jair oczarował tłum. Opowiedział o Rzymianach pokonanych w ostatniej bitwie, ubranych w hełmy i kolczugi, z tarczami niemal nie do przeniknięcia, gdy ustawili się w szyku przypominającym żółwia. Tylko najdzielniejsi mogli się tam wedrzeć, dzierżąc

w dłoniach sztylety. Pochwalił swych wojowników za odwagę, w szczególności zaś mojego brata. Amram schylił głowę, by nie okazać chełpliwości, lecz był wyraźnie zaszczycony. Dostrzegłam srebrny amulet Salomona na jego szyi, który wciąż go chronił.

Później ben Jair zaczął wyliczać łupy zagarnięte w obozie Rzymian: złoty napierśnik wysadzany szlachetnymi kamieniami, złote sygnety, amfory z winem i monety do przetopienia. Oznajmił, że zwycięstwo to zawdzięczamy Bogu i że musimy być silni duchem, by oddać Mu cześć.

– Nawet jeśli teraz życie wydaje się ciężkie, to wkrótce będzie jeszcze cięższe – zapowiedział chmurnie, a bijąca od niego jasność przyblakła.

Jednak ta otrzeźwiająca zapowiedź nie zdołała przyćmić naszego poczucia tryumfu. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak falujący tłum staje się jednym ciałem i duchem. Zwłaszcza wojownicy, jak zauroczeni, wpadli w euforię, wszyscy, co do jednego. Tak mi się przynajmniej zdawało, póki nie rozejrzałam się po dziedzińcu. Dostrzegłam Amrama wśród swych braci, z których wielu odniosło rany w bitwie. Sądziłam, że będzie spijał każde słowo z ust ben Jaira, jak pozostali wojownicy, oczarowany przemową ukochanego wodza, tymczasem on wpatrywał się w dziewczynę na skraju tłumy.

To była Aziza. Stała ze spuszczonej powiekami, a jej gładkie lśniące włosy skrywał welon.

Tamtego wieczoru poszłam do mykwy. Było to miejsce odrodzenia i nadziei. Po powrocie brata odczuwałam jedno i drugie. W kamiennych niszach wzdłuż ścian płonęły lampy oliwne, rozświetlając panujący wewnątrz mrok. Liczyłam, że będę sama. Mój odmienny stan nie był jeszcze oczywisty, chyba że ktoś uważnie by mi się przyjrzał. Na miejscu zastałam kobiety z pola. Gdybym wyszła, poczułyby się urażone, więc zdjęłam w ciemnościach tunikę i chusty, mając nadzieję, że ukryję swą krągłość. Sztylet ben Szymona, który zawsze nosiłam przy sobie, schowałam pod złożonymi szatami, po czym szybko zeszłam po schodach i zanurzyłam się w wodzie, nim ktokolwiek zdążył przyjrzeć się moim kształtom.

– Wreszcie postanowiłaś do nas dołączyć? – zaczęły mnie. – Czemuś taka wstydliva?

Nie zaprzeczyłam, że jestem nieśmiała. Zwiesiłam głowę i wyznałam, że moje piegi zawsze mnie krępowały. Niech im się zdaje, że słusznie mnie oceniły jako płocze dziewczę, które trzyma się na uboczu. W końcu jednak przyłączyłam się do ich żartów. Jeszcze umiałam się uśmiechać, nawet jeśli było to nieszczerze. W łaźni kobiety

zachowywały się swobodniej, wyznawały sobie sekrety, siedząc w kręgu w wodzie. Zaczęły wypytywać mnie o brata, co nie było wielką niespodzianką. Gdziekolwiek się pojawił, dziewczyny do niego lgnęły. Kobiety z mykwy stwierdziły, że jest przystojny. Nie zaspokoiliam ich ciekawości. Odrzekłam, że rzadko go widuję. Przyjęły tę odpowiedź ze zrozumieniem. Później jęły plotkować o Szirze. Dziewczyna o imieniu Naomi sugerowała, że gdyby nie była daleką krewną ben Jaira, już dawno by ją wygnano na pustynię. Szira uprawiała *keszafim*, znała tajniki magii. Żydzi wierzyli, że każdy przedmiot z wizerunkiem słońca i księżyca należy zanieść nad Morze Soli i wrzucić do wody, lecz kilka dziewcząt widziało tak przyozdobione złote amulety na szyi tej czarownicy. Krążyły plotki, że ma w kuchni szkatułkę zamykaną na klucz w kształcie zakazanej figurki egipskiego węża, Deraqona. Ponoć trzymała w niej niezliczone występki i jeśli ktoś ośmieli się uchylić wieko i je uwolnić, obciążą one sumienie tej osoby – opadną ją jak osy, zaczną żądlić i nigdy jej nie odstąpią. Jedna z kobiet twierdziła, że została użądlnona, gdy nazwała Szirę wiedźmą.

Zwróciłam uwagę na cichą dziewczynę z warkoczami w kolorze miodu, która trzymała się nieco z dala od pozostałych. Była to ta sama służąca, która zwróciła się o pomoc do Sziry, ta z rękami ubrudzonymi oleistymi pistacjami. Wiedziałam, że mnie rozpoznała, bo wciąż unikała mojego wzroku. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jest młodziutka. Poczułam smutek na myśl, co też mogła utracić na szczycie tej góry.

Tymczasem pozostałe plotkowały w najlepsze. Szeptaly, że mimo wszystko wiedźma to tylko kobieta, za to jej córka Aziza to coś o wiele gorszego. Należała ponoć do *szedim*, pół ludzi, pół aniołów, była zatem demonem. Dziewczyny zarzekały się, że jej ojciec był aniołem zesłanym na ziemię, by nauczać czarów złe kobiety pragnące poznać ich tajniki. Z tych związków rodziły się takie stworzenia jak Aziza. Trudno było je rozpoznać, gdyż jadły i piły jak ludzie. Mogły współżyć z mężczyznami i sprawiać, by ich pożąдали. Nawet umierały jak zwykli śmiertelnicy, lecz całkiem się od nas różniły. Potrafiły przepowiadać przyszłość z kubka wody i przewracać stronicę Księgi Życia, by przeczytać imiona, które były w niej zapisane. Przelatywały z jednego krańca świata na drugi w czasie, którego potrzebowaliśmy, by wstać z siennika. Ćwiczyły cierpliwość, ale zawsze dostawały, co chciały, bo miały prawo do wszystkiego, czym cieszą się ludzie. Tym samym były jak wszyscy posłańcy niebios i budziły nasze zadziwienie, bowiem dla nas ludzkie potrzeby i pragnienia nie były sprawą wyboru.

Słuchałam tych opowieści z obojętną miną, nie robiąc żadnych uwag, choć czułam, jak przechodzą mnie dreszcze. Wszystkie moje uczynki od chwili, gdy opuściłam Jerozolimę, musiały innym wydać się grzeszne. Gdyby te kobiety wiedziały, że

zwabiłam lwa, dopuściłam go do siebie i nigdy nie odtrąciłam, nawet kiedy co miesiąc krwawiłam i byłam *nida*, to co by o mnie pomyślały? Co by powiedziały, gdyby ujrzały mnie na pustyni, jak wyczekuję go na grani, przedkładając bycie z nim nad czystość, posłuszeństwo i obowiązek?

Odwracałam głowę, kiedy obmawiały Azizę. Widziałam, jak szorowała gniazda w gołębnikach, aż krwawiły jej dłonie. Nie była to praca dla półanioła ani czarownicy.

– Spójrz na nią – upierały się dziewczyny z pola. – Nigdy nie chadza do łaźni. Nie zdejmuje tuniki ani chust przy ludziach. Musi mieć jakiś powód.

Zazdrościły jej, bo wszędzie, gdzie się pojawiła, mężczyźni wodzili za nią wzrokiem, gdyż miała czarne jak noc włosy, słodki uśmiech i nie plotkowała o nich z zawiścią ani nie oczerniała. Może i one zauważyły, że rumieni się, kiedy pada imię mego brata. Kilka z nich zabiegało o moje względy tylko dlatego, że byłam jego siostrą. Naomi przysunęła się do mnie tak blisko, że aż poczułam w chłodnej wodzie żar jej ciała. To zazdrość ją rozpałała. Wiedziałam to aż za dobrze.

– Miej baczenie przy córce tej wiedźmy – przestrzegła mnie. Najwyraźniej sądziła, że szukam przyjaciółki. – I nie próbuj jej łapać. *Szedim* mają skrzydła.

Według niej skrzydła Azizy były czarne jak u kruka i ponoć jak kruk wieszczyła pieśnią nadejście anioła śmierci. Przysiadła na murze Heroda za każdym razem, gdy wojownicy wyruszali na bitwę, i wpatrywała się w horyzont swymi srebrzystymi oczami.

– Mylisz się – rzuciłam nieśmiało, pragnąc uciąć rozmowę.

Wiedziałam, że anioł śmierci zawsze przychodzi niezapowiedziany. Przybywał w ciszy i odchodził w smutku. Zjawiał się, kiedy już się wydawało, że niebezpieczeństwo minęło, tak jak wtedy, gdy ruszyliśmy przez pustynię za skrawkami błękitu z lekiem dla bliskich ben Szymona w rękę.

Wracając z łaźni z włosami ociekającymi wodą, poczułam się lepsza od tych głupich kobiet, lecz kiedy przemierzałam główny plac twierdzy, dojrzałam w ciemnościach przypominającą anioła postać, która poruszała się tak, jak ponoć czynią to te istoty – po obrzeżach ludzkiego widzenia.

Przez chwilę bałam się, że Śmierć jest rzeczywiście blisko i że kobiety z łaźni miały rację. Zadrzałam na myśl, że zesłano nam jej posłańca. A może, po prostu, nie zamknęłam gołębnika, ptaki wymknęły się i ukryły w koronach drzew oliwnych, szeleszcząc liśćmi? Było zbyt ciemno, by coś zobaczyć, więc przystanąłam i zaczęłam mrugać powiekami, by oczy przywykły do mroku. W końcu dostrzegłam niewyraźny zarys kobiecej sylwetki.

Wtedy ujrzałam także mojego brata przy niewielkiej sadzawce, w której sto lat wcześniej król Herod hodował błyszczące małe rybki, jak niosła wieść, ze szczerego złota. Jedną z nich wyciągnął jastrząb i natychmiast runął na ziemię, przytłoczony własną chciwością. Dziewczyna podbiegła do Amrama i padła mu w ramiona. Nie trzeba było rzucać na niego uroku. Pragnął jej i jakiegokolwiek czary na nic by się tu zdały. Sam wpłynął w sieć miłości i zawiązał liny – i nie dlatego, że Aziza była aniołem, lecz dlatego, że była kobietą z krwi i kości.

Mimo wiosny zaskoczył nas zimny wiatr. Gdy ustał, owoce opadły z drzew i roztrzaskały się na kamieniach. Kilka kobiet zarzekało się, że szczątki fig przybrały kształt czerwonych jastrzębi, które krążyły nad twierdzą, wyczekując chwili, by ją zagarnąć. Pośpiesznie chwycono za kosy, aby zebrać z pól pszenicę, i płaskurkę, nim kłosa zbrązowieją. Mędrcy i członkowie starszyny odmawiali z ludem modły. Najwyższy kapłan, zwykle przebywający w synagodze, gdzie studiował święte księgi i udzielał rad wiernym, sam stanął na murach, by przewodzić modlitwom. Zwał się Menachem ben Arrat i uchodził za jednego z pięciu najbardziej uczonych w Piśmie w całej Judei. Powiadali, że usłyszał głos Boga na szczycie góry. Nasza sytuacja stała się na tyle poważna, że postanowił wyjść do ludzi, gdyż bez sadów nie mieliby co jeść, a bez gołębi nie byłoby sadów. Polubiłam gruchanie tych ptaków, dźwięk tak piękny, że król Salomon w swej Pieśni nad Pieśniami oddał mu cześć, jakby był głosem jego ukochanej: „Gołąbko ma, ukryta w zagłębieniach skały, w szczelinach przepaści, ukaz mi swą twarz, daj mi usłyszeć swój głos! Bo słodki jest głos twój i twarz pełna wdzięku”.

Starszyna wydała w naszym imieniu postanowienie. Gołębniki zostały pobłogosławione i złożono ofiary, by stado zdrowo się chowało. Zapaliłyśmy drewno balsamowe i mirrę w małych srebrnych czarkach. Kadzidło miało sprawić, by nasze podopieczne dobrze się nosły. Z powodu dokuczliwego wiatru ptaki drżały na grzędach i chowały łebki pod skrzydła. Przydzielono nam rzymskiego jeńca z północnej krainy, by wykonywał najcięższe prace: nosił kosze na pole, przerzucał siano i je grabił, gdy zaczynało cuchnąć. Drugiego jeńca wymieniono u kupców z Edomu na dwa osły i już nie było go w twierdzy. Tyle kosztował niewolnik. Naszemu zakuwano nogi w żelazne okowy, które zdejmowano, kiedy do nas przychodził. Unikał naszych spojrzeń i robił, co kazałyśmy. Zaplótł rozpuszczone wcześniej jasne włosy w warkoczyki, lecz mimo tej próby upodobnienia się do nas wyglądał całkiem odmiennie.

Wstydził się swego ponizenia, jednak gdy Riwka przywołała go gestem, niezwłocznie uczynił to, czego zażądała. Był wysoki, niemal olbrzymi, umięśniony, miał długie ręce

i nogi. Na jego potężnym przedramieniu widniał wytatuowany wizerunek zwierzęcia przypominającego koziorożca, z ogromnymi zakrzywionymi rogami. Zauważył, że mu się przyglądam, i spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie bój się – uspokoiła mnie Riwka, kiedy spostrzegła jego bezczelne wejrzenie. – Zrobimy, co trzeba, żeby go okiełznać.

Popatrzył na nią ponuro i znów zajął się czyszczeniem gniazd. Szybko doszłam do wniosku, że zna nasz język lepiej, niż to okazuje. Wzruszał ramionami, udając, że nie rozumie, ale domyśliłam się prawdy, gdy pewnego dnia spojrzał na mnie po tym, jak rozbiłam jajko i zaczęłam szeptać modlitwę za duszę nienarodzonego gołębia.

– Rozumiesz, co mówię? – spytałam.

Odwrócił wzrok. Miał dziwne, błękitne oczy.

Zauważyłam, że często obserwuje plac przez siatki w oknach, które zapewniały dostęp powietrza, ale powstrzymywały ptaki przed ucieczką. Pomyślałam, że pewnie wypatruje drugiego jeńca.

– Twojego towarzysza już stąd odesłano – rzuciłam. – Więcej go nie zobaczymy.

Może mi się zdawało, ale chyba się skrzywił, kiedy to usłyszał. Zrobiło mi się go żal, bo teraz został sam. Przypomniało mi się, jak napotkany na pustyni lampart pierzchnął, gdy wskoczyłam na głaz i zaryczałam. Czmychając w krzaki, był samotny jak palec – zupełnie jak ja.

– Jeśli ci życie miłe, nie słuchaj, nawet jeśli nas rozumiesz – przestrzegłam jeńca.

Przekonałam się, że jest bystry. Obmyślił nowy sposób czyszczenia gołębników grabiami własnego pomysłu. Znalazł zardzewiałe gwoździe i przybił nimi małe gałązki do pokrzywionej gałęzi oliwki, która wrosła do budynku przez dziurę w dachu. Ilekroć zauważył, że mu się przypatruję, peszył się i stawał ostrożny. Kojarzył mi się z syryjskim niedźwiedziem, jakiego widziałam raz w Jerozolimie. Jego właściciel, Rzymianin, skuł go i nauczył różnych sztuczek. Niedźwiedź z reguły wbijał wzrok w ziemię, ale raz, kiedy już nie mógł się powstrzymać, obnażył kły. Wtedy treser zaczął go bić. Zwierzę zakryło głowę łapami, jak bity człowiek. Publiczność wybuchła gromkim śmiechem, lecz ja uciekłam z bijącym sercem.

– Masz dość jedzenia? – spytałam jeńca któregoś wieczoru.

Udałam, że jem, żeby zrozumiał. Potrząsnął głową i wzruszył ramionami. Sypiał skuty na cuchnącym strychu w gołębniku. Do spożycia dostawał ziarno i suchary. Zaczęłam przynosić mu gałązki, by mógł się ogrzać przy ogniu, bo noce były chłodne.

– Głuchy jesteś?

Wtedy na mnie spojrzał. Był obcym człowiekiem z krainy pokrytej śniegiem, który widziałam tylko raz w życiu, w dzieciństwie, gdy oszronił wzgórza w Jerozolimie.

Przyniósł go tam Szalgiel, anioł śniegu. Niektóre dzieci pomyliły go z manną i zaczęły jeść garściami, odmrażając sobie wargi.

Nasz niewolnik mnie zrozumiał, byłam tego pewna.

Wiedziałam, czym jest tęsknota za życiem tak odległym, że zdawało się snem. Czy śnił o śniegu i dzikich kozach, czy o swym towarzyszu, który popłynął w kajdanach przez Morze Soli?

Wyciągnęłam z gniazda gołębia, odczekałam, aż przestanie trzepotać, i jednym ruchem skręciłam mu kark. Niemal się roześmiałam, widząc zaskoczenie na twarzy niewolnika. Pewnie mnie podpatrywał i nie spodziewał się, że jestem do tego zdolna. Ale ja nie bałam się okrucieństwa. Wiedziałam, że we mnie drzemie, tak jak w lamparciu, który musi schwytać ofiarę, by przetrwać. Jeniec spojrział na mnie z wdzięcznością, kiedy podarowałam mu ptaka na wieczerzę. Ukrył go w kącie, by móc dosięgnąć, gdy skują go na noc.

Kiedy nazajutrz wiecznie niezadowolona i skora do besztania Riwka zauważyła, że jeden z ptaków zniknął, powiedziałam jej, że widziałam wcześniej jastrzębia. Dostyc często zdarzało się, że gołąb wymykał się przez wąski otwór w dachu i padał ofiarą drapieżcy. Wówczas z nieba sypały się pióra, a gdyby zmrużyć oczy, można było też dostrzec cienką strużkę krwi.



Gdy szłam na mury, by przypatrzeć się widokom, jakie roztaczały się z twierdzy, byłam oszołomiona tym, jak wielka odległość dzieli nas od świata. Pustynia zdawała się nie mieć końca, a równina była tak daleko w dole, że aż trudno było sobie wyobrazić, iż jeszcze będziemy po niej chodzić. Jeśli tak postrzegali ziemię aniołowie – Rafael lub Michał – albo *szedim* spoglądające z góry na ludzi, musiała im się wydać strasznym i samotnym miejscem. Masada była całym naszym światem. Wciąż przybywali do nas nowi uciekinierzy – zdesperowani, pobożni, pobici i zagubieni. W twierdzy krążyło mnóstwo plotek, gdyż nie sposób było dochować tajemnic w tak zatłoczonym i bezlitosnym otoczeniu. Jedną rodzinę od drugiej oddzielały jedynie przesłony ze zgrzebnej tkaniny z koziej wełny, rozwieszanej na sznurach.

Słyszeliśmy to, co powinno pozostać w czterech ścianach: odgłosy miłości i kłótni. Wiedzieliśmy, czyje dzieci są niegrzeczne i zostały zbesztane, a czyje żony rzucały przekleństwa, gdy mąż wyszedł z domu. Łaźnie wypełniały po brzegi rozmowy i nagie ciała. Kramy były pełne chętnych do zakupu mąki i oliwy. Przybyło tu z Jerozolimy tyle osób, że brakowało ich dla każdej. Wszystkim musieliśmy się dzielić i wystawać

w kolejkach po oszczędnie wydzielane racje produktów z pustoszejących spiżarni. Krzątaliśmy się z mozołem wokół codziennych spraw do późnego wieczora. Rozumiałam, dlaczego mężczyźni robili wypadki z twierdzy. Nawet jako kobieta niemająca wiedzy o tym, co dzieje się w synagodze i koszarach, pojmowałam, co nas czeka, jeśli Bóg nie okaże nam wsparcia. Choć na polach zrobiło się zielono, trudno było przewidzieć, czy plonów nie zniszczą burze lub chmury szarańczy i czy nie przyjdzie nam głodować w miesiącu *aw*, gdy świat znów zaleje żar.

Tymczasem pogoda była umiarkowana. Zbieraliśmy dziką rzodkiew i sałatę, które rosły między skałami za Bramą Węża, w miejscach gdzie z pozoru nic nie miało prawa wzejść. Wiedzieliśmy jednak, że czas obfitości nie trwa bez końca. To dlatego Herod zaopatrzył swe spiżarnie na sto lat, a ten czas powoli mijał. Ubywało oliwy i wina z glinianych amfor. Pukaliśmy w nie i kiedy dźwięk odbijał się echem, wiedzieliśmy, że są puste.

Byliśmy tak liczni, że zaczęto wydzielać nam chrust do rozpalania ognisk. Zastanawiałam się, co się stanie, jeśli plony okażą się marne i pozostaną nam tylko nasze umysły. Pewnego wieczoru wyszłam po drewno na podpałkę, które trzymaliśmy przy wejściu, lecz gdzieś zniknęło. Ojciec uznał, że zjadły je kozy, ale przecież zamknęłam zwierzęta w zagrodzie. Powiedział, że jestem głupia, bo nawet nie umiem policzyć patyków, jednak ja wiedziałam, że drewno skradł któryś z sąsiadów. Tak się działo w chudych czasach. Prawda o ludziach wypływała na wierzch jak drobne srebrne rybki, które wyskakiwały z piasku na pustyni podczas powodzi i cudem pojawiały się w rwących wąwozami strumieniach. Ponoć mogły zagrzebać się w piachu na siedem lat, a ich ciała schły, niemal przemieniając się w pył. Jednak przy pierwszej okazji, w momencie, kiedy nadchodził deszcz, pokazywały swoją prawdziwą naturę, zupełnie jak ludzie, gdy dać im ku temu powód.

Ojciec był szczęśliwy, kiedy nie musiał mieć ze mną do czynienia. Pozwalał mi sprzątać i gotować, lecz mnie ignorował. Słyszałam, jak mówił do mężczyzn, którzy o mnie wypytywali, zapatrzeni w moje rude włosy: „Są z nią same kłopoty”.

Okrywszy ramiona płaszczem, często przesiadywał o zmierzchu na ławce przy wejściu, którą sam zbił z desek. W gasnących promieniach słońca zanikał, wtapiając się w ciemność i noc, tak jak wtedy, gdy czaił się przed Świątynią i stawał się niewidzialny. Zastanawiałam się, czy tylko ja dostrzegam jego sylwetkę na tle kamiennej ściany, kiedy, zwrócony twarzą ku Jerozolimie, tęsknił – podobnie jak ja – za minionym życiem. Współczułam mu, choć tak bardzo mnie krzywdził. Byłam jego współniczką w zbrodni.

Mimo pogardy, jaką dla mnie żywił, nie wstydził się spożywać stawy, którą mu gotowałam, pochłaniając nieśpiesznie soczewicę duszoną z grochem i jęczmieniem. Gdy siedział na dworze, wreszcie mogłam się zająć własnymi myślami. Słyszałam śpiew kobiet gromadzących się przy wrzecionach na placu. Ich słodko brzmiące pieśni przypominały ptasie trele. Nauczyłam się prząść wełnę, lecz nigdy do nich nie dołączałam. Gdybym tam poszła, któraś mogłaby zacząć mnie wypytywać i wyciągnąć ode mnie, kim naprawdę jestem. Dowiedziałyby się, że – jak mawiał mój ojciec – są ze mną same kłopoty i że jestem upadłą kobietą, która wkrótce urodzi. Niedługo już nie zdołam ukryć prawdy.

Nikt nas nie odwiedzał, nawet mój brat, który wykorzystywał każdą wolną od obowiązków chwilę, by wymykać się gdzieś z Azizą. Nawiedzał mnie jedynie duch z mych snów. Ten zawsze był mi wierny. Z czasem poznałam go lepiej niż kogokolwiek innego. Co noc sypiałam z duchem Sii i co noc Sija płakała w moich snach. Nie wierzyłam w łzy, ani własne, ani cudze. Uważałam je za coś wstydlivego, oznakę słabości, lecz nie miałam wyjścia – leżałam w milczeniu i słuchałam jej szlochu. Byłam do niej przykuta, tak jak niewolnik z północnej krainy był przykuty do ściany gołębnika.

Tymczasem w pewną czarną noc to nie duch do mnie przyszedł, lecz Nahara. Było to o tej samej porze, gdy ojciec mnie obudził, kiedy umykaliśmy z Jerozolimy, tyle że Nahara nie wyrwała mnie ze snu krzykiem tak jak on. Przyklękła na moim sienniku i zakryła mi usta dłonią. Uczyniła to, bym ze strachu nie zawołała ojca. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem na pustyni i że to ben Szymon żąda ode mnie milczenia, więc się nie opierałam. Ale ta dłoń była mniejsza, delikatniejsza. Otworzyłam oczy i ujrzałam Naharę, która nakazała mi pośpiech. Sięgnęłam po tunikę i podążyłam za nią na dwór, by ojciec nie usłyszał naszych szeptów. W twierdzy zawsze kręcili się wartownicy, dlatego zaszyliśmy się w jakimś zakamarku.

– Matka chce, żebyś poszła ze mną. Jesteś jej potrzebna – rzuciła dziewczyna z właściwą jej uroczą prostolinijnością. Najwidoczniej spodziewała się, że wykonam polecenie.

– Niech pomoże jej twoja siostra – odrzekłam, pragnąc jak najszybciej wrócić do domu. Na niebie świeciło mnóstwo gwiazd. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, jak spadają. Zdawało się, że są tak blisko jak Morze Soli, jednak były daleko.

– Mojej siostrze brakuje odwagi, by zrobić to, co nas czeka. – Nahara mówiła tak poważnie, że to ona mogłaby być starszą siostrą. Miała ciemne oczy, jak Aziza, ale przetkane złotymi cętkami, zawsze na wpół przymknięte, co przydawało jej subtelności i świadczyło o refleksyjnej naturze. – Aziza w życiu nie będzie akuszerką.

Nie znosi widoku krwi.

– Jak to możliwe? Słyszałam, że potrafi robić rzeczy, na które nie zdobyłaby się żadna śmiertelniczka – odparłam, dodając podchwytliwie: – Może mój brat wie o tym coś więcej?

Nahara się uśmiechnęła. Wyglądała poważnie jak na swój wiek, podobnie jak ja kiedyś.

– Wątpię – odparła. – Cóż o kobiecych sprawach może wiedzieć wojownik?

– Muszę się wyspać – zaprotestowałam, lecz Nahara pociągnęła mnie za rękaw, nie dając za wygraną.

– Matka nalega. Powiedziała, że w rewanżu ona pomoże lwicy.

Słowa te pozbawiły mnie resztek senności. Czy była to ukryta groźba, czy też obietnica? W izbie czekał na mnie tylko zwinięty w kłębek, szlochający duch i zabójca, który mnie ganił, gdy zamiatałam podłogę. Nahara dodała, że musimy znaleźć czarnego psa. Zaciekawilo mnie to i postanowiłam jej towarzyszyć. Przyniosła ze sobą dzban. Dała mi kawałek powrozu. Skoro Szirze tak na tym zależało, to w twierdzy było sporo czarnych psów. Natychmiast jednego wypatrzyłam i schwytałam. Nic trudnego, lecz kiedy przyprowadziłam go Naharze, ta wybuchnęła śmiechem. Aż musiała zakryć usta dłonią, żeby nikt jej nie usłyszał.

– Nie nada się? – spytałam rozeźlona. Zawięzałam mu powróż na szyi, jednak Nahara uwolniła go z uwięzi. Pewnie ucieszyła się, że nasze zadanie okazało się takie proste.

– Tamten. – Wskazała na groźnie wyglądającą sukę, która warczała na nas z oddali.

– Dasz radę?

– Czarny pies to nie lew – odparłam.

Schwytałam go tak, jak chwytałam ptaki na pustyni. Usiadłam obok, nie zwracając uwagi na to, że szczyrzy na mnie kły. Milczałam, bo taki miałam dar i byłam w tym najlepsza. Po chwili nasunęłam pętlę na szyję suki. Popatrzyła na mnie i od tej chwili należała do mnie, jak tamte ptaki i jak ja należałam do ben Szymona, gdy na niego spojrzałam.

Nahara podbiegła z rozwianymi włosami, zachwycona moim wyczynem, jednak nasze zadanie nie było jeszcze skończone.

– Teraz musisz coś od niej wziąć – poinstruowała mnie. – Może cię ugryźć.

Wtedy zrozumiałam. Suka miała obwisłe sutki, widać niedawno się oszczeniła. Chodziło o jej mleko.

– Czemu nie ty? – zaoponowałam. – Jesteś drobna i zwinna. Będę pilnować, by cię nie ugryzła. Zbliź się do niej jak do kozy, zdecydowanie.

– Nie, ty. Ja jeszcze nie jestem kobietą – potrząsnęła głową Nahara.

Mocniej zacisnęłam pętlę na szyi suki i skłoniłam ją, by na mnie spojrzała. Bez słów nakazałam, żeby się nie ruszała. Wystarczył dotyk i milczenie – posłuchała. Była ciepła i całkowicie mi się poddała. Moje ruchy musiały być delikatniejsze niż ostre zęby jej szczeniąt. Kiedy już pobrałam mleko, uwolniłam ją i ruszyłam za Naharą wzdłuż najstarszego fragmentu murów. Ponoć tutejszy wapień pochodził z tych samych kamieniołomów co ten, z którego Herod wzniósł Świątynię w Jerozolimie. Na każdym kamieniu widniało jego godło. Zastanawiałam się, czy sądził, że w ten sposób oznakowane będą wieczne, i czy może Adonaj sprawił, że się zawaliły, po to, by udowodnić, że człowiek pozostanie tylko człowiekiem, nawet jeśli jest królem.

Doszliśmy do opuszczonej części pałacu, strawionej przez pożary za czasów Rzymian, lecz nadal przydatnej, gdy ktoś poszukiwał ustronnego miejsca w zatłoczonej twierdzy.

– Dlaczego nie poprosiłyście o pomoc Riwki? – spytałam, gdyż z pewnością jej mogły bardziej zaufać. – Bała się, że pies ją ugryzie? – dorzuciłam szyderczo.

– Opiekuje się dwoma małymi chłopcami, a to może potrwać całą noc.

– Riwka? – zdziwiłam się. Była taka zgorzkniała, ledwo się odzywała. – Jest za stara na małe dzieci.

– To wnuki. Zajmuje się nimi, sypiają u jej boku. A ty jesteś sama. Nikt za tobą nie zatęskni.

Z tym argumentem nie mogłam dyskutować.

– Matka prosiła o ciebie. – Nahara spojrzała na mnie z szacunkiem, który mnie zaskoczył. – Powiedziała, że z łatwością złapiesz czarną sukę, i się sprawdziło. Powinno ci to schlebiać.

Przeszliśmy przez żelazną bramę i ze wszystkich sił napałyśmy na stare rzeźbione akacyjne drzwi. Otworzywszy je, znalazłyśmy się w korytarzu prowadzącym do najstarszej ze spiżarni. Kiedyś wypełniało je tyle skarbów, że ponoć wciąż między kamieniami można się było natknąć na złoty pył. Ruszyliśmy w dół krętymi schodami o stu stopniach i, rzeczywiście, coś tam błyszczało. Poczuliśmy chłód i wilgoć, wokół panował półmrok. Korytarz, do którego dotarliśmy, coraz bardziej się zwężał, aż w końcu musiałyśmy iść gęsiego. Nahara niosła płonący oliwny kaganek, a ja dzban z mlekiem. Wreszcie trafiłyśmy do pustej sali o popękanych ścianach.

Towarzyszyło nam echo naszych kroków, choć szłyśmy bosy. Ktoś nawoływał w oddali, lecz jego głos był stłumiony. Słyszałam bolesne skamlenie. Właśnie tak zawodziła Sija, gdy zapadła na zdrowiu. Przykrywała usta dłonią, próbując wyciszyć szloch i ukryć przed nami swą niemoc.

Kiedy przeniknęłam wzrokiem panujące w komnacie ciemności, zdało mi się, że na posadzce leży demon podobny do wyrytej na amulecie mojego brata kobiety-potwora, którą – jak powiadają – król Salomon zabił w Świątyni. Podeszedłszy bliżej, dostrzegłam kobiecą postać zwijającą się w agonii. Była to ta młodziutka służąca, która przyszła po zaklęcie do Sziry, ta sama, która trzymała się na uboczu w łaźni tego wieczoru, gdy dowiedziałam się, że Aziza należy do świata aniołów i demonów. Dziewczyna przybyła do twierdzy jako służąca, lecz rodzina, u której służyła, przegoniła ją, kiedy wyszło na jaw, że jest w odmiennym stanie. Teraz uznano, że nie jest godna zrywać morw, pistacji ani nosić koszy swej pani. Tułała się wokół spiżarni, podkradając jedzenie kozom. Jej nieszczęście bardzo mnie poruszyło. Nie mogłam patrzeć, jak łapie się za brzuch, dyszy i cierpi z bólu.

Szira namawiała ją, by usiadła, ale dziewczyna nie chciała. Za chwilę powinno przyjść na świat dziecko, które nie miało ojca ani krewnych. Gdyby się okazało, że jego ojciec jest żonaty, matka nie zdołałaby umknąć przed swym losem. Starszyzna mogłaby ją skazać na zrzucenie z murów twierdzy. Narodziny te musiały pozostać tajemnicą. Jak się wkrótce przekonałam, Szira miała wielki dar dochowywania tajemnic.

Skinęła na mnie, lecz stałam jak wryta, przerażona, jakby użądliła mnie osa. Ja, zrodzona z łona martwej kobiety, nie miałam prawa czuwać przy narodzinach nowego życia.

– Szybko! – zakomenderowała Szira. Obok stał drugi dzban. – Wymieszaj mleko z wodą.

Zrobiłam to, a później tylko patrzyłam niczym we śnie, jak Szira i Nahara pomagają dziewczynie wstać i zmuszają ją do wypicia rozcieńczonego mleka suki. Część ułała się na posadzkę. Dziewczyna zarzęziła jak ktoś, kto się topi. Znow przeszył ją straszliwy ból i chwyciła się za brzuch. Szira i Nahara wzięły ją pod ręce, starając się, by przeszła kilka kroków, ale i to nie pomogło. Dziecko nie chciało przyjść na świat.

Szira kazała jej usiąść na stołku do rodzenia i przec. To także nie odniosło skutku. Służąca była bardzo młoda, wyglądała jak dziewczynka. Nie przeklinała ojca dziecka, lecz siebie. Czułam, jak coś ściska mnie za gardło, gdy patrzyłam na ten poród, który nie prowadził do szczęśliwego rozwiązania. Miałam pod tuniką sztylet ben Szymona, jego chłodne ostrze dotykało mego ciała. Pomyślałam o nożu, którego użyto, by wyjąć mnie z łona matki, jej rozdzierającym krzyku i ciszy, jaka zapadła, kiedy wydała z siebie ostatnie tchnienie.

Szira nagle podeszła i potrząsnęła mną.

– Obudź się! Biegnij do gołębnika i przynieś kosz łajna.

W spiżarni panował nieopisany upał. Szira była cała mokra. Długie czarne włosy lepiły się jej do pleców, antymon na powiekach całkiem się rozmazał. Pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak pięknego i zarazem groźnego. Jej tunika się rozchyliła i wtedy, zdumiona, dostrzegłam łańcuch czerwonych tatuaży na ramionach, coś, czego zabraniała nam religia. Kobieta w ten sposób naznaczona musiała być *kedesza*, świętą niewiastą należącą do jednej z sekt o obrządku tak tajemnym i budzącym sprzeczności, że wyklęto je na długo przed upadkiem Świątyni.

– No, ruszaj! – ponagliła mnie Szira. – Myślisz, że gdyby ta dziewczyna miała się do kogo zwrócić, toby tu była? Nie ma nikogo oprócz mężczyzny, który nie chce jej znać, i dziecka, które nie chce wyjść z jej łona!

Im szybciej to zrobię, tym szybciej wrócę do swej izby i nie będę świadkiem tego szaleństwa. Ruszyłam przypominającymi lochy korytarzami w kompletnych ciemnościach, gdyż nie miałam kaganka, aż wreszcie dotarłam do drzwi prowadzących na dwór. Choć była noc, bladocytrynowa poświata księżyca niemal mnie oślepiła po mroku, jaki panował w spiżarni. Pobiełam przez nikogo niezauważona do gołębnika. Moje stopy stąpały cicho po granitowym bruku. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka wśród trzepotu gołębi, zaskoczonych moją wizytą o tej porze. Serce łomotało mi w piersi, gdy zaczęłam gorączkowo napełniać kosz odchodami.

Nagle dostrzegłam niewolnika. Jego łańcuch zwisał na podłogę ze strychu, gdzie sypiał. Musiał obudzić się, kiedy otworzyłam drzwi gołębnika. Był gotów się bronić, gdyby nasi wojownicy zechcieli go okaleczyć, zamordować lub sprzedać nomadom. Tymczasem ja całkowicie o nim zapomniałam, słysząc własny chrapliwy, histeryczny oddech i czując palące, niewyplakane łzy pod powiekami. Spojrzeliśmy na siebie niczym dwie bestie u wodopoju, spragnione i nieufne, zdolne natychmiast się na siebie rzucić. Po chwili jeniec skinął głową, bym zajęła się tym, po co tu przyszłam. Opadł na siennik i przymknął oczy, które wyglądały teraz jak szparki. Udawał, że śpi, obrócony plecami do ściany. Byłam mu wdzięczna za ten gest i wyraziłam tę wdzięczność słowami. To, czy mnie zrozumiał, nie miało znaczenia, jednak gdy na mnie spojrział, domyśliłam się, że pojął to, co do niego powiedziałam.

Napełniłam kosz, zamknęłam drzwi i pobiegłam tam, skąd przybyłam. Z drzew spadały płatki kwiatów migdałowca i ziemia pokryła się bielą. Pomyślałam o śniegu, mannie i Jerozolimie. Pomyślałam też o jeńcu skulonym wśród gołębi. Ciężko dyszałam.

Szira czekała na mnie, przechadzając się nerwowo po komnacie. Upięła swe długie gładkie włosy w kok i zrzuciła chusty. Oстрыm jastrzębim piórem wypisała sobie na

ramionach krwią imię Boga. Napis biegł w górę, ku niebiosom. Przyrzuciła *pharmaka* z cennych liści ruty, zioła, którego unikają kobiety brzemiennie, gdyż wywołuje skurcze. Wiele w ogóle nie dotykało ruty, bo parzyła. Często ją wrywano, przywiązując do niej psa, bowiem klątwa związana z wyrwaniem korzeni spadała na zwierzę. Niektóre kobiety używały jej, by poronić, lecz najbardziej przydatna była do wywołania porodu donoszonego dziecka, żeby ratować zdrowie noworodka i matki.

Szira rozpałała ognisko, dorzucając do niego ptasie odchody. Później gasiła płomienie, aż pojawiła się smużka dymu. Komnatę wypełniła znajoma, gorzka woń, zupełnie jakby przyleciały tu z nami gołębie. Słyszałyśmy trzepot ich skrzydeł niczym przyspieszony oddech – gwałtowny jak poród, jeśli matka i dziecko miały przeżyć. Po wszystkim dziewczyna musiała wypić gorzki wywar z ruty. Ujęłyśmy ją pod ręce i zmusiłyśmy, żeby stanęła nad rozżarzoną ogniskiem. Zrobiło się strasznie gorąco, lepiłyśmy się od potu. Ściągnęłam szal, bo miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. W powietrzu unosiło się tyle popiołu i iskier, że prawie nic nie widziałam. Czułam wokół tylko sól i dym, ale nie było wyjścia – musiałyśmy dokończyć dzieła.

Wstąpiłyśmy do najgłębszej otchłani, królestwa wielkiej bogini Asztarte opisanego przez Proroków. Była z nami, mimo że mędrcy ze Świątyni uczynili wszystko, by ją zniszczyć. Nie zdołali jednak pokonać tej, która – zdaniem wielu – była kobiecym aspektem Boga, Szechiną, wszystkim, co boskie i promienne, wybranką Adonaj, jej oblubieńca. Szechina uzdrawiała chorych, zasiadała z biednymi i na równi kochała ludzi niecnym i zacnym.

Rodzająca dziewczyna zaczęła szlochać. Przestałam myśleć i tylko wykonywałam polecenia Sziry. Nie wiedziałam, co mnie tu przygnało, wyrwało ze snu, przyciągnęło do tej mrocznej komnaty. Ja, zwiastun anioła śmierci, który znał mnie, nim poznali ludzie, zabójczyni własnej matki, pełniłam teraz straż przy Królowej Niebios.

Służąca zaklinała nas, byśmy nie kazały jej stać nad żarem. Wołała, że płonie żywcem i że wnikają w nią iskry, raniąc ciało i kości. Chciałam ją stamtąd zabrać, lecz Szira odrzekła, że dym otworzy jej łono.

– Dobroć bywa przekleństwem – powiedziała. Przykucnęła koło dziewczyny i zanosła się śpiewem.

Be-szem Ehje aszer Ehje, ce, ce, ce.

Głos miała zachrypnięty i rozpalony, śpiewała coraz wyżej. Wciąż powtarzała te same słowa, aż melodia wypełniła całą przestrzeń i słyszałyśmy jedynie tę pieśń rozpacz.

Wa-jissa wa-jawo wa-jet. W imię Jestem, który Jestem, w imię Boga, wyjdź, wyjdź.

Dotarłeś do celu podróży. *Amen, Amen, Sela.*

Dziewczyna wciąż zawodziła, lecz teraz jej krzyki stały się głośniejsze. Właśnie w ten sposób nawoływały się nocą szakale. Nieszczęsna pogrzyżyła się tak głęboko w siebie, iż zdawało się, że już się z tego nie otrząśnie. Pomyślałam o ostatnich chwilach mojej matki, nim nastąpiła cisza, o tym, jak skarżyła się na swój okrutny los, i o tym, jak ojciec pewnie szlochał za drzwiami i mnie przeklinał.

Służąca zaczęła przemawiać do osób, których tam nie było, modlić się do Adonaj, egipskiego bóstwa Abraksa i do Asztarte. Targowała się z nimi potajemnie, przysięgając, że poświęci wszystko – własne ciało, duszę i nienarodzone dziecko – jeśli tylko położą kres jej mękom.

– Zabierzcie je! – krzyczała. – Mnie też zabierzcie!

Bałam się, że jej wrzaski ściągną do spiżarni wojowników lub demony, których nie zdołamy przepędzić, lecz Szira uspokoiła mnie, że to ciszy powinniśmy się obawiać. Cisza przy porodzie oznaczała, że zwyciężyły właśnie demony i Lilit, nocny stwór rodem z Babilonu, o długich czarnych włosach i czarnych skrzydłach, czyhający na kobiety, uwodzący ich mężów i wykradający dzieci.

Wypisała na kawałku papirusu imię plugawej Obizot, demonki duszącej nowo narodzone dzieci, po czym go spaliła. W górę uleciała smuga dymu w kolorze krwi. Zapamiętałam broniliśmy tej dziewczyny i jej dziecka. Chwyciłabym każdego demona za gardło, gdyby tylko się tam pojawił. Pustynia nauczyła mnie, że trzeba zabijać, by przeżyć. Miałyśmy pod ręką pełno soli, którą mogłyśmy obrzucić wszystkie nocne stwory, jeśliby się tu zapuściły. Wzięłam garść i natarłam nią brzuch, gdyż nienarodzone jest szczególnie narażone na knowania demonów.

Stałyśmy wokół ogniska, słony pot kłuł nas w oczy. Gdy płomień przybrały barwę czerwoną i niebieską, Szira zapewniła Adonaj o swym oddaniu, by archanioł Rafael zdusił w zarodku wszelkie próby uczynienia krzywdy dziecku, kiedy się ono w końcu pojawi. Przyszła matka dostała skurczów. Dostrzegłam, że w jej brzuchu coś się porusza. Ciałem dziewczyny wstrząsnął spazm. Uświadomiłam sobie, że ja też wyśpiewuję zaklęcia Sziry. Zapamiętałam ich słowa, gdyż przekonałam się, że jedynie one mogą uchronić nas od nieszczęścia.

Jak tylko dziewczynie odeszły wody, Szira kazała nam przenieść ją w miejsce z dala od ognia. Bałam się, że dziecko pozostanie w łonie, lecz Nahara, ledwie trzynastoletnia, nie miała takich wątpliwości.

– Wreszcie się urodzi! – rzuciła radośnie. Klasnęła i ukucnęła, gotowa do działania. Noworodek błyskawicznie wypadł prosto w jej dłonie. Na jego twarzy malował się

grymas niezadowolenia. Niezrażona tym Nahara uśmiechnęła się, choć wszystko wokół było umazane krwią. „Ona jest kobietą, a ja nie. Jest już wszystkim, a ja niczym” – pomyślałam.

– I co z nią będzie? – spytałam Naharę, pochylając się nad matką dziecka.

– Wróci do swej pani i powie, że znalazła niemowlę na skałach.

– Czy aby jej uwierzy?

– Moja matka będzie jej towarzyszyć. Przyjmą ją. Uwierzą, bo muszą; dzięki temu jej pan będzie miał syna.

Szira kucnęła, sięgnęła ręką w głąb i, śpiewając zaklęcia, usunęła łożysko. Zakopie je w sadzie, gdzie nikt go nie znajdzie. To, co dało życie temu niemowlęciu, zapewni nam obfity plon.

Ta noc była niczym wichura, ale wreszcie zapadła cisza. Byłyśmy spocone, rozognione i zbyt zmęczone, by się umyć. Matka wyciągnęła ręce, wzięła zawinięte w czystą szatkę niemowlę i przystawiła je sobie do piersi. Usłyszałam szloch i nagle dotarło do mnie, że dobywa się z mojego gardła.

Teraz rozumiałam, dlaczego Szira mnie tu ściągnęła. Domyśliła się, co w sobie noszę. Podeszła i szepnęła mi do ucha tak, by nikt nie słyszał:

– Myślałaś, że tylko ty jesteś lwicą? Sądziłaś, że się nie dowiem?



Wkrótce potem mój brat stanął na czele oddziału, który miał przeprowadzić wypad. Był to dla niego zaszczyt, wyróżnienie dla jego męstwa i dowód względów, jakimi cieszył się u ben Jaira, jednak jego najbliżsi woleliby, by uniknął tej nagrody. Drżeliśmy, żeby ta wyprawa nie zawiodła go do Przyszłego Świata. Aziza była zdruzgotana. Burza czarnych, splątanych włosów opadała jej na plecy. Przestała jeść i spędzała wszystkie wieczory na murach twierdzy, wpatrując się w pustkę usypisk białych kamieni, którą wystawił nam przed oczami Bóg. Wciąż widać było na piasku ślady wojowników, którzy zapuścili się w dolinę, lecz przysypane kurzem stawały się coraz mniej wyraźne. Z czasem zanikły zupełnie i odnosiło się wrażenie, jak gdyby nasi wojownicy nigdy tamtędy nie przeszli.

Niebo zasnuły chmury. W oddali płonęły łuny pożarów, gdyż wokół grasowali nomadowie oraz kohorty Rzymian. Dym zlewał się z szarym niebem, czyniąc świat ponurym. Amrama nie było już wiele dni. Aziza położyła się na sienniku i przestała wychodzić na dwór, nawet gdy w końcu wyszło słońce. Młodsza siostra też nie potrafiła jej przekonać, że trzeba żyć dalej. Aziza wpadła w szpony lęku, który stawał

się udziałem każdej kobiety wyczekującej powrotu wojownika.

Ojciec i ja również wypatrywaliśmy Amrama na usianym skałami horyzoncie. Mimo że byliśmy sobie tak odlegli, kochaliśmy go równie mocno. Być może niepokój o jego losy sprawił, że zaczęliśmy wspólnie jadać wieczerze. Jeśli już rozmawialiśmy, to tylko o jedzeniu, ale wreszcie mogliśmy przebywać w jednym pomieszczeniu, nie odwracając się do siebie plecami. Próbowałam nie myśleć o tym, jak ojciec zareagowałby, gdyby się dowiedział, że noszę w sobie dziecko ben Szymona, jak jeszcze bardziej by mną pogardzał, upokarzał mnie i odrzucił. Przekonałby się, że jednak miał rację: ze mną są same kłopoty. Ja, która potrafiłam utopić kogoś od wewnątrz i, jak Lilit, uwieść cudzego męża, nie byłam godna zamiatać podłóg w domu mojego ojca. Wyszarpałby mi włosy i podarł szaty, by pokazać, że jestem *zona*. Później porwałby własną szatę, jak ktoś, kto oplakuje zmarłego.

Mogłabym wtedy jedynie milczeć, bo milczenie było czymś, co znałam najlepiej.

*

Drzewa owocowe nie obrodziły tak obficie, jak to zwykle po nagłym chłodzie. Zapasy poczynione jeszcze przez Heroda szybko się kurczyły, więc zmniejszono przydziały produktów. Ojciec narzekał na strawę, którą mu szykowałam, i słusznie. Zaczęliśmy odczuwać głód. Amram i inni wojownicy mieli przywieźć z okolicznych osad to, co znajdują tam w spizarniach i na polach. Można by ich nazwać rabusiami, awanturnikami i zabójcami, ale tak teraz żyliśmy. Dobrze wiedziałam, że na pustyni liczy się jedno – przetrwanie. Amram wierzył, że nawet złoczyńca może być niewinny w oczach Wszechmogącego. Twierdził, że Jego osąd zależał od motywów, a my pragnęliśmy pozostać wierni Izraelowi. Bóg z pewnością spojrzy na nas łaskawie i ześle nam szczęście.

Po narodzinach dziecka służącej Nahara zaczęła traktować mnie jak swoją powierniczkę. Pewnego dnia, po wielu godzinach pracy w gołębniku, wyznała mi, że nim Amram wyruszył do doliny, Aziza poszła do niego z proszkiem ze skóry czarnej żmii spalonej na popiół. Ich matka znała wszystkie możliwe czary i choć Aziza nigdy się tym nie interesowała, to tym razem zajrzała do księgi magii, którą Szira zawsze trzymała pod kluczem.

Przy pożegnaniu, tuląc mojego brata, posypała mu włosy proszkiem. Amram nie miał pojęcia, że jej pocałunki zawierają białozielony jad żmii, którym ukąsi swych wrogów i który ochroni go przed złem. Mój brat nie wiedział, do czego zdolna jest Aziza, by go ratować, ale ja wiedziałam. Gdybym miała dostęp do tak potężnych

czarów, zrobiłabym to samo. Spaliłabym żmiję na popiół, jeśli by to uchroniło mego ukochanego przed niebezpieczeństwem.

Kiedy wojownicy zakończyli swoją misję, okazało się, że nie sprzyjało im szczęście. Mieszkańców osady, którą zaatakowali, ostrzegło ujadanie psów. Doszło do zazartej bitwy. Obie strony poniosły straty. Wojownicy nie wrócili od razu do twierdzy, lecz udali się na przeciwległe skały, w dzikie i ponure miejsce nawiedzane przez zwierzęta. Byli *tame*, nieczyści, gdyż otarli się o śmierć, i musieli się oczyścić, więc modlili się i pościli przez siedem dni, nim znów ich powitaliśmy.

Ich bliscy wyczekiwali w milczeniu przy bramie, świadomi, że niektórzy z nich okryją się żałobą. Gdy wojownicy wreszcie się zjawili, omal nie zemdlałam, słysząc, jak ludzie wykrzykują imię Amrama. Ruszyłam ku niemu, wdzięczna losowi, że pozostał wśród tych, którzy pogrzebią poległych. Bliskość anioła śmierci pozostawiła w nim trwałe ślady. Musiał pochować swego przyjaciela Jonatana, tego, który miał zostać uczonym w Piśmie i kapłanem, lecz ostatecznie wybrał sztylet. Amram okrył ramiona jego tałasem z biało-niebieskimi frędzlami. Kobiety, które zajmowały się przygotowywaniem fioletowoniebieskiej farby do barwienia frędzli, gotowały w tym celu skorupiaki występujące tylko w jednym miejscu nad Wielkim Morzem, dodając soli, piasku i kamieni, aż osiągnęły odcień niebios. Każdy węzeł tałesu był oznaką pobożności. Doczepiano do nich amulety, by okiełznały demony i przyniosły szczęście wiernemu. A jednak Jonatana spotkała śmierć. Jego bliscy zasiedli w mrocznej izbie. Zamknawszy okiennice, by nie przeniknęło do niej słońce, szarpali swe szaty i do nikogo się nie odzywali.

Amram przyszedł do nas zjeść i się napić, ale ani razu nie podniósł wzroku. Po szalu na jego ramionach biegły strużki szerniałej krwi. Ojciec był tak szczęśliwy, że jego syn powrócił, że nie zauważył zmiany, jaka w nim zaszła, ani jego nieruchomego, ponurego spojrzenia. Widział tylko silnego wojownika, który potrafił unieść miecz tak ciężki, że był w stanie zgładzić nim każdego wroga, tymczasem ja dostrzegłam coś całkiem innego. Mój brat oddalił się o krok od świata żywych. Był bowiem zbyt blisko Przyszłego Świata, kiedy ten upominał się o jego przyjaciół. Dosięgły go demony i skalowały, szarpiąc jego duszę i próbując przeciągnąć go na stronę niedoli i bezbrzeżnej rozpacz. Anioł śmierci dojrzał ich wszystkich tysiącem swych oczu; ponoć jego dotyk był ledwie muśnięciem, gdy tak postanowił. Jeśli pozwolisz, by cię przytulił, mogłeś zapaść się w jego ramionach i już nigdy nie powstać. Widziałam, w jaki sposób mój brat patrzy na położone w dole skały. Sądził, że widzi tam to, co jest mu pisane, los, któremu umknął kosztem swych przyjaciół.

Zauważyłam, że kiedy ojciec powiedział, że Jonatan zginął, jak przystało mężczyźnie, śmiercią wojownika, Amram wzdrygnął się i odwrócił głowę. Po wieczery, gdy ojciec udał się na modły, by podziękować Bogu za szczęśliwy powrót syna, wyszliśmy z bratem na dwór.

– To ja powinienem był zginąć – rzucił, nie potrafiąc zapomnieć o swoim smutku.

Biedna Aziza, jej czary nie uchroniły Amrama. Jonatan zasłonił go własnym ciałem, w imię ich braterstwa i przyjaźni przyjmując na siebie cios wymierzony jemu. Przekonywałam brata, że to nie przypadek. Stanowiliśmy część boskiego planu i jego powrót był weń wpisany, bez względu na to, czy na niego zasłużył. Amram wciąż miał na szyi amulet, który mu podarowałam. Powiedziałam, że Bóg mu sprzyja, tak jak sprzyjał Salomonowi.

– Nie znamy zamysłów Pana – dodałam.

Ujęłam jego dłoń i położyłam na swoim brzuchu, by poczuł kielkujące w nim życie. Płód był coraz większy i w pełni ukształtowany. Amram spojrzał na mnie. Od razu się domyślił, że byłam w ramionach lwa.

– Miał cię chronić. – Słowa te skierował pod adresem ben Szymona, swego mentora, którego wielbił i któremu ufał. – To moja wina. Sam cię do niego wysłałem.

– Ani ty, ani ja nie możemy się spierać z aniołami życia i śmierci. Tak miało być.

Amram popatrzył na mnie i zrozumiał, że nie dzielę się z nim smutkiem, lecz radością.



Być może więcej prawdy odkryjemy w milczeniu niż w słowach, a może po prostu cisi lepiej słuchać. Człowiek z Północy, niewolnik, nie mógł uciec od naszego codziennego szczebiotu. Było mi go żal, bo współczułam wszystkim zakutym w kajdany, ale może łączyło nas coś więcej. Oboje byliśmy wyrzutkami obciążonymi przeszłością, jaką trudno sobie wyobrazić. Czasami łatwiej przebywać z obcym, wobec którego nie mamy żadnych oczekiwań i który sam na nic nie może liczyć. Przywykłam do jego obecności. Wszystkie przywykłyśmy. Miał zgrubiałe od pracy dłonie, lecz nigdy się nie skarżył. Jadł tyle, ile mu dawałyśmy. Spuszczał wzrok, gdy zaczynałyśmy plotkować, choć raz czy dwa razy zauważyłam, że się uśmiecha. Dziwny to był widok, dlatego szybko odwróciłam głowę, bo reagował nie jak jeniec, lecz zwykły człowiek, a wiedziałam, że nie wolno mi go tak traktować.

Kiedyś, gdy niósł ciężki kosz na pole, niesforne dzieciaki zaczęły się z niego śmiać i rzucać kamieniami. Odpędziłam je, ale nadal przezywały go imieniem wielkiego

morskiego potwora Lewiatana ze względu na jego wzrost i potężne ramiona. Może to wówczas zrodziło się moje współczucie, w chwili, gdy zobaczyłam, jak z niego sztydzą.

Krzyknęłam do dzieci, które mu dokuczały, że jeśli nie przestaną, to ściągną na siebie demony.

– Już was tu nie ma! – zawołałam.

Bezczelna dziatwa czmychnęła precz, chichocząc.

Jeniec skinął głową i jał mi dziękować, lecz mu przerwałam.

– Nie mogłam słuchać ich wrzasków i tyle. – Powiedziałam to, by sobie nie wyobrażał, że dbam o jego dobre samopoczucie. – Przegoniłam je dla siebie, nie dla ciebie.

Spostrzegłam, że często się we mnie wpatruje, gdy pracowaliśmy razem w gołębniku. Od tamtej pory zaczęłam staranniej wiązać chustę. Odniosłam też wrażenie, że gdyby tylko zechciał, mógłby biegle mówić w naszym języku. Wydawało mi się, że wszystko rozumie, lecz kiedy któraś z nas o coś go pytała, wzruszał ramionami i mamrotał po swojemu, udając, że pojmuje tyle, co gołębie. Aż tu pewnego dnia, niedługo po tym, jak przegoniłam krnąbrne dzieciaki, nagle przemówił, gdy rozrzucaliśmy nawóz pod figowcami.

– Twoje włosy są jak ogień – rzekł.

Mówił w naszym języku dziwnie, ostrożnie, niepewnie wymawiając słowa, jednak najwyraźniej dobrze go znał, być może jeszcze z czasów, nim został pojmany. Rzymscy żołnierze pochodzili z różnych zakątków imperium i jakoś musieli się ze sobą porozumiewać. Uwaga na temat włosów całkowicie mnie zaskoczyła. Wbrew sobie wybuchnęłam śmiechem.

– Uważaj, bo się oparzysz – powiedziałam.

Kiedy pękną pierwsze lody, słowa często leją się strumieniem. Jeniec wyjawiał mi, że w jego krainie mieszka wiele kobiet o rudych włosach. Zanim wcielono go do legionów, nigdy nie przekroczył granic swej wsi liczącej może dwustu mieszkańców, z którymi w większości był spokrewniony. Kraina ta była tak zimna, że przez znaczną część roku zalegał tam śnieg i lód i nawet za dnia było ciemno. Później na krótko robiło się zielono, lecz nie były to kępy zieleni, jak na pustyni, tylko zielony soczysty dywan z trawą tak wysoką jak drzewa oliwne i lasami tak przepastnymi, że potrzeba było miesiąca, by przebyć je od jednego krańca do drugiego.

Im upał stawał się większy, tym bardziej tęskniłam za jego opowieściami. Siadywaliśmy w cieniu figowców, gdy żar lał się z nieba, i zapominaliśmy o bezlitosnym słońcu przemieniającym ziemię w suchą skorupę. Jeniec opowiadał o jeziorach z wodą tak błękitną jak lazuryt, w których pływały ryby wielkości

człowieka. Tamtejsi wojownicy nosili czarne tatuaże i walczyli zaciekle jak wilki. Mieli żelazne tarcze dużo mocniejsze od naszych, których nie sposób było przebić włócznią ani toporem. Bywało, że nie sypiali przez cały miesiąc, strzegąc swych kobiet i zwierząt: owiec o włosiu tak długim, że snuło się po ziemi, i śnieżnobiałych kóz o żółtych oczach. Kiedy takiego wojownika zaszedł jakiś wróg, natychmiast padał jak długi od jednego ciosu w szyję.

– Skoro tak, to czemu jesteś niewolnikiem?

Pytanie to było obelgą dla wojownika i żołnierza legionów, który teraz musiał usługiwać kobietom, lecz jeniec puścił ją mimo uszu, tylko wzruszając ramionami.

– A ty? – odrzekł.

– Nie jestem niewolnicą – roześmiałam się.

Jego mina wskazywała, że jest innego zdania.

– Nie jestem – powtórzyłam.

– Ale będziesz. Widywałem takie w mojej krainie. – Spojrzał na mnie ze smutkiem.

Rzymianie podbili ich ziemie, po czym otworzyli przed pokonanymi furtkę pozwalającą uniknąć głodu. Jeniec postanowił, że chce żyć. Przewieźli go przez zimne morza do Rzymu, nim trafił ze swym legionem do Judei. W Rzymie widział istne cuda: łaźnie z bieżącą wodą, gorącą i zimną, domy, w których za niewielką sumę można było mieć kobietę lub chłopca, i kramy, w których sprzedawano przerażające stwory – słonie, węgorze i ryby z włócznią wyrastającą z łba. Był w Koloseum, gdzie tłoczyły się tłumy podziwiające walki gladiatorów. Nie mógł uwierzyć w to, co tam zobaczył. Wspomnienia te wciąż zdawały mu się snem.

Spytałam, czy to prawda, że Rzymianie wystawiają ludzi do walk ze zwierzętami. Odparł, że dla nich człowiek nie różni się niczym od zwierzęcia i że ciekawie się to ogląda, bo człowiek do samego końca wzywa swoją matkę lub ukochaną, a zwierzę przynajmniej wie, kiedy się poddać.

Pomyślałam o ben Szymonie, bliźnie na jego twarzy i lwie, który nie miał ochoty go pożreć. Zapytałam jeńca, czy widział walki ludzi z lwami. Przytaknął i dodał, że gladiatorzy boją się ich bardziej niż innych stworzeń, nawet krokodyli, które w wielkich zbiornikach wypełnionych wodą wtaczała przy użyciu grubych lin po palach na środek areny ponad setka mężczyzn. Te bestie chwyciły ofiarę w paszczę, wciągały pod wodę i topiły, jednak można było je pokonać, choćby dźgając nożem w oko. Niektórym gladiatorom udawało się przeżyć taki pojedynek. Tymczasem atakujący lew nigdy się nie cofał. Walczył do końca, póki nie zatryumfował, a z jego przeciwnika nie pozostało nic prócz kości.

– Czemu wypytyujesz mnie o te bestie? – zdziwił się jeniec, udzieliwszy mi kolejnej

odpowiedzi.

Wzruszyłam ramionami, udając, że bez szczególnego powodu.

– Czasami mi się śnią.

– Lepiej niech pozostaną w twych snach – doradził, lecz po jego spojrzeniu poznałam, że domyśla się, iż chodzi o coś więcej.

*

Lubiłam słuchać jego opowieści. Niektóre były tak niesamowite, że aż niewiarygodne. Opowiedział mi o stworzeniu zwanym łosiem, dużo większym w porównaniu z żyjącym w Judei koziorożcem. Łatwo go było wytropić na śniegu, nawet podczas śnieżycy, bo pocierał rogami drzewa, znacząc teren. W krainie jeńca, gdy padał śnieg, lisy zmieniały futro na białe, a kiedy zima dobiegała końca, znów robiły się rude. Nasz niewolnik przekonywał mnie, że wszystkie najpiękniejsze kobiety w jego kraju mają rude włosy. Dodał podstępnie, że tutaj też. Niekiedy śmiałam się z jego opowieści, nie dając wiary, że rzeki wypłukują srebro, potwory w oceanach mają w sobie tyle wody, że wypływają ją na zewnątrz, i że spotyka się liczące sto sztuk watahy wyjących po nocach wilków.

Riwka często przypatrywała się nam, kiedy byliśmy na polu. Czasami, gdy wracaliśmy do gołębnika z pustymi koszami, kręciła głową i marszczyła brwi. Mimo jej złośliwości nie zamierzałam przestać słuchać opowieści jeńca z północy. Kiedy je snuł, nie myślałam o pustyni, przeszłości, która mnie prześladowała, ani o swych występkach, lecz o krainie, której nigdy nie poznam, śnieżnych zaspach i mężczyznach z czarnymi tatuażami, mocujących płaskie gałęzie do stóp, by bez trudu mogli sunąć po śniegu, jak niedźwiedzie.

Jeniec ufał mi tak bardzo, że opowiedział o tym, jak go pojmano, choć dyszał z wściekłości na wspomnienie o tym zdarzeniu. Gdy nasi wojownicy złupili obóz Rzymian, on i jego ziomkowie padli na kolana, zaklinając się, że nie są poddanymi cesarza i że nigdy nie podnieśliby na nas ręki. Wbił wzrok w ziemię, mówiąc o przeżytych wówczas upokorzeniu. Darowano im życie, gdyż złożyli przysięgę, że będą walczyć przeciwko Rzymowi, a także dlatego, że zostali wywiezieni ze swej krainy wbrew własnej woli. Pozostałych wojownicy wymordowali, choć niektórzy z legionistów byli niemal dziećmi drżącymi na widok sztyletu i błagającymi o litość.

Wieczorem krew zabitych Rzymian uleciała w chmury i przemieniła się w deszcz, który podążał za wojownikami do ich obozowiska, tworząc rwące rzeki. Nasi ludzie wpadli w panikę i już chcieli uciekać, ale ben Jair ich powstrzymał. Miał taką moc,

jeniec widział to na własne oczy – wystarczyło jedno jego spojrzenie. Wytłumaczył im, że krwawy deszcz to nie klątwa, lecz obietnica. Musieli zmierzyć się z przyszłością, tak jak wszyscy muszą się kiedyś zmierzyć ze śmiercią. Mogli to zrobić jak tchórze lub jak wybrańcy Boga – wybór należał do nich.

Żaden z wojowników nie uciekł. Jeniec przekonał się, że ben Jair jest człowiekiem, który – bez względu na okoliczności – nigdy się nie poddaje.

Rankiem, gdy rozproszyły się ciemności, krew, która spadła z nieba, przemieniła się w drzewa ogniste. Wojownicy skryli się w południe w ich cieniu, miłosiernie zesłanym im przez Adonaj. Wszyscy padli na kolana z wdzięczności.

Zarumieniłam się na wzmiankę o drzewie ognistym, pod którym tak często wystawałam i o którym śniłam. Przyznałam, że to moje ulubione, a jeniec skinął głową i stwierdził, że go to nie dziwi. Tamtego dnia – choć był tylko zakutym w kajdany niewolnikiem – kiedy zobaczył te drzewa, pojął, co nasz przywódca miał na myśli, mówiąc o cudzie. Nie były zapowiedzią łaski pańskiej. Jeniec znał się na wojennych przepowiedniach i wiedział, co zwiastują ich kwitnące na czerwono kwiaty. Wojownicy będą musieli przejść przez ogień.

Był świadkiem rzezi Rzymian, więc Bóg także i jego uznawał za winnego. On też musiał przejść przez ogień. Spojrzał na moje włosy, gdy to mówił. Odrzekłam, że już czas wracać do gołębnika. Ruszyliśmy drogą, którą przyszliśmy. W koronach drzew szumiał lekki wiatr. Miałam powód, by okryć głowę chustą. Rozmawialiśmy zbyt swobodnie, nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. Zamilkłam, lecz jeniec postanowił powiedzieć mi coś jeszcze. Wyznał, że nie wie, czy powinien czuć wdzięczność za to, że darowano mu życie. Uwolniono go od służby w rzymskim legionie, by uczynić niewolnikiem. Nie przypuszczał, że na ścieżce swego życia dozna takiego upokorzenia.

– A co zamierzałeś?

– Znaleźć niewiastę taką jak ty – odpowiedział, jakby nie był niewolnikiem, a ja kobietą, w której kiełkowało nowe życie.

– Błędzisz. Wydaje ci się, że skoro mam rude włosy, to jestem jak kobiety z twojej krainy.

Przemierzyliśmy pole i, niosąc opróżnione kosze, zbliżaliśmy się do największego z gołębników. Niebo było błękitne, a powietrze świeże i zdawało się, że znaleźliśmy się nagle w krainie jeńca w porze, gdy wszystko się zieleni.

– Ale się grzebiecie! – zbeształa nas Riwka, wyjrząwszy przez drzwi. Znowu nas podpatrywała, choć nie była moją krewną i moje uczynki nie powinny jej obchodzić. – Szybciej! Mamy w bród roboty, a może nie wiecie?!

– Nie błędzę, Jael – szepnął jeniec, nim weszliśmy do środka, gdzie mogła nas

podслуhać. – Wiem, kim jesteś.

Zajęło mi pół dnia, nim uświadomiłam sobie, że wypowiedział moje imię, a jeszcze dłużej, nim przyznałam sama przed sobą, że nie skrzywiłam się, kiedy je usłyszałam.



W świecie pełnym krwi czerwień nie zaskakuje, ale gdy się obudziłam i ujrzałam lejący się ze mnie strumień, który splamił siennik, byłam przerażona. Już pół roku nosiłam w sobie dziecko i sądziłam, że wszystko dobrze się układa. Przyśnił mi się jednak duch, który przy mnie sypiał. Sija szeptała mi do ucha całą noc, nie dając spokoju i opłakując wszystko, co utraciła. Kiedyś pragnęłam tego, co należało do niej, a teraz ona łaknęła tego, co miałam ja. Może jej słowa zraniły mnie i dlatego zaczęłam krwawić. W tym śnie stałyśmy razem na skale, gdzie pozostały jej kości. Z nieba spadały pióra i wszystkie ptaki, które zabiłam własnymi rękami, nagle ożyły.

Potrzebowałam natychmiastowej pomocy, czegoś, co powstrzyma krwawienie i zwiąże moje dziecko ze światem doczesnym, a nie z Przyszłym. Weszłam w ciemnościach do izby, w której sypiał ojciec, i wzięłam tych ledwie kilka monet, jakie miał. Nie wstydziłam się, że go okradam. Wolałam zostać złodziejką niż bezdzietną kobietą.

Kiedy śpieszyłam przez plac w półmroku, poczułam falę straszliwego gorąca wywołaną przeszywającym bólem. Spytałam wartownika, gdzie mieszka Szira.

– Na co ci czarownica? – odrzekł.

– Pracujemy razem w gołębniku – odpowiedziałam. Przyjrzał mi się badawczo, pewnie żeby ocenić, czy dopuściłam się jakiegoś występku, i próbując dociec, jaka jest jego natura. Może poczuł ode mnie krew i pomyślał, że jestem nieczysta. – Ptaki chorują, a sama jestem za głupia, żeby wiedzieć, co im dolega – przekonywałam.

Nie dowierzał, ale wskazał mi jeden z pałaców. Pomyślałam: „No jasne, przecież Szira to krewna ben Jaira i należy jej się miejsce w pałacu, choć niektórzy oskarżają ją o czary”. Ludzie szeptali, że życie tam nie różni się zbyt od tego w Jerozolimie. Rządzącym żyło się dobrze, a rządzeni głodowali. Okazało się jednak, że Szira mieszka w przybudówce, która służyła za kuchnię, gdzie za czasów Heroda mieściły się pomieszczenia dla służby. Gdy zapukałam, drzwi same się otworzyły. Nie mieliśmy zamków. Naszym zamkiem była ta góra, a kluczem – ścieżka węża.

Wewnątrz nie było nikogo, mimo to weszłam i rozejrzałam się wokół. Podłogę zdobiła mozaika rozchodząca się niczym wachlarz. Obok półek wiszących na kamiennej ścianie znajdował się drewniany ołtarzyk. Półki uginały się od mis

i dzbanów. Stały tam amfory z miodem i winem oraz flakony z ziołami. Moje kroki niosły się echem, kiedy podeszłam do drzwi prowadzących do niewielkiej alkowy. Aziza i Nahara leżały przytulone na jednym sienniku. Ich brat, śniady, może jedenastoletni Adir, spał przy drzwiach na podwórzu. Sziry tam nie było, jedynie słomiany siennik przykryty tkanym kocem, na którym tej nocy nikt nie spoczął.

Nagle zauważyłam ją w drzwiach. Weszła do domu bezszelestnie, jak złodziejka. Ciężko dyszała, pewnie biegła. Na głowie miała szal w złote liście, a na rękach po pół tuzina bransolet. Przystanęła, gdy mnie ujrzała, lecz szybko ochłonęła.

Ściągając bransolety, powiedziała, że poszła się przejść.

– Nie mogłam zasnąć, pewnie w tym jesteście podobne.

– Pewnie tak.

Nie spytałam, jakież to ciemne sprawy wyciągnęły ją z domu. Zaczęłam tracić siły i, nim znów zdążyłam otworzyć usta, osunęłam się na ścianę. Kiedy dostrzegła, że krwawię, była zła, że od razu jej nie powiedziałam. Posadziła mnie przy stole, kawałku byle jak oheblowanej deski wspartej na koźle. Obmacała mi brzuch i już wiedziała, jak dawno spłodzono to dziecko i kiedy się urodzi. Pokazałam jej monety, jakie ze sobą przyniosłam, i zaczęłam błagać o jakiś napar, lecz kazała mi je schować. Stwierdziła, że nie tak łatwo znaleźć antidotum. Dodała, że spróbuje mi pomóc, bez zapłaty. Ugotowała liście marzany, rośliny ponoć zabarwiającej na czerwono kości zwierząt, które się nią pasą. Dorzuciła do nich jeżyny i dała mi do wypicia ten szkarłatny, parujący wywar. Uczyniłam to, choć parzył mi usta. Szira wyjaśniła, że to jeszcze nie lek, ale może ustaną po nim skurcze.

– Czy jest ktoś, kto nie chce narodzin tego dziecka? – spytała. – Ktoś, kto pragnie twojej krzywdy?

Poczułam się, jakby przeszła mnie strzała. Była tylko jedna taka osoba. Ja odebrałam coś Sii, ona chciała odebrać coś mnie.

– Pewien duch – odrzekłam cicho.

– Jest tu teraz z tobą?

Rozejrzałam się i, zaiste, stwierdziłam, że duch podążał za mną, stojąc teraz w drzwiach i patrząc na mnie z wyrzutem.

Skinęłam głową.

– Jest tutaj nie bez powodu – oceniła Szira, uważnie mi się przyglądając. Jej powieki były pomalowane antymonem.

Miałam wrażenie, jakbym się topiła.

– Zabrałam jej coś, co nie należało do mnie – wyznałam.

– Rozumiem.

Szira nie spuszczała ze mnie wzroku, odczytując każdy mój grymas.

– Żałujesz tego?

Niby proste pytanie, a jednak nie mogłam na nie odpowiedzieć tak, jak tego oczekiwała. Kiedy pokręciłam głową, westchnęła.

– Skoro nie, to pogódź się z tym, że ta, którą okradłaś, odbierze ci dziecko.

Gdyby Sija żyła, a ben Szymon uznał dziecko za swoje i się ze mną ożenił, niemowlę przypadłoby jej. Na zawsze pozostałaby jego pierwszą żoną i mogłaby zawłaszczyć moje życie. Może właśnie taki miała teraz zamiar.

Zerwałam się ze stołka, rozpacz przyćmiła mi zmysły. Sztylet będący darem miłości zabrzączał na posadzce. Szira sięgnęła po niego. Czułam, jak płonie mi twarz, gdy przesunęła palcem po ostrzu. Wciąż wystarczało to, by upuścić z niego kroplę krwi.

– Usiądź – rzuciła. Przestrzegła, że jeśli będę się miotać, krwotok się wzmoże. – Nie wspieraj swej rywalki w odwecie.

Zrobiłam, co mi kazała.

– Kiedy obcujesz z żonatym mężczyzną, poślubiasz także jego żonę. Musiałaś o tym wiedzieć.

Odchyliłam głowę i spojrzałam jej prosto w oczy.

– Nie chciałabym cofnąć tego, co z nim przeżyłam.

– Ale właśnie to robisz. Skoro chcesz tego dziecka, musisz pozbyć się ducha, musisz więc żałować. Duch tak po prostu nie zniknie. Ta kobieta uczepiła się ciebie. Dotyka twojej skóry. Wydaje jej się, że dziecko należy do niej, mimo że przebywa w zaświatach. Jest tylko jeden sposób, by się jej pozbyć.

Słuchałam uważnie, choć nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy z przerażeniem, czy z wdzięcznością.

– Zrób dokładnie to, co ci powiem. Obetnij kosmyk włosów. Zwiąż go w supeł. Idź do pobliskiej doliny, gdzie rosną młode wierzby, i spal go w ognisku z ich gałązek.

Szira podeszła do flakonów z ziołami, z jednego wyjęła trzy liście, zawinęła je w kawałek białego płótna i podała mi zawiniątko.

– Zjedz je, gdy zapadnie zmrok. Mają smak twych uczynków. Bądź na to przygotowana. Tylko ty wiesz, jak gorzko smakują. Ale nie zwracaj sobie tym głowy, jeśli nie pojawi się żal. Wtedy każdego ranka nalej swej rywalce herbaty do kubka, bo ona będzie przy tobie z twoim dzieckiem na rękach.

Milczałam. Piekły mnie oczy. Gdybym była nieostrożna, znów zapłakałabym łzami Sii.

Szira nachyliła się ku mnie. Chusta zsunęła się jej z głowy. Włosy miała zaplecione w gładki warkocz i upięte na egipską modłę. Zniżyła głos:

– Kiedy będziesz gotowa przebaczyć, wymów trzykrotnie imię archanioła Rafaela. Później, też trzy razy, powiedz: „Żałuję, że cię skrzywdziłam”. Na koniec powtórz to tyle samo razy od tyłu, by twe uczynki znikły.

Szira chwyciła nóż skrytobójcy. Nim się zorientowałam, odcięła długi pukiel moich włosów. Opadł między nami jak wąż. Zdało mi się, że słyszę syczenie okrutnej czarnej zmi.

– Jeśli chcesz się od niej uwolnić, musisz się przed nią otworzyć. I pamiętaj: co uczyniono, można odczynić, lecz co odczynione, już nigdy się nie zdarzy.

Wyruszyłam nazajutrz. Spytałam wartownika przy bramie, czy mogę pójść ścieżką węża. Wyjaśniłam, że nieopodal rosną młode wierzby o giętkich gałązkach, z których chcę upleść kosz. Wartownik był młodym mężczyzną i o nic mnie nie wypytywał. Machnął tylko ręką, choć kobietom nie wolno było wychodzić za bramę. Ruszyłam przed siebie stromą ścieżką w dół, obawiając się, by nie zmienił zdania i mnie nie przywołał.

Dzień był wyjątkowo suchy. Skały migotały w słońcu. Zniknęły wszelkie ślady po zimie. Wkrótce grunt zacznie płonąć, a ja wraz z nim. Szłam szybkim krokiem, poniżej rozciągała się pustynia. Wszystko wokół było białe, ziemia i niebo przybrały tę samą barwę. Wypatrzyłam miejsce, gdzie rosły wierzby, o których mówiła Szira, skręciłam ze ścieżki na grań, po czym zesłam w ocienione zagłębienie z sadzawką pełną zatechłej wody. Usiadłam w cieniu drzew, próbując złapać oddech. Skurcze ustały, lecz wciąż sączyła się ze mnie krew, a w piersi trzepotało zrozpaczone serce.

Miałam przy sobie sztylet ben Szymona, ów dziwny dowód miłości mordercy. Pomyślałam, że spośród wszystkich swych ofiar, najcelniej ugodził właśnie mnie. Czułam, że bezpowrotnie coś utraciłam. Patrząc na skały, ledwo oparłam się pokusie zakończenia swojej walki, choć przedtem czyniłam wszystko, by uniknąć tych tchórzliwych myśli. Prawo zakazywało krzywdzenia siebie. Był to grzech tak wielki, że nie znajdował odkupienia. W zaświatach karano za niego ogniem.

Szukając opadłych gałęzi, skupiłam myśli na listkach wierzby i jej gładkiej korze. Wdychałam ich świeżą i soczystą woń. Zbierałam gałązki do białej chusty podarowanej mi przez esseńczyków, oskubując je z liści. Opadały na ziemię niczym deszcz lub łzy ben Szymona, gdy ujrzał zwłoki dwóch oblubienic na pustyni.

Zaniosłam chrust do jaskini, gdzie nikt nie mógł mnie podejrzeć, i przysiadłam w rozpadlinie między skałami. Kobiety przestrzegano przed takimi miejscami. Czaiły się tam dzikie bestie, rabusie, a może nawet i demony. Niebo już nieco zblakło, a skały zaczęły mienić się na różowo i złoto. Wyczekiwałam zmierzchu. Dyszałam, łapiąc

powietrze jak lampart. Między nogami wciąż czułam ciepło. Byłam sama ze swoim milczeniem.

Gdy nadszedł czas i niebo zasnuł mrok, rozpałam ognisko między skałami, by patrolujący mury twierdzy wartownicy nie wypatrzyli dymu. Zdjęłam i złożyłam szaty. Polałam dłonie olejkami z granatów i natarłam nim włosy i skórę. Rzuciłam odcięty kosmyk na stos płonących gałązek wierzby. Wstrząsnął mną dreszcz, kiedy poczułam ostrą paloną woń mnie samej.

Przykucnęłam między głazami i zjadłam zioła, jakie dała mi Szira, choć spuchł mi po nich język. Był to niezwykle ostry w smaku błogosławiony oset, który pozostawiał osad na zębach. Ledwo mogłam go przełknąć, jednak gdy to uczyniłam, poczułam, że jakaś zjawa sięga w głąb mnie.

Tkwiłam nieruchomo, czekając, aż urok zacznie działać. Czas włókł się w nieskończoność. Patrzyłam na spadające gwiazdy. Dostrzegłam jasno świecący księżyc w nowiu. Rosz Chodesz, początek miesiąca *nisan*. Na placu dziś świętowano, gdyż pierwsze boże przykazanie dla Izraela głosiło, by odmierzać czas, obserwując księżyc w nowiu. Symbolizował on odrodzenie naszego narodu i przypominał, że istnieje światło w ciemności. Taka była istota człowieka – musiał być świadom, że czas płynie i wszystko się zmienia.

Dotarło do mnie, że powinnam zrezygnować z milczenia będącego moją tarczą i orężem. Była to cena, jaką musiałam zapłacić: odrzucić to, co mnie kiedyś chroniło. Przedtem to był dar, ale teraz już nie.

Zaczęłam się modlić. *Sela, Sela, Amen*. Mrok pojaśniał, czary z wolna działały. Gwiazdy spadały coraz bliżej. Bałam się, co się stanie, gdy Bóg dojrzy mą prawdziwą naturę, lecz nie miałam już na to wpływu, wszystko było w rękach losu. Zjadłam zioła, rozpałam ogień, odmówiłam modlitwę, która otworzyła moje rany i serce, i wzniosłam wołanie do Wszechmogącego.

Syk ognia był niczym głos ducha. Przywoływałam Siję, by do mnie przyszła, jak wtedy, kiedy się ze mną kąpała i wyczesywała popiół z mych włosów. Płomienie świeciły coraz jaśniej, aż musiałam przesłonić oczy dłonią. Coś we mnie pękło i rozsypało się na drobne kawałki. Wydawałam z siebie dźwięk, który nie przypominał mojego głosu. Wołałam, zaklinałam, aż wreszcie me prośby zostały wysłuchane.

Sija stanęła przede mną.

W postrzępionej szacie, ze splątanymi włosami i ramionami, na których była sama skóra i kości. Nie mogłam znieść krzywdy, jaką jej wyrzodziłam. Podbiegłam do krawędzi skały, by przed nią uciec. Spod mych stóp sypały się kamienie, czułam, jak

się osuwam. Gdybym skoczyła, opadłabym na pustynię niczym płatek kwiatu drzewa ognistego albo uwolniony gołąb. Ale duch nie dawał za wygraną. Sija nie chciała mnie puścić w objęcia śmierci, której pragnęłam. Chwyciła mnie i odciągnęła znad urwiska. Wrywałam się, ale trzymała mocno. W końcu się poddałam i zarzuciłam jej ramiona na szyję, swojej jedynej przyjaciółce. Oddałam się w jej ręce.

Kiedy błagałam ją o przebaczenie, już nie jej łzy roniłam, lecz własne.

Zasnęłam na ciemnej skalnej półce, gdzie rosły cierniste krzaki. Gdy się obudziłam, już prawie świtało. Sija pozostawała w mych snach całą noc. Była z lwem, na pustyni, pod wierzbą. Odebrała mi go, tak jak słusznie jej się to należało, ale – w przeciwieństwie do mnie – nie była złodziejką. Zostawiła mi to, co moje. Poczułam, że dziecko rusza się w brzuchu i zapłakałam z radości. Nie byłam demonem ani lampartem, lecz kobietą o rudych włosach. Jutrzenka rozświetliła niebo, pustynia poróżwiała. Włożyłam tunikę. Byłam poraniona i posiniaczona. Dojrzałam blizny po nacięciach, które uczyniłam sobie dawno temu na nodze. Przypominały blade półksiężycy. Zdało mi się, że należą do kogoś innego, jednak to ja musiałam je nosić.

Przykucnęłam przy ognisku, by sprawdzić, czy już się nie żarzy. Wtedy spostrzegłam ślady lwa. Na pustyni żyło ich ledwie kilka, ale jeden przybył tu w odpowiedzi na moje wołanie. Był tutaj cały czas, strzegł mnie, aż w końcu odszedł.

Próbowałam pogodzić się z ojcem, lecz za każdym razem, gdy do niego przemawiałam, odwracał się do mnie plecami i tylko machał jak na psa, bo tym dla niego byłam. Tu, w twierdzy, stał się jeszcze bardziej żaloszny niż w Jerozolimie. Ten, który marzył o niewidzialności, dopiął swego – teraz nikt go nie zauważał. W świecie ogarniętym wojną starcy byli niewidzialni i uznawani za bezużytecznych. Ojciec przestał się liczyć. Ben Jair potrzebował młodych do krzyżowania toporów w walce wręcz, a nie skrytobójców, którzy chowali ostre sztylety pod szatami i napadali swe ofiary w ciemnych zaułkach dziedzińca Świątyni. Już nikt nie podziwiał wielkiego Josefa bar Elchanana za to, że, wtapiając się w ciemność, wślizgiwał się niezauważenie do domów wroga o zmroku.

Dostał przydział do zbrojowni. To liche zajęcie, dobre dla chłopców i starców. Wymiana grotów strzał była poniżej jego godności, lecz nikt go już nie słuchał ani nie szanował. Trawiony zawiścią, zamknął się w sobie. Teraz, kiedy mój brat wracał z innymi wojownikami z wypadu, ojciec bardziej mu zazdrościł, niż był z niego dumny. Amram zawsze był jego oczkiem w głowie, ale od jakiegoś czasu zaczął patrzeć na niego z niesmakiem. Jak to mistrz prześcignięty przez ucznia, miał mu za złe jego tryumfy i młodość.

Nagle okazało się, że już nie ma dzieci. Staliśmy się niczym widma, które z niego szydzą i go zdradzają.

Pewnego wieczoru ojciec dostrzegł w mroku Azizę i mego brata koło fontanny. Wszyscy wiedzieli, że dziewczyna jest córką czarownicy. Nie o takiej żonie dla swojego syna marzył. Stał przed nią i splunął jej pod nogi. „Szeda”, wysyczał, jakby zobaczył zmiję. Przywołał do siebie Amrama i jęli się klócić tak zajadle, że aż zatkałam sobie uszy.

Mój brat oznajmił, że zamierza się z nią ożenić, mimo że ojciec nie chciał o tym słyszeć. Zagroził, że na niego doniesie. Ojciec też zaczął mu grozić, że jeśli matka Azizy dowie się o jej występkach, pewnie sama ją ukarze, czyniąc niemą, pokrywając jej ciało wrzodami, obcinając włosy lub wypędzając za bramę twierdzy. Siedziałam w rogu izby przy wrzecionie, za wszelką cenę nie chcąc się wtrącać, lecz serce trzepotało mi w piersi, gdy brat i ojciec nie ustawali w kłótni. W pomieszczeniu panował upał, zdawało się, jakby w powietrzu latały iskry. Im bardziej ojciec grzmiał, tym bardziej Amram bladł i przemieniał się w lód. Blade światło jest złowieszcze, zuchwałe i zimne. Mój brat położył dłoń na rękojeści sztyletu. Może zapomniał, że to jednak nasz ojciec. Wyszeptałam jego imię, licząc, że obudzę go z ponurego snu. Amram spojrział na sztylet, który wyciągnął zza pasa, jakby rzeczywiście śnił na jawie, i natychmiast go schował.

– Nie odzywaj się do mnie – ostrzegł ojca, nim wyszedł. – Jeśli mnie spotkasz, miń w milczeniu, tak jak ja będę mijał ciebie.

Od tego momentu moja i tak już niewielka rodzina jeszcze się skurczyła. Wieczorem ojciec nie chciał zjeść wieczerzy. Położył się na sienniku twarzą do ściany. W jednej chwili jeszcze bardziej się postarzał i stał się zgorzkniałym człowiekiem, który odrzucił wszystko, co miał.

Zrobiło mi się go żal.

– On wróci – powiedziałam uspokajająco.

Ojciec pokręcił głową.

– Jestem tego pewna – dodałam, choć dzieliła ich głęboka przepaść. – Amram jest twoim synem i uczniem.

Ruszyłam za bratem do kwater wojowników. Zastałam go tam przy rąbaniu drewna. Był wściekły, burczał coś pod nosem, wyglądał jak ktoś, kto siecze wroga na dwoje. Ten wróg dał mu jednak życie i był jego ojcem. Wprowadził go w tajniki niewidzialności i przemierzył pustynię, by go odnaleźć.

– Jest stary – przypomniałam Amramowi.

Może go broniłam, bo był moim współnikiem w straszliwej zbrodni.

– Żałoba po matce wsączyła jad w jego serce.

– Gdy pójdziemy prosić o błogosławieństwo matkę Azizy, będziesz przy mnie trwać,

Jaja?

Nazwał mnie tym imieniem, choć oboje wiedzieliśmy, że dawnej Jai już nie ma. Skinęłam głową, a później zdobyłam się na odwagę, by spytać, czy on będzie trwał przy mnie bez względu na to, co ześle mi los.

Chłopiec, którym kiedyś był i który z dumą oświadczył mi w Jerozolimie, że zostanie zabójcą, też zniknął. Mimo wszystko Amram wciąż był moim bratem.

– Odnalazłem cię na pustkowiu – przypomniał. – Czemu miałbym teraz porzucić?

Niedługo potem zaczęłam śnić o matce. Przez całe życie śniłam o lwach i demonach, ale to się skończyło. Teraz czułam obecność tej, która mnie urodziła. Marzyłam, by ją ujrzeć i poznać jej przymioty, przekonać się, czy byliśmy do siebie podobni.

Poszłam do ojca z samego rana, by nie zdążył mnie rozzłościć, gdyż przyśnił mi się głos matki, który usłyszałam podczas swoich narodzin. Znalazłam go przed koszarami czyszczącego broni. Młodzieńcy i chłopcy, którzy go mijali, nie mieli pojęcia, że niegdyś był jednym z najgroźniejszych zabójców w Jerozolimie, mającym dar stawania się niewidzialnym, i że zamordował więcej ludzi, niż jest liści na wierzbie.

Siedział zgarbiony na pniu starej oliwki. Miał siwe włosy i głębokie zmarszczki na twarzy. Nigdy o nic go nie prosiłam. Teraz miał być ten pierwszy raz.

Spytałam, jakiego koloru były włosy mojej matki.

– Nie domyśliłaś się, dlaczego nie mogę na ciebie patrzeć? Zawsze, kiedy ci się przyglądam, widzę ją.

Wreszcie zrozumiałam, czemu za każdym razem, gdy na mnie patrzy, w jego oczach gości smutek. Moja matka miała włosy tego samego koloru co ja. Jak ona byłam drzewem ognistym. Wciąż płonęłam, mimo wszystko.



Pora deszczowa skończyła się wcześniej niż zwykle. Rozgrzane do białości niebo zapowiadało okrutną przyszłość i tłący się pożar. Codziennie z położonych niżej sadzawek zwożono wodę w pękatych beczkach przytroczonych do osłów, aż w końcu cysterny były pełne, umożliwiając nam przetrwanie ciężkiego lata. Pogoda była niespokojna, znad Morza Soli wiał buchający żarem wiatr.

Uczciliśmy Święto Przaśników, lecz w tym roku inaczej, gdyż nie mogliśmy złożyć

ofiar w Świątyni. Odmówiwszy modły, uctowaliśmy, ale ciesząc się wolnością, bacznie obserwowaliśmy pustynię. Wieczorami zaczęłam chadzać z Riwką do wrzecion rozstawionych na placu. Mogłyśmy się tam skupić na tym, co tu i teraz, jednak nie dało się uniknąć przynoszonych przez inne kobiety plotek i choć same ich nie rozpuszczałyśmy, musiałyśmy słuchać. Kobiety często rozprawały o wodzu – naszym bohaterze i jedynej nadziei. Chwały go, a niektóre marzyły, żeby się z nimi ożenił. Wyznawały to nawet mężatki, zakrywając oczy, bo mimo że się przy tym śmiały, to zazdrościły tej, którą poślubił. Nie wiedziałam, że ben Jair ma żonę, dopóki Riwka mi jej nie pokazała. Była cichą śniadą kobietą okrytą welonami, która trzymała się z dala od innych. Widywałam ją w sadzie, nie wiedząc, że to ona.

Gdy zaczęłam się zastanawiać, jak to jest być żoną tak wielkiego człowieka jak Eleazar ben Jair, Riwka wybuchnęła szyderczym śmiechem.

– Dobrze się jej przyjrzyj, kiedy znowu ją spotkasz – poradziła. – Przekonaj się, czy cieszy się ze swego losu.

Idąc samotnie do gołębnika, rozmyślałam o tym, jak niewiele wiemy o swoim przeznaczeniu. Jeniec z północy powiedział mi, że wisi nad nami groźba. Ujął moją dłoń. Za coś takiego niewolnika można było zabić, jeśli ktoś wierzył w niewolnictwo, zabijanie i inne rzeczy, w które ja już nie wierzyłam.

– Jeśli myślisz, że nie przyjdą tu Rzymianie, jesteś w błędzie. Pewnie już szykują plany. Nie pozostawią w rękach Żydów ani jednej twierdzy w Judei. Chcą pokazać światu, że zwyciężyli.

– Zwierzali ci się? – spytałam drwiąco i cofnęłam dłoń. Spojrzał na mnie lodowato, ale wiadomo, że lód się topi. – Stąd to wszystko wiesz? Nosiłeś za nimi broń i im salutowałeś, a ich dowódcy brali cię na stronę i opowiadali o swych planach?

– Słuchałem i usłyszałem. Zawsze tak robię.

Odgoniłam gołębie, by podebrać ich blade nakrapiane jaja.

Jeniec stanął obok.

– Zamierzam stąd uciec, nim przyjdą Rzymianie.

Rzucił to bez ogródek, jakbyśmy byli sobie równi. Przyznał się do występku, zanim podjął działanie. Zwierzył się. Gdybym chciała postąpić, jak należało, musiałabym donieść na niego starszyźnie.

– Zamierzasz wrócić do domu pieszo? Ciekawe, jak tego dokonasz. Nie wiesz, czym jest samotna wędrówka przez pustynię. Rzymianie karmili cię i chronili. Nie spodobałoby ci się to, co byś tam znalazł.

– A ty co znalazłaś?

To, co było we mnie i o czym nikt nie wiedział, to, co nadgryzł lew.

– To, co wkrótce stanie się dla wszystkich oczywiste.

Nie miałam pojęcia, co skłania mnie do tych wynurzeń.

– Myślisz, że cię nie znam, ale to nieprawda – odparł jeniec.

Można by się spodziewać, że spuści wzrok po takim wyznaniu, lecz on wciąż się we mnie wpatrywał. Wreszcie to ja odwróciłam głowę.

Nastał łagodny miesiąc *ijar*. Noce nie były już czarne jak przedtem, ale ciemnogrnatowe, jak nitki tałesu. Światło przesączało się przez zapadające ciemności, wydłużając wieczory i powstrzymując mrok. Spędzałam wiele godzin przy wrzecionach i stałam się wprawną tkaczką. Gdy ostrzyżono już owce, a wełna została zgręplowana i oczyszczona, sama ją farbowałam, brudząc ręce w kadziach. Żółć pozyskiwano z szafranu i słonecznika, zieleń z porostów, czerwień z marzany i skórki granatu, a czern z morw.

Tkałam wełnę, która przypominała nieco tę z szat noszonych przez jeńca z północy. Zgodził się, żebym odcięła kawałek jego tuniki, by prześledzić niezwykły wzór tkaniny. Trzymałam ten kawałek pod siennikiem wraz z ostatnim skrawkiem błękitu z chusty podarowanej mi przez brata. Nic to nie znaczyło, po prostu podobał mi się jego delikatny splot. Inne kobiety chwaliły moje wyroby. Pokazywałam im, jak splatam ze sobą różne kolory nici, by uzyskać tworzący kwadraty wzór, w którym przeplatały się błękit morza, biel gwiazd i czerwień rubinu.

Jeniec zaczął nazywać mnie Odeum, czyli rubin. Usłyszały to pozostałe gołębiarki i od razu się domyśliły, że zna nasz język. Kiedy to odkryły, był zdany na ich łaskę. Nie mógł już udawać, że nie rozumie poleceń.

– Jak każdy mężczyzna umie mówić, kiedy tylko chce – podsumowały.

Drocząc się ze mną, Aziza i Nahara też zaczęły nazywać mnie Rubinem. Gdy któraś chciała, żeby jeniec coś dla niej zrobił, wołała ze śmiechem:

– Niech Rubin mu powie. To jej niewolnik.

Jeniec czerwienił się, kiedy to słyszał, ale ja śmiałam się razem z nimi. Jadałam teraz w południe z pozostałymi, choć skromnie – tylko ciasto z figami i suchary, gdyż jedynie po tym nie miałam mdłości. Dobrze czułam się w towarzystwie Sziry i jej córek. Z Riwką było gorzej, ale – dla świętego spokoju – wkupiłam się w jej łaski, proponując, że odprowadzę ją do domu.

– Po co? – spytała.

Zawsze była podejrzliwa.

– Żebyś zaczęła mi w końcu ufać.

– Nie licz na to – burknęła, jednak przystała na to, bym pomogła jej nieść przydział wody i ziarna.

Gdy zbliżyliśmy się do kwatery Riwki, jej wnuki wybiegły nam na spotkanie. Kiedy się do nich odezwałam, zaczęły w milczeniu mi się przypatrywać. Słyszałam wcześniej plotki, że żaden z chłopców nie mówi.

– Chcesz mi coś o nich powiedzieć? – rzuciła zaczepnie Riwka.

– W tym świecie nie ma co strzępić języka – odparłam. – Lepiej się nie odzywać.

Riwka roześmiała się na te słowa i nieco złagodniała.

– Kiedy sama będziesz miała syna, zrozumiesz – rzekła. – Zrobisz dla niego wszystko.

Powiadali, że kobieta, która ma urodzić córkę, jest bez przerwy głodna, a ta, która powije syna, nie będzie odczuwać głodu, póki jej dziecko nie przyjdzie na świat. Obydwie zamilkłyśmy. Ona dała mi do zrozumienia, że wie o moim odmiennym stanie, a ja zrozumiałam, że jej wnuki straciły głos w okolicznościach, o których nie chciała mówić. Nie spytałam, czy miały w tym swój udział demony, jak podpowiadali niektórzy, a Riwka też o nic mnie nie wypytywała.

Wiedziałam, że urodzić syna to zaszczyt, ponoć jednak gdy matka pierwszy raz go zobaczy, dojrzy też mężczyznę, którym się stanie, jego topór, łuk i bitwy, jakie go czekają. Nawet czarownica nie potrafi poskromić jego pragnienia, by stać się mężczyzną. Widywałam Szirę stojącą na progu najmniejszego z gołębników z włosami w nieładzie, nawołującą umęczonym głosem syna. Adir najczęściej nie reagował. Całymi dniami przesiadywał wśród wojowników. Chcąc go chronić, Szira zaplatała węzełki na jego tunice i przyszywała do niej woreczki z solą i pietruszką, by odpędzić zło. Widziałam jednak, jak Adir odpruwa je w zaułku i rzuca na ziemię.

*

Nie mogłam zasnąć, więc usiadłam na niewielkiej ławce w mojej izbie i zaczęłam gręplować wełnę na małym wrzecionie. Otworzyłam drzwi, by móc to robić przy świetle księżyca. Ufarbowałam tę wełnę *szani*, szkarłatnym barwnikiem pozyskanym z wywaru z łusek niewielkich owadów. Czerwień chroniła. Zauważali ją aniołowie i Adonaj. Czerwona nić była w mych dłoniach niczym rubin.

Spojrzałam w stronę fontanny na placu i dostrzegłam tam jakiś cień. Z fontanny nie biła woda, bo deszcze już dawno ustały. Wokół panowała cisza. Przez chwilę sądziłam, że to Aziza przyszła na spotkanie z moim bratem. Wstałam, by zamknąć drzwi i im nie przeszkadzać. Wtedy rozpoznałam ukrytą w mroku postać. Przy fontannie stała

Szira. Wyglądała jak ktoś bardzo spragniony. Usłyszałam, że płacze, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. Zastanawiałam się, co mogło sprawić jej tyle bólu.

Gdy odeszła, otworzyłam drzwi na oścież, by wpuścić do izby trochę świeżego powietrza. Pomyślałam o okrutnej porze roku, której zawsze się bałam, przypadającej na sam środek miesiąca *aw*, kiedy to marzyliśmy o wszystkim, co chłodne. Tak jak ruta, która ponoć rzuca jasnoczerwone iskry o północy, gdyż upał odbiera jej moc, w miesiącu *aw* byłam jeszcze bardziej rozogniona niż zwykle. Pomyślałam o drzewie ognistym w Jerozolimie, kozie, która była mym aniołem, i o błękitnym szlaku, którym podążałam przez pustynię. Pomyślałam o kobiecie z zaświatów, której imię nosiłam, i o tym, że zawdzięczam jej życie i kolor swoich włosów.

Schowałam wrzeciono i owinięta płaszczem wymknęłam się w noc. Poszłam do *augurarium*, gdzie rzucano kości gołębi i orłów, by przewidzieć długość czyjegoś życia, liczebność jego trzody lub siłę synów. Mędrcy wróżyli, co czeka wojowników i królów, z kierunku lotu jaskółek i układu niebiesko-białych kości, lecz nie było nikogo, kto przepowiedziałby moją przyszłość lub choć zasugerował, w jakim kierunku zmierza.

Podążylam krętymi schodami naruszonymi przez upływ czasu i kroki mędrców. Chciałam popatrzeć z góry na ten piękny i okrutny świat, ziemię, po której będzie stąpać mój syn. Nawet o tak późnej porze dostrzegłam kobiety pracujące przy wrzecionach. Kierując wzrok na zachód, mogłam rozpoznać ich głosy, za to gdy spojrzałam na wschód, słyszałam jedynie świst wiatru. Niósł ze sobą odgłosy lwów, wędrujących w mroku mężczyzn i błędzących kobiet.

Krążyło nade mną siedem jastrzębi na podobieństwo siedmiu sióstr, gwiazd świecących na niebie. Miałam na sobie białą szatę gołębiarki. Może ptaki sądziły, że szykuję się do skoku, i uznały mnie za ofiarę. Weszłam na mur Heroda, próbując utrzymać równowagę na ciężkich kamiennych blokach opatrzonych królewskim godłem. Wyciągnęłam przed siebie ręce. Wiatr przeszył mnie do samych trzewi. Przede mną była tylko pustka, lecz nie byłam sama.

Wiosna 71 roku naszej ery

[1] Czyli sto ton. Miara ta nie istniała wówczas; największą biblijną jednostką wagi był talent (przyp. red.).

[2] Czyli w Księdze Kapłańskiej, 19, 28, cytat za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 3, Poznań – Warszawa 1990 (wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z tego wydania – przyp. red.).

[\[3\]](#) Pieśń nad Pieśniami 1, 15 (przyp. red.).

Część druga

Lato 71 roku naszej ery

Żona piekarza

*Rozumieliśmy tylko jeden język, pamiętaliśmy
jedną modlitwę, jedną ścieżkę szliśmy, tak daleko
od Bożego tronu, że nie słyszeliśmy głosu Twego.*

Mówią, że kobieta nie może poznać Bożych zamysłów, lecz ja na własne oczy ujrzałam Jego prawdę. Nasz Bóg jest wszechwiedzący i wszechwidzący i ma tyle samo miłosierdzia dla wróbla, co dla polującego na niebie jastrzębia. Przed Nim wszystko znika na wietrze. Gdy położysz garść ziaren na kamieniu i się od niego odwrócisz, wiatr zdmuchnie je. A jeśli zostawisz w wieży wróbla, nie ujrzysz go, kiedy tam wrócisz. Jeśli poprosisz o łaskę jastrzębia, twe słowa pozostaną nieme.

I tak się zdarzyło w moim życiu: odwróciłam się. Nie słyszałam już głosu wróbla. Poprosiłam o litość istotę, która znała tylko okrucieństwo. Nie wiedziałam, do czego jest zdolny wiatr i że winniśmy chylić przed nim głowy z wdzięcznością, bez względu na to, dokąd nas zawiedzie.

*

W dzieciństwie mieszkałam w wiosce na północ od Siloe. Powiadają, że Bóg tak ukochał tę ziemię, że woda z tamtejszych źródeł zapobiega poronieniom i daje potomstwo bezpłodnym kobietom. Osiedliliśmy się w Dolinie Cyprysów, gdzie pola były zielone, a w każdej oborze było pięć kóz. Wyszłam za mąż młodo i nie wiedziałam jeszcze, że istnieje zło na tym świecie. Byłam szczęśliwa i sądziłam, że szczęście będzie trwać. Powiesiłam przy drzwiach zdobną mezuzę, która przynosi ludziom radość i powodzenie. Zawsze, gdy ją mijałam, czułam pewność, że Bóg uchroni nas przed złem. Dziękowałam Adonaj bez zastanowienia, z bezmyślnym przekonaniem, że nigdy nie otrę się o niecność. Mój siennik wypełniała słoma tak miękka, iż zasypiałam, jak tylko zamknęłam oczy. Dom mieliśmy z kamienia, z belkami z cyprysów ściętych w pobliskich lasach. Mąż mój był łaskawy i serdeczny, ale dano mi jeszcze więcej.

Kiedy na świat przyszła córka, była tak piękna, że ludzie aż przystawali na targu, by pogratulować mi szczęścia. Już wtedy powinnam była zacząć się martwić, bo szczęście jak przychodzi, tak i się wymyka.

Mijały lata, a moje sny wypełniała woń chleba, gdyż pod izbą, w której spaliśmy, mąż wybudował krągłe piece z gliny zwane *tannur*. Błada, osmolona dymem glina jaśniała pomarańczowym żarem, gdy przed świtem ładowaliśmy do pieców bochny chleba. Przez lata płonący na dole ogień zapewniał ciepło naszemu domowi. Na podwórku stał mielący zboże kamień młyński, do którego wiązaliśmy dwa osły. Pszenicę trzymaliśmy w dużym drewnianym spichlerzu.

Mąż nauczył się sztuki pieczenia chleba od swego ojca, który z kolei przejął fach po swoim. Chleb od jednego piekarza nigdy nie smakuje tak samo jak od innego – rzekł mi kiedyś – bo każdy piekarz wkłada weń własne życie. Niektórzy piekli go pobożnie, inni modląc się, a jeszcze inni nie tylko jako zwykłą strawę, zauroczeni pięknem żarzącego się pieca i sztuką wyrobu chałek.

Mój mąż miał w sobie wszystkie trzy przymioty: był pobożny, modlił się, ale fascynowała go także tajemnica rosnącego ciasta, cud, który sprawiał, że pszenica i woda ożywały w rękach. Jego pieczywo było tak doskonałe, że wędrowcy często trafiali do nas, podążając za smakowitą wonią rozchodzącą się po wsi, która była niczym mapa wskazująca drogę zgłodniałym. Każdego ranka mąż wypowiadał błogosławieństwo i składał Adonaj ciasto w ofierze. Bóg wysłuchiwał jego modlitw i mieliśmy wszystko, czego można zapragnąć na tym świecie.

Mąż, jak wszyscy piekarze, miał swoje tajemnice. Przez lata udało mi się je poznać, podpatrując go przy pracy. Wałkował ciasto dłużej niż inni, a wytwarzane wedle sekretnej receptury drożdże, których używał, by tchnąć życie w swe wypieki, fermentowały przez większą część roku w chłodnych kamiennych słojach. Posypywał bochny kminkiem, kolendrą i solą, nim ułożył je w piecu na drewnianych deskach. Co najważniejsze, odciskał na chlebie literę „R” na moją cześć, gdyż mam na imię Riwka, i nawet po wielu latach wciąż byłam jego oblubienicą, dziewczyną, z którą związał się na całe życie.

W pogodne dni widzieliśmy z domu śnieg, który padał czasami w górach. Widok ten był jedynym, jaki pragnęłam podziwiać. Nigdy bym nie uwierzyła, że przyjdzie mi żyć w królewskiej twierdzy, gdzie hula i targa nami wiatr, dając do zrozumienia, że jesteśmy jedynie chwilą w wieczności. Przed stu laty Herod przemierzał ten sam plac, przez który chadzam każdego ranka do gołębnika. Teraz w jego komnatach sypiają biedacy, bo biedacy przetrwali, podczas gdy król, który zamordował swoją żonę

Mariamme, synów i każdego, kto wszedł mu w drogę, zamienił się w pył. Wojownicy ostrzą sztylety tam, gdzie kiedyś były przepastne królewskie stajnie na sto koni, z których ponoć każdy potrafił wspiąć się po ścieżce węża nocą. Zakładano im przepaski na oczy, by nie widziały, jak zdradziecki jest szlak, po którym kroczą. Gdyby ujrzały te przepaście, niechybnie wpadłyby w popłoch i runęły w dół, jeden po drugim, jakby spadały z niebios. To samo odnosiło się do nas. Gdyby któryś z mieszkańców twierdzy przystanął, by ściągnąć przesłone wiary z naszych oczu, dostrzeglibyśmy, jak niebezpieczna to grań i jak strasznie byłoby z niej spaść.

Gdybyśmy stracili wiarę, stalibyśmy się niczym spiętrzone nad pustynią przez wiatr obłoki na zachodnim niebie, obiecujące deszcz, lecz puste w środku.

Rankiem, nim wnukowie wstali, miałam zawsze chwilkę dla siebie. Była to dla mnie najmiłsza pora dnia. Patrzyłam na śpiących chłopców. Ich buzie były takie pogodne. Wyobrażałam sobie, że oto leżą na własnych siennikach w domu, że za drzwiami ich matka szykuje poranną strawę i że na pustyni nie stracili zdolności mówienia, którą skradł im demon, wyrywając z gardeł i zamykając w szkatułce w zaświatach.

Przywiązywałam im dla ochrony do ubrań nitki z supełkami, kiedy spali. Wolno to było robić, póki nie skończyli dziewięciu lat. Później musiałam oddać ich we władanie Adonaj, tak przynajmniej mówili ludzie. Byłam wdzięczna Szirze za amulety, jakie mi podarowała. Nie zwracałam uwagi na tych, którzy twierdzili, że jest czarownicą, i szeptali, że jej obecność w twierdzy przywiedzie nas do zguby. Napatrzyłam się na zło i wiedziałam, że w tej kobiecie go nie ma. Wszyłam w tuniki wnuków woreczki z solą, by odpędzić odbierającą dzieciom dech Lilit, z muszlą z Morza Czerwonego jako dar dla archanioła Michała oraz z korzeniem i ziarnem mandragory, odstraszającymi senne koszmary. A te z pewnością prześladowały naszą ocalałą z całej rodziny trójkę, tak jak i czwartą osobę z naszego grona, która przeżyła – mężczyznę, który przestał się do nas odzywać, gdyż zagubił się, kiedy utracił wiarę.

Nim wyszłam z domu przed świtem, zawsze zostawiałam Noemu i Lewiemu ich poranną strawę: ciasteczka z migdałami i figami, by zaznali słodyczy, rosnące dziko na skałach daktyle, by posmakowali owocu pustyni, i smażony na ruszcie placek posypany kminkiem, kolendrą i solą, by pamiętali smak chleba, jaki piekł ich dziadek. Czasami widywałam rankiem Adira pędzącego ścieżką, gdzie rosła dzika mięta. To miły chłopiec, niesforny, o ciemnych włosach i skośnych oczach z żółtymi cętkami. Właśnie skończył dwanaście lat, ale wiedziałam, że ma mnóstwo węzełków pod tuniką. Jest napisane, by polegać na Adonaj i nie oddawać się magii, lecz synowie byli bardzo cenieni. Matka chłopca pozostaje nieczysta ledwie przez siedem dni po

rozwiązaniu, podczas gdy matka dziewczynki – dwa razy dłużej.

Rozumiałam, dlaczego Szira była gotowa zrobić wszystko, by chronić swego jedyne go syna.

Nie słuchałam tego, co o niej mówili, choć raz, gdy zaniemogła i zaniosiłam jej rosół z rzepy, zauważyłam poświęcony bogini ołtarzyk. Zapukawszy do drzwi, weszłam, nie czekając na zaproszenie. Szira szybko zamknęła szkatułę, w której go skrywała, ale ja dostrzegłam płomyk kaganka i ofiarę z miodu i oliwy, złożoną na cześć alabastrowych *terafim*. Niewielki, lśniący posążek przedstawiał kobietę z uniesionymi rękami. Rozpoznałam w niej Aszartę, matkę i wojowniczkę, której czczenia dawno zakazano. Nie wolno nam było mieć bożków ani składać dziękczynienia bogini. Kobiety, które to czyniły, zawsze zamykały ołtarzyki, by nie było widać światła płonącego kaganka.

Szira podziękowała mi za zupę. Nie poruszyłyśmy w rozmowie spraw, które ktoś mógłby uznać za czary, i już ani razu nie spojrzałam na ołtarzyk. Współczułam jej, gdyż często dostrzegałam frasunek na jej pięknej, szlachetnej twarzy. Próbowwała za wszelką cenę traktować swego syna jak dziecko, lecz on się rwał, by zostać mężczyzną. Mimo że go przestrzegała, wymykał się do koszar, by spędzać czas wśród wojowników, których podziwiał. Kiedy wieje silny wiatr, my, kobiety, wiemy, że zadusi nas kurz, jeśli nie przesłonimy twarzy chustami, podczas gdy chłopcy lekceważą żywioły i mkną przez burzę, marząc o chwale. Nawet czarownica nie powstrzyma syna przed przemianą w wojownika. Nie ma na to żadnego zaklęcia.



Nim zjawiała się Jael, to ja byłam tą nową w gołębnikach. Liczyłam, że trafię do jakiegoś piekarza, gdyż mąż wprowadził mnie w tajniki wypieku chleba. Przybyłam do twierdzy w żalobnej bieli i może członkom starszyszy przypomniały się gołębie, kiedy stanęłam przed nimi zrezygnowana, z opuszczoną głową. W chwili, gdy przekroczyłam próg rzeźbionych drewnianych drzwi największego z gołębników, okrągłej wieży z zakrytymi klapami świetlikami w dachu, byłam pewna, że zawisła nade mną klątwa. Nie rozumiałam, dlaczego nadzorczyńi gołębników i jej dwie piękne córki są tak dumne z wykonywanego przez siebie zajęcia. Zapewniały mnie, że to zaszczyt, i przywitały wiankami z kwiatów, które szybko wyrzuciłam. Uważałam gołębie za brudne stworzenia, dobre na potrawkę albo do tego, żeby odebrać im parę świeżych jaj. Upadłam jeszcze niżej niż te pospolite ptaki, gdyż kazano mi zbierać do beczek ich odchody. Stałam się niewolnicą ich łajna i brudu, zhańbioną w oczach Pana. Taki był mój życiowy przystanek. Taki był mój los.

Płakałam po pierwszym dniu spędzonym w gołębniku. Taka stara, a taka głupia, zawstydzona własnymi łzami, odwrócona plecami do wnuków, by nie dostrzegli mojego upokorzenia. Przybyliśmy do twierdzy ledwie kilka dni wcześniej. Wciąż jeszcze bolały nas stopy, skórę mieliśmy spaloną słońcem, a milczenie dławiło nam gardła. Wszystko tu wydawało się nowe i dziwne – mężczyźni w srebrnych zbrojach i kobiety uwijające się na polu w cieniu migdałowców. Powinnam była dziękować za uratowanie życia, a łkałam jak zrozpaczone dziecko.

Mimo że próbowałam ukryć swój smutek, nie byłam w stanie. Wnukowie klepali mnie drobnymi rączkami po plecach, by dodać mi otuchy. Wyczuwałam w tych gestach niepokój. Obaj stracili głos i, być może, to nieszczęście sprawiło, że zaczęli dostrzegać więcej niż inni – prawdziwą naturę świata. Potrafili złapać ćmę w mroku, odnotowawszy delikatny, trzepoczący rytm jej skrzydeł. Umieli ocenić jedynie na podstawie szumu wiatru, czy nadciągnął z zachodu, czy też ze wschodu. Może te ich zdolności były cudem.

A tam, gdzie zdarzył się jeden cud, zdarzy się ich więcej.

Zasnęłam z płaczem i obudziłam się przedwcześnie po niespokojnej nocy. Oczy miałam zaczerwienione i opuchnięte. Sądziłam, że chłopcy jeszcze śpią, lecz mój młodszy wnuk, Lewi, który właśnie skończył siedem lat, przycupnął obok i, wbijając we mnie wzrok, czekał, aż wstanę. Chwycił mnie za rękę i poprowadził na dwór, mój przewodnik w krainie mroku. Czułam się, jakbym wciąż śniła, lecz pył i odgłosy kóz w zagrodach były całkiem realne. Byliśmy w twierdzy, tak daleko od wszystkiego, co dobrze znane: pól maków i ostów, gajów cyprysowych i kwitnących granatowców, których szkarłatne krągłe kwiaty zmieniały się na naszych oczach w owoce.

Lewi poprowadził mnie na mury, skąd roztaczał się widok na ciągnące się po horyzont białe skały. Patrzyliśmy na latające wokół gołębie. Wypuszczane o tej porze dnia, by rozprostowały skrzydła, przemieniały błękit nieba w biel. Wzlatywały i znikały, a później znów wracały, ciągnąc do gniazd. Przywiązywały się do swych towarzyszy, dlatego nigdy nie wypuszczałyśmy par razem. Lojalność kazała im powracać, mimo pokusy wolności.

Zrozumiałam, co chciał mi powiedzieć wnuk, przyprowadzając mnie tutaj, by pokazać urodę ich lotu. Było zaszczytem oporządzać te zamieszkujące niebo stworzenia, tak bliskie Adonaj. Skoro taki los przypadł mi w udziale, to był to dar, a nie brzemię. Ucałowałam Lewiego w czoło i szeptem podziękowałam Bogu za wszystko, co mi jeszcze zostało.

Odkąd przyprowadził nas tu mój zięć, wciąż o nas plotkowano. Ludzie przypatrywali się nam, próbując odgadnąć, jakaż to tragedia dotknęła naszą rodzinę. Byli przekonani, że wśród tylu nieszczęśników wciąż zasługujemy na litość, gdyż moi wnukowie stracili dar mowy. Wszyscy wiedzieli jedynie, że wypędzono nas z domu i że postanowiliśmy przybyć tutaj. Mogliśmy ruszyć na północ, do Nazaretu lub Galilei, gdzie ponoć zawsze jest chłodno i gdzie moglibyśmy rozpocząć nowe życie, osiedlając się w wiosce, w której nikt nie słyszał o naszym nieszczęściu, lecz zięć nie chciał już żyć w codziennym kieracie. Nie miał zamiaru wypasać kóz i znaleźć domu z kamienia w osadzie, gdzie chodzilibyśmy do studni, gotowali strawę i zapomnieli o tym, co przeszliśmy. Pragnął zemsty, niczego więcej. W Masadzie znalazł to, czego szukał – towarzystwo mężczyzn, którzy byli gotowi zginąć za swoją wiarę.

Nie wiem, ile czasu spędziliśmy na pustkowiu po tym, jak Bóg nas opuścił. „Błogosławiony Ten, który przemówił i stał się świat”. Tak jak dzieło stworzenia rozpoczęły słowa, tak nasz świat rozpadł się w ciszy. Żadne z nas nie mówiło – chłopcy, bo nie mogli, zięć, bo nie chciał, a ja, bo nie istniały słowa warte wypowiedzenia. Nasz świat się zawalił i pozostała nam tylko jedna droga, która się przed nami rozwarła, jakby ktoś usypał ją z kości.

Wiedziałam, że wyznaczając sobie tę górę za cel naszej wędrówki, podążamy ku ziemi niczyjej, do miejsca, z którego nie ma odwrotu. Zostaliśmy wygnani z naszego świata. Widzieliśmy zbyt wiele i zbyt wiele straciliśmy, by przybyć do kolejnej osady, rozpakować nasz lichego dobytek i zacząć wszystko od nowa.

W twierdzy zwał mojego zięcia Człowiekiem z Doliny. Nie potrzebuje innego imienia. Mieszka w koszarach, lecz nawet jego towarzysze broni się go boją. Nieustraszony i zawzięty, rzuci się w wir każdej bitwy z ponurą miną człowieka, który pragnie spotkać Malach ha-Mawet. Dzierży w dłoni topór, swój jedyny oręż. Wyrzekł się zbroi. „Zabierz mnie! – podpuszcza anioła śmierci. – Zabierz, jeśli zdołasz!”.

Niektórzy powiadają, że Człowiek z Doliny sypia ze swym toporem, że pokochał go tak, jak mężczyzna kocha kobietę lub jak ojciec wielbi własne dziecko. Ten niegdyś uczony, którego zwali Joawem, stał się teraz tak okrutny i bezwzględny jak ponoć stojący po lewicy Boga, po stronie zacnych, archanioł Gabriel. Jego miecz wykuto z ognia i ogniem są jego oczy. Gdy stanie przed tobą, możesz paść na kolana i błagać o litość, lecz i tak niechybnie spłoniesz.

Zięć mój nie obcinał włosów, odkąd ruszyliśmy na pustynię, i ślubował, że nigdy więcej tego nie uczyni. Zaplata je w opadające na plecy warkocze. Choć jest jeszcze młody, już posiwiiał. Jeżyny i ciernie czepiają się jego włosów jak futra owiec i kóz, ale on na to nie zważa, gdyż przebywa nie w naszym świecie, lecz w świecie żalości.

Ciernie nic dla niego nie znaczą. Spodziewa się w tym życiu tylko jeżyn. Niektóre dzieci szepczą, że potrafi ziać ogniem, jak Gabriel mogący ponoć spalić jednym oddechem całe miasto. Gdy widzą Człowieka z Doliny, pierzchają. Nie ma przyjaciół, nie sypia z kobietami, nikomu nie ufa. To, co się zdarzyło, przemieniło go w człowieka, który jest niczym wiatr – nie widzisz go, ale wyczuwasz jego obecność i gotowość do czynienia krzywdy.

Kiedy myślę o swoim zięciu, nieodparcie przypomina mi się opowieść o Żydzie buntowniku, którego zwali Takso. W czasach, gdy nasza twierdza służyła jeszcze za pałac, żołnierze Heroda osaczyli go w jaskini, ten nie chciał się jednak ukorzyć przed królem. Nie oddał swych synów do wojska i odmówił płacenia podatków. Król nie mógł tolerować takiego nieposłuszeństwa, gdyż pleni się ono niczym roje owadów i eksploduje furją. Z jednego robi się wiele i razem rosną w siłę.

Gdy gotowi do walki i tryumfu żołnierze zsuwali się z grani na grubych powrozach, buntownik poderznął gardła swoim siedmiu synom, jednemu po drugim. Później uczynił to samo żonie, aż w końcu sam skoczył w przepaść, do której zrzucił ciała dzieci. Nie pozwolił, by jego najbliżsi padli ofiarą tortur i okrucieństwa króla. Odszedł z tego świata wraz z nimi, choć jest napisane, że żaden z nas nie może sobie szkodzić. Rzucając się na skały, pewnie wyobrażał sobie, że Bóg obciąży je winą za jego śmierć, a on sam dostąpi przebaczenia w Przyszłym Świecie.

Chociaż prawo stanowi, że żadnemu z nas nie wolno czynić sobie krzywdy, Joaw unicestwił ojca, którym był, tym samym unicestwiając siebie. Mój zięć nigdy nie odwiedza swoich synów, bo kiedy się zatracił, stracił także ich. Gdy spotyka chłopców przypadkiem w zaułku lub sadzie, przechodzi obok niczym ślepiec. Początkowo podbiegali oni i czepiali się jego nóg, lecz na nic się to nie zdało. Joaw nie mrugnie, nie zająknie się ani nie spojrzy, nawet jeśli się na niego rzucą, by przykuć jego uwagę. Człowiek, który był moim zięciem, nie dostrzega niczego, co dobre na tym świecie. Lśnienie wody w kubku zdaje mu się ponure, czyste niebo jest jak obelga, a jego dzieci są jedynie przypomnieniem, jak płonie i obraca się w proch ciało.

Dla ludzi jego obojętność to dowód, że z chłopcami jest coś nie tak. Czemu wyrzekł się ich własny ojciec, skoro są tacy urodziwi ze złotymi lokami i ciemnymi oczami jak ich matka? Niektórzy szepczą, że opętały ich demony i to jest powodem ich milczenia, lecz ja wiem, że słowa bywają zbędne. Nauczyły mnie tego gołębie. Można przemawiać bez nich, wyczuwać potrzeby i pragnienia innych, choć wokół panuje cisza. Taką lekcję musiałam odebrać, taki był mój los.

Gdy zjawiam się rankiem, gołębie od razu mnie poznają. Ich pieśń unosi się i opada, wyrażając radość i przyzwolenie. Zawsze mnie wita ten potok dźwięków. Ktoś

nienawykły do takiego harmidru zatkałby uszy i uciekł, jak Jael, kiedy pierwszego dnia przerażona zakryła głowę. Śmiałyśmy się z niej i zaczęłyśmy się droczyć, że skoro tak się boi ptaków, lepiej niech unika groźniejszych stworzeń. A jednak podleciały do niej, jakby znała ich język. Choć nie zwraca na nie uwagi, fruną do niej jak zauroczone. Jej milczenie przyciąga je i dodaje im otuchy.

Jestem wdzięczna opatrności za to zajęcie. Im mniej rozmyślam, tym łatwiej mi dotrwać do następnego dnia. Do gołębnika zagląda słońce, a ja sypię ptakom ziarno i odganiam nioski, by podebrać im jaja. Większość od razu się płoszy, lecz gdy nie chcą opuścić gniazd, zaczynam trzepać fartuchem. Jak to możliwe, że lituję się nad gołębiami i często szlocham, zbierając ich nakrapiane jaja i wkładając je do koszyka, a kiedy śnię o ludziach, których zabiłam, nie czuję zupełnie nic?



Nim tu przybyliśmy, wierzyliśmy, że nasza wioska w Dolinie Cyprysów to raj, czy raczej wyobrażaliśmy sobie, że przypomina raj, do którego kiedyś trafimy. Powinniśmy byli się domyślić, że ją utracimy. Nic nie trwa wiecznie na tym świecie, oprócz naszej wiary. Pewnego dnia nadciągnęli żołnierze legionów, maszerując po sześciu w rzędzie drogami, które kiedyś budował mój ojciec. Przodem szli wyszkoleni w Rzymie legioniści wystrojeni w napierśniki i hełmy, a za nimi zajadłe oddziały pomocnicze – złożone z członków plemion – w skórzanych tunikach, z pałaszami i włóczniami. Pragnęli zagarnąć tyle łupów, ile tylko zdołają znaleźć. Od ranka, kiedy wkroczyli, przejęli nasze ziemie i nasze życie. Zarżnęli białego koguta na schodach synagogi. Wedle naszego prawa to grzech. Dobrze je znali. Krew ptaka nas skaląła. Ten pierwszy akt przemocy był zapowiedzią tego, co miało się zdarzyć w przyszłości, gdyby tylko kapłani zechcieli odczytać znaki z porzuconych kości koguta. Setka Żydów zebrała się, by zaprotestować przeciwko działaniom Rzymian i zażądać przeprosin. Wszyscy sumiennie płacili podatki, mieli żony i dzieci. Byli zacnymi, uczciwymi ludźmi przekonanymi, że wieczorem Rzymianie poproszą o wybaczenie.

Bardzo się jednak mylili.

Nasz wzrok nie sięgał dalej niż czubki wonnych cyprysów o poskręcanej korze, rosnących w lesie, który stał tam od tak dawna, że byliśmy pewni, iż będzie trwał wiecznie. Do uszu tych, którzy umieli słuchać, dochodził krzyk oburzenia ze zniszczonych okolicznych osad, lecz byliśmy głusi na ich nieszczęście. Ci, którzy głęboko wciągali powietrze, czuli odór wojny, lecz w tym samym czasie rozkwitły też różowe pąki oleandrów, roztaczając wokół nas swoją słodką woń. Wiele razy podbijano

naszą ziemię. Cudne gaje i pola przyciągały obcych, tak jak przyciągał ich do piekarni smakowity zapach chleba. Ale tak było kiedyś. Chcieliśmy wierzyć, że nasze życie będzie teraz biegło utartym torem. Mój mąż nie interesował się tym, co się dzieje. Był równie pracowity, co zaprzątnięty własnymi sprawami. Mędracy i rabbiowie korzyli się przed legionem, godząc się na podatki tak wysokie, że ledwie mogliśmy przeżyć, jednak póki starczało drewna do opalania pieców, mąż był szczęśliwy. Sam rąbał drwa i na podwórku piętrzyła się niczym góra wielka sterta szczap. Prosił jedynie o błogosławieństwo Adonaj dla cudnych chałek, które codziennie dawał światu. W brzdach na jego skórze gromadziła się mąka. Za każdym razem, gdy mnie całował, pozostawiał biały ślad po pocałunku piekarza. Zapewniał, że jeśli nie będziemy się interesować tym, co wokoło, i nikomu nie zrobimy krzywdy, nic złego nas nie spotka, bo ludzie zawsze potrzebują chleba.

Wyszedł z domu jak co dzień, by oddać pierwsze bochny w ofierze kapłanom. Obiecał, że będzie unikał kłopotów, lecz one same go dopadły. Nasi znękani sąsiedzi skrzyknęli się, żeby poprosić Rzymian, by nie rekwirowali im domów. Przekonywali mojego męża, aby się do nich przyłączył. Ruszył z tacą z bochnami przykrytymi cudnym tałesem, w którym złote nitki przeplatały się z fioletowymi. Był gotów udać się do kapłanów, ale sąsiedzi zbesztali go, że wszyscy muszą się trzymać razem, i zmusili, by zaznaczył swą obecność wraz z nimi, a przecież jego znakiem była litera „R” na bochnach. Moje imię było jego inspiracją i tarczą, a jednak poszedł z tymi, którzy chcieli więcej.

Wiedziałam, że coś się święci, kiedy poczułam zapach dymu. W piecu piekł się chleb. Zajrzałam do środka, ale się nie przypalił. Dlaczego musiał tam pójść akurat wtedy? Dlaczego tamtego ranka nie skupił się na sobie, podczas gdy każdego innego dnia nie widział nic, oprócz własnej piekarni? Jęczmień, sól, kolendra, kminek – te składniki tworzyły jego świat. Do tamtej pory jedynym utrapieniem mojego męża były szczury wążące przez okna. Jak wielu piekarzy musiał rozkładać cykutę, by odpędzić je od skrzyń z mąką. Teraz za każdym rogiem czaiło się niebezpieczeństwo. Demony rozwarły na oścież bramy naszej osady. Wskazały na nas jako na ofiary, stojąc w mroku i z radością zacierając ręce. „Odbierzemy wam to, co było wam dane” – stwierdziły.

Mijały godziny. Zaniepokojona, zaczęłam nerwowo przechadzać się po izbie. Piekarz powinien wrócić, nim zarumienią się bochny pozostawione w piecu. To możliwe, żeby tak po prostu wyjść i zniknąć? Mąż nakazał mi, bym – gdyby nie wrócił – wyjęła chleb, kiedy słońce będzie w najwyższym punkcie na niebie. Nie zrobiłam tego. Co miał na

myśli? Czyżby spodziewał się, że coś się zdarzy? Minęło południe. Zdenerwowana, wyjrzałam przez okno i dostrzegłam wydłużające się cienie i dym unoszący się nad podwórkami i dachami domów.

Pomyślałam, że jeśli nie wyjmę chleba z pieca, mąż poczuje woń spalenizny i szybko przybiegnie do domu. Najwyżej będzie na mnie zły, że nie uczyniłam tego, co mi przykazał. Mimo to wciąż nie wracał, choć słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi. Chleb się spalił, skórka spiekła na węgiel.

Myślałam tylko o jednym: odnaleźć męża. Może i ja też byłam skupiona na sobie, może właśnie to połączyło nas na tyle lat. Otworzyłam drzwi, gotowa wyruszyć na gorączkowe poszukiwania piekarza. Chciałam wybiec na ulicę, ale kłębiło się na niej od sąsiadów. Mieli szaty poplamione własną krwią i krwią swych ojców.

Już miałam wyjść, gdy ujrzałam w progu mojego zięcia Joawa. Nie był wtedy jeszcze wojownikiem, który ślubował, że nigdy nie obetnie włosów, lecz miłym młodzieńcem, jak ognia wystrzegającym się kłopotów. Miał minę przerażonego uczonego w Piśmie, który nagle stanął twarzą w twarz z okrucieństwem i plugawą prozą życia. Jak mój mąż był oddany swej pracy, skupiony na studiach i woli Adonaj. Owinęłam już głowę chustą, opętana myślą, by szukać męża, ale mnie powstrzymał. Ostrzegł, bym przygotowała się na to, co mi powie.

Spojrzałam na niego, gotowa przemknąć obok. Nie chciałam go słuchać. Cóż mnie powstrzyma przed pójściem do męża? Jakież argument miał zięć, bym go nie szukała? Joaw, człowiek pobożny, który nie tknąłby żadnej kobiety prócz mojej córki, położył mi dłoń na ramieniu.

– Istnieje powód, byś tam nie szła – wyszeptał.

Taki powód mógł być tylko jeden. Świat w rozsypce, w którym zaginął człowiek, z którym spędziłam życie. Dojrzałam w oczach zięcia, że mówi prawdę. Wyjawiał mi, że widział szczątki mojego męża na placu wraz z poszarpanymi zwłokami kilkunastu sąsiadów. Było za późno, by zabrać ciało. Gdybym spróbowała, sama straciłabym życie.

Mimo to próbowałam przepchnąć się koło Joawa, który zagradzał mi drogę, lecz był silniejszy, niż przypuszczałam, a może to ja osłabłam z rozpacz.

– Posłuchaj – rzucił stanowczo. – Nie mogę ci tego powiedzieć inaczej i nie ma czasu na dyskusje. Twój mąż jest już w Przyszłym Świecie.

Nie istnieje mapa, która by mnie tam zawiodła. Nie mogłam do niego dołączyć. Rzymianie ułożyli zwłoki w stertę i podłożyli ogień, który stał się dla mnie zwiastunem nieszczęścia. Zrozumiałam, że przelewający się przez wioskę dym, którego zapach poczułam, nie był wonią chleba, lecz odorem palonych ciał.

Joaw był młodym, uczonym i szanowanym rabbim. Z uwagi na swoją pozycję musiał mocno się zastanowić, nim pojął za żonę córkę piekarza. Większość rabbich żeniła się z córkami innych rabbich, gdyż swój ciągnie do swego, tak jak ptaki, które latają po niebie, szukają pary we własnym stadzie. Oczywiście Joaw kochał moją córkę. Zara była niezwykle urodziwa. Nic dziwnego, że się do niej zalecał, ignorując bardziej stosowne dla niego dziewczęta, które się za nim uganiały. Imię córki znaczyło „piękny poranek” i, zaiste, była bardziej promienna niż wszystko na tym świecie, ze złocistą skórą i włosami w kolorze pszenicy. Jej twarz wydawała się jeszcze piękniejsza, gdyż czarne oczy miały barwę nocy przed świtem, kiedy świat pozostaje tajemnicą, a wokół widać tylko cienie.

Zastanawiałam się, czy aby Zara nie trafiła do mnie za sprawą anioła. Bo jak to możliwe, żeby taką zwyczajną kobietę obdarowano córką, która była jak królowa? Pyszniłam się nią – i nie bez racji.

Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że to, co dane, może być także odebrane.

*

Schlebiało nam, że Joaw zamieszkał w naszym domu. Mąż każdego ranka dawał mi w darze kawałek pierwszego chleba upieczonego tego dnia. Teraz ten uczony młodzieniec, którego darzyliśmy takim szacunkiem, był blady i trząsł się ze strachu. Gdy tuliłam się do niego, szlochając, nie różnił się niczym od każdego przerażonego człowieka. Nie był w żadnym razie dzielniejszy, może nawet przeraził się bardziej niż inni. Nalegał, bym szybko spakowała dobytek. Wahałam się, lecz oświadczył, że moja córka i wnukowie już na nas czekają.

Mimowolnie spakowałam parę dodatkowych rzeczy. Ktoś mógłby przypuszczać, że zabiorę swoje najbardziej strojne szaty lub ślubne bransolety, wszystkie te najcenniejsze pamiątki, które trzymałam ukryte w komodzie przy sienniku, by żaden złodziej nie mógł po nie sięgnąć. Ale ja zabrałam sprzęty mego męża piekarza: drewnianą misę, parę ciężkich chochli, biały fartuch, którym obwiązywał się w pasie, i tałas, który – kiedy się nim okrywał – sprawiał, że nie mogło nas dopaść żadne zło. W ostatniej chwili chwyciłam spod pieca kilka dzbanów z kolendrą, kminkiem, solą i sfermentowanymi drożdżami, dzięki którym rosły bochny chleba.

Wiedziałam, że zmarli nie odchodzą tak szybko, więc szepnęłam mężowi: „Spójrz na nas”. Wypowiedziałam te słowa do człowieka, z którym przeżyłam wiele lat, jakby wciąż stał obok. „Spójrz, na co nam przyszło”.

Byliśmy jak szczury umykające przed falą śmierci. Parząc sobie dłonie, zabrałam

jeszcze spalone bochny chleba z pieca. Później miały pojawić się na mych palcach bąble, lecz przynajmniej zyskałam pewność, że pomogą nam przetrwać. Joaw ujął mnie pod rękę i wyprowadził z domu. Wiedziałam, że nie ma co zwlekać, ale czułam, że oprócz niego i mnie był tam z nami ktoś jeszcze. Wierzę, że obok stał anioł i szeptał: „Weź to, nie tamto”.

Na koniec sięgnęłam po niewielki dzbanuszek z cykutą, którą mąż tępił robactwo i szczury.

Być może anioł dał mi to, czego potrzebowałam najbardziej.

Z wioski tłumnie umykali ludzie, których znaliśmy od zawsze. Niektórzy wieźli cały swój dobytek. Nastął chaos, a życie każdego z nas było niczym rzucony w górę kamień, który, spadając, roztrzaskuje się na drobne kawałki. Na drodze walały się potłuczone naczynia. Ludzie zostawiali rzeczy, przekonawszy się, że są zbyt ciężkie, by zabierać je w tę pośpieszną wędrówkę. Słysząc było szczekanie bezpańskich psów i płacz niemowląt. Wokół gorzała łuna pożarów, gdyż podpalano domy, by, opuszczone, nie padły łupem Rzymian. Ludzie chcieli mieć pewność, że wróg nie nacieszy się dorobkiem ich życia. Nazajutrz miał nie ostać się tam kamień na kamieniu. W ciągu jednego dnia nasz świat runął. Kobiety szlochały na ulicach, ale nadciągnął bezlitosny wiatr znad morza, który w swojej porze przynosi zimę, i nikt nie słyszał ich kwilenia. Trudno było powiedzieć, czy wypowiadają klątwy, czy modlitwy.

Podążałam tuż za zięciem, tak jak on chcąc mieć pewność, że nic złego nie stanie się mojej córce i ich dzieciom. Szlochałam, przekonana, że sprowadzę na nas klątwę, gdyż nie sprawiłam pogrzebu mężowi. Powinnam przesiedzieć przy zwłokach całą noc, modląc się i zawodząc, by ułatwić mu przejście do Przyszłego Świata. W normalnych okolicznościach pozostałabym przy szczątkach, które wcześniej zamieszkiwała jego dusza, nim przeniosłabym ciało do jaskini, by spoczęło obok kości innych zmarłych. Myślałam o naszych przodkach umykających z egipskiej niewoli, ich dzieciach potykających się na piasku i o morzu, które się przed nimi uniosło, a później rozstało. Ich cierpienia stały się dla mnie teraz bardziej realne. Nad nimi też mogłabym zapłakać.

Okryłam ramiona białym szalem, oplakując mężczyznę, który na każdym bochnie chleba umieszczał inicjał mego imienia. Przywdziałam szaty w kolorze przynależnym zmarłym, jakbym odeszła z tego świata wraz z mężem. Przemknęło mi przez głowę, żeby zostać, oddać się w ręce Rzymian i pozwolić, by moja dusza połączyła się z jego duszą. Pomyślałam jednak o córce i jej dzieciach, droższych mi ponad wszelkie skarby, i już wiedziałam, co należy czynić. Pomodliłam się za męża, ale opuściłam wioskę wraz

z innymi. Jak szczur umknęłam z rumowiska, pozostawiwszy za sobą życie, które do tamtej pory wiodłam.

O zmierzchu dotarliśmy na pustkowie. Był miesiąc *tiszri*, w którym obchodzimy święto Rosz ha-Szana, kiedy to Wszechmogący zaczyna zapisywać imiona tych, których miejsce jest w Księdze Życia i którzy spędzą na ziemi kolejny rok. Nie sądziłam, że wciąż będziemy w drodze w Jom Kippur, gdy pokutujemy za grzechy, i że księga zostanie tamtego dnia zamknięta i opieczętowana. Imiona, które nie zostały zapisane na jej stronicach, należały do tych, co nie dożyją następnego roku.

Byliśmy przygotowani na długą wędrówkę. Zięć zabrał dwa osły, które obracały kiedyś kamień młyński, i wóz, którym zwożono do piekarni worki z płaskurką i pszenicą. Ja niosłam ostatnie pięć bochnów męzowskiego chleba, symbol tego, co nas w życiu spotkało dobrego. Córka spakowała dzbany z oliwkami i oliwą, owinięty kawałkiem płótna ser oraz skórzane bukłaki z wodą. Biegliśmy, a wraz z nami biegly osiołki. Nad naszymi głowami gromadziły się wielkie stada ptaków, uciekające przed kłębam dymu, buchającymi ze wznieconych w wiosce pożarów. Spaliśmy wtuleni w siebie pod gołym niebem, nienawykli do trudów życia na pustyni, tęskniąc za wonią pieczonego chleba i miękkimi siennikami. Zięć miał na sobie długą szatę uczonego w Piśmie. Kiedy moja córka objęła go i zapewniła, że bez niego bylibyśmy zgubieni, biła od niego rozpacz. Może przestraszył się, bo uznał, że wiara, jaką żona w nim pokłada, jest chybiona. Czuł się znacznie lepiej ze zwojami Tory i modlitwami niż jako nasz przewodnik na pustyni.

Nocami śnił mi się mąż. Był ze mną, jak to często zmarli, nim odejdą na wieki. Powiadają, że po śmierci pozostajemy tym, czym byliśmy, nawet w Przyszłym Świecie. Mąż wyrabiał ciasto i ciężko pracował, jak za życia. Wydawał się taki sam jak zawsze: uprzejmy i skupiony na wypieku chleba, lecz nie rozpoznawałam składników, których używał. Ciasto było czerwone, a przyprawy pochodziły ze zmielonych płatków czarnych kwiatów i ostrych żądeł pszczoł. Nagle usłyszałam, jak mąż mówi: „Każdy bochen chleba karmi cię tak, jak powinienes być karmiony”. Był prostym człowiekiem i odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał. Czułam, że w tym śnie próbuje mi przekazać coś ważnego. Gdy się przebudziłam, żałowałam, że nie powiedział więcej.

Rankiem stada ptaków latających ponad wzgórzami były tak ogromne, że aż przesłoniły słońce. Nie odezwałam się, choć byłam pewna, że to zły znak. Miałam wrażenie, że biały kogut zarżnięty na schodach synagogi podąża za nami i rozsyła posłańców, by nas śledzili. Ptaki przeleciały nad nami szybciej, niż kiedykolwiek

będziemy w stanie wędrować – i to też było wiele mówiące.

Gdybyśmy byli bardziej uważni, pojęlibyśmy, że są rzeczy na tym świecie, przed którymi nie uciekniemy.



Mijały dni. Zapasy chleba, oliwek i sera szybko się skończyły. Zaczęliśmy wydzielać jedzenie. Mój zięć, człowiek logiczny, miał prosty plan. Przeczekamy Rzymian, powrócimy do naszej wioski i zaczniemy wszystko od nowa. Nie powiedziałam mu, że nie będzie do czego wracać, bo tam są tylko krew i ruiny. Widziałam, że Joaw boi się pustyni i tego, co nas na niej czeka. Pejzaż, który się przed nami rozpościerał, wydawał się okrutny nawet doświadczonym wędrowcom. Studiując Torę, Joaw nigdy nie rozpałił krzemieniem ogniska z gałązek, nie polował z łukiem, nie odnalazł źródła ani nie wspinał się po wapiennych głazach tak ostrych, że aż krwawiły od nich stopy. W wiosce był kimś ważnym, lecz tu – nikiem. Szybko zabłądziliśmy. Każdy ciernisty krzew wyglądał tak samo: był wysuszony i szerniał. Jedno wzgórze prowadziło na kolejne. Jedynie niebo się zmieniało, różowiejąc, a później przybierając barwę gołębioszarą tuż przed zmierzchem.

Joaw zaczął się godzinami modlić, jakby to miało mu podsunąć pomysł na to, co ma dalej czynić. Próbowaliśmy, ale bez powodzenia, upiec chleb na blasze nad naszym lichym ogniskiem. Wyszły z tego tylko suchary, które nie miały siły urosnąć. W końcu udało mi się go upiec na rozgrzanych kamieniach wciśniętych pod żar. Chłopcy nazwali te czarne bochenki chlebem z popiołu. Był wyrośnięty, ale i gorzki. Bukłaki z kozłej skóry, z których ubywało wody gaszącej nasze pragnienie, stawały się coraz lżejsze, a deszcze jeszcze nie nadciągnęły. Joaw przekonywał, że Adonaj nas poprowadzi i że musimy przyjąć Jego wyrok. Po cichu marzyłam, byśmy znaleźli przewodnika pośród tubylców w błękitnych szatach, których widywaliśmy od czasu do czasu zmierzających w stronę Moabu. Oddałabym im wszystko, żeby tylko wskazali nam drogę.

Choć naszej osady już nie było, wciąż miałam poczucie, że istnieje świat, do którego możemy powrócić.

Często wpatrywałam się w niebo. Pojawiało się na nim coraz więcej ptaków. Przybywało ich z każdym dniem. Próbowaliśmy je zliczyć, lecz nadaremnie, gdyż było ich tyle, co gwiazd, i w końcu dałam za wygraną. Wciąż czułam, że mój piekarz jest ze mną, i dodawało mi to otuchy. Szeptaliśmy do niego, próbując zabawić opisami najróżniejszych wiatrów, jakie napotykaliliśmy po drodze: wydymającego szaty,

zawodzącego, łagodnego, ciepłej bryzy z południa, ostrego błękitnego wiatru, który zaczynał wiać o zmierzchu i nagle zanikał o świcie, i fioletowego szkwału rozpaczy. Paplałam do niego, gdy nikt mnie nie słyszał.

Aż tu pewnego dnia przebudziłam się i jego nie było. Poczułam to odejście, jakbym ujrzała jego duszę unoszącą się do nieba. Od razu zaciężała mi samotność, niczym kamień w mym wnętrzu, ostry i ciężki. Kiedy spałam, Przyszły Świat upomniał się o mojego męża. Teraz odszedł już cały. Gdy szeptałam mu o świszczącym, poprzetykanym deszczem wietrze, który nadejdzie wraz z nastaniem zimy, nie odpowiedział. Gdy opisywałam spalony słońcem, wzniecający kłęby kurzu, to nikt mnie nie słuchał, tylko ten kurz. Krążyły nad nami już tylko czarne ptaki, nawałnica piór i ciał sunących po niebie jak chmury niosące burzę. Odczekałam do zmroku, by zapłakać, dusząc rozpacz w sobie, bo nie widziałam sensu dzielenia się swoim smutkiem.

Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy przeć naprzód, gdyż wokół była tylko pustka. Wyruszyliśmy nazajutrz. Zostawiłam za sobą to nieoznaczone miejsce, porzucając resztki bytu mojego męża. Niosłam tę stratę niczym brzemień, które ciążyło mi i spowalniało w marszu. Nie nadążałam za umęczonymi osiołkami kroczącymi posępnie przed siebie. Chłopcy podbiegli do mnie, chwycili za ręce i pociągnęli za sobą. To dla nich szłam dalej, choć Bóg na pewno wiedział, że przyszło mi do głowy, by tam zostać. Chciałam się położyć przy skałach, śnić o moim piekarzu i wołać, by do mnie wrócił, choćbym musiała odejść z tego świata. Może popełniłam grzech, bo zapomniałam, że nawet najlichsze życie to skarb.



Doszliśmy do niewielkiej oazy. Był tam wodospad przelewający się przez skały, a na dole sadzawka z czystą wodą. Nie posiadaliśmy się z radości, że spotkało nas takie szczęście.

– Mówiłem: nie trać wiary – upomniał mnie zięć. – Bóg uczynił dokładnie to, co przepowiadałem.

Rosły tam palmy daktylowe i krzaki wonnego jaśminu. Wzdłuż brzegów sadzawki sterczały grube trzciny. Na zielonej wodzie unosiły się białe kwiaty w kształcie gwiazdy. Do kępy dzikich morw ciągnęły osy i ważki. Ich bzyczenie było niczym muzyka. Kiedy powiał lekki wiatr, robiło się przyjemnie chłodno. Mogłabym opisać tę bryzę mężowi, gdyby jego dusza wciąż była przy mnie. Była tak spokojna, że zazdrościły jej wszystkie inne wiatry we wszystkich zakątkach świata.

Mój zięć postanowił, że przeczekamy Rzymian w tej zacisznej oazie. Powinniśmy jednak wiedzieć, że w tak okrutnych czasach lepiej nie przywiązywać się do miejsc, nawet jeśli jest w nich woda i kojący chłód. Zawieść to zawieść, tak dla wiatru, jak i dla człowieka. Im lepsze miejsce, tym więcej bliźnich – biedaków, wędrowców, tajemniczych cieni nocą – którzy pożądliwie na nie łypią. Posiadając coś, czego nie mają inni, stajesz się celem dla łajdaków. Byłoby lepiej, gdybyśmy rozbili obozowisko w jednej z grot w pobliżu oazy lub nawet zapuścili się głębiej na pustynię, podążając ścieżkami wydeptanymi wśród ciernistych krzewów przez dzikie wielbłądy. Ale zięć lękał się serca pustyni i chciał, byśmy zostali tam, gdzie będzie bezpieczniej. Miałam napad lęku, przeczucie. Zauważyłam nakrapiany słońcem cień pod palmą, przypominający swym kształtem żmiję. Przesunął się na piasku i zatrzymał u moich stóp.

Córka uciszyła mnie, gdy zaczęłam o tym mówić. Szepnęła, że byli tacy, którzy ruszyli na pustynię i nikt ich potem już nie widział. Zostali porzuceni, pożarci przez dzikie zwierzęta, pokonani przez głód i łaknienie albo porwani i przemienieni w niewolników przez tubylców w błękitnych szatach. Tutaj mieliśmy wszystko, co potrzebne. Odejść stąd byłoby niewdzięcznością wobec Boga.

– Pomyśl o chłopcach – nalegała Zara. – Tu są szczęśliwi.

Gdy na nich spojrzałam, wesoło pokrzykujących i bawiących się w cieniu palm, zapomniałam o swych lękach. Zostaliśmy tam, gdzie była najcenniejsza ze wszystkich rzeczy, woda, mimo że nocą ściągają do niej hieny i inna dzika zwierzyna. Te zjadłe stworzenia podchodziły całkiem blisko, wbijając wzrok w nasze osły – kolejny zły znak, który przeoczyliśmy. Te plugawe nakrapiane bestie wydawały z siebie zwodzący dźwięk, gdyż pożyły tego, co mieliśmy, lub próbowały nas przekonać, że są oswojone niczym psy i tęsknią za naszym towarzystwem, choć w istocie chciały nas pożreć.

Ludzi nie spotkaliśmy wielu. Napęlniali bukłaki wodą i szli dalej, dobrze wiedząc, że w takich czasach lepiej nie zatrzymywać się nigdzie na dłużej. Mówili nam, że zeloci z Jerozolimy zajęli kilka przyczółków nad Morzem Soli, w tym dawną twierdzę Heroda, cudowny pałac zawieszony na białych skałach, wzniesiony przez króla tak okrutnego, iż mordował wszystkich, którzy mu się sprzeciwili. Pewien starzec w tunice poszarpanej przez wiatr, pustelnik o stopach owiniętych płótnem, przestrzegł nas, że choć z pozoru na pustyni nie ma nic, to tętni ona życiem. To, co zdaje się puste, jest pełne, niczym kielich z wodą. To, co najważniejsze, pozostaje niewidzialne.

Wciąż krążyły nad nami ptaki, niczym szarańcza zasnuwająca niebo. Nawet ja, prosta kobieta, wiedziałam, że jest to zwiastun złego. Pewnego razu pojawiło się ich tyle, że

skryliśmy się w służącym nam do spania namiocie, przerażeni ciemnościami w środku dnia i światem, którym zawładnęły wrony. Nazajutrz szlak prowadzący na wschód zaścielały ptasie pióra. Wrony opadły z nieba, powalone jakimś tajemniczym kataklizmem. Zaczęliśmy gromadzić z Zarą chrust na ognisko, by ugotować południową strawę. Nim zdołałam ich powstrzymać, chłopcy zebrali trochę piór i jęli się bawić, przyozdabiając się nimi i udając, że przemienili się w kruki. Spojrzałyśmy z córką na siebie. Nagle dotarło do nas, że to Jom Kippur, Dzień Pojednania, kiedy prosimy Boga, by odpuścił nam grzechy. Na pustyni jeden dzień przypominał następny, więc umknęło nam, że to święto. Nie powinniśmy pracować ani jeść, tylko błagać Pana o przebaczenie.

Ponoć w Świątyni u ołtarza wisiał szkarłatny powróż, który w Jom Kippur – gdy już odbyliśmy post, złożyliśmy ofiary i wznieśliśmy modły – zmieniał kolor na biały, jeśli Bóg przebaczył nam nasze występki. Teraz zapomnieliśmy o tym największym ze świąt, a więc odwróciliśmy się od naszego Pana. Chłopcy tańczyli na piasku przystrojeni piórami i gdakali do siebie jak ptaki. Takie uczynki wywołują demony z ich kryjówek. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie pomyliliśmy drogi i bezmyślnie nie skręciliśmy w lewo, w stronę, gdzie rodzi się wszelkie zło.

Joaw wpadł w furję, widząc chłopców, którzy hasają jak dzicy. By temu zadośćuczynić, pobiegł pomodlić się na pustynię, gdzie wiatr zaczął smagać go niczym bicz. Krzyczał, że chce wszystko naprawić i błagać o przebaczenie. Przysięgał, że będzie się modlił o boże miłosierdzie, choćby miał to czynić całą noc i cały dzień. Ja i moja córka wiedziałyśmy jednak, że takiego występku nie da się naprawić. Zapomnieliśmy o Adonaj. Myśleliśmy tylko o sobie i naszych błahych ludzkich sprawach. Będziemy za to cierpieć. Nasze grzechy rozrosną się i pochłoną nas w całości.

Nazwałam córkę imieniem poranka, lecz rano to dzień, ale i noc, i być może ten mój wybór sprawił, że ściągnęłam na nas klątwę. Zastanawiałam się, czy nie przepowiedziałam tego, co zostało napisane, choć uczeni w Piśmie twierdzą, że żadna kobieta nie może przewidzieć, co się zdarzy. Niech mówią, co chcą. Wiedziałam, że nie spotka nas nic dobrego na pustyni w Jom Kippur, o którym nie pamiętaliśmy. Zięć mógł błagać o przebaczenie, aż zaschnie mu w gardle. Wzmagający się wiatr, ten bezlitosny, zapowiadał, że go nie będzie.



Ten straszny dzień wciąż zaprzętałby każdą moją myśl, gdyby mej uwagi nie odwracał

harmider panujący w gołębnikach, nieustanny potok dźwięków. Hałas jest lustrzanym odbiciem ciszy, gdyż w jednym i w drugim człowiek jest samotny. Zauważyłam, że Szira często mi się przygląda. Zastanawiałam się, co o mnie myśli. Nie bałam się ubrudzić sobie rąk i robiłam to, co do mnie należało. Kiedy wpatrywała się we mnie w półmroku, pochylałam głowę, by ukryć, co we mnie siedzi. Przez dach sączył się pojedynczy snop światła, którego zawsze unikałam, lękając się, że wyciągnie na jaw moją żalobę. Ale pewnego dnia, niedługo po tym, jak przybyłam do twierdzy, Szira nagle ujęła moją zgrubiałą dłoń. Zaskoczyło mnie to i nim zdążyłam ją cofnąć, zdołała się jej przyjrzeć. Jej dotyk był jak chłodna woda na mej skórze. Poczułam, że od tej chwili Szira już wie. Miałam dłoń zabójczyni. Nocą płonęła w ciemnościach. Inne kobiety wpatrywały się w księżyc, by odczytać z niego swoje przeznaczenie, a ja oglądałam swoją dłoń, by dojrzeć, co zostało napisane i co uczyniłam.

Nie chciałam, by mnie obgadywano, więc sama puszczałam mimo uszu plotki o Szirze. Nawet jeśli rzeczywiście była czarownicą, nie bałam się jej, bo kiedy ujęła moją dłoń, wzięła na siebie część mego brzemienia.

– Bycie człowiekiem oznacza utratę wszystkiego, co najbardziej ukochane na tym świecie – wyszeptała. – Ale czy chciałabyś być kimkolwiek innym?

Nie odpowiedziałam jej, lecz później zastanawiałam się, czy nie wolałabym być żmiją zamiast kobietą, czy nie wybrałabym życia pod jakimś kamieniem, ataków o zmierzchu, pożerania ofiar, drapieżności i samotności skupionych pod chłodną skórą. Czy żmija kochała swe dzieci? Czy szlochała pod głazem, marząc o rękach, którymi mogłaby je przytulać, głosie, którym opowiadałaby im bajki, i o sercu, które może pęknąć na dwoje? Gdy takie myśli przychodziły mi do głowy, nie mogłam zasnąć. Wtedy widywałam spacerującą nocami Szirę. Być może znała odpowiedzi na moje wątpliwości, ale nigdy jej o to nie spytałam, tak jak nie spytałam, dokąd chodzi ani skąd wraca. Nawet jeśli miała zamykaną szkatułkę pełną grzechów, jak twierdzili niektórzy, to nie była to moja sprawa. Kiedy naruszysz boskie prawa, wiesz, że tylko Pan może nas osądzać. Wiesz, że nikt nie zrozumie, do czego może się posunąć kobieta, gdy ją do tego zmusisz.

Kiedy pojawiła się Jael, wzięłam ją za głupią, samolubną dziewczynę mającą o sobie zbyt wysokie mniemanie, by czyścić gołębnik i nosić na pola ciężkie kosze z łajnem. Nie wyobrażałam sobie, że może kiedyś zamieszkać w moim domu, jeśli domem można nazwać pojedynczą izbę oddzieloną przepierzeniem od sąsiadów. Tymczasem sama mogłam być tak postrzegana tuż po przybyciu do twierdzy. Byłam zła, że przydzielono

mnie do pracy w gołębnikach. Uparcie trzymałam się swej pozycji w dawnym życiu, choć nie miałam do tego prawa. Płakałam przekonana, że sprowadzono mnie do najniższego statusu, póki wnuk nie pokazał mi prawdy o gołębiach. Teraz rozumiem, dlaczego Szira i jej córki są dumne ze swojego zajęcia i bez reszty mu się oddają, co tak mnie zdziwiło, gdy przekroczyłam rzeźbione drewniane drzwi z twarzą przesłoniętą chustą, by tylko nie wdychać smrodu świeżych odchodów.

Bez gołębi twierdza dawno by padła. Łajno, którym nawoziliśmy sady, przemieniło ją w soczyście zielony ogród, karmiąc korzenie palm daktylowych, oliwek i migdałowców, i sprawiało, że pokrywały się różowym, białym i szkarłatnym kwieciem. Bez gołębi już dawno zmorzyłby nas głód. Prawo zabraniało ich zabijania, bo odkąd zburzono Świątynię, nie wolno było składać ofiar. Ktoś, kto odebrałby gołębiom życie z chciwości, ryzykował, że zostanie *karet*, że zniknie Bogu z oczu, gdyż występki ten był uznawany za przestępstwo wymierzone w nas wszystkich.

Niezmiennie, gdy rozcinałam owoc, czułam wdzięczność dla tych bladych, giętkich stworzeń, których doglądałyśmy. Kiedy ktoś zachorował, zawsze przynosiłam do domu gołębia. Trzymałam go na drewnianej półce obok siennika i wsłuchiwałam się w jego gruchanie będące niczym kojąca pieśń.

Tylko w takie noce nic mi się nie śniło.

Powoli zaczęłam zmieniać zdanie na temat Jael, siostry jednego z młodych wojowników i córki sławnego skrytobójcy, Josefa bar Elchanana, który, jak szeptano, posiadał niegdyś dar przenikania przez ściany i znikania na oczach innych ludzi. Zauważyłam, że ona też potrafi czynić cuda. Wystarczyło, że wyciągnęła rękę, a gołębie od razu się do niej zlatywały. Nie musiała cmokać ani dawać im ziarna, czyli korzystać ze sztuczek, jakich sama używałam, żeby je przywołać. Dziwił mnie ten jej dar i byłam o niego zazdrosna. Rankiem to zawsze ja otwierałam gołębniki, karmiłam ptaki i doglądałam ich w chorobie. To ja rzucałam kamieniami, gdy na dachu przysiadły jastrzębie, gotowe wślizgnąć się przez świetlik, by niszczyć gniazda, o które tak dbałyśmy, lub atakować ptaki, które wypuszczałyśmy o świcie w przekonaniu, że zawsze do nas wrócą.

Przylatywały jednak do Jael, nie do mnie. Stawała w półmroku, a te już do niej mknęły.

– Dlaczego wolą ją? – spytałam Szirę, gdyż najdłużej się nimi zajmowała. Pewnie zauważyła zazdrość w mych oczach.

– Dlatego że przemawia ich językiem.

– Językiem ptaków? Cóż to za język?

– Akurat ty powinnaś to wiedzieć – odrzekła z uśmiechem Szira.

Wtedy zrozumiałam, że był to język ciszy.



Domyśliłam się, co Jael skrywa pod tuniką i chustami, choć o tym nie mówiła – i słusznie, mimo że byłyśmy daleko od praw obowiązujących w Jerozolimie. Tam niezamężne kobiety w odmiennym stanie wzywano przed trybunał mędrców i członków starszyny, po czym przepędzano z miasta. Te, które dopuściły się cudzołóstwa i poczęły dziecko, były zmuszane do wypicia gorzkiej wody z kurzem ze świątynnej posadzki. Niektórzy wierzyli, że zabija ona płód. Podczas ceremonii *sota*, która decydowała o ich winie bądź niewinności w oczach Boga, zmuszano je do wypicia kielicha wody z rozpuszczonym kawałkiem pergaminu, na którym wypisano Jego imię. Ludzie szeptali, że zło odpycha boskie miłosierdzie. Gdyby niegodziwiec próbował przyjąć Jego imię do swego ciała, rozpadłby się w pył.

Tymczasem w twierdzy, gdzie czyhało tyle zagrożeń, nie było zbyt wiele czasu ani powodów, by tropić grzechy. Bo czyż moi sąsiedzi nie zastanawiali się, jakie występki przywiodły ich na tę górę, dlaczego Żydzi muszą tyle cierpieć, dlaczego boże zamysły są tak niezbadane i czemu Pan porzucił nas tutaj?

Bezustanne zawodzenie wiatru doprowadziło paru z nas do szaleństwa. Wielu przeklinało twierdzę, bo upadli w niej niżej, niż potrafili to sobie wyobrazić. W czasie burz piaskowych niektóre kobiety płakały, a ich łzy pozostawiały na policzkach ślady soli. Czyż nie zadawały sobie pytania, dlaczego akurat one trafiły w miejsce tak odległe od Jerozolimy i wszystkiego, co znały i kochały? W najczarniejszej godzinie, tuląc w ciemnościach dzieci, okryte szalami stanowiącymi jedyną osłonę przed wiatrem, najpewniej zastanawiały się, o co walczymy.

Ja nigdy nie zadawałam sobie tego pytania. Wpatrywałam się w krainę, przez którą wiodła ścieżka węża, i myślałam o tym, ileż to kształtów przybiera bestia. Jedne zjawiały się w południe, równo stawiając stopy na ziemi, a inne przenikały do naszych snów. Niektóre przybyły z Rzymu, te, którymi gardziłam najbardziej. Ich szpony objawiły się dopiero, gdy przepłynęły Wielkie Morze, gdyż sól odpędza demony. Kiedy pomyślałam o ich nikczemności, nie mogłam zasnąć. By się przed nią chronić, zaczęłam wypowiadać zaklęcie, które zaleciła mi Szira na bezsenną noc: „Zakazuję dostępu niszczycielom, demonom, plagom, nieszczęściom, postrachom i koszmarom i ślubuję walczyć z nimi”.

A jednak wciąż leżałam, nie będąc w stanie zamknąć oczu.

Czasami widywałam, jak mój zięć wspina się ścieżką węża z dala od innych wojowników, gdy wracali z wypadów, które miały nas chronić, albo kiedy próbowali zdobyć prowiant w okolicznych osadach. Nie chciałam myśleć o ponurych występkach, jakich się dopuszczali, przelanej krwi ani o przekreślonym ludzkim życiu.

Człowiek z Doliny, który nie chciał kroczyć u boku swych braci, nie przypominał już uczonego w Piśmie, którym kiedyś był. Nie ruszał się nigdzie bez swego topora pozyskanego w zamian za najcenniejszy puchar. Nosił go tak blisko piersi, że wydawał się on częścią jego samego, doszytą niewidzialną czerwoną jedwabną nitką. Jego włosy, które posiwiały z dnia na dzień, były tak długie, że ludzie zaczęli szeptać, iż Bóg może odciągnąć go za nie od niebezpieczeństwa. Tylko dlatego wciąż żył, choć śmierć bezustannie zaglądała mu w oczy. Słyszał z zapalczywością w walce, zawsze gotów do niej ruszyć, nie myśląc o własnym życiu. Rozumiałam go, bo wiedziałam, o co walczy. W tym byliśmy podobni. Takie cierpienie jak nasze karmi się kośćmi i krwią. Jak wiatr dobrze wiedzieliśmy, w którą stronę się skierować i gdzie jest nasze miejsce. Byłam wdzięczna Bogu za te chwile spokoju w twierdzy. Tutaj przynajmniej moi wnukowie czuli się bezpiecznie. Mogli ufnie złożyć głowę na poduszce, gdy gołębie przy mym sienniku kołysały ich do snu. Mimo zaklęcia Sziry mój sen był krainą, którą przestałam odwiedzać, a kiedy już tam zawędrowałam, marzyłam o jak najrychlejszym powrocie na jawę, by nie oglądać koszmarnych obrazów z przeszłości i siebie takiej, jaką się stałam.



Wielu uciekało z mijanych przez nas miast i wiosek. Zwykle byli zacni, lecz trafiali się i tacy, którzy ciążyli ku lewej stronie drogi – stronie niegodziwych. Nim mój piekarz wsunął długą drewnianą szpatułę, której zawsze używał, ostatnie bochny chleba do pieca, nim się dowiedziałam, że już nie wróci, nim na piasek opadły czarnepióra, było już zapisane, że spotkamy tych niecnych i że napadną na nas przed zmierzchem, gdy niebo przybiera barwę głębokiego błękitu, a wokół roznosi się zapach jaśminu.

Przyszli po osiołki, które wypatrzyli z grani, i po chłodną wodę, która lśniła im w oczach, jednak zostali, gdy ujrzeli Zarę rozpalającą ognisko. Dostrzegli jej promienną urodę i zdało im się, że widzą przed sobą jutrzenkę. Wtedy zmienili zamiary. Zapomnieli o osiołkach, sadzawce i o dziesiątym legionie rzymskim, z którego zdezerterowali, bojąc się kary – trzcin łamanych przez dowódców na ich karkach za popełnione występki.

Przekroczyli już granicę dzielącą ludzi od stworów ciemności. Przecięli ścieżkę wydeptaną przez stado nękających nas hien, które próbowały wkraść się w nasze łaski smutnym zawrotem, licząc na ochłapy, nim nas pożrą. Czterech rzymskich żołdaków bez wody, jedzenia i nadziei ruszyło w dół wzgórza. Jeszcze zdobyły ich napierśniki, bo kiedyś byli mężczyznami. Łatwo przyszło im przemienić się w bestie. Jeden krok i ich człowieczeństwo stało się iluzją. Ich zbroja kryła jedynie kły i szpony, głód i łaknienie. Był szabat. Narzuciwszy na ramiona tańs, Joaw poszedł się modlić na pustynię. Wiatr się wzmógł, więc nie słyszał, że przydarza się nam coś złego. Był wsłuchany w Boga i we własny głos. Po Jom Kippur zniknął na całe dni, by błagać Go o nasze zbawienie. Kiedy na niebie wzeszła pierwsza gwiazda, zapalałyśmy szabatowy kaganek, używając resztek oliwy, i wtedy do nas wracał. I właśnie to było straszne – dojrzał światło, lecz nie spodziewał się mroku.

Dostrzegłam żołnierzy, jak dostrzega się demony – niewyraźne, sunące po ziemi cienie. Nie czekałam, co się wydarzy. Kazałam chłopcom uciekać. Zupełnie jakby nagle otworzyły się wrota przyszłości i przez krótką chwilę mogłam wejrzeć w to, co jest za nimi.

– Uciekajcie, szybko, i już nie wracajcie – przykazałam chłopcom. – Sama po was przyjdę. Nawet gdy zapadnie noc, nawet gdy księżyc zje słońce. Nie słuchajcie nikogo, nawet jeśli zawoła was po imieniu. Nie odpowiadajcie, milczcie. – Spojrzałam im w oczy. – I, przede wszystkim, ukryjcie się.

Pokazałam im półkę skalną nad wodospadem, gdzie czasami się bawili. Byli na tyle mali, że mogli wślizgnąć się w szczelinę między skałami. Miejsce to przesłaniała opadająca woda. Pomyślałam, że jeśli zdarzy się coś złego, dzięki niej nic nie zobaczą i Bóg będzie ich miał w swej opiece.

Woda jest jednak przezroczysta, niczym otwarte okno, a oczy mieli otwarte.

*

Żołnierze rzucili się na Zarę przy ognisku. Jej głos brzmiał w mych uszach jak dzwon, który przebija wszelkie inne dźwięki. Podbiegłam tam, lecz jeden z tych łajdaków odepchnął mnie, bo byłam dla niego jak wyschła szarańcza, dobra jedynie na strawę dla kruka. Poczułam smak krwi w ustach. Ruszyłam na nich z wrzaskiem, ale było ich czterech, silnych jak bestie, a ja byłam nienawykłą do walki kobietą. Dwóch trzymało Zarę, zdzierając z niej szaty, a dwaj pozostali zajęli się mną. Pociemniało mi w oczach, gdy uderzyli mnie kamieniem w głowę. Czułam, jak po czole cieknie mi ciepła krew. Wszystko we mnie przemieniło się w noc. Nie widziałam tego, co widzieli moi

wnukowie, lecz pojęłam, co się wydarzyło, gdy ujrzałam, co zostało z mej córki. Za to chłopcy zobaczyli wszystko: jak żołnierze po kolei biorą ich matkę, jak ta próbuje się bronić i jak – kiedy z nią skończyli – zadają jej męczarnie ogniem, rozżarzonymi kamieniami i ostrymi patykami tylko po to, by zaspokoić własną nikczemność.

Gdy ocknęłam się z mroku i powróciłam do tego świata, było już za późno. Bestie łupiły nasz nędzny dobytek, który trzymaliśmy w namiocie. Ruszyłam ku Zarze, choć wiedziałam, że wkroczyliśmy do krainy demonów, z których każdy dorównuje sile tysiąca mężczyzn, a ja jestem tylko kobietą postarzałą przez te ostatnie godziny, zwiędłą i bezużyteczną. Zaczęłam brnąć przez piach.

Chwilę wcześniej mieliśmy przed sobą tyle czasu, ile dusza zapragnie, a teraz moja ukochana córka umierała na mych rękach. Szeptala, bym zakończyła jej męki i pozwoliła odejść do Przyszłego Świata. Błagała mnie, a jej krew ściekała po nas, krew, którą z takim mozołem obdarowałam ten świat. Nie wystarczyło im użyć jej dla swej chuci i zostawić nas w spokoju. Nie wystarczyło zabrać wszystko, co mieliśmy – osły, wodę, namiot, jedzenie – i rzucić nas na żer hienom, które już krążyły wokół. Byli aniołami zniszczenia, dostrzegłam to wyraźnie, choć przebrali się za rzymskich żołnierzy. Przybyli do nas z mrocznej strony świata, gdzie nie dochodzi światło. Skóra Zary czerniała w miejscach, w których przypalali ją rozżarzonymi kijami i kamieniami. Wcisnęli w nią te kamienie, tylko po to, by usłyszeć jej krzyk. Usunęłam je, lecz nic to nie dało. Rozmawiała już z duszami na tamtym świecie. Zobaczyłam, że rozpruli ją toporem i wszystko, co w niej było, wypłynęło na ziemię.

W tamtej chwili, przykucnąwszy obok, przemieniłam się w coś, co nie było kobietą.

Bestie porzuciły swą broń, zbroje i hełmy. Podniosłam ociekający krwią sztylet. Uczyniłam to, o co mnie prosiła Zara, choć była to zbrodnia przeciw prawu Boga i ludzi. Szepnęłam jej do ucha, że odtąd będzie wolna i żeby zamknęła oczy, po czym zrobiłam coś, czego nie życzę żadnej matce. Sztyletem poderżnęłam jej gardło. Uczyniłam to, jakbym składała ofiarę, bo nawet zwierzę ofiarne pozbawia się życia właśnie tak: miłosiernie, bezboleśnie, jednym szybkim ruchem. Nachyliłam się i przystawiłam usta do posiniaczonych warg mej córki. Złapałam jej ostatni oddech, przytrzymując w sobie jej duszę, jak wtedy, gdy jeszcze się nie narodziła.

Niegodziwcy zabrali, co chcieli. Śmiali się, patrząc, jak leżę obok Zary. Kiedy rycząc, pobiegłam za nimi ze sztyletem w dłoni, jeden z nich mi go wyrwał i przyłożył do szyi. Byłam za to wdzięczna losowi. Tego pragnęłam. Błagałam, by mnie zabił.

– No już, moja śmierć będzie niczym podarunek.

Nawet jeśli nie znał naszego języka, musiał wiedzieć, co znaczą te słowa. Nie mogłam już znieść katuszy życia na ziemi, po której stąpaliśmy. Jednak ich przywódca

powstrzymał go. Popelniona zbrodnia zaostrzyła im apetyt. Jak zwierzęta chcieli jeszcze. Kazali mi ugotować strawę w ognisku, przy którym skatowali moją córkę. Dym niósł ze sobą zapach jej wonności, cynamonu i olejku imbirowego, dobywający się z popiołu.

W mojej głowie zakiełkowała pewna myśl.

– Odmówisz nam? – spytał ich przywódca, a na jego podstępnej twarzy zakwitł uśmiech, jakby prosił o przysługę sąsiadkę. – Na pewno umiesz gotować.

Już nie byłam kobietą, lecz nie przestałam być żoną piekarza. Pomyślałam o tym, co szepnął mi mąż we śnie. Wreszcie zrozumiałam. Odrzekłam, że nie tylko ugotuję im strawę, lecz także upiekę chleb, który zabiorą ze sobą na pustynię i którym przez wiele dni będą zaspokajać głód. Nakarmię ich tak, jak na to zasługują.

– Obyś nie kłamała – przestrzegł ten, który chciał mnie zabić.

Wzięłam formę, drewniane chochle męża i przewiązałam się jego białym fartuchem.

– Jak wyglądam? – spytałam. – To moje życiowe powołanie.

Musiałam wyglądać jak stara, sterana kobieta, ale zarazem taka, co to zna tajniki wypieku chleba, gdyż powiedzieli, bym zabrała się do dzieła. Później przysnęli na słońcu. Odór spalenizny i śmierci im nie przeszkadzał, tak jak hienom śledzącym swoje ofiary ze wzgórz czy grasującym w ruinach szakalom, które żywiły się szczątkami pomordowanych. Otepiałe bestie przymknęły swe senne oczy, a ja zapiekłam w bochnach chrząszcze i wypełniłam je klątwami. Znalazłam rozsypaną przez grabieżców kolendrę i przyprawiłam nią ciasto, by nie podejrzewali, że to, co jedzą, nie jest zwykłym chlebem. W końcu znalazłam dzbanuszek ze składnikiem, który, za podszeptem anioła, zabrałam z kuchni. Nie wysypało się z niego ani jedno ziarenko. Wymieszałam go z wodą i resztką mąki, dodałam nieco drożdży z chłodnego glinianego garnka i nakryłam ciasto kawałkiem płótna, by urosło.

Nim chleb się upiekł, bestie się przebudziły – przecież musiały czynić krzywdę na świecie. Zresztą śpieszyło im się, gdyż umykali przed służbą w legionach cesarza. Tymczasem ja działałam powoli, zrozpaczona szykując odwet.

– Nie możemy czekać! – krzyczeli. – Ruszaj się, zwawo!

Nie miałam wyjścia, upiekłam chleb, nim ciasto do końca urosło. Bałam się, że będzie gruby i płaski jak suchary albo ze szerniałą skórką, lecz wyszedł pięknie. Wtedy się przekonałam, że anioł, który był ze mną w kuchni, wciąż mnie wspiera i otacza mnie opieką.

Czułam w gardle gorzki smak rozpacz. Cieszyłam się, że nie muszę mówić, tylko usługiwać. Słyszałam rechoczące nad naszymi głowami kruki. Pomyślałam o piórach na drodze, wielu innych znakach dawanych mi przez anioła i o tym, że nie

przywiązywałam do nich wagi. Odtąd będę czujniejsza. Pokroiłam bochny zakrwawionym sztyletem, poparzyłam sobie palce, rwąc je na mniejsze kawałki, i podałam bestiom, które wyglądały jak ludzie. Miały jeszcze na sobie insygnia legionu przedstawiające dzika, choć zdradziły swych towarzyszy. Przemknęło mi przez głowę, że to chleb w sam raz dla dzikich wieprzy. Uśmiechałam się nie jak ktoś, kto był świadkiem tego, co widziałam, jakbym była matką córki, której ciała nie zrzucano kopniakami do wąwozu, gdzie rosły jaśminy.

Ale byłam już kimś innym, kimś, kim się stałam.

Żołdacy pożarli to, co im upiekłam. Jeszcze nie widziałam, żeby jakiś mężczyzna zjadł w życiu tyle chleba. Okrucieństwo i wielodniowe poszukiwania zdobyczy wywołały u nich wielki głód. Wciąż im usługiwałam, jakby byli moimi panami. Byłam dla nich tylko kobietą i służącą, nikiem więcej. Kiedy mieli już pełne brzuchy, zaczęli napełniać wodą bukłaki i dwie duże beczki, by starczyła im na jak najdłużej. Stali tak blisko wodospadu, że niemal zemdlałam, lękając się, że dojrzą mych wnuków i zabiją ich dla zabawy, gdy dzieci zaczną krzyczeć. Nie wiedziałam, że anioł oddał mi jeszcze jedną, ostatnią przysługę, odbierając chłopcom zdolność wydawania głosu, by nie ujawnili swej kryjówki. Kiedy otworzyli usta, by wołać i szlochać, nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Tymczasem bestie kucnęły przy sadzawce niczym psy zanurzające pyski w wodzie, gdyż nagle odczuły przemożne pragnienie. Napawałam się swym ponurym tryumfem, wiedząc, że to znak, iż trucizna działa. Nie mogły się nasycić, choć już chwyciły się za wzdęte, jakby zaraz miały pęknąć, brzuchy. Patrzyłam zimnym wzrokiem, jak opijają się na śmierć. To samo spotykało szczury w piekarni mojego męża. Często znajdowaliśmy je utopione w wiadrze. Łykały cykutę, a później ginęły ze straszliwego pragnienia.

Jeden z żołdaków podczołgał się do mnie na czworakach, błagając o miłosierdzie. Charczał, że ma żonę i dzieci, które na niego czekają. Przysięgał, że w życiu, które wiódł przedtem, był dobrym człowiekiem, lecz jego słowa, jak wszystko na pustyni, uleciały z wiatrem. Zaiste, byłam już nieczuła na takie błagania. Nie było we mnie litości, zastąpiło ją ostatnie tchnienie córki.

Gdy zapadła noc i zięć powrócił z modłów, zaszlachtowałam już wszystkie cztery bestie, podrzynając im na dokładkę gardła, nie z litości, lecz by mieć pewność, że doprowadziłam sprawę do końca. Umyłam ciało córki i owinęłam je białym ślubnym szalem. Zabrała go ze sobą, jedyny skarb wyniesiony z domu, podczas gdy ja sięgnęłam w kuchni po truciznę. Takie wybory świadczą o tym, kim w głębi duszy

jesteśmy. Zara była dobrą żoną, a ja kobietą, która uczyni wszystko, by chronić to, co jej. Zebrałam kamienie, aby przykryć nimi zwłoki i by szakale nie upomniały się o to, co zostało z mojej córki. Nie zważałam, że są ciężkie. Były czerwone i pokryte pyłem, brudziły mi dłonie. Może właśnie tak zostałam naznaczona do końca życia. Gdy ktoś uważnie przyjrzy się moim dłoniom, z pewnością odgadnie, kim naprawdę jestem.

Musiałam wyglądać jak demon, bo zięć na mój widok padł na kolana. Kiedy dotarło do niego, co się zdarzyło, zaczął bić głową o ziemię, płakać, przeklinać i rwać swoje szaty. Bałam się, że pogna na pustynię jak szaleniec i nas tu zostawi. To jednak nie mogło się stać, nawet jeśli pragnął tak okrutnego końca swej udręki. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że śmierć córki miałaby oznaczać śmierć jej dzieci. Joaw musiał nam pomóc w ucieczce. Chwyciłam go za taśes, mimo że nie wolno mi było dotknąć choćby jego rąbka. Tym razem jednak to ja miałam mu powiedzieć, co robić. Ponagliłam go, bo czas umykał nam szybciej niż przesypujący się pod stopami piasek. Wiedziałam, że powinniśmy ruszyć w drogę, nim ktoś zacznie szukać tych bestii przy sadzawce.

Joaw jął pakować na osiołki to, co nam zostało, a ja poszłam do wodospadu, gdzie ukryłam swój skarb. Chłopcy patrzyli na mnie ciemnymi błyszczącymi oczami, lecz nie wyszli ze szczeliny między skałami. Klasnęłam i do nich zawołałam, ale nawet nie drgnęli.

Ogłuszał mnie szum wody. Wdrapałam się na górę po chłodnych oślizłych głazach. Nie mieściłam się w szczelinie, w której chłopcy tulili się do wilgotnej, upstrzonej srebrnymi drobinkami miki skały. Mieli ledwie sześć i osiem lat, a widzieli coś, czego nie powinien oglądać żaden dorosły. Wyciągnęłam rękę i zaklinałam ich, by do mnie podeszli. Powiedziałam, że mam w sobie cząstkę duszy ich matki i że będzie ona z nami wszędzie, dokąd się udamy. Musimy się śpieszyć. Mama też by tak zrobiła. Po chwili podali mi ręce i ruszyli za mną. Nie odezwali się nawet słowem, gdy opuszczaliśmy to straszliwe miejsce ani później, kiedy zatrzymaliśmy się na postój z dala od wodospadu. Odtąd w ogóle nie przemówili.

*

Wkroczyliśmy w krainę ciszy, wślizgując się do niej jak cienie wydłużające się wraz z upływem dnia. Słyszeliśmy jedynie szum wiatru, chyba że napotkaliśmy po drodze wędrowców snujących opowieści o pałacu Heroda i uciekinierach z Jerozolimy, podążających szlakiem zakrzywionego sztyletu za zelotami, którzy zajęli twierdzę. Joaw słuchał o powstańcach w skupieniu, odwracając od nas zamyśloną twarz.

Krażyliśmy po pustyni, by trzymać się z dala od rzymskich legionów. Wędrując bez celu, błędząc po pustkowiu, natrafiliśmy na szlak prowadzący nad Morze Soli. Podczas tego marszu Joaw zmieniał się na naszych oczach. Realny świat zaczął mu umykać, jakby już stąpał u boku archanioła Gabriela. To, co dla nas było ziemią pod stopami, jemu zdawało się ogniem. Nocami krył się w ciernistych krzewach. Słyszałam, jak szlocha, i tak jak jemu pękało mi serce. Tymczasem za dnia stawał się hardy, oczy mu się zwięzały, a skóra gorzała na słońcu. Jadał wyłącznie zioła, a gdy ich nie było, nie spożywał nic. Kiedy natrafiliśmy na obóz nomadów, wymienił srebrny puchar, w którym błogosławił wino.

Starszy mężczyzna z obozowiska namiotów z koziej skóry i nagich dzieci nie mógł uwierzyć, że ubił tak dobry interes. Z chęcią oddał swój topór za kielich z czystego srebra. Było to ciężkie narzędzie, bardziej dla drwala niż dla wojownika, dużo potężniejsze niż to, które rozpruło na pół moją ukochaną Zareę. W trakcie dalszej wędrówki słyszałam, jak Joaw ćwiczy z nim wczesnym rankiem, gdy niebo było jeszcze czarne. Oddawał się temu z takim zapamiętaniem jak wcześniej modlitwom i świętym zwojom. Sypiał obok tego topora jak kiedyś u boku żony.

Moje przecucie, że Joaw w swej żalobie ruszy na pustynię i nas porzuci, okazało się słuszne, choć nie w takim stopniu, jak sobie wyobrażałam. Wciąż przebywał w naszym gronie, lecz jego myśli wędrowały do całkiem innego miejsca – do krainy zemsty. To wtedy posiwiął z dnia na dzień, a później zapuścił włosy i przestał o nie dbać. Wyszczuplał, ale nabrał siły. Nie odzywał się, chyba że ćwiczył się w sztuce zagłady, rzucając toporem z taką mocą, że aż jęczał i rzeził jak ktoś na łożu śmierci. Jego dzieci, mili, lecz teraz milczący chłopcy, zaczęły się go bać. Uświadomiłam sobie, że Joaw wygląda jak szaleńcy, których widywaliśmy na pustkowiu: wojownicy, pustelnicy, prorocy i kapłani, dostrzegający wyłącznie własną ścieżkę.



Kiedy pierwszy raz ujrzałam twierdzę, zaparło mi dech. Była niczym wyrosła na kamieniu fatamorgana, zalany słońcem cud. Zatrzymaliśmy się, oczarowani, w dolinie. Była pora wiatrów, gdy *ruach kadim*, upalny wściekły wichur z krainy Edom, niósł ze sobą tabuny piasku. Moi wnukowie, opatuleni płaszczami, tulili się do siebie. Być może chłopcy rozmawiali ze sobą w snach, gdyż najwyraźniej rozumieli się nawzajem, choć nie używali języka. Nie pozwalali się rozdzielić. Sypiali pod jednym kocem, jadali z jednej misy i pijali z jednego kubka. Sądziłam, że wystraszą się stromych skał Masady i czekającej nas wspinaczki. Myślałam, że ojciec będzie musiał obwiązać ich

w pasie powrozem, by prowadzić między głazami, tymczasem młodszy, Lewi, pierwszy rączo niczym kozica ruszył krętą ścieżką węża, a Noe, podziwiając pewność siebie i odwagę brata, szybko podążył jego śladem.

Olśniło mnie wówczas, że chłopcy już nigdy nie odzyskają ojca, że podczas tej najeżonej niebezpieczeństwami wspinaczki ostatni raz przebywamy z Joawem, jakiego znaleźliśmy, i że teraz całkowicie przeistoczy się w mężczyznę, który nie rozstaje się ze swoim toporem. Słońce chłostało ziemię, tak jak te bestie chłostały nas w oazie, zuchwale i bezlitośnie. Moi wnukowie wspinali się coraz wyżej, wzniecając tumany kurzu, które wiatr chwytał w drobne, umykające wiry. Położyłam dłoń na ramieniu zięcia, nim podszedł pod górę. Zwrócił ku mnie twarz, lecz oczy miał zakryte kapturem. Był jak jastrząb, który dostrzega tylko to, co musi, by przetrwać. Joaw pragnął jedynie zemsty, ale dałam mu więcej. Wyjawiłam, że pochyliłam się nad Zará, by zatrzymać jej ostatnie tchnienie. *Neszama*, po naszymu dusza, oznacza też oddech, więc moja córka wciąż była z nami.

Kiedy zięć to usłyszał, wyrwał mu się z piersi pojedynczy szloch. Potrząsnął głową i odwrócił twarz.

– Nie chcę już słyszeć jej imienia – rzekł. – Nie wypowiadaj go w mojej obecności.

Wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo ją kochał. Wszystko uległo w nim przemianie, oprócz tego. Tylko on potrafił pojąć, czym jest utrata Zary. Żałoba połączyła nas, mimo ciszy, wiatru i tego, kim się stał. Dałam mu znak, żeby się pochylił. Później zrobiłam drugą najstraszniejszą rzecz, jaką może uczynić matka, w pewnym sensie gorszą niż pogrzebanie córki pod kamieniami. Tchnęłam mu w usta ostatni oddech Zary. Oddałam mu ją, by przejął jej ducha i miał w sobie, pozostając człowiekiem z duszą, nawet jeśli utracił wszystko inne.

Martwiłam się wyłącznie o wnuków. Byli mym światem, terażniejszością i przyszłością. Poprzysięgłam skupić się na codzienności, na niczym więcej. Gdy dotarliśmy do twierdzy, wprowadziliśmy się do niewielkiej kwatery przylegającej do królewskich murów. Jedynie przepierzenie dzieliło nas od innych rodzin. Kiedy zapadał zmierzch, słyszeliśmy naszych sąsiadów: śmiech dzieci, kłótnie rodziców i odgłosy ich miłości. W naszej izbie panowała wyłącznie cisza. Tak wyglądało teraz nasze życie. Nie potrzebowaliśmy mowy. Żadne słowa nie oddałyby tego, czego byliśmy świadkami. Chłopcy wpatrywali się we mnie ciemnymi jak noc oczami. Przekonywałam ich, że już nic nam nie grozi, i próbowałam im to udowodnić. Przeciągnęłam nitkę nad progiem, by nikt nie mógł wejść bez naszej wiedzy. Sypiałam ze sztyletem ukrytym pod siennikiem. Wprowadzałam codzienne rytuały w nadziei, że

drobne zadania i obowiązki dodadzą dzieciom pewności. W ich obecności byłam spokojna i cierpliwa, wchodząc w rolę rozważnej babci, na której zawsze można polegać, lecz kiedy zostawałam sama, mój uśmiech bladł. Rankiem szłam do gołębników, wieczorem wracałam i szykowałam wieczerzę, a nocą płakałam. Tak mijały miesiące. Przywykliśmy do suchego górskiego powietrza i zapachu soli przywiewanego przez wiatr znad morza. Poznawaliśmy pozostałych mieszkańców twierdzy, którzy przybyli do niej, gdyż w całym Syjonie nie było dla nich innego miejsca. Wszyscy byliśmy w rękach Boga i w tym sensie pozostawaliśmy siostrami i braćmi, bez względu na to, skąd przyszliśmy. Byli tam wojownicy, skrytobójcy, buntownicy, którzy popełnili zbrodnie, i tacy, którzy twierdzili, że padli ich ofiarą. Byli ludzie uczeni i garbarze, garncarze i pasterze kóz, ludzie prości i tacy, którzy czytali po aramejsku, hebrajsku, po łacinie i w grece. Byli wypędzeni z Jerozolimy i ci, którzy umknęli z płonącego Jerycha, a także uciekinierzy z wiosek takich jak nasza.

Wiele kobiet chciało się ze mną zaprzyjaźnić i zapraszało do grupy, która zbierała się wieczorami przy wrzecionach, by omówić wydarzenia mijającego dnia. Miały dobre intencje, ale ja trzymałam się z boku. Nie mogłam znieść świergotania i żartów i nie podzielałam ich wiary. Choć udawałam, że tak nie jest, przeszłość nie odeszła. Była wszystkim, co miałam. Uczepiłam się jej i ją smakowałam, gdyż tę krainę smutku zamieszkiwała moja córka. Przepęniała mnie rozpacz i niewiele było tam miejsca na coś innego. Przyglądałam się światu zza barykady, którą ustawiłam między sobą a innymi niczym przepierzenie dzielące naszą izbę od kwater sąsiadów. Wiedziałam, że nie można wiecznie uciekać przed przeznaczeniem, że wychynie ono znienacka z mroku jak nietoperz w sadzie.

Doszły nas pogłoski o rzymskim patrolu, który rozbił obozowisko nieopodal twierdzy. Wojownicy ruszyli, by się z nim zmierzyć, jednak wróg był zbyt liczny. W końcu musieli się wycofać i czekać, aż Rzymianie zwiną obóz. Pozostawili po sobie niewiele – świńskie kości i własne odchody. Wybudowali także kamienną wieżę. Wyglądało to złowieszczo, gdyż oznaczyli w ten sposób miejsce, do którego zamierzali powrócić.

Mimo to postanowiłam, że dla dobra mych wnuków będziemy żyć normalnie tak długo, jak tylko się da. Uznałam, że najlepiej trzymać się z boku. Żadnych przyjaciół ani wrogów, tylko nasza trójka. Robiłam wszystko, by uniknąć zawirowań. Aż tu pewnego wieczoru ktoś do nas zapukał. Poczułam ucisk w gardle. Wiedziałam, że za chwilę wedrze się do nas to, co na zewnątrz. Drzwi nie powstrzymają każdego intruza. Żadna barykada nie zatrzyma upływającego czasu. Plewy ulatujące z pszenicy wiatr przenosi w inne miejsce, jak Bóg da – na zielone pole albo na ugór.

Modliłam się, by pukanie ustało, ale się powtórzyło. Chłopcy spoglądali niespokojnie. Słuch mieli tak wyczulony, że usłyszeli stukanie, nim dłoń dotknęła drzwi. Przyłożyłam palec do ust i zbliżyłam się do wejścia.

Bałam się tego, co się stanie. Drżałam niczym oswojony ptak, który lęka się podejść do otwartych drzwiczek klatki. Chciałam, by nasze życie nie uległo zmianie, by każdy dzień był lustrzanym odbiciem poprzedniego. Sięgnęłam po sztylet. Nasza izba służyła kiedyś za spiżarnię. Często zaglądały tu myszy w poszukiwaniu ziarna. Teraz czmychnęły, unikając mych stóp, gdy ruszyłam, by sprawdzić, któż odwiedza nas o tak późnej porze. Wyrzałam przez szparę między kamieniami.

W mroku dostrzegłam Jael. Żadnych żołnierzy, żadnych bestii, tylko kobieta o długich rudych włosach. Stała z koszem wypełnionym dobytkiem, tak małym, że ledwie mógł co pomieścić.

Przyszło mi do głowy, żeby odprawić ją z kwitkiem, lecz dostrzegłam jej rozpacz. Wpuściłam ją. Przysiadła na moim sienniku. Nie spytałam, co się stało, nie musiałam. Twarz miała bladą, jeśli nie liczyć granatowego sińca na policzku. Ktoś ją uderzył. Uszanowałam jej milczenie. Stwierdziłam, że tak jak gołębie coś mnie do niej przyciąga.

Nie skarżyła się, tylko wciąż szeptem przepraszała. Pokłóciła się z ojcem. Widywałam go na placu, sprawiał wrażenie zimnego i samolubnego człowieka, który wywyższa się nad innych. Tacy jak on często patrzyli z góry na mojego męża, bo był piekarzem, i uważali, że nie zasługujemy, by Joaw zamieszkał pod naszym dachem. Przygotowałam Jael miejsce do spania, dając jej koc, utkany przeze mnie i ufarbowany na niebiesko hizopem na cześć córki, która uwielbiała barwę tych kwiatów. Jael szukała u mnie schronienia, choć traktowałam ją chłodno, odkąd zjawiała się w gołębniku. Była rówieśnicą mojej córki. Ona żyła, a Zara już nie. Miałam jej to za złe, czepiałam się i okazywałam niechęć podczas pracy. Skrzywiłam się na myśl o swoich uczynkach. Mimo to Jael coś we mnie dostrzegła i to ją przyciągnęło. Wiedziała, że znam język ciszy. Nie zapytałabym jej o przeszłość, tak jak nie zwierzyłabym się z własnych czynów.

Rankiem poszłyśmy do gołębników, jakbyśmy robiły to od zawsze. Siniak w miejscu, gdzie uderzył ją ojciec, zaczął blednąć, posmarowany maścią z miodu i fig. Nie rozmawiałyśmy o okrucieństwie Josefa bar Elchanana ani dziecku, które wkrótce miało przyjść na świat. Nie dało się tego już ukryć, choć narzucała na siebie szale. Rozmawiałyśmy o upałach i słabych zbiorach migdałów. Ich różowe pąki spaliło słońce w ostatnich dniach miesiąca *tamuz*, zupełnie jakby ktoś podłożył pod nie ogień,

pokrywając płatki czarną mgiełką. Większość owoców w ogóle się nie wykształciła, schnąc na zwiędłych gałęziach, które trzaskały w palcach. Zapanowało przygnębienie i smutek. Początkowy entuzjazm, jakiego doświadczaliśmy tuż po przybyciu do twierdzy, przygasł, kiedy plony okazały się skromne. Żyliśmy w takim odosobnieniu, że zaczęłam myśleć o aniołach, o tym, jak są odległe. Były tak daleko, nawet gdy próbowały nam pomóc, że nie mogły w pełni pojąć naszej zgrzyoty.

– Zawsze bałam się miesiąca *aw* – wyznała Jael, nawiązując do tego, że wkrótce miał się zacząć. – Ale nie w tym roku.

Zabrzmiało to buńczucznie, jakby zamierzała stanąć do walki z upałem. Był to miesiąc, w którym miało przyjść na świat jej dziecko. Sądziłam, że teraz, gdy ojciec wyrzucił ją z domu, osłabnie, lecz tak się nie stało. Wyglądała, jakby wstąpiły w nią nowe siły. Spoglądała hardo na tych, którzy przypatrywali się jej z ciekawością, zupełnie jak ja, kiedy ludzie szeptali, że moi wnukowie nie mówią. W tym byliśmy do siebie podobne, naznaczone własnymi uczynkami, ale i dumne z dzieci, nawet jeśli Bóg nas opuścił.

Zwykle pierwsza zjawiałam się w gołębniku, lecz tym razem nieco zamarudziłyśmy, gdyż przedstawiłam Jael mych wnuków. Szira i jej córki były już na miejscu. Zdziwiły się, gdy weszłyśmy razem, widząc naszą zażyłość i siniec na twarzy Jael. To prawda, że utyskiwałam na nią, odkąd się pojawiła, ale w końcu człowiek się zmienia.

– Musi mi pomóc przy chłopcach – powiedziałam, sugerując, że wytłumaczenie jest całkiem proste, chociaż siniec wyraźnie mówił, że stało się coś złego. – Jestem za stara, żeby się z nimi bawić.

I tyle, żadnych dalszych wyjaśnień. Świetnie, bo więcej się nie dowiedzą. Kobietom codziennie działa się jakaś krzywda, lecz zachowywały to dla siebie. Jael posłała mi pełne wdzięczności spojrzenie i szybko zabrała się do pracy. Zwróciłam uwagę na minę jeńca na widok jej posiniaczonej twarzy. Gdyby był wolnym człowiekiem, pewnie nie oparłby się pokusie, by wyruszyć na poszukiwanie tego, który jej to zrobił. Nakazałam mu gestem, aby skupił się na swoich obowiązkach. Posłuchał, ale już do końca dnia z uwagą śledził każdy ruch Jael. Dziwne, że z takim oddaniem traktował kobietę, która nosiła dziecko innego.

– Zostaw ją – rzuciłam, gdy nikt nas nie słyszał, jednak on nie mógł oderwać od niej oczu. – Ma dość kłopotów, twoje jej niepotrzebne.

– Dlaczego myślisz, że mam kłopoty? – odrzekł, jak zawsze niepewnie, gdy mówił w naszym języku.

Zaczęłam uważnie mu się przypatrywać, kiedy chwycił za wymyślone przez siebie

grabie do zgarniania łąjna. Wojownik, którego nie bały się gołębie. Wydawał mi się dziwny z uwagi na jasną cerę i potężny wzrost, który sprawiał, że często musiał przykucać. Stwierdziłam jednak, że jest naprawdę przystojny, szeroki w ramionach, o miłych rysach twarzy, z wielkimi zgrubiałymi dłońmi, zaskakująco delikatnymi, gdy doglądał gołębi.

– To nie jesteś człowiekiem? – spytałam, dając do zrozumienia, że każdy na tym świecie ma swoje kłopoty.

– Byłem – odparł. – Niegdyś.

Nie byłam aż tak stara, by tego nie pojąć. Mimo niewolniczego jarzma kiedyś znów się nim stanie.



Codziennie dochodziły nas wieści o wypadach szykowanych przez naszych wojowników. W spiżarniach zaczęło brakować wszystkiego, nasze brzuchy były puste. Latem zawsze żyło się nam skromniej, lecz w tym roku było jeszcze gorzej. Wiezorami zjadałam połowę tego, co leżało na talerzu – trochę groszku i suszonych daktyli – by chłopcy i Jael mogli dostać więcej. Każdy z nas miał ostrakon, glinianą skorupę ze swym imieniem lub inicjałami, na który otrzymywał co tydzień przydział jedzenia, wody i drewna na opał. Był to ciężki czas dla wszystkich. Upał nie odpuszczał, a rozedrgane powietrze stało się tak suche, że zakrywaliśmy usta chustami, by schłodzić oddech. Woda w cysternach opadła do najniższego poziomu, a właśnie zaczynał się miesiąc ognia.

Jael nadal mieszkała w naszej niewielkiej kwaterze, ale nie rozmawialiśmy o tym. Początkowo chłopcy byli onieśmieleni, więc któregoś dnia przywołała ich do siebie. Podeszli do niej z wahaniem. Pokazała im skorpioną w zaciemnionej kącie izby. Powiedziała, że w dzieciństwie obserwowała je w sieni, gdzie sypiała, lecz pod żadnym pozorem nie próbowała ich dotykać. Przestrzegła Lewiego i Noego, że im też nie wolno drażnić tych stworzeń. Muszą zachować odpowiedni dystans, by podziwiać ich śmiertelne żądło, tak milcząco podstępne.

Moi ciemnoocy wnukowie patrzyli urzeczeni, jak Jael łapie groźnego, nieproszonego gościa do słoja, a później zręcznie wyjmuje go, ściskając w palcach. Zastanawiałam się, czy uczyniła już coś, co wymagało takiej odwagi, czy też, tak jak ja, czerpała ją z rozpacz. Im mniej masz do stracenia, tym łatwiej chwytasz sztylet, miecz lub skorpioną. Gdy ruszyła z zabójczym stworem do pobliskiego ogrodu, chłopcy podążyli za nią, zachwyceni jej brawurą. Kiedy zobaczyłam, jacy zrobili się przy niej beztroscy,

aż ścisnęło mnie w gardle i bałam się, że sama stracę głos. Uśmiechnięci i skupieni, nie różnili się niczym od innych dzieci. Nikt nie wzięłyby ich za chłopców, którzy w sieci demona utracili dar mowy. Przykucnęli zafascynowani wśród syryjskiej rzodkwi i patrzyli z otwartymi buziami, jak Jael wypuszcza skorpioną w cienistym miejscu na zagonie cebuli.

– Dla każdego stworzenia świat jest inny – wyjaśniła dzieciom, gdy rozglądaliśmy się po otoczonym murem ogrodzie, który małemu skorpionowi wyrwanemu z jego otoczenia musiał z pewnością kojarzyć się z lasem. W końcu zniknął nam z oczu. – Niektóre uznają nas za olbrzymy, a inne za mrówki, które się przydeptuje.

Ludzie obmawiali Jael, głowiąc się, kto może być ojcem jej dziecka, i snując domysły na temat wieczoru, kiedy to skrytobójca bar Elchanan wyrzucił córkę z domu. Tymczasem moi wnukowie zaczęli ją wielbić. Ja zachowywałam dystans, ale też do niej przywykłam. Kiedy ktoś obgadywał Jael w mojej obecności, rzucałam mu gniewne spojrzenie. Wolałam samotność, ale to, że mieszka w moim domu i że słyszę jej miarowy oddech, gdy śpi – jak moja własna córka, gdyby żyła – dodawało mi otuchy.

Oczywiście byłam jej wdzięczna za pomoc w domowych obowiązkach. Nawet w jej stanie, z wielkim brzuchem, Jael nigdy się nie leniła. Gotowała nam strawę, kucając przy palenisku i smażąc potrawy na blasze osadzonej na ułożonych w krąg kamieniach. Chodziła do spiżarni po dzienny przydział grochu i ziarna oraz dbała, byśmy mieli drewno na podpałkę, a wszystko po to, by odplacić mi za to, że ją przygarnęłam. Ale jedyną zapłatą, jakiej oczekiwaliśmy, były jej opowieści. Oczy chłopców lśniły, kiedy jak zahipnotyzowani słuchali Jael przed snem. We wszystkich wyczynach skorpioną milczenie było atutem i darem, nie wadą, lecz cnotą. Skorpion potrafił to, czego nie umieli inni: widzieć w mroku, usłyszeć muchę brzęczącą na odległej skale i wyczuć zagrożenie, gdy inni spali.

– Matka opowiedziała ci te historyjki? – spytałam pewnego wieczoru, kiedy wybrałyśmy się razem na plac. Od jakiegoś czasu często przesiadywałyśmy przy wrzecionach. Stroniłyśmy od towarzystwa innych kobiet, ale tkanie sprawiało nam radość. Poza tym nasze szaty były w strzępach. Potrzebowałyśmy szali i płaszczy. Pochłonięte tym zajęciem, potrafiłyśmy zapomnieć o kłębiących się wokół tumanach kurzu i głodzie. Nawet jeśli nie miałyśmy nic innego, to zostawało nam wicie owczej wełny.

– Nie miałam matki – odpowiedziała Jael, nie podnosząc wzroku.

Zasiadłyśmy przy wrzecionach i wyjęłyśmy zapas gręplowanej i ufarbowanej wełny. Jael ćwiczyła wzór, który wszystkim bardzo się spodobał, nawet obmawiającym ją za

plecami plotkarkom. Tworzył misterną, wielokolorową mozaikę złożoną z kwadratów. Zauważyłam, że przypomina wzór z szaty jeńca.

– Każdy człowiek ma matkę – odrzekłam.

– Jesteś pewna, że ja też jestem człowiekiem? – rzuciła przekornie Jael, odchyliwszy głowę.

Nie znałam wcześniej kobiety o tak promiennie rudych włosach ani tak odważnej, by złapać palcami skorpiona. Inne mogły szeptać, że opętał ją demon, i zarzekać się, że jest niepodobna do znanych im córek i matek, lecz ja widziałam ją w wieczór, gdy ojciec wygnał ją z domu. Skryła się w kącie, jak każda bita kobieta. Widziałam też jej minę, kiedy znalazła się obok jeńca.

Była człowiekiem.

Słyszałam ich niestosowne rozmowy, kiedy myśleli, że są sami. Jael miała szczęście, że przywykłam do ciszy i zachowywałam je dla siebie. Plotkarki byłyby bezlitosne, błyskawicznie robiąc użytek z mojej opowieści o zażyłości tych dwojga. Od kilku dni nad największym z gołębników krążył jastrząb, któremu zamarzyły się gołębie na wieczerzę. Wywiesiliśmy powiązane powrozem patyki przypominające dziecięcą zabawkę. Gdy powiał wiatr, zaczynały wirować, odstraszać drapieżców. Jednak jeden z nich okazał się nieustraszony i nie dał się odpędzić. Wyglądał na niedożywionego i nie zamierzał rezygnować ze stawy. Jak widać, wszystkich na pustyni dopadł głód.

Kiedy jastrząb przysiadł na parapecie okna, Jael zgarnęła trochę ziaren i wyciągnęła dłoń. W osłupieniu patrzyłam, jak ptak je dziewczynie z ręki, jak gołąb. Nie tylko ja to zauważyłam. Jeniec podszedł do niej. Usłyszałam, jak mówi, że w jego krainie myśliwi przyuczają jastrzębie do polowań na kuropatwy i gołębie. Obwiązywali ich ostre żółte dzioby rzemieniem, by skrzydlaty łowca nie mógł do końca go rozewrzeć i pożreć ofiary. Tresowano je, by, przyniósłszy zdobycz, czekały cierpliwie, aż myśliwy rzuci im kawałek mięsa.

Potrzeba było kilku miesięcy, by zyskać zaufanie ptaka. Jeniec nie mógł wyjść z podziwu, widząc, z jaką łatwością Jael go do siebie przywołała. Stwierdził, że to pewnie czary. Padł na kolana i pochylił głowę, tylko na wpół kpiąco oświadczając, że jego też oczarowała. Jael roześmiała się na to wyznanie. Zapamiętałam to, bo nigdy wcześniej nie słyszałam, by się śmiała. Zabrzmiało to pięknie i zaskakująco. Odpowiedziała, że kobiety o rudych włosach mają dar poskramiania dzikich bestii. Jeniec pochodził z krainy, gdzie wiele kobiet miało takie włosy, więc powinien to wiedzieć. Dźwignął się z kolan i stanął jeszcze bliżej.

– Jesteś do nich niepodobna, Jael – powiedział. – Jesteś niepodobna do nikogo.

Nie miałam pewności, czy te słowa to komplement, czy też obelga, ale wtedy ujął jej dłoń i ucałował w nadgarstek, w miejsce, gdzie schodzą się wszystkie jej potrzeby i pragnienia i stają jednym.

*

Jael nie była moją córką, lecz mieszkała w moim domu i to sprawiło, że zaczęłam się martwić. Wiedziałam, że kobieta, która ma niedługo rodzić, może szukać pociechy w dziwnych miejscach. Jej odmienny stan mógł wywołać poczucie zagubienia, za to dobroć, jakiej zaznała od jeńca z północy w okrutnym świecie, mogła skłonić ją do zapomnienia o tym, że nie jest on jednym z nas. Nocą Jael wciąż przewracała się na posłaniu, dusząc się z gorąca, a rankiem zaspana dumiała. Zastanawiałam się, czy śni o mającym się narodzić dziecku, jak ja kiedyś, czy dojrzała już jego buzię i czy może wybrała mu imię, choć z tym lepiej było się nie śpieszyć. Nadanie imienia nienarodzonemu było sygnałem dla demonów, że wkrótce przyjdzie ono na świat. Przekazanie go im mogło sprawić, że zostanie wezwane do królestwa ciemności. Sama to uczyniłam, kusząc los. Może demony nocy podążały za moją córką, odkąd nazwałam ją Porankiem.

Nie narzekałyśmy na nasze zajęcie w tej strasznej porze roku, gdyż w gołębnikach panował chłód, który zapewniały pokryte tynkiem ściany. Dolina u stóp twierdzy tonęła w rozgrzanej różowawej mgiełce. Świat zalewało oślepiające światło, dlatego zsuwałyśmy chusty na czoło, by chronić oczy. Wokół nie było ani jednego zielonego pędu. Nawet ostre liście ciernistych krzewów marszczyły się jak pergamin. Nocą drżeliśmy, słysząc wycie szakali. Przelatywały nad nami wielkie stada ptaków, które porzucały jałową ziemię, szukając wody i pożywienia w odległych górach na północy i wschodzie Moabu, gdzie pola ponoć zawsze pozostają zielone.

Jeniec codziennie rozsypywał odrobinę ziarna dla jastrzębia na parapecie okna. Kiedy przemawiał w swym gardłowym języku, w ptasich oczach rozbłyskała iskra zrozumienia. Jastrząb miał rudą głowę i z tego powodu jeniec nazywał go Odeum, rubinem. To samo przyzwisko nadał Jael. Uśmiechnęła się, gdy je usłyszała, świadoma, że się z nią droczy. Nie pozostała mu dłużna, odparowując, że tylko głupiec zwabia jastrzębia do gołębnika. Później odkryłyśmy, że drapieżca zabił wszystkie nasze ptaki. Jael podała mu parę ziaren z litości, lecz jeniec posunął się dużo dalej, oswajając bestię. Czyż nie rozumiał, jaki błąd popełnia? Przecież jastrzębiowi nigdy

nie wolno ufać.

– Mylisz się – zapewniał ją. – Teraz jest na każde twoje skinienie.

– Jastrząb pozostanie jastrzębiem – rzuciłam, nie zdoławszy się już powstrzymać.

Kiedy usłyszeli moje słowa, zamilkli i wrócili do swych zajęć. Jakżeż mogli ze mną dyskutować? Wiedzieli, że mam rację. Nie zmienisz natury jastrzębia, tak jak i nie nauczysz gołębia zabijać. A jednak jeszcze tego samego dnia widziałam, jak drapieżca towarzyszył im niczym wierny pies, szybując po niebie, gdy nieśli kosze pełne łąjna na pola, by zasilić wyniszczoną i spękaną od upału ziemię. Pomyślałam wtedy, że może się mylę i zbyt pochopnie oceniam cudzą naturę, wciąż nie w pełni pojmując, że w świecie danym nam przez Boga wszystko jest zmienne.

*

W tym czasie jedno było pewne: że dni wloką się w hipnotyzującym, niesłabnącym upale. Fale żaru napływały niczym kurtyny rozedrganego światła. W spiżarniach stały kolejki wyczerpanych, otepiałych kobiet czekających na przydział wody i jedzenia dla swych rodzin. W miesiącu *aw* poczułam się bezwolna jak w snach z mego dawnego życia, gdy powoli wracałam na jawę, nęcona wonią pieczonego chleba w te cudne poranki, kiedy wszystko wokół było zielone, a w powietrzu unosił się zapach cyprysów. Znow, jak niegdyś, trwałam w zawieszeniu, tyle że wówczas był to kufer pełen skarbów, a teraz klatka.

Mieliśmy na tej górze tak niewiele, lecz przynajmniej byliśmy bezpieczni. W świecie za murami twierdzy akty przemocy przeciwko naszym pobratymcom jeszcze się wzmogły. Krążyły plotki, że przy głównych drogach w całej Judei piętrzą się sterty zwłok i że w rzece Jordan pływa tyle ciał, iż można suchą nogą przejść po nich jak po kamieniach na drugi brzeg. Dotarła też do nas wieść, że zdziesiątkowano kolejną osadę zamieszkaną przez esseńczyków. Słyszałam o tych ludziach zwięzłych się Dziećmi Światłości z wioski Sechacha. Pewnego dnia ich niewielka, wyczerpana grupka pojawiła się w dolinie. Widzieliśmy tumany wzbijanego przez nich kurzu, gdy się zbliżali. Ich białe szaty odcinały się na tle skał. Wojownicy wyszli im naprzeciw, by pomóc we wspinaczce. Wszyscy wiedzieli, że esseńczycy nienawidzą wojen, a przecież zmierzali do twierdzy; tak jak my nie mieli innego miejsca, gdzie mogliby się podziać.

Grupa liczyła siedmiu mężczyzn, trzy kobiety i czworo dzieci. Mężczyźni dźwigali dobytek w sakwach przytroczonych do pleców grubymi lnianymi pasami. Kobiety podążały za nimi – bose, przyodziane w proste szaty bez żadnych ozdób. Taszczyły skórzane bukłaki z wodą i ser, prowadząc stadko wychudzonych, powiązanych

rzemieniami kóz tworzących zaprzęg, *riwka*, z daleka wyglądający jak jedno pięciogłowe zwierzę. Szły z nimi dwa czarne osły objuczone wysokimi glinianymi naczyniami z pergaminowymi zwojami świętych ksiąg. Mężczyźni sprawiali wrażenie uczonych i pobożnych, zwłaszcza jeden z nich, najbardziej sędziwy człowiek, jakiego dotąd widziałam. Pozostawali w drodze, odkąd Rzymianie zniszczyli ich osadę. Sypiali w grotach, w miarę możliwości wszędzie pozostawiając swe pisma, by mieć pewność, że ich wiara nie zaginie, gdyby padli ofiarą mordu.

Przy Bramie Węza zebrał się tłum, aby ich powitać. Przybysze zdawali się oszołomieni i zaniepokojeni wojskową atmosferą panującą w twierdzy. Zerkali posępnie na obsadzone wojownikami mury, sterty pancerzy i włócznie o ostrych grotach z brązu, przechowywanych w synagodze, by kapłani mogli je pobłogosławić. Wkroczyli do krainy przygotowanej na bitwy i nic więcej, gdzie broń gromadzono jak gdzie indziej oliwę i wino i gdzie każdy kamień obciosywano dłutem, by służył za oręż.

Patrząc na siebie w obecności tych łagodnych ludzi, uświadomiliśmy sobie, że zemsta krąży w naszych żyłach jak u barbarzyńców. Myśl o wojnie budziła nas rankiem i kołysała do snu wieczorem. Niektórzy spuścili wzrok, zdumieni przemianą, jaka w nas zaszła. Inni posyłali gniewne spojrzenia przybyszom, których uznawali za głupców niechętnych walce o Syjon.

Najstarszego z esseńczyków, którego inni zwali z szacunkiem Abbą, pozostali nieśli na swych barkach. Jego ciało było słabe, lecz duch pozostawał mocny. Współwyznawcy posadzili go wysoko na ramionach, by mógł do nas przemówić.

– Wszyscy należymy do Pana. Wszystko, co teraz i na wieki, z Niego bierze swój początek. Nim wszystko się stało, Bóg to obmyślił. Jego chwalebny zamysł określa nasz los, którego nie możemy odmienić. Przybyliśmy tu, bo tak się miało stać, choć różnimy się od was jak dzień od nocy.

Nie wiedziałam, czy przyjmimy jego słowa, czy też wstyd i złość sprawią, że będzie to niemożliwe. W głębokiej, dudniącej ciszy, jaka raptem zapadła, wyczuwało się napięcie. Nagle Jael podbiegła do jednej z przybyłych kobiet i rzuciła się jej na szyję. Ich radość z ponownego spotkania przełamała milczenie. Dowiedzieliśmy się, że to jej przyjaciółka Tamar, której z czterech synów ostał się jeden. Pozostałych oraz jej męża wymordowali Rzymianie, gdy najechali osadę. Teraz miała jedynie dziesięcioletniego Jehudę. Lgnęła do niego, jakby tylko on wiązał ją z ziemią, po której stąpała.

Sam ben Jair wydał esseńczykom zezwolenie na pozostanie w twierdzy. Przybył, by pomówić z ich przywódcą, kapłanem i ojcem w jednej osobie, bosym i odzianym w śnieżnobiałe płócienne szaty. Choć Abba był bardzo stary, na jego twarzy nie

uświadczyło się zmarszczek. Zasiedli razem pod oliwką i rozmawiali przez długie godziny. Później dołączył do nich nasz wielki kapłan, Menachem ben Arrat. Po tej rozmowie twierdzą obiegła wieść, by nie nękać przybyszów, bez względu na to, jak bardzo się od nas różnią. Mogli przestrzegać swych obyczajów przez cały czas pobytu w twierdzy.

Czternaścioro esseńczyków pragnęło zamieszkać razem, jak to mieli w zwyczaju, bo to, co należało do jednego, należało do wszystkich. Umieszczono ich w niewielkiej kamiennej stodole po drugiej stronie sadu, w której trzymano kiedyś ciężarne kozy. Razem spożywali posiłki, dzieląc się skromną strawą pod drzewem, pod którym doszli do porozumienia Abba, ben Jair i arcykapłan. Zawsze obmywali się zimną wodą i modlili żarliwie, nim włożyli do ust pierwszy kęs jedzenia. Trzy razy dziennie – o świcie, w południe i gdy na niebie zabłyśły pierwsze trzy gwiazdy – obserwowaliśmy, jak sześciu mężczyzn odprawia modły z twarzą zwróconą ku Jerozolimie. Ci pilni uczniowie Abby sklebili z desek długie stoły, by rozwijać na nich święte zwoje przechowywane w glinianych naczyniach, które przewieźli przez pustkowia na grzbietach osłów. Czynili na nich znaki atramentem sporządzonym z oleju orzechowego i żywicy eukaliptusa.

Zaniosłyśmy im z Jael oliwki, ser i ziarna pszenicy. Młodzieniec często widywany u boku Abby, najwyraźniej jego ulubieniec, przyszedł, by wziąć od Nahary bukłaki z wodą. Musiała położyć je na ziemi, gdyż chłopak bał się przyjąć je bezpośrednio od niej. Gdyby go dotknęła, zostałby uznany za nieczystego.

Chwyciwszy bukłaki, odmówił modlitwę, bowiem jego ziomkowie wierzyli, że posiada moc błogosławienia, chociaż nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat.

Ich kobiety były nam wdzięczne za otrzymane podarki, lecz w oczach wciąż miały widok pomordowanych. Nahara stanęła z młodzieńcem na uboczu. Była zbyt młoda i niewinna, by słuchać o potwornościach, jakie ich spotkały. Za to ja i Jael przysiadłyśmy się do nich, gdy opowiadały beznamiętnym głosem o tym, jak zabijano ich dzieci. Nie płakały przy tym ani nie zawodziły, gdyż wierzyły, że znów je ujrzą, kiedy nastąpi Koniec Czasów. Wtedy matki ponownie przytulą swych synów i córki, a mężowie i żony staną się jednym.

Tamar była bardziej milcząca od pozostałych kobiet. Jej boleściwie bladą twarz znaczył smutek. Gdy się zegnałyśmy, położyła dłoń na ramieniu Jael i przyciągnęła ją do siebie.

– Tego nie stracę – szepnęła.

Jej syn Jehuda leżał na trawie i spoglądał na pierwsze gwiazdy rozbłyskujące na ciemniejącym niebie. Mężczyźni zebrali się na polu. Słyszałyśmy ich głęboki i czysty

śpiew. Było tak gorąco, że najdrobniejszy ruch powietrza smagał niczym ogień, a każda gwiazda świeciła jak latarnia nocą.

– Obiecuj, że mi pomożesz, jak ja kiedyś pomogłam tobie – dodała Tamar. Wszystko było w niej posiniaczone, każde słowo brzmiało jak zaklęcie wypływające z rozpacz. Pochyliła się ku nabrzmiałemu brzuchowi Jael. Dziecko miało przyjść na świat lada dzień. – Wiedziałam, że gdy przyszłaś po lek na gorączkę, chciałaś ratować mężczyznę. Miałaś to wypisane na twarzy.

Jael zerknęła na mnie. Szybko odwróciłam wzrok, by się nie domyśliła, że wszystko słyszałam. Ujrawszy, jak tuli Tamar, zrozumiałam, że obietnica została złożona. W drodze powrotnej nie spytałam, czemu uległa gorączkowym prośbom kobiety należącej do kręgu ludzi tak innych, którzy w dodatku patrzą na nas z góry. Nie spytałam też, jakiego mężczyznę próbowała ratować i dlaczego była za wszelką cenę skłonna przemierzyć dla niego pustynię. Zapamiętałam sobie tylko te szczegóły, gotowa wyciągnąć je na jaw, gdybym poróżniła się z Jael i musiała udowodnić, że ona też jest człowiekiem.



Gdy miesiąc *aw* był już w pełni i księżyc poczerwieniał jak słońce, Abba przysłał swego młodego ulubieńca do gołębników, by odwdzińczyć się za jedzenie i wodę, które im podarowaliśmy. Jako że esseńczycy surowo przestrzegali prawa i mężczyźni nie wolno było dotykać kobiet spoza swej rodziny, młody Malachiasz ben Aaron zwykle samotnie pracował w najmniejszym z gołębników. Wkrótce jednak zaprzyjaźnił się z Naharą i zaczął wdawać się z nią w długie rozmowy. Był ledwie kilka lat starszy. Jako najsilniejszy z nowo przybyłych i wyjątkowo elokwentny cieszył się wśród nich wielkim szacunkiem i miał się za człowieka honoru. My wciąż traktowałyśmy Naharę jak dziecko, a może po prostu chciałyśmy, by nim pozostała. Dziwiło nas, że ta dwójka, którą tak niewiele łączy, często przesiaduje razem na murach podczas południowej przerwy w pracy. Malachiasz mówił, a ona słuchała jak urzeczona, jakby każda jego opowieść była dla niej olśnieniem. Niektóre jego słowa docierały do nas. Rozprawiał o Końcu Czasów i o tym, jak esseńczycy się do niego przygotowują, wyznając grzechy, podążając ścieżką światłości i oddając swe życie na ziemi Adonaj. Nie walczyli z Rzymianami, gdyż śmierć nie oznaczała dla nich końca. Po niej znów powstaną na chwałę Pana.

Od czasu przybycia do twierdzy przekonałam się, że Nahara jest poważną dziewczyną, mądrzejszą i bardziej odpowiedzialną, niż wskazywałyby na to jej wiek.

Matka nauczyła ją czytać po aramejsku i hebrajsku. Z pewnością zrobiła wrażenie na Malachiaszu – i słusznie, bo była nie tylko bystra, lecz także piękna i czysta. Wkrótce zaczęli wcześniej przychodzić do gołębnika, by móc prowadzić dyskusje, gdy tylko Malachiasz skończył się modlić. Szeptali do siebie o świcie, aż wreszcie szept ten połączył ich niczym most.

Jak inni nowi przybysze Malachiasz nosił się wyłącznie na białło i zaplatał włosy. Wyrzekł się sandałów i stąpał w kurzu bosy, gdyż esseńczycy wierzyli, że muszą dojść do nieba nieobuci i czekać tam we mgle, aż Bóg wskrzesi świat, kiedy nastanie Koniec Czasów. Był skromny, pracowity i uczony, lecz nie bał się ubrudzić sobie rąk. Abba wysłał go do gołębnika, bo uważał, że ciężka praca i głoszenie chwały Pana idą z sobą w parze. Choć młody, Malachiasz pisał na pergaminowych zwojach ze starszymi od siebie, a ponoć stawiane przez niego litery były tak piękne, że aż przybywali aniołowie, by przyglądać się, jak powstają. Sam Malachiasz zaś był tak prawy, że atrament z oleju orzechowego, którego używał, przemieniał się w krew i czerwieniał na pergaminie. Postanowiono już, że kiedy przyjdzie czas, zajmie miejsce Abby. Często przesiadywali razem pogrążeni w rozmowach i modlitwach.

Mimo tylu zalet młodzieńca Szira szybko zaczęła żywić uprzedzenie do nowego pomocnika. Często wysyłała go do najmniejszego gołębnika, który mieścił tylko jedną osobę, lecz odkryła, że Nahara zwykle pracuje tam z nim w ciasnocie. Zaczęłyśmy się zastanawiać, czy nie ocierają się ramionami i nie dotykają dłońmi. Gdy Malachiasz modlił się w południe pod poskręcaną oliwką, całując rąbki tałesu i składając pocałunek Bogu, czy aby nie prosił Go, by oczyścił jego myśli z ziemskich żądz i pragnień? Mrużąc oczy, Szira bacznie mu się przyglądała, a po jej twarzy przemykał cień.

Pewnego dnia, w południe, gdy Nahara poszła do domu po strawę z soczewicy i oliwek, Szira postanowiła odprawić Malachiasza. Przypatrywałyśmy się im, stojąc z boku. Właściwie to były jej gołębniki. Pracowała tu najdłużej i we wszystkim jej słuchałyśmy.

– Możesz iść – rzuciła. – Nie musisz zostawać do wieczora.

Wybrałyśmy trzy piękne gołębie na wieczerzę dla kapłana i właśnie skubałam je z piór. Głowę miałam spuszczoną, lecz wszystko słyszałam.

– Źle się staram? – spytał zdziwiony Malachiasz. Nikt nie kwestionował jego uczynków wśród esseńczyków, a tu chciała go odprawić kobieta. Spojrzał na nią nieufnie.

– Twoja praca jest bez zarzutu – odrzekła Szira. – Po prostu nie jesteś nam potrzebny.

Musiała dostrzec moją minę, bo dla mnie też było to niepojęte. Malachiasz zdjął z nas część obowiązków i nie widziałam potrzeby, by go upokarzać. Esseńczycy przysłali nam najlepszego ze swego grona, lecz Szira najwyraźniej była innego zdania. Kiedy zostałyśmy same, wyznała:

– Gdyby to była twoja córka, zrobiłabyś to samo.

Obawiała się ich wzajemnej sympatii. Rozumiałam, dlaczego nie chciała go dla córki. Malachiasz był zbyt pobożny, by dostrzegać coś więcej prócz Boga i siebie. Jego wybranka nie kroczyłaby u jego boku, lecz podążała za nim ze spuszczoną głową.

Gdy Nahara wróciła z jedzeniem, była zaskoczona, że go nie ma i, rumieniąc się, zaczęła się za nim rozglądać. Spojrzała gniewnie na matkę i rzuciła do siostry:

– Odesłała go, żeby zrobić mi na złość.

– Z pewnością miała swe powody – odpowiedziała zgodnie z prawdą Aziza.

– Jest okrutna! – wykrzyknęła Nahara. – Oto cały powód. Liczy się tylko jej zdanie.

Dobrze o tym wiesz. Mądrze czynisz, że się jej nie zwierzasz.

– To nasza matka. – Aziza spuściła wzrok.

– Która nie dba o nasze szczęście – dodała ponuro Nahara.

Uważałam, że myli się co do Sziry. Malachiasz nie był dla niej odpowiednią partią. Słyszał z tego, że modlił się aż do chwili, gdy usłane gwiazdami niebo zaczynało blednąć. Aziza najwidoczniej podzielała tę opinię.

– Spójrz, jak oni żyją – powiedziała do siostry, gdy ta zaczęła się skarżyć. Było dla niej oczywiste, że matka nie chce, by jej córka podzieliła los tamtych kobiet, naznaczony służebnością, biedą i poświęceniem.

Mimo że Szira odprawiła Malachiasza, wciąż można było wyczuć jego obecność. Zdarza się, że ludzie wokół potrafią dostrzec, jaki los cię czeka, podczas gdy ty sama pozostajesz ślepa i brniesz ścieżką błędów. Tak właśnie było z młodszą córką Sziry. Wszystkie umiałyśmy przewidzieć jej przyszłość w zależności od drogi, którą podąży, lecz ona sama tego nie widziała. Naburmuszona, wymknęła się za ciężkie drewniane drzwi, choć miała jeszcze sporo do zrobienia. Szira pobiegła za nią, lecz było już za późno. Nahara zniknęła bez śladu, zupełnie jakby ją porwano i pozostał po niej tylko cień. Być może ruszyła za Malachiaszem do kamiennej stodoły, gdzie mieszkali esseńczycy, zdjawszy sandały, by stąpać bosy jak ich kobiety. Była posłuszną dziewczyną, ale teraz wymknęła się spod pieczy matki. Stałam obok Sziry w progu gołębnika. Nie wyglądała już jak groźna czarownica, lecz matka, którą ranią lekkomyślne uczynki jej dziecka.

– Wróci – pocieszyłam ją.

Wpatrując się w pusty plac, potrząsnęła głową. Tysiące razy widziała miłość.

Obmyślała amulety, które miały ją wzniecić, i takie, które miały wygasić. Wypowiadała zaklęcia mające związać ze sobą kochanków i takie, które doprowadzały do zerwania. Dostatecznie dużo wiedziała o miłości, by dostrzec jej pajęczą sieć nawet w półmroku gołębnika.

– Niestety, mylisz się – odpowiedziała cicho łamiącym się głosem. – Już ode mnie odeszła. Ale gdyby Malachiasz wiedział, kim jest naprawdę, nigdy by jej nie zechciał.

Mimo upału poczułam nagły chłód. Pomyślałam, że tego nam trzeba, gdyż codziennie modliliśmy się o deszcz. I rzeczywiście pojawiła się lekka mżawka, prawdziwy cud o tej porze roku. Dziwny był to jednak deszcz, opadał niczym białe wstążki z popielatego nieba. Oblizalam usta i przekonałam się, że jest słony. Nadciągnął znad Morza Soli. Zdarzało się to czasem, gdy wiatr niósł ze sobą kłęby pyłu. Jego wściekłe podmuchy porywały także drobinki wody i soli i sprowadzały je na nas. Był to zły znak, bo to, co miało być deszczem, okazywało się wodą morską. Taki słony opad zatruchiwał sady i wodę w cysternach. Ranni wojownicy będą dziś jęczeć z bólu, a kobiety nie rozpalą ognia, by ugotować strawę dla bliskich. Pasterze przekonają się, że świeże mleko zsiada się w wiadrach i ma słony smak.

Lepszy żaden deszcz niż ten.

Gdy schroniliśmy się w gołębniku, Szira zaczęła wypowiadać zaklęcie. W osłupieniu patrzyliśmy, jak nagle chwyta gołębia i wyciąga służący nam do posiłków nóż. Niczym opętana nacięła mu gardło i obróciła ptaka tak, by krew spływała na kamienną posadzkę. Uśmiercenie gołębi było przestępstwem, za które groziła kara, a już na pewno nie wolno było ich wykorzystywać do ciemnych praktyk *keszafim*.

Aziza odwróciła głowę, gdy zrozumiała, co zamierza jej matka, by przerwać związek między Naharą a młodzieńcem, którego sobie upatrzyła. Jeniec także odwrócił wzrok, by nie być świadkiem tak okrutnego czynu. Tylko Jael stała jak urzeczona, wpatrując się w opadające pióra i krew na posadzce. Szybko podchwyciła słowa zaklęcia Sziry, jakby liczyła, że swym głosem wzmocni jego działanie.

Tymczasem deszcz zaczął przelewać się przez próg i zmył krwawe ślady. Zdało mi się, że odczynił w ten sposób czary, uśmierając je, nim odniosły skutek. Aziza próbowała wraz z jeńcem uciszyć przestraszone ulewą gołębie, które miały się w gołębniku po śmierci jednego ze swych braci. Widziałam chmurne spojrzenie Sziry, na próżno starającej się zmieść sól z posadzki. Współczułam jej. Nawet czarownica, która wzbudzała taki strach i znała się na magii lepiej niż większość uczonych w Piśmie, nie zdołała powstrzymać córki, zdecydowanej, by postawić na swoim.

Pośpieszyłam do wnuków, omijając sterty soli naniesionej do twierdzy przez

złowieszczy deszcz. Nagle ujrzałam na polu Naharę i jej oblubieńca. Kobiety esseńczyków podarowały jej delikatny biały szal, którym nakryła włosy. Widząc ją u boku Malachiasza w okryciu głowy z najczystszeo lnu, domyśliłam się tego, czego ona sama jeszcze nie wiedziała – że stała się jedną z nich.



Księżyc miesiąca *aw* pulsował czerwienią, a w Jael dojrzewało nowe życie, wypychając z niej wody przed rychłym porodem. Akurat klęczała przy palenisku i gotowała strawę, gdy jej szaty stały się nagle mokre. Dostrzegłam przerażenie w jej oczach. Szybko wysłałam dzieci do Sziry, by wiedziała, że czas Jael już nadszedł. Jej syn Adir mógł czuwać nad chłopcami, kiedy będziemy witać nowo narodzone dziecko na tym świecie.

Ojciec Jael ani razu nie odwiedził jej w ostatnich dniach ciąży, gdy przestała już wychodzić z domu, zbyt ociężała, żeby się ruszać. Był za to u nas jej brat. Przeprosiwszy, że narusza spokój naszego domostwa, przyklęknął obok Jael w srebrnej, połyskującej w półmroku zbroi. Słyszałam, jak rozmawiają o Jerozolimie, wybuchając od czasu do czasu śmiechem, kiedy wspominali dom, w którym dorastali, i drzewo ogniste, pod którym wystawali na targu. Później Amram często się pojawiał, dobrze się czując u nas. Moi wnukowie wdrapywali się na niego i bawili z nim w wojowników. Jael przygadywała mu na temat Azizy, nazywając barankiem, który ślepo podąża za ukochaną.

– Karmi cię sianem? – spytała raz ze śmiechem. – A na noc zamyka w zagrodzie?

– Chcesz mnie rozzłościć, Jaja? – odpowiedział, też się uśmiechając.

Jael wyjęła strzępek błękitu, ostatni kawałek chusty, którą jej podarował. Pomachała nim, przypominając, że zachowała go pod siennikiem na szczęście. Sama go widziałam. Nie wspomniała jednak, że trzyma tam też skrawek materiału z szaty jeńca.

Podczas tych wizyt nie rozmawiali o mającym się urodzić dziecku, choć Amram przyniósł grzechotkę, którą sam wystrugał i do której włożył pestki śliwek, by stukały o siebie, kiedy nią potrząsnąć. Jael ucieszyła się i odetchnęła z ulgą, że brat zaakceptował jej stan, bez względu na to, kto był ojcem dziecka.

Pewnego razu usłyszałam, jak Amram mówi, że to jego вина. Domyśliłam się, że musi nim być jakiś jego towarzysz.

– Nie oddawaj nikomu nic, co jest dla ciebie cenne – dodał.

– Cenne jest to, co wydam na ten świat – odrzekła Jael. – Więc skoro się winisz, to

właśnie tobie powinnam za to podziękować.

*

Nadszedł czas porodu. Ruszyliśmy wieczorem do opuszczonej spiżarni, gdzie czekała Szira. Szłam, podtrzymując Jael, która oparła się na mnie całym ciężarem, gdy zaczęły się bóle. Przystanęliśmy na schodach, bo zgięła się wpół i sapała, zaskoczona siłą swego dziecka.

– Będzie ci to robił już do końca życia, więc się przygotuj – ostrzegłam ją.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz skurcze stały się zbyt gwałtowne. Zaczęła majaczyć o lwie, którego utraciła na pustyni, mężczyźnie, którego kochała, i o cenie, jaką musi zapłacić za swoje występki. Robiłam wszystko, żeby ją uciszyć. Jej twarz płonęła z bólu i gorąca.

– Oddałam go – szepnęła. – Czy to nie wystarczy?

Nie miałam pojęcia, czy ma na myśli mężczyznę, zwierzę czy dziecko, które zaraz się urodzi. Wyglądała jak opętana. Odetchnęłam, gdy ujrzałam śpieszącą przez pole Szirę. Wezwała Naharę, która zgodziła się jej towarzyszyć, mimo że się poróżniły. Dziewczyna szła boso, w białym niemal przezroczystym szalu na głowie. Włosy zaplotła w warkocz, tak jak zwykły to czynić kobiety esseńczyków. Matka i córka nie odzywały się do siebie, twarze miały poważne i chmurne, a dzielący je konflikt wyrażał się tym, że trzymały się z dala od siebie. Dogoniły nas na schodach. Szira sprawnie obmacała brzuch Jael. Zadowolona skinęła głową i gestem wskazała, byśmy weszły do środka, żeby rozpalić ogień i zagotować wodę, płosząc demony, które mogły dostać się do cystern.

Jael ją powstrzymała. Na jej twarzy malowało się wzburzenie. Usłyszałam, jak szepcze:

– Jeśli staniesz przed wyborem, ratuj dziecko. Mnie pozwól odejść.

– Dobrze, dobrze – zgodziła się Szira i spojrzała na mnie, dając do zrozumienia, że to czas, gdy należy przytakiwać. Przeprowadziłyśmy Jael przez spiżarnie i ruszyliśmy długim korytarzem, przystając za każdym razem, gdy bóle stawały się nie do zniesienia.

– Demon tarzał się tu po posadzce – wyszeptwała bojaźliwie Jael.

– Służąca, nie demon, a jej dziecko jest silne i zdrowe – uspokoiła ją Szira.

Wkrótce rozpaliliśmy ogień i zagotowałyśmy wodę. Wszystko działo się szybko i w milczeniu. Nahara uwijała się z Szirą, jakby ich więzy nie zostały naderwane. Zauważyłam, że dziewczyna modli się, kiedy Jael zaczęła rodzić, i rzuca pełne

przygany spojrzenia na posążek Asztarte, który Szira ustawiła na kamiennej półce, by złożyć jej w ofierze krew towarzyszącą narodzinom.

Dziecko było szybsze niż my. Chłopak nie mógł się doczekać, by przyjść na ten świat. Jael szlochała i wymogła na nas przyrzeczenie, że pokażemy jej jego twarz. Mówiła, jakby zaraz miała skonać i była to dla niej jedyna szansa zobaczenia syna. Zaklinała nas, że odejdzie w zaświaty, pod warunkiem że choć raz ujrzy dziecko, w przeciwieństwie do jej matki, która urodziła ją z zamkniętymi, nic niewidzącymi oczami.

– Bzdury. Będiesz go widywać każdego wieczora i ranka – zapewniła Szira, radząc jej, by skupiła się na zadaniu, jakie miała wykonać.

– Chcę wiedzieć, jakiego koloru ma włosy i czy jego oczy są ciemne, czy jasne – nie dawała za wygraną Jael.

– Tak, tak – zgodziłyśmy się natychmiast, czując, że powietrze robi się gęste i ciężkie. Nadszedł czas. Jael pobladła i przygryzła wargi, z których zaczęła się sączyć strużka krwi.

Był tam stołek do rodzenia, lecz nie zwracała na niego uwagi, podobnie jak na nasze wskazówki. Błagała Szirę, by w razie czego wychowała jej dziecko jak własne i nie dopuściła, żeby spotkał je los sierot w trudnych czasach, kiedy były porzucane na pustyni, gdzie padały ofiarą szakali. Szirze udało się ją uspokoić litanią obietnic, tymczasem Nahara przyniosła wodę, by schłodzić rozpalone czoło i wargi Jael.

Poród okazał się zadziwiająco szybki. Jael parła jak na komendę, lecz była zła, że Szira każe jej krzyczeć.

– Łatwiej rodzisz, kiedy krzyczysz. Należy wystrzegać się ciszy. No już, wrzeszcz! – nakazała Szira.

I Jael wrzeszczała. Wściekła, stawała się nad wyraz wymowna, gdyż niema złość była jej prawdziwym językiem. Parła z całych sił, czerwieniejąc przy tym i wykrzywiając twarz. Raz, drugi – i pojawiła się główka. Jael była wyczerpana. Oświadczyła, że już nie da rady. Wtedy poszły w ruch olejki, wrzątek i zaklęcia Sziry i Nahary. W końcu zebrała się w sobie i zaczęła przec trzeci raz. Dziecko wypadło na dłonie Nahary, jakby już nie chciało być ciężarem dla matki. Był to duży, ładny chłopczyk o śniadej skórze. Szybko owinęłyśmy go płótnem i oddałyśmy Jael.

Wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza, wyczerpana porodem, którego byłam świadkiem, i napięciem, jakie mu towarzyszyło. Wróciłam myślami do własnego dziecka, do mojej pięknej córki, którą utraciłam. Zdało mi się, że jej pierwsze tchnienie dzieliły od ostatniego jedynie sekundy. Ze zdziwieniem zauważyłam stojącego na schodach jeńca. Niczym duch wyslizgnął się z łańcuchów, wyszedł z gołębnika i wspiał

się na żywopłot z ciernistych krzewów, zapewniający bezpieczeństwo pasącym się kozom i owcom. Gdyby ktoś go zobaczył, uznałby za zbiega i zagrożenie dla mieszkańców twierdzy i go zabił. Skulił się w ciemnościach, kiedy się zbliżyłam, lecz rozpoznawszy mnie, natychmiast zaczął wypytywać o Jael.

– Rzeczywiście głupiec z ciebie, skoro ciągniesz tu, jakbyś był jego ojcem – zbeształam go.

– Nie jestem niczym ojcem – przyznał z żalem i spojrzał na mnie zafrasowany. – Nie dlatego tu jestem. Przyszedłem dla niej.

– Toś jeszcze głupszy – odparowałam. – Bo Jael nie jest twoją żoną.

Wzruszył mnie jednak, choć go skarciłam. Uspokoiliam go, że Jael dochodzi do siebie. Mimo to zaklinał mnie, bym pozwoliła mu ją zobaczyć, bo dopiero gdy ujrzy jej twarz, przekona się, czy nic jej nie grozi. Zarzekał się, że go wzywała i że podążył tu za jej głosem. Słyszał jej przeraźliwe krzyki i wiedział, jakie męki przeżywa, choć spiżarnia przypominała kamienny loch, a on siedział zamknięty w gołębniku. Mówił tak szczerze, że w końcu go wpuściłam, nakazując wcześniej milczenie. Żaden mężczyzna nie powinien oglądać narodzin, lecz on był niewolnikiem, właściwie nie mężczyzną. Ulitowałam się nad nim, co do mnie niepodobne. Może zbliżyły nas do siebie godziny, które spędzaliśmy razem w gołębniku, a może ujął mnie błysk w jego oczach, kiedy mówił o narodzinach dziecka.

Słyszałam za sobą jego miarowy oddech. Przystanęliśmy w progu. Widzieliśmy migocący kaganek zapalony przez Szirę przed posążkiem wyklętej Asztarte, Królowej Niebios, bogini płodności.

Dziecko spoczywało w ramionach matki. Jeniec skinął głową i odetchnął, widząc, że Jael przeszła poród bez szwanku. Zdawała się zauroczona niemowlęciem. Jej oczy błyszcząły, a skóra lśniła od potu. Kiedy się roześmiała, zauważywszy grymas dziecka, jeniec uśmiechnął się z dumą, jakby naprawdę był jego ojcem.

Później uścisnął mi ramię, podziękował i wyszedł, by zająć się swoimi sprawami. Nahara polewała posadzkę wodą, próbując ją zmyć. Myślam była jednak gdzie indziej. Milczała. Spełniła swe zadanie i teraz chciała już iść. Wbiwszy wzrok w ziemię, opadła na kolana i zaczęła szorować poplamione kamienie. Gdy zaproponowałam, że jej pomogę, uśmiechnęła się.

– Tylko bożej pomocy potrzebuję – szepnęła, piękna, bogobojna i czysta, lecz już nie taka, jaką ją znaleźliśmy.

Szira przykucnęła obok Jael i pochyliła ku niej twarz. Zdjęła z szyi jeden ze złotych amuletów i podarowała go młodej matce, zapewniając, że przyniesie jej szczęście i uchroni od złego. Na jednej stronie dysku widniał napis sławiący naszego

prawdziwego króla, Jedynego nienazwanego, o tysiącu imion: *Ehje aszer Ehje* – Jestem, który Jestem, *Gibor Nora* – Boga Potężnego Majestatu. Po drugiej stronie litery hebrajskie były wymieszane z greckimi: *Chaje olam le-olam*. Życie wieczne na wieki.

Amulety musiały pochodzić z Egiptu, gdyż ten, który Szira podarowała Jael, zdobiły wizerunki księżyca i słońca, symbole mocy Królowej Niebios. Były one u nas zakazane, lecz Jael z radością zawiesiła go sobie na szyi jako przyjęty z wdzięcznością podarunek jednej matki dla drugiej. Kobiety ucałowały się, by uczcić nowe życie. Synowi nie wolno nadać imienia, póki nie zostanie obrzezany, więc przystawiwszy go sobie do piersi, Jael zaczęła nazywać zwyczajnie chłopcem, zawierając w tym słowie tyle miłości, co w imieniu.

Nahara zawinęła łożysko w płótno. Jak to jest w zwyczaju, zakopie je w sadzie pod przywiedłymi drzewami, by życiodajne soki zasiliły wyniszczoną ziemię. Stała koło mnie w białej tunice pochłapanej krwią. Zawsze była poważna jak na swój wiek, a teraz wydawała się całkiem dorosła. Z niechęcią spoglądała na amulet, który jej matka przekazała Jael.

– To podarunek dla córki – oceniła chłodno. – Daje mi do zrozumienia, że nie zachowa go dla mnie.

W jej głosie wyczuwało się ból, ale i pogardę.

Zgodnie z obyczajem kobiet esseńczyków Nahara nie miała na sobie żadnych ozdób. Stała bosa na chłodnej posadzce. Bransoletki i amulety, jakie kiedyś nosiła, rozdała. Widziałam, jak dzieci bawią się nimi w pełnym kurzu ogródku przy kamiennej stodole, w której mieszkali esseńczycy.

– A przyjąłabyś od niej taki podarunek? – spytałam, bo przecież sama odwróciła się od matki.

Nahara wzruszyła ramionami, wiedząc, że mam rację. Nie daje się prezentu komuś, kto go nie przyjmie. Wypasała teraz całymi dniami kozy, karmiąc je chwastami, jakby od urodzenia była pasterką. Byłam świadkiem, jak wraz z pobożnymi kobietami zmywała twarz wodą przed posiłkiem i, zamknąwszy oczy, w ekstazie kołysała się cała rozmodlona. W gołębnikach nie rozmawialiśmy o tym, co oczywiste: Nahara już nigdy do nas nie wróci.

– Co byś zrobiła z tym złotem? – drażyłam, wiedząc, że sekta, do której przystała, uznaje wszelkie dobra za bezwartościowe i przydatne jedynie na tym świecie. – Wydawało mi się, że co należy do jednego z was, jest własnością wszystkich.

Odbierając poród, Nahara była równorzędną partnerką Sziry, jednak teraz, gdy

wpatrywała się w Jael, zżerała ją dziecinna zazdrość.

– Nie oznacza to, że matki też są wspólne – rzuciła urażonym tonem, jakby to Szira ją przegnała, a nie ona sama dokonała wyboru w dniu, kiedy spadł słony deszcz.

Po ośmiu dniach udałam się z Jael i jej synem do synagogi, by poddać go rytuałowi, który w imię wiary musi przejść każdy chłopiec. Tak było zawsze, już od czasów Abrahama. Wielu uważało, że dzięki temu obrządkowi dzieci płci męskiej stają się *tamim*, doskonalsze. Ponoć *Doma*, anioł grobowy, nie może spalić ani dręczyć obrzezanego mężczyzny, gdy ten wkracza do Przyszłego Świata, a cierpienie tu i teraz daje ochronę przed mękami wiecznymi.

Przekroczyliśmy próg synagogi, lecz dalej nas nie wpuszczono. Rytuał ten nie był sprawą starszyny. Ojciec dziecka powinien zadbać o przymierze swego syna z Bogiem, a skoro go nie było, nie zamierzano zawracać sobie tym głowy. Jael przytulała dziecko, bojąc się, że żaden mężczyzna się za nim nie wstawi z uwagi na okoliczności jego narodzin i że będzie musiała sprostać temu zadaniu sama, jak żona Mojżesza, Sefora. Wiedziałam, że ma przy sobie sztylet, lecz wzdraga się na samą myśl, że okaleczy syna, gdyż jej miłość i oddanie sprawią, że z pewnością zadrży jej ręka.

W końcu zjawił się jej brat w narzuconym na ramiona tałasie. Najwyraźniej czuł się nieswojo w tej roli. Zastanawiałam się, jak poradzi sobie z takim zadaniem, bo minę miał niepewną, kiedy Jael podała mu noworodka. Tymczasem chłopiec zapatrzył się swymi czarnymi jak węgielki oczami w wuja i nawet nie mrugnął. Na jego lewym policzku widniało czerwone znamię, lecz miałyśmy nadzieję, że z czasem zniknie.

– Nie przypuszczałem, że będzie tak wyglądał – wypalił Amram.

– Wygląda jak każde dziecko – odrzekłam trzeźwo. Nie było powodu, by traktować je jako *mamzer*, bękarta bez żadnych praw, nawet do obrzezania, choć z pewnością zostanie uznany za *szetuki*, milczącego, jak każde dziecko, które nie zna ojca.

– Zaiste – roześmiał się Amram. – I jest silny. – Z uznaniem kiwnął głową.

Nie domyślałam się, że oprócz nas w synagodze jest ktoś jeszcze, póki Jael nagle nie cofnęła się o krok.

W mroku stał stary skrytobójca. Był tam cały czas, wpatrując się chłodnym wzrokiem w niemowlę.

– On to robi – rzekł Amram.

Jael jeszcze mocniej przytuliła syna, zdumiona obecnością ojca. Ostatni raz widziała go, gdy podczas awantury uderzył ją i przepędził z domu.

– Myślisz, że nie umiem używać sztyletu? – rzucił, widząc jej wahanie.

– Umiesz. To na pewno – odpowiedziała.

Najwyraźniej przeszywał ją strach.

– Czyż nie jestem twoim ojcem?

Jael spojrzała na niego lękliwie.

– Czyż to dziecko nie jest mym wnukiem?

Amram szepnął jej, by mu zaufała. To on namówił ojca, by przyszedł do synagogi.

Narodziny chłopca sprawiły, że się pogodzili.

– Dziecko to należy do nas, a my do niego, zwłaszcza w takim dniu. Nie jest dla nas ciężarem, bo nas do siebie zbliżyło.

Jedynie mężczyźni mogli wziąć udział w ceremonii, podczas której dziecku zostanie nadane imię. Syn Jael był gotów na zawarcie przymierza z Bogiem, miał w sobie dość życia i sił, by oprzeć się nawoływaniom Lilit i jej demonów, nie tak jak w dniach tuż po porodzie. Dotąd jedną nogą był w ich świecie, a drugą w naszym. Teraz, karmiony mlekiem matki, zapuścił korzenie. Ceremonia ta wyznaczy mu ścieżkę na całe życie.

Ojciec czekał na decyzję Jael, pochyliwszy głowę na znak szacunku, jakiego dotychczas nigdy nie okazywał swej córce.

– Weź go – powiedziała. – Nawet jeśli nie będę go widziała, będzie tam Bóg.

Czekałyśmy na nich przy zachodnim murze twierdzy. Jael aż pobladła. Nie chciała przysiąc na ławce, wciąż nerwowo się przechadzała. Kiedy dziecko krzyknęło, chwyciła mnie za rękę.

– Krzyk to dobry znak – przypomniałam jej słowa Sziry. – To ciszy powinniśmy się lękać.

Amram też był blady, gdy wreszcie przyniósł dziecko matce. Kiedy ujrzała brata, grymas cierpienia na jej twarzy zamienił się w uśmiech. Zwykle zamaszysty krok Amrama był teraz ostrożny. Najwidoczniej czuł się odpowiedzialny za siostrzeńca.

– Wyglądasz gorzej niż on – zażartowała.

– Bo pewnie bardziej się nacierpiałem.

Jael odkryła kocyki, którymi wcześniej owinęła syna. Cięcie było idealne, a rana niewielka. Dziecko już zasnęło w ramionach matki, wyczerpane płaczem i nagłym bólem. Wino, które mu podano, by złagodzić wstrząs, też zrobiło swoje. Stary skrytobójca stanął na progu świątyni. Jael, wciąż onieśmielona jego obecnością, skinęła mu głową w podzięcie, lecz Josef bar Elchanan jakby się rozplynął. Rozejrzałam się po placu, ale nie dostrzegłam nawet jego cienia.

– Powiedział coś? – spytała Jael, nie zdolawszy powstrzymać ciekawości.

– Wystarczy, że go pobłogosławił – odrzekł Amram.

Posmarowałyśmy ranę przyspieszającym gojenie olejkim z balsamowca i miodu, jednak trzeba było zrobić coś jeszcze, by obwieścić światu narodziny chłopca.

Poszliśmy z nim na pole w noc ubywania księżyca. Szira już tam na nas czekała. Zatrzymałyśmy się w miejscu, gdzie Nahara zakopała łożysko, by odprawić własny rytuał nadania dziecku imienia. Noc była gwiazdzista, lecz stanęliśmy w mroku, by nie wypatrzyli nas wartownicy. Szira rozbiła na dwoje skorupkę jaja. Na każdej połówce czarnym atramentem pozyskanym ze zmiażdżonych owoców morwy wypisała święte imię Boga tyle razy, ile się zmieściło.

Ehje aszer Ehje.

Rozпалиłyśmy niewielkie ognisko. Jael ułożyła dziecko na trawie. Trochę pokwiliło i zaraz usnęło. Zdjęła szatę i chustę z głowy, by stanąć przed Bogiem jak w dniu, kiedy zmarła jej matka, a ona się urodziła, w tym samym miesiącu *aw*. W gęstniejącym dymie Szira zaczęła wypowiadać zaklęcie mające chronić syna Jael.

– Chronić to dziecko od wszelkich przeciwności losu. Pozwól mu stać się mężczyzną i śpiewać pieśni na chwałę naszego Pana i króla, wszechmogącego Boga, który nas stworzył. *Amen, Amen, Sela*, niech Bóg chroni cię od zła wszelkiego i pozwoli przebywać w Jerozolimie i we wszystkim, co święte.

Później, w złotawej poświacie księżyca, zakopała skorupki jaja pod drzewem. Łóżysko już zniknęło, zasilając ziemię w podzięce dla Wszechmocnego. Jael okryła głowę szalem i włożyła tunikę. Wzięła dziecko na ręce i nadała mu pod gołym niebem imię – takie samo, jakie nadali mu rankiem mężczyźni w synagodze. Nazwała go Arjem, lwem, choć przespał całą ceremonię jak niewinny baranek.



Wojownicy znów zapuścili się na pustynię, ale tym razem nie po to, by walczyć, lecz by polować, próbując za wszelką cenę obronić nas przed głodem. Tymczasem Rzymianie powrócili w miejsce, które oznaczyli kamieniami, i nasi nie mieli wyjścia: musieli umknąć przed wrogiem, który zaczął śledzić ich ruchy. Przywieźli tylko parę wychudzonych kuropatw i małego kozioroźca porzuconego przez stado. Działo się to w miesiącu *tiszri*, kiedy wszystko dojrzewa, a my powinniśmy się radować, jednak w twierdzy panowała cisza i wszyscy mieliśmy złe przecucia.

W gołębnikach brakowało nam Nahary, zwłaszcza Aziza tęskniła za siostrą. Często chadzała na pole w pobliżu kwatery esseńczyków, siadała po turecku na trawie i godzinami czekała na Naharę, lecz ta nigdy do niej nie przyszła. Gdy Aziza ruszała

za kozami, które wypasała jej siostra, Nahara szybko zapędzała je w inne miejsce. Urażona Aziza zaczęła dla zabicia czasu wyrabiać strzały. Wszystkie musiałyśmy pomagać przy wyrobie broni. Wiele kobiet zbierało się wieczorami, by ciosać kamienie do proc, jednak ona ukrywała swoje dodatkowe zajęcie przed matką.

– Uznałaby, że mi to nie przystoi – stwierdziła.

Okazało się, że Aziza ma do tego smykałkę. Jej groty były cienkie i pięknie wykonane. Przytwierdzała je do strzał lnianym sznurkiem. Starsza córka Sziry zadziwiająco nadawała się do tej pracy, gdyż metal był dla niej tym, czym dla innych kobiet tkanina i nitka. Dostrzegłam w niej to, co dostrzegałam każdego ranka w moim piekarzu: zamiłowanie do tworzenia czegoś wyjątkowego z różnych składników, czy to z soli, pszenicy, czy z żelaza.

Jeniec wyjawiał nam, że w krainie, z której pochodzi, strzały każdego wojownika zdobi godło jego plemienia – w jego przypadku jelen, zwierz, o którym nam opowiadał, lecz w którego istnienie trudno było uwierzyć, gdyż w kłębie ponoć dorównywał wzrostem człowiekowi, a jego rogi były rozpostarte szerzej niż skrzydła sępa. Zarzekał się, że już jako chłopiec używał strzał noszących podobiznę tego wspaniałego stworzenia.

– Przywiążuj pióra do końcówek – doradził Azizie. – Dzięki temu dalej polecą.

Amram uchodził za feniksa odradzającego się po każdej bitwie, więc Aziza przygotowała mu strzały, które byłyby godne tak wielkiego wojownika, zdobiąc je piórami jastrzębi zabarwionymi w wywarze z marzany. Poplamiała przy tym na czerwono ręce. Jael żartowała, że tak się zapamiętała w miłości, iż jej żar rozpala do czerwoności dłoń.

Kiedy nadszedł czas próby dla jej wyrobów, Aziza posłała Adira do koszar po łuk. Gdy stamtąd wrócił, śmiał się i docinał siostrze, żeby lepiej nie brała go do ręki, bo zrobi sobie krzywdę. Aziza tylko się uśmiechnęła i odepchnęła go.

Usiadłam z Jael, która ułożyła syna w nosidle z miękkiej wełny. Arje był pogodnym dzieckiem o ciemnych błyszczących oczach, spokojnym niczym baranek, jakim się zdał w wieczór, gdy Jael nadała mu imię. Choć miał ledwie kilka tygodni, przesypiał całe noce, tuląc skrawek błękitu, który matka dawała mu, by go ukoić. Czerwone znamię na policzku wciąż było widoczne, lecz zaczęło zanikać, smarowane balsamem z pszenicy, miodu i aloesu. Uznałyśmy, że gęste czarne włosy chłopca są oznaką męskości. Zachwycaliśmy się wielkością jego rączek, stóp i kształtnym penisem, które świadczyły o tym, że za dziesięć lat pewnie będzie mógł dźwignąć osła.

– Może niech wypróbuje strzały, skoro taki z niego wojownik! – żartowałyśmy, bo nie było wśród nas innych mężczyzn.

Aziza podała łuk jeńcowi, choć dawanie broni niewolnikowi stanowiło przestępstwo. Wziął go, wdzięczny za okazane mu zaufanie. Każda ze strzał trafiała w cel – zgrubienie na pniu starej oliwki rosnącej za gołębnikiem. Jeniec mierzył do niej z progu, więc nikt inny go nie widział. Pokłonił się, gdy zaczęliśmy chwalić jego zręczność. Zauważył, że Aziza przypatruje mu się z podziwem, nie spuszczać z oczu łuku, który dzierżył w dłoniach.

– Nauczę cię – zaproponował. – Wtedy sama się przekonasz, ile warte są twoje strzały. Rzadko widywałem tak doskonałe groty.

Aziza cofnęła się, zakryła oczy dłońmi i pokręciła głową, ale jej mina świadczyła o tym, że bardzo tego pragnie.

Wedle prawa kobietom nie wolno było dotykać broni, lecz już raz złamałyśmy je, dając łuk niewolnikowi. Same grzeszyłyśmy, więc nie potępiałyśmy innych. Spoglądałyśmy prosto w oczy tym, które obmawiały Jael i jej dziecko, zmuszając je, by to one spuściły wzrok.

– Wypróbuj swe dzieło – namawiałam Azizę, nawet jeśli miało to służyć wyłącznie rozrywce.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale robię to tylko dla was.

Jeniec zaczął jej objaśniać, jak ma strzelać, a ona uważnie go słuchała. Zręcznie napięła łuk. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Trafiła już za pierwszym razem. Niewolnik był zdumiony.

– Masz duszę wojownika! – ocenił.

– Raczej dużo szczęścia – odrzekła.

Porzuciła łuk i poszła zebrać strzały. Sama nie mogła się nadziwić, że tak misternie je wykonała. Podnosząc je, zaczęła poprawiać obłuzowane pióra.

– Feniks zawsze zwycięża – rzuciła. – Ci, których dosięgną te strzały, padną przed Amramem.

Szira, która cały czas była w gołębniku, wyszła teraz na próg. Miała natchnioną minę, z której trudno było coś wyczytać. Odkąd Nahara odeszła, Szira się zmieniła. Stała się bardziej nieufna i zamknięta w sobie. Niektórzy szeptali, że ma wgląd w zaświaty. Jeśli rzeczywiście tak było, to Szira miała naszą przyszłość na wyciągnięcie ręki. Tymczasem my, które nic o niej nie wiedziałyśmy, zabawiałyśmy się na podwórzu i klaskałyśmy, kiedy Aziza raz za razem trafiała w cel, olśniona jej zręcznością i urokiem łuczniczki.

Za to Szira tylko się przyglądała, tak jak człowiek przygląda się z lękiem lecącemu rojowi pszczół, gdy jest już za późno, by zawrócić je do ula, gdyż to, co złe, właśnie się zdarzyło.



Wkrótce nastał nowy rok, czas świętowania, lecz tym razem Rosz ha-Szana obchodziliśmy skromnie i niezbyt radośnie. Na stołach pojawiło się proste jadlo: dynie, pory, parę chudych kuropatw, sałatki z soczewicy i twaróg. Jael zaniósła nieco tych lichych przysmaków swej przyjaciółce Tamar. Ta była jej za nie bardzo wdzięczna i w rewanżu jej syn Jehuda, rozmarzony chłopak, który wolał wspinać się na drzewa w sadzie, niż studiować Torę, zrobił niespodziankę moim wnukom i podarował im wyrzeźbionego z drewna bąka. Chłopcy byli zachwyceni. Tak niewiele potrzeba im było do szczęścia. Nawet nie zauważyli, z jaką ciekawością Jehuda im się przygląda, gdy odkrył, że utracili dar mowy – może dlatego, że pogodzili się ze swym losem. Zwykle ignorowali witające ich na placu spojrzenia ciekawskich, którzy próbowali odgadnąć, co też jest przyczyną nieszczęścia chłopców. Noe i Lewi ucieszyli się, że w domu pojawiło się niemowlę. Godzinami zabawiali Arjego grzechotką, tykwami przerobionymi na flety, a teraz bąkiem, jaki sprawił im Jehuda.

Milcząca obecność moich wnuków fascynowała Arjego. Wciąż wodził za nimi oczami. Hołubiliśmy nasze lwiątko, które chichotało radośnie, kiedy moi wnukowie rzucali cienie na ścianę. Gdy bawili się z nim, zasłaniając twarze kawałkiem płótna, wołał do nich, gruchał i kwilił, póki znowu mu się nie pokazali – jak zawsze milczący, więc może myślał, że są duchami.

Ten nowy rok był dla mnie wyjątkowo smutny. Każdy rozcinany na pół owoc miał w sobie smak, którego nie mogłam znieść. Znienawidziłam wszystko, co słodkie. Jadałam gorzkie zielone warzywa i przywykłam do smaku soli na języku. W synagodze stawałam z tyłu, wśród kobiet, gdyż im nie wolno rozpraszać mężczyzn, lecz cóż począć, kiedy kobietę rozpraszają jej własne myśli? Odmawiałam znane na pamięć modlitwy, ale niepewnie i ospale.

Twarz tak mi pobladła, że aż Jael spytała, czy przypadkiem nie jestem chora. Odpowiedziałam, że nie, jednak nie dawałam już rady chodzić do gołębników o świcie. Wolałam leżeć na sienniku z twarzą do ściany. Zauważałam tylko cienie, gdy moi wnukowie wchodzili do izby i z niej wychodzili, a kiedy zamknęłam oczy, widziałam wszystko, co zdarzyło się na pustyni.

Minął rok, odkąd moja córka straciła życie. W Dniu Pojednania poszłam do synagogi, by odmówić żałobne modlitwy, lecz ta strata była jak przeszywająca mnie strzała, a modły nie wystarczyły, by ukoić ból. Melancholia spowiła mnie niczym całun. Doszyto mi smutek czarną nicią, której ponoć używają demony. Gdy szłam

przez plac, wszyscy mnie unikali, bo dostrzegali mrok, który w sobie nosiłam. Nawet wnukowie umykali przede mną, bo woleli Jael i jej opowieści. Mogła mnie zrozumieć tylko jedna osoba, ta, która przeszła tą samą ścieżką i stała pod tym samym niebem.

Joaw pewnie też zaszył się w jakimś ciemnym kącie i cierpiał podobnie jak ja.

Był już wieczór, gdy poszłam do koszar. Przez kilka dni wychodziłam z domu jedynie po to, żeby pomodlić się w synagodze. Jeśli nie wstajesz z siennika, odzwyczajasz się od chodzenia. Jeśli sobie nie wybaczasz, nie potrafisz wybaczyć innym. Zabiłam bestie w oazie, lecz i one zabiły mnie. Kobieta, jaką kiedyś byłam, ta, którą budziła woń piezonego chleba i która codziennie zamiatała schody z przekonaniem, że ten dzień będzie jak każdy inny, zniknęła. Byłam niczym muszla, skorupa, byłam istotą, której ciało przeszły swymi nićmi demony.

Tego wieczoru wojownicy też się modlili. Zauważyłam wielką stertę ociosanych kamieni, twardych gładkich kul, którymi będziemy miotać we wroga, jeśli zaatakuje. Leżały w miejscu, gdzie przedtem gromadzono drwa na opał. Drewno już zużyto i niewiele można go było znaleźć na okolicznych skałach – tylko kilka spalonych słońcem krzaków o pobielających, spękanych gałęziach, które ledwie się tliły, gdy dorzucaliśmy je do ognia. Była pora sadzenia, ale w powietrzu unosiła się woń jak z pieca, w którym spalił się chleb. Nikt nie pracował w polu. Skupiliśmy się na obronie przed żywiołami i wrogiem. Zastanawiałam się, co powiedziałyby mój mąż o świecie, który był zbyt gorący na jedzenie chleba i zbyt okrutny na ludzką dobroć.

Stałam pod wyschniętą morwą nieopodal wejścia do koszar. Liście szeleściły w mroku. Dźwięk ten przypominał odgłos grzechotki lub miotanej wiatrem skóry węża. Przysiadłam na pniu drzewa, którego owocami zajadał się kiedyś król. Po krótkim czasie wojownicy powrócili z modłów i zabrali się do pracy, choć było święto. Widziałam, jak sławny skrytobójca z Jerozolimy bar Elchanan niczym niewolnik czyści szmatami i piachem brązowe groty włóczni. Kilka razy zawitał do mojego domu. Pozdrowił mnie półgębkiem, rozjaśniał się na widok Arjego, którego sadzał sobie na kolanach. Dostrzegłam też na polu brata Jael, który konkurował ze swymi druhami o to, który z nich wceluje strzałą w wąski, wykuty w murach otwór służący do wylewania na wroga gorącego oleju i wrzątku, gdyby okazał się na tyle głupi, by zaatakować mury twierdzy.

Czekałam już tak długo, że zaczęły do mnie docierać niesione echem pohukiwania sów gnieźdzących się w jaskiniach. Wojownicy wracali do koszar. Gdy plac przemierzał skrytobójca bar Elchanan, dojrzałam w jego chodzie starość, ciężar dźwiganego jarzma. Przygniatało go brzemień okrutnych występków. Nie podobało mi

się, że przychodzi do nas, by odwiedzać wnuka, jednak w tamtej chwili poczułam, że nie mnie go osądzać, nie po tym, co sama uczyniłam.

Księżyc świecił na niebie i mi się przyglądał, samotny i zimny. Mimo to nie ruszyłam się z miejsca. Wreszcie na placu zjawiał się mój zięć z toporem w rękę i ponurą miną. Choć posiwiał, wciąż był młody. Ramiona okrył jedynie tałesem. Zauważyłam, że muskularne przedramiona ma oplecione paroma cienkimi brązowymi blaszkami o ostrych krawędziach, które, gdy wykonywał gwałtowny morderczy ruch, wbijały mu się boleśnie w ciało. W ten sposób sam się karał. Było to zabronione. Czynili tak w żałobie nomadowie i barbarzyńcy. Jednak zięć robił, co chciał, łamiąc wszelkie prawa. Jego ramiona pokrywały szramy po ranach, które sam sobie zadawał sztyletem. Miały niebieską barwę kwitnącego hizopu, ulubionego kwiatu mojej córki. Blizny otaczały sińce w kolorze śliwek, jej ulubionych owoców.

Kiedy wymówiłam jego imię, Joaw zmrużył oczy, jakby usłyszał przekleństwo. Skinęłam na niego. Wtedy mnie rozpoznał i podszedł. Stał pod uschniętą morwą, półnagi w srebrnej zbroi. Zaczęłam się zastanawiać, czy w niej sypia i czy śnią mu się bitwy, krew i piękna twarz mej córki.

– To dzień smutku – przypomniałam, mając nadzieję, że odmówimy razem modlitwę lub zapalimy kaganek na cześć Zary.

Parsknął szyderczo. Pomyślałam o królewskich koniach z opaskami na oczach, wspinających się po ścieżce, której nie mogły zobaczyć. Niektóre na pewno się opierały i wierzgały przerażone, że nie widzą okrutnego węża, którego śladem miały wdrapać się na szczyt góry.

– Jak każdy – odrzekł Człowiek z Doliny pozostający mym zięciem, chociaż nie miałam już córki. – O co mam się modlić?

Zdawał się jednocześnie zawstydzony i wściekły. Na wzmiankę o modlitwie okazał pogardę. Oczywiście wiedział, co to za dzień. Odliczał je od chwili, gdy ujrzał wapienne kamienie, którymi obłożyłam ciało Zary, by nie zaznało już krzywdy ze strony drapieżców.

– Masz dwóch synów – upomniałam go. – Mają czarne oczy po matce.

Zdumiał mnie jego przeraźliwy skowyt. Aż się cofnęłam, nie mając pewności, czy wciąż stoi przede mną Człowiek z Doliny, który nikomu nie ufa i sypia z toporem w rękę plecami do ściany, gotów walczyć nawet we śnie.

– Prosiłem, żebyś o niej nie wspominała.

– Ani o chłopcach?

– Ten świat jest dla mnie niczym – rzucił buńczucznie. – Skąd myślisz, że dbam o takie rzeczy?

– Przyszedłam do ciebie, bo ją w sobie nosisz – odrzekłam, gdyż przecież przekazałam mu jej ostatnie tchnienie. Przyjął je i teraz Zara należała do niego. W rewanżu za ten wielki dar musiał mnie szanować, bez względu na gorycz, jaka go zżerała.

Skinął głową, uznając łączącą nas więź i moje poświęcenie. Powściągnął gniew i wysłuchał argumentów. Człowiek, który wciąż był mym zięciem, przysiadł koło mnie pod czarną morwą. Nigdy nie spytał, jak udało mi się zabić te bestie. Nie wiedział, że zanęciłam je chlebem. Mógł czuć do mnie niechęć, bo dokonałam aktu zemsty, i wstydzić się, że to nie on. Ale w tamtym czasie, gdy ja przemieniłam się w demona odwetu, był człowiekiem, który znał tylko modlitwę.

– Na pewno jest jeszcze w tobie coś z niego – nalegałam, odwołując się do człowieka, jakim był kiedyś, nie do okrutnego wojownika, który sam siebie karze. – Powietrze, którym oddychasz, woda, którą pijesz, przebudzenie każdego ranka, by ujrzeć słońce. Musi być coś, czego nadal pragniesz na tym świecie.

Tak niewiele z niego pozostało, lecz kiedy spojrzałam na piasek, cień Joawa wydawał się taki jak dawniej.

– Chcesz wiedzieć, czego pragnę? – roześmiał się i potrząsnął głową.

Przez chwilę znów był uczonym w Piśmie, który przyszedł do piekarza, by prosić go o rękę jego córki, panem młodym tak oszołomionym w dniu zaślubin, że nawet po uzgodnieniu i zawarciu umowy, ketuby, nie docierało do niego, że Zara jest naprawdę jego. Na widok przyszłej żony odjęło mu mowę, a jego przyjaciele żartowali, że zahipnotyzowała go swą urodą.

– Usłyszeć ich głosy – wyznał.

Słyszeliśmy, jak wojownicy spożywają kończący czas postu wieczorny posiłek, hałaśliwe rozmowy młodych mężczyzn, czasami zbyt młodych, by pojąć okropieństwa, jakie ich czekają, gdy wyruszą na pustynię, by nas bronić. Ci młodzieńcy odwracali wzrok, gdy napotykali Człowieka z Doliny z jego bliźniami i metalowymi bransoletkami, przekonani, że nigdy nie staną się tacy jak on, że wojna nie przemieni ich we wściekłych morderców.

– Możesz to sprawić? – spytał. – Chcę, by moi synowie mówili jak inne dzieci. Czy twój Bóg potrafi tego dokonać?

Było to także moje pragnienie. Modliłam się o to, lecz na próżno. Byliśmy do siebie przynębiająco podobni, niczym dwójka topielców w sadzawce. W milczeniu obserwowaliśmy gwiazdy. Nie mogłam mu obiecać, że Bóg się nad nami ulituje.

Joaw skwitował to wzruszeniem ramion.

– Otóż to. Wróć do mnie, gdy odzyskają mowę. Wróć, gdy z niewinnych opadnie klątwa. Nie ma we mnie wiary. Jeśli Bóg w ogóle istniał, to nas porzucił i już Go nie

ma.

Siedzieliśmy przytłoczeni tą myślą w zimnej poświacie księżyca.

– Nie ustane w walce, póki zostanie mi choć jeden wróg. Później spoczne ze świadomością, że nie miałem Boga.

Gdy odchodziłam, Joaw wciąż siedział pod wyschniętą koroną sędziwej morwy. Kiedy tu zmierzałyśmy, był człowiekiem ogarniętym rozpaczą, bezustannie pogrążonym w myślach. Teraz szukał śmierci, pragnął się z nią zmierzyć i rozstać z tym światem. Wiem, o czym śnił – nie o mojej córce. Taki sen całkowicie by go powalił, byłby nieskończenie bardziej bolesny niż ostre blaszki, którymi oplatał ramiona, by się pokarać.

W drodze powrotnej nie oglądałam się za siebie i nie zwracałam uwagi na latające po niebie sowy. Miałam niecierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia. Przyrzekłam zięciowi, że dam mu jedyną rzecz, jakiej wciąż pragnął na tym świecie: głos jego synów, powód, by znów zawierzył Bogu.



Poszłam do synagogi prosić o amulet, który przywróci zdrowie moim wnukom. Wbiwszy wzrok w posadzkę, ukorzyłam się, błagałam, lecz wielki kapłan Menachem ben Arrat tylko pokręcił głową i upomniał mnie, że musi się modlić za los całego ludu i nie może zawracać sobie głowy ciężką dolą dwóch małych chłopców. Odprawił mnie, jakby ich nieszczęście było dla niego bez znaczenia, i kazał wyprowadzić.

Mimo jego odmowy jeden z uczonych w Piśmie dał mi amulet z niewielkim zwojem, na którym zapisano modlitwę o przebaczenie. Zgodnie z obyczajem zakopałam go obok synagogi, lecz otrząsając ręce z piasku, nie miałam pewności, czy taki amulet wystarczy, by spełnić moje życzenie, i skierowałam swe kroki w inne miejsce.

Zapadał zmierzch, na placu przy wrzecionach siedziało kilka kobiet. Mężczyźni udawali się na modły, przywoływani dźwiękiem trąby rozbrzmiewającej na murach twierdzy, tymczasem ja podążałam w przeciwnym kierunku. W pobliżu koszar zobaczyłam Azizę śledzącą popisy swojego brata, który ćwiczył się w strzelaniu z łuku. Szło mu nieźle, lecz nie miał pojęcia, jak wytrawną łuczniczką jest jego siostra. Nie wspomniałyśmy mu o tym, gdyż prawo zakazywało takich rozrywek kobietom i Adir mógłby opacznie to zrozumieć. Każda broń, której dotknęła kobieta, choćby przypadkiem, musiała zostać oczyszczona wodą i modlitwą, by kobiecy dotyk nie rozpraszał posługującego się nią wojownika i nie wywoływał żądz. Oznaczało to, że mogła ona być w istocie lepszą wojowniczką, zawsze skupioną na zadaniu, jakie ją

czeka. Po wielu godzinach ćwiczeń na tyłach gołębnika pod okiem jeńca ramiona i twarz Azizy ogorzały od słońca, a jej smukłe ciało stało się umięśnione i sprężyste. Dziewczyna oklaskiwała wysiłki brata, choć wypuszczane przez niego strzały upadały ze stukotem na kamienistą ziemię.

Ruszyłam w kierunku zachodnim, do domu Sziry, licząc, że będzie sama, jednak nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Zajrzałam do środka. Wewnątrz panował półmrok. W izbie unosiła się smuga dymu z kadzidła rozpalonego na ołtarzyku. Na stole stały dzbanuszek z farbką do malowania powiek z kruszonego lapis-lazuli, paleta cieni w różnych barwach i puder z płaskich lśniących białych muszli z Morza Czerwonego. Małe gliniane naczynie z olejkiem o zapachu lilii pozostawiono otwarte, jakby ktoś wyszedł z domu w wielkim pośpiechu. Lilie kojarzono z Szechiną, kobiecym aspektem Boga, skrytym pod zasłoną wtajemniczenia i ekstazy, którego doświadczali jedynie najwierniejsi z wiernych. Szechina uosabiała bożą litość i ci, którzy zmarli w jej objęciach, stawali się ponoć ulubieńcami aniołów.

Słyszałam jedynie, jak o tym szeptano, lecz od razu rozpoznałam tę boską, niezwykle kobiecą woń: połączenie czystości i skalania, słodyczy i goryczy w jednym tchnieniu. Ruszyłam za tym zapachem przez plac w stronę zachodniego muru twierdzy. Spojrzałam na położoną w dole budowlę. O zmierzchu ruiny zawieszono na skale Pałacu Północnego tonęły w liliowej mgiełce. Zapach wonności był delikatny, jednak wyrazisty w porównaniu z gorzkim odorem jałowej doliny u stóp twierdzy.

Kramy już zamknięto, na oknach garbarni i winiarni zatrzaśnięto okiennice, w piekarni też było ciemno. Pracowało w niej kilku silnych mężczyzn, którzy początkowo opalali wielkie piece drewnem, a teraz, kiedy się skończyło, deskami zrywanymi z pałacowych podłóg. Nie zaglądałam tam, odkąd zobaczyłam pewnego ranka rozebranych do pasa piekarzy w białych fartuchach, zlanych potem od buchającego z pieców gorąca. Na ich widok omal nie zemdlałam. Przez moment wydawało mi się, że widzę wśród nich mojego męża.

Po chwili dotarło do mnie, że to ktoś inny, całkiem do niego niepodobny. Pomachał do mnie, gdy zauważył, że mu się przypatruję – wtedy odeszłam. Od tamtej pory zaczęłam sama piec chleb, doprawiając go resztką kolendry, która została mi po mężu. Nie chciałam chodzić do piekarni i wystawać w kolejkach z innymi kobietami w oczekiwaniu na świeże bochny ani przypominać sobie woni mego domu w Dolinie Cyprysów.

Dostrzegłam przemykający po posadzce cień. Szczur.

Ruszyłam na dalsze poszukiwania Sziry i stanęłam przy wejściu do piwnic. Weszłam

tam, choć kręciło mi się w głowie na niezliczonych pochyłych i oślizłych schodach, z których wiele już zmurszało. Kiedyś przemykali po nich członkowie królewskiego dworu, a później zapuszczali się tu Rzymianie, nim nasi wojownicy w końcu odbili twierdzę. Piwnice sięgały tak głęboko, że czułam się, jakbym wkroczyła do innego świata, ciemnego i wilgotnego, mimo że na górze panował upał.

Deszcz nie padał od kilku miesięcy i wszystko wokół wyschło, lecz nagle usłyszałam szum wody. Początkowo wydał mi się snem, miałam wrażenie, że dotarłam do oazy. Oszłomił mnie ten delikatny dźwięk, to, że woda w ogóle płynie, jakbym dawno zapomniała, czym są jej chłodna słodycz i białe płatki kwiatów unoszące się na powierzchni, ale też jakby umknęło mi to, jak łatwo się w niej utopić, gdy wciągnie nas w swą bezlitosną toń.

Schodziłam wciąż głębiej, zwabiona obietnicą wody niczym szczur ciągnący do ziarna w piekarni. Podpierałam się ręką o chłodny kamienny mur, by zachować równowagę na krętych schodach. Niespodziewanie zaczęły się zwężać i robić coraz mniejsze. Teraz musiałam iść bokiem. W końcu domyśliłam się, gdzie jestem. Dotarłam do największej z cystern, tak ogromnej, że swobodnie mieściło się w niej pięćdziesiąt osób. Zimą spływała do niej woda ze wzniesionych przez Heroda akweduktów, wykorzystywana w łaźniach i do picia, obecnie jednak jej poziom był niebezpiecznie niski. Jedynie pośrodku, w niewielkiej obudowanej ostrymi głazami sadzawce, zgromadziło się nieco wody o intensywnie zielonej barwie. Na jednym z głazów ktoś ustawił kaganek, w którym, niczym ciekły bursztyn, mienił się wrzący olej. Mrużąc oczy, próbowałam przeniknąć rozświetlany migotliwym płomieniem półmrok. Poczułam taki chłód, jakbym nagle znalazła się w krainie lodu, o której często opowiadał nam jeniec, gdzie wojownik mógł w jednej chwili przemarznąć do kości.

Dostrzegłam błysk ciał w wodzie i spazmatyczne odruchy spółkowania. Zadrzałam na myśl o dzikich bestiach, bo któż inny jak nie krokodyl zażywałby rozkoszy w wodzie? Jednak dzikie bestie nie obściskowałyby się z taką namiętnością, nie całowały w usta ani nie przybrały postaci kobiety i mężczyzny. Oboje byli śniadzi, a ich śniadość zlewała się w jedno. Gdy się od siebie odrywali, widziałam jego plecy i szerokie barki, złoty amulet na jej szyi i ciemne oczy o powiekach obwiedzionych proszkiem z lazurytu, którego kolor jest dla niektórych barwą niebios.

Stałam pod ścianą i wstrzymałam oddech. Natrafiłam na coś, w co lepiej było nie wnikać, jednak próbując się wycofać, pogrążyłam się jeszcze bardziej. Spod moich stóp osunął się kamyk i plusnął do wody. Kobieta w cysternie przyciągnęła do siebie kochanka i wtedy ujrzałam jej szyję i piersi. Była wytatuowana henną, czego prawo

zabraniało, chyba że kobieta była *kedesza*, namaszczona, która oddawała ciało w ofierze pogańskim kapłanom.

Mężczyzna obrócił głowę, próbując wypatrzeć mnie w ciemnościach. Nasze oczy spotkały się na krótką chwilę, jak wzrok gazeli ze spojrzeniem myśliwego, choć nie potrafiłabym powiedzieć, kto z nas był łowcą, a kto zwierzyną. Pospiesznie się cofnęłam. Wnukowie nauczyli mnie języka ciszy. Nie potrzebowałam słów, by stwierdzić, że Czarownica z Moabu jest zwyczajną kobietą. Mocno przytuliła do siebie kochanka, szczelnie obejmując go ramionami, bym nie mogła dojrzeć jego twarzy. Ale ja i tak go rozpoznałam po tym, jak światło padało na jego plecy, jakby przyciągane światłem bijącym z jego wnętrza, które kazało wojownikom bezwzględnie za nim podążać.

Chciałam wymazać z pamięci to, co zobaczyłam. Przyszłam do Sziry po pomoc, a odkryłam coś, na czym mi nie zależało. Szybko wbiegłam po schodach na górę. Byłam już niemłoda, ale teraz umykałam niczym dziewczę. Przyszło mi do głowy, żeby biec do domu, lecz przecież napotkałam jego wzrok. Nie dało się już niczego ukryć. Jeśli się z tym nie zmierzę, wciąż będzie mnie to prześladować. Pustynia nauczyła mnie, że kto zacznie uciekać, ten już się nie zatrzyma.

Zaczaiłam się przed jej drzwiami, ciekawa, co się zdarzy. Ludzie stawali się wrogami z błahszych powodów, a kobieta praktykująca *keszafim* nie była łatwą przeciwniczką. Wiedziałam za dużo, choć nie wiedziałam nic i może właśnie dlatego bardziej mogłam jej zaszkodzić niż ona mnie. Jeśli miałam jakiś dar, to polegał on na umiejętności dostrzegania cieni. Jeden z nich przemierzał teraz plac. Gdybym zmrużyła oczy, dojrzałabym w nim kruka, który pragnie wzlecieć, lecz pozostaje usidlony na ziemi.

Jej długie czarne włosy były mokre i zwisały w nieładzie. Ciągnął się za nią zapach lilii. Stanęłyśmy naprzeciw siebie w poświęcie księżyca. Zauważyłam, że nawet czarownice się czerwienią, zwłaszcza ta, którą nakryłam w cysternie. Przez śniadą twarz Sziry przemknął grymas, jednak nie wstydu, raczej rezygnacji.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała.

Przypomniały mi się gołębie, które nigdy nie patrzą w oczy, wbijając wzrok w ziemię. W przeciwieństwie do tych płochliwych stworzeń Szira wpatrywała się we mnie gniewnie, zapewne przekonana, że zechcę użyć wiedzy, którą właśnie posiadałam.

– Twoje uczynki to twoja sprawa – uspokoiliam ją. – Zaraz zapomnę o tym, co widziałam.

Przyszłam do niej po pomoc i tego właśnie oczekiwałam. Pochyliłam głowę i,

wdychając woń lilii, poprosiłam ją o jedyną rzecz, jakiej mój zięć pragnął na tym świecie – o to, by przywróciła głos moim wnukom.

– Skąd przyszło ci do głowy, że potrafię wyręczyć Boga?

Była nieustraszona, nawet teraz, gdy wiedziałam o czymś, co mogło ją zniszczyć. Cudzołożnice najczęściej przepędzano, golono na łyso, odbierano im majątek i dzieci. Czyż jej odwaga nie świadczyła o sile woli? Dzięki niej starszyzna dała spokój Jael. Przyszli, by ją wypytać o okoliczności narodzin Arjego. Szira zamknęła im drzwi przed nosem i zaczęła wznosić modły, aż odeszli. Skoro mogła przyjmować na świat dzieci, dając odpór Lilit, która się o nie upominała, z pewnością potrafiła też przywrócić głos dwóm małym chłopcom. By ją do tego przekonać, musiałam się przed nią otworzyć. Schyliłam więc ponownie głowę i opowiedziałam jej swoją historię, nieustannie przywołując w myślach obraz Człowieka z Doliny, opasanego cienkimi metalowymi blaszkami i naznaczonego własną krwią. Kiedy do niej mówiłam, przeszłość skupiła się wokół nas niczym mrok w zakamarkach świata. Jaśmin rosnący przy sadzawce, ślady oparzeń na skórze mej córki, anioł, który szeptał mi do ucha w kuchni, demon, który we mnie wstąpił, gdy chwyciłam sztylet Rzymianina, by ugodzić nim najdroższe mi ciało i krew, duch męża, który zapewniał, że każdy bochen chleba żywi nas tak, jak powinien.

Ramiona Sziry opadły, a twarz pobladła. Teraz tylko ona i Bóg wiedzieli, w jaki sposób zabiłam bestie, które nas dopadły, z jaką rozkoszą patrzyłam, kiedy opijały się na śmierć, i z jaką przerażającą radością poderżnęłam im gardła. Zrzuciłam szatę, by lepiej mnie dojrzała i zrozumiała, kim się stałam. Nie byłam żoną piekarza, babcią ani gołębiarką, która karmi chore ptaki kleikiem z jęczmienia i czuwa nad nimi nocą. Byłam morderczynią. Przystawiłam kaganek do dłoni, by Szira zobaczyła wyraźnie, z kim ma do czynienia. Znak śmierci.

Byłam wyczerpana. Wymęczyły mnie dręczące moje serce słowa, które wysypywały się ze mnie i niczym kamyki spadały, stukając o ziemię. Może to i dobrze, że wnukowie stali się niemowami chronionymi przed opowieściami o własnym życiu. Szira przytuliła mnie i poczułam się w jej objęciach jak dziecko, które zbyt wiele widziało, patrząc przez kurtynę opadającej wody na to, co bestia może uczynić człowiekowi i czym może się stać on sam.

– Istnieje lek na każde zło – szepnęła. – Każda matka będzie bronić córki. Popełniłaby grzech, gdyby tego nie uczyniła, zbrodnię większą niż wszystkie opisane. Zrobiłaś to z miłości.

Byłam tak rozgniona, że z lubością chłonełam chłód jej ciała. Wyjawiała mi, że od dzieciństwa woda jest jej żywiołem i dlatego zobaczyłam ją w tej cysternie. Gdy matka

zaprowadziła ją nad rzekę, Szira przekonała się, że umie pływać, choć nikt jej tego nie uczył. Co groźne dla jednego, jest zbawieniem dla innego. Zapewniła mnie, że pragnienie mojego zięcia może się spełnić, lecz musi być cierpliwy. Niech czeka i nie traci wiary. By opadła klątwa, musi pochwycić demona. Później niech podziękuje aniołowi, a może w zamian ten przywróci głos, który odebrał dzieciom, by nie krzyczały w swej kryjówce przy wodospadzie. Miałam co wieczór modlić się do Biriego, anioła deszczu. Był niemy jak moi wnukowie, więc nie powinnam oczekiwać odpowiedzi, przynajmniej nie od razu.

– Wiem już, czego pragnie twój zięć – powiedziała Szira. – A ty?

– Tego samego – odrzekłam.

– Nie – odparła nieprzekonana i na mnie spojrzała. Poczułam ucisk w gardle, może ze strachu przed wyjawieniem prawdy. – Chcesz czegoś jeszcze – dodała.

Uniosła moją dłoń do swych ust. Nim zdążyłam ją cofnąć, pocałowała w sam środek. Wtedy wyznałam prawdę, którą skrywałam przed nią, przed Bogiem i przed samą sobą. Moim ciałem wstrząsnął szloch. Tamci żołnierze byli bestiami i z rozkoszą ich zabiłam, lecz byli też ludźmi. Stąpali po tej ziemi i pod tym niebem. Ten, który błagał mnie o litość, pozostał w mej pamięci, gdyż prosił o coś, o czym sama marzyłam.

Pragnęłam przebaczenia.

– Bóg od razu ci przebaczył – zapewniła mnie Szira.

Zsunęła z ramion tunikę, bym mogła przyjrzeć się zakazanym czerwonym tatuazom, które dostrzegłam w cysternie. Wiedziałam, co symbolizują: wierność bogini i życie złożone w ofierze, największe wyrzeczenie dla kobiety, które hańbiło ją w oczach ziomków.

– Mam siebie osądzać? – spytała. – A może zostawić ten osąd Wszechmogącemu, który przebacza wszystkim, że jesteśmy tym, kim nas stworzył?

Pod uschniętą morwą omal nie wyrzekłam się wiary i zięcia. Komuż wolno oceniać me udręki i występki? Któż może uleczyć ranę, która być może nigdy się nie zagoi? Szira posmakowała mojej rozpacz, zaufała mi i sama się przede mną odkryła. Jeśli Bóg da, spełni się pragnienie Joawa.

Może wtedy sobie wybaczę.



Ćwiczyłam cierpliwość przez cały miesiąc *tiszri*, gdyż nie przychodziła mi łatwo. Prawdę powiedziawszy, w przeszłości nigdy by mi się nie przysłużyła. Gdybym była cierpliwa, moi wnukowie pozostaliby przy sadzawce z zieloną wodą, kiedy dopadli nas

ci łajdacy, i poszliby jak owce na rzeź. Gdybym była cierpliwa, zabójcy mej córki wciąż stąpaliby po ziemi. Pomyślałam o mężu, o tym, jak czekał, aż ciasto urośnie, i nigdy się nie śpieszył z włożeniem chleba do pieca. Wiedział dokładnie, kiedy zdjąć płótno znad rosnących bochnów i wsunąć drewnianą szpatułę na rozgrzaną do czerwoności blachę. Zupełnie jakby sam był chałką i znał jej tajemnicę od wewnątrz.

Zaczęłam uważnie przyglądać się jeńcowi. On też był niezwykle cierpliwy. Ułożywszy się wieczorem na kamiennej posadzce gołębnika, czekał bez słowa skargi, aż rankiem znów zjawi się Jael, spokojny niczym ptaki wyczekujące naszego powrotu. Dostrzegałam wówczas żar w jego bladych oczach, którego nie potrafił ukryć, zatem jego cierpliwość także miała swe granice.

Pora roku była ciężka, upał nie ustępował. Niełatwo przychodziło mi zasnąć, gdy pozostali spali głębokim snem, w tym spokojny i pogodny Arje, który miał już ponad dwa miesiące i zdrowo się chował. Pewnego wieczoru, kiedy sprzątałam izbę i wymieniałam słomę w siennikach, wyjrzałam przez okno i zauważyłam, że ktoś kręci się przed drzwiami. Zobaczyłam tylko cień, tak jak w oazie, gdy spostrzegłam na piasku cienie rzymskich żołdaków. Taki miałam dar. Dostrzegałam coś, co ledwie było widać: bestie na grani, szczura w kącie, kobietę i jej kochanka, flakon z trucizną między przyprawami, szczupłego mężczyznę przed drzwiami. Pomyślałam, że to duch, który powstał, by między nami krążyć, pozostawiwszy swe bezwładne ciało. Ale nie, to był człowiek z krwi i kości.

Kiedy go rozpoznałam, przekonałam się, że jeniec nie jest tak cierpliwy, jak sądziłam. Może dotyczy to wszystkich mężczyzn. Przypomniałam sobie, że czasami mój piekarz kłął, iż piece za wolno pieką, gdy wyciągał z nich niedopieczone bochny chleba. Nawet najcierpliwszy kiedyś w końcu się złamie. Tamtego wieczoru, gdy ujrzałam postać przemykającą pod ścianą, wiedziałam, że tym razem padło na jeńca. Nakrył głowę chustą, by go nie rozpoznano, lecz od razu można było zgadnąć, że nie jest jednym z nas. Jego jasne włosy połyskiwały w słońcu. Można by przypuszczać, że człowiek z krainy lodu raczej nie okazuje uczuć, ale nie w tym przypadku. Jakże gorący potrafi być lód, jakże niecierpliwy, jakże szybko się topi.

Jeniec miał szczęście, że tylko ja go zauważyłam. Inni natychmiast by go osaczyli i nawet gdyby od razu się poddał, każdy miałby prawo go zabić. Klasnęłam na niego, jakbym odpędzała szczury. Cofnął się, wtopił w mrok, zniknął niczym sen, jednak pozostał po nim ślad. Kiedy w półmroku podeszłam do ściany i przeciągnęłam dłonią po kamieniach, wyczułam, że były ciepłe w miejscu, gdzie stał ów gorący – jak to zakochany – mężczyzna.

Rankiem, gdy szłyśmy z Jael przez pole, ta wpatrywała się w gołębnik, gdzie mieszkał cień, który ją nękał. Poruszałam się wolniej niż ona. Nagle zaczęła niecierpliwie mnie pośpieszać.

– Gołębie nie mogą poczekać? – spytałam.

Zarumieniła się i jęła gruchać do Arjego, którego niosła na rękach.

– Moje serduszko – powiedziała, spuszczać wzrok i głaszcząc delikatną szyjkę niemowlęcia.

– Masz jakiś powód, żeby tak się śpieszyć? – nie dałam za wygraną.

Spojrzała na mnie niepewnie. Nim otworzyła usta, wiedziałam, że skłamię.

– Nie śpieszy mi się – odparła, lecz jej wzrok mówił co innego.

Domyśliłam się, że to ona rozkuła jeńca.

Traktowała go jak mężczyznę.

Powiedziałam, że uwiera mnie kamyk w sandale. Przystanąłam, by go wytrzepać, i oznajmiłam, że tak jak ja nie mogę chodzić z kamieniem w bucie, tak jeniec nie może się stać jednym z nas. Zerknęłam na Jael i zauważyłam, że rozgniewała ją moja uwaga.

– Myślisz, że jest od nas gorszy? Że jest niczym więcej niż ten kamyk?

Powiadają, że anioły nawiedzają ludzi, by ich pocieszyć. Jakże muszą czuć się samotni w swym milczącym świecie. W objęciach anioła zaczynają płonąć, a wtedy dobroć tych stworzeń staje się dla nich przekleństwem. Tu, na tej górze, nieostrożność Jael mogła zostać uznana za zdradę.

– Jeśli go złapią, zabiją – ostrzegłam. – Rozkuwając go, narażasz na śmierć. Myślisz, że bez kajdan zrobi, co mu każemy? Będzie chciał więcej, jak każdy mężczyzna.

Jael przyznała, że jeniec wspominał jej o swych planach ucieczki. Słyszał, że innym się udało. Kilku jego towarzyszy zbiegło z legionów, nim przepłynęli Wielkie Morze, a jeszcze więcej już w Jerozolimie. Nic nie powiedziałam, lecz zastanawiałam się, czy znał bestie, które nas napadły, czy może się z nimi przyjaźnił.

Kiedy rozprawiał z pasją o wolności, podejrzewałam, że próbuje namówić Jael, by uciekli razem. Twierdził, że Rzymianie wkrótce przypuszczą atak. Pewnie miał rację, bo widywaliśmy ich w okolicy coraz częściej. Straszyl, że już niedługo my też staniemy się niewolnikami. Być może zapomniał, że gdy Jael opuszcza gołębnik, ma do kogo wracać. Wyznała mi, że nigdy więcej nie zapuściłaby się na pustynię, gdzie pod stertą kamieni leżą błyskające w białym żarze kości, szczątki mężczyzny, którego kochała.

Słyszałam już o lwie, który ją ugryzł i posiadał. Majaczyła o nim na schodach, kiedy przystawałyśmy, by mogła zaczerpnąć tchu, nim urodziła Arjego. Później nigdy do

tego nie wracała, lecz wiedziałam, że nie wyruszy na pustynię z drugim lwem. Jeśli jeniec planował ucieczkę, musiał radzić sobie w pojedynkę.

Nie odezwałam się, gdy zobaczyłam ich razem w gołębniku. Odwróciłam wzrok, kiedy dała mu koc i bukłak z wodą. Nie była moją córką, choć pozwoliłam jej używać rzeczy mego piekarza: naczyń na kolendrę i kminek, drewnianych chochli i fartucha, którym przewiązywał się w pasie. Płakałam nad nimi wcześniej i zapłacę jeszcze, i nieważne, czy Jael zmarnuje sobie życie, troszcząc się o niewolnika. Powinna go traktować jak kamyk w sandale, tymczasem widziała w nim mężczyznę.

Kiedy ruszyli do tego, co pozostało z sadu – drzewek, których nie ścięto na opał i które wciąż rodziły owoce – podążył za nimi jastrząb, nie odstępując na krok. Przyglądałam się ich sunącym po ziemi cieniom, które zniknęły, gdy nadciągnęła chmura. Byłam pewna, że to znak zbliżającej się katastrofy. Może nie wierzyłam już w dobroć, może jej nie ufałam. Miłosierdzie zaczęło mi się jawić niczym sztylet w dłoni anioła zagłady.

W któryś szabatowy wieczór starszyzna ogłosiła, że po bitwie już nie będziemy sprowadzać do twierdzy jeńców i niewolników, lecz że będą zabijani na miejscu. Wcześniej schwytaliśmy kilku legionistów, którzy oporzadzali teraz osły noszące beczki z wodą. Jedzenia brakowało nawet dla nas, więc dla innych tym bardziej nie starczało. Zresztą czym był niewolnik, jeśli nie kamykiem, szeptali ludzie. Ja mówiłam dokładnie to samo. Gdy starszyzna ogłaszała tę wiadomość, bacznie obserwowałam Jael. Skrzywiła się i rzuciła im gniewne spojrzenie.

– To grzech tak traktować ludzi – oświadczyła mi wzburzona.

– Więc pewnie nie posłuchasz mojej rady – szepnęłam.

Roześmiała się i ujęła mnie pod rękę.

– Posłucham – odpowiedziała.

– A później i tak zrobisz, co zechcesz – skwitowałam i obydwie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Nagle zamilkłam, bo dotarło do mnie, jak bardzo się o nią lękam. Martwiłam się o Jael jak o własną córkę.

Nazajutrz zobaczyłam, że Jael przyniosła jeńcowi łuk i kilka strzał, po jednej dla siedmiu sióstr, które jako gwiazdy świecą na niebie. Ukryła je pod szatą, lecz domyśliłam się, że to broń, gdy chowała je w kopczyku ściętej trawy. Łuk należał do jej brata. Kiedy ten odkryje, że łuk zniknął, zacznie wypytywać o niego wojowników w koszarach i nie skojarzy, że nie widział go od ostatniej wizyty swej siostry. To był

ten cień jastrzębia, który wypatrzyłam, gdy Jael i jeniec szli razem przez pole. Była gotowa zrobić wszystko dla mężczyzny, który był w twierdzy nikim i tym samym powinien być dla niej.

– Nie zdradzaj mi, kiedy to się stanie – powiedziała, stanąwszy obok niego. – Pewnego ranka przyjdę i ciebie już nie będzie.

Jeniec wiedział, że ma rywala, jednak w przeciwieństwie do większości zalotników nie był zazdrosny. Wręcz hołubił konkurenta, nasze małe lwiątko. Może miał mu za złe, że spędza tyle czasu w ramionach matki, ale lubił go zabawiać i podnosić, żeby pokazać mu latające nad gołębnikami jastrzębie. Gdy na nie gwizdał, opadały w dół, a wtedy Arje odchyłał z lubością głowę i chichotał. Jeniec często powtarzał mu słowa w swym gardłowym języku, próbując nauczyć, jak powiedzieć „gołąb”, „jastrząb”, „matka” albo „śnieg”, jakby był przekonany, że chłopiec kiedyś zamieszka w jego zimnej krainie i będzie mówił tak jak on.

– Tracisz tylko czas – upomniałam go, kiedy chwycił Arjego i zaczął podrzucać, tak że dziecko omal nie pękło ze śmiechu.

Aż tu któregoś dnia wypowiedział przy chłopcu swe imię. W gołębniku przebywaliśmy tak blisko siebie, że wszystkie je usłyszałyśmy. „Wynn”. Brzmiało twardo, niemal stawało w gardle. Szira i Aziza spojrzały na siebie porozumiewawczo, zaskoczone, że jeniec tak się przed nami odkrył. Zwracał się do Arjego jak do własnego syna. Wtedy wyczułam, że wkrótce nas opuści. Żaden jeniec nigdy nie wypowiadał swego imienia na głos. Mógł je wymówić dopiero w zaświatach. Znali je tylko krewni, którzy go tam wyczekiwali, i jego bóg.

Jedynie człowiek wolny podjąłby takie ryzyko.

Wieczorami czekałam z Arjem, aż Jael przemknie do gołębnika i rozkuje jeńca. Zamek był prosty, a klucz wisiał na wbitym w ścianę haku, mimo to mijało trochę czasu, nim stamtąd wychodziła, przygładzając włosy. Nikt inny nie zauważał jej cienia ani nie wiedział, że ciągnie ją do tego mężczyzny, bo tylko ja miałam dar dostrzegania cieni. Jael nie była moją córką, więc jedynie stałam z dzieckiem nieco zagniewana i milczałam.

O tej porze roku zmierzch zapadał wcześniej, zasnuwając niebo aż po najodleglejszy horyzont. Za każdym razem, gdy Jael opuszczała jeńca, jej twarz stawała się mroczna.

Wybuchła tego wieczoru, kiedy – zgodnie z nowym zarządzeniem – obcięto o połowę przydziały żywności i pozbawiono czystej wody zwierzęta oraz niewolników.

– Nikogo nie wolno tak traktować.

– Byłoby lepiej, gdyby go zabili? – spytałam.

– Gdy ludzie zachowują się jak bestie, sami się nimi stają – odparowała.

Nie mogłam temu zaprzeczyć, więc się z nią nie spierałam.

– W takim świecie żyjemy – rzuciłam, a ona wzięła mnie za rękę, jakby była moją córką.

Nie tylko Jael była nieszczęśliwa. Wszyscy odczuwaliśmy niedogodności życia w twierdzy, brak jedzenia i małość bliźnich. Wiele owiec i kóz, które dawały nam cenne mleko, szło z konieczności pod rzeźnicki nóż. Ludzie chodzili głodni. W czasie ostatniej fali upałów uschły ogórki na pnączach, zamieniając się w popiół, jak te w nieszczęsnej Sodomie.

Starszyzna wyraziła zgodę, by grupa wędrowców rozbiła obozowisko na polu za stodołą, w której zamieszkali esseńczycy. Byli nomadami o dłoniach ufarbowanych na niebiesko, którzy posługiwali się własnym językiem. Chcieli podzielić się z nami swą trzodą, lecz nie zamierzaliśmy jeść świń. Ich też przepędzili Rzymianie. Kilka kobiet, które zgwałcili, zrobiło sobie głębokie nacięcia na dłoniach i stopach, by ich ciała mogła opuścić rozpacz.

Gdy znów wyruszyli na pustynię w poszukiwaniu pastwisk dla zwierząt, odkryliśmy zwłoki niemowlęcia będącego owocem gwałtu Rzymianina na jednej z nich. Zostało uduszone i złożone pod migdałowcem z kolanami przy piersi i rękami pod głową, jakby zasnęło i nie musiało już cierpieć na tym okrutnym świecie. Jael stała przy mnie i szlochała. Widziała pogrzebane w ten sam sposób na pustyni dwie dopiero co poślubione młodziutkie dziewczyny. Powiedziała, że trzymały się za ręce, by razem powędrować do świata, który na nie czekał.

Wielu spośród nas pragnęło uciec z twierdzy i powrócić do naszych miast i wiosek, lecz nie było do czego wracać. Nasze domy zostały spalone, a miasta zniszczone. Zastanawiałam się, czy Jael chciałaby uciec, ruszyć przez pustynię i Wielkie Morze do krainy, gdzie śnieg nie był cudem, lecz codziennością.

Obserwowałam moich wnuków bawiących się pod murem twierdzy, wynurzających się niczym cienie z mroku. Poczułam ucisk w gardle jak zawsze, gdy patrzyłam na Noego i Lewiego. Pomyślałam o niemowlęciu, które uduszono, by starannie i z czułością je pogrzebać. Jael wzięła mnie pod rękę. Wszystkie wieczory spędzałyśmy razem. Akurat rozbłysła pierwsza gwiazda, ta będąca ponoć latarnią Asztarte i świecąca tak jasno, że pozwalała bogini wędrować po niebie, gdy inni tonęli w ciemnościach.



Wartownicy schwytali go pewnej nocy w miesiącu *cheszwan*, kiedy powietrze przenikał chłód. Był początek pory deszczowej, weszliśmy w znak skorpiona, czas smutku, zamętu i powodzi. Niebo było niczym rzucająca cień, pusta misa, deszcz jednak nie spadł, co oznaczało, że Bóg nie darzy nas swymi względami.

Dopadli go, gdy szedł przez pole, w miejscu, gdzie spragnione drzewa wyciągają gałęzie ku górze, w pobliżu muru nieopodal naszej kwatery. To tam zostawił wcześniej ciepły ślad na kamieniach, kiedy wypatrzyłam go, jak czekał cierpliwie, choć przepelniony żądzą.

Nie rozmawialiśmy o tym, lecz wiedziałyśmy, że gdyby chciał uciec przez Bramę Węża, nie przyszedłby tutaj. Był tylko jeden powód tego, dlaczego schwytano go na zagonie cebuli, gdzie zamieszkiwał skorpion – Jael. Może sobie wmówił, że jeśli jeszcze raz z nią porozmawia i jego słowa będą miały odpowiednią moc, odwiedzie ją od podjętej decyzji i Jael zechce nas opuścić.

Dowiedziałyśmy się, że został pojmany, dopiero rankiem, gdy zerwał się ostry wiatr niosący ze sobą woń mirry i cyprysów, i przypomniała mi się dolina, w której kiedyś żyliśmy. O tej porze roku zwykle padało, lecz teraz nie spadła nawet kropla, choć kapłani modlili się o to trzy razy dziennie. Ludzie przywoływali opowieści o wielkiej suszy, kiedy to pewien mędrzec o imieniu Choni sprowadził deszcz i uratował nasz lud. Teraz też zdałby się cud i głos, który usłyszy Bóg.

Na wieść o schwytaniu jeńca Jael osunęła się na ścianę gołębnika jak po ciosie, po którym nie można się podnieść. Arje spał w nosidle, które zawiesiła sobie na szyi, lecz nagle się poruszył i zakwilił. Pogładziła go po ciemnych włosach, by ukoić. Cóż mogło się przyśnić takiemu dziecku? Mleko, matczyna miłość, czułe słowa, głos mężczyzny urodzonego w krainie śniegu? Później już nigdy nam się to nie śni, bo sen kształtuje jawa, a jawę codzienne smutki.

Nie powiedzieli nam, gdzie go przetrzymują, ale domyśliłyśmy się, kiedy dostrzegłyśmy krążącego nad wieżą jastrzębia. Pewnie by go zabili, ale nie musieli. Wystarczyło, że go tam uwięzili i zostawili samego sobie. Szira rzuciła zatroskane spojrzenie Jael, która przemogła się, by nie okazywać emocji. Nikt by nie poznał, jak bardzo ją to ugodziło, gdyby nie jej pobladła twarz, na której piegi wyglądały niczym kropelki krwi.

Tamtego dnia zamknęłyśmy się w sobie, oplakując zniknięcie jeńca i w napięciu oczekując jeszcze gorszych wieści. Nie przypuszczałam, że tak bardzo będzie mi go brakować. Był wielkim mężczyzną i zajmował tyle przestrzeni, że gołębnik bez niego wydawał się teraz pusty. Ptaki też zachowywały się niespokojnie. Zniosły mało jaj,

a te, które znalazłyśmy, miały na błękitnoszarej skorupce ciemne kropki, co było złym znakiem. W południe zjadłyśmy w milczeniu strawę w ogrodzie, odgryzając drobne kęsy zimnych jęczmiennych placków polanych oliwą, w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. Wydawało się nam, jakby do wody wpadł kamień i kręgi na jej powierzchni popychały nas ku nieuchronnemu przeznaczeniu. Ten dzień różnił się od poprzedniego, a następny oddali nas jeszcze bardziej od codzienności, do której przywykłyśmy.

Kiedy, zgodnie z naszymi przewidywaniami, zjawili się wartownicy, by nas przesłuchać, oświadczyłyśmy im, że ucieczka jeńca całkowicie nas zaskoczyła. Nie miałyśmy pojęcia, że obmyślił sposób na pozbycie się kajdan i otworzenie zamka w drzwiach. Szira znalazła cienką blaszkę, którą zagięła tak, by przypominała klucz. Wręczyła ją wartownikom, sugerując, że pewnie nią posłużył się jeniec. Zerknęła przy tym na Jael, której za wszelką cenę chciała oszczędzić przesłuchania. Twarz Jael pozostała bez wyrazu.

Zaczęłyśmy gdakać jak kury, że, naszym zdaniem, mężczyźni z północy są zbyt głupi, by przygotować plan ucieczki.

– A jednak sprytnie to wymyślił – rzuciła Szira, kręcąc głową. – Zrobił klucz z niczego.

– Wkrótce zdechnie z głodu – uspokoił nas wartownik, sądząc, że właśnie to pragniemy usłyszeć.

Szira spytała, czy jedna z nas może porozmawiać z więźniem. Wyjaśniła, że wymyślił bardzo pomysłowe grabie i chciałybyśmy się dowiedzieć, w jaki sposób się ich używa. Jael spojrzała na nią z wdzięcznością, świadoma, że dzięki temu zdołamy przemycić do wieży jedzenie i wodę dla jeńca, ale tylko jedna osoba mogła wydać zgodę na widzenie – nasz przywódca ben Jair.

– Przekażcie mu naszą prośbę – rzekła pewnym głosem Szira. – Na pewno będzie dla nas łaskawy.

Okazało się jednak, że ben Jair wyruszył na pustynię z grupą wojowników, tymczasowo powierzając swoje obowiązki starszyźnie. Jej członkowie nie zamierzali słuchać prośb Sziry czy choćby pozwolić jej stanąć przed ich gronem.

Powiedziano nam, że tylko jedna osoba może przekonać radę, by wyraziła zgodę na widzenie – żona ben Jaira, Channa, mieszkająca w dolnej części Pałacu Zachodniego, w willi z freskami wykonanymi przez mistrzów z Rzymu. Miała ona pewien wpływ na decyzje męża, zwłaszcza w sprawach dotyczących skarg składanych przez kobiety na warunki zakwaterowania i przydział do pracy na terenie twierdzy. Darzono ją szacunkiem, choć trzymała się z dala od innych. Zdarzało się, że całymi dniami nie

otwierała drzwi swej komnaty. Racje żywnościowe przynoszono jej pod bramę pałacu, a wodę dostarczano w wiadrach i bukłakach do ogrodu. Niekiedy wychodziła wieczorami i wtedy widywano ją po zachodniej stronie placu. Owijała się chustami niczym całunem, a jej twarz o ostrych rysach przybierała wyraz żałoby, choć nikogo nie straciła. Była tajemnicą i cieniem, a na cieniach dobrze się znałam.

Wartownik spytał, która z nas uda się do żony ben Jaira. Wyczułam ogólne wahanie, nawet Szira odwróciła wzrok, onieśmielona perspektywą takiego spotkania. Odrzekłam, że ja pójdę. Uznałam, że to mój obowiązek, bo jestem najstarsza. Ale kryło się za tym coś jeszcze. Umiałam odgadywać intencje cieni, które skrzętnie chowały to, co w środku. Mogłam udawać wdowę po piekarzu, prostą kobietę, gdyż to był mój kolejny dar. Pozostałe spojrzały na mnie z wdzięcznością, bowiem każda miała powód, by nie chcieć tam pójść.

Szykując się do wyjścia, pod wpływem impulsu postanowiłam zabrać ze sobą Arjego. Miałam przeczucie. Zdało mi się, że jakiś głos podpowiada mi jego imię. Może znów przybył do mnie anioł z kuchni. Może ten, który kazał mi zabrać naczynie z trucizną, szepnął teraz, że to dziecko będzie kluczem, który otworzy drzwi do celi jeńca.

– Któż oprze się jego uśmiechowi? – powiedziałam do Jael. – Komu to zaszkodzi?

Żona ben Jaira może zainteresować się losem gołębników, jeśli zainteresuje się Arjem, a wtedy zezwoli na wizytę u człowieka, który jest niczym więcej niż kamykiem, ale ujawnił nam swe imię.

Gdy zastukałam do wrót pałacu, żona ben Jaira natychmiast zakrzyknęła:

– Idź precz!

Zapukałam raz jeszcze. Często odwiedzałam klientów, którzy zapomnieli zapłacić memu piekarzowi, i niełatwo było odprawić mnie z niczym. Wrota willi były z czerwonego cyprysu, co przyjełam za dobry znak. O naszej Dolinie Cyprysów mawiano, że pobłogosławił ją archanioł Michał. Może drewno na te wrota pochodziło z naszego lasu i też było błogosławione? Prababka mojej matki mogła stąpać pod koronami tych drzew, nim ścięli je drwale króla Heroda.

Arje zaczął się wiercić. Powiał wiatr i przeszedł mnie dreszcz. Może popełniłam błąd, zabierając go tutaj, bo zwykle był spokojny i pogodny, tymczasem teraz, gdy zaczęło zmierzchać, marudził jak nigdy. Jełam się zastanawiać, skąd kobieta ma wiedzieć, czy prowadzi ją anioł, czy też jeden z demonów Lilit szepcze jej do ucha.

Choć martwiłam się tym, zastukałam ponownie. Po niebie przemykały chmury i nie było widać żadnych cieni. Może właśnie to mnie zwiodło, bo znałam się na cieniach dużo lepiej niż na ludziach z krwi i kości.

Żona Eleazara ben Jaira lekko uchyliła drzwi. Była chuda, śniada i zniecierpliwiona.

– Nie mam dla ciebie czasu – rzuciła.

Pewnie znalazłaby kolejne wymówki i szybko mnie odprawiła, gdyby jej wzrok nie spoczął na dziecku, które trzymałam na rękach. Arje uśmiechnął się do niej. Czerwone znamię na jego policzku było ledwo widoczne w półmroku. Wyglądało jak ślad po pocałunku.

– Któż to mnie nawiedza? – spytała żona ben Jaira z nagłym zainteresowaniem.

– Matka tego dziecka potrzebuje twojej pomocy – odrzekłam.

– Ja nic nie mogę. Przyjdź do mojego męża, nie do mnie – rzuciła Channa, znów niedostępna.

Dosłyszałam jej świszczący oddech i zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest to aby powód tego, że tak często się zamyka i stroni od innych kobiet. Nagle zakaszła krwią, ale próbowała to ukryć, zasłaniając się gwałtownie chustą. Ja jednak dostrzegłam cień plamy. Było oczywiste, że choruje na płuca i dlatego unika świeżego powietrza. Każdy jej oddech dusił się w klatce żeber i nie mogła go uwolnić. Szeleścił tam jak wyschnięte liście w sieci.

– Może ja mogę pomóc tobie – powiedziałam.

Mój mąż często namawiał klientów do zakupu większej liczby bochnów chleba, niż potrzebowali. „Nigdy nie będziecie głodni. Wszyscy będą wam zazdrościli pełnego stołu”, mawiał. Może tutaj też mogłam dobić targu? W piekarni zawsze się udawało, to czemu nie u wrót pałacu?

Chuda żona ben Jaira łypnęła na mnie podejrzliwie. Usta miała umazane krwią.

– Nikt mi nie może pomóc.

Zapewniłam ją, że znam kogoś takiego i że przyniosę jej dowód na to, iż istnieje lek na każdą chorobę. Kiedy odchodziłam, Channa zawołała, bym następnym razem też przyszła z dzieckiem. Moje przeczucie się sprawdziło. Arje był kluczem, który otworzy jeńcowi drzwi do ucieczki.

Poszłam prosto do Sziry i usiadłam przy stole. Piłyśmy herbatę z suszonego korzenia hizopu. Wrzątek miał kolor niebios. Stała tam też misa z rodzynkami i suszonymi figami. Moi wnukowie bawili się na podwórku z Adirem i esseńskim chłopcem, synem Tamar, który bardzo się z nimi zaprzyjaźnił, choć członkowie sekty woleli, by trzymał się od nich z daleka i z większym zapałem przykładał do studiowania świętych ksiąg. Skupili się na drewnianym bąku, więc mogłyśmy swobodnie pomówić.

– Rozmawiałaś z nią? – spytała obojętnym tonem Szira, ale w jej oczach widziałam napięcie. – Zwykle zatraskuje ludziom drzwi przed nosem.

Dziwiłam się, jak to możliwe, że inni nie dostrzegali prawdy. Czyż nie zauważali niespotykanego koloru oczu Azizy? Były jak Morze Soli, w zależności od jej nastroju raz szare, raz zielone, a innym razem miały ciemną barwę kamienia. Jeszcze tylko jedna osoba miała takie oczy. Szira posmutniała, gdy zaczęłam opowiadać o żonie ben Jaira. Kiedy wspomniałam o jej chorobie, nie była zaskoczona.

– Gdy kwitną hizopy, może przebywać na świeżym powietrzu jedynie nocą, bo kielichy kwiatów się zamykają i ich woń zanika – wyjaśniła. – Wychodzi o tej samej porze co szczury.

Wypiła łyk wywaru przyrządzonego z rośliny, która tak szkodziła żonie ben Jaira. Jego cierpki smak najwyraźniej bardzo jej odpowiadał.

– Nie wiedziałam, że ją znasz.

– Nigdy się nie spotkałyśmy – zaśmiała się posępnie.

Zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że Szira nie zna tej kobiety, choć ma wgląd w najintymniejsze szczegóły jej życia. W naszym świecie żonaty mężczyzna mógł obcować z niezamężną kobietą i nikt nim za to nie pogardzał. Co najwyżej rodzina mogła domagać się od niego zapłaty za jej hańbę. Za to kobieta, która oddała się takiemu mężczyźnie, nie miała żadnych praw. Jeśli została skazana, nawet jej szczątki skazywano na samotność. Porzucano je bez pogrzebu, by nigdy nie mogła zaznać spokoju wśród swoich.

– Channa ma dość władzy, by otworzyć bramę więzienia. Może zrobi to w zamian za lek.

– Mam dać łapówkę strażnicze? Tego ode mnie oczekujesz? – oburzyła się Szira.

– Tak ją postrzegasz? – Gdy żona ben Jaira zerknęła na mnie przez szparę w uchylonych drzwiach, zdała mi się bardziej więźniarką niżli strażniczką. – Ja jej współczuję.

– Nie daj się nabrać – przestrzegła mnie Szira. – Pozory mylą. Wiesz, że istnieje świat cieni. Czy nie potrafisz wypatrzeć demona w kącie, choć go nie widzisz i nie czujesz jego oddechu na swej skórze?

Była pewna, że znajdzie stosowne antidotum. Podeszła do półki z ziołami. Leżały tam powiązane sznurkiem brązowe pęczki i stały dzbanuszki z różnymi proszkami: z ostem, czosnkiem, piołunem i cynamonem. Szira wzięła skórzaną sakiewkę z pokruszoną mirrą. Zalecenie było proste: miałam zadbać, by ogień nie płonął zbyt jasnym płomieniem i by nie dodawać innych składników do mieszanki, którą przekażę żonie ben Jaira. To były silne leki – mogły okazać się groźne, prowadząc nawet do śmierci, jeżeli będzie się je przyjmować nieostrożnie.

– Jeśli Channa wchłonie iskry, może się udusić – ostrzegła, zaciskając rzemyk

sakiewki. Wyczułam w jej głosie niejaki zadowolenie.

Sięgnęłam po dłoń Sziry, by się jej przyjrzeć. Nie miałam dużej wiedzy w tych sprawach, lecz jeden znak rozpoznałabym od razu – piętno morderczyni, które sama nosiłam i które odcisnęło się na mojej skórze tamtego dnia, gdy stałam się tym, czym teraz jestem. Z ulgą stwierdziłam, że Szira nie ma niczego równie szkaradnego.

– Spodziewałaś się, że ujrzysz jej krew na mych rękach? – spytała, cofając dłoń, i roześmiała się, dobrze wiedząc, czego szukałam. – Gdybym chciała, mogłabym to zrobić w dzieciństwie.

– Znałaś ją wtedy? – nie kryłam zaskoczenia.

– Nie znałam wtedy ani nie znam teraz. – Szira ruszyła ku drzwiom. – Jeśli zależy ci, żeby przyjęła ten lek, nie mów jej, skąd go masz – szepnęła, podając mi sakiewkę z cennym ziołem. – Gdyby Channa była na moim miejscu, zrobiłaby właśnie to, o co mnie podejrzewałaś. Jeśli szukasz znaku śmierci, sprawdź jej dłonie.

Pochyliła się nad Arjem śpiącym na mych rękach.

– Zanieś go Jael, nim wrócisz do pałacu.

– Po co budzić chłopca? Wezmę go ze sobą.

Popatrzyła na mnie. Przejrzała mnie na wylot, wiedziała, że coś ukrywam. Przyznałam, że Channa prosiła, bym przyszła z Arjem.

– Któż oprze się jego urokowi? – rzuciłam, bo przecież nasze lwiątko wszystkich rozweselało.

Szira wyraźnie się zasepiła. Zwykle wyglądała dziewczęco, prawie jak Aziza, lecz teraz widać było po niej lata, to, że przemierzyła pustynię nie raz, lecz dwa razy, że urodziła trójkę dzieci i że gdy była ledwie dzieckiem, została naznaczona zakazanymi tatuażami.

– Zabierz go, skoro musisz, ale pod żadnym pozorem nie pozwól, by wzięła go na ręce – przestrzegła mnie dobitnie.

Wróciłam do pałacu i stanęłam przed pięknymi wrotami. Tym razem Channa odsunęła zasuwę, nim jeszcze zdążyłam zapukać. Czekwała na mnie zaciekawiona, a jej oczy błyszczały. Oddychała chrapliwie i dociskała ręce do piersi, jednak na widok Arjego rozpromieniła się i zaprosiła mnie do środka.

Kornie przekroczyłam próg domu dowódcy twierdzy. Z ulgą pomyślałam, że ben Jair przebywa wraz z wojownikami na pustyni i nie poczuję się onieśmielona jego wielkością. Nie musiałam się także obawiać, że w swej mądrości dojrzy we mnie morderczynię.

Ruszyłam za Channą, mijając freski, którymi wszyscy słusznie się zachwycali.

Wymalowano je na tynku w cudnych odcieniach oranżu, czerwieni i złota. Choć nieco wyblakłe, wyraźnie wskazywały na wielki kunszt malarzy. Siedem sióstr, które, wedle wierzeń Greków, świeciły jako gwiazdy na niebie, przedstawiono pod ludzką postacią, podobnie jak księżyc. Ten był kobietą o najbardziej olśniewającej urodzie, w srebrnej sukni przetykanej pasemkami złotych liści, namalowanej tak prawdziwie, iż zdawało się, że fresk istotnie przeszyto złotą nitką. Mroczny korytarz rozświetlały kaganki. W powietrzu unosiła się woń oliwy. Komnatę, do której weszliśmy, zdobiły stoły i ławy z czasów króla Heroda. Od razu pomyślałam o naszych siennikach, grubych kocach i klepiskach.

Poprosiłam gospodynię, by przyniosła misę i drewno na podpałkę. Gdy spełniła moje życzenie, wyjęłam mirrę, którą dała mi Szira. Arje wciąż drzemał, więc położyłam go na niewielkim tkanym kobiercu. Później rozpałam krzemieniem ogień. Kiedy pojawiły się płomienie, powiedziałam Channie, co ma robić. Gdy pochylił się nad ogniskiem, nakryję jej głowę tkaniną, żeby zatrzymać dym. Musi głęboko go wdychać i jak najdłużej zatrzymywać, nie oddychając.

Wzdragająca się, twierdząc, że się udusi. Może też bała się mnie, wyczuwając me dawne występki. Ale nie przyszedł tu, by ją krzywdzić. Wzięłam Arjego na rękę, skrywając piętno własnego grzechu pod szatką śpiącego dziecka. Miałam nadzieję, że nie skalam go swym dotykiem.

– Zaczepnij dymu, on cię oczyści – uspokoiliłam Channę.

Żona ben Jaira spojrzała na mnie podejrzliwie, lecz w końcu zrobiła, co kazałam. Choć mi nie ufała, to ponad wszystko łaknęła powietrza i była gotowa zaryzykować, nawet jeśli kuracja zdała jej się gorsza od choroby. Pochyliła się, a ja okryłam jej głowę pięknie tkanym szalem. Później przysiadłam i patrzyłam, jak wstrząsane kaszlem ciało kobiety uspokaja się w chwili, gdy zaciągała się dymem. Kiedy mirra spłonęła na popiół, zdjęłam jej szal z głowy. Żona ben Jaira mocno wciągnęła powietrze, już się nie krztusząc, a jej cera, przedtem ziemista, od razu nabrała koloru. Wszędzie było czuć gorzką mocną woń mirry. Przyglądałyśmy się sobie, podczas gdy wybudzony Arje zabawiał się w najlepszą gałązką, która wypadła z ogniska.

– Pomówię ze strażnikami o widzeniu – rzekła Channa. Miałam jednak wrażenie, że jej myśli błądzą gdzie indziej. – Zrobię wszystko, co w mej mocy, dla waszego niewolnika.

Poprowadziła mnie korytarzem pod płonącymi ciepłym światłem kagankami i spojrzaniem siedmiu sióstr zerkających na nas ze ściany. Nim wyszłam, wymogła na mnie obietnicę, że przyniosę jej więcej mirry, by miała ją pod ręką w razie ataku choroby. Obiecałam, że postaram się ją znaleźć.

– Myślę, że wiesz, gdzie jej szukać – odrzekła.

Uśmiechnęła się posępnie, najwyraźniej świadoma, że nie mnie zawdzięcza to panaceum.

– Przekaż tej wiedźmie, że jestem wdzięczna – dorzuciła.

*

Jael dostała zgodę na odwiedziny u więźnia. Zniosła mu kosz z jedzeniem i bukłak wody. Rozmawiali przez drzwi, lecz gdy strażnik otworzył je, by przekazać prowiant do celi, zdołała zerknąć na jeńca. Zauważyła, że obcięli mu brodę i włosy i że na ciele ma ślady łańcuchów i bicia pejczem.

– Biegnij do pałacu! – wykrzyknęła po powrocie z tej strasznej wizyty. Na jej twarzy malowała się wściekłość. – Porozmawiaj z żoną ben Jaira. Przekonaj, by wyraziła zgodę na kolejne widzenie, bo go tam zabiją. Zniosę mu jedzenie i wodę i może uda mi się opatrzyć jego rany.

Odrzekłam, że wskóram więcej, jeśli znów zabiorę ze sobą Arjego.

Jael przyjęła to nieufnie. Pod tym względem była dużo mądrzejsza ode mnie.

– Dlaczego Channę miałoby obchodzić to dziecko, skoro nawet nie zna jego imienia?

– Jest samotna, nie ma przyjaciół. Nie masz się czego obawiać. Polubiła go. Trudno jej się dziwić.

Ten komplement udobruchał Jael. Przytuliła Arjego i pogładziła go po czarnych włosach. Nie mogła znieść, że musi się z nim rozstać, choćby na kilka godzin.

– Trudno odmówić komuś, kto ma taką buzię – przekonywałam.

– Ale tylko na godzinę, nie dłużej – zgodziła się wreszcie.

Nazajutrz Jael została z moimi wnukami, a ja poszłam po mirrę do Sziry. Szykowały z Azizą wieczorny posiłek. Szira podeszła do półki z ziołami. Tym razem dała mi mirrę i kadzidło, które palone razem miały dwa razy silniejsze działanie. Jeśli przyniosą ulgę na dłużej, szepnęła, Channa nie będzie się upominać o więcej. Lepiej trzymać się z dala od tej kobiety. Żona przywódcy może kiedyś sama nabrać apetytu na władzę.

– Wspomniała o mnie? – spytała.

Uznałam, że zachowam gorzką prawdę dla siebie.

– Ani słowem. Tylko ci dziękowała.

Szira roześmiała się, lecz w jej ciemnych oczach czaił się niepokój.

– Pamiętaj, że jej wdzięczność to przekleństwo.

Poszłam prosto do pałacu Eleazara ben Jaira. Słyszałam ludzi pracujących na polu, choć nad spaloną ziemią zaczął już zapadać różowawy zmierzch, przemieniając jej biel w czerwień. Mężczyźni nosili wiadrami wodę z cystern, próbując ratować plony, gdyż nadal nie mogliśmy się doczekać deszczu. Zwykle o tej porze roku pszczoły kłębiły się wokół uli w poszukiwaniu pyłku białych narcyzów i różowych cyklamenów, jednak teraz szukały na próżno. Channa otworzyła drzwi i szybko wzięła ode mnie zioła. Pouczyłam ją, żeby niczego do nich nie dodawała i pilnowała, by płomienie paliły się równo, ponieważ zbyt dużo żaru osłabi działanie leku. W zamian obiecała, że pomówi ze strażnikami. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Czy jeniec jest ojcem tego dziecka? – spytała.

– Ono nie ma ojca – odparłam.

Kiwnęła, bym dała jej Arjego, lecz trzymałam go mocno przy sobie. Stałyśmy w korytarzu wyłożonym czarno-białą posadzką o misternym wzorze, w którym niosły się echem jakieś głosy. Poirytowana Channa kiwnęła raz jeszcze. Wiedziałam, czego oczekuje. Pomyślałam o ostrzeżeniu Sziry, ale rozumiałam też, czym jest marzenie o dziecku. Jakże Channa mogła nam zaszkodzić? Była wychudzoną, słabą, schorowaną kobietą. Uznałam, że nic się takiego nie stanie, jeśli dam jej potrzymać Arjego. Ułożyłam go na jej rękach. Natychmiast uległa jego czarowi.

– Pewnie chciałby mieć ojca – powiedziała rozmarzona.

Szybko go chwyciłam.

– Ma matkę – odrzekłam. – Nic więcej mu nie trzeba.

– Wszyscy chcemy mieć więcej – uśmiechnęła się Channa.

Dokładałyśmy się do jedzenia dla jeńca wszystkie, lecz uznałyśmy, że to Jael powinna go odwiedzać.

– Zawsze był twoim niewolnikiem – podsumowała Aziza.

– Nie powinien nim być żaden człowiek – odparła urażona Jael.

Kiedy udała się do wieży, tym razem pozwolono jej posiedzieć przy więźniu. Z gniewem i przerażeniem patrzyła na nędzę i brud w celi. Milczała, gdy jeniec położył jej głowę na kolanach, i tylko głaskała ją w miejscach, gdzie zgolono mu włosy tak brutalnie, że na skórze pojawiły się strupy. Przyniosła mu maść z aloesu i miodu, tę samą, którą smarowała znamię Arjego. Nawet jeśli maść nie przyniesie ulgi, to przynajmniej uzmysłowi biedakowi, że ktoś pragnie ukoić jego cierpienia.

Channa okazała się uczciwa i dotrzymała obietnicy. Miałam nadzieję, że lepsze samopoczucie jeńca jest warte płaconej ceny, gdyż za każdym razem, kiedy Jael odwiedzała go w miesiącu skorpiona, zanosila Arjego do pałacu i pozwalałam, by

Channa brała go na ręce. Byłam jednak ostrożna i czujna. Nigdy nie traciłam go z oczu i zawsze przypominałam żonie ben Jaira, że chłopiec ma już matkę.

Wmawiałam sobie, że mnie słucha, lecz, zaiste, nie słyszała ani jednego słowa.



Nasz świat pokarała susza. Zwykle o tej porze roku, w miesiącu *kislew*, ziemia się zieleniła, obsiewano i podlewano pola, na pnączach pojawiały się melony i tykwy, a egipskie osy zapylały figi. Tym razem było inaczej. Nie zebraliśmy kminku, kolendry, porów ani anyżku. Drzewa owocowe uschły i szerniały.

Choć dni były pochmurne i nosiliśmy płaszcze, nic nie wskazywało, że spadnie tak potrzebny deszcz. Była to wiosenna pora orania pól i siewów, kiedy osły ciągną za sobą żelazne lemiesze. Rolnicy zazwyczaj ścinałi już jęczmień, który wiązali w snopy i zostawiali na polach, by bydło zmłóciło je kopytami. Ale na co to komu bez deszczu? Do przesiewania jęczmienia potrzebny był wiatr, który oddzieli plewy od ziarna, a tymczasem powietrze było nieruchome i ciężkie. Sianie winno odbywać się w deszczu, by ziarno zostało w ziemi i nie zmarniało, nim zapaści korzenie.

Starszyzna z synagogi nawoływała do publicznych modłów i postu w nadziei, że ta ofiara sprowadzi deszcz. Wezwano nas na plac, byśmy modlili się o przebaczenie. My, kobiety, stałyśmy z tyłu, aby w razie potrzeby zająć się dziećmi i zwierzętami. Wszyscy mężczyźni zebrali się, porzuciwszy swe obowiązki i zajęcia – istne rozmodlone morze pod nieubłaganym niebem. Najwyższy kapłan, Menachem ben Arrat, zwykle przesiadujący w synagodze, gdzie studiował święte księgi i udzielał rad, stanął teraz na murze twierdzy, przewodząc modlitwom. Był człowiekiem uczonym, lecz nie mógł wywołać deszczu, nawet zakopawszy tuzin ołowianych dzbanów z glinianymi pokrywkami pod ścianami synagogi, by nie dopuścić do nas demonów.

Postanowiono, że będziemy pościć do czasu, aż Bóg ulży naszej niedoli. Ta susza była niczym młot, a nasze pragnienie niczym gwóźdź. Część starszych mężczyzn głód tak osłabił już drugiego dnia postu, że osuwali się na kolana, lecz okrywszy ramiona tałasami, nie przestawali się modlić, zanosząc pieśni ku niebu, które nie chciało wysłuchać ich błagań, a w zamian dawało jedynie suchy piach.

Po trzech dniach post odwołano. Nic się nie zmieniło. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy czekać, aż Bóg dojrzy nasze cierpienie. Liście winorośli pozwijały się. Oliwki rosły białe, aż w końcu opadły z drzew, stukocząc o kamienie. Ludzie zaczęli szeptać o wodzie, której esseńczycy używali do swych rytuałów. Pod szopą dla kóz ustawiono wartowników, by wypatrywali, do jakich obrządków ją wykorzystywali. Nie

chcąc ściągać na siebie uwagi, esseńczycy przestali nas prosić o wodę i wielokrotnie korzystali z tej samej, aż krople, którymi skrapiali głowy, by się oczyścić, stały się tak czarne jak pióra kruków.

Gdy Jael myślała, że nikt jej nie widzi, podbierała wodę dla gołębi. Część dawała jeńcowi, a resztę zaniósłszy jej przyjaciółce Tamar. Dostała też od nas wyschnięte owoce i oliwki. Nieśmiało zbliżyła się do nas Nahara. Młodsza córka Sziry stała się już całkiem dorosła. Ubrana na białe, była poważna i miała spracowane dłonie. Spytała o siostrę, lecz o matce nie wspomniała. Zauważyłam, że wpatruje się w złoty amulet na szyi Jael, ale wtedy szybko odwróciła wzrok.

Tamar odwdzińczyła się nam kawałkiem białego płótna utkanego przez esseńskie kobiety. Nakryłyśmy nim stół w szabat, po czym zapaliłyśmy kaganek i odmówiłyśmy modlitwy. Kiedy na stole pojawił się obrus, niemal uwierzyłyśmy, że nasza izba przypomina dom.

Pewnego wieczoru, gdy szłam na plac, by posiedzieć przy wrzecionie, dojrzałam w białym wirującym pyłe przechadzającego się po sadzie ben Jaira. Wrócił z wojownikami z wyprawy na pustynię, lecz przywiózł jedynie parę dzikich ptaków schwytych w siatki, jak to czyniły młode dziewczęta. Zapasy jedzenia skurczyły się jak nigdy przedtem, ludzie byli załamani. Przygarbiona sylwetka dowódcy świadczyła o tym, że stało się to dla niego prawdziwym brzemieniem, gdyż los nas wszystkich zależał od jego słów i czynów.

Tam, gdzie inni dostrzegliby tylko mrok, zauważyłam cień jego żony. Poznałam ją nieco lepiej po mych wizytach z Arjem, kiedy przesiadywałyśmy razem i zachwycaliśmy się jego urokiem. Channa rozśmieszała go, bujając na kolanie i robiąc dziwne miny. Zrozumiałam, że otoczyła się murem, by nikogo do siebie nie dopuszczać, jednak od czasu do czasu po jej twarzy przemykał uśmiech. Gdy mówiła o mężu, zmieniała się i wtedy potrafiłam ją sobie wyobrazić jako młodą dziewczynę. Było oczywiste, że go kocha, choć on trzymał się od niej – jak od wszystkich – z dala.

Zobaczyłam, że ben Jair wpatruje się w dom Sziry. Ciągnął tam jak jastrząb do gołębnika. Chyba ją zawołał, bo wyszła do niego w wieczorną duchotę. Nie miała chusty. Odgarnęła dłońmi włosy, jakby szukała ochłody. Ben Jair zbliżył się i położył jej dłoń na szyi. Należała do niego. Stali tak w głębokim porozumieniu, stykając się głowami.

Skoro ja widziałam, co ich łączy, to Channa z pewnością też. Zwróciłam wzrok w jej stronę, lecz nagle znikła. Biegła tak szybko, że jej cień aż nie nadązał. Ruszyłam za nimi, potykając się na kamieniach. W końcu ujrzałam Channę zmierzającą

w kierunku pałacu, gdzie mieszkał kiedyś syn Heroda, którego król zamordował, gdy było mu to na rękę, stawiając siebie ponad innych, jak często mają w zwyczaju ludzie władzy.

Dobiegłszy do pagórka, Channa obejrzała się, wbijając wzrok w dom Sziry. Było to mroczne i mściwe spojrzenie. Docisnęła dłoń do piersi, bo znowu nie mogła złapać tchu. Stała tam, choć o tej porze zwykle przebywała w zamknięciu, gdyż kwitły hizopy, jedyne kwiaty, które potrafią przetrwać bez wody. I właśnie wtedy, gdy jej cień już do niej doskoczył, zrozumiałam, że Channa to kobieta, która nie cofnie się przed niczym, by zatrzymać przy sobie męża.

Przyszło mi też do głowy, że spośród wszystkich zaklęć, dziecko jest tym jedynym wiążącym mężczyznę z kobietą w sposób, który pojmują tylko aniołowie.

Tym razem poszłam do żony ben Jaira bez Arjego. Wszystko sobie przemyślałam i dotarło do mnie, że popełniłam błąd. Channa nie kryła rozczarowania. Jej oczy rzucały błyskawice, jak wówczas na pagórku, gdy jej cień nie zdążył jeszcze do niej dobiec.

– Marudził – wyjaśniłam. – Wyrzyna mu się ząb.

Ta wiadomość jeszcze bardziej ją rozochociła.

– Biedactwo – szepnęła. – Gdybym wzięła go na ręce, mniej by go bolało.

Na widok jej spojrzenia przeszył mnie dreszcz. Zaczęłam się zastanawiać, czy cena za pomoc jeńcowi nie jest jednak zbyt wysoka. Przy następnej wizycie powiedziałam, że Arje jest za ciężki, żebym go nosiła, szybko rośnie i że już nie będę z nim przychodzić. Channa zamilkła. Nawet mnie nie pożegnała, tylko odprowadziła do drzwi, które szybko zamknęła. Usłyszałam szcęk zasuw.

Niedługo potem zauważyłam, jak wystaje pod murem nieopodal naszej kwatery. Było już ciemno, mimo to ją poznałam. Zdziwiłam się, bo zwykle trzymała się z daleka i unikała spacerów po placu. Ale, wiadoma rzecz, to, co słodkie, przyciąga to, co gorzkie, tak jak dobro, w swej niewinności, przyciąga zło. Ponoć gdy Lilit pragnie wykraść dziecko, towarzyszy jej trzynaście demonów. Jednym z nich jest sama Noc przyobleczona w rozgwieżdżoną czerń, gotowa w jednej chwili zniknąć o brzasku, lecz czyhająca, bez rzucania cienia, pod drzwiami.

Szira wreszcie obmyśliła amulet dla mych wnuków. Byłam cierpliwa i spotkała mnie nagroda. Za to teraz denerwowałam się, bo stanowił ich ostatnią nadzieję, dalej ścieliła się już tylko przepaść i bezmiar okrutnej otchłani. Była to misa zaklęć, misternie piękne gliniane naczynie. Szira nauczyła się ją lepić od pewnej staruszki z Babilonu.

Wyryła na niej imię Boga po aramejsku i hebrajsku. Pośrodku widniał czarny wizerunek skrzydlatego demona o głowie węża, okręconego powrozami, które również układały się w litery bożego imienia.

„Amulet ten przyciągnie głosy, okiełzna demony i pozwoli aniołom czynić ich powinność. Na chwałę Pana. *Amen, Amen, Sela*”.

Słowa te okalał krąg aniołów o kruczoczarnych skrzydłach.

„Będzie chronił, uzdrawiał i przywróci dzieciom to, co im należne. Odwracając klątwę, pozbawi głosu i mocy demona”.

– Wsuń ją pod siennik i czekaj. Bądź cierpliwa – pouczyła mnie Szira. – Brakuje jednego składnika, dlatego amulet jeszcze nie działa. Nie wiem, czego mu brak, lecz gdy to się pojawi, od razu się domyślisz. Szybko dorzuć ten składnik do misy, a wtedy spełni się życzenie twego zięcia.

Byłam tylko żoną piekarza, matką bez córki, głupią kobietą, która pozwoliła zazdrośnicy wziąć na ręce cudze dziecko. Jak mogłam rozpoznać ten najważniejszy składnik?

– Rozpoznasz, bo pojawi się w dniu, kiedy zakują mnie w żelazo – odrzekła Szira.



Pewnego dnia plac przejęli we władanie czarownicy. Zima zbliżała się do końca i wciąż panowała susza. Mieliśmy poczucie, że wisi nad nami klątwa. Najwyższy kapłan i rabbiowie zawiedli, tymczasem praktykujący czary wbrew prawu *minim* stwierdzili, że, rozrzucając strzały, potrafią odgadnąć przyczynę suszy. Ludzie im uwierzyli, bo nie pozostało im nic innego. Byli wycieńczeni i rozpaczliwie łaknęli wody, a przecież ktoś ponosił winę za nasze nieszczęście. Wokół czarowników głoszących, że mają dostęp do prawdy bożej, zgromadził się tłum. W środku stanęli mężczyźni, za nimi kobiety, a na obrzeżach dzieci z kijami i patykami w rękach. Wzbierała w nas złość. Wszyscy czuliśmy, że wreszcie znajdzie się winny. Chcieliśmy, by był to ktoś więcej niż demon, ktoś z krwi i kości, ktoś z tego świata, przeciwko komu można by się zwrócić.

Wielu wierzyło, że anioł deszczu nawiedza we śnie kobiety. To Biri zmusza je do płaczu, gdy czują, że już nic w nich nie ma: ani duszy, ani łez. Może dlatego Szira nie pojawiła się rankiem w gołębniku. Biri nawiedzał ją już wcześniej, a teraz powrócił i podszeptał, by się przygotowała. Ranek minął, a ona wciąż nie wychodziła z domu. Zaplotła włosy, włożyła czarny płaszcz i chusty i nasunęła na szyję i ręce amulety. Cały dzień chodziła boso, nie jadła, nie piła, nic nie mówiła. Siedziała przy stole

i czekała na wizję, której doznała, gdy pierwszy raz przybyła do twierdzy. Ujrzała siebie w kajdanach w porze roku, kiedy nie spadł deszcz.

Strzały rozrzucone przez *minim* wskazały wyraźnie na dawną królewską kuchnię – dom Czarownicy z Moabu. Czekala na nich na progu, szczelnie owinięta płaszczem. Dokładnie tak, jak przewidziała, skuli ją i powiedli za sobą.

Wiedziałam, że nadszedł dzień, gdy misa zaklęć się wypełni, bo Szira zapowiedziała, że brakujący składnik pojawi się, kiedy ją skuja, jednak nie mogłam się tym zająć. Na wieść o jej uwięzieniu Jael, Aziza i ja wybiegłyśmy z gołębnika. Ruszyłyśmy na plac, gdzie zgromadził się tłum, a powietrze było gęste od płonącej nienawiści. Wszyscy chcieli wiedzieć, z jakiego powodu Bóg zwrócił się przeciwko nam, czemu liście na drzewach uschły, oliwki są białe i niedojrzałe i dlaczego dyszymy z pragnienia niczym ryby wyrzucone na brzeg. Teraz uznali, że ten powód właśnie przed nimi stoi.

Kiedy tłum zaczął napierać na jej matkę, musiałyśmy powstrzymać Azizę, by się do niej nie rwała, bo i ją mógł uznać za winną. Jael chwyciła dziewczynę za jedną rękę, a ja za drugą. Była silniejsza, niż przypuszczałam, ale Jael jakoś ją okiełznała.

– Nie trać wiary – szepnęła do Azizy, tak by nikt ich nie podsłuchał i nie oskarżył o znowę. Na szyi Jael połyskiwał złoty talizman, a jej twarz pozostała pogodna, mimo panującego wokół chaosu.

Powiadają, że przeciwnicy wiedzy muszą trzymać ją w powietrzu, jak najdalej od ziemi, by osłabić jej moc, lecz gdy *minim* próbowali podnieść Szirę, ta zaczęła się z nich śmiać. Wtedy odstąpili od niej, zmieszani. Nie mieli pojęcia, że jej żywiołem jest woda, nie ziemia.

– Adonaj jest tylko jeden – rzekła Szira do tych, którzy oskarżyli ją, że sprowadziła na nas boży gniew. Jej głos niósł się daleko. Widziałyśmy ją i byłyśmy pewne, że mówi wprost do nas.

Przebywające w tłumie dzieci zamilkły. Kilka kobiet, którym Szira pomogła w potrzebie, odwróciło wzrok, gdyż zawstydzily się, że nie przyszły jej teraz w sukurs. Ludzie zaczęli szeptać, że najwyższy kapłan Menachem ben Arrat stoi w przedsionku synagogi, ponieważ lęka się mocy czarownicy i dlatego nie wyszedł, by ją potępić. Aziza drżała, lecz widziałam dumę w jej oczach.

Z tłumy wystąpił Eleazar ben Jair. Właśnie wracał z koszar i zdziwiło go to, co zobaczył. Domyślił się, co się stało, gdy ujrzał Szirę w kajdanach. Rozkazał, by ją uwolniono. Jej prześladowcy okazali wahanie, a wtedy zakrzyknął:

– Napadacie na własną siostrę?! Moją krewną?! Nasi prawdziwi wrogowie tylko czekają, aż zaczniemy się nawzajem mordować!

Przez chwilę zdawało się, że tłum nie usłucha rozkazu, jednak jeden z członków rady ruszył w stronę Sziry z kluczem. W powietrzu unosiła się woń buntu. Istniała obawa, że ludzie zwrócą się przeciwko swemu przywódcy. Trudno zapanować nad gniewną tłuszcą, bo nie ma lekarstwa na jad, który się z niej sączy.

Twierdza padłaby w gorączce tych podłych oskarżeń, gdyby ta nagle nie wygasła, jak polany wodą żar ogniska. Wróg nie musiałby przypuszczać szturm, gdyby tłum się nie cofnął, gdyż wyniszczylibyśmy siebie nawzajem. W ostatnich tygodniach kilkakrotnie widziano w pobliżu rzymskich żołnierzy. Wiedzieli, gdzie jesteśmy i że jest to miejsce trudne do zdobycia, lecz nie mieli pojęcia, jak łatwo podburzyć jednego z nas przeciw drugiemu i że zachowujemy jedność tylko dzięki charyzmie ben Jaira.

Dostrzegłam jego żonę, która obserwowała całą tę scenę, stojąc przy krzewie hizopu. To ona nasłuchiwała *minim* na Szirę. Nawet jeśli rozdrażniło ją, że ben Jair stanął w jej obronie, nie okazała tego. Minę miała posępną i bez wyrazu. Może właśnie tego się spodziewała. Jej oddech, dawniej niespokojny, był teraz doskonale miarowy, a na twarz wystąpił zdrowy rumieniec. Sądziłam, że wpatruje się w tę, która ją uleczyła, lecz ona nie patrzyła na Szirę ani na męża, lecz na dziecko, które trzymała na rękach Jael. Ciarki przeszły mi po krzyżu.

Uwolniona z kajdan Szira chwyciła patyk i narysowała nim krąg na piasku.

– Sam mnie tu ściągnąłeś – rzekła do ben Jaira. – Czyżby po to, kuzynie?

Stanęła wewnątrz kręgu i sięgnęła pod płaszcz. Wyjęła garść popiołu, którym posypała sobie głowę, i niskim równym głosem zaczęła zawodzić jakąś pieśń. Tłum przysłuchiwał się jej z lękiem, gdyż Szira śpiewała w niezrozumiałym dla niego języku. Wielu obawiało się, że to klątwa, i powoli się wycofywało, ciągnąc za sobą dzieci, by uchronić je przed złem.

Wydarzyło się to nagle, nim jeszcze pojęliśmy, co się dzieje. Niebo zbladło i pojaśniało. Deszcze bywają przeróżne, lecz ten był istną ulewą. Tam, gdzie przedtem był tylko piach, zaczęły się tworzyć jeziora. Ziemia stała się mokra i lśniąca w strumieniach przelewającej się wody. Wcześniej nie dostrzegałam, że deszcz zawiera w sobie wszystkie odcienie tęczy: zielen pól, błękit niebios, biel owczej wełny, płowość włosów mej córki.

Mężczyźni padli na kolana, unosząc rąbki tałasów do ust, a później do nieba na chwałę Pana i tajemnicy życia. Słyszeliśmy beczenie kóz i owiec w zagrodach. Na naszych oczach otaczający je żywopłot z ciernistych krzewów wypuścił pączki, które na rozkaz Wszechmogącego przemieniły się w liście.

Ludzie zaczęli szeptać, że to jest powód, dlaczego Czarownica z Moabu zdołała

przejsć przez Morze Soli i się nie utopić. Ta, która schodziła po tysiącu schodach, by kąpać się w ciemnościach w cysternie, przyniosła nam ocalenie. Błogosławiłam ją za to, śpiesząc w porywach wiatru do domu, do misy zakłęcz, którą mi ulepiła. Byłam prostą kobietą, lecz – tak jak zapewniała mnie Szira – od razu rozpoznałam brakujący składnik.

Wyniosłam misę na dwór i uniosłam nad głową, wyśpiewując ku chwale Wszechmogącego, choć wiatr chłostał moją twarz i zawodził mi w uszach. Woda w niej zaczęła się przelewać, a me serce wypełniła radość. Słyszałam, ociekająca deszczem i szczęśliwa jak nigdy przedtem, jak moi wnukowie wołają do siebie. Ich głosy cały czas były w tamtym wodospadzie, przechowywane w naczyniu przez anioła, który chronił je od złego. Teraz z niego uleciały, przyciągnięte zakłęciem zapisanym na misie, gdy Biri sprowadził nam deszcz. Zaprowadziłam chłopców do ojca. Przelękli się jego groźnego wejrzenia, lecz kiedy ich zachęciłam, by przemówili, z oczu Człowieka z Doliny popłynęły łzy szczęścia. Może dzięki temu i on, tak jak ja, odzyska wiarę.

Wciąż słyszałam głos Boga, ale nie budził we mnie przerażenia. Powinnam była się ukorzyć i zniknąć Wszechmogącemu z oczu. Powinnam była chwycić sztylet i się zranić, by zaznaczyć moje dawne występki. Zrozumiałam jednak, że choć Bóg najpierw stworzył słowo, to Jego boskiemu sercu bliższe jest milczenie, i że odmawiane w ciszy modlitwy są niepomiaralnie więcej warte niż tysiące słów wypowiedzianych przez ludzi ku niebiosom.

Wśluchałam się w wiatr, który podążył tu za nami z pustyni, i usłyszałam, co ma do powiedzenia.

Zima 71 roku naszej ery

Część trzecia

Wiosna 72 roku naszej ery

Oblubienica wojownika

*Jesteś moją zbroją i mieczem, moją wiarą
i skarbem, wszystkim, o co walczę.*

Siostró ma, jesteś urodziwa i odległa niczym gołębica. Przykucnąwszy u boku naszej matki, patrzyłam, jak przychodzisz na świat. To dlatego już nigdy więcej nie chcę być świadkiem porodu. Pępowina okręciła się wokół twojej szyi i gdy zajrzałam ci w oczy, dojrzałam Przyszły Świat, krainę tak daleką i bezkresną, że nikt żywy nie powinien oglądać jej bezmiaru. Z trudem łapałaś powietrze, zsiniałaś, byłaś kruchym stworzeniem przybyłym do naszego jakże kruchego świata. Sama byłam ledwie dzieckiem, w dodatku niechcianym, spłodzonym przez rodziców w krainie Moab, gdzie kobiety nosiły błękitne chusty na twarzach, więc nikt nie wiedział, kim była nasza matka ani kim stała się później. Mimo to wszyscy się jej lękali.

Była cudzoziemką i żadna z sąsiadek nie pośpieszyła jej z pomocą, gdy nadszedł czas twych narodzin. Wcześniej przychodziły, kiedy własny interes kazał im pojawić się po zmroku w poszukiwaniu leków i zaklęć. Przynosiły najprzedniejszą jagnięcinę, zioła i oliwki w pięknych glinianych misach pomalowanych w ciemnoczerwone wzory. Zaklinały naszą matkę, by wsparła je swymi czarami. Była dobra, więc dawała bezpłodnym, by mogły począć potomka, jabłka miłości, żółte owoce mandragory dojrzewające wraz z pszenicą. Dawała kojące maści z fig na wysypki i wrzody, a w najcięższych przypadkach dzieliła się z nimi wiedzą o *cari*, pradawnym syryjskim leku na trąd, chorobę, przy której ciało ogryzione przez demony odpada od kości. Ale kiedy ona była w potrzebie, kobiety z twierdzy umykały przed jej wzrokiem, przerażone, że wyda na świat kolejną czarownicę i nabierze podwójnej mocy. Później, mimo swej niechęci do niej i przesiąkniętej żółcią zawiści, wszystkie miały paść przed nią na kolana.

Byłam zatem jedynym świadkiem twych narodzin i, jeśli mam być szczerą, także pragnęłam uciec, nie tyle lękając się czarów, ile krwi. Przeraził mnie jej gorący, żywy, pulsujący strumień i kałuże na posadzce. Byłam zbyt młoda i niewinna, by się na coś

przydać, choć nasza matka krzyczała: „Ratuj ją!”. Jej słowa były niczym gwiazdy: jasne i wibrujące.

Zrobiłam, co mogłam. Rozplątałam pępowinę. To jednak było za mało, więc przyłożyłam wargi do twych ust i odessałam ciecz, która cię dusiła. Poczułam smak krwi i soli – tego, z czego składa się życie – i wyplułam wszystko na posadzkę. To prawdziwy cud, gdy wiesz, co masz robić, bez żadnego pouczenia, i tak właśnie było ze mną w chwili twych narodzin. Tę wiedzę tajemną przekazał mi Bóg w godzinie rozpaczy, za co zawsze będę Mu wdzięczna. Twoja śmierć i życie wniknęły we mnie. Stałyśmy się wtedy jednym, siostrami tego samego żywiołu. Dlatego zawsze będę nad tobą czuwać. Nawet jeśli spróbujesz odejść, przekonasz się, że nie możesz mnie opuścić.

Teraz odwracasz się ode mnie tam, gdzie wkrótce zakwitną migdałowce. Twierdzisz, że twoje miejsce jest gdzie indziej, ale ja cię nie porzucę. Widuję cię ubraną w biel na kamienistym polu, na którym bosa i ze spuszczoną głową wypasasz sześć czarnych kóz, i szlocham, bo odbiera mi ciębie tve zapamiętanie i pragnienie mężczyzny, który nigdy nie pozna cię tak dobrze jak ja. Zresztą może wcale nie chcesz, by cię poznał. Odwracasz się do mnie plecami i nie odzywasz, nawet gdy pukam do nieociosanych drzwi szopy dla kóz, gdzie zamieszkałaś z ludźmi, których uznałaś za swoich. To biedacy, których jedynym pragnieniem jest chwalić Wszechmogącego i modlić się o pokój, choć wszędzie, poza tą twierdzą, gorzej wojna. Nie zasiądziesz z nami przy stole, gdyż nasz obrządek nie jest tak surowy jak ten wyznawany teraz przez cię i w twych oczach pozostajemy nieczyści.

Wysłałam ci śnieżnobiałego gołębia, ulubieńca naszej matki, w nadziei, że zmiękczy twoje serce i podążysz za nim, lecz powrócił do gołębnika z nieodczytaną wiadomością. Przywiązałam mu do nóżki kawałek rurki ze zwitkiem pergaminu, na którym wypisałam nasze splatające się ze sobą imiona, tak jak splecione są nasze losy od chwili twych narodzin. Nie wyobrażam sobie, bym mogła pokochać kogoś bardziej na tym świecie.

Kiedy widzę cię pod murem twierdzy, jak modlisz się z esseńskimi kobietami w porze, gdy dzień przechodzi w noc, nie patrzysz na mnie, choć moje tchnienie jest w tobie, a twoje we mnie. Bez względu na to, jak bardzo będziesz się mnie wypierać, nasze dusze tworzą jeden ścieg. Nawet jeśli już nigdy do mnie nie przemówisz, nie rzucisz spojrzenia, nawet jeśli wstydzisz się mnie i naszej przeszłości.

Jesteś moja i tylko moja.



Twój ojciec był zamożny i wiedział, czego chce. Gdyby tak nie było, gdyby nie wyprawił się do Jerozolimy z przeciwległego brzegu Morza Soli, ja i moja matka zginęłybyśmy, przegnane w dniu moich narodzin. Nie miałam siostry, która by mnie pocieszyła, tak jak ja ciebie, kiedy przyszedł na świat, tylko smak własnej krwi w ustach.

Twój przyszły ojciec przebył szmat drogi, by sprzedać zgromadzone przez siebie bogactwa: sterty czarnej mirry, balsamu, ziół w kolorze ochry i czerwieni, kosze kadzidła z białego siódmaczka z Edomu, soli morskiej i wapienia z gór. Może anioł zatrzymał go na ulicy i podszeptał mu, by odwrócił głowę. Był w długiej chuście i błękitnych szatach swego ludu, barwionych wywarem z korzenia imbiru. Choć niemłody, wzrok miał sokoli i od razu dostrzegł wielką urodę mojej matki. Wśród swoich znany był z tego, że widział to, czego nie widzieli inni, i pewnie dlatego wypatrzył nas w rzeźnickim wozie do przewozu kóz, który miał nas wywieźć na pustynię. Czekał tam na nas Malach ha-Mawet, anioł śmierci o tysiącu błyszczących oczu, lecz został pokonany, gdy twój ojciec podążył za nami.

Wcisnął wozakowi garść monet, które uważał za bezwartościowe. Wierzył, że to, co ważne, pochodzi z ziemi, a nie ze świątynnych skarbców czy kramów. Jeszcze tego samego dnia zabrał nas na wschód, do pradawnej krainy po drugiej stronie Morza Soli, gdzie góry są z żelaza, a przy brzegu pływają plamy czarnego asfaltu, który zaczyna płonąć, kiedy wzmaga się upał. Ziomkowie twojego ojca odławiali go w sieci i drogo sprzedawali legionistom wylewającym nim drogi w Aleksandrii i Rzymie.

Matka zwierzyła mi się, że gdy ujrzała to czarne morze, nie wiedziała, czy ten gniewny, milczący mężczyzna, którego ramiona zdobiły granatowe tatuaże i który kaleczył sobie cienkim sztyletem twarz na pamiątkę stoczonych bitew, jest naszym wybawicielem, czy też przywiedzie nas do zguby. Bała się, że zawiezie nas do piekielnej doliny, Gehenny. Ale on zabrał nas z Judei do Moabu, niegdyś wielokrotnie pustoszonego królestwa, które teraz rozkwitło. Plemiona zamieszkujące tę krainę nie osiadały w jednym miejscu, lecz uznawały za swój dom każdy z jej zakątków. To stąd przybyła do Judei Rut, podążając za Noemi, choć jej lud nas przeklął. Potomkiem Rut był król Dawid, wielki dar dla naszego ludu i świata. Ziemia była tutaj zielona i zraszana deszczem, a łąki porastały soczyste trawy, nawet gdy sąsiednie królestwa nękał upał. Kwitły tu akacje, z których Bóg kazał wybudować Arkę Przymierza, by ich twarde i wonne drewno dało schronienie Jego słowu. W Moabie rosły też wielkie

krzewy mirty i czarnej porzeczki. Kępy żółtych irysów były niczym błogosławieństwo zesłane na tę ziemię pod postacią promieni słońca.

Twój ojciec i jego ziomkowie żyli na wzgórzach. Bogacili się nie tylko na sprzedaży asfaltu, lecz także na skarbach złupionych karawanom przemierzającym Szlak Królewski z Damaszku do Egiptu. Ktoś mógłby uznać to za zwykły rabunek, ale członkowie plemienia traktowali te dobra jako należną im zapłatę, gdyż szlak ów wiódł przez ich krainę. Twój ojciec uważał, że rabuś jest królem na swej ziemi, panem swego wzgórza. Mawiano, że każdy mężczyzna w Moabie rodzi się z nożem w ręku i że już czeka na niego koń i modlitwa, którą odmówi swemu Bogu.

Matka wciąż krwawiła po porodzie, gdy zatrzymaliśmy się o zmierzchu na pierwszy postój. Mimo to, owinawszy mnie w szatę, ułożyła w dziupli, by twój ojciec mógł tamtej nocy uczynić z niej swoją żonę. Podarował jej z tej okazji parę kolczyków z rubinami. W Jerozolimie każdy wiedział, czemu jej ciało znaczą tatuaże wykonane henną. Od dziecka przyuczano ją do roli *kedesza* w Egipcie, kobiety oddającej święte posługi kapłanom, którą była także jej matka. Praktyki te odprawiano jednak potajemnie, a w końcu ich zakazano. Naszą matkę odesłano z Aleksandrii do krewnych w Jerozolimie, jednak nigdy nie dotarła do miasta, w którym tęskniła za nią jej matka, wyczekując przy bramie powrotu swej jedynaczki.

Babcia, której nie znałyśmy, dała naszej matce dwa złote chroniące przed złem amulety. Na jednym były wyryte słowa *Chaje olam le-olam* – „Życie wieczne na wieki” – oraz wizerunki słońca i księżyca. Na drugim widniał napis: „To, co wieczne, zawsze przede mną”. Na odwrocie medalionu była ryba, co miało sprawić, że jego właścicielka nieustannie będzie przebywać w pobliżu wody, najcenniejszego z żywiołów, źródła życia.

Choć naszą matkę wysłano do Jerozolimy dla jej bezpieczeństwa, to została tam odrzucona za swoje występki i oskarżona o uwiedzenie żonatego mężczyzny. Gdy jego rodzina wniosła skargę przed trybunał kapłanów, matka do niczego się nie przyznała. Odprawiono rytuał *sota*, podczas którego na kawałku papirusu wypisuje się imię Boga, po czym wrzuca się go do kielicha. Woda spłukuje napis. Miesza się ją wtedy z kurzem ze świątynnej posadzki i podejrzana o cudzołóstwo musi ją wypić. Matka wypiła wodę z bożym imieniem, ale się nie zakrztusiła, mimo to kapłani uznali, że jest w zмовie z demonami. Mogła zaprzeczać, że jest grzesznicą, lecz trybunał miał dowód – mnie trzymaną za pięty przed trzema sędziami. Baczenie mi się przypatrując, pewnie próbowali stwierdzić, czy matka rzeczywiście sypiała z demonem. Szukali u mnie rogów i skrzydeł, by się przekonać, czy jestem *szeda*, dzieckiem Czuwającego, anioła,

którego przyciągnęła na ziemię uroda mojej matki, czy też zwykłym dzieckiem z krwi i kości.

Mężczyźnie z Moabu, twemu przysłemu ojcu, było wszystko jedno. Wyroki naszych sądów nie miały dla niego znaczenia. Nasz Bóg nie był jego Bogiem. Występek naszej matki nic go nie obchodził. Wiedział, czego chce. Pod tym względem był prostym człowiekiem, choć nie do końca. Kiedy rankiem ruszali w drogę i matka nie chciała mnie zostawić, potraktował mnie jak myszkę schwytaną w pułapkę, stworzenie, które pozwolił jej zatrzymać dla rozrywki. Było jeszcze ciemno, nim opuścili Judeę, ciemne było też morze, lecz horyzont, ku któremu zmierzali, jaśniał niczym perła. Matka wyznała mi później, że gdy już minęliśmy ciemne plamy płonącego asfaltu na Morzu Soli, dziękowała opatrności, że nie wpadliśmy w kręgi piekieł. Serce jej urosło na widok gór, zielonych, nawet gdy wszystko wokół umiera z pragnienia. Rosną tam czerwone lilie, których woni używa do dzisiaj. Gliniany dzbanuszek z tymi wonnościami był jedną z nielicznych rzeczy, jakie zabrała ze sobą, wyruszając do twierdzy.

Może gdy się nimi skrapia, przypomina sobie poranek, kiedy to otrzymałyśmy drugie życie.

Nasz lud wierzy, że świat dzieli się na dwoje. Po stronie zacności są *malachim*, tysiące świetlistych aniołów, po stronie zaś zła *mazikim*, nieprzebrane i nieprzewidywalne zastępy demonów, nad którymi nie panuje nawet Wszechmogący. Twój ojciec był jednym i drugim. Rozbiliśmy obozowisko w górach, nad przełęczą z widokiem na Szlak Królewski z Damaszku. Mężczyzna z Moabu bez chwili wahania ruszył ze swymi towarzyszami na karawanę, by ją złupić, ale nie krzywdził dzieci i dobrze traktował naszą matkę. Był wojownikiem, lecz czasami peszył się w jej obecności, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć. Jego oczy płonęły na widok naszej matki i często przeganiał wszystkich z namiotu, by z nią obcować, nawet za dnia. Miał inne żony mieszkające w odległej dolinie, których imion nigdy przy nas głośno nie wymówił i które być może też kochał, jednak z pewnością nie wpatrywał się w nie tak jak w naszą matkę. Była jego ulubienicą i dlatego mogłyśmy się czuć przy nim bezpieczne.

Pewnej nocy, którą ledwie pamiętam, jeszcze zanim się urodziłaś, do naszego namiotu wdarli się bandyci, nomadowie nieuznający praw i bogów. Chcieli nas tylko okraść, lecz gdy ujrzeli naszą matkę, zmienili zamiary. Była tak urodziwa z długimi czarnymi włosami, wciąż tak młoda, że niektórzy twierdzili, iż potrafi oczarować mężczyznę jednym spojrzeniem, podobnie jak umiała uzdrawiać chorych jednym słowem modlitwy. Powiedziała mi, że kiedy ją opadli, jeden z nich rzucił się też na

mnie, myśląc, że sobie dogodzi. Zerwał ze mnie tunikę. Nie pamiętam swoich krzyków, rozpaczliwego skowytu przypominającego popiskiwanie myszy miotającej się w pułapce, ale aż rozbolało mnie gardło, gdy słuchałam jej opowieści. Wróciła do wydarzeń tamtej nocy tylko raz, kiedy wyruszyliśmy z Moabu do twierdzy. Staralam się zapamiętać każde słowo, bo wiedziałam, że już mi tego nie powtórzy.

Wiedziałam też, że tamtej nocy zdecydował się mój los i to, kim się stałam.

Twój ojciec, powiadomiony o ataku przez swych ziomków, wrócił wcześniej, niż się go spodziewano, w błękitnej chuście na śniadej, pobliźnionej twarzy. Przybył niczym huragan. Matka tuliła mnie do siebie, owinąwszy swoimi szatami, podczas gdy twój ojciec zabijał jednego łajdaka po drugim. Wydawał z siebie przy tym straszliwe odgłosy, jak wiatr, kiedy cię dopadnie. Ponoć słyszeli go mieszkańcy wykutego w czerwonej skale miasta na południu z precudną świątynią o rzeźbionych kolumnach. Wielu zarzekało się, że wrzeszczał niczym *mazik*, demon nie z tego świata.

Gdy się z nimi rozprawił, został jedynym żywym mężczyzną w naszym namiocie. Matka wyznała mi, że obcy szeptali, iż krew twego ojca i jego pobratymców jest niebieska. Zaiste, byli plemieniem budzącym taką grozę, że unikali ich nawet Rzymianie. Pamiętam jednak, że przykląkł przy naszej matce z wielką czułością, choć cały lepił się od krwi. Kiedy to uczynił, wydał się jednym z tysięcy czuwających nad nami aniołów – aniołem, który przeprowadził nas przez pustynię.

Po tamtej nocy matka zaczęła przeklinać kobiecy los. Jej życie składało się głównie z tego, czego nie może robić, i z tego, kim nigdy nie będzie. Posiadała jednak pewien dar niezrozumiały dla żadnego mężczyzny. Jej matka dała jej księgę zaklęć i magicznych receptur, które miały ją chronić, gdy jej przy niej nie będzie. Nosiła ją zawsze przy sobie jako najcenniejszy skarb, podobnie jak złote amulety na szyi, które przedkładała nad wszystkie klejnoty. Nie było silniejszej ochrony przed złem.

Ale czymże były czary w tamtą noc? Matka próbowała powstrzymać napastników, wymawiając pewne zaklęcie, jednak potrzebowałyśmy innej ochrony, z żelaza – mężczyzny, miecza, wybawiciela. Złożyła dziękczynienie Królowej Niebios za nasze ocalenie, lecz krew wciąż w niej wrzała i uznała, że to za mało. Żałowała, że to nie ona dzierżyła sztylet w dłoni i nie zabiła tych łajdaków, zamiast stać i przyglądać się w milczeniu, jak robi to twój ojciec.

Właśnie tamtej nocy postanowiła mnie przemienić. Zabrała ze sobą, kiedy wszyscy już zasnęli. Nawet konie spały, rącze i silne wierzchowce, których nie trzeba było uwiązywać powrozem, gdyż pozostawały wierne swym jeźdźcom aż do dnia, w którym

nie mogły już biegać. Większość mieszkańców Moabu dosiadała wielbłądów, ale plemię twego ojca miało najpiękniejsze i najdziksze konie, pojone ledwie co trzy dni, by przejęły wspaniałą cechę wielbłądów, jaką jest brak pragnienia. Żaden koń wroga nigdy im nie dorównał. Nasza matka zaintonowała pieśń, po czym przystąpiła do rytuału zmiany imienia, modląc się do Asztarte. Gdy zmienisz imię, odmieniasz swój los. Osoba, którą dotąd byłeś, znika i nawet anioły nie mogą jej odnaleźć. Stałyśmy na Żelaznej Górze w poświacie czerwonego księżyca. Nie było łożyska, które matka mogłaby zakopać, żadnej ofiary, którą mogłaby oddać ziemi. W zamian zakopała swoją comiesięczną krew. Później skaleczyła mnie w ramię i polały się z niego trzy krople krwi w ofierze Królowej Niebios.

Ręka bolała i pewnie płakałam, lecz moje serce przepełniło się radością, gdy matka oświadczyła mi z dumą, że będę jak nikt inny. Od tej pory jedynie ona i Bóg znali mą przeszłość. Nosiłam imię Rebeka, ale w tę krwawą noc ono zniknęło. Później już nigdy mnie tak nie nazwano. Twój ojciec przystał na życzenie naszej matki, tak jak zgodził się zabrać mnie na pustynię.

Odtąd stałam się chłopcem.

Nadała mi imię Aziza, pochodzące z języka plemienia twego ojca. Może ono oznaczać kogoś ukochanego, ale też potężnego i zajadłego. Niektórzy twierdzą, że to dawne określenie łucznika, który nie rozstaje się ze swoim łukiem i który nigdy nie pozostaje na czyjejś łasce. Właśnie tego życzyła mi nasza matka. Mieszkańcy Żelaznej Góry czcili wśród innych bóstw także wielką boginię, gdyż dostrzegali siłę w kobietach. Teraz, kiedy patrzę, jak moja siostra pracuje z esseńczykami na polu, przestrzega ich ścisłych reguł i nuci pieśni kozom, przemieniwszy się w służebnicę kornie wyczekującą Końca Czasów, jakby sama była nikiem więcej niż bierną i piękną owieczką, dochodzę do wniosku, że ciało jest jak trawa: ulotne i zmienne. Moja siostra została poczęta w krainie pobłyskującego srebrem nieba i gwałtownych mężczyzn. Gdyby jej ojciec ujrzał, jak sunie w kurzu ze spuszczoną głową za esseńskimi mężczyznami, najadłby się wstydu. Nieważne, jak bardzo korzysz się przed innymi, moja siostró, bo więź, która nas łączy, i tak przetrwa wieki, aż znów się spotkamy tam, gdzie nic nas nie rozdzieli, jak w tamtą noc, kiedy się urodziłaś w namiocie twego ojca. Moje tchnienie było w tobie, a moje życie stało się nicią, która utrzymała cię na tym świecie.



Dorastałaś, a ja byłam twym bratem. Podążałaś za mną jak gołębica za polami

pełnymi ziarna. Nosiłam błękitne szaty, włosy upinałam, a później zaplotłam w ściśle warkoczyki, jak chłopiec. Twój ojciec nauczył mnie jeździć konno, strzelać z procy i walczyć włócznią. Byłam urodzonym wojownikiem, twardym jak żelazo. To był mój żywioł, który zamiast przerażać, dodawał otuchy. Metal jest zimny, ciężki i solidny. Robił, co mu kazałam. W zamian oddałam mu się bez reszty. Nie było dnia, bym nie dziękowała swemu mieczowi i koniowi.

Złe duchy nie znoszą żelaza. Niektórzy szepczą, że jego nazwa wypowiedana w obliczu Wszechmogącego brzmi *barzel* i że powstała ponoć z połączenia inicjałów pramatek z rodziny Jakuba: Bilhy, Racheli, Zilpy i Lei. Broń trzymana jest z dala od kobiet, lecz nazwa ta wskazuje, że mężczyźni obawiają się naszego talentu do toczenia wojen, a także pragnienia pokoju. Czuwały zatem nade mną duchy naszych pramatek, Racheli i Lei, ale nie poszłam w ich ślady. Nie nauczyłam się, co oznacza być żoną. Nigdy nie siedziałam przy wrzecionie. Nie chadzałam z dziewczętami witać nowo narodzone dzieci, za co szczególnie byłam wdzięczna Bogu. Wystarczyły mi twoje narodziny.

Wolałam być synem twego ojca, pilnującym w milczeniu koni, gdy wojownicy ruszali do ataku. Trzymałam je za uzdy, kiedy przyczajeni sunęli wąską przełęczą, by napadać na karawany ciągnące na zachód, do Egiptu, z wozami i nieustraszonymi wierzchowcami objuczonymi towarami ze wschodu. Nosiłam sterty kadzidła, sznury lazurytu, koralu i jaspisu, kosze kardamonu i cynamonu oraz sakwy wypełnione złotymi sztabkami i monetami. Widziałam więcej krwi niż którakolwiek z dziewcząt przy porodzie. Wiedziałam o rzeczach, o których one nie miały pojęcia: jak to jest jechać konno w gorącą noc z włócznią przytroczoną do pleców, pędzić w poświacie księżycyca po zboczu Żelaznej Góry jak stwór o jednym sercu, błyszcząc od potu i wznosząc wojenne okrzyki. Potrafiłam sobie wtedy wyobrazić, że wyrosły mi skrzydła, że jestem wolna niczym ptak drapieżca i zaciekle niczym mężczyzna.

Mój sekret stał się moją codziennością. Matka dbała, bym kąpała się sama. Kiedy urosły mi piersi, przewiązywała je kawałkiem płótna. Dzięki temu trzymałam się prosto, jakbym była z żelaza, a nie z ciała. Biłam mocniej niż chłopcy, byłam szybsza i sprawniej władałam mieczem. Z czasem twój ojciec stał się ze mnie dumny, jakby rzeczywiście był moim ojcem, jakby nasze kłamstwo przemieniło się w prawdę. Wieczorami matka uczyła mnie pisać i czytać. Nauczyłam się greki, aramejskiego i hebrajskiego. Kilka dziewcząt chodziło za mną, drocząc się, jak za wszystkimi chłopcami, w których się podkochiwały. Jedna nawet mnie pocałowała. Wyśmiałam ją, uznając za durną. Byłam ponad to, choć czułam się zagubiona, bo gdy raz mój

przyjaciół Nuri odciągnął mnie, byśmy im uciekli, krew zaczęła szybciej krążyć w moich żyłach. Kiedy chwycił mnie za ramię, jego palce rozpały moją skórę, mimo że przecież tego nie chciał.

Pobiegłam z płaczem do matki, jak każda niewinna dziewczyna, i opowiedziałam jej, co się stało. Zwalczałam w sobie pragnienie, by być blisko niego, ale przyciągał mnie niczym magnes przyciąga żelazo. Matka odrzekła, że już czas, bym zrozumiała, iż nigdy nie będę jak te bezrozumne owce, które uganiają się za chłopcami. Dodała, że wejrzała w me przeznaczenie i że miłość byłaby moim końcem. Szepnęła, że nie zataiła tego przede mną z okrucieństwa, lecz z troski. W dniu moich narodzin rozrzuciła kamyczki i ujrzała przed sobą mój los. Teraz mnie ostrzegła, tak jak kiedyś ostrzegła ją jej matka. Miałam nie spoglądać na chłopców i myśleć o nich tylko jak o braciach, bo jeśli nie, upomni się o mnie moje przeznaczenie. Kiedy mi to mówiła, miała łzy w oczach. Wiedziałam, że chce dla mnie jak najlepiej, i nie podważałam jej słów.

Przynajmniej wtedy.

Łatwo przyszło mi wówczas złożyć jej obietnicę. Uściskała mnie, nieopatrznie nazywając córką – kimś, kim byłam dawniej, ale już nie teraz.

*

Zacząłam unikać Nuriego, choć porzucając go, sprawiłam mu wyraźną przykrość. Przestałam myśleć o jego szlachetnej twarzy i o tym, jak nagle się uśmiecha. Nie był jednak dobrym jeźdźcem, nigdy nie dotrzymałby mi kroku. Byłam najlepsza wśród chłopców w moim wieku, nieustraszona. Gdy uwalniałam piersi przed kąpielą, czułam, jakby z ramion wyrastały mi skrzydła. To one były tajemnicą moich talentów, pamiątką po prawdziwym ojcu, kimkolwiek był. Prawie uwierzyłam, że aniołem, gdyż istniały takie skrzydlate stworzenia – szybujący boscy posłańcy – które urzeczony ziemskimi kobietami nawiedzały je nocą i cielesnie się z nimi łączyły.

Pomykałam z okrzykiem twego ludu na ustach, goniąc za królikami i płochliwymi zającami kryjącymi się w skałach i krzakach. Ćwiczyłam swe umiejętności, by zaimponować twojemu ojcu. Upolowałam pierwszego koziorożca, gdy miałam dziesięć lat. Nic nie powiedział, kiedy zwierzę zachwiało się i padło, lecz widziałam jego minę, gdy pomagałam mu go oporządzić. Zdarzyło się to w miesiącu *adar*, kiedy na pastwiska wylegają cielęta, jednak ja ubiłam wielkiego samca. Twój ojciec z uznaniem dotknął mojego czoła. Ze strony tego milczącego mężczyzny była to wielka pochwała.

Cieszyłam się, że jestem chłopcem w tym świecie mężczyzn i że dostąpiłam

zaszczytu, gdy zgodził się, bym jeździła u jego boku. W każdy dzień wchodziłam z impetem, z włosami zaplecionymi w czarne warkoczyki, w plemiennej szacie o barwie indygo. Ale urodził się nasz brat i kiedy zaczął dorastać, wszystko się zmieniło. Teraz ojciec patrzył z dumą na Adira. Może rzeczywiście na długie lata zapomniał, kim jestem, i dopiero niedawno dotarło do niego, że byłam tą małą dziewczynką, której matka nie chciała porzucić w noc poślubną, nim trafiliśmy do Moabu, gdzie odmieniła moje przeznaczenie.



W porze deszczowej, gdy szlak karawan pustoszał, wojownicy ruszali do innych wiosek. Nie osiadali nigdzie na stałe, tylko zwijali namioty i szli przed siebie. Pozostawiwszy rodziny na Żelaznej Górze, odwiedzali pozostałe żony i dzieci, wędrując z jednego obozu do drugiego. Zapuszczali się tak daleko, że prawie nikt nie widywał ich cieni. My zostałyśmy z kozami i owcami o białej wełnie. Były ich setki, stanowiły majątek twego ojca i musiałyśmy o nie dbać. Akacje rozkwitły na żółto, a trawa urosła taka wysoka, że mogłyśmy się w niej skryć i nikt by się nie domyślił, że biegamy po łące. Nocami wylatywały na żer chmary nietoperzy, opadających na drzewa, by wysysać sok z fig. Powietrze było łagodne, a deszcz sprawiał, że niebo przybrało taki sam odcień błękitu jak szaty waszych pobratymców.

Po wyjeździe twego ojca matka nie skarżyła się, że zostałyśmy na Żelaznej Górze. Miała własne sprawy. Kiedy wygnano ją z Jerozolimy, nie byłam jej jedynym zmartwieniem. Zabrała też ze sobą dwa gołębie, do których bardzo się przywiązała. Trzymała je w drewnianej klatce i karmiła ziarnem i daktylami. Pijąc wodę, unosiły łepki, jakby modliły się do Pana. Matka wysyłała je pojedynczo, wsunąwszy wiadomość do brązowej rurki przyczepionej do ptasiej nóżki. Gdy wyrzucała je w górę, ruszały na zachód i w okamgnieniu znikwały. Zawsze jednak wracały. Z czasem ich potomstwo też się tego nauczyło, przemierzając tę samą, tajemniczą trasę.

Nasza matka wyczekiwała ich powrotu, kiedy góry o zmierzchu zaczynały tonąć w błękitcie. Twierdziła, że kolor nieba kojarzy się jej z wodą i krainą dzieciństwa, z której wysłano ją do Jerozolimy. Tęskniła za Aleksandrią, gdzie w rzekach roiło się od niezwykłych stworzeń i potworów i gdzie matka śpiewała jej do snu kołysanki, którymi teraz ona nas usypiała. Przez wszystkie te lata, jakie spędziłyśmy w Moabie, pozostała samotna. Może wspominała swoje rodzinne miasto. Może dlatego często widziałam, jak szlocha.

Gdy gołąb wracał ze swej misji, matka całkowicie się na nim skupiała. Gdyby ją

zawołać, nie usłyszałyby. Gdyby na jej ręce przysiadła pszczoła, też by tego nie zauważyła. W przeciwieństwie do twojego ojca, który czuł się spełniony, matka wciąż za czymś tęskniła. Nie rozumiałam, czego jej brakuje, zwłaszcza że stałam przy niej bosa i w chłopięcej szacie. Zrozumiałam dopiero teraz. Była zakochana.

Przez wszystkie te lata, kiedy mieszkaliśmy z twym ojcem, słała wiadomości do innego, tego, który był moim ojcem. Raz znalazłam liścik, jaki jej przysłał, spisany na skrawku pergaminu mniejszym niż paznokiec. Matka sądziła, że wetknęła go do swej księgi zaklęć, a tymczasem ów strzępek opadł mi pod nogi. Może to anioły go tam upuściły, bym poznała prawdę o swoim pochodzeniu, a może demon wyciągnął go spomiędzy stronic. Napis głosił: „Moja prawdziwa żono”. Matka nauczyła mnie języka uczonych w Piśmie. Znałam hebrajski i dlatego dowiedziałam się, że zdradza twego ojca, człowieka, który pokazał mi, jak jeździć konno, polować i pozostać wiernym wobec tych, których kochamy.

Wieczorem, gdy cisnęłam liścik do ogniska, strzeliła z niego iskra i użądliła mnie niczym osa. Mam po niej ślad pod lewym okiem, który wciąż przypomina mi o tamtym odkryciu. Czasami ludzie myślą, że płaczę, że dostrzegli łzę, ale się mylą. W dzieciństwie, jak każdy chłopak, nie zaznałam łez. Bliznę pod moim okiem wypalił ogień, jedyny żywioł zdolny pokonać żelazo.



Zostałyśmy tam do lata, kiedy skończyłam czternaście lat. Co miesiąc krwawiłam, ale chłopcy, z którymi przestawałam, o tym nie wiedzieli. Niczego to jednak nie zmieniło, bo i tak byłam najdziksza z nich wszystkich – byłam skrzydlatym jeźdźcem, Azizą mającą w sobie jednocześnie serce i moc. Musiałam tylko utrzymać krwotoki w tajemnicy i nie pokazywać ciała. Tutaj krwawiące kobiety nie były uznawane za *nida*, więc nie popełniałam grzechu, skrywając swój sekret i obcując z ludźmi. Podczas łowów wymawiałam się lekkim snem, by sypiać osobno. Gdy inni oddawali mocz, żartowałam, że jestem jak wielbłąd i wytrzymuję bez wody wiele dni, wyczekując okazji, by zrobić to w samotności.

Ojciec podarował Adirowi pięknego konia, na którym ćwiczyłam. Teraz jeździłam na starym białym wałachu; jego czas już minął i nigdy nie wygra wyścigu, bez względu na to, jak bardzo bym go poganiała. Klan twego ojca miał osiąść na południu, w Petrze, i zarzucić wędrowny tryb życia. To miasto wykute w rudych skałach na końcu głębokiego, niemal nieskończenie długiego wąwozu, pociągało ich swą urodą i lepszymi warunkami życia. Była tam sadzawka ponoć większa niż jezioro

i niezrównanie piękne tarasowe ogrody. Podobno do Petry ścigali wszyscy wędrowcy i nawet najdzikszy z nich tęskniący za wolnością, którzy całe życie poszukiwali otwartych trawiastych przestrzeni, nie oparli się jej zewowi. Doszły nas słuchy, że Rzymianie szykują się do szturm na nasze obozowisko, mimo że wcześniej przysięgli nam pokój, drżąc przed legendarną odwagą naszych wojowników. Krążyła też fama, że jeśli na pełne żelaza skały Moabu poleje się krew choć jednego wojownika, narodzi się z niej tuzin kolejnych. Może jednak mężczyźni byli zwyczajnie zmęczeni ciągłą zmianą domostw oraz licznymi żonami i zamarzyli o jednym obejściu i łatwym życiu.

Matka zaklinała twego ojca, by pozwolił nam zostać w górach, kiedy wraz z braćmi i wujami wyruszy do Petry. Mogłyśmy mieszkać z tymi, którzy mieli powstrzymać Rzymian, gdyby ci woleli zamienić pokój z klanami na wojnę. Tłumaczyła, że jej dusza umęczy się w mieście, nawet tak wspaniałym. Przekonywała, że przywykła do życia w namiocie i tamtejszych gwiazd, ale wiedziałam, że to nieprawda. Kryło się za tym coś jeszcze, coś, czego twój ojciec nie dostrzegł, choć miał sokoli wzrok. Tylko kobieta mogła to wyczuć. W tym sensie wciąż nią byłam.

Gdy zaczęłyśmy zwijać obóz, składać namioty i pakować garnki i kobierce, nagle przyfrunął gołąb. Patrzyłam, jak opada w dół niczym oderwany skrawek nieba lecący ku ziemi. W powietrzu przesiąkniętym fioletem czuć było chłód. Spojrzałam z przestraszeniem w niebo, zaniepokojona przybyciem ptaka. Miałam przeczucie, że zaraz wszystko się zmieni i że przeszłość już obraca się w pył. Matka chciała zostać, lecz twój ojciec się nie zgodził. Chciał, by była przy nim. Kazał jej zabrać wszystko, co dla niej cenne, bo może nigdy nie wrócić na Żelazną Górę.

Matka ruszyła na szczyt z gołębiem w koszyku. Chciała być sama, kiedy będzie odczytywać przysłaną wiadomość. Nie wiem, jak ona brzmiała, ale po powrocie na twarzy matki malowała się pewność.

Mieliśmy wyruszyć do Petry rankiem, lecz matka nie czekała na brzask. Obudziła mnie, jak tylko twój ojciec i jego bracia pojechali się rozejrzeć, czy szlak jest bezpieczny, by mogły za nimi podążyć kobiety i dzieci. Kiedy zniknęli, objuczyłyśmy rączego rumaka Adira. Miałyśmy też wspaniałego wierzchowca twego ojca, gdyż dosiadł klaczy, zostawiwszy go matce, co było dowodem jego wielkiej miłości. Wabił się Leba, czyli serce. Był tak wierny, że nigdy by z nami nie ruszył, gdyby mnie dobrze nie znał, bo często go karmiłam i poiłam. Marzyłam, by kiedyś był mój, choć wiedziałam, że twój ojciec mi go nie podaruje. Jego prawdziwym synem był Adir.

Zabrałyśmy tylko parę gołębi w drewnianej klatce, płócienną sakwę z dobytkiem, skórzany bukłak z wodą i jeszcze torbę z twarogiem i serem. Widziałam, jak matka sięga po księgę zaklęć i szkatułę z twardego drewna, w którym trzymała pamiętnik.

Włożyła też złote amulety, które dostała w Aleksandrii, gdy jeszcze nic nie wskazywało na to, że trafi do Moabu, oraz kolczyki podarowane jej przez twojego ojca w prezencie ślubnym. Całą resztę zostawiła, w tym mnóstwo klejnotów, jakie od niego dostała. Były tam naszyjniki z jadeitu, turkusowe i złote bransolety, koraliki ze srebra i lazurytu i złote pierścionki z drogimi kamieniami, których wcześniej nie znałyśmy, choćby rzadkie, mieniające się opale, zawierające w sobie wodę i ogień. Złożyła je wszystkie z czułością i wdzięcznością, ale bez żalu, na sienniku, na którym sypiała z twym ojcem. Był mężczyzną, który nas uratował, lecz nie tym, którego kochała.

Gdy jechałyśmy na zachód, twarz naszej matki uległa przemianie, odmłodziła. Zawsze byłam u jej boku, lecz teraz trudno mi ją było poznać, choć nie umiałam powiedzieć dlaczego.

Ty i twój brat nie chcieliście wyjeżdżać. Adir był naburmuszony i marudny, a ty wciąż wołałaś ojca. Przez twoje wrzaski ktoś mógł nas napaść i zabić, ale jechałyśmy tak szybko, że wiatr poniósł je do nieba. Konie zostawiłyśmy na brzegu Morza Soli, by wróciły do właściciela. Nie byłyśmy złodziejkami. Koń twego ojca zawrócił i pognął tam, skąd przybył, tak jak wierzchowiec Adira. Pozostały tylko ślady kopyt na piasku, choć później i one zniknęły. Nasze życie w namiotach wydało się nam snem. Nawet gdybyśmy pobiegły tą samą drogą, to na górze, na której żyłyśmy tak długo, nie znalazłybyśmy niczego, nawet popiołu.

Jedynym śladem tego czasu jest blizna pod moim okiem.

*

Ludzie szepczą, że nasza matka przeszła po wodzie i że trzymaście demonów Lilit niosło rąbek jej spódnicy, ale tak naprawdę spotkałyśmy człowieka z tratwą, prostego i chciwego, który zażądał wysokiej ceny za przewiezienie nas na drugi brzeg. Łypał czarnymi oczami na matkę, gotów przyjąć zapłatę w naturze. Dała mu w końcu pierwsze klejnoty, jakie dostała od twego ojca: kolczyki, które zawsze nosiła. Były to indyjskie rubiny skradzione z pewnej karawany. Sunęli nią mężczyźni posługujący się językiem, jakiego nikt wcześniej nie słyszał. Rubiny te przypominały mi twojego ojca. Były tak czyste, migotliwe i czerwone, iż zdawało się, że gdyby je dotknąć, mogłyby sparzyć. Odwróciłam wzrok, nie mogąc patrzeć na tę transakcję. Nieraz widziałam jego krew. Mimo opowieści i plotek rozpuszczanych przez Rzymian wcale nie była niebieska.

Nim ruszyłyśmy, zebrałyśmy trochę fig i wiązkę akacjowego chrustu. Nadciągała

burza i na powierzchni morza pływało wiele czarnych plam asfaltu. Wyglądały jak kamienie, które mają zagrozić nam drogę. Matka uspokajała, że woda uchroni nas i uzdrowi. Widziała to, gdy wejrzała w swój los. Morze kołysało tratwę, a nasz przewoźnik, przeklinając, walczył z żywiołem. Matka pozostała jednak pogodna. Słona woda bryzgała nam na twarze. Bałyśmy się, że oślepnjemy, lecz w połowie drogi morze się uspokoiło, stając się błękitne, później szare, a na koniec srebrzyste i nieruchome. Widziałyśmy przed sobą odbijające się na jego powierzchni góry Judei. Miałyśmy wrażenie, jakbyśmy już dotarły do celu, choć czekała nas jeszcze daleka wędrówka. Poczułam woń ognia i metalu, moich żywiołów. Mojego podwójnego życia.

Wysiadłyśmy na brzegu, tratwa odpłynęła. W panującej wokół ciszy wydało mi się, że w odległej Jerozolimie słyszę bijące serce świata, *lew ha-olam*. Wyczerpane podróżą, rozbiłyśmy obóz. Nocą, kiedy ty i Adir już zasnęliście na wilgotnym piasku, matka powiodła mnie za sobą. Rozпалиłyśmy ogień z chrustu uzbieranego na drugim brzegu, z ostatniej akacji, jaką w życiu widziałam, wyrosłej w Moabie. Matka wypuściła gołębice. Gdy zniknęły, wrzuciła klatkę do ogniska.

Na tym pustkowiu wciąż wracałam myślami do Żelaznej Góry i mego dawnego życia, do wspomnień o tym, jak zdawało mi się, że lecę, kiedy mknęłam nocą na koniu w grupie nieustraszonych jeźdźców, i jak zgarnialiśmy wszystko, co było na naszej drodze. Miałam czternaście lat, lecz z moich rąk zginęło już kilka osób. Zgodnie ze zwyczajem dla ich uczczenia paliłam później kwiaty akacji. Twój ojciec często przywoził matce ich gałęzie obsypane kwieciem. Zawsze mu dziękowała, ale ich nie lubiła. Nie podobała się jej ich słodycz i to, że wabią pszczoły. Te skrzydlate stworzenia rozumiały istotę rzeczy, wiedziały, że paliłyśmy gałązki akacji w hołdzie duszom. Podpalone pąki prężyły się ku górze na chwałę Pana, który je stworzył.

Po tej stronie Morza Soli rósł jedynie balsamowiec jerychoński, który ponoć wyrasta z podziemnego świata, a w jego niejadalnych owocach zawiera się ogień. Gdy matka wrzuciła trzy do ogniska, płomienie stały się żółte niczym złoto. Później kazała mi zrzucić szaty. Nie śmiałam się jej sprzeciwić.

Zdjęłam szarawary, tunikę, płaszcz oraz chustę ufarbowaną na błękit, kolor klanu twego ojca. Matka to wszystko spaliła. Z ogniska uleciały w niebo atramentowe sadze. Potem rozplotła mi warkocze i rozczesła palcami splątane włosy. Nie skarżyłam się, choć czułam ból. Milczałam, powstrzymując łzy. Podobno na samym początku, kiedy przybyłyśmy do Moabu, współplemieńcy twojego ojca szeptali, że sprowadził sobie z Jerozolimy czarownicę, która go zauroczyła. Kobiety radziły, by nie patrzeć jej w oczy i się nie przeciwstawiać. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie miały

racji. Tamtej nocy bałam się własnej matki. Stałam naga, słony piach parzył mi stopy, a ona zawodziła w obcym języku. Posmarowała sobie szlamem ramiona, szyję i twarz i wyglądała jak demon. Poczułam, jakby opadła ze mnie maska, piersi mi sterczały, a długie włosy spływały czarnym strumieniem po plecach aż za pas.

Matka miała przy sobie niewielką tkaną torbę. Gdy do niej sięgnęła, obawiałam się, co z niej wyciągnie: węża, skorpioną albo sztylet, którym złoży mnie w ofierze jak Abraham, wezwany przed oblicze Pana z jedynym synem. Dopiero po chwili pojęłam jej zamiary. Wyjęła jedwabną spódnicę i płaszcz, które dostała od twego ojca, prawdziwe cuda z Indii, utkane przez motyle. Ubrałam się w te dziwne szaty i wsunęłam na stopy parę pięknych skórzanych sandałów. Cieszyłam się, że jest ciemno, bo nie mogłabym na siebie spojrzeć. Poczułam się obco we własnej skórze. Wciąż wydawało mi się, że z moich łopatek wyrastają skrzydła, ale coś je krępowało, choć inaczej niż płócienny pas, którym się obwiązywałam, by je skryć.

Odmówiliśmy modlitwy wypowiedane przy narodzinach dziecka, kiedy na świecie pojawia się nowa dusza. Tamtej nocy stałam się kobietą, mimo że zachowałam swe imię. Aziza, serce i moc, kobieta, która wie, jak to jest być mężczyzną.

Rankiem przybył posłaniec z Masady. Wiedział dokładnie, gdzie będziemy czekać. Dał nam wodę i jedzenie i wyjaśnił, że poprowadzi nas w bezpieczne miejsce. Patrzył na mnie jak wcześniej żaden inny mężczyzna.

Pierwszy raz w życiu zrozumiałam, kim jestem dla innych i spuściłam wzrok.



Nawet teraz ciągnie mnie do dawnego życia. Staram się spędzać w gołębnikach jak najmniej czasu. Nie interesują mnie gołębie ani kobiece zajęcia. Nie umiem tkać ani szyć, nie kłując sobie palców. Gdy piekę macę, zawsze ją przypalam. Moje potrawy są bez smaku, niezależnie od tego, co wrzucę do garnka. Nie ma tyle soli ani kminku na świecie, by gotowana przeze mnie strawa stała się jadalna. Nie radzę sobie z zajęciami, które mej siostrze przychodzą z łatwością, odkąd skończyła osiem lat.

Za to często kręcę się koło koszar, zwłaszcza wieczorami w Rosz Chodesz, kiedy księżyc jest w nowiu. Kobiety zbierają się wtedy, by świętować, lecz moje miejsce nie jest przy nich, a właśnie tutaj, wśród wojowników. Gdy znajduję groty strzał, talizmany mojej przeszłości, zaciskam je w dłoni. Mieszczą się w niej idealnie. Tęsknię za ich chłodem i spłaszczonym kształtem. Tylko metal jest w stanie dosięgnąć mego rdzenia.

Mieszkam w tej twierdzy już trzy lata, ale wciąż śni mi się poprzednie życie.

Nikomu o tym nie mówiłam, nawet Amramowi, któremu ślubowałam, wbrew przestrogom matki. Nauczyłam się już za młodu, że niektóre sprawy winny pozostać tajemnicą – i właśnie to trzymam w sekrecie. Matką mogą targać wątpliwości, jednak nie ma dowodu, że jej nie posłuchałam. Posypała solą próg, by odnaleźć tam ślady moich stóp, lecz go przeskoczyłam. Zawiesiła w drzwiach pasemko swych włosów, ale się pod nim prześlizgnęłam. Czasami potrafię ją przechytryć, mimo to zawsze, kiedy spotykam się z Amramem, myślę o jej przepowiedni. Należę do niego, choć mam poczucie, że hańbię się, nie mówiąc prawdy tej, która dała mi życie nie raz, lecz trzy razy.

Od początku siostra była ze mną w zмовie. Prawie rok doglądałam z matką gołębników, nim zjawił się Amram. Harowałyśmy tam całymi dniami. Te trzy gołębniki były jak kozia rodzina – ojciec wieża, matka, mniejsza, kwadratowa i płaska i jeszcze mniejsze koźle. Były dla mnie całym światem, gdyż stroniłam od towarzystwa kobiet, lękając się, że w jakiś sposób odkryją moją inność.

Kiedy Amram przybył z Jerozolimy na początku lata w roku zburzenia Świątyni, był ledwie kolejnym młodzieńcem umykającym przed wrogiem, naznaczonym przez swą krew i uczynki skrytobójcą, w którym można było upatrywać mordercę bądź bohatera, zależnie od tego, kto wydawał ocenę i jaką rolę wyznaczył mu los. Akurat przechodziłam przez plac. Miałam prawie szesnaście lat, ale wciąż trzymałam się na uboczu. Nie zwróciłam uwagi na żadnego mężczyznę, póki nie dojrzałam Amrama na ścieżce węża. Wspinał się nią z taką łatwością, jakby poszarpane skały były polem. To, co dla innych strome i trudne, dla niego okazywało się tym, czym lot dla skowronka. Było jasne, że pokona wszystko, co stanie mu na drodze: człowieka, zwierzę, a nawet wrogą ziemię.

Patrząc na niego, niemal się zawstydziłam, jak bardzo wydał mi się przystojny. Był wojownikiem, którym sama pragnęłam zostać, szczupłym, zwinnym i pewnym siebie. Zazdrościłam mu i chciałam posiąść jego i wszystko, co miał. Przypomniałam sobie zmierzch w krainie po drugiej stronie Morza Soli, zaścieniający ziemię falami granatu w dniu, gdy, zgodnie z przepowiednią, matka przestrzegła mnie, bym za wszelką cenę unikała miłości. Ale z natury byłam nieposłuszna, a przekonałam się o tym, nie mogąc oderwać wzroku od Amrama. Próbowałam, lecz na próżno, choć wolę miałam z żelaza i górowałam w tym nad innymi. Moc Azizy najwyraźniej jednak osłabła. Może jakiś anioł albo demon zapamiętał moje wcześniejsze imię i wołał teraz do mnie z bezmiaru niebios: „Rebeka!”? Stałam przy Bramie Węża w grupie pozostałych kobiet, które Amram zauroczył i uwiódł, nim jeszcze dotarł do twierdzy.

Może gdyby mnie nie spostrzegł, gdyby nie odmieniło nas to jedno spojrzenie,

odwróciłabym się i zajęła własnymi sprawami. Wiedziałam jednak, że przepadłam, kiedy – pod wpływem nagłego impulsu – stanęłam na murze, by go powitać. Nie było to moim zamiarem, chciałam jedynie przyjrzeć się mężczyźnie, którym mogłam się stać w swym dawnym życiu. Tymczasem w jednej chwili stałam się kobietą. Wpatrywałam się w rozedrganym upale, jak łączą się nasze losy, gdy Amram wspinał się ścieżką węża.

*

Byłam zaciekawiona, ciągnęło mnie do niego. Kiedy przyszedł deszcz, przemoczona wystawałam pod zbrojownią w nadziei, że dojrzę go gdzieś w koszarach. Krążyłam wzdłuż murów, poszukując śladów jego obecności: grotu strzały, odcisku stopy, kosmyka włosów. Myślałam o nim, gdy unosił się kurz, przypominał mi się, kiedy patrzyłam w niebo, nosiłam wodę, jadłam wieczerzę, doglądałam gołębi. Wszystko mi się z nim kojarzyło, nawet to, co trywialne. Nie podążałabym za nim, gdyby pewnego dnia nie stanął na mojej drodze, gdy śpieszyłam z siostrą do gołębnika. Przesłoniłam oczy dłonią, by mu się przyjrzeć i ukryć bliznę pod okiem. I wtedy znowu się o mnie upomniał. Uśmiechnął się, przekonany, że mnie zna. Odpowiedziałam uśmiechem, wiedząc, że tak nie jest.

Czekała na nas matka. Gdyby była obok, kazałaby mi odwrócić wzrok i może wszystko potoczyłoby się inaczej, ale los chciał, że jej nie było i szczerze dziękowałam za to opatrności. Nahara rzuciła mi zdziwione spojrzenie, kiedy powiedziałam, że ją dogonię, lecz usłuchała i ruszyła przed siebie.

– Codziennie tędy chadzasz – rzekł Amram, gdy moja siostra odeszła.

– Skąd wiesz? – spytałam, jakbym mówiła do Nuriego, do równego sobie, a nie mężczyzny, przed którym powinnam chylić głowę.

– Bo cię podpatruję.

Znowu poczułam się sobą, jak kiedyś w górach.

– Nie tak często jak ja ciebie – odparłam, uśmiechając się coraz szerzej.

Dorastałam wśród chłopców i brakowało mi kobiecej przebiegłości. Amram roześmiał się, zaskoczony moją szczerością. Kiedy pierwszy raz go pocałowałam, otwarcie, nie studząc swego zapału, pewnie też zrobiłam to jak mężczyzna. Może wtedy również się zdziwił, ale nie rozczarował.

Kobiety na polu plotkowały o nas. Słyszałam ich słowa, lecz nic sobie z nich nie robiłam. Były dla mnie jak uządlenie osy czy ziarenka piasku w bucie. Pozwalałam, by

iskry ich jawnej zawiści spadały na ziemię. Żadna jednak nie miała odwagi, by pójść do mojej matki i, narażając się na jej gniew, opowiedzieć o mych występkach.

Zaczęliśmy się spotykać po zmierzchu koło fontanny na placu Zachodnim. Zawsze, kiedy byłam z Amramem, Nahara poświadczała, że jestem z nią. Była moją tarczą, kluczem do wolności, gołąbkim, który przekazywał Amramowi godziny naszych schadzek. Kiedyś ją uratowałam, teraz mi się odwdzięczała. Wieczorami często chodziła ze mną na plac. Trzymałyśmy się za ręce i szeptałyśmy jak małe dziewczynki, ale gdy zbliżałyśmy się do fontanny, Nahara odwracała głowę i dalej szłam sama. Nie była świadkiem spotkania, więc nie kłamała, zapewniając matkę, że nie widziała mnie z mężczyzną.

Późnymi wieczorami znajdowaliśmy ustronne miejsca: spiżarnie, gaje, pola. Tak jak wtedy, gdy tchnęłam życie w moją siostrę, tak teraz czyjś oddech znów do mnie należał, a mój do niego. Amram przysiągł, że nie zdradzi naszego sekretu mej matce, a był człowiekiem honoru. Wielu zarzekało się, że to największy śmiałek wśród sykariuszy z Jerozolimy, potrafiący przemieniać swoją postać. Jego ojciec, wielki, siejący postrach skrytobójca bar Elchanan posiadał ponoć dar znikania z oczu. Być może Amram też go miał, gdyż umiał niezauważenie niczym obłok przemykać obok mojej matki. Staliśmy się tak zuchwali, że zaczęliśmy spotykać się też w piwnicy pod naszą kwaterą, do której prowadziły schody z dawnej kuchni i drugie wiodące na plac. Zrzucaliśmy szaty pod podłogą, po której chodziła moja matka. Może robiłam to jej na złość, by wreszcie mieć własne życie i zadać kłam przepowiedni, że miłość sprowadzi na mnie nieszczęście.

W tym naszym tajnym miejscu ciągle starałam się pierwsza wypatrzeć Amrama w ciemnościach. Dostrzegałam cienie myszy szukających ziarna i śpiących nietoperzy wiszących u sufitu, lecz Amram zawsze mnie ubiegał, chwytając i zakrywając mi dłonią usta, bym nie krzyknęła. Mogłabym z łatwością się oswobodzić i w okamgnieniu przyłożyć mu sztylet do gardła, ale przecież to była tylko zabawa, która skrywała naszą prawdziwą naturę. Mimo że nie wiedział, kim naprawdę jestem, a ja powinnam była być rozważniejsza, nigdy niczego mu nie odmówiłam. A jednak czegoś mi brakowało.

Amram nie przejrzał przez moje zasłony, a ja nie objawiłam mu prawdziwej siebie. Może znów zrobiłam to na złość matce, bo kiedy w gołębniku dołączyła do nas Riwka, już się z nim zaręczyłam, a niedługo po tym, jak zjawiała się u nas jego siostra Jael, byłam jego.

Może niektórych tajemnic nie sposób dochować, bo moje występki były niemal na mnie

wypisane. Byłam panną, a wiedziałam już to, co wiedzą mężatki: że mężczyźni jęczą z rozkoszy, że niekiedy szlochają całym sobą i że chuć czasami oplata ich tak mocno jak szale, chusty i płaszcze. Rzucali mi bezczelne spojrzenia na targu, gdy wystawałam w kolejkach po przydział pszenicy i prosa. Patrzyli, jak noszę na pole kosze z łajnem i składali propozycje, które puszczałam mimo uszu. Nie byłam owcą potulnie ulegającą ich zakusom. Krzyczałam, żeby wracali do swych żon i matek. Na samą myśl, że mam się korzyć przed mężczyzną, który przemawia do mnie w taki sposób, odzywała się we mnie dusza wojownika. Ściągałam szal, odkrywając włosy i ramiona, by lśniły bezwstydnie w słońcu. To wtedy kobiety zaczęły szeptać, że jestem *szeda*, stworzeniem, nad którym nikt nie zapanuje. I miały rację. Czyniłam, co chciałam, mimo zakazów matki i mimo że to był grzech.

Zacząłam się zastanawiać, czy w opowieściach kobiet z pola nie kryło się ziarno prawdy. Może różniło mnie od nich nie moje wcześniejsze życie, lecz to, kim był mój ojciec. Na pewno nie był aniołem ani inkubem, lecz człowiekiem piszącym na pergaminie. Z czasem coraz bardziej dociekałam jego tożsamości. Zdziwiło mnie, że posłaniec, który po nas przybył nad Morze Soli, wiedział dokładnie, gdzie nas szukać, i pochylił głowę przed moją matką jak przed żoną kogoś znaczącego. Zastanawiałam się też, dlaczego spośród wszystkich miejsc, do których mogłyśmy się udać, wybrałyśmy tę twierdzę, a nie inną.

Matka milczała. Nie wyjawiała, dokąd słała gołębice ze szczytu Żelaznej Góry. Zaprzeczyła, by dostawała odpowiedzi, choć wiadomość, jaką otrzymała, sparzyła mnie i pozostawiła bliznę na mej twarzy. Wciąż powtarzała jedynie, że podąża ścieżką, którą wyznaczył jej Wszechmogący.

– Czy mogłabym być tak zadufana w sobie, by wypytywać Boga, dlaczego posłał mnie tą, a nie inną drogą?

Gdy to mówiła, wyglądała młodo i niewinnie. Ona, zawsze taka twarda, w tym wypadku sprawiała wrażenie kruchej. Wiele mnie nauczyła. Dzięki niej poznałam więcej języków niż większość uczonych w Piśmie, lecz o sobie i o niej wiedziałam niewiele. Już od czasów Moabu nasze tajemnice przypominały pajęczą sieć, której jedna nitka podtrzymuje drugą. Słowa, jakie między nami nie padały, były jedynymi mającymi znaczenie. Poruszałyśmy się niczym pająki, krążąc wokół siebie podejrzliwie i wyczekując dalszych zdarzeń.

– Czy i ja nie mam własnej ścieżki? – spytałam ośmielona, kiedy mi powiedziała, że nie wypytuje o drogę, po której prowadzi ją Bóg.

Spojrzała na mnie zadumana.

– Musisz jej za wszelką cenę unikać.

Ta odpowiedź przekonała mnie, że powinnam odnaleźć własną drogę.

Tajemnice coraz bardziej nas od siebie oddalały. Zaczęłam stronić od matki. Tak jak ona unikałam zwierzeń. Zostawałam w domu, gdy szła przyjmować poród czy pielęgnować złożonych gorączką, zabierając ze sobą dzban, misę i wyrobione z tłuszczu i popiołu mydło, którym kazała chorym myć dłonie, by się oczyścili. Nie towarzyszyłam jej w nocnych wyprawach do synagogi, gdzie zagrzebywała w świętych miejscach amulety chroniące tych, którzy przychodzili do niej w potrzebie. Dopiero kiedy poprosiła, bym wypuściła się z nią za bramę po rutę, majeranek i żółte owoce mandragory, z których przyrządzała *pharmaka*, musiałam ustąpić. Ale nawet gdy starałam się uszanować jej życzenia, byłam dla niej bezużyteczna. Nie posiadałam zręcznych dłoni. Rozrywałam liście, owoce pękały w moich rękach. Nie miałam talentu do czarów, żadnej umiejętności, która winna cechować kobietę.

Nic dziwnego, że moje miejsce zajęła Jael. Matka wybrała ją, gdy tylko ta przekroczyła bramę, sunąc za swoim ojcem ze spuszczoną głową i rudymi splątanymi włosami przeżartymi solą. Może poruszyła ją drzemiąca w niej rozpacz, kiedy dostrzegła jej chwiejny chód i brzuch szczelnie owinięty szalem. Matka też była samotna, gdy rodziła swoje pierwsze dziecko.

Kiedy Jael wymawiała w gołębniku imię swego brata, czułam, jak przyspiesza mi serce. Bałam się, że moja twarz zdradzi nasz sekret. To była Jaja, siostra, o której Amram tyle mi opowiadał, jego obrończyni i przyjaciółka z dzieciństwa. Powinnam odciągnąć ją na bok i błagać o opowieści o bracie, lecz zachowałam dystans. Nie miałam powodu, by jej ufać i powierzać swe tajemnice. Gdy zobaczyła mnie kiedyś z Amramem, sądziłam, że ujawni prawdę mojej matce, której często się zwierzała, ale jej o tym nie napomknęła. Wzięła mnie za to na stronę i szepnęła, że jej brat jest szlachetnym człowiekiem. To, że go kochałam, nie było jej sprawą.

Mimo okazanej mi dobroci stała się jednak moją rywalką. Tego strasznego dnia, gdy matkę wyprowadzono skutą na plac i oskarżono o czary, to Jael do niej podeszła, nie ja. Pośpieszyła ze złotym amuletem na szyi, będącym częścią rodzinnej schedy, którym matki zawsze obdarowywały córki. Patrzyłam w strugach deszczu, jak się do siebie tulą. Odwróciłam wzrok i milczałam, dławiąc się goryczą zawiści.

Owładnęło mną przemożne poczucie, że w dniu mych narodzin matka dostrzegła coś jeszcze, jakiś zły omen, który kazał jej mnie odrzucić i przedkładać obcą kobietę nad własną córkę.

Przez cały piękny i łagodny miesiąc *adar* Jael przychodziła wieczorami do naszej kwatery w dawnej pałacowej kuchni. Uczyła się zaklęć, które matka знаła jeszcze z Aleksandrii, i greckich oraz hebrajskich liter. Siadywały przy stole, głowa przy głowie, i szeptały, by nie obudzić prawie ośmiomiesięcznego Arjego drzemiącego na sienniku, na którym kiedyś sypiała moja siostra. Nie czułam się urażona, że mnie w to nie wciągają. Nie interesowały mnie czary. *Keszafim* były dla mnie typowo kobiecym zajęciem ze swymi recepturami i ziołowymi panaceami, nieróżniącym się niczym od sprzątania gołębników, gręplowania wełny czy gotowania. Wykorzystałam czary, by chronić Amrama, tylko wtedy, gdy pierwszy raz stanął na czele oddziału, który wyruszał na wypad z twierdzy. Potem poczułam się nieczysta i szybko poszłam do mykwy.

Teraz, kiedy patrzyłam na obie kobiety, przyszło mi do głowy, o ileż łatwiej byłoby nam żyć, gdybym słuchała matki i z nią przesiadywała. Ale przecież zostało napisane, że będę nieposłuszna.



Gdy opuściła nas Nahara, byłam pewna, że wróci. To ja się buntowałam, a ona była dobrą córką i ukochaną, godną zaufania siostrą. Wiedziałam, że w końcu sprzykrzą się jej surowe obyczaje esseńczyków, a wtedy przypomni sobie, że należy do mnie.

Przyszło jednak lato, wyrosła pszenica, a ona wciąż się nie odzywała. Jej miejsce przy stole zajęła Jael. I był jeszcze gruchający Arje bawiący się swymi paluszkami lub grzechotką. Moja siostra spuszczała wzrok, kiedy się mijałyśmy, jakbyśmy nie przepłynęły razem Morza Soli i nie spały, tuląc się do siebie. Udawała, że mnie nie słyszy, gdy wołałam do niej na placu. Liczyłam, że sama kiedyś do mnie przyjdzie, ale się pomyliłam. Powinnam wiedzieć, że owca nie wybiegnie przez otwartą bramę, gdy cały jej świat to zagroda, w której mieszka. Kiedy zapamięta ciernisty żywopłot, nie będzie przezeń przechodzić, nawet gdy on zniknie, gdyż nadal będzie wyznaczał granice jej życia.

Patrząc, jak Nahara pasie czarne kozy na łące, pogania je krzywym kijem i podąża za esseńskimi mężczyznami ze wzrokiem wbitym w Malachiasza, zaczęłam się zastanawiać, czy matka myliła się, gdy przepowiedziała, że miłość sprowadzi na mnie nieszczęście.

Może zamiast mojego losu dojrzała los mej siostry.

W Święto Przaśników, które czcimy na pamiątkę wyjścia z niewoli, w górach Edomu

zerwał się *kadim*. Nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego, gdyż wiatr ten nie ustaje przez wiele tygodni. Nie sposób było schronić się przed upałem i wściekłymi podmuchami wichru. Tygodniami ptaki nie wlatywały w niebo, nie mogąc rozewrzeć skrzydeł, bo uniemożliwiał im to Bóg, upominając nas, byśmy chyliłi przed Nim głowy i dziękowali Mu za ziemski żywot. Kiedy ludzie zaczynali ze sobą rozmawiać, zaraz wkradały się nieporozumienia, a zamiary kobiet były opacznie odczytywane.

Gołębie zachowywały się nerwowo i przestawały się nieść. Matka wyrysowała różę czterech wiatrów na klepisku i zapaliła kadzidło, niewielki kopczyk mirry. Ptaki się uciszyły, lecz wciąż drżały. Jael brała je na kolana, co przynosiło im ulgę, ale gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, znów się denerwowały i czyniły harmider.

Gdy Święto Przaśników minęło i piekarze ponownie zaczęli się uwijać przy piecach, wypiekając chleb z resztek ziarna, srogi wicher nie ustał. Płatki kwiatów migdałowca spadały na ziemię niczym grad. Przed spiżarniami ustawiły się kolejki, w których wyczekiwały nasze sąsiadki. Musieliśmy przekrzykiwać wiatr. Kiedy nie udało się porozumieć, rozchodziliśmy się, potrząsając głowami. *Kadim* sprowadził ze sobą kurz. Piach wdzierał się do naszej pościeli, jedzenia i szat.

Szczęśliwie nagle przestało wiać, na godzinę, i wreszcie zapanował spokój, za co wszyscy byliśmy wdzięczni Panu. Zdarzyło się to, gdy ziemię zaczął zasnuwać granatem zmierzch. Jego barwa była tak cudowna, iż nawet ślepcy zarzekali się, że ją dostrzegają. Nazywaliśmy ten czas między dniem a nocą *bejn ha-arbajim*. Mgiełka iluzji staje się wtedy cieńsza i w liliowej poświacie można wypatrzeć rzeczy, których nie widać o żadnej innej porze. Przybywają wówczas demony i anioły i rodzą się *szedim*.

Tamtego wieczoru Jael nie przyszła do mojej matki sama. Gdy *kadim* na godzinę ustał, przyprowadziła swą esseńską przyjaciółkę. Biała suknia Tamar zdała się nam w tej dziwnej poświacie błękitna. Zbliżyły się do nas ze spuszczonym wzrokiem. Zaczęłam drzeć, a twarz matki przybrała posępny wyraz. Dojrzała tamtego ranka w kącie skorpiona i spodziewała się, że tego dnia zastuka do naszych drzwi nieszczęście.

– Nie miej za złe Tamar tego, co od niej usłyszysz – rzekła do matki Jael zatroskanym głosem. W świetle zmierzchu jej włosy lśniły szkarłatem. – Przyszła do mnie, tak jak teraz przychodzi do ciebie, by przekazać prawdę, a nie ranić.

Syn Tamar, Jehuda, zaprzyjaźnił się z moim bratem. Początkowo myślałyśmy, że – jak to się zdarzało nieraz – przyszła po niego, lecz nie chodziło o Jehudę. Miała sprawę do mojej matki, jednak – dziwna rzecz – nie chciała wejść do izby. My wraz z Jael

stałyśmy po jednej stronie drzwi, a Tamar za progiem, jakby przekroczenie go mogło ściągnąć na nią klątwę.

Był to zły znak, ale żadna z nas się nie ruszyła.

– Gdy nadchodzi szabat, nie można się już cofnąć do poprzedniego dnia – rzekła Tamar, wbijając wzrok w ziemię. Była łagodną kobietą, która wiele wycierpiała i najwyraźniej te słowa przychodziły jej z trudem. Wreszcie, przynaglona przez Jael, wydusiła: – Poszli rankiem do Abby.

Słyszając tę wiadomość, matka zaszlochała. Szabat nazywano czasem oblubienicą, ponieważ był siódmym dniem stworzenia świata, najpiękniejszym ze wszystkich. Oblubienicą w tym wypadku była moja siostra, która dopiero co stała się kobietą. Wyszła za mąż bez wiedzy i przyzwolenia matki.

– Nie mogłaś temu zapobiec – pocieszyła ją Jael. – Pobrali się dziś rano.

Tamar jęła ją przepraszać za obrazę, jakiej dopuścili się wobec nas esseńczycy. Młodej parze pobłogosławił Abba, gdyż w naszej rodzinie nie było mężczyzny. Ale matka już jej nie słuchała. Podbiegła do szafki, w której trzymała talizmany i zioła, gorączkowo szukając zaklęcia, które odczyni zło. Rozlała przy tym na ołtarzyk olejek z lilii, swą świętą, ukochaną woń. Przez chwilę poczułam się, jakbyśmy wróciły na wzgórze Moabu latem, kiedy kwiaty kwitną czerwienią. Matka płakała. Już to samo w sobie było przerażające. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek roniła łzy, nawet w tamtą noc, gdy do namiotu wdarli się rabusie i nadała mi nowe imię, odmieniając mój los.

Żałowałam, że nie jestem już chłopcem, który łupi karawany u boku wojowników, pozostawiając takie dramaty kobietom. Stałam milcząca, nie potrafiąc ukoić rozpacz matki. To Jael ją przytuliła. Ktoś mógłby pomyśleć, że ona jest jej córką, a ja jedynie gościem, zbyt skrępowanym, by uczynić coś więcej, niż tylko patrzeć, jak matka oplakuje pochopną decyzję Nahary.

– Stało się – rzuciła Jael. – Odtąd należy do nich.

Matka z oburzeniem potrząsnęła głową, czarne włosy opadły jej na kark.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że co się stało, można odczytać.

Wybiegła na dwór. Jael ruszyła za nią, lecz chwyciłam ją za rękę. Ten jeden raz będę córką swej matki.

– Nahara to moja siostra – syknęłam. – Nie mieszaj się.

Spojrzała na mnie zaskoczona i się cofnęła.

Z bijącym sercem pognałam za matką przez plac. Słyszałam odgłos jej kroków na kamieniach. Była szybka, dogoniłam ją dopiero na skraju sadu. Obie ciężko dyszałyśmy. Wiatr znów się wzmógł, kołysząc gałęziami i wzniecając kurz. Czas

zmierzchu minął, wokół panowały ciemności. Matka nie zdziwiła się na mój widok. Wiedziała, że moja siostra należy do mnie.

– Ona wróci – powiedziałam.

– Jej ojciec zesłał mi to jako karę – pokręciła głową. – Chce się na mnie zemścić.

Nie wierzyłam, żeby człowiek, który wszystkiego mnie nauczył, mógł się okazać tak okrutny.

– Nie zrobiłby tego – oznajmiłam, a gorycz naszej zdrady wzbierała we mnie niczym podmuchy *ruach kadim*. – Kochał szczerze, nie tak jak ty.

Zmierzyła mnie złym spojrzeniem i szczelnie owinęła się płaszczem.

– Jeśli nie człowiek za tym stoi, to wola boża. A skoro tak, to nie da się odwrócić losu. Módl się więc, żeby była to klątwa ojca.

W oddali, po drugiej stronie pola, na zbitym z desek stole palił się kaganek, którego płomień oświetlał grupkę esseńczyków, którzy zebrali się na wspólny wieczorny posiłek. Zamiast rozwiniętych na blacie świętych zwojów i ślęczących nad nimi mężczyzn, ujrzałyśmy weselnych biesiadników raczących się daktylami, winem, serem i figami. Nad stołem rozstawiono namiot, by chronił gości przed tabunami kurzu.

Matka wbiła wzrok w przywódcę esseńczyków.

– Przekonamy się, czy to ręka boska, czy tylko ludzka chciwość – rzuciła.

– Gdyby wiedzieli, kto jest jej ojcem, pewnie uznaliby ją za niewierną.

Ruszyła w stronę Abby, kapłana, który nie mógł już chodzić. Nawet niewierzący chylili przed nim głowy, oddając cześć jego sędziwemu wiekowi i względom, jakimi darzył go Wszechmogący, lecz moja matka nie przysłała tu, by okazywać mu szacunek. Zauważyłam, że ścisła coś w dłoni. Siedzący przy stole mężczyźni też to spostrzegli i zagrodzili jej drogę, próbując nie dopuścić, by Abbie stała się krzywda. Przypomniałam sobie, jak matka udała się sama na szczyt Żelaznej Góry, by wyczekiwać gołębi. Zrozumiałam, dlaczego kobiety z Moabu bały się na nią spojrzeć. Ja też się jej przelekłam, jak wcześniej, na brzegu Morza Soli.

– *Elohim* mnie obroni – uspokoił swych współwyznawców Abba.

– Czyżby? – Moja matka nie okryła głowy chustą, wyglądała groźnie. – Chcę tylko odzyskać córkę.

W zaciśniętej dłoni nie trzymała broni, lecz garść soli. Może jednak była ona straszniejsza niż sztylet, gdyż zawierała w sobie klątwę, którą matka zamierzała rzucić na tych ludzi w taki sposób, by zło nie dosięgło jej samej.

Mężczyźni przesłonili oczy, by ich nie zauroczyła i nie przemieniła w potwory i kozły. Zaczęli też szeptać modlitwy, aby Bóg zesłał im miłosierdzie. Moja matka nie

zwracała na to uwagi. Wezwała na pomoc gniewne duchy *chema*, zaklinając Pana wszelkiego stworzenia, by sprowadził nieszczęście na jej wrogów. Pomyślałam o tym, jak mordowani przez ojca Nahary napastnicy padali niczym gałęzie z drzewa akacji i że ich gęstą jak żywica krew matka zmywała później przez wiele dni, przeklinając jednego po drugim. Te same przekleństwa wypowiadała teraz.

Wiatr szarpał uprane szaty rozwieszane przez esseńskie kobiety na sznurze i targał namiotem. Kiedy matka uniosła ręce, zdało się, że przyciąga do siebie *kadim*. Zaczęła nawoływać w cztery strony świata i rzuciła garść soli, która wzbiła się niczym słup dymu, czekając na dalsze rozkazy.

Niebo poczerniało i pojawiła się na nim pojedyncza gwiazda, jakby matka zaciągnęła kurtynę skrywającą Tron Chwały. Na twarzy Abby zawitał grymas zadziwienia i lęku. Przekonał się, że matka jest światłą kobietą, a nie owcą, która robi, co jej każą. Nie pokona jej ciernisty żywopłot ani słowa oburzenia zacnego kapłana.

Esseńczycy stanęli jak wryci, niczym myszy przed czarną żmiją. Jedna z kobiet, staruszka, pobiegła po wiadro z brudną wodą, by polać nią sól rzuconą przez moją matkę pod nogi Abby. Ale wody było zbyt mało, aby zmyć ją w całości, a kałuża, która z niej powstała, przypominała kształtem węża, czerniejącego w miarę jak brud wsiąkał w piasek.

Abba wstał z krzesła, choć ledwo chodził. Rozpoznał znaki, jednak odczytał je na swoją korzyść. Wierzył, że jego lud jest wybrańcem Boga i że tylko pokój przynosi chwałę Panu. Wkrótce nadejdzie koniec świata i to, co zostało napisane, nie może być zmazane ani odczynione.

– Nie pokonasz losu bronią ani zaklęciami – rzekł, a współwyznawcy otoczyli go kręgiem, by go chronić.

– Oddaj mi ją natychmiast – zażądała matka. – Nie wolno brać tego, co należy do innego.

– Ona nie jest twoją córką – odparł Abba. – Jest córką Boga.

– Tak ci się zdaje?

Malachiasz wyszedł przed dawną oborę dla kóz, dom, w którym mieszkał ze swymi pobratymcami, w którym jadał z nimi z jednej misy i polewał głowę przed każdym posiłkiem, modląc się i głosząc chwałę Pana.

– Ona należy do niego – powiedział Abba, wskazując na młodzieńca.

Pan młody, którego moja matka odprawiła kiedyś z gołębnika, posłyszawszy odgłosy kłótni, zerwał się z małżeńskiego łóża i stanął przed nami.

Spojrzała mu w oczy, wyśpiewując klątwy z księgi zaklęć, którą dostała od swej

matki. Księga przywędrowała z nią z Aleksandrii na Żelazną Górę i wraz z nią przemierzyła Morze Soli. Jeśli to, co się zdarzyło, mogło zostać odczynione, to tylko w takiej chwili jak ta. Poczuliśmy podmuch wiatru, który porwał liście i zakołysał gałęziami drzew. Pan młody wiedział, że matka zamierza odmienić jego los.

– Ona jest już moją żoną – rzekł.

– Przekonamy się, czy twoją żoną, czy mą córką.

Nikt nie odważył się zareagować, kiedy przeszła obok Malachiasza. Gdy musnął go rąbek jej płaszcza, wzdrygnął się na myśl o grzechu, jakim jest dotykanie innej kobiety niż własna żona. Wbiwszy wzrok w ziemię, ruszyłam za nią, choć Malachiasz rzucił mi błagalne spojrzenie, bym się za nim wstawiła.

Nahara próbowała przytrzymać drzwi, ale nie mogła się z nami równać. W końcu ustąpiła. Wtedy przemknęła mi przez głowę myśl, że jesteśmy niczym ci rabusie z Moabu nastający na to, co cudze. Paliło mnie w gardle, każdy oddech był niczym płomień, jak wtedy, gdy odessałam gorącą wydzielinę z ust mojej siostry w dniu jej narodzin, by pierwszy raz zaczerpnęła powietrza. Może zamiast wypluwać ją na podłogę, powinnam była przełknąć istotę jej duszy? Może wcale do mnie nie należała, bo w tamtej chwili zerwałam łączące nas więzy?

Miała na sobie prostą białą suknię. Włosy, zwykle zaplecione i okryte szalem, czarne jak matki i długie jak moje, były rozczesane. Uratowałam ją, a teraz wyszła za Malachiasza i zamieszkała w obórce. Nieważne jednak, jak bardzo się oddaliła, i tak zawsze pozostanie moją siostrą.

– Chodź z nami, nim cię posiadzie – rozkazała nasza matka.

– Nim? – odrzekła Nahara, unosząc buńczucznie głowę.

W izbie było gorąco i unosiła się woń potu i spółkowania. Na zasłanym przez kobiety z sekty białym prześcieradłem sienniku widniały plamy krwi, mające świadczyć o czystości mej siostry.

– Nie chciałby cię, gdyby wiedział, że twój ojciec nie pochodzi z naszego ludu – powiedziałam.

– Ona już mu tego nie powie. – Nahara skinęła głową na matkę. – Za późno. Wziął mnie, należę do niego.

Moja siostra poczuła w sobie moc, która mogła ranić. Wsparłszy ręce na biodrach, jakby była królową tego przesiąkniętego odorem kóz domu, rzekła, wskazując na mnie:

– Jeśli chcesz kogoś ratować, ratuj ją.

Siostra, którą kochałam ponad wszystko, teraz mnie zdradziła. Pomyślałam o tym, jak czule o nią dbałam, gdy mieszkaliśmy w namiocie na Żelaznej Górze. Kiedy jej

ojciec przywoływał naszą matkę, lulałam ją do snu. Zawsze mocno spała, z palcem w buzi, odpłynąwszy w krainę snów przy pierwszych słowach kołysanki, której słowa mówiły, że czuwają nad nią gwiazdy. Nim zasnęła, obiecywałam jej, że zrobię miotełkę z liści tamaryszku, by przepędzić noc i by znów zaświeciło słońce.

– Jesteś ślepa na jej występki – ciągnęła Nahara. Spoglądała na matkę bez krzty szacunku. – Setki razy obcowała z Amramem i się nie domyśliłaś. Przejrzyj wreszcie na oczy.

Matka obróciła się ku mnie.

– A czego się spodziewałaś? – dorzuciła moja siostra. – Ladacznica miała najlepszą nauczycielkę w swym fachu.

Gdy matka wyciągnęła rękę, myślałam, że chwyci Naharę i zmusi ją, żeby z nami poszła. Tymczasem wymierzyła jej policzek. Ta, która zawsze tylko nas tuliła, została doprowadzona do ostateczności.

Nahara gwałtownie zaczerpnęła powietrza i przyłożyła dłoń do zaczerwienionej twarzy, lecz się nie rozplakała. Uśmiechnęła się chłodno, pewna, czego chce, wykapana córeczka tatusia, zajadła i skupiona na sobie.

– Możesz mnie uciszać, ale nie zaprzeczysz – powiedziała do tej, która przywróciła jej życie.

Pustynny wiatr znów się wzmógł i otworzył na oścież drzwi z taką mocą, że aż pękły. Jael miała rację, było już za późno. *Kadim* będzie wiał wiele dni, każąc nam okrywać głowy, spożywać stawy z piachem i wsłuchiwać się w zawodzące dźwięki nocą. Ja, której żywiołem było żelazo, poczułam, jak napływają mi do oczu piekące łzy. Choć siostra stała przede mną, nie była już moja.

Matka spuściła głowę, upokorzona. Przypomniałam sobie, jak się umęczyła, by wydać moją siostrę na świat. Byłam wtedy przy niej.

Powtarzała: „Ratuj ją!”.

Ani razu nie powiedziała: „Ratuj mnie”.

Tamtej nocy matka, niczym kobieta w żałobie, zaczęła szarpać swe szaty. Niektórzy powiadają, że słowem oznaczającym grób, *kewer*, można opisać także miejsce, w którym płód przebywa w łonie matki, ponieważ życie i śmierć są ze sobą splecione. Moja matka właśnie straciła dziecko, które kiedyś urodziła. Nie wyzna nikomu prawdy o prawdziwym pochodzeniu Nahary, gdyż by ją zhańbiła. Wyrzekła się jej. Potem już nigdy nie rozmawiałyśmy o mojej siostrze, choć matka opłakiwała ją jak zmarłą przez siedem dni, tyle bowiem dusza krąży wokół ciała, nie mogąc się rozstać ze swym ziemskim bytem.

Wciąż mieszkaliśmy razem, lecz z czasem coraz rzadziej się do siebie odzywaaliśmy. Mój brat zamieszkał w namiocie w pobliżu koszar, by lepiej służyć wojownikom, ale też by uciec przed naszym milczeniem. Rozlało się między nami morze nieufności, w którym łatwo się było utopić. Każdy, kto miał trochę rozumu w głowie, umykałby przed takim zgorzknieniem, a Adir był rozsądnym chłopcem.

Zajęłam się pracą w najmniejszym z gołębników, z dala od reszty. Nie mogłam zadośćuczynić matce. Oszukałam ją i zdradziłam. Obcowałam z mężczyzną przed ślubem. Nie można było tego cofnąć, gdyż nawet czarownica nie sprawi, że kobieta upadła znów stanie się czysta.

Dopiero kiedy udawałam się na spoczynek, stawałam się kimś innym. W marzeniach często mknęłam na koniu pośród akacji. Rozmyślałam o dawnym przyjacielu Nurim i o tym, jak go oszukałam, udając istotę złożoną z mięśni i ścięgien, mimo że byłam kobietą z krwi i kości. Przed Amramem nie udawałam, ale może nie wyjawiałam mu tego, co najważniejsze. Nie powiedziałam, jak mam naprawdę na imię. Dlatego mnie nie znał i nigdy nie mógł poznać, bez względu na to, ile razy by mnie posiadał i jak bardzo bym go kochała.

Z tego też powodu nawet gdy byliśmy razem, czułam się samotna.

Nie był dla mnie, bo nigdy nie pogodziłby się z tym, co przed nim skrywałam. Nazywał mnie swoją owieczką, gołębicą, ukochaną, lecz nie byłam żadną z nich. Zaczęłam unikać miejsca naszych schadzek. Ten, który znał mnie jak męża, musiał czekać przy fontannie i płonąć z żądy. Podpatrywałam go jednak w mroku niczym czuwający z oddali anioł. Tęskniłam za swymi marzeniami, za dawną wolnością. We śnie pytałam ojca mojej siostry, czy widział mnie taką, jaką naprawdę jestem. Spoglądał wtedy smutno i milczał, gdyż wszystkich nas utracił i nie mógł za nami podążyć ani odpowiedzieć, nawet we śnie.

Zaczęłam nosić starą tunikę mego brata. Była brązowa, ufarbowana wywarem z łupin orzechów i przetarta. Od razu poczułam się w niej dobrze. Zaplatałam włosy i spinałam je mosiężną spinką pod chustą, by przechadzać się po twierdzy jak bezimienny chłopak, który nie chce przyciągać cudzych spojrzeń.

Pierwszy raz, odkąd tu przybyłam, poczułam się sobą.



Martwiłyśmy się w gołębnikach o los uwięzionego jeńca. Minął miesiąc *ijar* i zbliżał się letni miesiąc *siwan*, gdy upał buchał z wnętrza ziemi i lał się z nieba. Człowiek

z krainy lodu był dla nas nikim, więźniem zamkniętym w wieży, który ledwie znał nasz język i nigdy nie stanie się jednym z nas. Tymczasem minęło pół roku i inny na jego miejscu padłby z głodu, bo nie miałyby Jael i pozostałych gołębiarek, które by o niego dbały. Może i zapomnieliśmy, że jest niewolnikiem. Jego milczenie i spokój budziły naszą sympatię, gdyż odnosił się do nas inaczej niż inni mężczyźni. Nie lękałyśmy się jego siły ani sądów. Często nas zaskakiwał, a już najbardziej wtedy, gdy tuż przed uwięzieniem wyjawiał nam swoje imię. Wyznanie to było dla pozostałych kobiet szokiem, lecz ja domyślałam się, dlaczego podzielił się z nami tak intymnym szczegółem. Jeśli znasz imię mężczyzny, ten należy do ciebie i nawet jeśli będziesz się tego ze wszystkich sił wypierać, ty także należysz do niego.

Gdy miesiąc przed swym uwięzieniem Wynn zobaczył, jak biorę w dłonie łuk, domyślił się, że więcej we mnie chłopca niż kobiety. Był świetnym wojownikiem i dojrzał go też we mnie. Powinnam być ostrożniejsza, ale tak przywykłam do broni, że nie umiałam ukryć swej wprawy ani radości, jaką to mi dawało. Mina jeńca wskazywała, że dostrzegł we mnie brata, kogoś, z kim mógłby ruszyć na łowy w innym miejscu i czasie.

– Świetnie – pogratulował mi, kiedy wypróbowałam strzały, które przygotowałam dla Amrama. Zaczęłam wyciągać je z pnia oliwki, do której celowałam, podczas gdy pozostałe kobiety wróciły do gołębnika.

– Rzeczywiście, są ładne – odrzekłam skromnie.

Roześmiał się. Dziwnie wymawiał nasze słowa, w jego ustach brzmiały chłodno i konkretnie.

– Ładne? Miałem na myśli to, jak strzelasz. Ilu ludzi zabiłaś?

Spuściłam wzrok, by nie domyślił się prawdy.

– Sądzisz, że wieczorami zasadzam się na swe ofiary przy wrzecionach?

– To nie od wrzeciona – ocenił, przyjrząwszy się nagniotkom na mych dłoniach.

Zaczął opowiadać mi o broni swego ludu, jakby wprowadzał w jej tajniki młodszego brata. Niewolnicy nie zdradzają się nawzajem – bo ja, choć nie zakuta w kajdany, byłam niewolnicą prawdy o własnym pochodzeniu. Wynn był dobrym nauczycielem, cierpliwym i chętnie przekazującym wiedzę. Gdy przywiązałam pióra do końców strzał, tak jak czynili to w jego krainie, mknęły z większą prędkością. Godzinami ćwiczyłam strzelanie z łuku na tyłach gołębnika. Pewnego razu moja strzała dosięgła jednego z gołębi, który frunął tak wysoko, że zdawał się skrawkiem obłoku.

Wynn szkolił mnie w sztuce łuczniczej, pokazywał, jak nabrać powietrza, nim naciągnę cięciwę, i chwilę odczekać. Ta ostatnia wskazówka sprawiła cuda, przydając mej strzale rącości, życia i rozmachu. Jeniec opowiedział mi o jeleniu ze swej krainy,

szybszym niż wiatr i lampart na pustyni. Jedynie ptaki mogły dotrzymać mu kroku. I taka miała być nasza broń. Pióra przemieniały strzały w szybujące ptaki, a chwila wyczekania przywodziła na myśl ich nagłe opadanie poprzedzające moment, gdy znowu wzbijają się ku niebu.

Kiedy łuk poranił mi palce, powiedziałam Amramowi, że to od wrzeciona. W przeciwieństwie do jeńca uwierzył. Nie miał pojęcia, kim jestem, zupełnie jakbym nosiła ów płaszcz, który wdziewał jego ojciec, gdy napadał na wrogów w zaułkach Świątyni. Poprosił, bym utkała mu w dowód miłości płaszcz w ulubionym odcieniu błękitu. Zgodziłam się, choć wiedziałam, że nigdy go nim nie obdaruję. Nie umiałam tkąć.

Po wielogodzinnych ćwiczeniach z łukiem moje ramiona nabrały mięśni niczym u wojownika, lecz tłumaczyłam, że to od noszenia koszy z łajnem na pole. Później Amram przez wiele tygodni przychodził, by mi pomóc, uznając, że jest to dla mnie zbyt ciężkie zajęcie. Wynn uśmiechał się za jego plecami, a ja odpowiadałam uśmiechem, gdyż niektóre tajemnice zbliżają ludzi, tak jak inne ich od siebie oddalają.

*

Nie chciałam dociekać, co łączy Jael z jeńcem, choć widziałam, że go rozpala. Kiedyś powiedziała, że moja miłość to moja sprawa, więc odwzajemniłam się jej tym samym. Mimo to dostrzegałam, jak on na nią patrzy, i byłam świadoma, że Jael go rozkuwa.

– Ją też spytałeś, ilu ludzi zabiła? – napałam na Wynn. Wymknęły mi się te słowa w żartach, lecz jeniec spojrział w jej stronę i posmutniał.

– Jednego na pewno – odrzekł.

Powinnam była się domyślić, że się w niej zadurzył i spróbuje przekonać, by uciekli razem. Był szczery i prostolinijny, nawet jeśli groziły mu za to kajdany.

Jael zanosila mu strawę, kiedy go uwięzili. Opowiadała, że Wynn prawie się nie odzywa. Był tak wycieńczony, że nie mógł wstać z lichego, wypchanego słomą siennika. W celi coraz bardziej cuchnęło, gdyż nikt nie wynosił odchodów, lecz on się nie skarżył i nie przeklinał strażników. Bez przerwy mówił o rodzimej krainie lodu, jakby wciąż miał ją przed oczami. Gdy o niej opowiadał, upał stawał się znośniejszy, a jeniec drżał, jakby grzął w śniegu. Jego lud wierzył, że po śmierci każdy powraca do domu. W następnym życiu Wynn będzie się przechadzał pod wielkimi cisami w swej ojczyźnie i znów spotka tych, którzy odeszli przed nim.

Któregoś dnia zaklinał się, że dojrzał przez okno jelenia. Trudno go było upolować,

gdyż mknął po łące z prędkością ptaka.

– Jakież to piękny zwierz... – szepnął.

Jael opowiedziała nam o tym ze łzami w oczach, bowiem u nas nie było jeleni, a cela nie miała okna.

Był to ponury czas. Zrozumieliśmy, że żyjemy w całkowitym odcięciu od innych, jakbyśmy już trafili do Przyszłego Świata. Wkrótce wypadało Szawuot, Święto Tygodni, obchodzone na pamiątkę dnia, w którym Mojżesz otrzymał Torę. W przeszłości wierni czcili je, pielgrzymując do Świątyni w Jerozolimie, by ofiarować *bikkurim*, pierwsze plony zebrane po siedmiu tygodniach prac w polu. Ofiar też było siedem: pszenica, jęczmień, winogrona, figi, granaty, oliwki i daktyle.

Tak nakazywały obyczaj i prawo, lecz nie istniała już Świątynia, do której można by się udać, i niewiele było powodów do świętowania. Sady nie obrodziły, mimo deszczu sprowadzonego przez moją matkę. Ziarna było tak mało, że zapełniło spiżarnie ledwie do połowy. Wszyscy zastanawiali się, czy to nie dzieło demonów, bo – rzeczywiście – jak już coś padało, to najczęściej grad tak twardy, jakby był z kamienia.

Choć mówiło się, że Masada nigdy nie padnie i że Bóg stworzył tę górę z myślą o powstańcach, byśmy mogli nieustająco Go wysławiać, zaczęłam się zastanawiać, jak długo wytrzymamy oblężenie Rzymian. Królewskie spiżarnie nie będą nas karmić w nieskończoność. Przez lata spożywaliśmy oliwę, wino i soczewicę Heroda, ale te były już na wykończeniu. Mieliśmy wielkie prasy do tłoczenia oleju, lecz mało oliwek na drzewach i oliwy w dzbanach. W spiżarniach panoszyły się roznoszące choroby i wyżerające nasze skromne zapasy szczury, ponoć celowo ściągnięte tu przez Rzymian, na wypadek gdybyśmy odbili im twierdzę.

*

Rozeszła się wieść, że Rzymianie zajęli inny przyczółek zelotów na pustyni. Twierdza Macheront położona na wschód od Morza Soli na granicy z Moabem padła przed wojskami dziesiątego legionu pod wodzą legata cesarskiego Lucyliusza Bassusa, który cieszył się sławą niepokonanego. Wyrocznia przepowiedziała, że zawsze będzie sprzyjać mu szczęście, i najwyraźniej teraz też go nie zawiodło. Choć nazwa Macheront oznacza miecz, to ponoć do klęski przyczynili się sami jej obrońcy. Twierdza miała krwawą przeszłość. Legenda głosi, że jej więźniem był wielki nauczyciel Jan, którego w końcu ścięto, gdy nie wyrzekł się głoszonych przez siebie nauk.

Mówiło się także, że zajmwszy twierdzę, powstańcy postanowili zniszczyć wszystko,

co należało do okrutnego króla Heroda i jego synów. W swej gorliwości ścięli rosnącą tam setki lat, ogromną, wyższą od figowców rutę będącą ponoć talizmanem skrywającym sekret naszej wolności i szczęścia i tym jednym pochopnym uczynkiem zaprzepaścili swe szanse na tryumf. Ruta potrafi ocalić lub zniszczyć, przynieść szczęście lub śmierć. Kilku wojownikom ich uczynek nie dawał spokoju i próbowali zasadzić tam inne drzewo, lecz jego korzenie usychały.

Kiedy Rzymianie rozpoczęli oblężenie, jeden z wojowników, faworyt tłumów, wpadł w zasadzkę. Legioniści urządzili mu publiczne tortury tak straszne, że większość zacnych ludzi nawet nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Jego bliscy i przyjaciele musieli patrzeć, jak Rzymianie odcinają mu po kawałku członki i wciskają w niego wciąż płonące, cierniste żagwie, odzierając ze skóry i ciała jego duszę. Inni wojownicy błagali legionistów, by go uwolnili, a w zamian za życie swego brata i własne oferowali im poddanie się. Ci przystali na te warunki i powstańcy opuścili twierdzę. Mimo zapewnień Rzymianie nie dotrzymali słowa. Nie zdziwiliśmy się, że Lucyliusz Bassus okazał się kłamcą. Nasi wojownicy przypisywali demonom jego imię. Wszystkich powstańców z Macherontu wymordowano, a ich wsiąkająca w ziemię krew zabarwiła ją na czarno.

Rzymianie ułożyli ciała w stosy. W ogień wrzucali nie tylko poległych, lecz także słabych i chorych, z których nie mieliby niewolników. Ich krzyki niesły się echem po całej Judei. Kilka kobiet z pola zarzekało się, że tamtego dnia spadł deszcz kamieni, a kiedy na ziemię poleciały ostatnie figi, w lepkich owocach było pełno mrówek, które zżerały je od środka.

Wieczorem mężczyźni zebrali się w synagodze na modły, porażeni wieściami, które do nas dotarły. Słyszałyśmy stamtąd nie tylko modlitwy, ale też odgłosy sporu.

– Jak można uniknąć losu Macherontu? – pytał niskim spokojnym głosem ben Jair. Poznałyśmy, że to on, bo gdy przemówił, wszyscy inni zamilkli. – Nie dopuścimy, by nasze kobiety i dzieci zginęły na stosach – zapewniał wojowników. – Nie mamy wyjścia – ciągnął. – Nie ma odwrotu.

To z niego czerpaliśmy naszą siłę.

Kiedy jednak poszłam do sadu, stwierdziłam, że figi, zaiste, opadły z drzew. W najbardziej zielonej ze wszystkich pór roku te złote owoce zległy szerniałe na ziemi.



Jael martwiła się nie tylko o Wynna, lecz także o Arjego. To on okazał się kluczem,

który otworzył zakratowane drzwi celi w wieży. Pokazano go żonie przywódcy, dostarczając jej rozrywki, w zamian za jej zgodę na dożywianie więźnia. Jednak niektóre klucze pasują do wielu zamków i nie należy nikomu ich użyczać ani dawać. Żona ben Jaira znalazła chorobliwe upodobanie w Arjem i powstała nowa cela zbudowana z jej ramion i skrytych pragnień.

Widywałam tę śniadą kobietę wieczorami, jak snuła się wzdłuż murów niczym duch w poszukiwaniu ciała, dzięki któremu ożyje. Dziecko było pewnie lekiem na jej bezpłodność i smutek.

Kiedy wieczorami po Arjego zjawiała się Riwka, żona przywódcy coraz usilniej zaczynała nalegać, żeby u niej nocował, kołysząc, jakby był jej synem. Zagroziła, że przestanie udzielać wsparcia jeńcowi, jeśli Arje u niej nie zostanie. Po co ten barbarzyńca ma żyć, skoro ona nic z tego nie ma? Posunęła się nawet do tego, że poszła do kapłana, by wybrać najkorzystniejszy dzień na śmierć Wynna.

Dowiedziawszy się o tym, Jael udała się do Willi Channy. Pokłoniła się jej, ale jasno dała do zrozumienia, że to ostatnia wizyta Arjego w zamian za życie więźnia. Kiedy wieczorem wróciła po dziecko, drzwi były zaryglowane. Na rozkaz Channy pilnował ich wartownik. Był nim przyjaciel Amrama, Uri, który wcześniej doprowadził Jael do twierdzy, dobroduszny i powszechnie lubiany młody wojownik. Do środka jednak jej nie wpuścił.

– Robię, co mi każą – powiedział przeproszającym tonem. – Ona przemawia głosem swoim, ale też i męża. Zrozum, nie mam wyjścia.

Jael zaczęła krążyć wokół pałacu niczym żebraczka wyciągająca rękę na bazarze. Riwka dołączała do niej wieczorami i szlochała, winiąc się za to, co się stało, gdyż to ona dobiła targu z Channą. Moja matka ostrzegała, że nie wyjdzie z tego nic dobrego. Powtarzała, że, wbrew pozorom, to bardzo niebezpieczna kobieta. Tymczasem Riwka twierdziła, że jej przywiązanie do dziecka wynika jedynie z samotności.

– Tak jak przywiązanie głodnej żmii do gołębia – roześmiała się szyderczo matka. – Przekonasz się, jaka z niej krwiożercza istota.

Jael przyszła do mojej matki cała we łzach, błagając ją o zaklęcie, które pozwoli jej odzyskać syna.

– Na pewno możesz temu zaradzić – prosiła.

Byłam pewna, że matka nie odmówi pomocy swej ulubienicy, jednak tylko smutno pokręciła głową.

– Trzeba było nie pozwolić jej go dotykać. Teraz trzyma go w swych szponach.

– Daj mi coś, co pokona demona – błagała Jael.

– To nie demon, tylko kobieta – rzuciła sucho matka. – A w tym przypadku to

jeszcze gorzej.

Czuwałam przy pałacu wraz z innymi. Znienawidziłyśmy Chanę za jej hucpę. Chwaliła się Arjem, ubierała go w tunikę, którą mu utkała. Kobieta, która tak długo stroniła od ludzi i której służba uwijała się w ogrodzie i kuchni, gdy cała reszta chodziła głodna, nagle z dumą zaczęła się przechadzać popołudniami po placu z niby własnym dzieckiem na ręku, wdając się w rozmowy z innymi kobietami, zachwycającymi się urodą Arjego i jego pogodnym uśmiechem.

Wnukowie Riwki codziennie szpiegowali dla nas żonę ben Jaira i donosili nam o jej posunięciach. Noe i Lewi mieli łatwość wtapiania się w cień, choć ich głosy mocno się niosły. Powiadają, że gdy coś utracisz i to do ciebie wróci, nagroda jest podwójna – i tak właśnie było z wnukami Riwki. Kiedy się odzywali, ich słowa przykuwały uwagę. Długo tłumione rozmowy zdawały się teraz przepojone słodyczą. Opowieści, które nam znosili, były tak potoczyste, jakby niewidzialna ręka spisała je w powietrzu.

– Przystaje przy jamie czarnej żmii między skałami, by złożyć jej ofiarę – donosili. – Karmi Arjego z ręki, dając mu figi, granaty i jęczmienne ciastka, jakby był gołębiem. Powtarza mu, że jest tak słodki, iż pszczoły będą za nim ciągnąć jak do ula.

Starszy z nich, Noe, był bardzo podobny do ojca, Człowieka z Doliny, samotnika i wojownika, który bardzo mnie intrygował. Amram twierdził, że nie zraza go największa jatka i że rwie się do walki, gdy inni już dawno – i słusznie – by się wycofali. Ryzykował niczym szalenciec, kusił anioła śmierci i wyzywał go na pojedynek, wymachując zgrzebnym toporem, jedyną bronią, jakiej potrzebował. Inni go podziwiali, mówili o nim z szacunkiem, a niekiedy z trwogą, lecz nie chcieli walczyć u jego boku, gdyż wiedzieli, że ten, kto nie lęka się śmierci, jest najniebezpieczniejszym z wojowników.

Co czyni z kobiety tę najgroźniejszą, nie zawsze jest jasne, gdyż to, czego nie widać gołym okiem, często bywa najbardziej zabójcze. To, co ukryte, może zniszczyć. Demony przybywają nocą, kiedy masz zamknięte oczy i nie spodziewasz się zdrady. Matka nie chciała zmierzyć się z Chaną, więc zaczęłam się zastanawiać, w czym ta śniada kobieta może nad nią górować. Gdy ją obserwowałam, widziałam jedynie słabą niewiastę, która zdołała utkać mocną pajęczą sieć.

– Żona ben Jaira wciąż szepcze Arjemu, że tylko ona potrafi go ochronić – donieśli nam wnukowie Riwki. – Przestrzega go przed kobietami czyhającymi pod murem. Powtarza, by nigdy nie słuchał tej o imieniu Jael, bo kłamliwie spróbuje mu wmówić, że należy do niej.

Jael pobladła, słysząc te oszczerstwa, a piegi na jej twarzy stały się jeszcze

wyraźniejsze, jakby ktoś pochlapał ją krwią. Wysłała chłopców, by dowiedzieli się jeszcze więcej. Zakradli się przez pałacowy ogród pełen mięty, majeranku i szałwii tak blisko, jak tylko zdołali. Ujrzeni Channę wyczekującą przy drzwiach męża z dzieckiem na ręku, jakby chciała mu je złożyć w ofierze.

– I co na to ben Jair? – spytała Jael, gdy wnukowie Riwiki opowiedzieli jej o tym zdarzeniu.

– Przeszedł obok – odrzekł Noe. – Nawet na nią nie spojrział.

Jael kiwnęła głową, nieco uspokojona. Była wychudzona i podenerwowana, jednak za wszelką cenę próbowała przekonać samą siebie, że Channa odda jej Arjego.

– Co się stało, można odczytać – rzuciła.

Nic nie powiedziałam, choć słyszałam, jak matka mówiła dokładnie to samo w dniu ślubu mojej siostry, a jednak Nahara została przy mężu. Już nie byłam pewna, czy nasz los jest jak nić, którą można odwinąć ze szpulki i ponownie na nią nawinać.

Pewnego wieczoru, gdy wraz z Riwką i Jael czuwałam przy murze pałacu, zobaczyłyśmy, jak przywódca powstańców wchodzi do swych komnat. Moja matka nie chciała nam towarzyszyć. Ostrzegała nas, lecz nie usłuchałyśmy. Zauważyłam, że zbladła, kiedy padło imię Channy. Nie było jej zatem wśród nas, gdy ujrzałyśmy szerokie barki, tańs i dumną postawę ben Jaira, który kroczył niczym król, choć nie dbał o sprawy doczesne i wyrzekł się majątku, dostrzegłszy chciwość bogaczy z Jerozolimy. Jego żona sypiała w pałacu, a on pod gołym niebem bądź w koszarach, by przekonać wojowników, że ich wódz niczym się od nich nie różni.

Postanowiłyśmy pójść do niego i opowiedzieć o niegodziwości, jaka spotkała Jael. Słynął z prawości – może rozsądzi spór na korzyść prawowitej matki. Jednak gdy się zjawił, Jael i Riwka poczuły się onieśmielone, gdyż ciążyło na nim brzemie całego naszego ludu. Ciężar odpowiedzialności za twierdzę był tak wielki, że kobiety uznały, iż ich prośba dotycząca Arjego może mu się wydać błaża. Jak śmiemy wciągać wodza w nasze rozgrywki, skoro padła Jerozolima i wszędzie czyhały na nas demony?

Masada była teraz jedyną powstańczą twierdzą w Judei. Pozostałe zostały odbite i z tego powodu Rzym skupił swoją uwagę na nas. Początkowo ogarnęła nas euforia. Byliśmy dumni, że pozostajemy niepokonani i niezłomni, ale z czasem zaczęliśmy lękać się reakcji legionistów, świadomych, że tylko nam udało się przetrwać.

Nawet znana z ciętego języka Riwka nie chciała zawracać głowy wodzowi losem pojedynczego dziecka, mimo że przecież chodziło o naszego ukochanego Arjego. Ben Jair był zbyt wielkim człowiekiem, zbyt wiele ważnych spraw go zaprzętało. Ja jednak się nie ulękałam. Dla mnie był wojownikiem jak każdy inny. Mężczyzna jak

mężczyzna, niejednego zabiłam w swym dawnym życiu. Widziałam, że wszyscy oddają duszę Bogu w taki sam sposób.

Powiedziałam, że pójdę.

Jael przyjęła to z zaskoczeniem, ale i wdzięcznością.

– Mój brat dostrzegł twe piękno i ja też – odpowiedziała z prostotą.

Ostatnio miałam właśnie wrażenie, że Amram szuka w kobiecie jedynie piękna, niczego więcej. To, kim byłam naprawdę, skrywały fale moich czarnych włosów, pozory. Przyjęłam podziękowanie i zamilkłam. W zapadających ciemnościach ruszyłam wzdłuż murów. Poruszałam się bezszelestnie. Umiałam osaczać ofiarę i wtapiać się w mrok.

Podszedłszy do okna, stanęłam na stercie drewnianych szczap i podciągnęłam się na parapecie. W komnacie było niewiele mebli. Większość posłużyła za podpałkę. Zadziwiły mnie za to freski na ścianach i marmurowa posadzka. Przez chwilę patrzyłam na nie zauroczona, myśląc o członkach rodziny królewskiej, którzy kiedyś tu mieszkali, nie zaznając lęku ani ubóstwa. Zrozumiałam, dlaczego królowa Egiptu zaklinała Rzymian, by podarowali jej tę twierdzę. Nagle spostrzegłam Chanę i wstąpiła we mnie czujność. Siedziała na ławie przy kominku, tuląc Arjego i do niego szepcząc. Najwyraźniej była nim zachwycona i ucieszyłam się, że Jael tego nie widzi.

Obok pieca stała rzeźbiona kołyska z akacji, wykonana przez słynnego cieślę z Jerozolimy. U wezłowania przywiązano amulet. Siennik zasłano zdobną płócienną pościelą, a do płóz doczepiono dzwoneczki mające płoszyć demony. Arje miał na sobie fioletową tunikę, niczym dziedzic tronu. Wyglądało na to, że komnata ta była jego domem i że zaspokajano tu wszystkie jego potrzeby. Dotarło do mnie, że Channa nie zamierza go oddać.

Pomyślałam o ojcu mojej siostry, o tym, jakim okrutnikiem był wobec wrogów i że mogę mu w tym dorównać, jeśli tylko zechcę. Musiałam jednak to w sobie ukrywać, choćby przed Amramem.

Nie mogłam wdrapać się tam przez okno i chwycić leżącego na stole sztyletu, by wziąć to, po co przyszłam. Zamiast tego grzecznie zapukałam do drzwi.

Nie spodziewałam się, że otworzy je sam wódz.

– Przychodzę po dziecko – rzuciłam cicho, udając, że jestem tylko piękną dziewczyną. Spaliłam pół tuzina gałęzi akacji za dusze, które wysłałam w zaświaty, zbryzgała mnie gorąca krew koziorożca, a teraz spuściłam wzrok. Kątem oka obserwowałam jednak ben Jaira, który wpatrywał się we mnie z taką mocą, że wreszcie pojęłam, czemu Jael i Riwka bały się z nim rozmawiać.

– Dziecko? – spytał, zdumiony moją obecnością i przedstawionym żądaniem.

Biła od niego siła jak od żadnego innego mężczyzny. Poczułam się przy nim mała i pochyliłam głowę. Próbowałam nie zapomnieć, kim kiedyś byłam, ilu wojowników zabiłam i że noce były moim żywiołem. Spojrzałam na niego.

– Jego matka czeka.

Ben Jair dostrzegł na murze Jael, Riwkę i jej wnuków. Przypominali nieco duchy, które pozostają na ziemi, gdy ci, którzy zginęli niesprawiedliwą śmiercią, nie potrafią zaznać spokoju.

– Ma matkę?

Jego zdumienie wskazywało na to, że żona inaczej mu to przedstawiła.

– Jak każdy.

Twarz ben Jaira rozjaśnił uśmiech. Odetchnęłam z ulgą, może nawet odpowiedziałam tym samym.

– I ojca?

– Tego nie każdy ma – odparłam śpiesznie.

– Każdy – zapewnił mnie.

Kazał mi czekać. Cofnął się i zamknął drzwi. Rozejrzałam się po pielęgnowanym przez niewolników ogrodzie. Była tam kamienna fontanna z czasów Heroda, teraz bez wody i popękana, z rozbitymi kwiatonami. Na schludnych grządkach rosły przeróżne zioła, a wokół unosił się rześki, słodki zapach. Słyszałam śpiew ptaków, choć było ciemno, a te nie latały po zmroku – jedynie sowy gnieźdzące się w jaskiniach wśród skał. Jednak, dziwna rzecz, śpiewały o tej godzinie.

Zapуściłam się w pobliże fontanny. Pod kratownicą, po której pięły się pnącza ogórków o ciemnozielonych liściach, stała drewniana klatka, a w niej przycupnęły dwa gruchające gołębie.

Poczułam iskrę pod okiem, jakby wiadomość, którą kiedyś znalazłam, wciąż mnie parzyła. Moje serce nagle zrobiło się ciężkie. Zaczęłam wątpić, bym zdołała stąd uciec, mimo że właśnie na to miałam ochotę. Zastanawiałam się, czy te ptaki w klatce to dawni posłańcy na Żelazną Górę i czy przypadkiem matka nie zechciała tu przyjść, by nie narażać się na gniew Channy.

Ben Jair wrócił z dzieckiem na rękach. Słyszałam dochodzący z komnaty szloch. Ruszyłam przez ogród. Do moich szat lgnął zapach mięty, a w uszach dźwięczała pieśń gołębi, ta, która towarzyszyła mi na Morzu Soli, gdy ptaki skubały ziarno z mej dłoni, nim matka wypuściła je z klatki.

– Po to przyszłaś? – spytał ben Jair, podając mi Arjego.

Kiedy się do mnie odezwał, zrozumiałam, dlaczego wojownicy idą za nim, choć mogą zginąć i nie wrócić, i czemu tak w niego wierzą. Chciałam mu wspomnieć o gołębiach,

jednak nie zdołałam już nic z siebie wydusić. Powinnam mu podziękować, ale zaniemówiłam. Nie doczekał się moich słów, lecz przemówiła za mnie cisza.

Nim zniknął za drzwiami, Eleazar ben Jair przyłożył mi dłoń do czoła. Grzechem było dotykać kobiety innej niż żona i córka. Wtedy zrozumiałam, że to dla niego poświęcała się moja matka. Dlatego wygnano ją z Jerozolimy i dlatego dzień po dniu wyczekiwała na Żelaznej Górze powrotu gołębia z wiadomością, by w końcu do niego dołączyła.

Znalazłszy się tamtego wieczoru w domu, nie prosiłam matki, by wypowiedziała na głos imię mojego ojca. Widziałam, jak rozczesuje swe długie czarne włosy grzebieniem z drewna akacji ściętej w lasach Moabu. Widziałam tatuaże na jej skórze. Pozostała tą kobietą, która nie chce zdradzić córce, kim jest, i która nie pomoże Jael, jeśli będzie zmuszona stawić czoła wrogowi używającemu mnie jako argumentu, by wygnać ją na pustynię.

Ujrzałam odbicie swojej twarzy w misie z wodą i dostrzegłam wpatrujące się we mnie oczy mego ojca. Teraz, gdy będą wypowiadać jego imię, usłyszę także własne. Chadzałam samotnie nocą ubrana w tunikę i opończę Adira, szukając tych, którzy rozprawiali o moim ojcu. Pragnęłam słuchać o jego walecznych wyczynach i dobroci okazywanej ludziom w potrzebie. Wierzył, że wszyscy są równi: czy to słudzy, czy kapłani, i wymagał, by przestrzegali prawa, które stanowiło, że – jak Bóg przykazał – nie wolno zbierać owoców w czterech kątach sadu, by nawet najbiedniejsi spośród nas znaleźli miłosierdzie w czasach głodu.

Chciałam z nim porozmawiać, uczynić coś, na co nie zdobyłam się podczas wizyty u niego. Kiedy usłyszałam o zawodach łuczniczych dla wojowników, poszłam tam jako chłopak, którym kiedyś byłam, w chuście zakrywającej twarz i z przerzuconym przez ramię łukiem, którym wypróbowywałam strzały. Może spotkam tam ojca, który wreszcie mnie pozna, tak jak ja poznałam jego. Czekałam cały dzień, podziwiając wojowników o silnych ramionach i plecach, które tężały z wysiłku, gdy napinali łuki. Pokrzykiwali po bratersku i rywalizowali, obwiniając wiatr, kiedy chybili, i chwając najlepszych, gdy ich strzały osiągały celu.

Kiedy przyszła kolej na Amrama, widziałam, z jakim podziwem towarzysze broni przypatrują się jego kunsztowi. Ja też bym go pochwaliła, ale poczułam coś jeszcze – żądło zazdrości, osę w sercu. Ben Jair kibicował młodemu wojownikom i serdecznie oklaskiwał Amrama. Pomyślałam, ile dał mi szczęścia, i zaczęłam się zastanawiać, czy to dzięki niemu urodziłam się pod znakiem żelaza i dlatego pragnęłam czegoś więcej niż inne dziewczęta. Patrząc na tłum przypatrujących się konkursowi kobiet,

wiedziałam, że gdybym stanęła między nimi, marzyłabym, by mierzyć się z mężczyznami.

Już miałam wrócić do naszej cichej izby, kiedy w bladym świetle zapadającego zmierzchu dostrzegłam jastrzębia, tego samego, którego piórami przystrajałam strzały Amrama. Przypomniałam sobie czerwone plamy na swych rękach od wywaru z korzenia marzany, gdy tak pieczołowicie je przyozdabiałam. Zamierzałam mu je podarować, lecz tego nie uczyniłam, bo dotarło do mnie, że od samego początku robiłam je dla siebie. Nie wykonałam ich na cześć będącego mym oblubieńcem Feniksa, ale na wspomnienie czerwonych lilii rosnących na łąkach Moabu – na pamiątkę siebie z przeszłości.

Miałam je teraz przy sobie, ukryte pod płaszczem.

Stałam gotowa do strzału, podkuszona przez demona lub własną dumę. Nikomu nieznany chłopak, w którym nikt nie upatruje godnego siebie rywala, dopuszczony do zawodów. Nawet nie spojrzeli, gdy pierwsza strzała trafiła w cel. Druga sprawiła, że się obejrzeli i zaczęli przyglądać. Trzecia dała im już do myślenia. Skupiłam się na jednym: na chwili, gdy odciągam cięciwę i odczekuję – jak uczył mnie Wynn – by strzała poszybowała niczym ptak. Zapomniałam o dziewczynie, którą udawałam. Słyszałam tylko szum wiatru. Pomyślałam o mych ojcach – tym, który wszystkiego mnie nauczył, i tym, od którego chciałam się uczyć teraz.

Zmrużywszy oczy, ujrzałam przed sobą swą ścieżkę, prostą jak strzała.

Moje strzały trafiały w te wypuszczone przez innych wojowników i strącały je na ziemię. Teraz już wszyscy się we mnie wpatrywali. Trudno było nie dostrzec czerwieni piór, pola lilii. Gdy skończyłam, zapadła cisza.

Ben Jair powstał i tłum zaczął wiwatować. Dzwoniło mi w uszach, jakby dopadła mnie burza, wicher zza Morza Soli. Wyszeptałam dziękczynienie dla ojca mojej siostry, wojowników, u których boku mknęłam na koniu, i dla Nuriego, nad którym we wszystkim górowałam. Stałam bez ruchu, przepełniona szczęściem, pragnąc na zawsze zapamiętać tę chwilę. Ale chwila jest niczym sen, znika, kiedy próbujesz ją pochwycić, i ta również uleciała do Tego, o którym nigdy nie wolno zapomnieć. Nagle powróciłam do rzeczywistości. Moje oczy i uszy znów były moje. Tłum sławił Adira, ogłaszając go swym bohaterem.

Wzięli mnie za mego brata, przekonani, że to on jest łucznikiem nad łucznikami. Wiwatowali, lecz się od nich odwróciłam. Wojownicy i publiczność przywoływali do siebie Adira, by go uhonorować. Pomknęłam przez plac Zachodni, biegnąc coraz szybciej, jakby od tego zależało moje życie. Widziałam świat wokół, skały i dolinę, ale kraina ta już nie była moja. Oddałam ją bratu.

Dotarłam do zapuszczonego, ogrodzonego murem ogrodu na tyłach Pałacu Północnego, gdzie kobiety zbierały zasadzone kiedyś zioła i czosnek, o których dawno zapomniano. Skubały je skowronki, jednak pierzchły, gdy przybiegłam cała rozogniona i zdyszana. Zrzuciłam z siebie szaty Adira. Były jedynie głupim przebraniem. W miejscu, w którym stanęłam, rósł rozmaryn, zwany ziołem pamięci, wrotami przeszłości. Serce łomotało mi w piersi i drżały kolana. Owijając się szalem, szlochałam nad własnym losem.

Jastrząb podążył za mną. Może to rzeczywiście był ten, którego wytresował Wynn, by przysiadł na parapecie okna gołębnika, zajadły drapieżca, który się ukorzył, żeby wyjadać okruchy z ręki Jael. Spojrzałam w niebo. Patrząc, jak nade mną krąży, przypominałam sobie, czym jest wolność. Przeszłość kroczyła za mną, nawet jeśli tego nie chciałam. Byłam sobą bez względu na to, jak bardzo chciałam umknąć przed prawdą.

Przewieszony przez ramię łuk wciąż tkwił pod moim szalem.



W rosnącym upale miesiąca *siwan* często widywaliśmy w dolinie Rzymian. Wysyłali coraz więcej *exploratores*, by obserwowali twierdzę ze skalistego podnóża góry. Byli zwiadowcami, których jedyne zadanie polegało na wypatrywaniu wroga i składaniu meldunków przywódcom. Rzymianie od dawna wiedzieli, że tu jesteśmy, tak jak wiedzieli o Macheroncie i innych twierdzach opanowanych przez zelotów. Byliśmy daleko od Jerozolimy, więc nas ignorowali, lecz fama niosła się szybko, aż w końcu opowieści o potędze Masady trafiły do rzymskich uszu. Po bazarach w okolicznych miastach krążyło coraz więcej pogłosek o naszej rebelii. Ich mieszkańcy odśpiewywali w naszej intencji *szir tiszbechot*, pieśń chwały, a ci, którzy nam sprzyjali, przeklinali Rzym, najpierw szeptem, a później coraz głośniej. Mówili, że Masada to niewidzialna góra, bo sykariusze użyli hebrajskich liter, by zaciągnąć nad nami zasłonę z powietrza i oparów oddzielających niebiosa od ziemi. Powiadali, że z wież twierdzy widać tron Wszechmogącego. Każdy, kto zdoła nią zawładnąć, zawładnie światem.

Legioniści mogli się nam przypatrywać, ale szybko się przekonali, że przypuszczenie szturm było wręcz niemożliwe. Ben Jair wydał rozkaz, byśmy w razie pojawienia się *exploratores* pozostawali w domach, żeby nie byli w stanie nas policzyć. Mogli pomyśleć, że jesteśmy liczniejsi niż w rzeczywistości i że twierdzy strzegą tysiące wojowników, a nie starcy, kobiety i dzieci, gdy tamci ruszali na wypady po okolicy.

Niech sobie patrzą, ile wlezie. Zobaczą tylko, że to góra, na którą przywiodła nas łaska pańska, niezdożyta skała, z której nigdy nas nie przegnają. Czasami chłopcy zrzucali w dół kamienie jako ostrzeżenie i śmiali się do rozpuku, kiedy żołnierze pierzchali w popłochu.

Ja się nie śmiałam, widząc białe tuniki dziesiątego legionu i proporzec z wizerunkiem dzika. Na ich widok przechodził mnie dreszcz. Pod żadnym względem nie mogliśmy dorównać rzymskim żołnierzom szkolonym tylko do tego, by stać się machiną śmierci. Nasi wojownicy byli najlepsi, kiedy czaili się jak wataha wilków, uderzając na wroga w ciemnościach. Ich jedyną nadzieją na sukces był atak z zaskoczenia, gdy szybkość i zajadłość – z bożą pomocą – mogły pokonać moc. Przy okrytych zbroją, świetnie zorganizowanych i doświadczonych w boju legionistach wyglądali jednak wręcz żałośnie. Nasi ojcowie i bracia byli bojownikami o wolność, nie żołnierzami. W przeciwieństwie do ojca mojej siostry powstańcy z Masady nie urodzili się wojownikami, na których już przed przyjściem na świat czekały konie i sztylety. Byli kapłanami, piekarzami i uczonymi w Piśmie, a ich oręż stanowiły noże, łuki i kamienie, nie mosiądz i żelazo. Byliśmy niczym wobec okrutnej potęgi Cesarstwa Rzymskiego.

Gdy wojownicy postanowili wytropić grupę *exploratores*, by się dowiedzieć, w jakiej odległości od twierdzy znajdują się wojska Rzymian, Jael przekazała mi prezent dla Amrama, skrawek błękitnej tkaniny w kolorze nieba, chwały Pana i Jego tronu.

Amram roześmiał się i schował go pod szatą tuż przy sercu.

– Nasza rozłąka nie potrwa długo – rzucił, rozpoznawszy talizman. – Moja siostra o to zadbała.

Wyjaśnił, że strzępek błękitu doprowadzi go do mnie bez względu na to, jak daleko zawędruje. Ujął mą twarz w dłonie i pocałował. Poczułam strach, bo to, co między nami było, już się skończyło, mimo że dałam mu prezent. Weszłam na mury, by patrzeć, jak schodzi ścieżką wraz z pozostałymi wojownikami. Nie miałam pojęcia, że wyruszył z nimi także mój brat, póki nie spotkałam tam naszej zatroskanej matki.

– To jeszcze dziecko – biadoliła. Źle ostatnio wyglądała, przestała jeść i stroniła od ludzi. Była bardzo blada. – Po co to zrobili? Po co z nimi poszedł?

Wyrzuty sumienia sprawiły, że nie odpowiedziałam. Zawody przekonały wojowników, że Adir jest łucznikiem nad łucznikami, i zabrali go ze sobą jako swego brata. Kroczył u ich boku dzięki moim strzałom z czerwonymi piórami. Jego los był moim brzemieniem, gdyż to za moją sprawą wojownicy obdarzyli go szacunkiem. Tymczasem dla matki Adir wciąż pozostawał dzieckiem, któremu przyczepia się do

szat amulety, by chronić go przed złem. Odrywał je ze śmiechem, twierdząc, że nie ma ona pojęcia, co znaczy być mężczyzną.

Niedługo miał skończyć trzynaście lat, lecz nie był jeszcze gotowy. Ja upolowałam pierwszego koziorożca, mając dziesięć, ale przywykłam już wtedy do widoku krwi. Jeździłam konno u boku nieustraszonych wojowników. Wiedziałam, że trzeba palić gałęzie akacji w ofierze za dusze zabitych. Mój brat tymczasem wierzył, że być mężczyzną to ślepo podążać za wojownikami, nawet jeśli brakuje ci ich umiejętności. Myślał o wielkiej chwale, a nie o kałużach krwi. Nie wyobrażał sobie okrucieństwa, jakiego stanie się świadkiem, kiedy na jego oczach będą ginąć towarzysze.

Modliłyśmy się z matką o bezpieczny powrót Adira i wypowiadałyśmy zaklęcia przed ołtarzykiem, na którym zapaliła kaganek. W duchu przeklinałam samą siebie, gdyż to ja powinnam była zająć jego miejsce. Matka wypisała nam na ramionach imiona Boga, by usłyszał nas w niebie, choć kobietom wzbraniano to robić. Takie odwołania do Wszechmogącego były zastrzeżone tylko dla kapłanów, lecz ona nie bała się łamać nakazów prawa. Złożyłyśmy ofiarę z gołębia i wypisałyśmy mu na piórach jego własną krew, że zakazujemy demonom, by podążyły za Adirem do doliny. Zawodziłyśmy cicho, aby nikt nas nie usłyszał, gdyż nie ośmieliłybyśmy się ujawnić tego, co czynimy, tak jak ja nie ośmieliłabym się powiedzieć prawdy o okolicznościach udziału mojego brata w wyprawie wojowników.

„Przywołuję Jego wielki majestat, by zatrwożył wszelkie duchy aniołów zniszczenia oraz te, które uderzają znienacka i prowadzą nas na manowce. Zniszcz ich złe serca w czasach nieprawości”.

Wypowiedziałam te słowa wraz z matką, jednak nie dodałam, że to przez moją nieprawość brat trafi na pole walki i że to ja muszę za to odpokutować.



Pewnego upalnego ranka nioski w gołębniku nagle opadły na klepisko. Brałyśmy je w dłonie, próbując ukoić ich drżenie i przywrócić im życie. Kilka padło bez wyraźnego powodu. Byłyśmy głodne, lecz nie przyrządziłybyśmy z nich stawy dla siebie ani dla wojowników po ich szczęśliwym powrocie, gdyż ptaki zmogła jakaś choroba.

Być może właśnie w tym czasie Channa udała się do kapłana, by zaplanować datę egzekucji więźnia. Wszystkie poczułyśmy zbliżającą się śmierć – rzuciła na nas cień niczym przepływający po niebie obłok i zrobiło się nam zimno. Matka zaniósła martwe gołębie do domu, położyła na ołtarzyku, okryła głowę chustą i wyszeptała modlitwę, by odpędzić anioła śmierci, ale ta ofiara nie wystarczyła. Jeszcze tego samego dnia

obwieszczono, że nazajutrz po południu strażnik pójdzie do wieży i świat pozbędzie się niewolnika. Nie byliśmy dzikusami jak Rzymianie, którzy krzyżowali swych wrogów, by zadać im jak największe cierpienia, rozciągając śmierć w czasie, jak rozciąga się człowieka na drewnianym krzyżu, aby konał w mękach. Nasz jeniec zazna najlaskawszej śmierci przez poderżnięcie gardła, którą zsyłamy nawet najpośledniejszym ze stworzeń, by wydały ostatnie tchnienie za jednym pociągnięciem noża.

O zmroku Channa zaczęła krążyć pod murem przy kwaterze Riwki. Miała na sobie pelerynę, jednak chłopcy natychmiast ją wypatrzyli, bo ponoć mieli zdolność postrzegania demonów. Żona ben Jaira przyszła tam bez lęku, a jedynie z gorącym pragnieniem, gorętszym niż panujący na dworze upał. Arje miał wkrótce skończyć rok. Był cichym i uroczym dzieckiem i już próbował chodzić. Zdesperowana Channa okazała się nierozważna. Postanowiła sprzeciwić się woli męża, choć ten ostrzegał, by się do nas nie zbliżała. Ben Jair ruszył jednak z wojownikami za Rzymianami, nie mógł zatem osądzić ani ukarać żony za jej uczynki. Pokrzepiona ziołami mojej matki była teraz silniejsza niż dawniej, mocna na tyle, że zdolna zrobić krzywdę. Trzymała w dłoni pęczek hizopów, jakby chciała zadrwić z kwiatów, które przysporzyły jej wielu cierpień.

– To przeze mnie! Sama ściągnęłam na nas demona! – rozszlochała się na jej widok Riwka.

– Nie! – odparła stanowczo Jael z kamiennym wyrazem twarzy. – To moja kara.

– Nie uczyniłaś nic złego – zaprzeczyła Riwka.

– Złodziej zawsze pozna swego – szepnęła Jael.

Spakowała wszystkie rzeczy Arjego i ruszyła ku murom z dzieckiem na rękę.

– Umowa to umowa – rzekła Channa. – Nie żądam zbyt wiele, tylko tego, co mi się należy.

Stały w pobliżu ogrodu, w którym Jael uwolniła skorpiona. Tamtego wieczoru się nie pojawił, lecz wciąż tam był. Chłopcy go widzieli, a przecież rozumieli, że to, co niewidzialne, może być groźniejsze niż to, co przed oczami. Bez przerwy toczyliśmy walkę z głodem – może skorpion też chodził głodny? Tymczasem Channa opływała w zbytki. Choć jej mąż wierzył, że wszyscy zasługujemy na tyle samo, brała więcej, niż się jej należało.

– Dobrze się nim zajęłaś – Channa pochwaliła Jael, widząc, że ogniste znamię na policzku dziecka prawie znikło. Jael kąpała syna w olejkach i nacierała mu skórę balsamem. Gdy Channa czule pogłaskała go po buzi, Arje odpowiedział uśmiechem. – Ze mną będzie mu lepiej – rzuciła.

Jael nie zamknęła się w sobie, jak uczyniłyby inne. Nie miała czasu na fanaberie. Jeniec wciąż żył. Channa dotrzymała umowy, ale kto ufa zmii, zasługuje na ukąszenie. Mądry widzi, jaki kto jest naprawdę, a nie to, jak sam siebie opisuje.

Uporawszy się ze swymi obowiązkami w gołębniku, Jael ruszała po chrust. Często to robiła, więc wartownicy już rozpoznawali córkę skrytobójcy o rudych włosach. Wybierała się po niego o zachodzie słońca. Szukała w półmroku gałęzi, które posłużą nam na podpałkę, suchego drewna, którym napalimy w piecu. Wracała prawie po ciemku. Niekiedy siadywała na murach twierdzy w gasnących promieniach słońca z koszem gałązek u boku i tkaną chustą na głowie, spod której wymykały się lśniące szkarłatne kosmyki włosów. Wiedziała, że wartownicy się jej przypatrują, wodząc za nią wzrokiem. Właśnie dlatego pozwalali, by się tam kręciła.

Każdego dnia schodziła coraz niżej, stąpając po ścieżkach, na które niewielu odważyłoby się zapuścić, jeśli nie liczyć kozioroźców, bez lęku pomykających po skalnych urwiskach. Jej chusta miała wzór pochodzący z krainy na północy, której żadne z nas nigdy nie zobaczy, gdzie języki lodu były niczym rzeki, w kilka chwil można było zamarznąć, a strzały wszystkich wojowników nosiły wizerunek jelenia.

Kiedy pewnego razu Jael zwróciła się do mnie o pomoc, poszłam z nią bez wahania, mimo że miałyśmy pod drzwiami więcej drewna na podpałkę niż którykolwiek z mieszkańców twierdzy.

– Dziwne, że nie poprosiłaś o pomoc mojej matki – rzekłam.

– Wartownicy nabraliby podejrzeń. Tobie ufają.

Gdy się do nich zbliżyłyśmy, Jael szepnęła, żebym ściągnęła szal z głowy, by mogli dojrzeć moje długie czarne włosy. Byłyśmy dla nich dwiema ładnymi i radosnymi dziewczętami idącymi po chrust. Pomachałyśmy im na powitanie. Odtąd chodziłyśmy tam codziennie. Wartownicy nie pytali nas o nic, tylko się przyglądali, chłonąc widok naszych nagich ramion, którego im nie szczędziłyśmy.

Mijając niewielką jaskinię, Jael za każdym razem odmawiała modlitwę. Szepnęła mi, że mieszka w niej lew, ale taki, który nad nami czuwa. Czasami składała mu w ofierze gołębia, a innym razem kilka kosmyków swych włosów. Była przekonana, że jest jej aniołem stróżem, mimo to cieszyłam się, że mam przy sobie sztylet, na wypadek gdyby zwierz, o którym mówiła Jael, postanowił nas zaatakować.

Wieczorny chłód sprawiał, iż zaczęłyśmy wkładać pod płaszcze cieplejsze szaty. Zawsze narzucałam na siebie dodatkowy szal, w którym wydawałam się bardziej

postawna. Ściśle obwiązywałam głowę chustą, przesłaniając niemal całą twarz. Pewnego razu Jael przyniosła mi szary płaszcz. Powiedziała, że należy do jej ojca. Od razu przypomniał mi się jego dar i opowieści o tym, jak wprowadzał Amrama w tajniki niewidzialności. Wiedziałam, że człowiek może się stać niczym obłok lub mgła w oczach swego wroga. Amram czynił to, gdy chcieliśmy wywieść w pole moją matkę, by się potajemnie spotkać.

Jak tylko wdziałam na siebie płaszcz sędziwego skrytobójcy, wartownicy przestali mnie dostrzegać. Stałam się dla nich powietrzem, kimś, komu nie warto się przyglądać. Pozdrowili Jael, której lśniaco rude włosy tak podziwiali, lecz mnie zignorowali, kiedy wlokłam się za nią z wiązką chrustu.

W umówionym dniu poszłam do wieży w porze wskazanej przez Jael. Spożywszy wieczerzę, strażnik często zasypiał na ławie z brzuchem wyдутym po strawie złożonej z soczewicy i grochu. Miałam w kieszeni wytrych, metalową blaszkę wygiętą przez moją matkę, dzięki której pokazała wartownikom, jak łatwo było jeńcowi uciec z gołębnika, by ci nie domyślili się, że to Jael go rozkuła. Nasunęłam kaptur płaszcza na głowę. Nikt mnie nie zatrzymał, gdy szłam korytarzem ani później, na schodach. Zgodnie z przewidywaniami Jael strażnik drzemał na ławie. Weszłam do celi. Uderzył mnie panujący w niej brud i zaduch. Było ciemno, jednak dostrzegłam nieszczęsnego Wynna leżącego na zasłanym szmatami barłogu. Był tak brudny, iż nikt by się nie domyślił, że kiedy się u nas zjawił, odrastająca po zgoleniu szczecina na jego głowie była jasna jak lód, a skóra miała kolor mleka.

Rozpoznał mnie i wstał, by powitać.

– Wojowniczką – odezwał się przyjaźnie.

Głos miał słaby, zamierał mu w gardle. Ciało też nie sprawiało wrażenia mocnego, osłabione brakiem świeżego powietrza i strawy.

– Dziś jestem kimś innym – oznajmiłam.

– Kim? – spytał zagubiony.

Uśmiechnęłam się i zrzuciłam płaszcz.

– Tobą.

*

Żaden z wartowników nie zwrócił uwagi na dwie kobiety, z których jedną, odzianą w szary płaszcz, ledwo się dało dostrzec. Przywykli, że wychodzimy przez bramę, kiedy mrok zaczyna się ścielić na niebie, a przez zasłonę dzielącą dzień od nocy przenikają anioły i demony. Nie zauważyli też, że Jael wróciła z chrustem sama,

przystając przy murze, by spojrzeć na góry, nad którymi krążył jastrząb, jakby się zastanawiał, czy nie powrócić do twierdzy, nim zniknął w zapadających ciemnościach.

Odczekałam, aż miałam pewność, że Wynn wymknął się z twierdzy. Odmawiałam psalm, który miał mu zapewnić bezpieczeństwo. *Sziwwiti Adonaj le-negdi tamid*. „Stawiam sobie zawsze Pana przed oczy”^[4]. Cieszyłam się, że o tej porze roku rośnie dzika cebula i zające wychodzą z nor w poszukiwaniu trawy. Może Wynn przetrwa na pustkowiu i odnajdzie drogę do krainy jeleni.

Żaden strażnik nie podszedł do otwartych przeze mnie drzwi celi. Wysłałam niezauważona, przebrawszy się w tunikę, by znów przemienić się w chłopaka, który pomaga więziennym strażnikom w wieży.



W rozedrganym od upału powietrzu miesiąca *tamuz*, kiedy zbieraliśmy winogrona i wokół roznosiła się ich słodka woń, zaczęliśmy wyczuwać zbliżającą się wojnę. Przelatywały nad nami wielkie stada powracających z południowych żerowisk ptaków: pelikanów, bocianów, jerzyków i pustulek. Stadnie przybywali też ludzie, fale uciekinierów umykających przez pustynię przed żołnierzami dziesiątego legionu. Niektórzy wdrapywali się na górę. Gdy prosili o litość, pozwalano im rozbijać namioty w sadach i, zgodnie z prawem, mogli zbierać owoce, które spadały na ziemię w ich kątach. Ale nie tylko oni byli wygłodzeni. Sami ledwo zaspokajaliśmy głód macą i opadłymi z drzew owocami. Chodziłam za bramę, by łapać ptaki śpiewające w sznurowe siatki. Kiedy znudziło mnie to polowanie na dziewczęcą modłę, chwyciłam za łuk i strzelałam do bażantów, które trafiały na nasz stół.

Gdy przechodziłam przez plac z przewieszonym przez ramię łukiem, nikt nie mówił ani słowa. Pewnie sądzili, że to łuk mego brata i że pod jego nieobecność dbam o należącą do niego broń, a może jeszcze prędzej myśleli, że czyszczę poplamione krwią groty jego strzał.

Choć matka opłakiwała moją siostrę, jakby odeszła od nas na zawsze, kiedy tylko mogłam, zносиłam upolowane bażanty esseńczykom. Dla mnie Nahara nie umarła. Często widywałam ją w towarzystwie tych skromnych i pracowitych kobiet. Myślałam wtedy o tym, jak w dawnym życiu podążała za mną przez trawę, jak odsyłałam ją do namiotu i straszyłam, udając sowę, aż zaczynała chichotać. Wspominałam lata, gdy sypiałyśmy na jednym sienniku, często śniąc te same sny, i jeszcze nim otworzyłyśmy oczy, mogłyśmy rozmawiać o tym, co nas w nich spotkało. Zawsze marzyłam, by jej

ojciec był również moim, bo wtedy byłybyśmy siostrami w każdym wymiarze. Teraz bałam się, że ucieknie, jeśli do niej przemówię, zaklinając, by do nas wróciła.

Usiadłam obok Nahary na drewnianej ławie przed domem. Zaczęłyśmy skubać bazanty. Wkrótce pod naszymi nogami utworzył się krąg lśniących brązowo-zielonych piór.

– Możesz polować – rzuciła siostra znacząco. Esseńczycy uważali, że kobiecie nie wolno dotykać broni ani odbierać cudzego życia.

– Kiedy nikt nie patrzy – uśmiechnęłam się, licząc, że będziemy żartować z moich dawnych wyczynów, ale ona pokręciła głową. Siostra, z którą kiedyś razem śniłyśmy, z którą łączyło mnie wspólne tchnienie i której ojciec pozostał dla wszystkich tajemnicą, uznała moje uczynki za hańbiące.

– Wszechmogący widzi.

Ubodła mnie ta uwaga.

– Kornie się do Niego modlę. To także widzi.

– Stoimy u progu końca świata, a tobie się zdaje, że nasze dni są wieczne, jeden podobny do drugiego – odrzekła, jakby była nauczycielką, a ja mało pojętną uczennicą. Była przekonana, że nastał Koniec Czasów, i jak jej mentorzy uważała, że tylko głupcy żyją tym, co doczesne. Ci, którzy nie wierzą, że świat, jaki znamy, niebawem przeminie, wkrótce poznają prawdę.

Tunika i szal mojej siostry były poprzecierane, gdyż nie miała czasu ich zacerować i, jak stwierdziła, nie miało to sensu. Skoro to Koniec Czasów, jej tunika przemieni się w szatę żałobną. Wyznała mi, że esseńczycy przestali sypiać. Zbyt wiele boskich prawd musieli zapisać na świętych zwojach, a czasu pozostało już mało. Może dlatego Nahara była taka blada i wychudzona, że kości poniżej szyi niemal wyszły jej na wierzch. Powiedziała, że esseńczycy często modlą się przez całą noc, chcąc się przekonać, czy jeszcze wstanie słońce i czy nadejdzie kolejny poranek.

Oporządzając ptaki, poplamiliśmy się krwią. Teraz powiesimy je na sznurku, by obciekły do końca, nim zostaną posolone i upieczone. Nie spożywaliśmy krwi pod żadną postacią. Był to jeden z najsurowiej przestrzeganych nakazów Boga. Ręce miałyśmy jednak ubrudzone. Ujęłam dłoń siostry. Doniosła na mnie matce, lecz nie mogłam jej porzucić.

– Co oni ci takiego dają?

– Wszystko. – Nahara cofnęła rękę i, zawiedziona, pokręciła głową. – Życie w pokoju, Azizo.

Spojrzała w stronę koszar i zgromadzonej w nich broni. Nawet dzieci wyglądały kamienie, ociosując je w kule, którymi można było z wielką siłą ciskać we wrogów,

gdyby okazali się na tyle nieroztropni, by nas zaatakować. Nahara odwróciła głowę. Miała łzy w oczach. Zawsze płakała, kiedy przy niej zabijano. Nie mogła patrzeć na królika, który wpadł w sidła. Nie jadaliśmy ich, gdyż uznawaliśmy za nieczyste, lecz pobratymcy ojca Nahary nie mieli takich skrupułów. „Ty to zrób”, prosiła, gdy biedne stworzenie trzęsło się w pułapce. Brałam je wtedy i dusiłam szybko, by nie musiała na to patrzeć. Zrobiłabym wszystko, o co poprosiła.

– Chyba nie uważasz, że to jest odpowiedź? – spytała, wskazując sterty broni.

– A co esseńczycy każą ci zrobić, gdy Rzymianie zaatakują?

– Zaufać Abbie.

Nahara splotła dłonie na podołku. Była spokojna i piękna, wyglądała dojrzalej niż jej rówieśnice. W pierwszej chwili sądziłam, że ma na myśli ich kapłana, jednak dotarło do mnie, że mówi o Bogu. Podobnie jak inni esseńczycy twierdziła, że łączy ją z Nim bardzo osobiste relacje, zupełnie jakby była jego córką.

– A jeśli to oznaczałoby śmierć? Mamy się położyć i czekać, aż nas stratuja?

– Wtedy znów powstaniemy. – Nahara spojrzała na mnie ze współczuciem, jak na młodszą siostrę, która nic nie rozumie.

– Twój ojciec służył z odwagi. Walczył o pokój.

Uśmiechnęła się na te słowa. Wreszcie dojrzałam w niej dziewczynę, którą była, nim od nas odeszła.

– O pokój się nie walczy, siostro, tylko się go przyjmuje – odparła.

– Nie w świecie twojego ojca – przypomniałam jej.

Roześmiała się, gdyż nie mogła temu zaprzeczyć.

– To było dawno. My też byliśmy wtedy inne.

– Płakałaś, kiedy wyruszył do Petry. Bałyśmy się, że cię tam usłyszą, tak głośno go nawoływałaś.

– Byłam dzieckiem – wzruszyła szczupłymi ramionami Nahara. – Był jedynym mężczyzną, jakiego znałam. Teraz – wskazała na stół, przy którym ślęczał nad jakimś tekstem Malachiasz – należę do niego.

Słyszałam, że Malachiasz pisze ponoć tak pięknie, iż sami aniołowie przybywają, by podziwiać jego pismo, ponieważ słowa były pierwszą rzeczą, jaką Bóg stworzył na początku z ciszy, i pozostały najwspanialszym z Jego dzieł.

– W takim razie cieszę się twoim szczęściem – odpowiedziałam.

Zostawiłam jej bażanty i odeszłam, nie mogąc wyznać prawdy. Niezależnie od tego, co czyniła ani kogo kochała, to ja przywróciłam ją światu, który teraz z taką chęcią by opuściła. A przecież były tu akacje przyciągające swym kwieciem pszczoły i ciągnące się w nieskończoność pola porośnięte trawą i czarną porzeczką.

Bez względu na to, co mówiła, wciąż była moja.

Wybrałam się na wieczorną przechadzkę, by cieszyć się wolnością, przebrana za chłopca, i natknęłam się na grupę esseńczyków grzebiących w ziemi nieopodal synagogi. Było tam pełno białych jak gwiazdy na niebie kamieni. W górze unosiły się chmary nietoperzy poszukujących ostatnich fig w wysuszonych jarach. Wkrótce miały nadejść największe upały i powietrze było gęste i ciężkie niczym kotara.

Zakradłam się tam i ukryłam za niewydającym już owoców *etrog* drzewem cedratu. Choć karłowate i pozbawione liści, jego kora wciąż miała tę szczególną woń: słodką i cierpką zarazem.

Dostrzegłam, że mężczyźni trzymają dużą urnę z brązowej gliny, taką, w jakiej przechowywali zwoje. Zakopali ją ostrożnie, cicho pośpiewując, po czym szybko zasypali uświęconą ziemią. Zawodzenie wprowadziło ich w ekstazę. Kiwali się w tył i w przód, unosząc frędzle tałesów ku niebu, by Bóg dojrzał radość, jaką czerpią z modlitwy.

Rozmyślałam o ich dziwnych obyczajach do końca wieczoru. Nazajutrz wyprawiałam się tam o tej samej porze, by wypatrywać w ciemnościach. Znów tam byli i zakopali jeszcze jedną urnę.

Rankiem spytałam matkę, czemu pobożni mężczyźni potajemnie i bezceremonialnie naruszają uświęconą ziemię. Od wielu dni chorowała, była blada i ospała. Pieczę nad gołębnikami powierzyła mnie, Jael i Riwce. Jadała tylko zupę i piła wodę. Sporządzała zielony, bardzo mocny napar z gorzkiej wyki i ogórków, który sączyła przez cały dzień. Źle znosiła upały i polewała sobie głowę wodą, po czym zaplatała włosy w warkocze, by zatrzymać wilgoć.

– Grzebią swoje święte zwoje, bo odchodzą – odrzekła. Była o tym przekonana, bowiem przyjrzała się ich obyczajom, gdy się u nas zjawili. Pisma te były dla nich wszystkim, dowodem ich wiary. – Chcą mieć pewność, że kiedy zginą, ich prawdy przetrwają, a nie ufają nam na tyle, by je powierzyć. Tak szykują się do odejścia.

– Musimy ją tu zatrzymać! – wykrzyknęłam, skupiając swe myśli wyłącznie na siostrze. Nie było czasu do stracenia. Trzeba było natychmiast ją ratować. Zwiążę ją powrozem, usta zakryję chustą, by nie krzyczała, jak wtedy, gdy uciekłyśmy od jej ojca. Pożyczę płaszcz od Jael, ten, w którym wyprowadziła jeńca z twierdzy, i okryję nim Naharę od stóp do głów. Jeśli mąż zacznie jej szukać, dojrzy jedynie mgiełkę rosy na trawie.

Matka pokręciła głową ze smutkiem.

– Nic tu nie wskóramy. Myślisz, że nie wejrzałam w jej los tak jak w twój?

Jej wilgotne włosy lśniły w ciemnościach. W ostatnim czasie nie była w stanie pić dostatecznie dużo i się odwodniła. Zaczęła się okrywać czarnym szalem. Spuchły jej ręce i nogi, a skóra zmatowiała, jednak wciąż pozostawała piękna. Niektórzy twierdzili, że blednie przy niej niebo i że w Przyszłym Świecie aniołowie będą się wahać, czy ją do siebie przywołać, z obawy, że oślepi ich swą urodą.

– Gdy tylko ujrzałam esseńczyków, wiedziałam, że Malachiasz znęci ją na ścieżkę, którą nie wolno jej podążać. Dostrzegłam jej zgubę, tak jak i twoją. Jak myślisz, dlaczego odprawiłam go z gołębnika?

– Nie rozumiem.

Poczułam w sobie gniew. Matka wciąż powtarzała, że to mnie zniszczy miłość, nie Naharę. Odmieniłam swój los nie raz, lecz dwa razy, bo tak mi nakazała. Bez wahania spełniłam jej wolę, nie zadając pytań. Przypomniałam sobie, jak spaliła moje szaty na brzegu Morza Soli i jak wyparłam się samej siebie, gotowa uczynić wszystko, by ją zadowolić. Odwróciłam się od Amrama. Nie mogąc ujawnić prawdy o sobie, powoli się odkochałam.

– Mówiłaś, że powinnam wystrzegać się miłości, a teraz twierdzisz, że Nahara także? A Adir? I jemu jest to pisane?

Matka odwróciła wzrok, ale chwyciłam ją za rękę. Krzywiąc się, znów na mnie spojrzała. Uświadomiłam sobie, że jestem silniejsza. Już się jej nie bałam. Nie musiałam dotrzymywać obietnic złożonych kobiecie, która wciąż mnie oszukiwała.

– Wyjaw mi bożą prawdę, nie własną – czy taki los czeka wszystkie twoje dzieci?

– Miał spotkać mnie – odpowiedziała ochryłym głosem. Wydawała się krucha i strapiona. – Takie było moje przeznaczenie. Każdy, kogo bym pokochała, miał zostać wyklęty.

W izbie panował półmrok, jak pod wodą.

– Próbowałam cię nie kochać. – Z oczu matki popłynęły łzy, lecz nie miałam dla niej litości. Ingerując w moje przeznaczenie, unicestwiła osobę, jaką mogłam się stać. Całe moje życie było oparte na jej kłamstwach.

– Z dobrym skutkiem – rzuciłam chłodno.

– Chciałam cię chronić, przed miłością i przed sobą samą.

Może i płakała, ale na to nie zważałam.

– Ben Jaira też próbowałaś nie kochać?! – naparłam.

– Nie, tu nie mogłam wybierać. – Spojrzała na mnie. Pierwszy raz powiedziała prawdę. – Jego kochałam zbyt mocno.

Kiedy przyszłam do domu mojej siostry, nikogo nie zastałam. Ziemia wokół była

usłana kamieniami i kępami pożółkłej wyschniętej trawy. W przeciwieństwie do dnia ślubu, gdy Nahara zaparła się, by nie wpuścić nas do środka, tym razem drzwi ustąpiły lekko. Esseńczycy nie wierzyli w zamki. Jedynym kluczem, jaki miał dla nich znaczenie, był ten, którym Mojżesz otworzył wrota do niezliczonych prawd Adonaj.

Niewiele dobytku mieli do zabrania: parę kóz, szaty, które nosili, i przybory piśmienne, których nie przestaną używać na chwałę Pana, póki świat nie legnie w gruzach. Podłoga była zamieciona. Przemknęło mi przez głowę, że stojącą pod ścianą szczotkę mogła trzymać w rękach Nahara. Chwyciłam ją, by się o tym przekonać – drewno było chłodne. Na posadzce nie zauważyłam ani jednego okruszka. Nawet szczury, które nas ostatnio nawiedziły, nie znalazłyby powodu, by szukać ich po kątach czy pod starannie zasłanymi siennikami. Między dwiema palmami daktyłowymi na podwórku wciąż wisiał sznur na białinę, gruby powróż z koziego włosia, którym mogłabym skrępować siostrę i drugi raz ją ocalić.

Kątem oka dojrzałam za drzewem chłopca. Jehuda, syn Tamar, szlochał, przysiadłszy na ziemi.

– Nie chciała, żebym z nią poszedł – wyszeptał.

Był przywiązany do jednej z palm. Jego matka zrobiła to, co sama chciałam zrobić, by zatrzymać Naharę. Teraz Jehuda musiał zostać z nami, gdzie, jak liczyła Tamar, będzie bezpieczny.

Abba uznał, że jego pobratymcy nie wezmą udziału w naszej wojnie. Nieważne, że nie braliby udziału w walkach. Nie powinni oglądać gromadzonej przez nas broni. Nie wolno im było tu pozostać ze świadomością, że zamierzamy stawić czoła Rzymianom, gdy zaatakują. Zatem Bóg przekazał im swe przesłanie: nie mogą już kosztować owoców z naszych sadów, pić wody z naszych cystern ani w żaden inny sposób pochwałać naszych działań. Skoro dzieci ciemności i dzieci światła toczyły ze sobą bezustanną walkę, esseńczycy wytyczyli między nami granicę, choć ich przodkinie – Rachela, Sara, Rebeka i Lea – były także naszymi. Modliliśmy się do tego samego Boga, Tego, który nie ma sobie równych, lecz nie mogliśmy żyć w tym samym świecie.

Uwolniłam Jehudę i zaprowadziłam do domu Riwki. Ręce miał otarte od powrozu, gdyż za wszelką cenę próbował wyswobodzić się z więzów. Poprosiłam Riwkę, by go pocieszyła. Jehuda miał ciemne włosy, błyszczące oczy i dużą głowę o wyrazistych rysach twarzy. Jeszcze trochę, a stanie się mężczyzną. Czuł się upokorzony decyzją matki, by pozostawić go w twierdzy. Wnukowie Riwki dobrze go znali. Ich obecność dodała mu otuchy, choć w jego oczach wciąż szklili się łzy.

Podeszłam do muru, by podążać wzrokiem za zdradziecką ścieżką, którą ruszyli esseńczycy. Zmierzali ku jaskini zawieszanej na skale pośród urwisk

uniemożliwiających wspinaczkę. Gnieździły się tam hieny. Wewnątrz panował brud i cuchnęło odchodami oraz ogryzionymi do kości ochłapami. Wędrowcy spłoszyli stado koziorożców. Bokiem przemykały kozice, jakby uczyły się latać. Spod ich kopyt osypywały się kamienie, a spadające do położonej poniżej doliny głazy wzbijały tumany kurzu.

Gotowam była przysiąc, że wypatrzyłam w pyłe Domę, anioła grobu, którego imię oznacza ciszę. Nawiedza on zmarłych i wypytuje ich o imiona, by dusze mogły się udać w dalszą podróż. Kiedy kurz opadł, dojrzałam tylko esseńczyków w białych szatach, kroczących bosko po ostrych kamieniach, obojętnych na cierniste krzewy i skorpiony czyhające pod głazami. Zdało mi się, że widzę Naharę podążającą za mężczyznami z głową okrytą szalem i oczami wzniesionymi ku niebu, jakby całkowicie zawierzyła ścieżce i nie lękała się upadku.

Ale to była inna kobieta, nie moja siostra. Nie znałam jej.



Pierwszego dnia miesiąca *aw* Jael zasiadła przy naszym stole. Ta pora roku nie rodziła prawie nic, oprócz łez i soli. W miesiącu tym wszyscy mieliśmy się na bacności, gdyż padły wtedy obydwie Świątynie i ponoć tego samego dnia, dziewiątego dnia miesiąca *aw*, w Dniu Nieszczęść, kiedy dopada nas zło, Mojżesz rozbił otrzymane od Boga tablice, natknąwszy się na wiernych czczących złotego cielca. *Ha-olam* znaczy „świat”, a *le-olam* „wieczność” i słowa te są ze sobą splecione, ale w miesiącu *aw* mający trwać wiecznie świat zdawał się kruchy. Kruszył się kamień, prześladowała nas śmierć, padały miasta.

Nie rozmawialiśmy o ucieczce jeńca. Wciąż czułyśmy jego obecność, bowiem jastrząb powracał jeszcze przez jakiś czas na parapet okna w gołębniku i wyczekiwał swej pani, która tak szczerze karmiła go z ręki ziarnem. Ta szczodrość przywiązywała go do niej, a przecież był dziki. Wreszcie Jael zaczęła go przepędzać – raz, drugi, aż w końcu ruszył na północ i zniknął. Tamtego dnia zostawiła drzwi do gołębnika otwarte, jak wtedy, gdy ktoś umiera, i chcemy uwolnić jego duszę.

Po ucieczce jeńca Jael przyszła po pomoc do mojej matki, gdyż uznała, że groźba odwetu minęła i może już ściągnąć Arjego do domu. Głowę miała okrytą welonem, który spięła pod brodą. Dostrzegłam, że na jej szyi nie błyszczy już złoty amulet, cenny dar mojej matki.

– Wciąż się targujesz z martwymi kobietami – rzuciła posepnie matka. – Ten

pierwszy duch niczego cię nie nauczył?

– Channa nie jest martwa – zaoponowałam zdziwiona.

Widziałam ją tamtego popołudnia na placu z Arjem na rękach. Była bardzo ożywiona. Ludzie szeptali, że przekonała męża, iż to Bóg zesłał jej to dziecko, bo była bezpłodna od pierwszego dnia ich małżeństwa. Powiedziała ben Jairowi, że ta, która go urodziła, zaklina ją, by wzięła Arjego na zawsze. Dziecię to było darem Adonaj i Jego błogosławieństwem.

– Dla mnie ona jest martwa – powiedziała chłodno matka.

– Uczynię wszystko, by go odzyskać – oświadczyła Jael. – Sądziłam, że cena będzie niska, kilka dni rozłąki. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie miała zamiary.

Matka pokręciła ze smutkiem głową.

– Jeśli zwrócę się przeciwko niej, narażę własne dziecko. Tego oczekujesz w imię naszej przyjaźni?

– Nie boję się jej – odparłam.

Matka rzuciła mi krótkie spojrzenie i odwróciła wzrok. Wtedy zrozumiałam. Nie ja byłam tym dzieckiem, które chciała chronić. Powinnam była się domyślić dużo wcześniej. Oznaki wskazywały, że matka jest brzemienna, lecz nie dostrzegłam tego, bo nie chciałam. Oczywiście, że wiedziałam, kto był ojcem – mężczyzna ten nadal trzymał gołębie, które słał jej na Żelazną Górę. Matka wciąż należała do niego.

– Myślałaś, że jestem tylko czarownicą, a nie kobietą?

– Kolejne, które zniszczysz swoją miłością. – Wzruszyłam ramionami do głębi urażona.

Jael spojrzała na mnie ostrzegawczo i przyklękła przy mojej matce, by błagać ją o pomoc.

– Już o nic więcej cię nie poproszę, przysięgam.

– Jeden cenny podarunek już dostałaś – rzekłam, mając na myśli amulet. Matka nie zauważyła jego braku. Zaczęłam się zastanawiać, co powie, gdy odkryje, że Jael gdzieś go porzuciła.

Jael odsłoniła szyję, by pokazać, że nie ma amuletu. Kiedy przyznała, że podarowała go na szczęście Wynnowi, zrobiło mi się wstyd.

– Wybacz mi – powiedziałam.

Jael pochyliła głowę przed moją matką.

– Jemu bardziej się przyda niż mnie. Jeśli mi pomożesz, już o nic cię nie poproszę.

– Za to ja zgłoszę się do ciebie – wyznała matka. – Zaufanie jest cenniejsze od złota, a lojalność to najpewniejsza ochrona. Jeśli to dla ciebie zrobię, gdy przyjdzie czas, uczynisz wszystko, o co poproszę?

– Wszystko – przytaknęła Jael.

– Channa jest niepodobna do tej drugiej kobiety, która pragnęła twego dziecka – przestrzegła matka. – Tamta miała serce, choć była jedynie prochem. Channa jest bez serca. Wierz mi, prędzej zamorduje to dziecko, niż ci je odda. A moje przeklnie. Pamiętaj o tym, kiedy do ciebie przyjdę.

Wzięły sztylet, który Jael zawsze miała przy sobie, i nacięły sobie skórę. Krople krwi pociekły do kaganka, który zapaliły na ołtarzyku przed posążkiem Asztarte. Matka wyjęła miseczkę z *samtar*, maścią na rany po strzałach. Nasmarowała się nią niczym wojownik przed bitwą. Sięgnęła po trochę popiołu i soli oraz cenny balsam z Gileadu zawierający żywicę drzewa terpentynowego. Gdy Jael chciała uczynić to samo, powstrzymała ją.

– Mogę ci się przydać – zdziwiła się Jael.

– Ty nie – pokręciła głową matka, po czym skinęła na mnie. – Ona.

Nie miałam wobec tej zdrażliwej i kłamliwej kobiety żadnych zobowiązań, lecz ważył się tu los Arjego. Do tego dochodziło coś jeszcze, do czego nigdy nie przyznałabym się na głos.

Mimo że tyle razy mnie zawiodła, marzyłam, by to właśnie mnie wybrała.

Nasmarowałam się *samtar*, a później oliwą i zaplotłam włosy. Matka zawiązała mi siedem supełków pod szatą. Siódemka jest ponoć tą liczbą, która odpędza zło, gdy ma się do czynienia z czarownicą.

– Myślisz, że Channa jest wiedźmą?

– Ja to wiem – roześmiała się matka.

Kiedy wyszłyśmy na dwór, zapadał już zmierzch. To pora dnia, gdy mrok i jasność trudno zmierzyć i wszystko staje się możliwe. Matka zamierzała dokonać egzorcyzmu. W takich okolicznościach sam archanioł Rafael przybywa niekiedy z pomocą. Szeptano, że to właśnie on poradził pewnemu egzorcyście, by spalił rybie serce i wątrobę, co pomogło przegnać demony. Matka miała przy sobie suszone wnętrzności ryby, którą cudem złowiłyśmy w pobliskim wąwozie i której jedynym zadaniem było wypędzenie zła. Przeszył mnie dreszcz, gdy uświadomiłam sobie, że właśnie to zamierza uczynić, bo było to przedsięwzięcie zaiste niebezpieczne. Kiedy świat demonów stanie otworem, sam egzorzysta może paść ich ofiarą. Krążyły opowieści o takich, którzy już nigdy nie przemówili, gdyż w trakcie obrządku stracili serce i nie zostało z nich nic, oprócz sterty kości.

Ruszyłyśmy wzdłuż muru pałacowego ogrodu. W powietrzu unosił się zapach mięty. Słyszałyśmy gruchanie gołębi. Matka nie wahała się ani przez chwilę. Po jej twarzy

przemknął uśmiech, gdy przyklękła przy klatce. Kiedy otworzyła drzwiczki, sądziłam, że zacznie je głaskać, jak gołębie, które trzymała na Żelaznej Górze. Tymczasem ona potrząsnęła klatką. Ptaki wypadły na zewnątrz. Chwyciła je i uniosła. Gdy je puściła, natychmiast odleciały.

– Już nie są nikomu potrzebne – szepnęła, kiedy patrzyliśmy, jak znikają, tak jak wiele lat temu, zdawałoby się w innym życiu.

Nie zdziwiłyśmy się, gdy ujrzałyśmy Jael, która podążyła za nami i zastygła pod murem. Włożyła ciemny welon, by nikt jej nie poznał, lecz my nie miałyśmy z tym kłopotu. Rozumiałyśmy, dlaczego tu przyszła. Być może jej obecność doda nam mocy.

Podeszłyśmy do wrót z cyprysowego drewna. Matka przysunęła się do mnie, bym usłyszała jej szept. Czułam ciepło jej ciała i zapach olejku, którym natarła szyję i nadgarstki. Musimy pochwycić dziecko, gdy tylko przegnamy demona z kobiety, przed którą za chwilę staniemy – bo wtedy i jedynie wtedy będzie bezbronna.

– Channa spróbuje cię przestraszyć, ale jej nie słuchaj. Będzie piętrzyć twoje nieszczęścia, lecz się nie lękaj. Brakuje jej jednego składnika, bo mamy go tylko my.

Zrozumiałam, że tym składnikiem jest mój ojciec.

Pamiętałyśmy, by jak najściślej opleść głowy warkoczami, żeby demon, któremu za moment stawimy czoła, nie mógł chwycić nas za włosy. Nasmarowałyśmy ręce i nogi olejkiem z granatu, aby łatwo wyslizgnąć się z jego uścisku. Wypowiedziałyśmy zaklęcie: „*Abra ke-dabra*. Stworzę coś ze słowa. *Amen, Amen, Sela*”, bo słowo Pana naszego miało nas prowadzić i chronić przed złem. Jego pieśń będzie naszą jedyną ścieżką, mimo grzechów, które popełniłyśmy, i kar, na które zasłużyłyśmy. Powiedziałyśmy na głos, że to, w co wierzymy, możemy stworzyć na Jego oczach i Jego podobieństwo.

Matka pomalowała powieki proszkiem z lazurytu i skropiła się wonnościami o zapachu mirtu i lilii. Nasunęła szal na głowę, pewnie by wydać się skromną w oczach swej rywalki. Channa będzie dodatkowo oszołomiona, kiedy wreszcie odkryje, kto przyszedł do niej z wizytą.

Zastukała do drzwi, lekko, jakby miała akurat kosz warzyw na sprzedaż, sałatę albo czosnek. Usłyszałyśmy odgłos szurania, lecz drzwi pozostały zamknięte. Matka zapukała ponownie, tym razem mocniej.

Nikt nie podszedł do wrót, a wszelkie odgłosy ustały. Stałam na stercie drewna i podciągnęłam się na rękach. W rogu stała pusta kołyska. Dostrzegłam jedynie cienie, choć w kominku palił się ogień. Na żelaznym ruszcie stał garnek z wciąż gotującą się strawą. Poczułam woń soczewicy i mięsa.

Wyjęłam z płaszcza klucz uformowany z kawałka blaszki. Otworzyłam nim drzwi celi, by uwolnić Wynna. Może tutaj też się uda. Matka cofnęła się o krok, by zrobić mi miejsce. Klucz pasował idealnie. Drzwi ustąpiły z cichym szcęknięciem. Weszliśmy do komnaty, gdzie na ogniu stała strawa, która wkrótce spali się na węgiel, bo w garnku zaczęło już mocno bulgotać. Matka wrzuciła do niego rybie serce i wątrobę. Buchnął dym, bladozielony, a to kolor zawiści i zdrady.

Znalazłyśmy kaganek tłący się słabym płomieniem, jednak na tyle jasnym, że zdołałyśmy oświetlić nim drogę. Ruszyliśmy korytarzem z freskami przedstawiającymi siedem sióstr, namalowanymi przez rzymskich mistrzów. Każda z dziewcząt była ładniejsza od drugiej, lecz żadna nie dorównywała urodą mojej matce, nawet ta symbolizująca srebrzysty księżyc. Przystanęłyśmy przed nią, podziwiając odcienie ochry, ametystu i turkusu. Matka skinęła głową w kierunku drzwi. Zaczęłyśmy nasłuchiwać. Nauczyła nas tego w dzieciństwie, byśmy potrafiły odróżnić tętent kopyt Leby, wspaniałego rumaka jej męża, od wszystkich pozostałych. Gdy ojciec Nahary dziwił się, że wybiegamy, by go powitać, nim jeszcze mogliśmy dojrzeć, odpowiadałyśmy, że to Leba powiadamia nas o jego przyjeździe i że język koni jest całkiem łatwy.

Tu, w domu ben Jaira, zdało mi się, że słyszę odgłos chrząszcza, z tych, co to ponoć zlatują się do zmarłych. Po chwili dotarło do mnie jednak, że to czyjś miarowy, świszczący oddech. Dotknęłam swej szyi, matka skinęła głową. Znalazłyśmy tę, której szukałyśmy. Podążyłyśmy za tym dźwiękiem, przystając, gdy zamierał, i znów ruszając, kiedy stawał się wyraźniejszy. Trafiliśmy do spiżarni, gdzie w wielkich dzbanach przechowywano oliwę i wino jeszcze z zapasów króla Heroda. Było tam ciemno, ale kaganek rzucał dość światła, byśmy zdołały wypatrzeć kilka podłużnych cieni. Jeden przypominał sadzawkę z wodą spływającą ku nam w mroku. Channa przykucnęła za drzwiami niczym kruk w ciemnej tunice. Przygarbiona próbowała wtopić się w tło, jak zmierzch rozplywający się w ciemnej ścianie lasu.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ozwał się do nas Arje. Może wyczuł bliskość prawdziwej matki. Kruk szybko zakrył mu usta dłonią, lecz chłopiec znów zapłakał. Rozpoznał nas. Wzięłyśmy to za dobry znak. Bóg nad nami czuwał.

– Nie macie prawa tu wchodzić – rzuciła Channa, widząc, że się nam nie wymknie. Podniosła się, dumnie prostując, jakby nie kryła się przed chwilą po kątach z chrząszczami, przycupnąwszy w mroku. – Gdy wezwę straż, traficie do wieży. Albo każę was wygnać na pustynię, gdzie wasze miejsce. Zostałaś potępiona, a wydaje ci się, że możesz tu przychodzić jak do siebie.

Channa patrzyła na moją matkę jak na demona, który wślizgnął się przez otwarte

okno. Ta nie odpowiedziała. Nie reagowała na zjadliwe słowa Channy. Stała w drzwiach, zagradzając jej drogę ucieczki. Żona ben Jaira już nie mogła się ukryć ani wzywać pomocy. Matka rozpoczęła egzorcyzmy. Rozrzuciła na posadzce dwa kręgi z popiołu i skinęła na mnie. Stanęłyśmy wewnątrz kręgów i matka zaintonowała Pieśń Udręczonych. Miała piękny, czysty i delikatny głos. Początkowo Channa tylko się wsłuchiwała, poddając jego urokowi. Może sądziła, że to pieśń na jej cześć, wmawiając sobie, że matka chce złożyć jej hołd, przyznać się do błędów i zjeść sól, jak ponoć niektórzy zjadali swe grzechy. Ale kiedy pojęła słowa modlitwy, ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

„Kto przebywa w pieczy Najwyższego i w cieniu Wszechmocnego mieszka, mówi do Pana: »Uciezko moja i Twierdzo, mój Boże, któremu ufam«. Bo on sam cię wyzwoli z sideł myśliwego i od zgubnego słowa. Okryje cię swymi piórami i schronisz się pod Jego skrzydła. Jego wierność to puklerz i tarcza”^[5].

Może skrzydła, które – jak sobie wyobrażałam – wyrastały mi na plecach, pojawiły się tam za sprawą Wszechmogącego, gdyż czułam się bezpieczna od wszelkich pułapek i sideł. Powtarzałam słowa wypowiedane przez matkę. Wybaczyłam jej wszystkie popełnione grzechy.

Channa wpatrywała się w nią zaniepokojona i coraz mocniej tuliła do siebie Arjego.

– Wzięłaś, co moje! On miał dać dziecko mnie, nie tobie! Złodziei spotyka śmierć za ich uczynki, nie przebaczenie! Nie zdołasz nałożyć na mnie klątwy!

Matka wciąż śpiewała pieśń ku chwale Pana, prosząc Go o światłość.

„W nocy nie ulęknieś się strachu ani za dnia – lecącej strzały, ani zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe. Choć tysiąc padnie u twego boku, a dziesięć tysięcy po twojej prawicy, ciebie to nie spotka. Ty ujrzysz na własne oczy: będziesz widział odpłatę daną grzesznikom”^[6].

Słuchałam tego jak urzeczona. *Amen, Amen, Sela*. Mój głos dudnił, powtarzając jak echo słowa matki. Channa popatrzyła na mnie, a gdy to uczyniła, dostrzegła w moich oczach spojrzenie swego męża. Widząc jej zajadłość, zrobiłam krok w tył.

– Pozostań w kręgu – upomniała mnie matka.

Teraz Channa już wiedziała, kim jestem. Podpełzła bliżej, by lepiej mi się przyjrzeć. Byłam tym dzieckiem, które wysłała na pustkowiu, by dziobały je kruki i zajadały się nim szakale.

– Miałaś być moja – rzekła i rzuciła matce nienawistne spojrzenie. Oddychała tak ciężko, że trudno było ją dosłyszeć. – Bóg widzi, że tylko niszczysz i grzeszysz.

Głos miała zachrypnięty, dobiegał z jej najgłębszych trzewi. Słowa Channy godziły

mnie boleśniej niż groty strzał, jednak posłuchałam polecenia i nie opuszczałam kręgu. Nie dopuszczałam do siebie jej zawistnego jadu, wsłuchując się jedynie w pieśń matki. Niemal widziałam wypowiedane przez nią, pełne żarliwej wiary słowa, które zawisły w powietrzu.

„Albowiem Pan jest twoją ucieczką, jako obrońcę wzięłeś sobie Najwyższego. Niedola nie przystąpi do ciebie, a cios nie spotka twojego namiotu, bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie, aby cię strzegli na wszystkich twych drogach. Na rękach będą cię nosili, abyś nie uraził swej stopy o kamień. Będziesz stąpał po węzłach i żmijach, a lwa i smoka będziesz mógł podeptać”^[7].

Channa zaczęła odsłaniać swą prawdziwą naturę i pokazywać, do jakiej niegodziwości jest zdolna się posunąć.

– Arje jest mój! Zawarłam przed Bogiem umowę z jego matką!

Ta, która przegnała nas na pustynię, byśmy wpadły w objęcia śmierci, kiedy moja matka miała trzynaście lat, a ja ledwo co się urodziłam, chwyciła teraz sztylet i przyłożyła go Arjemu do gardła. Ruszyłam ku nim, lecz matka znów mnie powstrzymała.

– Jeszcze nie – szepnęła.

Channa ścisnęła Arjego tak mocno, że aż się zakrztusił. Cieszyłam się, że nie ma z nami Jael i że nie patrzy, jak objawia się nam demon. Wkrótce jednak nadejdzie chwila, gdy Channa całkowicie straci swą moc.

– Mało mi jeszcze ukradłaś, żeby teraz zabierać dziecko?! Prędzej ujrzę go w Przyszłym Świecie niż w waszym gronie!

Na czole mojej matki błyszczały kropelki potu. Poruszała ustami, powtarzając słowa pieśni. Nic dziwnego, że ludzie stawali przed nią jak porażeni i rozmawiali z nią anioły. Nic też dziwnego, że słuchał się jej deszcz i nawet córka, którą zawiodła, zrobiłaby wszystko, o co ją poprosi.

Czarna szata matki nagle się rozwarła i wtedy wszystkie stałyśmy się takie, jakimi widział nas Adonaj. Channa nie kryła wściekłości, ujrawszy, że matka spodziewa się dziecka. Dyszała coraz ciężiej i bardziej chrapliwie, jakby ktoś chwycił ją za gardło, odcinając dostęp powietrza, tak jak ona odcinała nas od mego ojca. Nagle wydała z siebie dźwięk, który nie był słowem: ostry, przeraźliwy krzyk demona.

Wtedy upomniałam się o skradzione dziecko. Wyrwałam jej Arjego z taką siłą, że aż się zatoczyła i poślizgnęła w miejscu, gdzie matka rozsypała sól, która miała przyciągnąć zło. Ta patrzyła na nią bez cienia lęku.

„Ja go wybawię, bo przylgnął do Mnie. Osłonię go, bo uznał moje imię”^[8].

– Ty wiedzmo! – zawyła żona ben Jaira.

„Będzie Mnie wzywał, a Ja go wysłucham i będę z nim w utrapieniu, wyzwolę go i sławą obdarzę. Nasycę go długim życiem i ukazę mu moje zbawienie”^[9].

– Weź go sobie – rzuciła, całkiem pokonana. – Rób z nim, co chcesz, ale męża ci nie dam.

Wybiegłam z Arjem do ogrodu, chcąc jak najszybciej uradować jego prawdziwą matkę. Później będziemy świętować ocalenie chłopca i śpiewać pieśni, lecz teraz słyszałam tylko jeden głos, mojej matki, która rozprawiała się ze swoją rywalką. Nie anioł, nie czarownica, ale kobieta, która przestała się bać, stanęła przed Channą i oznajmiła:

– Zawsze był mój.



Do twierdzy przybyli kupcy zza Morza Soli. Przywieźli przyprawy, kadzidło, zioła i nasiona. Pożądaliśmy ich towarów. Targowaliśmy się o cykorię i szczaw, płacąc za nie srebrnikami i półszlachetnymi kamieniami. Jeden miał wielkiego czarnego psa, mastifa z Azji. Zwierzę od razu ruszyło w miejsce nieopodal koszar, gdzie często przesiadywał mój brat, który spełniał drobne posługi dla wojowników, podziwiając ich bohaterskie wyczyny. Teraz Adir przebywał już w gronie mężczyzn, lecz coś musiał tam po sobie pozostawić, gdyż wielki kudłaty pies nie pozwolił się stamtąd ruszyć. Odchylał łeb i wył. Z pewnością był to jakiś znak, nie wiedziałam jednak, czy dobry, czy zły.

Włożyłam mu pętlę na szyję, żeby przestał ujadać, poprowadziłam do naszej kwatery i uwiązałam na dworze. Pies wyczekiwał mego powrotu, szczekając i posikując. Gdy kupiec przyszedł po niego, nie chciał z nim iść. Ugryzł go, a później schował się za mną i, schyliwszy łeb, piszczał.

– Zepsułaś mi go! – krzyknął właściciel psa. – Był zajadły, a ty przemieniłaś go w owcę!

Kupiec pochodził ze wschodniego wybrzeża Morza Soli. Mówił w języku mojego ojczyzna z Moabu. Jego słowa brzmiały pięknie, choć mnie przeklinał. Kiedy odpowiedziałam, że pies widocznie dokonał wyboru, bo może źle go traktowano, kupiec był zdumiony, że znam jego język, i zgodził się sprzedać zwierzę za kilka monet.

Nazwałam go Eran, czyli czujny, gdyż imię to pasowało do tego wielkiego i cichego stworzenia. Nie marzyłam o psie, jednak teraz często mi towarzyszył, gdy chodziłam wieczorami pod mur twierdzy, by wraz z innymi kobietami wypatrywać powrotu

wojowników. Kiedy cmokałam, szedł za mną, jak mój koń w innym miejscu i czasie. Nie szczekał, nie warczał ani nie zebrał przy stole. Czułam, że przyniesie nam szczęście. Być może losy jego i mojego brata były ze sobą splecione. Gdy matka nie nalegała, bym się go pozbyła, choć nie lubiła psów, uznając je za coś tylko trochę lepszego od szakali, i kiedy wystawiła mu miskę z chlebem rozdrobnionym w mleku, ulubioną strawą mego brata, zrozumiałam, że przystaje na jego obecność.

Pewnej nocy Eran zaczął ujadać i nie mogłam go uciszyć, choć bardzo się starałam. Obudził też matkę. Miałyśmy przeczucie, że zdarzy się coś złego, i ruszyliśmy w ciemnościach pod mur. Były tam już inne kobiety, całe we łzach, bowiem też odebrały złe znaki. Jedna ocknęła się ze snu zesłanego przez archanioła Gabriela. Zmarły ojciec kazał jej stanąć przy bramie twierdzy. Inna słyszała w swej izbie odgłosy nietoperza, znak, że należy czuwać, bo ktoś się zakrada.

O brzasku dojrzałyśmy powracających wojowników. Nim zobaczyłyśmy ich sylwetki, dostrzegłyśmy tumany kurzu. Gdy zaczęli się wspinać ścieżką węża, serca nam urosły, lecz szybko tapnęły. Z ulgą wypatrzyłam Amrama, lecz szczupłą postać, którą przerzucił sobie przez ramię, to był mój brat. Poznałam go po tunice i płaszczu.

Nasi ruszyli za Rzymianami. Doszło do potyczki. Wojownicy pokonali grupkę *exploratores*, zmuszając ich do ucieczki. Kilku niedoświadczonych legionistów poległo, mimo że walczyli w napierśnikach i mosiężnych hełmach. Powstańcy dobrze się spisali, lecz Adira ugodziła włócznia. Rana okazała się głęboka i mój brat dostał gorączki. Włosy miał w nieładzie, a jego oczy ze złotymi cętkami, takie jak u ojca i Nahary, były zażawione i wyblakłe.

Zanieśliśmy go do domu, gdzie matka wykąpała jego bezwładne ciało. Gorączka sprawiła, że wystąpił na niego zimny pot, jakby pochwycił go w swe objęcia Szalgiel, anioł śniegu. Kazała mi szybko spalić szaty brata, by uchronić nas przed demonami rozwlekającymi choroby. Tak samo paliliśmy szaty zmarłych. Może dlatego nie zdołałam spełnić jej prośby, a tylko uprałam jego tunikę i płaszcz w wiadrze i rozwiesiłam na sznurze za opustoszałym domem, w którym kiedyś mieszkali esseńczycy.

Myliśmy ręce przed każdym posiłkiem, nim wznieśliśmy kielich wina i przekroiliśmy bochen chleba na pół. Czyniliśmy to nie bez powodu. Demony potrafiły przeniknąć do ciała osoby nieczystej, a ich ogień objawiał się gorączką. Matka nakazała mi zakrywać usta i nos chustą, gdy czuwałam przy bracie. Szorowałyśmy ręce mydłem z ługu i popiołu, aż siekała się nam skóra. Każdego ranka szykowała Adirowi wywar z liści laurowych, olejku różanego i ostrej papryki. Po pierwszym łyku

brat zawsze się krzywił, lecz pił do końca. Oczyszczoną ranę smarowałyśmy maścią *samtar* wymieszaną z *rejta*, lekiem z pszenicy.

Matka zapalała kaganek na ołtarzyku Asztarte. Znalazła pojedynczą lilię w zaniedbanym ogrodzie, rzadką bulwę zasadzoną tam sto lat wcześniej przez królewskich ogrodników, której dające zielony płomień płatki i łodygi palono ku chwale Pana.

„Odkup to dziecię i chroń przed wszelkim nieszczęściem”.

Wyjęła z gniazda dwa gołębie tak piękne, iż same świadome swej urody dumnie się z nią obnosiły przed innymi. Złożyła je w ofierze Królowej Niebios, choć po zburzeniu Świątyni nie wolno nam już było tego czynić nawet ku chwale Adonaj. Starannie wytarła krew z dłoni, by mieć pewność, że nie pozostawi plamy.

„Pozwól, by stało się mężczyzną i śpiewało cudne pieśni ku chwale naszego Pana i króla, wszechmocnego Boga. *Amen, Amen, Sela*. Niech Bóg strzeże cię od zła wszelkiego i pozwoli, byś zamieszkał w świętości i pokoju w Jerozolimie”.

Adir rwał się do wojaczki, ale spotkał go ponury zawód. Wrócił do nas milczący i przepełniony smutkiem. Mimo że gorączka minęła, noga odmawiała mu posłuszeństwa. Zaczął kuleć, co wywołało jego szczególną gorycz. Jedyłą pociechą brata był wielki pies, któremu kazałam przy nim czuwać. Matka nalegała, bym go wykąpała, by brud nie przyciągał demonów do osłabionego Adira. Zaprowadziłam Erana na plac, polałam go sownie wodą i namydliłam ługiem, a ten stał cierpliwie, choć mógł się z łatwością wyzwolić z mego uścisku.

– To on zajął moje miejsce?

Amram zaszedł mnie od tyłu i niespodziewanie chwycił w ramiona. Pozwoliłam na to, mimo że owładnął mną dziwny chłód. Gdy tak staliśmy razem, pies szczekał i warczał.

– Przestań! – krzyknęłam, lecz nie usłuchał. Zaniepokoiłam się, gdyż nigdy nie był przy mnie tak zajadły. Najwyraźniej nie spodobał mu się mężczyzna, którego zobaczył.

– Mój rywal – rzucił żartobliwie Amram. – Jeśli mnie ugryzie, zrobię mu to samo.

Uwiązałam Erana do pnia palmy daktylowej i odciągnęłam Amrama na bok, by porozmawiać z nim na osobności.

– Przekaż wojownikom, że mój brat już nie będzie im towarzyszył.

– Przecież wiesz, że rozkaz to rozkaz – zaśmiał się Amram. – Teraz jest jednym z nas. – Wyjął zza tuniki skrawek błękitu, swój szczęśliwy talizman. – Przynajmniej o mnie nie musisz się martwić. Kiedy znów wyjadę, na pewno wrócę.

Chciałam mu to nakazać, ale wiedziałam, że nie usłucha rozkazu kobiety. Sama

musiałam zadbać o bezpieczeństwo brata. Poprzysięgam to sobie na placu, choć nie wyjawiałam tego Amramowi. Następnym razem Adir do nich nie dołączy, już ja się o to postaram.

Kiedy Amram znów ruszy do walki, będzie miał u swego boku innego wojownika.



Gdy poprosiłam Jael o przysługę, zgodziła się, bo dzięki mnie odzyskała syna. Wyrwałam go z ramion zdesperowanej i posępnej kobiety, która wmówiła sobie, że jest jego matką. Jael czekała na mnie na placu z Arjem na rękach, od ziemi buchał żar. Odkąd odzyskała syna, bała się spuszczać go z oka. Jeśli potrzebowała kogoś do opieki, a ja i Riwka byłyśmy akurat w gołębniku, zostawiała go u ojca, który wyraźnie polubił wnuka. Pogodził się z córką, bo uwielbiał jej syna. Może liczył, że i jego wychowa na wojownika. Riwka spytała raz Jael, dlaczego dopuszcza ojca do Arjego, skoro tak okrutnie ją traktował. Jael odpowiedziała, że zaznawszy pustyni i starości, bar Elchanan się zmienił.

– Gdy widzę go z Arjem, zachowuje się jak człowiek, którym mógłby być, gdyby nie stracił żony, którą kochał ponad wszystko.

Arje pozostawał bezpieczny pod opieką dziadka, jednego z wielkich jerozolimskich sykariuszy, który wciąż nosił pod płaszczem sztylet, choć przydzielono go do czyszczenia broni. Poprosiłam Jael, by mnie do niego zaprowadziła. Bar Elchanan uznawał mnie za niegodną swego syna. Pewnie sądziła, że chcę go do siebie przekonać, jednak nie było to rzeczą łatwą i wcale nie o to mi chodziło.

– Pamiętaj Azizę – rzuciła Jael do ojca.

Josef bar Elchanan spojrzał na mnie chłodno. Zastanawiałam się, ilu ludzi zamordował i czy widząc krew swych ofiar, nigdy nie zapragnął szukać przebaczenia. Ojciec Jael wziął Arjego na kolana, po czym skinął głową.

– *Szeda* – prychnął pogardliwie.

Chciał mnie obrazić, lecz ja uśmiechnęłam się słodko. Uśmiechy też bywają bronią.

Jael poszła zaparzyć herbatę, mimo że bała się zostawić mnie na pastwę ojca.

– Przywykłam do takich mężczyzn – uspokoiłam ją, bo zaiste wiedziałam, że męskie słowa nie są tak groźne jak te, które wypowiadają kobiety.

Stary skrytobójca nie zwracał na mnie uwagi, z niespodziewaną czułością zajmując się wnukiem. Pochyliłam się, by tylko on mógł mnie usłyszeć, gdyż moja prośba nie była przeznaczona dla cudzych uszu.

– Naucz mnie, jak być niewidzialną.

Starzec bujał zachwyconego Arjego na kolanach. Już myślałam, że uda, iż mnie nie dosłyszał, ale wyraźnie go zaciekawiałam i chciał się dowiedzieć więcej. Łypnął na mnie bezwstydnie jak na zwykłą *zona*.

– Niby po co? – spytał.

– Bym mogła chronić mego brata i twego syna.

– To przez ciebie go straciłem.

Wiedziałam, że wciąż są poróżnieni, lecz nie bałam się wdać z nim w dyskusję. Gdybym teraz się ugięła, nigdy nie zyskałabym jego szacunku.

– Straciłeś go, bo nie chce ci się go odnaleźć.

– To prawda. – Pokiwał smutno głową. – Zatrzasnąłem przed nim drzwi i się dziwię, że tu nie przychodzi.

Trafiłam go prosto w serce. Okazało się, że jednak je ma, więc brnęłam dalej:

– Chcę zająć miejsce mego brata, które od początku powinno być moje.

Bar Elchanan parsknął śmiechem. Na jego zniszczonej twarzy malowało się rozbawienie. Sądził, że przyszłam tu, by zabawiać go głupimi opowiastkami. Pewnie zamierzał mnie upomnieć, bym trzymała się kobiecych zajęć, ale pamiętałam, czego uczył mnie ojciec mojej siostry. Jesteś wart tyle, na ile cię stać. Nim ojciec Jael mnie odprawił, wyciągnęłam sztylet. Przypadłam do niego i przystawiłam mu go do gardła. Nie powinien mnie dotykać, lecz bar Elchanan miał na sumieniu znacznie gorsze grzechy. Błyskawicznie wykręcił mi rękę do tyłu, prawie ją łamiąc, jednocześnie trzymając Arjego na kolanach. Oboje ciężko dyszeliśmy.

– Dlaczego chciałaś mnie zabić?

– Nie po to tu przyszłam – odparłam.

Puścił mnie i zaczął się wpatrywać, nic nie rozumiejąc.

– Na pewno jesteś kobietą? – spytał zdumiony tym, jak wprawnie dobyłam sztyletu.

– Zazwyczaj – odpowiedziałam.

Wreszcie się roześmiał.

– Jestem tu nikim – rzekł. – Ale jeśli chcesz się nauczyć czyścić włócznie i broje, proszę bardzo.

– Nie. Chcę więcej. Chcę być niewidzialna.

Nim Jael przyniosła herbatę, jej ojciec zgodził się pożyczyć mi swój płaszcz. Kiedy wychodziłyśmy, powiedział, bym odwiedziła go nazajutrz. Widząc zdumienie córki, wyjaśnił, że interesuje mnie czyszczenie broni i że może mnie sporo nauczyć.



W dniu, w którym mieliśmy wyruszyć, rozpoczął się miesiąc *elul*, czas zadumy przed najważniejszym świętem. Obudziłam się przed świtem. Mój brat spał na swym sienniku z obandażowaną nogą. Pośpieszyłam do dawnego domu esseńczyków, gdzie przebrałam się w jego szaty, a swoje wcisnęłam w stertę słomy. Stary skrytobójca, surowy nauczyciel, codziennie wprowadzał mnie w tajniki broni. Byłam dla niego zagadką, lecz dziękował losowi, że znalazł się ktoś – nawet taki jak ja – kogo fascynował jego wielki kunszt. Nie dbał o to, czy w czasie ćwiczeń się zranię. Zachowywał się wyniośle, stosował brutalne metody, ale dobrze mnie wyuczył.

Eran podążył za mną i czekał cierpliwie, aż narzucę szaty mojego brata. Pomyślałam, że może pomylił mnie z Adirem albo sądził, że szukam dla niego jedzenia. Próbowałam go odpędzić, ale uparcie poczłapał za mną do koszar. W ciemności nałożyłam zbroję, powłokę ze srebrnych łusek. Przesłoniłam czoło chustą, by zakryć twarz i uchodzić w oczach wojowników za swego brata. Stary znajomy Uri poinstruował mnie, które włócznie mam wybrać dla pozostałych. Z chęcią wykonałam to zadanie.

Wzięłam ze sobą tylko parę fig, trochę pistacji, ser i szary płaszcz bar Elchanana. Starzec przekazał mi sekret niewidzialności, pouczył, jak bezszelestnie poruszać się w mroku i unikać ataku, rozplywając się niczym we mgle. Na koniec orzekł, że pojętny ze mnie uczeń, choć nie omieszkał wytknąć, że nie jestem dobrą partią dla Amrama.

– Mogą mówić, że jesteś kobietą, lecz ja dostrzegam w tobie kogoś więcej – przeszył mnie wzrokiem. Mimo wieku wejrzenie wciąż miał jasne.

– *Szeda?* – próbowałam obrócić to w żart, jednak się nie roześmiał.

– Wojownika – odpowiedział.

Pochyliłam się przed nim z wdzięcznością i wyszłam, by mógł się zająć czyszczeniem broni dla wojowników.

Tamtego dnia wyprawiło się nas sześćdziesięciu pod wodzą ben Jaira. Serce mocniej mi zabiło w piersi na myśl, że jestem jednym z wojowników mego ojca, że będę za nim podążać i, być może, przysporzę mu chwały. Uwiązałam Eraną przy słupie, ale wyswobodził się i pomknął za mną. Nie chciał odejść, więc objuczyłam tego wielkiego psa niczym osiołka, przytracając mu po bokach grubym powrozem włócznie. Był silny jak osioł i równie uparty.

Wyszłam przez bramę na końcu kolumny. Widziałam ojca kroczącego na czele, a za nim Amrama i jego przyjaciół. Amrama poznałabym nawet z daleka, gdyż doczepił sobie do zbroi skrawek błękitu. Widziałam go, kiedy sunęliśmy w dół krętą ścieżką.

Upał był straszliwy, a niebo rozpalone do białości. Nie nawykłam do noszenia zbroi i poruszałam się w niej niepewnie. Pobratymcy mojego ojczyma nigdy nie wkładali niczego, co by im ciążyło. Im byli lżejsi, tym zręczniejsi w walce. Chronili jedynie żelaznymi maskami i napierśnikami konie, bowiem znali ich wartość. Żałowałam, że nie mam wierzchowca, którego ojczym podarował bratu, lub wspaniałego rumaka Leby, który zawsze odnajdywał drogę do domu i nie potrzebował uzdy. Jadąc konno, byłabym niczym ptak, a pieszo ledwo się wlokłam.

Dla nieuważnych była to zdradliwa ścieżka. Tumany kurzu wdzierały się nam do oczu, a głązy były śliskie. Szłam osobno, z Eranem u boku. Wojownicy pewnie brali to za nieśmiałość. Kilku wyraziło swój podziw, że z nimi ruszyłam, choć przecież nie tak dawno byłam ranna. Erana też chwalili. Stwierdzili, że w walce warto mieć u boku wojownika z wiernym psem. Dziękowałam im skinieniem głowy i milczałam. Zdradzają nas przede wszystkim słowa.

Skierowaliśmy się w stronę Ejn Gedi. Ponoć na zachód od osady rozbiła obozowisko grupa wędrowców wioząca ze sobą złoto, szlachetne kamienie, oliwę i kadzidło. W twierdzy doskwierała nam bieda. Gdy zawalił się mur, uzupełnialiśmy go błotem i słomą. Kiedy brakowało oleju do kaganków, stały wygaszone. Gdy nie było drewna, paliliśmy w ogniskach osłe łajno. Nie jedliśmy duszonych mięs, lecz jęczmienną papkę z kilkoma kawałkami gołębia. Wojownicy nie mieli wyjścia. Musieli napadać na wioski i obozowiska, byśmy mogli przetrwać. Nie różniło się to wcale od tego, czym zajmowałam się u boku ojczyma. To był nasz kraj i byliśmy jego władcami, a ci, którzy tu przybywali, powinni wiedzieć, że są zdani na naszą łaskę.

Wędrowaliśmy, póki nie ogarnęło nas zmęczenie. Sypialiśmy pod gołym niebem. Noce były rześkie. Cieszyłam się, że mam psa, ponieważ gdy kładłam się koło niego, ogrzewał mnie ciepłem swego ciała. Pod osłoną mojego płaszcza i zbroi obserwowałam Amrama, jednak uważałam, żeby niczym się nie zdradzić. Spuszczałam głowę, by nie dojrzał blizny, którą brał za łzę. Używałam sztuczek, jakie posiadałam jeszcze w Moabie. Sama chodziłam się wypróżnić, nigdy nie migałam się od obowiązków i rzadko się odzywałam, a jeśli już, to grubym głosem. Wszyscy brali mnie za Adira.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji ruszyłam na łowy. Upolowałam młodego koziorożca. Kiedy się zachwiał, ugodzony strzałą, podbiegłam i poderżnęłam mu gardło, by jego dusza bezboleśnie i z godnością uleciała do nieba. Przyniosłam przerzuconą przez ramię zdobycz do obozowiska, a Amram postanowił osobiście oporządzić ze mną zwierzę.

– Masz dobre oko, braciszku – rzucił.

Serce waliło mi młotem. Bałam się, że mnie rozpozna, a może jeszcze bardziej

bałam się, że nie rozpozna. Milczałam i tylko skinęłam głową. Drżały mi ręce, bo był tak blisko i dlatego, że go oszukiwałam. Czułam się w tamtej chwili tak bardzo kobietą, że zdradzał mnie każdy oddech, jednak Amram nie odkrył prawdy. Poklepał mnie serdecznie po ramieniu, ale się nie domyślił, jak mocno łomocze mi serce.

Nie mogłam go winić, że mnie nie rozpoznał, skoro zadałam sobie tyle trudu, by się zamaskować. Jego ojciec uświadomił mi, że ludzie nigdy nie widzą tego, co mają przed oczami. Rozglądają się po kątach, zaglądają pod głązy, lecz gdy staniesz na wprost, miną cię, wzięwszy za drzewo oliwne, element krajobrazu i nic więcej. Bar Elchanan pojął to, kręcąc się po zakamarkach Świątyni w poszukiwaniu wrogów. Przemień się, pouczył mnie. Stań się tym, co cię otacza. Kamieniem, cieniem, jednym z wielu łuczników. Myszy nikt nie dostrzega, bo zwykle kryją się w mroku, a kiedy już wyjdą na światło dzienne, zdają się cieniem. Cień to obraz umysłu, nie oka. Musisz sprawić, by ludzie wokół postrzegali cię tak, jak tego chcesz.

Wkładałam jego płaszcz wieczorami, ruszając na wypady z psem. W okolicznych jamach gnieździły się góralki abisyńskie. Napotykałam też ślady kopyt koziorożców ciągnących do wodospadów, przy których ponoć król Dawid rozbił kiedyś obozowisko. Wiosną kwitła tam Moringa peregrina, orchidea o różowo-białych kwiatach. Powiadali, że Dawid napisał ponad trzysta pieśni, po jednej na każdy dzień roku. Jednak tam, gdzie docierałam, nie rosły orchidee, jedynie karłowata mirra wciśnięta między wapienne skały. Zawsze ją zrywałam i chowałam, zważając na kłujące łodygi, w połach płaszcza, gdyż, jak to kobieta, lubiłam jej świeżą woń.

Wojownicy nie narzucali mi się, godząc się z tym, że nieco od nich stronię. Szykowali się do walki, wypróbowywali broń i popijali resztki wina, jakie ze sobą przywieźli. Nie tylko ja trzymałam się z boku. Jeszcze jeden wojownik nie bratał się z innymi, nie skosztował nawet upolowanego przeze mnie koziorożca, gdyż pościł. Natykałam się na niego co wieczór, kiedy szłam się wypróżnić z dala od obozowiska. Unikał kontaktów z bliźnimi. Nie szukał wygody, płaszcza, który go ogrzeje, ani bliskości z towarzyszami broni.

Eran nie zawarczał, gdy pierwszy raz spotkaliśmy owego wojownika, zwanego Człowiekiem z Doliny, który kaleczył swe ciało żelazem. Mimo że było to wbrew prawu, nikt nie ośmielił się potępić go za ten barbarzyński obyczaj. Choć młody, już posiwiiał. Zaplatał włosy w warkocze tak długie, że aż opadały mu na plecy. Inni twierdzili, że podczas bitwy Bóg mógł odciągnąć go za nie od niebezpieczeństwa, dlatego wdawał się w potyczki, w których pozostali z pewnością by zginęli. Jego ciało pokrywały często niezagojone rany. Metal kaleczył mu muskularne ramiona, pozostawiając na nich sine i fioletowe pręgi.

Kiedy go napotkałam, klęczał pod ciernistym krzewem, zawodząc pieśń żałobną. Ścisnął jego kłujące gałęzie, które rozdzierały mu skórę, wywołując ból. Nigdy przedtem nie widziałam człowieka przeżywającego podobne męki. Na jego widok zachciało mi się płakać, więc uciekłam.

Chwyciłam Erana za skórę na karku i pierzchnęliśmy, mknąc niczym rumaki. Wzniecaliśmy tumany kurzu, a góralki, widząc nas, chowały się w norach. Płowe sowy wzlatywały ponad skały, nietoperze o szcurzych ogonach zrywały się zaś skrzydlatymi chmurami z drzew jujuby, zapominając o rosnących na gałęziach owocach.

Nazajutrz ów wojownik zaczął się we mnie wpatrywać. Wiedziałam, że nikt nie chce walczyć u jego boku, ponieważ miał za nic własne życie. Posługiwał się jedynie toporem, lecz topór ten ponoć był błogosławiony i nigdy nie chybił celu. Odwróciłam wzrok, nie chcąc, by odgadł moją prawdziwą naturę. Lękałam się też, że w jakiś sposób wywołam jego wściekłość, podobno tak gwałtowną i nieokiełznaną, iż niektórzy szeptali, że człowiek ten walczy po prawicy najbardziej zajadłego z aniołów, Gabriela.

Wieczorem zaczęliśmy się szykować do nocnego wypadu. Mdlałam z upału, waga mojego podstępu ciążyła mi na równi ze srebrzystą łuskowatą zbroją. W piekącym zachodzącym słońcu staliśmy w kolejce po przydział wody. Kiedy poprosiłam o nią dla psa, spotkałam się z odmową.

– Niech pije z kałuży. Dla zwierzaka nie starczy – usłyszałam.

Odeszłam strapiona. Podzieliłam się z Eranem tym, co przywiozłam, i dałam mu kości koziorożca. Ojciec Nahary nauczył mnie, że nim pożywię się sama, mam nakarmić konia, lecz wody ledwie starczało, by zrosić własne, wyschnięte gardło. Teraz, gdy znów zostałam wojownikiem, moim największym zmartwieniem stał się pies, którego nawet nie chciałam. Kiedy tak rozmyślałam, co tu dalej począć, podszedł do mnie Człowiek z Doliny. I tym razem Eran nawet nie warknął. Wojownik wlał mu do miski swoją porcję wody.

– Pewnie jest spragniony – rzekł.

Podziękowałam mu, zmieszana, i spytałam, czy sam jej nie potrzebuje.

– Woda nie ugasi mego pragnienia – odparł, po czym bez wyraźnego powodu dodał: – Nie jedź z nami dzisiaj.

Najwidoczniej byłam dla niego moim bratem, nieopierzonym żółtodziobem Adirem, który został ostatnio ranny. Lecz nie musiał się o mnie martwić.

– Wielokrotnie mierzyłem się z mężczyznami, którzy ucierpieli z tego powodu – zapewniłam go.

Skinął głową, unikając mojego wzroku.

– Ale z nami jesteś pierwszy raz. Nie wiesz, co to wojaczka ani napad na wieś.

Miał rację. Brałam tylko udział w potyczkach na otwartych przestrzeniach wzdłuż Szlaku Królewskiego po wschodniej stronie Morza Soli.

– To mój obowiązek – odpowiedziałam.

Poczułam na sobie jego spojrzenie, ale odwróciłam głowę, by nie odkrył, kim jestem.

– Gdy przyjdzie pora, stań u mego boku – rzucił wojownik, którego pozostali unikali jak ognia.

Ziemię okryła mgła, tak jak mój szary płaszcz okrywał mnie. Uznano to za dobry znak, gdyż dzięki niej mogliśmy zaskoczyć wroga. Kiedy zbliżaliśmy się do osady, w której zatrzymali się wędrowcy, mój łuk był już gotowy do strzału. Nieco się ochłodziło, lecz ziemia wciąż buchała żarem nagromadzonym za dnia. Czułam, że kryje w sobie serce pulsujące w rytm mojego tętna. Dojrzałam w mroku Eleazara ben Jaira. Okryty tałesem odmawiał modlitwę, gdyż walczył ku chwale Pana. Ostatni raz zebrał nas wszystkich razem. Poprzysięgliśmy, że w bitwie będziemy stanowić jedność. Nie zamierzaliśmy brać jeńców.

– Nie chcielibyśmy, by nasze kobiety i dzieci zostały niewolnikami – rzekł ben Jair.

– Tego samego życzymy tym, z którymi się zmierzymy.

Szeptano, że nasz wódz widział, jak w Jerozolimie krzyżowano jego najbliższych, braci i przyjaciół, którzy konali na jego oczach w męczarniach. Później Rzymianie odcinali im głowy i rzucali je na drogę między żałobników, jednak bez ciał nie można było sprawić im pochówku. Zmarli nie zaznali spokoju i nie można było ich oplakiwać. Ben Jair przemawiał słowami naszego Boga.

„Kto serca nie ma, niechaj wraca do domu, gdyż sprawi, że serca jego braci osłabną jak i jego”.

Naszym domem była Jerozolima, Syjon upadł, lecz ani jeden wojownik nie cofnął się przed czekającą nas bitwą. Widziałam, jak Amram i pozostali unoszą włócznie, wiwatując na cześć wodza. Jedynie Człowiek z Doliny nie przyłączył się do ich modlitw i buńczucznych okrzyków. Może pomodlił się na osobności, a może jedyną modlitwą, jaką odmówił, była pieśń za zmarłych. Nie miał na sobie tałesu ani nawet płaszcza, tylko tunikę i żelazne bransolety na ramionach. Widziałam, że łaknie bólu, a przecież ten, który szuka, często znajduje.

Ruszyliśmy w milczeniu, gdy księżyc zaczął wędrować po niebie. Trzymałam się blisko Amrama, by nad nim czuwać. Pies podążał za mną krok w krok, wielki i milczący jak my. Serce ziemi dudniło. Świat spowijała cisza, póki nie natknęliśmy się na czujki. Ozwał się dziki krzyk i w wiosce natychmiast wybuchła wrzawa.

W ogłuszającym jazgocie rozgorzała walka. Przyklęłam i zaczęłam naciągać łuk, zważając, by nie trafić żadnego z idących przede mną wojowników. Dwóch ludzi zabiłam na miejscu, padli pod nogi Amrama. Może pomyślał, że czuwa nad nim anioł, bo wzniósł oczy do nieba.

Gdy jakiś przeciwnik tylko się zbliżył, Eran od razu zaczynał warczeć. Dawał mi tym samym wskazówkę, w którą stronę mam mierzyć. Wokół panował chaos, wróg mógł nadbiec zewsząd. Gdyby nie Eran, wpadłabym w panikę. Poprzysięgam sobie wtedy, że zawsze będzie blisko mnie.

Nasi wojownicy w krótkim czasie pokonali mieszkańców osady. Wszędzie słały się ciała zabitych. Dojrzałam Człowieka z Doliny, który ze swym toporem był niczym wichur. Powalił czterech przeciwników, po czym stanął, jakby wyzywał poległych, by powstał i znów z nim walczyli. Kiedy podbiegł do niego piąty i wskoczył mu na plecy, spokojnie go z siebie zrzucił i rozpruł na dwoje. Teraz szukał kolejnej ofiary z toporem gotowym do zadania ciosu, niepomny grożącego mu niebezpieczeństwa. Poczułam, że szybciej bije mi serce i ogarnia mnie radość, gdy ugodziłam strzałą jeszcze jednego, który ku niemu zmierzał. Gdyby tylko mój ojciec wiedział, ilu z nich padło od mych strzał, byłby dumny, że ma takiego syna.

Ta noc była gorąca od krwi i lepka była od niej ziemia. Wszędzie unosiła się woń śmierci. W powietrzu fruwała brzęcząca szarańcza. Miałam pod płaszczem srebrzystą zbroję, która mnie uwierała i sprawiała, że cała przesiąkałam potem. Stanąwszy, otarłam twarz chustą.

Kiedy tylko opuściłam łuk, poczułam, jakby walka się skończyła. Przypatrywałam się jej z dala niczym anioł, lecz dostrzegałam znacznie więcej niż tylko mierzących się ze sobą mężczyzn. Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Wymordowaliśmy ludzi, którzy się bronili, i wędrowców z Moabu w ich błękitnych szatach, którzy przybyli tutaj, by handlować przyprawami i suszonymi owocami. Wokół nie było gałęzi akacji, które można by spalić na ich cześć, więc ich dusze nie zechcą opuścić ciał. Ze smutkiem pomyślałam, że pozostaną uwięzione w niebycie z dala od Żelaznej Góry, gdyż krew poległych nie zrodzi już nikogo – krew równie czerwona jak nasza, póki nie szernieje w piachu.

Ta noc stała się niczym sen. Musiałam się z niego przebudzić, ponieważ za stertami ciał mężczyzn ujrzałam coś jeszcze bardziej przerażającego. Nasi wojownicy zaczęli zabijać wybiegające z domów kobiety. Zdało mi się to niemożliwe, potępialiśmy takie okrucieństwo, jednak wiedziałam, że tak się właśnie dzieje, gdyż słyszałam krzyki mordowanych kobiet. Ale to nie wszystko. Słyszałam też płacz dzieci. Dojrzałam Amrama, który stał się częścią tego potwornego snu, przemieniając się na moich

oczach w demona.

Wódz zakazał nam brać jeńców, więc sądziłam, że kobiety i dzieci zostawimy w spokoju, lecz nie tak toczono wojny w tym ponurym świecie. Eran wpadł w szal, warczał i ujadał, zrozpaczony, zupełnie jak nie zwierz. Przytrzymałam go za kark i krzyknęłam: „Spokój!”, łamiąc sobie paznokcie o szorstką sierść. Tak jak jego rozwścieczyło mnie to, co zobaczyłam. Nie mogłam słuchać krzyków niewinnie mordowanych ludzi. Omal nie rzuciłam się do walki po ich stronie, przeciwko własnemu ludowi. Miałam ochotę zmierzyć się z moimi braćmi, wojownikami, z którymi tu przybyłam. Zagubiona pośród tej jatki, nagle przestałam rozumieć, co daje nam prawo, by odbierać tym ludziom ich własność. Chcieliśmy ją posiadać i uznaliśmy, że słusznie się nam należy, tak jak rabusie, którzy zapragnęli mnie, mojej matki i naszego dobytku.

Stałam pośród ruin, z łaski Boga sama uniknąwszy śmierci. Nie chciałam już walczyć, straciłam odwagę. Zamknęłam oczy i czekałam, aż przyjdzie po mnie Malach ha-Mawet, tak jak miał to uczynić, kiedy wygnano mnie z matką na pustynię. Może było mi pisane, że zginę, gdy żona Eleazara nas przepędzi, i błodziłam, próbując uniknąć swego przeznaczenia.

Nigdy się nie dowiem, czy anioł śmierci miał mnie porwać tamtej nocy, gdyż Człowiek z Doliny chwycił mnie za poły płaszcza i pociągnął za sobą, jak najdalej od uścisku Śmierci. Podążyłam za nim z Eranem, choć brakło mi tchu, a me serce biło jak oszalałe. Przygryzłam wargę, aż poląła się krew, tym razem moja własna. Chciałam jej posmakować. Zasłużyłam na to.

Wojownik powiódł mnie na zasnutą mrokiem grań. Odniósł wiele ran, ale się nimi nie przejął, tak jak nie wspomniał o tym, że szlocham. Widzieliśmy stamtąd całą tę masakrę. Osada z kamiennymi domami wkrótce całkowicie opustoszeje i przejmieśmy dobytek tych ludzi. Zdjęłam hełm i poplamiony krwią płaszcz. Dotarło do mnie, że Człowiek z Doliny odradzał mi tę wyprawę, gdyż przeczuwał, jaki będzie jej finał. Sam nie mordował kobiet i dzieci i nie chciał oglądać tej jatki. Teraz wiedział już, że jestem kobietą, lecz nic nie powiedział. Wiedział też, czego oczekuje od niego wódz, jednak wolał usłuchać Boga.

Spośród wszystkich wojowników był jedynym, u którego boku pragnęłam stanąć.

Darowali życie osłom, objuczając je zagarniętym dobytkiem: imbirem, pieprzem, tykwami, porami, najprzeróżniejszym winem, oliwą, pszenicą, niewielką ilością złota, kolczyków i pierścieni złupionych z domów i ściągniętych z palców, stertą cennego cynamonu, kaganków i broni. Zabrali kozy, owce i zarżnęli kury. Napełnili skórzane

bukłaki wodą i serem. Wszystko cuchnęło krwią.

Wróciłam do wioski, by zebrać swoje strzały. Łatwo je było dojrzeć pośród trupów – pole czerwonych lilii, które po sobie zostawiłam. Wystarczyło tylko wyciągnąć je z piersi i pleców zabitych. Niczego więcej nie wzięłam. Gdy inni łupili pierścienie z zimnych palców i wino z piwnic, ja myłam groty mych strzał w misie z wodą zaczerpniętą z beczki na deszczówkę. Odmawiałam przy tym modlitwę, zaklinając Adonaj, by zmarli nie zaznawali dalszych katuszy i by chronił ich przed trzema bramami piekielnej doliny, Gehenny. Nie mogłam patrzeć na twarze pomordowanych kobiet i dzieci, za to zaczęłam się przyglądać kupcom z Moabu, wypatrując tych, których mogłam znać.

Podszedł do mnie spocony i pochlapany krwią Amram.

– Nie warto – rzekł, gdy przerzucałam na plecy ciała pobratymców ojczyzna. – Oni wszyscy są tacy sami.

Tuż przed brzaskiem ben Jair przemówił do swych wojowników. Nie zdobyłam się na to, by być między nimi. Usłyszałam potem, że dziękował Bogu i chwalił żołnierzy za odwagę. Kazał im się modlić za dusze pomordowanych i tłumaczył, że w innym miejscu i czasie, gdyby nasi rzymscy wrogowie nie sprowadzili na nas nędzy i głodu, nazywalibyśmy nasze ofiary braćmi.

Śpieszyliśmy już wtedy przez pustynię, by nie wytropili nas mieszkańcy osady nieobecni podczas ataku, których serca przepęłniała chęć odwetu. Podczas postoju wojownicy modlili się i złożyli ofiarę z kozy. Jej rżenie było jak krzyki tamtych kobiet z wioski. Przytuliłam się do Erana, zatkałam uszy i zaczęłam się kołysać w przód i w tył. Promiennosc Szachiny, światłość i miłosierdzie Wszechmogącego na pewno nie gościły w tym obozowisku. Wokół rozciągało się *sitra achra*, królestwo mroku, gdyż tej nocy zawędrowaliśmy na drugą stronę świata, do okrutnej krainy po lewicy Boga, karmiącej się ludzkimi grzechami.

Po zwycięstwie zamierzałam leć u boku Amrama i wsunąć jego dłonie pod swe szaty, by wreszcie pojął, kim naprawdę jestem, i oddać mu się, lecz tego nie zrobiłam. Było mi niedobrze na żołądku i ciężko w duszy. Poszłam na pustynię i zwróciłam wszystko, co zjadłam, odkąd wyruszyłam z domu matki. Moja plwocina miała gorzki smak, jakbym wypluła demona. Cieszyłam się, że nie ma tu mego brata. Adir, chłopiec o łagodnym sercu, który pragnął jedynie przebywać wśród wojowników, szczęśliwie nie oglądał tchórzowskich występków tych, których tak podziwiał.

Białe skały nie były widoczne nocą. Wszystko pozostawało ukryte. Zrozumiałam, że naszą powinnością jako ludzi jest wejrzeć za przesłonę do wnętrza świata, do sedna

spraw.

Dostrzegłam Człowieka z Doliny i podeszłam do niego. Rosły tam kręgiem cierniste krzewy, a w ich gałęziach przycupnęły skowronki. Słyszeliśmy śpiew wojowników, ale ich pieśni nic dla nas nie znaczyły. Każdy cal skalanej ziemi, po której stąpaliśmy, zdawał się należeć do królestwa występku, gdzie wroga zwalcza się za wszelką cenę. Nie rosły tu akacje i nie można było pomóc duszom zmarłych odnaleźć spokój.

Widziałam, jak mój ukochany zabijał nie więcej niż czteroletnie dziecko. Dla niego to było nic, lecz dla mnie wszystko. W przeciwieństwie do gwiazd na niebie nie miałam przed oczami innych obrazów, tylko twarz tego mordowanego dziecka, która zostanie ze mną już na zawsze. Będę ją widzieć za każdym razem, gdy spojrzę na Amrama.

Żałowałam, że nie zostałam w domu, jak przystoi kobiecie.

– Myślałaś, że świat jest inny? – spytał Człowiek z Doliny.

U mych stóp leżał Eran. Miał krew na futrze. Za dnia zlecą się do niego muchy. Będzie wyglądał okropnie. Nie odstąpił mnie nawet na krok podczas tej krwawej jatki, rzucał się na każdego, kto się do mnie zbliżył, i szczyrzył kły.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak bezbronna i zawstydzona. Coś utraciłam i nie wydawało mi się, by cokolwiek na tym świecie mogło mi to przywrócić. Musiałam spojrzeć w niebo. Mgła już się rozpierschła i gwiazdy świeciły pełnym blaskiem. Kilka przeleciało w ciemności i zniknęło nam z oczu. Zdziwił mnie ten widok, tak jak dobroć naiwnego zwierzęcia, które ani razu mnie nie opuściło, i to, że ja i stojący obok wojownik pozostaliśmy przy życiu.

– Czyż nie jest piękny? – spytałam, mając na myśli świat wokół nas.

– Czyż nie jest straszny? – odpowiedział pytaniem Człowiek z Doliny.

Kiedy na mnie spojrzał, zrozumiałam, że oczekuje odpowiedzi. Ujęłam jego dłoń, przyciągnęłam go ku sobie i sprawiłam, że legł u mego boku. Tak jak on uratował mnie, tak ja uratowałam jego. Przez tę jedną noc, gdy wciąż czuliśmy od siebie woń krwi, a pograżony w mroku świat stał się niewidzialny, nie byliśmy samotni.



Rana Adira się zagoiła, gorączka ustąpiła, lecz mój brat wciąż utykał i był osłabiony. Matka martwiła się o niego i podawała mu jeden lek za drugim, przeglądając stopy receptur i zapasy ziół, mimo to jego stan nie ulegał poprawie. Choć potępiła moje dawne uczynki, tym razem zgodziła się, bym ponownie ruszyła do walki zamiast niego. I słusznie. Byłam lepszym wojownikiem i miałam większe szanse na powrót z takiego wypadu. Znowu zaczęłyśmy mieć z matką wspólne sekrety. Nie

wypierałyśmy się tej narzuconej nam przez przeznaczenie więzi, gdyż nasze losy zawsze były ze sobą splecione, a dzieląca nas wcześniej gorycz zniknęła.

Pewnie mój ojciec marzył o synu, tak jak kiedyś ojciec Adira, ponieważ, na nic nie zważając, spotykał się z matką w cysternie niemal każdego wieczoru, rozkochany w niej i w dziecku, które miało przyjść na świat. Żona ben Jaira przestała wychodzić z pałacu. Szeptano, że jej choroba powróciła, ale zastanawiałam się, czy przypadkiem mąż nie zakazał jej spotykać się z kobietami z twierdzy. Nie zamierzał dłużej tolerować jej fanaberii, gdyż poświęcił jej większość swego życia i to, co mu zostało, pragnął spożytkować dla siebie.

Od powrotu z wypadu zaczął stosować własną formę niewidzialności, zbliżoną do tej, jakiej nauczył mnie stary bar Elchanan. Skrywał tęsknotę za moją matką tuż pod nosem innych. Nie zauważali tego, co oczywiste, i niczego się nie domyślali. Ben Jair miał prawo do drugiej żony, kiedy pierwsza okazała się bezpłodna. Mimo to Channa toczyła z nim boje i próbowała go przechytrzyć, twierdząc, że Bóg obdarował ją dzieckiem, które skradła Jael.

Teraz, gdy każdy dzień był niczym podarunek, bowiem, jak wieszczycy, następnego mogliśmy nie doczekać, ojciec przestał dbać o pozory. Pewnego razu widziałam go z matką przed naszymi drzwiami w uściskach tak głębokich, jakby za chwilę mieli się w nich utopić. Czasami zasiadał przy naszym stole, by spożyć skromną wieczerzę. Wychodziłam wtedy na dwór, zabierając ze sobą brata, który wspierał się na mym ramieniu. Siadaliśmy na ławie przed domem i jedliśmy suszone owoce i podpłomyki. Adir pewnie myślał, że nie mamy prawa przebywać w towarzystwie wielkiego wodza, lecz powód był taki, iż na jego widok od razu słyszałam w głowie krzyki mordowanych mieszkańców osady. Miałam poczucie, że zawiodłam ben Jaira i że on zawiódł mnie. Lepiej było mu się przyglądać z oddali, nie dostrzegając jego wad. Kiedyś pragnęłam, by dojrzał mnie w walce i uznał za swego potomka, teraz jednak wolałam pozostać niewidzialna.

Pewnego wieczoru, wychodząc od matki, ben Jair przystanął przy nas. Uprzedziłam brata, jak ma się zachować, gdyby coś takiego się zdarzyło. Oboje powinniśmy spuścić wzrok w obecności naszego wodza.

– Następnym razem, gdy ruszysz do walki, może ci się przydać – rzekł ben Jair i położył przed nami sztylet. Miał on mosiężną rękojeść pięknie przyozdobioną girlandą z liści. Widniał na niej napis „*perach lawan*”, biały kwiat. Nosił ten sztylet na cześć mojej matki oraz lilii, które ukochała w dzieciństwie, jeszcze w Aleksandrii. Nie pochwalałam wszystkich jego czynów ani metod walki, ale był moim ojcem. Broń była

podarunkiem dla wojownika, więc szturchnęłam brata w bok. Adir wybąkał słowa podziękowania, lecz kiedy ben Jair zniknął, sztylet zatrzymałam ja.

Coraz częściej jadaliśmy wieczerze na podwórku, by nie przeszkadzać matce i ben Jairowi. Teraz już nie tylko my wiedzieliśmy, że wódz powstańców zachodzi do niej co wieczór. Wśród sąsiadów pojawiła się zawiść i nieufność. Przecież matkę niedawno zakuto w kajdany, a ona wezwała demony, które przyciągnęły *kadim*. Pewnej nocy podrzucono nam pod drzwi poćwiartowaną kurę z odrąbanymi nogami i dziobem oraz białymi piórami wysmarowanymi sadzą. Dałam wtedy matce sztylet ben Jaira, by mogła odpierać nieczne ataki bliźnich. Był to podarunek od jej ukochanego, zatem słusznie się jej należał, bo choć zawdzięczałam jej swe pierwsze życie, to drugim obdarzył mnie Człowiek z Doliny, a nie ben Jair. Byłam kiedyś naiwna, sądząc, że mój ojciec jest jednym z aniołów. Prawdziwym mym ojcem był wojownik z Żelaznej Góry, ten, który nas uratował i który nauczył mnie wszystkiego, co potrzebowałam wiedzieć.

Matka przyjęła sztylet, symbol opiekuńczości Eleazara. Doradziłam jej też, by zamykała drzwi, kiedy mnie nie ma, i zachowywała większą dyskrecję, bo w przeciwnym razie sprawi, że jej przepowiednia się spełni i zniszczy ją miłość.

Ośłupieliśmy, gdy oddział rzymskich *exploratores* rozbił obóz w dolinie. Stało się to w najświętszym miesiącu *tiszri*, kiedy świętujemy nowy rok i odpokutowujemy za grzechy, te już popełnione i te z przyszłości.

Gdy się zjawili, sądziliśmy, że zachowają się jak ich poprzednicy: staną oszołomieni na widok twierdzy, po czym ruszą, by zameldować dowódcom, że jest nie do zdobycia. Tymczasem ci byli inni. Postanowili zostać. Przywieźli ze sobą amfory z oliwą i winem, stada wielbłądów i – co najbardziej dające do myślenia – piekarzy, którzy rozbili własne obozowisko. Czuliśmy woń świeżego chleba wypiekanego w ich zwieńczonych kopułą piecach.

Było oczywiste, że wkrótce zjawi się tu cały legion. Rzymianie zebrali pod Jerychem dziesięcioletnią armię oraz tysiąc wcielonych do służby żydowskich jeńców. Starszyzna postanowiła, że bez względu na powód kobietom nie wolno się zapuszczać poza bramy twierdzy, by nie wpadły w ręce wroga. Mężczyźni, którzy wyprawiali się za mury, czynili to na własne ryzyko. Wojownicy wciąż dokonywali wypadów, ale poruszali się ukradkiem, schodząc ścieżką węża pod osłoną nocy lub z drugiej strony góry szlakiem tak zdradliwym, że w drodze powrotnej kilku straciło życie. Mimo zagrożenia wyczekiwałam tych nocnych wypraw, kiedy po niebie ślizgały się sowy. Przemykaliśmy obok wroga niczym mgła, wolni od naszych ziemskich kształtów.

Nocami krążyłam po izbie, marząc o wyjściu za bramę. Jedyną naszą radością był Arje. Skończył już czternaście miesięcy. Nawet ci, którzy spoglądali z pogardą na dzieci bez ojców, przyznawali, że jest śliczny, postawny i grzeczny. Tak nas w sobie rozkochał, że za każdym razem, gdy puszczał się biegiem po bruku koło gołębnika lub wymawiał do Jael słowo *ima*, mama, biłyśmy mu brawo, jakby się wspiał na jakiś szczyt.

Wieczorami przesiadywałam z kobietami przy wrzecionach. Choć nie umiałam tkać, pomagałam więc resztki wełny. Zawsze towarzyszył mi Eran, kładąc łeb na kolanie. Marzyliśmy o tym samym, o swobodzie, lecz musieliśmy uzbroić się w cierpliwość. Tak jak Człowiek z Doliny chciałam sypiać pod gołym niebem. Nie widywałam go ani nie wypatrywałam, ale czułam, że gdzieś tam jest. Kiedy przemykaliśmy obok Rzymian podczas wypadów, zawsze kroczyłam u jego boku, bo tylko przy nim nie musiałam udawać kogoś, kim nie byłam.

*

Amram przysłał do mnie dziewczynkę z pytaniem, dlaczego już się z nim nie spotykam przy fontannie. Wyczekiwał wieczorami, ale nie przychodziłam. Teraz zaryzykował, czyniąc z dziecka swego posłańca. Dziewczynka miała cztery, może pięć lat i była córką jednego z wojowników, przyjaciela, któremu ufał od czasów, gdy mieszkał w Jerozolimie. Miała ciemny gruby warkocz i była miła. Przypominała mi Naharę z jej bystrymi, przenikliwymi oczami. Poprosiłam, by powtórzyła Amramowi, że opadła mnie gorączka. Skłamawszy, oblałam się rumieńcem i mogłam się zdać rozogniona i chora, gdyż dziewczynka chyba mi uwierzyła. Odwróciła się na pięcie i pobięła przekazać wiadomość.

Było to w święto Rosz Chodesz i kapłan wypatrujący księżycą w nowiu zadał w barani róg, by wezwać wiernych na modlitwę *Kidusz lewana*, błogosławieństwo księżycą, zapewniającą bożą łaskę i przyzywającą Szechinę – wszystko, co miłosierne i mądre. Wpatrując się w księżyc, słuchaliśmy kapłanów i uczonych w Piśmie. Radowaliśmy się, świętując upływ czasu tańcem. Muzycy pochwycili w dłonie grzechotki, cymbały i dzwonki, rzucając wyzwanie stacjonującym w dolinie Rzymianom. Modliliśmy się i tańczyliśmy, choć nazajutrz tylko niewiasty miały powstrzymać się od pracy, związane z fazami księżycą w sposób niezrozumiały dla mężczyzn, gdyż były bliższe Szechinie, kobiecemu sercu wszelkiego stworzenia.

Kryłam się w mroku, by nie dojrzał mnie Amram, którego dostrzegłam w gronie przyjaciół. Kiedy na niego patrzyłam, nie widziałam jego przystojnej twarzy, lecz

buzię zamordowanego dziecka z osady, nie starszego od dziewczynki, którą uczynił swym posłańcem. Nie było nikogo, z kim mogłabym świętować. Tęskniłam za siostrą i za tym, jak tańczyłyśmy w rodzinnym kraju jej ojca, mimo że jego pobratymcy nie odliczali dni wedle naszego kalendarza. Matka nauczyła nas, że gdy księżyc powraca w bieli, jest to znak, że to, co było ukryte, z łatwością znów może się objawić.

Tamtej nocy, we śnie, rzeczywiście dostałam gorączki, może z powodu nieobecności siostry. Tęskniłam za nią, bo przecież powitałam ją na tym świecie. Śniło mi się siedem wilków na szczycie góry, z gołębiami w pysku, a każdy gołąb miał siedem skrzydeł i mógł polecieć dalej niż inne. Siódemka to najmocniejsza z liczb. Siedem słów tworzy pierwsze zdanie Tory, a szabat jest siódmym dniem tygodnia, najświętszym ze wszystkich. I teraz w moim śnie pojawiły się siódemki. Odebrałam je jako błogosławieństwo i zew, na który muszę odpowiedzieć.

Poszłam pod mur wypatrywać siostry.

Przestałam tam większość dnia w przekonaniu, że mój sen to znak, iż Bóg wciąż uważa, że Nahara należy do mnie i że tak naprawdę nigdy się nie rozstaniemy. O zmierzchu, w porze między jednym światem a drugim, kiedy wzrok płata nam figle i łatwo dojrzeć to, czego pragniemy, zamiast tego, co widać, zdało mi się, że dostrzegłam Naharę. Podążała za wychudzonymi czarnymi kozami, które na próżno poszukiwały kępy trawy na skalistej grani. Rzymianie z obozowiska w dolinie też mogli ją za chwilę dojrzeć, bo wciąż było widno. Odkąd rozbili obóz, esseńczycy nie opuszczali swej jaskini za dnia, ale jeśli nikt ich nie wspomůže, ich zapasy wkrótce się skończą. Jeśli nie mają źródła albo studni, umrą z pragnienia.

Odebrano nam połowę gołębi, mimo że matka błagała, by darować im życie. Zostały przeznaczone na strawę. Teraz zbierałyśmy ledwie kilka koszy łąjna, by użyźnić ziemię, a ta odpłaciła nam pięknym za nadobne. Liście w sadach pokryły się plamami, a owoce gniły na gałęziach. Zerwałam, ile się dało, dla siostry. Nie mogłam patrzeć, jak przymiera głodem po drugiej stronie doliny, podczas gdy my, choć skromnie, to jednak wciąż mogliśmy się wyżywić. Spakowałam suszony groch, proso i małą karafkę oliwy z przydziału. Byłam gotowa kraść, kłamać i mordować, lecz na jedno nie mogłam się zdobyć. Ja, która zabijałam i zaznałam smaku krwi, nie byłam w stanie odebrać życia naszym gołębom. Zwróciłam się więc o to do Jael, która pomogła mi bez chwili wahania.

Poszłyśmy razem do gołębnika. Błady księżyc, który się nam przyglądał, pozwolił, byśmy przemknęły przez plac niczym duchy. Weszłyśmy do środka i przysiadłyśmy na słomie. Patrzyłam, jak Jael przywołuje do siebie ptaki. Gdy podlatywały, koła je i z płaczem skręcała im karki. Później kładła ich bezwładne ciała na kolanach i głaskała

pióra, nim oddała mi ptaki. Poświęciła się dla mnie bez reszty.

Odprowadziła mnie do kwatery, pomagając nieść zapasy, które miałam przekazać siostrze. Tak jak ja pomogłam jej w potrzebie, tak teraz ona wsparła mnie. Nigdy nie przypuszczałam, że ta, która była niegdyś moją rywalką, stanie się siostrą. Prędzej bym się spodziewała, że będę w niej miała bratową. Planowaliśmy z Amramem ślub, ale te czasy już minęły. Kiedy mały posłaniec przekazał mu, że zaniemogłam, przyszedł do nas i zapukał do drzwi. Matka zdziwiła się, że na jego widok czmychnęłam do ogrodu. Słyszałam, jak Amram wypytuje o moją gorączkę i jak matka tłumaczy mu, że to Adir jest chory, nie ja. Pewnie później pożalił się siostrze, bo kiedy przechodziłyśmy koło koszar, Jael szepnęła:

– Amram skarży się, że rzadko cię widuje. Wciąż nosi skrawek błękitu.

– To na twoją cześć, nie moją – spuściłam oczy.

– Wojna odmienia każdego.

Z tonu jej głosu wyczułam, że wie, iż jej brat coś z siebie utracił.

Przywdziałam tunikę Adira i zarzuciłam na plecy ciężką paczkę dla siostry. Mający trudności z chodzeniem brat leżał na sienniku. Zdumiał się, gdy spostrzegł, że się za niego przebrałam, i zaczął się zarzekać, że sam wziąłby mnie za siebie. Nie mógł do końca zrozumieć, że stał się wojownikiem, choć nadal polegiwał w ciemnym kącie izby.

– Wszyscy będą przekonani, że ty to ja – powiedział.

Pogodził się z tym, że zajęłam jego miejsce i rozślawiłam imię. To dlatego wojownicy podrzucali nam pod drzwi oliwę i mirrę, a sąsiedzi wyrażali podziw dla jego walecznych czynów.

Adir uniósł się na łokciu, by mi się przyjrzeć. Objuczony Eran stanął u mego boku, bo był mój, choć powinien należeć do mojego brata.

– Dobrze się spisywałem jako wojownik? – spytał Adir.

Skinęłam głową, zawstydzona, że tak go okradam, ale mój brat zdawał się zadowolony.

– Zabiłem wielu wrogów?

– Tylko z konieczności.

Za każdym razem, kiedy wojownicy wyprawiali się do doliny, byłeś między nimi, mój bracie. Atakowaliśmy nocą. Podzieliwszy się na cztery oddziały, podkradaliśmy się w mroku, przypuszczając szturm z czterech stron świata. Dawaliśmy Rzymianom do zrozumienia, że nas nie pokonali i że nie opuściliśmy twierdzy, mimo ich obecności u jej stóp. Dokonywaliśmy wypadów, by zdobyć to, co niezbędne do przetrwania, i zaznaczyć, że nie damy się zniewolić ani odebrać sobie prawa do Syjonu.

Kiedy ty, kochany bracie, spoczywałeś na sienniku, ja zapuszczałam się między cierniste krzewy i tuliłam mężczyznę, który nie lęka się żelaza, lecz tak jak ja całe życie za nim tęskni. Choć byliśmy ludźmi tylko w połowie, gdyż część siebie utraciliśmy, razem tworzyliśmy jedność. Dlatego pozostając w twierdzy, tak się niecierpliwiłam. Był jedynym człowiekiem, który naprawdę mnie znał. Powiedział, że gdybym była kobietą, i tak nie mógłby mnie mieć, gdyż poprzysiągł, że nie będzie z żadną oprócz swej żony. Ale ja byłam kimś innym, wojownikiem, tak jak on. Nie musieliśmy rozmawiać, bowiem ci, co walczą razem, rozumieją się bez słów. Poznawaliśmy się w ciszy. Każde z nas umiało przewidzieć, czego pragnie drugie – brutalności czy czułości – bez względu na to, czy trwało to całą noc, czy krótką skradzioną ekstatyczną chwilę.

W Jom Kippur, dniu, kiedy żałujemy za grzechy, pozostawiłam go z bólem jego przeszłości. Udał się wtedy na pustkowie. Nie chciałam dzielić z nim jego smutków, gdyż było to niemożliwe. Wyczekiwałam go w samotności, jak to przyjaciel. Powrócił do mnie z pasmem wbitych w pierś cierni. Dałam mu wody i część mojej strawy, o nic nie pytałam i niczego się nie domagałam. Mieliśmy dość wrogów, by nie naskakiwać na siebie nawzajem.

Dziękowałam opatrzości, że nie musisz oglądać świata za murem twierdzy, mój bracie, tak jak dziękowałam losowi, że mogłam przymknąć oczy w ciernistych krzakach, jęczeć i wić się nie jak w walce, gdyż w walce obowiązuje milczenie. Wtedy nie krzyczysz jak w tę noc, gdy lgiesz do leżącego obok wojownika i tylko twój pies może cię usłyszeć. Byłeś młody i z nich najsmuklejszy, lecz przedni był z ciebie łucznik, może nawet najlepszy. Rozpoznawali cię po strzałach z czerwonymi piórami, które nabierały dzięki nim szybkości. Były niczym ptaki ciągnące do naszych wrogów i sprowadzające na nich śmierć. Nie umknęła przed nimi żadna kozica ani żaden królik.

Często stawałeś poza kłębowiskiem walczących, bo wzrok miałeś sokoli. Z oddali dostrzeżałeś wroga i go zabijałeś, nim zdążył zaatakować naszych wojowników. Dzięki temu kilku z nich miał polec, przeżyło. Pewnego razu Amrama ogłuszył wystrzelony z procy kamień. Wtedy przybiegłeś z pagórka, na którym stałeś, i zabiłeś napastnika. Zbroja parzyła cię w słońcu, pozostawiając czerwone ślady na twojej delikatnej skórze.

Później Amram przyszedł ci podziękować, nazwał braciszkiem i ofiarował swą przyjaźń. Skromnie spuściłeś wzrok, jakby to wyróżnienie odjęło ci mowę, choć w istocie pragnąłeś ukryć przed nim kolor swoich oczu i to, co kryła pod sobą srebrna łuskowata zbroja. By go nie urazić, przyjąłeś jego amulet, srebrzysty dysk z wizerunkiem Salomona walczącego z demonem w Świątyni.

– W zamian będę cię chronił – oświadczył Amram tamtego dnia, gdy ty, taki młody i drobny, uratowałeś go przed czającym się w pobliżu aniołem śmierci. – Moje życie należy do ciebie.

Nosiłeś ten talizman podczas walk, jednak później skrywałeś go pod chustą. Nie miałaś serca, by mu powiedzieć, że nie zależy ci na jego życiu. Pragnąłeś wyłącznie własnego, nocy pośród ciernistych krzewów i dni u boku wojowników.

Twój cichy jak ty pies zawsze wiernie ci towarzyszył, mój bracie, jakby nauczył się milczenia od lamparta. Ale kiedy rozpoczynała się bitwa, przerywał ciszę i ryczał, gdyż nie lękał się krwi, żelaza ni śmierci. Był twoim towarzyszem i sypiał z tobą, gdy byłeś sam lub z wojownikiem, który rozumiał, dlaczego jesteś inny. Mimo że nie uchylałeś się od swych obowiązków i chętnie nosiłeś obosieczne miecze, proce i włócznie innych wojowników, nie bratałeś się z nimi.

Kiedy zrzucałeś z siebie tunikę, znikałeś w księżycowej poświacie. Wzbijałeś się w powietrze i tam pozostawałeś, między dwoma światami, a wówczas ja zajmowałam twoje miejsce.



Wymknęłam się z Eranem przez południową Bramę Wodną i ruszyłam do siostry. Owinęłam się szczelnie szalami, gdyż wkrótce miał nastać nocny chłód. Już raz przywróciłam ją do życia i teraz znów to uczynię. Nie powstrzyma mnie żaden wartownik, bo jestem dzielnym Adirem nazwanym tak na cześć władców krainy jego ojca. Stojący przy bramie wojownik tylko skinął głową, pozdrawiając swego towarzysza. Łuk przerzuciłam przez ramię. Na horyzoncie zapadał zmrok. Gasnące światło oblało odległe skały czerwienią. Po niebie szybowały słowiki i zwinne niebieskie kolibry chwytające pleniące się pod wieczór komary. Poruszałam się ostrożnie, gdyż spadający pojedynczy kamień mógł zwrócić uwagę Rzymian. Czekala mnie niebezpieczna wspinaczka do jaskini, w której zamieszkali esseńczycy.

Tak bardzo skupiłam myśli na Rzymianach, że nie przypuszczałam, iż ktoś mógł za mną podążyć. Byłam zaskoczona, kiedy chwycił mnie za ramię i pociągnął na skraj ścieżki. Żałowałam, że nie mam podarowanego mi przez ojca sztyletu. W walce wręcz łuk był bezużyteczny. Postanowiłam się bronić, lecz mężczyzna, który mnie pochwyił – jak to anioł lub demon – ani trochę się nie przeląkł. Mocowaliśmy się, ale mnie pokonał. Może to wcale nie był człowiek, tylko jeden z siedmiu wilków z mego snu? Jeśli tak, to sen ten przepowiedział moją klęskę. Zaczęłam płakać z powodu swej słabości. Ja, zawsze tak zajadła, poddałam się i czekałam, aż strawi mnie ogień lub

światłość.

Rozpoznałam go, gdy Eran położył się u jego stóp, jakby ten mężczyzna był jego panem. Teraz już wiedziałam, kto mnie śledził – ten, który nie miał nic prócz swego topora. Oświadczył, że będzie mi towarzyszył, a jeśli spadnie w przepaść, to widocznie tak było mu pisane, gdyż pragnął śmierci i mimowolnie ją kusił. Gdyby Malach ha-Mawet po niego przyszedł, spełniłby jego życzenie.

Nie chciałam, by ryzykował dla mej siostry, lecz w bitwie nie mówisz drugiemu wojownikowi, że już czas, by odszedł w zaświaty, ani nie zmuszasz go, by pozostał na tym świecie, gdy chce go opuścić. Nie mogłam się przecież z nim kłócić – to mogła jedynie kobieta, a on poprzysiągł, że nie będzie z żadną prócz żony. Byłam jego towarzyszem broni i musiałam uszanować jego życzenie. Nie mogłam go przytulić, gdyż poznałby, że jestem kobietą. Miałam na sobie tunikę Adira i jego łuk, dlatego ustąpiłam.

Przywiązaliśmy psa do ciernistego krzewu i ruszyliśmy w drogę. Nasze oddechy niosły się echem. Księżyc w nowiu świecił bladym, delikatnym światłem, ale wkrótce przesłoniły go chmury i zaczęliśmy przemykać w mroku. Nie musiałam widzieć Człowieka z Doliny, żeby wiedzieć, że jest przy mnie, gdyż łączyło nas coś silniejszego i niczym królewskie rumaki nie potykaliśmy się na skałach. Wyobraziłam sobie, jak chwytam moją siostrę, krępuję ją powrozem i uprowadzam z powrotem do twierdzy. Gdybym to jednak uczyniła, zaczęłaby krzyczeć, jak wtedy, gdy nawoływała ojca, kiedy ruszałyśmy z Żelaznej Góry. Jej krzyki przywiodłyby do nas Rzymian, a nie chciałam przyczynić się do śmierci siostry.

Wiedziałam, że sama musi ją na siebie sprowadzić.

Wpatrzona w ciemność, nagle się potknęłam, lecz mój towarzysz złapał mnie i przytrzymał, póki nie odzyskałam równowagi. Kamienie potoczyły się w dół, stukocząc, ale ktoś mógł pomyśleć, że to koziorożce hasają po skałach. Z daleka dojrzeliliśmy trzy jaskinie – jedną dla kóz, drugą służącą za spiżarnię i największą, w której mieszkali esseńczycy. Nie baliśmy się, że nas zaatakują, gdyż nie mieli broni; ich jedynym orężem było boże miłosierdzie. Najpierw poczuliśmy ostry smród, gorszy niż w oborze. Kiedy zajrzałam do środka, ledwo zniosłam widok, który ukazał się mym oczom. Płonące w jaskini ogniska pokryły ich skórę sadzą i przyprószyły popiołem lniane szaty. Dwóch mężczyzn podeszło do nas, marszcząc brwi, najwyraźniej niezadowolonych, że zakłócamy im spokój. Byli brudni, wychudzeni, a z ich oczu wyzierał głód. Rozpoznałam Malachiasza, który, widząc moją tunikę, wziął mnie za chłopca.

– Przynieśliśmy wam jedzenie – wyjaśnił Człowiek z Doliny. Postawiliśmy pakunki

na ziemi: liche owoce, gołębie, podpłomyki, ziarno i bukłaki z wodą.

– Z rąk morderców? – spytał starszy z mężczyzn, przypatrując się zapasom, które przynieśliśmy, narażając życie.

– Z rąk waszych braci – odrzekł Człowiek z Doliny uprzejmie, choć w jego głosie było słychać nutę rozdrażnienia.

Gdy oni rozmawiali, poszłam w głąb jaskini. Dojrzałam w mroku Abbę. Ukochany kapłan esseńczyków leżał na skalnym występie. Wyglądał, jakby już odszedł w zaświaty, jednak wciąż oddychał. Dostrzegłam też grupkę kobiet, które przyglądały się nam nieufnie, ale nie rozpoznałam siostry. Zdjęłam chustę z głowy i rozpuściłam włosy, by zobaczyć, kim naprawdę jestem. Wtedy szybko ruszył ku mnie Malachiasz – tak szybko, jakby ujrzał czarną żmiję, która owija się wokół swej ofiary i już jej nie puszcza.

– Idź już – rzucił, choć ryzykowałam życie własne i mego towarzysza, by przynieść im pożywienie i wodę. – Ona nie może z tobą rozmawiać ani wracać myślami do tego, co było.

Wtedy ją zobaczyłam, kobietę w łachmanach, moją piękną siostrę w gronie innych kobiet, owiec w zagrodzie, samą niczym jagnię za ogrodzeniem z ciernistych krzewów. Natychmiast pojęłam, czemu Malachiasz tak się boi. Wyczuł, co uczynię, nim o tym pomyślałam. Kiedy zawołałam Naharę, mój głos był tak płaczliwy i zachrypnięty, że sama ledwo go poznałam.

– Chodź ze mną – błagałam, przywołując ją do siebie. – To nie jest miejsce dla ciebie. Będę cię chronić, tak jak chroniałam, jeszcze nim tu przyszłaś i poznałaś tych ludzi.

Odpowiedzią była cisza, jeśli nie liczyć odgłosu mego szlochu, gdyż moje słowa opadły jak kamienie i wycisnęły łzy ze mnie samej. Podszedł Człowiek z Doliny. Myślałam, że mnie skarci, gdyż byłam tylko kobietą. Tymczasem on pochylił się nade mną, nie oceniając mych uczynków.

– Spróbuję do niej przemówić – powiedział.

Czekałam u wejścia do jaskini. Zauważyłam nieopodal płytką, zatęchłą sadzawkę. Esseńczycy musieli pić z niej wodę, choć nie nadawała się dla ludzi. W błotnistej ziemi rosła małeńka akacja, która właśnie zakwitła. Ściągnęło do niej tysiąc pszczół. Zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w ich bzyczenie. Przez chwilę znalazłam się w innym świecie, w krainie mego dawnego życia, i mknęłam na koniu po łąkach. Wyobraziłam sobie, że rozpalam ogień ze stu gałęzi, że iskry ulatują w niebo i przemieniają się tam w gwiazdy.

Ocknęłam się, gdy podszedł do mnie Człowiek z Doliny. Po długiej wędrówce chciało mi się pić, lecz kiedy go ujrzałam, poczułam, jakbym zaspokoila część swego

pragnienia. Oznajmił mi, że esseńczycy zgodzili się przyjąć nasze dary. Później zawiedli go przed oblicze Abby, który ofiarował w podzięce modlitwę. Starzec ledwo mówił. Był tak słaby, że nie, która wiązała go z tym światem, niemal się przetała. Nahara stanęła obok Człowieka z Doliny i gdy Abba odmówił modły, szepnęła mu tak, by nikt nie dosłyszał, że pamięta mnie, najszybszego jeźdźca, ulubionego syna swego ojca, siostrę, do której kiedyś należała, w innym miejscu i czasie.

Szliśmy w milczeniu, jak zawsze, lżejsi, bo nie dźwigaliśmy już owoców, wody i prosa, a ja nie niosłam na barkach losu mojej siostry. Zostawiłam ją tam. Nie ode mnie zależało, czy się jeszcze spotkamy. Nahara odrzuciła dziewczynkę, którą powołałam do życia, i nic już nas ze sobą nie łączyło. Mimo to nie będę o niej myśleć jako o kobiecie, która zasyła się w jaskini i wyczekuje ze spuszczonego wzrokiem Końca Czasów, ale jako o jedynym dziecku, którego cudu narodzin byłam świadkiem na chwałę Pana.

Eran na nas czekał. Przed powrotem do twierdzy zatrzymaliśmy się na postój. Uzgodniliśmy to, jak to towarzysze broni, bez słów. Wiedzieliśmy, że Rzymianie są już blisko i rozumieliśmy, co to oznacza. Wzięliśmy sobie tę jedną noc na wypadek, gdyby następna miała się nie zdarzyć. Poszliśmy do jaskini, w której – jak powiedziała mi Jael – mieszkał lew, jednak wcale go tam nie było. Z dala od wejścia rozpaliliśmy ognisko. Inni też tak czynili, bo dostrzegliśmy popiół i sadze. Może oni, podobnie jak my, marzyli, by zaznać wolności z dala od tej góry. Może także tęsknili za innymi czasami i krainami.

Objęłam mojego wojownika, przyciągnęłam do siebie i mu się oddałam. Nie miałam już siły walczyć. Pragnęłam pięknego życia. Tamtej nocy Człowiek z Doliny kochał mnie czule jak nigdy przedtem, może dlatego, że był świadkiem, jak szlocham przy swej siostrze. Nie traktował mnie jak wojownika, ale jak kobietę. Czułam, iż próbuje mi powiedzieć, że świat jest straszny i że powinnam się przygotować na to, co wkrótce nadejdzie. Postanowiłam jednak porzucić te lęki, tak jak odrzuciłam przestrozę matki, że miłość mnie zniszczy. Teraz to było nieważne. Oboje byliśmy okaleczeni i nie wierzyliśmy w nic, czego zaznaliśmy. Razem zabijaliśmy, razem grzebaliśmy swoje ofiary i śpiewaliśmy modlitwy, które mogą odmawiać jedynie mężczyźni. Obcowaliśmy ze sobą jak przepełnione chucią zwierzęta i jak kochankowie, którzy poza sobą nie widzą niczego.

Gdy opuszczaliśmy jaskinię, poranek rozświetlił najdalsze zakątki nieba. Maszerujący rzymski legion wzniecał tabuny kurzu. Jedna kolumna sunęła z północy, druga ze wschodu. Kiedy się połączyły, chmury pyłu nie utworzyły wizerunku dzika,

jaki Rzymianie nieśli na sztandarach, lecz lwa, symbolu pradawnego ludu Judei i otaczającej nas pustyni.

– Mam na imię Rebeka – wyznałam mu. Jego zwali Joaw. Był Człowiekiem z Doliny, miłością mojego życia.

Jesień 72 roku naszej ery

[4] Psalm 16, 8 (przyp. red.).

[5] Fragment Psalmu 91 (przyp. red.).

[6] Ibidem.

[7] Ibidem.

[8] Ibidem.

[9] Ibidem.

Część czwarta

Zima 73 roku naszej ery

Czarownica z Moabu

*Nie różniliśmy się od latających po niebie gołębi.
Nie potrafiliśmy mówić ani płakać, ale gdy już nie
mieliśmy wyjścia, odkryliśmy, że umiemy latać.
Jeśli chcesz poznać powód, oto on: marzyliśmy
o własnym skrawku nieba.*

Matka nauczyła mnie wszystkiego, co musi wiedzieć kobieta na tym świecie i co musi zabrać ze sobą do Przyszłego Świata. Kiedy miałam osiem lat, wiedziałam, że gotowany we wrzątku liść palmy daktylowej jest lekiem na ukąszenie skorpiona, wtarty w nadgarstek nektar niebieskiego kwiatu hizopu odpędza zło, a roztarty popiół ze skóry węża zapewnia mężczyźnie bezpieczeństwo. Nosiałam na szyi kiel czarnego psa, który chronił mnie przed dzikimi bestiami. Zawsze odmawiałam zaklęcie, gdy okopywałam korzeń lulka czarnego, świętej rośliny, pod którą grzebałam amulety mojej matki, składane w ofierze Asztarte, bogini, która czuwa nad nami w czasach waśni.

Matka nauczyła mnie wyrabiać amulety chroniące przed febrą i talizmany zwycięstwa, za to nie chciała mieć do czynienia ze szkodliwymi amuletami służącymi osłabianiu przeciwnika, więc nie miałam ich w swej księdze receptur. Znałam sposoby odczyniania uroków i leczenia ran po ukąszeniach gadów. Swymi zręcznymi i niestrudżonymi palcami zaszywała w rąbkach mych szat drobinki srebra i skarabeusze. Jej wielką urodę była w stanie przyćmić jedynie rozległa wiedza. Miała na imię Niza i uważałam, że to najpiękniejsze słowo spośród wszystkich języków świata. Kojarzyło mi się z tryskającą fontanną i rytmem spadających kropel deszczu.

O zmierzchu, kiedy niebo nad Aleksandrią przybierało delikatną niebieską barwę, matka uczyła mnie w ogrodzie hebrajskiego, aramejskiego i greki, wypisując zaostrzonym patykiem litery na piasku. Nikt nie widział tych lekcji, gdyż nie mieszkaliśmy wśród zwykłych ludzi, lecz w domu świętych kobiet przeznaczonych dla kapłanów. Nasze szczęście było podwójne, bowiem mojej matki nie dotyczyły prawa

stosowane wobec innych kobiet. Mogła się modlić, uczyć i przyjmować u siebie mężczyzn.

Aleję prowadzącą do naszego domu wysadzono smukłym żywopłotem z jaśminu i wonnych rododendronów. Wiezorami całe miasto zalewał błękit, jakby znalazło się ono pod wodą. Terakotową ścieżkę przed domem skrywał głęboki cień i nigdy nie było wiadomo, kto do nas przychodzi, a kto wychodzi w pogodne, przesycone wonią kwiatów wieczory. Z tego cienia korzystałam i ja. Byłam samotna i zdana na siebie. Jedynymi świadkami pobieranych przeze mnie nauk były gąsienice i chrząszcze. Już jako bardzo małe dziecko pojęłam, że kobiety mają swe tajemnice, którymi czasami dzielą się jedynie z córkami. W tym sensie byłyśmy związane ze sobą na wieki.

W ogrodzie, gdzie uczyłam się liter, rosła pewna rzadka odmiana białych lilii wodnych, wydzielających wieczorami wspaniałą woń. Odtąd kwiaty te stały się moimi ulubionymi. Jeden jest wart tyle, co beczka balsamu lub mirry. W porównaniu z nimi dzikie czerwone lilie z Moabu, choć wspaniałe, są niczym chwasty, a ich zapach zdaje się nijaki przy woni lilii z Aleksandrii. Matka wcierała ją sobie w nadgarstki i dlatego nie oparł się jej żaden mężczyzna.

Gdy inne kobiety spędzały czas na okolonych murem dziedzińcach swych domów, zapuszczając się nie dalej niż na targ, a i wtedy jedynie w towarzystwie służących i krewnych, ona mogła robić to, na co miała ochotę. Każdej wiosny podczas Świąta Przaśników odwiedzała rodzinę w Jerozolimie i właśnie w tym mieście zdecydował się mój los.

Ponoć po wygnaniu Adama i Ewy z Ogrodu Edeńskiego dwa anioły zstąpiły na ziemię, by podzielić się z ludźmi wiedzą, do jakiej zechciał nas dopuścić Bóg. Jadały z nimi, zakochiwały się w nich, cieleśnie z nimi obcowały i patrzyły, jak rodzą im się dzieci. Z tego powodu nigdy już nie mogły powrócić do świata duchów. Do dzisiaj stąpają po ziemi i przekazują wiedzę o magii tym, którzy pragną ją posiąść. Matka wywodziła się z rodziny, w której kobiety chętnie słuchały nauk aniołów. Przechowywała swe największe skarby w zdobnej szkatułce z twardego drewna, do której klucz w kształcie węża nosiła na szyi na kosmyku z zaplecionego końskiego włosia. Gdy byłam dzieckiem, wydawał mi się żywym stworzeniem. Pozwalała mi go czasami potrzymać. Wtedy czułam jego chłód na swojej dłoni.

W szkatułce matka trzymała pergaminowy notes, w którym zapisywała poznawane przez lata sekrety. Była to księga receptur dla ludzkiego serca, gdyż lud nasz wierzył, że wszystko, co wiemy i czego doświadczamy, trafia właśnie tam.

Stronice notesu mojej matki zawierały różne receptury: na kurzą ślepotę, na schwywanie złodzieja, na ból głowy, gorączkę, wierność, miłość. Inne dziewczynki bawiły się tasiemkami lub wyrzeźbionymi z drewna zwierzętami, a ja pochłaniałam tajemnice, które miałam przekazać kiedyś własnej córce. Matka zapisywała zaklęcia kodem, by nikt obcy ich nie zrozumiał i nie ogarnął ich mocy.

Zawsze istniały pradawne księgi tajemnic. Mężczyźni praktykujący magię, nauczyciele zwani *abba*, czerpali z nich swą wiedzę. Ponoć nawet Mojżesz posiadał księgę zwaną przez czarowników i uczonych w Piśmie *Księgą Księżyca*, zbiór zaklęć tak potężnych, że nikt inny nie ośmielił się jej otworzyć z obawy, że spłonie żywcem od żaru zawartych w niej słów. Niektórzy twierdzili, że Mojżesz potrafiłby osuszyć morze lub zniszczyć cały świat, gdyby tylko zechciał albo gdyby przykazał mu to Bóg. Noe też miał taką księgę. Anioł w *Księdze Jubileuszów* głosi, że to właśnie anioły przekazały Noemu najróżniejsze tajemnice, by wykorzystał rosnące na ziemi zioła do wyleczenia synów. Krążyła też plotka o istnieniu bezcennego skarbu, *Księgi Henocha* zawierającej bezpośrednie wskazówki od Wszechmogącego, mistycznego traktatu tak zawiłego, ezoterycznego i pełnego zagadek, że jedynie największy z mędrców mógł pojąć jego treść.

Były to dzieła uczonych w Piśmie i kapłanów. Istniały dwie szkoły magicznych obrzędów – odprawianych publicznie przez kapłanów, takich jak egzorcyzmy, uroki i błogosławieństwa, oraz czarów, którymi parali się *minim*, mędracy lub czarownicy oferujący swe usługi za opłatą przed synagogami. Oprócz tego potajemnie, w ciemnościach i za zamkniętymi drzwiami, oddawały się temu zajęciu kobiety. Miały księgi wyjaśniające, jak przyrządzić *pharmaka*, leki oraz *philtron*, napój miłosny. Znały sekretne działanie popiołu, liści laurowych, krwi, siarki, mirry, piżma, miodu, oliwy, kwiatów oraz korzeni najróżniejszych roślin – mandragory, *jawrucha* i *ba'aras* o jaskrawoczerwonej i płomiennej barwie. W Świątyni ogłoszono, że czarownic nie wolno tolerować, gdyż są to nieczne ladacznice, które nigdy nie posiadają mądrości. Istniało dziesięć poziomów wtajemniczenia mędrców, lecz tylko dwa rodzaje kobiet mogły dosłyszeć głos Wszechmogącego: wieszczki i wiedźmy.

Dla kobiet potajemnie uprawiających magię liczył się jedynie nasz promienny Bóg, który przerastał wszystkich czarowników. Nie zgadzałyśmy się na wprowadzone przez mężczyzn prawa i nie przestrzegałyśmy niektórych dekretów, bo prawo to uznawało uprawianie czarów, z których słynęła moja matka, za grzech.

Wiedziałyśmy, dlaczego tak się dzieje i czemu nasza wielka bogini Aszarte, wojownicza i wieszczka, została zbezczeszczona i obłożona klątwą w Pismach, które

spisano po Prorokach^[10]. Zabroniono nam, byśmy ją czcili, jej posągi stopiono w kałuże srebra i mosiądzu, zakazano wypieku ciastek z jej wizerunkiem, a drzewa, które przystrajałyśmy na jej cześć, dawno ścięto. Wygnanie Królowej Niebios miało tę samą przyczynę co utrata królestwa przez Samsona. Mężczyźni palili swe włosy i paznokcie, by nie zostały użyte przeciwko nim w urokach rzucanych przez kobiety. Te, które uprawiały *keszafim*, uważano za wiedźmy i karano wygnaniem, spalaniem i pohańbieniem. Były potężne i niebezpieczne i żaden mężczyzna nie chciał ich mieć u swego boku, chyba że na jedną noc w łóżu, nim się jej pozbył.

Z tego też powodu kobiety nieczęsto spisywały swoje mądrości, by nikt ich nie odkrył i nie użył przeciwko nim. Wymieniałyśmy się magicznymi recepturami, tak jak przekazywałyśmy sobie najlepsze przepisy na ciasto z figami, rosół na kościach i najśłodsze duszone jabłka z miodem. Nie opowiadałyśmy o naszych praktykach ani nie obnosiłyśmy się z talentami, lecz inne kobiety wiedziały. Prawdę miałyśmy wypisaną na twarzach, tak jak ponoć męskie występki są wypisane na ich kościach, więc gdy umierają, ich złe uczynki można odczytać z nich niczym z pergaminu.

Dajemy kobietom to, czego najbardziej pragną – leki na najczęstsze przypadłości tego świata. Jeśli mąż i żona są nieszczęśliwi, bo ich domostwa uczepliły się demony, małżeństwo można rozwiązać zaklęciem nawiązującym do listu rozwodowego. „Przepędzam cię z domu, nie wolno ci się w nim pojawiać, nawet w snach, gdyż odprowadzam cię i uwalniam tym listem rozwodowym, zgodnie z prawami kobiet Izraela”.

Przychodzą do nas, kiedy ich dzieci chorują, nienarodzone nie chcą przyjść na świat, mężowie zdradzają, z nieba nie pada deszcz, amulety zakopane pod świętymi murami synagogi w myśl wskazówek *minim* nie działają i prośby do kapłanów o wstawiennictwo zawodzą, a odprowadzane przez nich obrzędy nie przynoszą pocieszenia.



Jako dziewczynka, jeszcze w Aleksandrii, często widziałam, jak matka przegląda swoje zapiski, kiedy powinnam już spać na sienniku ułożonym w nogach jej godnego królowej łóża zaścielonego delikatną pościelą przeszytą fioletową i złotą nicią. W półmroku wyglądała groźnie z czarnymi opadającymi na plecy włosami. Wieczorami zapalała balsam w glinianej misie. Unoszący się do sufitu dym miał bladoszary kolor, jak pióra po wewnętrznej stronie gołębiego skrzydła. Woń balsamu kojarzyła się

z odległymi krainami, gdzie pola zawsze były zielone i rosły akacje. Matka postanowiła przybyć do Aleksandrii, by zamieszkać pośród Greków i Żydów, gdyż była piękna i uczona. Nosiła na skórze tajemne misterne tatuaże, wykonane zaostrzoną trzcinką maczaną w hennie. Nadawały jej status *kedesza*. Po przejściu inicjacji często pozostawała w cieniu, bo choć wielu mieszkańców Aleksandrii darzyło takie kobiety szacunkiem, to Świątynia w Jerozolimie zakazała tego rodzaju praktyk.

Kobiety, które stały się *kedesza*, uważały, że tylko nieliczni są bliżej Szechiny niż one. Uosabiały kobiecy aspekt boskości, Gniazdo, w którym zamieszkuje natchnienie, gdyż stworzone przez Boga słowa „litość” i „wiedza” są rodzaju żeńskiego. W ogrodzie mojej matki rosły lilie, a ona sama znała hebrajski i grekę i mogła dyskutować z każdym mężczyzną.

Gdy składali jej wizyty kapłani, wysyłano mnie do ogrodu. Rosły tam wśród żywopłotów białe kwiaty henny, których płatki, kiedy przerabiano je na barwnik, tajemniczo zmieniały kolor na święty odcień czerwieni. Często przesiadywałam koło niewielkiej fontanny wyłożonej biało-niebieskimi płytkami. Niechętnie rozstawałam się z matką, ale zawsze znajdowałam sobie zajęcie, jak to dziecko, które czasami musi się zachować dojrzałej, niż wskazuje na to jego wiek. Lilie spoczywały na mięsistych zielonych liściach ciągnących za sobą pod wodą blade grube łodygi. Do fontanny przylatywały ptaki, wyśpiewując trele w zamian za gaszącą ich pragnienie wodę. Zgodnie z nakazem matki spędzałam ten czas w ciszy. Ćwiczyłam milczenie dopóty, dopóki, siedząc nieruchomo, nie stawałam się niewidzialna dla ptaków przylatujących z pobliskich pini. Często przysiadają na mych ramionach i kolanach. Czułam, jak biją ich małe serduszka, kiedy śpiewały w podzięcie za cień i urodę naszego ogrodu.

Pewnego razu, gdy miałam nie więcej niż cztery lata, odesłano mnie do zalanego słońcem upalnego ogrodu na długie godziny. Byłam tak zła, iż wyproszono mnie z komnaty na południowy skwar, że aż wskoczyłam do fontanny. Poczułam pod stopami chłód śliskich płytek. W dzieciennym napadzie złości wskoczyłam do niej, nie zważając na konsekwencje. Lejący się z nieba żar natychmiast przestał mi dokuczać. Wstrzymałam oddech i zanurkowałam. W zielonkawej wodzie od razu poczułam się jak w domu. Była moim żywiołem. Świat zawirował, lecz miałam wrażenie, że jest jeszcze bardziej mój. Chciałam zamknąć oczy i pozostać tam już na wieki. Widziałam bąbelki własnego oddechu. Nagle ktoś mnie pochwycił. To kapłan wyciągnął mnie z fontanny. Potrząsnął mną i ostrzegł, że dziewczynki, które bawią się w wodzie, zwykle się topią, i że nikt po mnie nie zapłaci, jeśli spotka mnie taki los.

Ale ja się nie utopiłam. Popatrzyłam na niego wyzywająco, cała ociekając wodą.

Poczułam w sobie siłę, która dodała mi odwagi, by spojrzeć na tego świętego człowieka. Zauważyłam, że matka dziwnie mi się przygląda, stojąc w progu domu. Włosy miała w nieładzie. Jej nagie ciało okrywał pojedynczy biały szal. Tatuaze oplatające szyję, piersi i ramiona sprawiały, że bardziej przypominała kwiat niż kobietę.

Niedługo po moim skoku do fontanny matka zabrała mnie nad Nil. To tam, na brzegu najpotężniejszej z rzek, Mojżesz wypisał imię Boga na złotej płytce, którą wrzucił do wody, zaklinając Wszechmogącego, by zezwolił naszemu ludowi na wyjście z niewoli egipskiej. Czekala nas długa droga, jednak matka stwierdziła, że nie mamy wyboru. Służący wieźli nas tam na wozie zaprzęgniętym w osiołki. Rozpięli nad nami baldachim, by chronił nas przed słońcem. Wyruszyliśmy w środku nocy, kiedy było chłodno. Nazajutrz, gdy nastał upał, odpoczywaliśmy, po czym podążyliśmy dalej. Drzemiąc, słyszałam, jak skrzypią koła naszego wozu i rozmowy służących, którzy zwracali się do siebie po grecku. W miejscach publicznych wszyscy mówili w tym języku – Żydzi, Egipcjanie, poganie i Grecy. Nasze osiołki były białe i starannie wyszczotkowane. Szły równym, szybkim krokiem. W koszyku wieźliśmy owoce i ciastka z daktylami i figami, które jedliśmy, gdy tylko poczuliśmy głód. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jestem księżniczką, a moja matka królową. Powietrze było ciężkie od upału, ale im bardziej zbliżaliśmy się do rzeki, tym chłodniejsza wiała od niej bryza.

Kiedy nastał ranek, mijani przez nas ludzie zaczęli się krzątać wokół swych zajęć. Na drodze prowadzącej nad rzekę panował gwar, a powietrze pachniało cynamonem i kardamonem. Rosły tam sumaki i najwyższe palmy daktylowe, jakie kiedykolwiek widziałam. Czułam dreszczyk podniecenia i radość z faktu, że w końcu jestem sama z matką. Wreszcie nie musiałam się nią dzielić. Pozwoliła mi się bawić dwoma złotymi amuletami zawieszonymi na jej szyi i błyszczącym w słońcu kluczem w kształcie węża.

Miała na sobie białą tunikę i sandały. Natarła olejkiem i zaplotła swoje włosy i moje, jak przed uroczystością składania ofiar. Dotarliśmy nad rzekę, kiedy niebo dopiero się różowiło. W powietrzu unosił się ostry zapach mułu i lilii. Kobiety przynosiły tu kosze z praniem, które suszyły później na brzegu, a mężczyźni wyprawiali się na połów ryb wąskimi drewnianymi łodziami o płaskim dnie. Wiosłując, pokrzykiwali do siebie, a później zarzucali sieci.

Matka pochyliła się nade mną i szepnęła, że dotarliśmy do celu naszej podróży. Powiedziała, że skoro moim żywiołem jest woda, muszę się nauczyć pływać z otwartymi oczami. Albo ów żywioł zapanuje nade mną, albo ja nad nim. By

zawładnąć czymś tak potężnym, trzeba najpierw temu ulec, stać się z nim jednością, a potem zatryumfować. Ruszyliśmy przez trzciny, których ostre brzegi raniły nam nogi, pozostawiając na skórze nacięcia w kształcie litery „X”. Widziałam polujące na ryby czaple i bociany. Nasze stopy zapadały się w mule, a gdy weszliśmy głębiej, woda uniosła nam tuniki.

Nil zawsze wylewał po letnim nowiu. Jego wody były wielkim darem w czasie morderczych upałów. Czułam, ile orzeźwienia i radości nam dają. Nigdy przedtem nie zaznałam tak czystej rozkoszy. Rozchodziła się po całym ciele powoli i nagle zalewała cię niczym fala. W okamgnieniu rzeka stawała się twoją własnością, a jednocześnie zawłaszczala ciebie. Miałam poczucie, że moje miejsce od zawsze było właśnie tutaj.

– Teraz zobaczymy, kim się staniesz – rzekła matka, ciekawa, jaki los spotka jej córkę.

Zanurzyłam się z otwartymi oczami. Pewnie zacisnęłabym powieki, gdyby matka nie nakazała mi czujności. Ufałam jej i zawsze czyniłam to, o co prosiła. Ani na moment nie zamknęłam oczu. Doznałam wtedy wizji, która zostanie ze mną do końca życia. Pływała tam ryba wielkości człowieka. Lśniła w mętnej wodzie. Była ogromna, nie potrzebowała powietrza ani ziemi, ale się jej nie przelękłam. Wręcz ogarnęła mnie czułość. Miałam wrażenie, że to mój ukochany. Wyciągnęłam rękę, a ryba pozwoliła, bym przesunęła dłonią po jej chłodnych, srebrzystych łuskach.

Wynurzyłam się z wody przepelniona radością, lecz także smutkiem, jakiego wcześniej nie zaznałam. Dziecko zwykle nie odczuwa melancholii, gdy nic wokół się nie zmienia i świat wciąż jest taki jak przedtem. Mimo to miałam poczucie niepowetowanej straty.

Kiedy opowiedziałam matce o rybie, stwierdziła, że ujrzałam swoje przeznaczenie. Ani trochę się nie zdziwiła.

– Ugryzła cię? – spytała.

Pokręciłam głową. Ryba wydawała się bardzo przyjazna.

– Kiedyś cię ugryzie – przepowiedziała matka. – Oto tajemnica miłości: wszystko, co daje, odbiera.

Nie rozumiałam tego, choć wiedziałam, że świat to niebezpieczne miejsce dla kobiety. Nie rozumiałam też, w jaki sposób ktoś, kogo żywiołem jest woda, ma się trzymać z dala od ryb.

Powiadają, że kobieta uprawiająca czary to wiedźma i że każda wiedźma czerpie moc z ziemi. Pewien wielki mędrzec mówił, że jeśli ktoś zdoła ją unieść, wówczas odetnie ją od ziemi i uczyni bezsilną. Na mnie jednak nie miałyby to wpływu. Moja siła

pochodziła z wody, me zdolności wykluły się w rzece. W dniu, w którym dojrzałam swoje przeznaczenie w granatowej głębi Nilu, matka przepowiedziała mi, że – tak jak ona – będę miała własną moc. Przestrzegła jednak, że jeśli zbyt oddalę się od wody, stracę i moc, i życie. Muszę myśleć trzeźwo i nie ulegać namiętności, bo to ona sprawia, że kobiety się topią.



Pustynne powietrze parzy. Kiedy zaczerpniesz tchu, rozpala ci trzewia, gdyż jest ostre jak żelazo i nieubłagane jak tumany piasku podczas burzy. Wodę pozyskujemy z deszczu i akweduktów wzniesionych dawno temu przez niewolników króla Heroda, szerokich glinianych rur, którymi spływają do nas wartkie strumienie z zalewanych przez zimowe ulewy wąwozów. Jednak to mi nie wystarcza. Pustynia zaczyna mnie dusić, moja moc słabnie. W wodzie pływam, za to w tym wysuszonym bezludnym piekle brakuje mi tchu. Śnię o rzekach i srebrzystych rybach. Powiadają, że nasz lud jest jak ryba w morzu, karmiony rzekami wiedzy płynącej z Tory, i dlatego zdołaliśmy przetrwać na tej okrutnej i nieprzyjaznej ziemi.

Często otwieram oczy zdyszana, topiąc się w kałużach jaskrawego światła bijącego od samego rana z nieba. Kobiety, które noszą w sobie nowe życie, są szczególnie wrażliwe na upał. Tylko trzy razy w życiu było mi tak źle. Pierwszy raz w Jerozolimie, gdy miałam trzynaście lat i ledwie stałam się kobietą. Drugi raz na Żelaznej Górze, na której czułam się jak na wygnaniu, i teraz tutaj, gdzie odnalazłam swoje przeznaczenie.

Nocami, podążając za wodą, chadzam do cystern. Jej zapach odbieram mocniej niż zapach mirry i kadzidła. Dorównuje mu jedynie woń białych lilii rosnących tylko w Aleksandrii. Mówią, że potrafię sprowadzić deszcz i że przyciągam wodę, ale są w błędzie. To ja zawsze ciągnęłam do wody. Śnię o Nilu w tamten różowy poranek i o matce, której nie widziałam już tak długo, że pewnie by mnie nie poznała, jeśli w ogóle nie odeszła do Przyszłego Świata.

Czarna woda w cysternie odbija światło gwiazd. To dobry znak, który dodaje mi otuchy – światło w ciemności, prawda, kiedy zdaje się, że jej nie ma. To jedyne miejsce, gdzie mogę być sobą, dziewczynką, która wskoczyła do fontanny, tą, która nie bała się potworów, głębokiej wody ani tego, że się utopi. Schodzę po stu kamiennych stopniach, czując pod stopami chłód granitu. Wiem, dokąd zawiedzie mnie miłość, gdyż tamtego dnia nad Nilem matka przepowiedziała, że namiętność mnie zniszczy i że pociągnę za sobą każdego, kogo ośmielę się pokochać. Ale już gdy wypowiadała te

słowa, była świadoma, że i tak podążę za swoim przeznaczeniem.

Przystaję nad otynkowanym brzegiem cysterny. Biały pył z tynku oblepia moje ciało. Patrzę na fale rozedrganego gorącego powietrza nad taflą wody. Powiadają, że nad jej powierzchnią unosi się duch boży, jak w pierwszym dniu dzieła stworzenia. Staję przed cudem, który stworzył Pan. Zrzucam z siebie płaszcz, sandały, tunikę. Inne kobiety kąpią się w mykwie, lecz ja potrzebuję głębszej wody. Nurkuję.

Niektórzy wierzą, że ta największa z cystern wzniesionych przez murarzy Heroda nie ma dna i że jeśli kiedyś je dojrzymy, będzie to oznaczać nasz koniec. Jest głęboka, ale nie nieskończenie. Wiem to na pewno. Wszystko ma swój kres. Często nurkuję jak najgłębiej i nie wypływam, przytrzymując się głazów, z których usypano fundament. Są śliskie i gładkie, bezustannie obmywane przez wodę. Oczy mam otwarte, choć pod taflą panuje mrok. Nie ma tu ryb ani przebłysków światła, lecz gdy wychynę na powierzchnię, będzie tam czekał mój kuzyn Eleazar.

To jego ujrzałam w wodach Nilu, kiedy dostrzegłam obok siebie rybę.

Od początku aż do teraz tylko to się nie zmieniło.

Jest moim przeznaczeniem.



Żołnierzy dziesiątego legionu poprowadził przez pustynię Flawiusz Silwa, legat cesarski Judei, nowo mianowany przez Rzym. Wzniecali takie tumany kurzu, że z pewnością można je było dojrzeć z Żelaznej Góry, gdzie spędziłam tyle lat u boku dwa razy ode mnie starszego męża, który mimo iż wiedział, że go nie kocham, zapewniał mi bezpieczeństwo. Nigdy mnie nie skrzywdził, choć miał w sobie kamienny chłód cechujący zajadłych mieszkańców Moabu, któremu towarzyszyła zaskakująca czułość wobec dzieci. Zwał się Sa'adallos, lecz nigdy go tak nie nazywałam. Gdybym to robiła, mogłabym go pokochać i trafić do Petry, a nie do tej twierdzy, pod którą w końcu podeszli Rzymianie. Mogłabym się przechadzać po mieście wśród rudych skał, z jego cudownymi rzeźbionymi kolumnami i wykutymi wizerunkami słoni i wielbłądów. Mogłabym kąpać się w sadzawce ponoć tak wielkiej jak jezioro i cieszyć się wiszącymi na skałach ogrodami. Wszyscy podziwiali je z zachwytem, dostrzegając palmy daktylowe tam, gdzie w innej krainie ujrzeliby tylko obłoki.

Gdybym go pokochała, moje dzieci byłyby bezpieczne, a moja przyszłość niezagrażona. Tymczasem przywiodłam je na tę grań, do pułapki, z której nie było ucieczki. Choć aniołowie mogli usłyszeć nasze nawoływania, nigdy nie zdołaliby dotrzeć na ten kraniec świata, nawet gdyby zechcieli nas ocalić. Pojęłam to, kiedy

rozrzuciłam kości gołębi, które przepowiedziały, że tak jak nie ma ratunku przed tym, co zostało napisane, tak i nie ma ucieczki z tej twierdzy.

Zebrałiśmy się, by przypatrzeć się sześciu tysiącom legionistów, którym towarzyszyło ponad tysiąc niewolników i zwolenników. Milcząc, drżeliśmy. Przerazała nas nie tylko ich liczba, ale i determinacja. Przybyli tu aż z Jerozolimy, mimo że w twierdzy było ledwie kilkuset powstańców. Dopadli nas jak szakale swą ofiarę, otaczając osłabioną zdobycz i czekając na odpowiedni moment, by przypuścić atak.

W chmurach pyłu, jakie wzniecili, ptaki spadały z nieba, nie mogąc latać w wirach kłębiącego się żwiru. Wkrótce ziemię zaścieliły truchła kruków liczniejsze niż rzymski legion, które przemieniły ją w żałobny płacheć czerni. Zdało się, że nagle dojrzelibyśmy rąbek zaświatów, do których prowadziła droga z ich ciał i piór.

– Już raz to widziałam – wyszeptała pobladła z przerażenia Riwka. – Nie umkniemy przed krzywdą.

Istniał tylko jeden powód, dla którego potężne Cesarstwo Rzymskie postanowiło zapanować nad słabo obsadzoną twierdzą. Rzymianie bali się, że powstańcy będą zalążkiem buntu, który roznieci płomień walki o wolność. Jeśli nie wygasisz żaru, ogień wybuchnie, gdy najmniej się tego spodziewasz. Nie chcieli do tego dopuścić. Byliśmy jak ryby w wyciągniętej na brzeg sieci. Wystarczyło odciąć nas od życiodajnej wody. W Rzymie już bito srebrne monety na okoliczność upadku Judei z wizerunkiem legionisty i żydowskiej kobiety na tle palmy, zhańbionej i zniewolonej. Tego właśnie pragnęli Rzymianie, jakby to oni, a nie Bóg, tworzyli rzeczywistość ze słów i z siły woli.

W krainie, gdzie zdławiono bunt, nie mógł pozostać żaden wojownik.

Zimą powietrze było ostre. Osłanialiśmy się płaszczami niczym zbroją, drząc na wietrze i patrząc, jak zbliża się ku nam przeznaczenie. Nadciągnęły ulewy i zalały doliny strumieniami wody. Znów, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się zagrzebane podczas upałów głęboko na dnie ryby. Na wzgórzach wyrosły polne kwiaty, które przyciągnęły pszczoły. Ozwały się pnie obumarłych drzew, jakby znów wróciły do życia. Była trawa dla koziorożców i mięso dla lampartów. Dziesiąty legion miał najbardziej sprzyjające warunki do wędrówki przez pustynię. Nasi wrogowie najpewniej uznali to za dobry znak wróżący im zwycięstwo. Kiedy zgłodnieli, znajdowali strawę. Gdy byli spragnieni, wystarczyło ruszyć do strumieni przemieniających się w wodospady.

Ci, którzy pierwszy raz zawitali do Judei, pewnie zastanawiali się, jak to możliwe, że pustynia pokonała tylu ich poprzedników, każąc im tu pozostać, by w bezlitosnym

upale walczyli o przetrwanie. Tymczasem ta pora roku była miłościwa. Z Afryki i Egiptu zaczęły powracać ptaki i prędej można było ujrzeć czapłę niżli sępa, a ziemia znów stała się żyzna. Armia, która nadciągnęła do doliny, składała się z żołnierzy z kilkunastu różnych krain. Porozumiewali się po łacinie. Rzym wynagradzał ich sutym jadem, o którym mogli tylko pomarzyć w swej ojczyźnie. Ciągnęły za nimi wielbłądy i osły objuczone mięsem, daktylami i bukłakami z wodą, którą napełniono by dziesięć cystern.

Dotarli do twierdzy mocni jak przed wędrówką. Tymczasem my jedliśmy trawę i gołębie, poświęcając owce, dla których zabrakło paszy, i podrzynając gardła kozom, które przestały dawać mleko. Mieliśmy wytęsknioną wodę, nasze cysterny były pełne, ale żyliśmy w nędzy i dokuczliwy głód wciąż nam o tym przypominał. Tyle gołębi posłużyło za strawę i ofiary, że ich łajno już nie zapełniało naszych koszy i nie użyźniało pól. Sady podupadły, gaje opustoszały, w spiżarniach brakowało wszystkiego. W gołębnikach panowała cisza. Zamiast ptasich pieśni słyszałyśmy wątle gruchania.

Wojownicy byli wycieńczeni. Walczyli bez wytchnienia, a wielu miało po dziesięć, jedenaście lat i żadnego doświadczenia w boju. Wcielano ich w miejsce tych, którzy polegli. Mimo to skrywali swój lęk. Pokrzykiwali, że nawet jeśli ściągną tu wszyscy Rzymianie, to i tak nigdy nie wdrapią się na górę i nas nie dopadną.

Tymczasem legionści wymordowali dwadzieścia tysięcy mieszkańców Cezarei, żaden nie przeżył. Odbili też dwie inne twierdze, Herodion i Macheront, gdzie wycięli w pień tych, którym mieli darować życie. Dowiedziawszy się, że niektórzy powstańcy jednak zbiegli i pozostają w ukryciu, wykarczowali cały las Jardes, by nie zostało ani jedno drzewo, za którym mogliby się schować. Zabili tam kolejne trzy tysiące wojowników, pozostawiając ich nagie, nieokryte choćby strzępkiem płótna ciała na zer drapieżnych ptaków.

Flawiusz Silwa w końcu posłał spojrzenie ku nam. Ponoć był człowiekiem bezdusznym, porywczym i zmiennym, lecz gdy miał przypościć szturm na wroga, rządził się bezwzględną logiką. Stałam wraz z innymi na murach i patrzyłam, jak dolinę zalewają kolumny żołnierzy. Za nimi podążali ci, którzy będą piec im chleb, gotować strawę i cerować szaty, oraz *zonot*, kobiety trzymane ku ich uciechu w namiotach, a także ciągnący wielkie pnie drzew z północy niewolnicy, którzy zbudują im obóz. Byli tam jeszcze kowale z wozami wypełnionymi bronią: włóczniami, tarczami i tysiącami strzał. Ale wraz z legionem nadciągnęło coś jeszcze bardziej przerażającego, znak tego, co nas czeka – lew na łańcuchu. Kiedy go ujrzeliśmy,

zrobiło się nam słabo. Ten, który do niedawna biegał wolny po pustyni i rządził nią ze swej jaskini, symbol siły pradawnego ludu Judei, musiał teraz poddać się woli swych panów. W jego ślepiach dostrzegliśmy pragnienia Rzymian.

Chcieli nas pożreć.

Przywiązali nieszczęsną bestię do żelaznego słupa ustawionego na wprost dawnego pałacu króla Heroda. Tam Silwa postanowił wznieść obóz. Miał być dla nas niczym potwarz lub wyzwanie za każdym razem, gdy na niego patrzyliśmy. Kiedy go budowali, słyszeliśmy ryk ujarzmionego zwierzęcia.

Jael wyznała mi, że śni o lwie. Bała się go, ale ją pociągał. Wyjawiała mi to ze łzami w oczach. Wtedy zrozumiałam, jak bardzo jest rozdarta. Gdy lew zaspokoi głód, może legnąć w cieniu u boku koziorožca, mogą nawet razem sypiać odwrócenie do siebie plecami, lecz kiedy nazajutrz bestia znów obudzi się głodna, będzie musiała pożreć swego towarzysza.

Jej sen teraz się ziścił. Szlochała, patrząc na skutego lwa, usidlonego tak jak my, zniewolonego przez tych, których okrucieństwo było obrazą dla natury, naszego ludu i Boga. Kiedy kurz opadł, widziałyśmy go wyraźnie w bladym zimowym słońcu. Dzień był pogodny, wiał rześki wiatr. Wielu twierdziło, że z tej góry można dojrzeć raj, jednak nam się zdawało, że mamy stąd bliżej do pierwszej bramy piekieł. To, co nas czekało, nie pochodziło od Boga, lecz czało się niżej, w ryku lwa.

Wkrótce ciągnący za legionami wzniesli osadę z namiotami i szopami. Po dolinie rozniosła się woń strawy – pieczonego mięsa, chleba i przypraw. Przymierając głodem, przyglądaliśmy się temu niczym duchy przy suto zastawionym stole. Prace budowlane prowadzono bez przerwy. Niewolnicy uwijali się nawet nocą. Było to przedsięwzięcie zaplanowane na dłużej. Rzymianie zapuszczali korzenie. Nie odejdą, nie pogodzą się z przegraną. Zaczęli wznosić dwanaście wież oddalonych od siebie o mniej więcej sto metrów. Rosły tak szybko, że niemal na naszych oczach. Gdy je ukończono i rozstawiono wartowników, dotarło do nas, że każdy, kto zechciałby się przemknąć do doliny po wschodniej stronie twierdzy, skazałby się na śmierć.

Z północy ściągnięto kolejnych niewolników, którzy zajęli się budową muru. Biegł zygzakiem, wrzynając się w podnóże gór. Dziwiliśmy się Rzymianom. Zdawało się, że tylko głupiec mógł kazać tysiącu żydowskich niewolników harować dniem i nocą, zmuszając do dźwigania głazów tak ciężkich, że wielu padało pod ich ciężarem. Kiedy nieszczęśnicy nie mogli się podnieść, Rzymianie zabijali ich i zostawiali na miejscu, gdyż łatwiej było się ich pozbyć, niż leczyć. Legionistom najwyraźniej bardzo zależało na tym murze. Sądziłyśmy, że chcą otoczyć nim swe obozowiska, by chronił je przed

atakami powstańców. Nasi wojownicy bowiem nadal planowali wypady z twierdzy, nawet jeśli stało się to jeszcze mniej bezpieczne.

Usłyszawszy o murze, ben Jair natychmiast postanowił mu się przyjrzeć. Gdy zobaczył głązy wrzynające się w skały, zrozumiał, że Rzymianie chcą otoczyć murem nie tylko swój obóz, ale i twierdzę. Był to mur oblężniczy gruby na dwa metry. Ben Jair w mig pojął, że nie ma on chronić Rzymian, lecz uwięzić nas.

Niektórzy wojownicy śmiali się z tego, gdyż mur nie był na tyle wysoki, by pod osłoną nocy nie można się było na niego wspiąć. Nie dostrzegli, że kryje się za tym jeszcze jeden zamysł. Rzymianie zamierzali ukrzyżować naszą ziemię. Każdy głąz w tym murze był niczym gwóźdź wbijany w nasze kończyny. Dawali nam do zrozumienia, że jesteśmy ich własnością, jak ten lew na łańcuchu, spełniający ich rozkazy niewolnicy i sześćset tysięcy Żydów wymordowanych podczas tej wojny.

Chcieli nas przestraszyć i się nie zawiedli. Twierdzą zawładnął strach, zaraźliwy niczym febra. Nagle ciężko nam było oddychać. Odtworzyliśmy tu nasz świat – wioski, gdzie kiedyś byliśmy wolni, i ukochane miasto, do którego mieliśmy nadzieję powrócić. W pałacowej mennicy biliśmy własne monety z brązu z napisem będącym wyrazem naszych marzeń: „Za wolność Syjonu”. Mieliśmy swój targ, piekarzy, winiarzy, garncarzy lepiących amfory i naczynia z gliny pochodzącej z pobliskiego wąwozu. Tak jak Adonaj stworzył nas na swoje podobieństwo, tak i my stworzyliśmy Masadę na podobieństwo dawnego świata i tego, w którym chcieliśmy znów żyć, gdy odzyskamy wolność.

Widząc, że rozpoczyna się oblężenie, mieszkańcy wpadli w panikę. Obawiali się, że Syjon już nigdy się nie podniesie. Ruszyli na spiżarnie, załęcznieni i pazerni, myśląc tylko o tym, by przetrwać, tak jak szakal nocą, gdy poranek zdaje się bardzo odległy. Ale nawet szakal dzieli się ze swym stadem, nie traktuje go i nie porzuca. Ludzie byli przerażeni poczynaniami Rzymian i perspektywą tego, co ich czeka podczas mogącego trwać miesiącami oblężenia.

Eleazar wspiął się na fontannę, by powstrzymać chaos. Wojownicy podarowali mu złoty napierśnik wysadzany czterema drogimi kamieniami. Choć go przyjął, nigdy nie wkładał przed bitwą, wybierając żelazny, taki jak jego żołnierze. Zrobił to teraz, po przybyciu Rzymian, by im pokazać, choćby z daleka, że jesteśmy silni, dzielni i że to nas wybrał Bóg, byśmy ich pokonali.

– Mamy jednego wroga! – zawołał.

Wszyscy zwrócili na niego wzrok jak na proroka. To on nas tu przywiódł z wiarą, że ta twierdza nas ocali. Uratowała Heroda, kiedy Kleopatra zapragnęła zagarnąć jego królestwo, i tak samo będzie tym razem. Ben Jair nie miał co do tego wątpliwości.

– Mur to tylko ściana wzniesiona z kamieni. Z kamieni Judei. Należą do nas, więc wróg wystawia na nasz widok to, co i tak jest nasze. Nie pomrzemy z głodu, wciąż mamy dość wina i oliwy. Nawet podczas oblężenia wystarczy nam strawy. Nasze cysterny są pełne, a nasz Bóg jest wszędzie, po obu stronach muru.

Ci, którzy wpadli w popłoch i ze strachu byli gotowi tratować innych, odpuścili. Nie słyszeliśmy już głosów żołnierzy, dobiegających z doliny, gdyż jakimś cudem wiatr zmienił kierunek i ich pokrzykiwania ustały. Słyszeliśmy za to naszego wodza. Tłum otoczył go, by wsłuchiwać się w wypowiedane przez niego słowa psalmu, słowa wielkiego króla Dawida, wojownika, który, jak my wszyscy, też nie był wolny od lęku.

„Jęczę pod wpływem głosu nieprzyjaciela, pod wpływem wołania grzesznika, bo sprowadzają na mnie niedolę i napastują mnie w gniewie. Drży we mnie moje serce i ogarnia mnie lęk śmiertelny. Przychodzą na mnie strach i drzenie i przerażenie mną owłada”^[11].

Stałam w cieniu rzucanym przez gałęzie oliwki w mym ogrodzie, lecz moje serce pomknęło, by wsłuchiwać się w słowa mego oblubieńca. To właśnie za nimi tęskniłam, gdy wypędzono mnie z Jerozolimy, bo cudnie przemawiał. Potrafił dotrzeć słowami do ludzkiej duszy na chwałę Pana, gdyż były one pierwszą rzeczą stworzoną przez Wszechmogącego po ciszy, a Eleazar ben Jair posiadał dar ich wypowiedania.

Przymknęłam oczy, jakbyśmy byli sami, a tych, którzy stali między nami, już tam nie było. Świat był jak rzeka, której nurt mnie tutaj przyniósł. Przybyłam tu nie z nadzieją, lecz by wypełnić przeznaczenie.



Pierwszy raz ujrzałam go w Jerozolimie, gdy stałam przy studni z wiadrem wody. Matka wysłała mnie tam do swych krewnych, bo nie miałam ojca ani *bejt awi*, rodziny po mieczu. Musiała prosić, by mnie przyjęli, gdyż lękała się o moje bezpieczeństwo w Aleksandrii, gdzie przepędzano *kedesza* z ich domów. Odtąd nie będzie już świętych kobiet dla kapłanów, bowiem odwieczne, stosowane w Jerozolimie prawo zaczęło obowiązywać także w Egipcie. Matkę oraz inne kobiety, nazywane przeze mnie ciociami, uznano za ladacznicę, jak te, które krążyły po ulicach w sandałach z podeszwami, na których widniała cena ich usług, by podążający za nimi mężczyźni wiedzieli, ile zapłacą za rozkosz. Nagle szacunek przemienił się w pogardę. Tatuaze, które kiedyś świadczyły o zacności, teraz pokazywały, że są nic niewarte, a kapłani, dla których się poświęcały, pierwsi zaczęli wytykać im grzech.

Nim wyjechałam, matka zawiesiła na mojej szyi cenne złote amulety, szepcząc, że mogę je przekazać jedynie córkom. Dobyła księgę zaklęć ze szkatułki z twardego drewna, owinęła ją dla niepoznaki sukniem i dała mi, wkładając w jej miejsce niezbędne zioła: czarny kminek, liście laurowe i mirrę. Wtedy zrozumiałam, że ona też może stać się celem ataku. Niegdyś wysławiana, obecnie musiała przemykać chyłkiem przez miasto w ciemnym płaszczu skrywającym zdobne tatuaże, które dotąd czyniły ją w mych oczach królową, a teraz sprawiały, że wszyscy za nią syczeli, jakby byli węzami, a ona gołębiem, który padnie ich ofiarą. Sama już rozpoczęłam żmudne i bolesne zabiegi, które pokryły moje ciało tatuazami, na szczęście jedynie na plecach i piersiach, a nie na twarzy, ramionach czy nogach jak u matki, więc nikt nie mógł dojrzeć, kim wkrótce zostanę.

Miałam dwanaście lat, kiedy widziałam ją ostatni raz. Stała przede mną ze łzami w oczach. I jako dwunastolatka trafiłam pod tę studnię w Jerozolimie. Ciągnęło mnie tam z powodu wody i tego, co ujrzałam, zanurzony w Nilu. Krewny przyszedł po mnie, gdyż nie wolno mi było chodzić na targ samej. Dostrzegłam jego srebrzyste oczy w kolorze rybiej łuski. Wziął ode mnie wiadro. Musnąwszy moją rękę, zapewnił, że to nic takiego, gdyż jesteśmy kuzynami i łączą nas więzy krwi. Jak brat dotknął swej siostry, więc to żaden grzech.

Słuchałam, jak mnie czaruje, bowiem już wtedy posiadał dar tego, co Bóg stworzył na samym początku, i jego słowa płynęły po mnie jak strużki wody. Ale i ja go oczarowałam. Miał osiemnaście lat i żonę, a ja byłam ledwie podlotkiem. Mimo to poczułam tę samą moc, której zaznałam, kiedy zbliżyła się do mnie ryba. Mój kuzyn nie miał wyboru, gdyż wcześniej zostało zapisane, że się odnajdziemy, że nasza miłość mnie zniszczy i że się tym nie przejmę.

Teraz, w tym szalonym dniu, gdy wypowiadał słowa króla Dawida, a wszyscy przemienili się ze strachu w szakale, też słuchałam go jak zauroczona. Porażał mieszkańców twierdzy swym cudownym głosem, lecz inni nie znali go tak dobrze jak ja. Kiedy przemawiał słowami pieśni króla Dawida, czułam, że kieruje je do mnie, gdyż zawsze byłam jego oblubienicą.

„Gdybym miał skrzydła jak gołąb, tobym uleciał i spoczął – oto bym uszedł daleko, zamieszkał na pustyni. Prędko bym wyszukał sobie schronienie od szalejącej wichury, od burzy”^[12].

Z twierdzy nie dało się już wymknąć na pustynię. Sześć rzymskich obozów odcinało przejścia przez pobliskie jary, ścieżkę węża oraz zdradziecki szlak wiodący po południowym stoku. Nie mieliśmy żadnego ruchu. Niczym lew na łańcuchu nie

zdołalibyśmy się wymknąć wrogowi. Zostało napisane, że będziemy tu trwać do końca. Ostateczny wynik tego starcia pozostawał nieznany. Mogliśmy jedynie żywić nadzieję, że Bóg poprowadzi nas własną ścieżką.

„A ja wołam do Boga i Pan mnie ocali. Wieczorem, rano i w południe narzekam i jęczę, a głosu mego On wysłucha. Ześle pokój – uratuje moje życie od tych, co na mnie nastają, bo wielu mam przeciwników”^[13]

Gdy tłum się uciszył i odzyskał wiarę, kobiety i dzieci ruszyły po kamienie, które mogły przemienić w broń. Zrzucaliśmy je później jeden za drugim i spadały jak grad na budowniczych muru. Tymczasem Rzymianie zbyt się nimi nie przejmowali. Prac nie przzerwano i wciąż powstawały nowe kamienne obozowiska. Jeśli któryś z niewolników zginął, zastępował go inny. Kiedy ginął lub odnosił rany żołnierz, jego miejsce zajmował towarzysz broni.

W ciszy zmierzchu wsłuchiwalismy się w odgłos układanych na sobie głazów i drżeliśmy, mimo niosących otuchę słów króla Dawida i niezachwianej pewności siebie Eleazara. Taką metodę przyjęli Rzymianie – zastraszania i przerażania. Gdy chcieli nakarmić lwa, podsunęli mu żywego osiołka, by mógł wpierw rozszarpać swą wieczorną strawę. Słyszeliśmy rżenie ofiary, a w tle nieustający stukot szpadli i kilofów oraz pokrzykiwania legionistów. Ich słowa niosły się potężnym echem i mieliśmy wrażenie, że wypowiadają je do nas, jakby to nas lew trzymał w swej paszczy.

Spojrzałam na grań z jaskinią, gdzie zamieszkała moja córka ukryta z ludźmi, których uznała za swoich. Z zewnątrz wyglądała jak inne jaskinie, w których szukały schronienia koziorożce. Jeśli Rzymianie nie zorientują się, że zamieszkali w niej esseńczycy, może Nahara rzeczywiście będzie tam bezpieczniejsza. Nagle coś błysnęło. Ktoś uniósł brązową misę, która zalśniła w mroku. Wzięłam to za znak. Wyobraziłam sobie, że jej serce wyrywa się ku mojemu. Mimo wszystko pozostała dla mnie dzieckiem, które z takim trudem wydałam na świat.



W miesiącu *szewat* spadły ulewne deszcze. Nie zasialiśmy pszenicy, jęczmienia ni lnu i nie wylegliśmy na plac świętować Rosz Chodesz, lecz tylko wpatrywaliśmy się od progów domostw w nabrzmiałe chmury, nie mogąc dojrzeć księżyca w nowiu ani dokładnie określić początku nowego miesiąca.

Moi sąsiedzi pozostali w domach, patrzyli na deszcz i wdychali chłodne powietrze.

Wzdragali się przed ulewą, a mnie do niej ciągnęło. Stałam w ogrodzie, aż cała przemokłam. Podziękowałam Biriemu, aniołowi deszczu, który przybył na moje wezwanie. Przywołałam go w nadziei, że Rzymianie wstrzymają budowę muru, gdy przeszkodzi im raptowna, ostatnia o tej porze roku ulewa. Może błotniste kałuże, w których mógł się utopić muł lub człowiek, ich też spowolnią.

Tymczasem uwijali się z coraz większą werwą. Budowali nam przed oczami własny świat. Jak anioły spoglądaliśmy w dół, by dojrzeć, co też takiego wyczarują z piachu. Ściągnęli do doliny jeszcze więcej powiązanych skórzanymi powrozami żydowskich niewolników, których traktowali nie lepiej niż owce lub kozy. Mogliśmy się jedynie przyglądać, jak nasi zniewoleni, bici i maltretowani bracia nawołują, by ich ratować. Słyszeliśmy ich lamenty, ale nie byliśmy w stanie ulżyć cierpieniom. Sypiali jak owce w zagrodach bez osłony przed deszczem, podczas gdy rzymscy żołnierze wylegiwali się w wielkich namiotach o kamiennych fundamentach za murem strzeżonym przez wartowników ustawionych przy czterech bramach obozu.

Kiedyś wydawało mi się, że panuję nad deszczem, bo umiałam go ściągnąć, jednak teraz, patrząc na naszych wrogów, zrozumiałam, że się myliłam. Tylko Biri potrafił powstrzymać ulewę i zmusić ją do uległości – i to jedynie za sprawą łaski pańskiej. Deszcz, który przywołałam, przysłużył się naszym nieprzyjaciołom. Rzymianie kąpali się w kałużach i dziękowali za to swym bogom. Rozkwitły krzewy mirtu i powietrze wypełnił jego wonny zapach. Do kałuż w obozie ściągały stada koziorożców, narażając się na rzeź. Zdawało się, że one też są darem niebios dla Rzymian.

Zostawiłam niedomagającego syna pod opieką Azizy i poprosiłam Jael, by poszła ze mną do *augurarium*. Zachowywałam kości składanych w ofierze gołębi i suszyłam je na słońcu, by móc teraz rozrzucić i przewidzieć, co niesie przyszłość.

Wspięliśmy się po schodach na szczyt wieży. Był początek miesiąca *adar*, pory kwitnienia migdałowców, i wszędzie wokół roztaczała się ich woń. Z góry dojrzałyśmy rzymski obóz w całości. Wydał się nam niczym krąg okrucieństwa. Przyniesione przeze mnie w jedwabnej sakwie kości tak zbielały, że niemal świeciły w ciemnościach. Pomyślałam o gołębiach, które oddały swe życie, o tym, jakie były piękne i sobie wierne. Zupełnie się nas nie bały, nawet wtedy, gdy miałyśmy je złożyć w ofierze.

Jael zamiotła piasek, po czym usypała krąg z popiołu, który zawrze w sobie przyszłość tak, by nie pomieszała się z terażniejszością. Wygładziła popiół ostrzem sztyletu noszonego zawsze pod tuniką. Odśpiewała przy tym hymn na cześć króla Salomona. Miała piękny głos. Każda nuta pieśni, której ją nauczyłam, brzmiała w jej

ustach o wiele lepiej niż w moich. Jej czysty śpiew niósł się przez dolinę. Nasi zniewoleni bracia harujący na dole na moment unieśli wzrok, jakby zawołała każdego z nich po imieniu.

Dobrze wyuczyłam Jael. Wiedziałam, że będzie pojętną uczennicą, odkąd ją ujrzałam wchodzącą przez Bramę Węża. Choć mnie nie pamiętała, poznałyśmy się dużo wcześniej. Dlatego tak nastawałam, by przyjęła złoty amulet, który dostałam od matki. Nim wydałam na świat pierwszą córkę i zostałam wygnana z Jerozolimy, nim mężczyzna, którego nigdy nie nazwałam jego imieniem, zabrał mnie na Żelazną Górę, nim pojawiła się Nahara, nim urodziłam syna, któremu nadałam zaaprobowane przez jego ojca imię Adir, czyli w naszym języku szlachetny, i nim przywiodły mnie tu gołębice, Jael już była moją córką, mimo że jej nie urodziłam, a ja byłam jej *ima*, ukochaną matką, mimo że sama byłam ledwie dziewczęciem.

Nuciłam jej pieśni mojej matki w Jerozolimie na długo przed tym, zanim usłyszałyśmy o tej twierdzy. Cesałam ją, karmiłam i czuwałam nad nią, choć ojciec Jael nakazał, bym nie zaplatała jej włosów i żywiła okruchami, gdyż wolałby, żeby nigdy nie przyszła na świat, i obarczał ją winą za swe nieszczęście.

Zjawiłam się u nich jako służąca, prosta dziewczyna o długich czarnych włosach, tak niegodna, że ojciec Jael nawet na mnie nie patrzył i nie znał rysów mojej twarzy ani przeszłości. Matka osłupiałaby, gdyby się dowiedziała, że zostałam służącą, bowiem znałam aramejski, hebrajski i grekę i przyuczono mnie do prowadzenia dysput z najświatlejszymi mężczyznami w Aleksandrii. Ale, prawdę powiedziawszy, z ulgą odeszłam z domu jej krewnych, którzy mnie znienawidzili. To matka Eleazara ben Jaira wysłała mnie na służbę. Gdy się u niej zjawiłam, zaprowadziła mnie do mykwy, gdyż miała przeczucie, że jestem *tame*, nieczysta. Kiedy zrzuciłam tunikę, starałam się skryć w cieniu, lecz dojrzała, kim jestem. Głęboko westchnęła na widok moich tatuaży i szybko odmówiła modlitwę.

Później ciotka bacznie pilnowała swego syna, ponieważ uznała, że źle mnie wychowano. W niedługim czasie jej obawy znalazły potwierdzenie. Domyśliła się, co nas łączy, po naszych spojrzeniach i wkrótce odkryła, czemu jej syn nie zwraca uwagi na swoją żonę, mimo że byli krótko po ślubie. Choć obiecała mojej matce, że będę u niej bezpieczna, pośpiesznie odesłała mnie bez wiedzy Eleazara do posługiwania w pewnym domu, gdzie w trakcie porodu zmarła kobieta. Było to nieszczęsne domostwo i nikt nie chciał tam służyć, więc mnie przyjęli, mimo że nie wyznawałam się na domowych obowiązkach. Byłam młodziutka, niedoświadczona i często płakałam w poduszkę z tęsknoty za matką.

Matka Eleazara, zanim mnie odesłała, podwiązała mi do płaszcza amulet z zieleń, mówiąc, że to na szczęście. Uśmiechnęłam się i podziękowałam, lecz wiedziałam, że mnie zwodzi. Udała się do kobiety uprawiającej *keszafim* po talizman, który miał mnie popchnąć ku samotności i trzymać z dala od jej syna. Matka opowiadała mi o nich. Odkryłam, że to korzeń lulka czarnego. Gdy tylko wyszłam na ulicę, odprułam woreczek i wrzuciłam go do cuchnącego rynsztoka, bo tam było jego miejsce. Odmówiłam modlitwę, która miała mnie chronić, *Amen, Amen, Sela*, by Pan – niechaj będzie błogosławione imię Jego – poskromił złe zamiary ciotki.

*

Trafiłam do domu Josefa bar Elchanana, gdzie miałam sypiać w sieni wraz z dzieckiem, którym się opiekowałam. Była to dziewczynka, ledwie niemowlę porzucone na sienniku. Faworytem bar Elchanana był jej brat, któremu ojciec najął mamkę. Otarłam jej łzy, kiedy zaczęła wołać matkę, tak jak ja, gdy budziłam się ze snu i dziwiłam, że już nie jestem w Aleksandrii, że nie ma mojego dziedzińca i fontanny ani białych lilii połyskujących na ciemnej tafli wody.

Poruszona jej smutkiem szepnęłam, że może mówić do mnie *ima*, choć miałam dopiero dwanaście lat i prędeż mogłam być dla niej siostrą. Wiedziałam, że na tym świecie dziewczyna musi mieć swego obrońcę, gdyż tak powiedziała mi moja matka, a wierzyłam każdemu jej słowu. Brakowało mi jej mądrych rad, bo musiałam sama podejmować decyzje. Postanowiłam czuwać nad tym dzieckiem, które nie miało matki. Poprzysięgłam sobie chronić je, gdy spało w sieni, którą co wieczór zamiatałam, by mieć pewność, że skorpiony pozostaną w kątach.

Kiedy jej ojciec nakazał kucharce, by nawet w szabat dawała nam tylko resztki, które zwykle wyjadają szczury, wzięłam sprawy w swoje ręce. Znalazłam srebrny puchar i schowałam go pod płaszczem. Wiedziałam, że kradzież ściągnie na mnie klątwę, mimo to poszłam z nim na targ i wymieniłam na tunikę i płaszcz dla dziecka, owoce hurmy, granaty i winogrona oraz na siennik i gołębia, którego zamierzałam upiec.

Jael zaczęła płakać, gdy pojęła, że chcę zabić ptaka, i zaklinała mnie, bym go wypuściła. Była spokojnym dzieckiem, lecz umiała postawić na swoim.

– Jeśli spełnię twoje życzenie – odrzekłam, nim wypuściłam gołębia – ty w zamian musisz spełnić moje.

Matka często się tak ze mną układała, gdy o coś ją prosiłam. Kiedy Jael przystała na mój warunek, zwróciłam gołębiowi wolność. Zniknął na niebie gdzieś nad

Jerozolimą i tym samym związał nas na wieki.

Tamtego wieczoru nie zjadłyśmy mięsa, ale Jael była szczęśliwa. Opieka nad nią dawała mi dużo zadowolenia. Z radością odkryłam, że dobrze sypia. Nie budziła się, gdy wymykałam się nocą do studni, gdzie pierwszy raz spotkałam mego kuzyna. On mówił, a ja słuchałam – tak to się zaczęło. Drażnili go kapłani ze Świątyni, podzieleni co do tego, kto reprezentuje prawdziwy Izrael. Nie godził się z tym, że Arka Przymierza, słowo boże dane Mojżeszowi, stała ukryta za złotym murem, skoro wedle nakazu Adonaj miał ją chronić jedynie skromny namiot.

Naszym domem było słowo boże, a nie kamień czy złoto, tłumaczył Eleazar. Słuchając go, czułam, że któregoś dnia inni też go posłuchają i podążą za nim, i że będę jedną z nich. Był człowiekiem uczonym. Śpiewał psalmy Dawida, łaknąc bożej łaski. Byłam jego kuzynką, ale i uczennicą. Wierzyłam w niego i w nikogo innego i wkrótce stałam się jego własnością. Oddałam mu się, jak przepowiedziała moja matka.

Kiedy żona Eleazara udała się z wizytą do krewnych mieszkających na północy, nieopodal jeziora Genezaret w Galilei, mój kuzyn zaprowadził mnie do rabbiego, by ten potajemnie udzielił nam ślubu. Później powiódł mnie do swej komnaty, gdzie zaślubił słowem i uczynkiem. Płonełam, gdy był obok. Zapomniałam o Aleksandrii i ogrodzie, w którym uczyła mnie matka. Nie wyjawiałam mu, że znam wiele języków, gdyż chciałam słuchać wyłącznie jego głosu, nie własnego. Inny mógłby wypytywać o tatuaże zdobiące moje ciało lub odrzucić mnie, gdyby je ujrzał. Eleazarowi wystarczyło jednak wyjaśnienie, że to mapa, która mnie do niego przywiodła.

Wziął mnie taką, jaką byłam.



Mój pan oczekiwał, że jako służąca o niczym nie będę mieć pojęcia. Moje lekcje mogły nigdy się nie zdarzyć, ma wiedza mogła przemienić się w proch. Wymagał jedynie, bym zamiatała posadzki i zajmowała się dzieckiem. Z tym nie miałam najmniejszego problemu. Byłam czuła dla Jael. Matkując jej, nauczyłam się być matką. Może podświadomie wyczułam, że jestem brzemienna, i to jeszcze dodało mi czułości. Eleazar obiecał, że powie rodzicom o swej miłości do mnie, lecz jakoś nie mógł się na to zdobyć. Twierdził, że ma ojca tyrana, ale wiedziałam, że lęka się matki. Pewnego wieczoru moje serce zaczęło nagle bić szybciej i nie krwawiłam, choć powinnam. Byłam cała rozpalona i dręczyło mnie nieustanne pragnienie. Później powtarzało się to przed narodzinami każdego dziecka, gdyż życie, które w sobie nosiłam, było ogniem.

Nie miałam wyjścia, musiałam pozwolić mu płonąć.

Kiedy urósł mi brzuch i nie mogłam go dłużej ukrywać, bar Elchanan odprawił mnie ze swego domu. Jael, która była mi jak córka, chwyciła się mego płaszcza i szlochała. Zapewniłam ją, że odtąd będzie czuwał nad nią brat, co solennie mu przykazałam. Jael wybiegła za mną z bukłakiem wody. Więcej nie mogła mi dać, lecz w swej samotności odebrałam to jako najcenniejszy skarb. Odchodziłam zapłakana, że muszę ją tam zostawić. Pocieszyłam, że – jak Bóg da – spotkamy się jeszcze raz na ziemi, nim trafimy do Przyszłego Świata.

Gdy ostatni raz spotkałam się z Eleazarem w Jerozolimie, spadł deszcz. Była to dla nas radość o tyle nieoczekiwana, co wyczekiwana. Kurz opadł, a drzewa uniosły gałęzie ku niebu. Znowu odżyłam, jak w fontannie, jak w rzece, jak ta, która się nie boi, że się utopi. Stałam przed domem ciotki, aż cała przemokłam. W końcu go dojrzałam. Przemykał płynnym krokiem przez dziedziniec, jakby wtopił się w ulewę, która zalewała ulice i kazała innym pozostać w domu.

Tylko on mógł ugasić moje pragnienie.

Przywołałam go do siebie, jak nauczyłam się przywoływać deszcz. Nie wydałam z siebie nawet szeptu, a jednak usłyszał. Wierzyłam, że rozwiedzie się z żoną i przyjmie mnie pod swój dach. Byłam pewna, że nigdy nie będę potrzebowała miłosnych zaklęć, w przeciwieństwie do zdesperowanych kobiet, które gotowe były zapłacić za nie czarownicom każdą cenę.

Tymczasem Eleazar oświadczył mi, iż jego żona ma dowód, że przebywałam w ich łożu. Zarzekała się, że siennik, na którym sypiali, zabarwiła na czerwono henna z moich tatuaży. Ciotka, która mną gardziła, powiedziała jej o nich, by ją przede mną przestrzec. Channa zajrzała więc pod koc, który utkała dla męża, i odnalazła pod nim ślad mnie. Mój oblubieniec zapewniał, że jestem jego żoną na równi z nią, lecz zdradziło go jego wejrzenie, w którym tęsknota mieszała się z żalem. Jeśli Channa rzeczywiście dojrzała czerwień w miejscu, gdzie razem leżeliśmy, to była to zapowiedź mego losu, a w istocie moja krew, gdyż me serce zaczęło łkać.

Ogarnął mnie lęk, jakiego nigdy przedtem nie czułam, nawet wtedy, gdy rozstawałam się z matką. Przypomniałam sobie, co mi powiedziała, kiedy ujrzałam swą przyszłość. Po trosze żałowałam, że nie zostałam z nią, choć wiedziałam, że odebrano jej dom, w którym mieszkaliśmy. Jego nowi mieszkańcy z pewnością stawali przy fontannie, gdzie rosły białe lilie. Płakałam nad nimi, gdy chciałam zapłakać nad własnym losem. Kiedyś powiedziałam, że nie mogę bez nich żyć, i wpadłam w histerię. Nie mogłam nad sobą zapanować. Ben Jair bardzo się tym przejął. Pobiegł na targ

i wrócił z dzbanuszką wonności. Powinnam była się ucieszyć z tego podarunku, gdyż pachniał liliami, ale były to czerwone lilie z łąk Moabu, a nie te, które znałam z dzieciństwa. Rozpłakałam się jeszcze bardziej, bo głębiej pojęłam stratę, jakiej zaznałam jako mała dziewczynka, nie starsza niż Jael, kiedy zobaczyłam swą przyszłość w wodach Nilu.

Eleazar przyrzekł, że zwróci się do starszyny krewnych, by zezwoliła mi zamieszkać w ich domu jako drugiej żonie. Był to powszechny obyczaj, zwłaszcza w zamożnych rodzinach i miastach, gdzie mieszkało zbyt mało mężczyzn lub gdy pierwsza żona nie mogła dać mężowi potomka. Mój oblubieniec był zacnym mężczyzną, lecz młodym i nie ośmielił się przeciwstawić woli rodziców. Później, kiedy przystał do zelotów, którzy rzucili wyzwanie kapłanom ze Świątyni, miał się dowiedzieć, czym jest bunt, ale wtedy był jeszcze zdany na łaskę rodziny.

Zapewniłam, że będę na niego czekać, choć wiedziałam, że po mnie nie przyjdzie. Ślady, jakie, zdaniem Channy, zbrukały ich małżeńskie łóżka, zniszczyły moją reputację i żaden wartościowy mężczyzna nie mógł wziąć mnie za żonę. Jego rodzina nie dopuściłaby do tego.

Znalazłam izbę, w której mogłam się zatrzymać, na tyłach domu, gdzie uprawiano *keszafim*. Dostrzegłam tę mroczną komórkę, przechadzając się po targu. Pamiętałam, że matka zachodziła do takich miejsc w Aleksandrii. Pouczyła mnie też, że w godzinie próby mogę znaleźć schronienie u kobiet zajmujących się magią. Mieszkały tam trzy sędziwe siostry. Wszystkie były pannami. Szeptano, że to czarownice przemieniające się nocą w smoki. W istocie były ubogimi kobietami o gołębim sercu i rzeczywiście znały się na czarach. W zamian za nocleg gotowałam im strawę i piekłam chleb w małym glinianym piecu, zawsze pamiętając, by odkładać ten przypalony na ofiarę Bogu, by mnie nie porzucił. Mój kuzyn nie wrócił. Śniłam o nim po nocach, aż w końcu zniknął. Teraz budziłam się, łapiąc oddech, gdyż we śnie topiłam się w rzece, nad którą zawiozła mnie matka. Pierwszy raz przekonałam się, że choć ryba do mnie podpływa, to także ode mnie odpływa. To dlatego poczułam się taka opuszczona, stojąc po kolana w wodzie Nilu.

Poprosiłam trzy siostry o amulet na miłość, bowiem nie można go sobie zrobić samemu. Ulepiły dla mnie misę zaklęć z białej jerozolimskiej gliny, ponoć najczystszej na świecie. Nim ją wypaliły, kazały mi na niej napisać zaostrzoną trzcinką: „Święci aniołowie, zaklinam was, by tak jak płonie ten czerep, płonęło dla mnie serce Eleazara ben Jaira”.

Jednak podczas wypalania misa pękła. Zebrałyśmy skorupy, mimo że parzyły nam

palce. Był to zły znak, lecz owinęłam je w płótno, które nasączyłam własnymi łzami.

Kiedy nadszedł czas porodu, trzy siostry stały się mymi akuszerkami. Rodziłam opornie. Byłam młodziutka i przerażona. Potem widziałam setki porodów, ale struchlałam na widok własnej krwi, a rwący ból niemal rozerwał mnie na dwoje. Już chciałam się poddać i pozwolić, by zabrał mnie anioł śmierci, gdy jedna z sióstr pochyliła się nade mną, by dodać mi sił.

– „*Ehje aszer Ehje. W imię Jestem, który Jestem, w imię Boga, wychodź. Odbyłaś podróż, a to jest jej kres. Amen, Amen, Sela*”.

Nadałam córce imię Rebeka i spostrzegłam, że oczy miała po ojcu. To było wszystko, co po nim dostałam. Tak ukarał mnie Bóg.

Stanełam przed starszyzną, która w trakcie rytuału *sota* miała rozsądzić, czy jestem winna grzechu cudzołóstwa. Stałam się przedmiotem prawnego sporu, gdyż matka i żona ben Jaira oskarżyły mnie o cudzołożenie i cielesne obcowanie z demonami. By mnie upokorzyć i pokazać, że jestem jedną z uczennic Lilit, rozpuścili mi warkocze i sprawili, że moje włosy zwisały w nieładzie. Chyba zapomnieli, że jestem ledwie dzieckiem, gdyż kilka dni wcześniej skończyłam trzynaście lat. Wypisali na pergaminie imię Boga i zanurzyli go w wodzie, by ciecz wchłonęła napis. Później kazali mi wypić imię Wszechmogącego. Gdyby mnie zemdliło, oznaczałoby to, że moja nieczystość nie przyjmuje tego, co czyste, i uznano by mnie za cudzołożnicę.

Jednak woda, która była moim żywiołem, mnie nie zawiodła. Wypiłam wszystko, a mimo to stałam przed nimi nieskruszona. Oznajmiłam, że nie dopuściłam się cudzołóstwa, bo taka była prawda. Eleazar ben Jair był dla mnie jak jedyny mąż.

Wtedy zaczęli badać moją córkę. Była maleńka, z czarnymi włoskami. Wyglądała jak ja tuż po urodzeniu, podobna niemal w każdym calu. Nasi sędziowie już prawie uznali, że nie jest dowodem występku. Ciemnowłosa dziewczynka była bezsprzecznie moja. Nie miała nic po ojcu, człowieku bądź jakimś nieopisanym stworze – żadnych skrzydeł, rogów ani znamion demona. Już niemal nas puścili, kiedy nagle dostrzegli kolor oczu mej córki. „Ma oczy demona” – zeznała żona Eleazara i może w tamtej chwili nawet w to wierzyła.

Ojciec nie wypuszczał go z domu, by się ze mną nie spotykał, jednak tamtego wieczoru ben Jair zdołał wysłać służącą z parą gołębi w drewnianej klatce, przyuczonych, by do niego wracały, i tak jak my nawzajem sobie oddanych. Ułożyłam córkę i klatkę z ptakami na wozie, który miał mnie wywieźć precz sprzed ich oczu. Zostawiłam swego oblubieńca, lecz schowałam pod szalem pokruszoną skorupę misy zaklęć. Zabrałam te kawałki gliny na Żelazną Górę, dokąd pojechałam z mężczyzną,

który wykupił mnie za parę monet. Później czekałam. Na czekaniu spędziłam całe lata, całe życie. Gdy wreszcie mój oblubieniec mnie wezwał, potłukłam to, co pozostało z misy, pewna, że już nie potrzebuję takich talizmanów.

Kiedy jednak rozrzuciłam kości gołębi w naszej wieży, by odczytać z nich to, co miało się zdarzyć, zrozumiałam, że popełniłam błąd.



Wojownicy wyprawiali się w niewielkich grupach, z włóczyniami, w milczeniu – niewidzialni i śmiertelnie groźni. Zabijali niewolników wznoszących mur u podnóża góry i żołnierzy, którzy nadzorowali ich pracę, jednak na miejsce poległych przychodzili nowi, jakby nie byli ludźmi z krwi i kości, a snopami pszenicy.

Ale gdy powstańcy kradli im broń, tę nie tak łatwo było zastąpić. Rzymian okrutnie to rozjuszało i odpłacali im zajadłym odwetem. Pokazywali, że nie zamierzają tego tolerować. Chwyтали wojowników łupiących ich składy, napadając na nich gromadą.

Rzymscy niewolnicy wkopali słupy w ziemię i wzniesli podest, by publiczność miała lepszy widok. Krzyżowali naszych wojowników w ich własnej dolinie, po czym odcinali im głowy, żeby dusze zmarłych snuły się bez celu. Rzucali je na ziemię i toczyli, aż trafiły do lwa. Ten jednak tylko leżał i nie chciał ich tknąć.

Zdarzyło się to w miesiącu *adar*, w porze pomyślności, gdy kwitną migdałowce i kiedy Jael pierwszy raz zawitała do gołębnika. Może jednak szczęście wciąż było przy nas. Ludzie zaczęli szeptać, że przykuta łańcuchem bestia to nasz lew, że jest po naszej stronie. Wojownicy rzucili sobie wyzwanie: ten, kto uwolni lwa, dokona największego wyczynu ku chwale Pana. Ten, kto to uczyni, będzie błogosławiony i sprowadzi na nas Jego łaskę.

Nieważne, jak mocno szarpaliśmy szaty i jak długo zawodziliśmy pieśni, nasza żałoba nie miała końca, gdyż bez kości i ciał nie mogliśmy oddać czci pomordowanym. Ich krewni krzyczeli z rozpacz i chodzili do kapłanów, błagając o odwet. Każdy z nas oddałby życie w zamian za wolność naszego ludu, lecz nasi wrogowie życie mieli za nic. Byliśmy jak szarańcza, którą mogli uśmiercić jednym uderzeniem.

Mój syn próbował zwlec się z siennika, wspierając się na kuli, którą wystrugał z gałęzi opadłej z drzewa na tyłach naszej kwatery. Pragnął walczyć u boku swych braci, ale Aziza wyblagała, że go zastąpi. Usiadła przy stole, ścięła długie włosy, a te, które zostały, zaplotła ciasno wokół głowy. Przykazała swemu wielkiemu psu, by nas strzegł i nie pozwalał Adirowi wychodzić na dwór. Warcząc, olbrzymi mastif

natychmiast stanął obok mego syna, a z pyska ciekła mu ślina.

– Jestem tu więźniem? – spytał nieszczęśliwy Adir.

Dla mnie nadal był dzieckiem, choć miał tyle lat co ja, gdy wygnano mnie z Jerozolimy na pustynię i osądzono jak kobietę. Inna rzecz, że utraciłam już wtedy niewinność.

Jehuda mógł dotrzymywać towarzystwa Adirowi i pilnować, by nie wymknął się z domu. Jako esseńczyk sam nie wyprawiał się z wojownikami. Trzymał się z nami – Riwka opiekowała się nim jak własnymi wnukami – lecz dzieliła nas religia.

– Będiesz moim strażnikiem? – spytał przyjaciela Adir.

– Przenigdy – odparł Jehuda.

Syn Tamar wstał i otworzył drzwi, by Adir mógł wyjść, jeśli przyjdzie mu na to ochota, jednak ten najwidoczniej był zmęczony. Błady opadł na siennik. Już nie będzie wojownikiem, coś mu odebrano. Współczułam mu, ale i odetchnęłam z ulgą. Nie chciałam, by mój syn ryzykował życie.

Z córką było inaczej. Była niczym wykuta z żelaza.

Tymczasem na zewnątrz rozpętało się szaleństwo. Rzymianie zaczęli ostrzeliwać nas z łuków. Ich podpalone strzały spadały niczym wściekły grad. W sadzie wybuchł pożar. Nawet kiedy go ugasiłszy, śpiesząc ku płomieniom z dzbanami wypełnionymi bezcenną wodą, swąd spalonych owoców rozniósł się po całej twierdzy. Nasze drzewa spłonęły, nasze dzieci wdychały dym, a nadpalone szaty czerniały od sadzy, za to Rzymianie wybudowali arenę do walk kogutów, by dostarczyć sobie wieczorami nieco rozrywki. Gdy się tym znudzili, zaczęli organizować pojedynki niewolników na włócznie i łańcuchy, gdyż ich życie było dla nich warte tyle, ile życie kogutów.

Odwracaliśmy wzrok, nie chcąc na to patrzeć. Zatykaliśmy uszy, by nie słyszeć, jak niewolnicy wzywają swoje matki, żony i Boga, który najwyraźniej ich opuścił.

*

Kiedy mego syna, jak wszystkich wojowników, powołano do służby, ruszyłam na plac z Azizą. Niektórzy powiedzą, że popełniłam błąd, tak łatwo się poddając i pozwalając, by moja córka walczyła u boku mężczyzn, ale przecież jej los był już zapisany. Może mogłabym go odwrócić, gdybym nie zmieniła jej imienia, a może tak miało być bez względu na nie. Podążała ścieżką swego żywiołu. Zawsze lubiła metal, rzeczy chłodne i ostre. Pasował do niej, podobnie jak jazda konna po łąkach.

Nim wyruszyła, chciałam jej podarować drugi złoty amulet, który nosiłam na szyi,

lecz tylko pokręciła głową.

– Jestem bezpieczna – odrzekła. – Nie lękaj się.

Uniosła chustę, a wtedy spostrzegłam srebrny medalion z wizerunkiem Salomona atakującego żeńskiego demona. Kobietom nie wolno było nosić takich amuletów. Jej odwaga sprawiła, że poczułam dumę, ale też nutkę żalu.

– Trzeba nam było zostać w Moabie – stwierdziłam ze smutkiem.

Zaczęłam śnić o Żelaznej Górze. W snach widziałam czterdzieści akacji, a na każdej z nich czterdzieści czarnych ptaków. Stałam pod gałęziami i nie byłam w stanie się ruszyć. Korzenie drzewa oplotły moje stopy, a ramiona i nogi pokryły żółte kwiaty. Opadł mnie rój pszczół. Płakałam, bo nie mogłam posmakować ich słodkiego miodu, choć były wszędzie wokoło.

Robiłam, co mogłam, by córki nie podążyły moim śladem. Nie powstrzymało to jednak tego, co – jak twierdziła moja matka – zostało zapisane, nim się urodziły, nim wyruszyłam do Jerozolimy, stanęłam przy studni i zaczęłam sobie dogadzać, mimo że wiedziałam, dokąd mnie to zawiedzie. Miłość miała mnie zniszczyć. Z tego powodu próbowałam nie kochać swych dzieci, aby nie ściągnąć na nie klątwy, lecz mi się to nie udało.

– Miałyśmy tu trafić – uspokajała mnie Aziza.

Jej skóra ogorzała od słońca. Widziałam, jak blizna pod okiem odcina się bielą na jej śniadej twarzy. Mogła być piękną kobietą, ale została wojownikiem. Mogła być chłopcem przemierzającym zaułki wykutej w rudych skałach Petry, ale była moją córką, która podążyła za mną do twierdzy i którą kochałam, choć tak bardzo starałam się tego nie czynić.

Gdy udała się do koszar, wspomniałam moją matkę stojącą na dziedzińcu koło fontanny i patrzącą, jak opuszczam Aleksandrię. Dotarło do mnie, iż wiedziała, że już więcej mnie nie zobaczy. Serce mi zamarło, bo wejrzałam we własną przyszłość objawioną przez gołębie kości, które rozrzuciłam na klepisku w wieży.

Stracę wszystko, co mam.

Coś się kończyło, ale i coś zaczynało. Czułam budzące się we mnie życie. Cud stworzenia rozpoczął się na Wzgórzu Świątynnym i, jeśli wszystko zniknie, może rozpocznie się znowu. Niektórzy przebąkiwali już o trzeciej Świątyni, która powstanie w przyszłości, wspanialsza niż jej poprzedniczki. W zgliszczach rozbłyśnie światło, a w świętej ciszy padną pierwsze słowa, bo one zawsze są początkiem.

Podeszłam, owinięta płaszczem, do muru. Położyłam dłoń na brzuchu, na mojej jeszcze nienarodzonej córce. Jak wszyscy mężczyźni mój oblubieniec marzył o synu, lecz ja wiedziałam, że urodzę kolejną córkę. Dziewczynki nosiłam w sobie zawsze tak

samo, wysoko, pod sercem. Pragnęłam dla niej innego życia, nie tego chaosu. W dolinie wciąż zalegały powstałe po ulewach kałuże. W innych okolicznościach cieszylibyśmy się z tego. Kozice i jelenie przychodziłyby do wodopoju. Jastrzębie i czaple opadałyby z nieba, by się w nich schłodzić, a kruki, które przynosiły Eliaszowi strawę na pustkowiu, przybywałyby do nas ze śliwkami w dziobach.

Teraz pozostał tylko lew, który mógł tarzać się w wodzie na łańcuchu. Był cały oblepiony błotem, a jego wielkie łapy odciskały ślady na mokrej ziemi. Przemogłam się, by nie patrzeć na to wspaniałe zwierzę, ponieważ nie potrafiłam znieść jego upokorzenia. Przypomniały mi się tresowane syryjskie niedźwiedzie, które oglądaliśmy w zaułkach Aleksandrii i Jerozolimy, jednak ten widok był o wiele gorszy, bowiem lwa upodlono i wydziedziczono w jego własnym królestwie, tak jak nas. Władał już tylko kamieniami.

Zasmucona spojrzałam na nagie skały i dostrzegłam na stoku czarną kozę, która czmychnęła z jaskini esseńczyków. Gramoliła się po głazach, zagubiona i opuszczona, nie mogąc dołączyć do reszty stada.

To był znak, że nadchodzi ciemność.

Jeden z rzymskich żołnierzy dostrzegł kozę i to wystarczyło. Zaalarmował swych towarzyszy, którzy natychmiast za nią pośpieszyli, z początku dla zabawy, a później z nieustępliwą zapalczywością myśliwych. W taki oto sposób natknęli się na obozowisko tych, którzy chcieli jedynie żyć w pokoju. Jehuda stanął obok mnie przy murze, kiedy Rzymianie zaczęli schodzić do położonych poniżej twierdzy wapiennych jaskiń. Zupełnie jakby jego przebywająca wśród esseńczyków matka go wołała, tak jak mnie wołało serce mojej córki. Mogliśmy tylko bezradnie się przyglądać żołnierzom sunącym po skałach. Jeden spadł, za co natychmiast podziękowałam Bogu. Zaczęłam się zastanawiać, cóż takiego się ze mną stało, że modłę się o cudzą śmierć w przepaści i cieszę się, słysząc krzyk umierającego.

Ci, którzy dotarli na wierzchołek góry, zrzucili liny, by wspomóc idących za nimi. Niczym anioły potrafiliśmy przewidzieć, co się stanie, i tak jak one nie mieliśmy na to wpływu. Jeśli widziały, przyglądając się naszemu światu, to, jak nawzajem się mordujemy i przysparzamy męki bliźnim, mogłam im tylko współczuć, jak nikomu innemu.

Nasi wojownicy wystrzelili w stronę Rzymian grad strzał, które ugrzęzły w skałach niczym spadające z nieba ptaki. Aziza też podbiegła do muru, ale bezradna, bo w stroju kobiety. Nie powstrzymało jej to jednak od rzucania kamieniami, a z jej piersi wyrwał się okrzyk wojenny wojowników z Moabu. Legioniści wdarli się do jaskini.

Nasze groty nie mogły ich dosięgnąć. Kilku wojowników przytrzymało Azizę, kiedy próbowała wdrapać się na mur, by ruszyć w sukurs napadniętym. Nie potrafiła beczynnie się przyglądać, trzeba było ją skrępować powrozem.

Nasze oczy nie widziały mordu, lecz słyszały go nasze uszy. Dotarł do nas przeraźliwy odgłos śmierci, o tyle gorszy, że widzieliśmy ją oczami wyobraźni – tysiące cierpień zadanych tym, których kochaliśmy.

Staliśmy z Azizą i Jehudą i płakaliśmy, sami już nie wiedząc, czy te wrzaski to głosy naszych bliskich, czy okrutne piski krążących w górze jastrzębi. Mogliśmy zakryć uszy dłońmi i się odwrócić, ale nie położyłoby to kresu ich cierpieniom. Zawodzenie zmarłych słyszać w każdym zakątku tego i Przyszłego Świata. Nie ustaje, gdy dźwięk się urywa, jest w nas już na zawsze.

Nie mogłyśmy jej pogrzebać, nie zebrałyśmy jej szczątków, więc dusza mojej córki pozostała przy ciele. Zagubiona, rozpaczliwie próbowała ponownie w nie wniknąć, by znów ożyło. Kiedy Naharę dopadną szakale i wtopią w nią kły, jej dusza wciąż będzie krążyć po jaskini. Będzie patrzeć, jak ją szarpią i pożerają. Każda męka ciała będzie jej męką. Nie nastąpi *tahara*, oczyszczenie, które przygotowuje ciało do wędrówki w zaświaty, nie będzie błogosławionej wody, olejków ani aloesu, które zmyją grzechy popełnione przez nią na tym świecie. Ponoć jednak ci o czystym sercu mogą dojrzeć Szechinę, gdy umierają. Widzą wtedy najbardziej promienne i miłosierne oblicze Pana. I tylko na to mogłam liczyć – że w chwili śmierci Nahara dojrzała Jego światłość i nic więcej.

Miałam nadzieję, że plotki rozpuszczane przez Rzymian o ludziach z plemienia ojca Nahary okażą się prawdziwe: że jej krew rzeczywiście będzie błękitna i zrodzi w jej miejsce tysiąc innych. Niemal umarłam, wydając ją na świat. Stałoby się tak, gdyby Aziza nie była tak dzielnym dzieckiem. Tyle cierpień tylko po to, by teraz opłakiwać Naharę przez cały dzień i noc. Szarpałam swe szaty tak gorliwie, że aż zaczęły krwawić mi dłonie. Choć utraciłam córkę, gdy wbrew mojej woli poślubiła Malachiasza, to teraz gorzko ją opłakiwałam. Miałam jej krew na rękach. Nie obwiniałam Malachiasza ani esseńczyków, bo sama przywiodłam ją ku przeznaczeniu, dokładnie tak jak przepowiedziała moja matka. Przywiodłam do zguby wszystkich, których kochałam, i każdego, kto mnie pokochał.

Kiedy przyszła na świat moja córka z Moabu, jej ojciec, wedle zwyczaju, czekał dziesięć dni, by ją ujrzeć. Marzył o synu, lecz gdy wszedł do namiotu, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Dobry był to obyczaj, że mężczyzna nie mógł zobaczyć dziecka tuż po urodzeniu: umazanego, opuchniętego i sinego po trudach porodu. Ojciec Nahary

ujrzał ją promienną. Nigdy nie krył swych uczuć. Wybrał jej imię, a ja przystałam na ten wybór, gdyż znaczyło „światłość rozjaśniająca wszelkie piękno”. W wielu sprawach się zgadzaliśmy, ale w tej byliśmy szczególnie zgodni. Zastanawiałam się, czy jej ojciec po drugiej stronie Morza Soli wie, że odeszła, i czy czekał na nas przez cały ten czas. Zastanawiałam się też, czy popełniłam błąd, nie pokochawszy go, kiedy odnalazł mnie na pustkowiu i zabrał ze sobą. A jeśli nie, to czy nie powinnam była przynajmniej dochować mu wierności.



W Rosz Chodesz wylegliśmy z domów, by wypatrywać księżyca w nowiu. Wznosiliśmy modlitwy do Boga, jednak nie radowaliśmy się i nie tańczyliśmy. Rzymianie ukończyli budowę muru wijącego się wokół nas niczym żmija. Wzniesli też obozy, niektóre większe od wioski. Ci, którzy nie przybyli tu z Jerozolimy, osłupieli na widok ich dokonań. W dolinie było więcej ludzi, niż kiedykolwiek w życiu widzieli – sześć tysięcy legionistów w białych tunikach i tysiące niewolników wykonujących ich okrutne rozkazy.

Główny obóz Rzymian na wprost Pałacu Północnego pysznił się wieżą, której pozazdrościłby mu każdy garnizon. Drugi duży obóz strzegł zdradliwego wschodniego zbocza góry, a sześć mniejszych otoczyło nas kręgiem. Za obozem Silwy powstała cała osada, której podążający za Rzymianami mieszkańcy wiedli zwyczajne życie, hodując kury, dogadzając sobie i modląc się do swych bogów. Każdego z nich obarczałam winą za śmierć mojej córki.

Nocą poszłam pod mur, w miejsce, gdzie wcześniej rzucałam uroki, i złożyłam tam bezlitosne zaklęcie.

„Zaklinam i błagam Najwyższego Boga, Pana duszy i ciała, by zwrócił się przeciwko tym, którzy zdradziecko mordują i zabijają, niesprawiedliwie przelewając krew niewinnych. Panie władający wszystkimi aniołami, przed którym korzy się wszelka dusza, pomścij tę niewinną krew i wymierz im sprawiedliwość”.

Wypisałam te słowa na pergaminie i spaliłam, by wzniosły się ku Wszechmogącemu. Przywołałam anioły *chema*, posłańców gniewu i zemsty. *Chema* to także nazwa gwiazd, syrenich sióstr, które czuwają nad nami w dobie smutku. Zaklinając anioły, wzięłam sztylet i przeciągnęłam nim po lewej dłoni, choć nie wolno nam było się okaleczać ani czynić krzywdy temu, co stworzone przez Boga. Rana była głęboka. Ofiarowałam siebie, żeby moje dzieci były bezpieczne od wszelkich żywych istot: krążących wokół demonów oraz lwa w dolinie.

Wrogowie bacznie nam się przyglądali. Byliśmy dla nich jak skorpion pod szkłem. Chcieli ocenić, kiedy znów spróbujemy ukąsić. Za każdym razem, gdy zapuszczali się na ścieżkę węża, laliśmy na nich wrzący olej. Nasi łucznicy przyczaili się w koronach drzew oliwnych i wzdłuż muru, gotowi ustrzelić każdego, kto zechce tamtędy przemknąć. Ścieżka była wąska, a legionistów wielu, dlatego stanowili dla nas łatwy cel.

Myśleliśmy, że spróbują się przekonać, jak niebezpieczny może być skorpion mimo swych nikłych rozmiarów. Tymczasem oni uznali, że najlepszym sposobem, by go pokonać, jest zmiżdżenie go w jego własnym ogrodzie. Chcąc nas zniszczyć, musieli nas dosięgnąć. Zaczęli więc budować własną ścieżkę, szerokie podejście biegnące po zachodnim zboczu ku Bramie Północnej. Toczyli ziemię beczka za beczką, aż usypali rampę przypominającą biały pagórek. Uważaliśmy, że postradali zmysły, porywając się na coś, co stworzyć mógł tylko Bóg – sięgające prawie stu metrów wzgórze, po którym mogli się do nas wdrapać. Mieli jednak mnóstwo niewolników, którzy pracowali na okrągło, i tak na naszych oczach wyrosła oślepiająca swą bielą góra. Nocą zdawało się, że świat obrócił się do góry nogami i gwiazdy opadły w dolinę, wznosząc się ku nam i grożąc, że spłonimy od ich żaru.

Mężczyźni zebrali się w synagodze, by rozstrzygnąć, czy Rzymianie istotnie zdołają dotrzeć do naszych murów, korzystając ze wzniesionej rampy. Kiedy debatowali, urosła ona tak bardzo, że wyraźnie słyszeliśmy głosy robotników. Legioniści obrzucili nas oszczepami i włóczniami, zabijając kilkoro mieszkańców twierdzy. Byliśmy oszołomieni tym, czego wrogowie dokonali, i tym, że w jedną noc, jak nasz Pan, stworzyli wzgórze.



W Jerozolimie widziałam swoją rywalkę tylko raz, kiedy siadałam na wóz w dniu wypędzenia z miasta. Trzymałam w rękach drewnianą klatkę z parą gołębi i moją kwilącą córkę. Wedle zwyczaju kazali mi iść bosą, żeby, gdy zaczną krwawić mi stopy, spotkała mnie dodatkowa kara. Pamiętam, że żona ben Jaira miała na nogach piękne sandały z koziej skóry, zapinane na mosiężne sprzączki, na szyi naszyjniki z lapis-lazuli, krwawnika i turkusu, a na rękach złote bransolety. Ja owinęłam się tylko czarną chustą. Kiedy moja rywalka patrzyła, jak wdrapuję się na zaprzężony w osiołki wóz, którym wożono owce do rzeźnika, nie myślałam o niebezpieczeństwach grożących nam na pustyni ani o sępach i krukach, które za nami ruszą. Nie zaprzętał też moich myśli dokuczliwy upał ani szakale, które nie zechcą czekać, aż pomrzemy, by uczynić

z nas swoją strawę. Wstydziłam się bosych stóp.

Po tych wszystkich latach Channa stanęła u mych drzwi w dniu, gdy Rzymianie zakończyli usypywać rampę. Zapadła im się, za co dziękowaliśmy Bogu, lecz drżeliśmy na myśl, że ją naprawią i że uczynią wszystko, by się do nas dostać, nawet jeśli będą musieli przefrunąć.

Pies, który czuwał przy moim synu, zawył na widok Channy, jakby do naszych drzwi zastukał anioł śmierci. Ponoć te zwierzęta wyczuwają takie rzeczy. W Aleksandrii byłam świadkiem, jak pies kapłana zawył, w chwili gdy umarł jego pan. Pozwolono mu później spocząć obok niego. Przytrzymałam Eranę za kark i otworzyłam drzwi. Rzuciłam Channie pełne pogardy spojrzenie. Już raz miałam z nią do czynienia na tej górze i przekonałam się, że wreszcie nie ma nade mną władzy.

Dobrze przynajmniej, że nie przekroczyła progu mego domu. Przyjrzałam się jej wysuszonej twarzy i smutnym oczom. Ona też na mnie popatrzyła. Nie dało się już ukryć, że wkrótce przyjdzie na świat moje dziecko. Był to rozdarty świat i przeczuwałam, że te narodziny będą dla niego prędeż klątwą niżli darem.

Pies wyszczerzył kły na gościa.

– Ja tylko na chwilę – rzekła śpiesznie Channa.

Zwolniłam nieco uścisk i Eran zamknął pysk. Eleazar wspomniał mi kiedyś, że jego żona boi się psów. Chyba się wtedy ucieszyłam.

– Myślałam, że dybiesz na moje życie – odparłam.

– Nie – potrząsnęła głową Channa. – Chciałam tylko odzyskać męża.

– To idź do niego.

Zawahała się. Przemówiła dopiero wtedy, gdy zamierzałam zamknąć drzwi.

– Tylko ty możesz zapewnić mu bezpieczeństwo.

Spojrzałyśmy na siebie przez próg. Zaczęłam się zastanawiać, czy nawet teraz, kiedy oblegają nas Rzymianie, Channa próbuje mnie omotać, licząc, że postawi przed sądem i oskarży o czary. Słuchałam jej jednak, gdyż byłyśmy ze sobą związane jak dzień z nocą. Nie mogłyśmy się poznać, ale i nie mogłyśmy siebie uniknąć.

Może i chciałam, żeby mnie błagała. Myśl o jej usilnych prośbach i kajaniu się była całkiem nęcąca. Zamknęłam psa w izbie i wyszłam przed dom. Zwykle o tej porze roku sialiśmy, jednak teraz pola leżały odłogiem. Nie było ziarna, ludzi do pługów i zwierząt, które by go pociągnęły.

– Nie jestem czarodziejką – oznajmiłam rywalce. – W niczym ci nie pomogę.

Migdałowce całe obsypały się kwieciami, kwitły też hizopy. Channie skończyły się zioła, które jej przesłałam, i znów oddychała z trudnością. Nie wspomniałam jej, że koło domu rośnie hizop. Niech prychnie i stęka.

– Wieczorem wojownicy spróbują powstrzymać naprawę rampy. Nie wszyscy powrócą.

Nie dałam po sobie poznać, jakie wrażenie wywarła na mnie ta wiadomość. Jeśli Channa zobaczy, że nie reaguję, nie zdoła złamać mi serca.

Milczałam, więc ciągnęła:

– Śniło mi się, że Eleazar wróci tylko z pomocą czarnego ptaka.

– Nie jestem ptakiem – odrzekłam, choć poruszyła mnie ta wieść, bowiem też śniłam o czarnym ptaku, kruku takim jak ten, który przynosił Eliaszowi strawę, gdy zabłądził na pustyni. – Czemu przychodzisz do mnie?

Channa wpatrywała się w mój brzuch.

– To syn? – spytała płacząco.

– Myślisz, że jestem wiedźmą i potrafię odgadywać boskie wyroki. Chyba zbyt wiele mi przypisujesz. A pomyślałaś kiedyś, że byłam dziewczyną wygnaną na pustkowiu? Widziałaś, że moje stopy są bose, podążają za mną sępy i że skazałaś mnie na samotną śmierć? Może dlatego miałaś ten sen. Może twoim przeznaczeniem jest zadławienie się piórami?

– Ocal go, choćby dla siebie.

Spojrzała na mnie i dostrzegłam prawdę: że Eleazar jest jej mężem i że ona uczyni wszystko, by go uratować. Cofnęłam się o krok. Poczułam, że wciąż ma nade mną władzę i czerpie ją z miłości do niego.

– Żałuję, że nie przyjąłam cię do swego domu – oświadczyła. – Twoje dzieci byłyby moimi, a mój mąż twoim mężem. Dzieliłybyśmy się smutkami i radościami jak siostry.

Zadziwiło mnie, że odważyła się tak przemawiać, że nie bała się wywołać we mnie nienawiści i pogardy. Serce mi zmiękło, mimo że myślałam, że to niemożliwe. Może było zapisane, że Channa doprowadzi do zguby nas obie. Może i ona musiała podążać za swym przeznaczeniem.

– Nie rób tego dla mnie, lecz dla tego, którego kochasz. Dla naszego męża.

Patrzyłam, jak śpiesznie rusza wzdłuż muru, choć zewsząd spadały strzały, niektóre płonące. Nie kulila się przed nimi. Może przestała już dbać o własne bezpieczeństwo. Uświadomiłam sobie, że jej stopy są bose, że narzuciła czarną chustę na ramiona, że teraz sama trafiła na pustkowiu i że wszystko, co mi wyznała, było prawdą.

Poszłam do Bramy Węża i poprosiłam wartownika, by mnie przepuścił. Już wiedziałam, dlaczego przyśniło mi się czterdzieści akacji i rój pszczół. Sen ten zesłały mi anioły i Wszchemogący. Co przedtem było zagadką, nagle przemieniło się w ścieżkę.

Wartownik pewnie by mnie odprawił, lecz obok przechodził Amram i poprosiłam, by się za mną wstawił. Był arogancki i zniecierpliwiony, niedbale okryty srebrzystą, łuskowatą zbroją. Włosy zaplótł w długie warkocze, gotował się do wojny.

– Kobiety nie wychodzą za bramę – rzucił zimno, sposobiąc się do nocnej potyczki, kiedy to wojownicy przypuszczą atak na budujących podejście niewolników. Nie wiedział, że znałam go w czasach, gdy był uroczym, rozpieszczanym przez ojca dzieckiem. Teraz zachowywał się szorstko i dostrzegałam w nim coś mrocznego, cień na duszy, którego nie było tam wcześniej. Ludzie szeptali, że podczas wypadów wojownicy mordowali także kobiety i dzieci. Zarzekali się, że nie mieli wyjścia i że czynili to w imię wolnego Izraela i Tego, którego imienia nie wypowiada się na głos. Wojna wszystkich odmieniła i sprawiła, że zabrakło *lew*, prawdziwego serca, zwłaszcza tym, którzy naruszali boskie prawa i mieli tego świadomość, ale wmawiali sobie, że jedynie czynią swą powinność.

– Masz dla mnie wiadomość od swojej córki? – spytał Amram.

Aziza odtrąciła swego oblubieńca bez podania przyczyny. Był tym wyraźnie urażony. Moja córka nie wspominała o nim i przestała się nim interesować.

– Czy jesteś jej posłańcem? – dopytywał się Amram.

Użył słowa *malach* oznaczającego posłańca, lecz także anioła. Może w ten sposób, jak wielu przed nim, próbował nazwać ją *szeda*, a może uznał, że ściągnęłam na niego anioły gniewu i że to z mego powodu Aziza się od niego odwróciła.

Dojrzała nas stojąca na placu Jael. Miała na sobie zbyt obszerny, postrzępiony płaszcz. Kiedy spostrzegła złość na twarzy brata, podeszła zaniepokojona.

– Szira nie odpowiada za czyny córki – delikatnie upomniała Amrama.

– Więc to moja wina?! – obruszył się. – Już mnie nawet nie widuje.

– Bądź cierpliwy – odrzekła Jael. – Może do ciebie wróci.

– Nie mam czasu czekać! – rzucił zirytowany, wskazując ręką na pogrążoną w chaosie dolinę.

Jael omiotła spojrzeniem kosz, który ze sobą niosłam, i spytała brata, czy możemy wybrać się po rosnące na zboczu góry zioła.

– Nie w taki dzień – potrząsnął głową Amram.

– Bracie mój – naparła, drocząc się z nim – czy mam ci przypomnieć czasy, gdy sypiałeś z paluszkami w buzi i bałeś się gnieźdzących się w sieni skorpionów?

– Jaja – pokręcił głową, mimo woli się uśmiechając. – Nie mogę was tam puścić.

– Będziemy ostrożne – zapewniła go Jael. – Co ma być, to będzie – dodała. – Poszukam zioła, które przyniesie ci szczęście.

Wciąż był bratem skłonny ulegać jej prośbom. Przekonał wartownika, by przepuścił nas przez bramę. Ta strona stoku okryła się długim cieniem, więc przywierając plecami do skał, mogłyśmy przemknąć niepostrzeżenie. Wolałabym pójść tam sama, lecz teraz nie miałam wyjścia. Zresztą może to i lepiej, że towarzyszyła mi Jael, gdyż poznała zaklęcia, których nauczyła mnie matka, i nie lękała się tego, co musiałyśmy zrobić.

Ruszyłyśmy wzdłuż zbocza, po czym zeszłyśmy do wilgotnego wąwozu między dwiema jaskiniami. Zbierając kiedyś w tym miejscu chrust, wypatrzyłam wonne różowe kwiaty na patykowatych zielonych łodygach. Roślina ta była dziką kuzynką rododendrona, rośliny, przed którą przestrzegała mnie matka jeszcze w Aleksandrii. Tak jak korzeń *ba'aras*, który wyciąga z wroga duszę, liście i korzeń rododendrona – mimo zakazu – stosowano w *pharmaka* na problemy w miłości i zemstę. Spośród wszystkich części tej trującej rośliny jej kwiaty miały największą moc.

Przykucnęłyśmy i zaczęłyśmy nasłuchiwać. Błoto w wąwozie lepiło się do naszych bosych stóp. Wiatr był naszym sprzymierzeńcem. Czułyśmy się tu jak w innym świecie, który przypominał nam, jak piękne potrafi być takie pustkowienie. Zbliżało się Święto Przaśników. Słońce grzało już mocno. Przyszłam tutaj po wyciąg z kwiatów rododendrona. Nie musiałam go przyrządzać, gdyż był częścią dzieła stworzenia. Zaklęcia i uroki nie wystarczyły, żeby chronić mego oblubieńca. Potrzebowałam trucizny.

Wystawiłam rękę, by Jael mogła wsłuchać się w echo dochodzących do wąwozu odgłosów. Przez bezustanny harmider, jakim raczyli nas Rzymianie, kopiąc łopatami i motykami, przebijało się bzyczenie pszczół. Wiosną często nawiedzały te wzgórza, przyleciawszy tu z Egiptu na ostatnie kwitnienie przed nastaniem upałów. Podążyłyśmy za tym dźwiękiem do zwalonej kłody, z której ściekał żółty miód przez niektórych nazywany *dewasz*, a przez innych manną. Ta pszczela strawa często przynosiła ocalenie wędrowcom na pustyni, i ludziom, i zwierzętom. Ale ten miód nie był taki jak inne, gdyż pochodził z zabójczych różowych kwiatów rosnących w wąwozie. Ledwie kropla odejmowała człowiekowi rozum na całe godziny, a czasami i dni.

Strząsnęłam z siebie płaszcz i kazałam Jael się odsunąć. Niestraszne mi były żądła pszczół, bo posmarowałam się solą, by nie przysiadały na mnie, kiedy sięgnę do spróchniałego pnia po miód. Nim nasi wojownicy ruszą, by zniszczyć podejście, Rzymianie, którzy go zakosztują, stracą zmysły. Gdy nadciągnie zmierzch, nie odgadną, czy to tylko sen, czy też rzeczywiście opadli ich wrogowie. W swym

pomieszczeniu nie dobędą mieczy, jakby się upili.

Przycupnęłyśmy pod skałą, kiedy wokół plastra miodu zaczęły krążyć pszczoły. Posypałam go solą, by poleciały z powrotem do trujących różowych kwiatów, z których pobiorą świeży nektar. Gdy opowiedziałam o swym zamiarze Jael, w ogóle się nie dziwiła. Wyznała, że mnie szukała, gdyż usłyszała głos, który nakazał jej, co ma uczynić. To ona podrzuci truciznę wrogom. Dlatego zostawiła Arjego pod opieką ojca i przywdziała przetarty płaszcz skrytobójcy, ściągawszy go z haczyka, na którym wisiał w jego izbie. Kiedy nasunęła go na głowę, całkowicie zniknęła mi z oczu. Miał kolor bladego nieba, kamieni i wątłych promieni słońca, które na nas padały. Nawet szkarłatne włosy Jael zbladły pod kapturem, a jej twarz przemieniła się w mgłę.

Sama chciałam podrzucić zatrutą mannę Rzymianom, lecz Jael stwierdziła, że głos jej nakazał to uczynić. Nie chciałam się na to zgodzić, bojąc się, by nie spotkała jej jakaś krzywda. Zaklinałam, ale mnie nie słuchała. Wierzyła, że została wezwana, by przejąć miód z mych rąk. W końcu przyznałam jej rację, ponieważ we śnie stała pod akacjami. Uniosła ramiona ku niebu i zajęła moje miejsce.

Pochwalałam to, że Jael oddała jeńcowi swój złoty amulet. Wszystkie doznawałyśmy ulgi na myśl, że powróci on do swej zasypanej śniegiem krainy. Mimo to sama także potrzebowała talizmanu. Zawiesiłam jej na szyi drugi złoty amulet, choć zarzekała się, że nie jest tego godna. Wiedziałam, że będzie ją chronił znak ryby: obietnica wody i łaska Wszechmogącego.

Zapadał zmierzch, a ja czekałam na powrót Jael. To pora, kiedy naszym oczom ukazują się niebiosy; kapłani zarzekają się, że mogą dojrzeć wtedy tron Wszechmogącego. Ja widziałam tylko skały. Nie odważyłam się unieść wzroku, by spojrzeć na wejście do jaskini, w której zginęli esseńczycy, gdyż krążyła tam zziębnięta i samotna dusza mojej córki. Wiedziałam, że niecnosć świata jest częścią dzieła stworzenia i że anioł śmierci pojawił się w dniu, gdy zakiełkowało życie, jednak odczuwałam gorycz. Oplakiwałam to, co sama straciłam, co utracił świat i co jeszcze straci.

Jael szybko zeszła po stoku do doliny. Ledwo ją widziałam, kiedy zbliżała się w płaszczu do białej rampy prowadzącej do piekła, gdyż tak zaczęliśmy nazywać dolinę, która kiedyś była nasza, a teraz należała do Rzymian. Znalazłszy się tam, starannie ułożyła plaster miodu na głazie, by żołnierze nadzorujący niewolników go nie przeoczyli. Jego słodki zapach przemówi do nich i rzucą się na tę truciznę jak Żydzi na mannę, umknawszy z niewoli w Egipcie. A wtedy nasi wojownicy będą mogli bezpiecznie przypuścić szturm.

Nad światem wkrótce miała zapaść noc, plaster miodu trafił na swoje miejsce, lecz Jael się ociągała. Zmarzłam, spoglądając w rozbłyskujące na niebie gwiazdy, a ona wciąż nie wracała. Zaczęłam się niepokoić, bo jakby zapadła się pod ziemię. Choć miała złoty amulet na szyi, w tej dolinie mógł ją uratować tylko sam Bóg. Zrobiło się późno i już zaczęłam odchodzić od zmysłów, zamartwiając się o to, co mogło się jej przytrafić. Aż nagle dojrzałam mgiełkę.

Jael skryła się w mroku za głazem i obserwowała, jak Rzymianie sposobią się do walki, dobywając mieczy i ciskając oszczepami, których użyją przeciwko nam, gdy dokończą budowę podejścia. Kiedy żołnierze wreszcie wrócili do koszar, wyszła z ukrycia. Nie rozumiałam, dlaczego, porzuciwszy swą kryjówkę, ruszyła przed siebie. Przemknęło mi przez głowę, że niechcący zjadła miodu i postradała zmysły, uznając, że zejdzie do doliny i przeżyje. A ona wciąż parła naprzód.

Przed sobą miała błotnistą kałużę, za którą leżał lew.

Tylko on ją zauważył, a może wyczuł jej zapach. Jael była wcześniej w mykwie, a gdy wszystko wokół cuchnie, woń czystości najbardziej uderza w nozdrza. Lew uniósł łeb i spojrzał na nią, kiedy ostrożnie zaczęła brnąć przez kałużę. Nie mogłam znieść myśli, że ujrzę ją rozszarpaną i ogryzioną do kości, tę dziewczynkę, którą kiedyś, gdy sama byłam ledwie dziewczęciem, ukochałam jak własną córkę. Stałam przerażona w zapadających ciemnościach, oplakując własne uczynki i ludzi, których skrzywdziłam. Pomyślałam, że może to Koniec Czasów i że esseńczycy mogli jednak mieć rację, a my lekkomyślnie ich nie słuchaliśmy. Wspomniałam to, co pokazały mi kości gołębi: przyszłość, w którą wejrzałam, i to, co jeszcze przyjdzie mi stracić na tym świecie.

Tymczasem Jael stanęła przed lwem. Mógł bez trudu się na nią rzucić, lecz nawet nie drgnął. Tylko poruszał ogonem, nic więcej. Jael podeszła jeszcze bliżej. Obserwowałam ich przez warstwę mgły. Groźnego zwierza, kałużę błotnistej wody i kobietę, która się nie bała. Już raz ugryzł ją lew i może sądziła, że jest odporna na jego ataki, jak ludzie kiedyś zaatakowani przez pszczoły, którzy nie reagują na kolejne użądlenia.

Od jakiegoś czasu nikt w obozie nie zwracał uwagi na lwa ani nawet nie pomyślał o tym, by go nakarmić. Odkąd się tam pojawił, dali mu tylko jednego osiołka. Przymierał głodem, nie mógł się schronić przed palącym słońcem czy strugami deszczu. Posłużył do tego, by nas przerazić, a później o nim zapomniano. Podchodziły do niego kruki, jednak nie mógł ich dosięgnąć. Rzymianie piekli koziorożce, jelenie i owce w ogniskach, ale nie rzucili mu choćby ochłapu czy kości.

Gdy Jael się zbliżyła, nie poruszył się ani nie okazał strachu. Może jej nie

zaatakował, bo został pokonany, wywieziony ze swej krainy, poniżony i już nie zachowywał się jak lew. A może czekał na posłańca Boga, tak jak my wyczekujemy archanioła Gabriela.

Jael podeszła na tyle blisko, że mogła odpiąć mosięzną klamrę łączącą obrożę lwa z łańcuchem. Stałam jak słup, wstrzymując oddech. Bałam się, że teraz ją zaatakuje i że będę oglądać jej śmierć. Tymczasem lew tylko wstał i spojrzał na nią żółtymi ślepiami, bardziej z zaciekawieniem niż groźnie. Może pomyślał, że to lwica, i zastanawiał się, czy chce do niego dołączyć. Albo uznał, że to sen, bo jeśli lwy śnią, to z pewnością o tym: o wolności nocą, o dłoniach, które odpinają łańcuch, i o górach.

Jael uniosła ręce jak wtedy, gdy chciała zachęcić gołębice do lotu. Lew pomknął przez dolinę i zniknął wśród skał, a jego futro było niczym płaszcz, który pozwala rozplynać się jak we mgle.

Poczułam, że doświadczyłam cudu. Odzyskawszy wiarę, modliłam się, dziękując Bogu, podczas gdy najdzielniejsza spośród nas ruszyła ku twierdzy, niewidzialna w swym szarym płaszczu, lecz promienna w mroku, gwiazda jaśniejąca w oczach Wszechmogącego.

Kiedy wojownicy wyprawili się nocą do doliny, zastali tam pijanych, półprzytomnych Rzymian, którzy wymieszali trujący miód z winem, żeby się nim raczyć. Zabili, ilu się dało, póki ich krzyki nie ściągnęły setek towarzyszy, którzy ruszyli im z odsieczą, ale wtedy nasi wojownicy wspinali się już po zboczu góry. Kilku, poległych w tej potyczce, ich bracia nieśli na ramionach. Mieliśmy ciała, więc mogliśmy sprawić im pochówek. W Jerozolimie złożylibyśmy je w jaskiniach przodków, a po roku ich kości trafiłyby do kamiennych ossuariów. Tutaj nie było czasu na taki obrządek. Mimo że w odwecie Rzymianie ostrzelali nas gradem płonących strzał, zebraliśmy się na placu, by zawodzić, szarpać nasze szaty i złożyć ciała w miejscu spoczynku.

Pośród tej żałoby niektórzy z nas zerkali na dolinę i przekonywali się, że lew został uwolniony z jarzma Rzymu i powrócił w góry Judei. Wznoszono okrzyki i modły. Zebrał się zadziwiony tłum. Wszyscy się zastanawiali, czy to Gabriel, najsroźszy z aniołów, zesłał nam ten znak, gdyż żaden człowiek z pewnością nie odważyłby się zbliżyć do lwa.



A jednak Rzymianie nie odstąpili od budowy rampy, która rosła coraz wyżej. Nękaliśmy ich wrzącym olejem, kamieniami i strzałami, lecz parli naprzód niczym

zwycięska machina śmierci. W ciągu paru tygodni podejście niemal sięgnęło murów twierdzy i wrogowie mogli przysporzyć nam ogromnych szkód. Traciliśmy wielu wojowników, codziennie wybuchały pożary. Odbudowywaliśmy zniszczenia spowodowane przez kamienne pociski i ogień, ale brakowało nam rąk do ich usuwania i wszędzie zaczęły zalegać zgliszcza. Już nikt nie odważył się opuścić twierdzy ani nawet podejść do murów. Garnęliśmy się do siebie na wietrze. Wokół zapanowała wielka cisza. Ogarniała nas rozpacz, bardziej zaraźliwa niż febra.

Eleazar nic nie mówił, kiedy odwiedzał mnie wieczorami. Choć słowa zawsze nas do siebie zbliżały, teraz już nie mogły nas ocalić. W dolinie coraz bardziej się kotłowało. Rzymian wcześniej było sześć tysięcy, obecnie już dziesięć. Przypominali niekończący się rój. Nie dało się ich pokonać ani przed nimi uciec. Mogliśmy tylko natrzeć skórę solą, co niekiedy bywa bolesne, okryć się płaszczami i zniknąć.

Kiedyś mój ukochany kuzyn twierdził, że legioniści przypuszczą szturm, gdy tylko pojmą, że nie złamie nas oblężenie. Mieliśmy dość zapasów, by przetrwać – choć w nędzy i przymierając głodem – rok, może dwa lata, jednak istniała szansa, że do tego czasu Rzymianie się nami znużą i postanowią spożytkować siłę legionów w lepszym celu. Teraz, gdy na zachodnim stoku góry żołnierze usypali podejście, ben Jair już do tego nie wracał i nie karmił nas złudzeniami. Anioł śmierci ma tysiąc oczu i żaden człowiek przed nim nie ucieknie. Opowiadano historie o ludziach, którzy umykali przed przeznaczeniem na koniu całą noc, by dotrzeć do odległej osady, gdzie on już na nich czekał, poznawszy cel wędrówki swej ofiary, nim ona sama go odgadła. Malach ha-Mawet dopadnie każdego jeźdźca, nawet na koniu tak rączym jak rumak mego męża, wspaniały Leba o sercu tysiąca koni.

Po zapadnięciu zmroku zeszliśmy z Eleazarem do cysterny, już nie zważając na to, czy ktoś zarzuci nam grzech. Tak jak Śmierć widziała nas, tak i my widzieliśmy ją, nawet kiedy zamknęliśmy oczy. W milczeniu zaczęłam całować w wodzie mojego oblubieńca. Wzdrygnął się, gdyż niedawno odniósł ranę i nie dał jej sobie opatrzeć. Chciałam posmarować ją *samtar*, lecz odparł, że nie ma na to czasu. Kiedy usłyszałam te słowa, zaczęłam szlochać, jak wtedy w Jerozolimie, gdy spadł deszcz i Eleazar pobiegł na targ, by podarować mi dzbanuszek wonności o zapachu lilii. Wówczas widzieliśmy się ostatni raz, zanim wezwał mnie na tę górę. Teraz znów miałam go stracić.

– Nie płacz – upomniał mnie. – Na to też nie ma czasu.

Lata wojaczki sprawiły, że stał się hardy. Gdy go poznałam, był ledwie chłopcem, ale od tamtej pory zabił tak wielu, że na jego rękach pojawiły się plamy. Jednak łzy

wciąż potrafiły go rozbroić i przypomnieć mu, że nadal jesteście ludźmi. Wielce ciążyły mu cierpienia bliźnich. Otarłam łzy, bo mnie o to poprosił, a ja zawsze spełniałam jego prośby, nie z obowiązku, lecz dlatego, że znałam go dobrze i wiedziałam, jak bardzo sam cierpi. Kiedy na niego patrzyłam, nie widziałam okrutnej twarzy, jaką okazywał swym wrogom, potężnych ramion i barków noszącego żelazną zbroję wojownika, ale młodzieńca przy studni, który wejrzał za moje tatuaże. Zawsze wiedział, kim jestem.

Chwycił i odgarnął moje włosy, by całować szyję. Bez amuletów byłam bezbronna. Czułam, że cała płonę. Wierzyłam, że przy nim jestem bezpieczna. On, tak bezwzględny na polu walki, pozostał chłopcem, który ukochał mnie do tego stopnia, że ani żona, ani ojciec, ani żadne świątynne prawa nie zdołały go ode mnie oderwać. Szepnął, że pragnie spędzić w mych ramionach czas, który nam pozostał.

– Nie mówmy ani się nie troskajmy, połóż się ze mną i zapomnijmy o świecie, pamiętając tylko o sobie nawzajem.

Rzymianie trafią do nas, jak pszczoły. Opadną nas, skruszy się z nas sól i staniemy przed nimi nadzy i bezbronni, tak jak teraz przed sobą.



Zbudziwszy się z niespokojnego snu, stwierdziliśmy, że podejście od zachodniej strony twierdzy jest już gotowe. Dzień był chłodny, mglisty i smutny. Nadszedł już miesiąc *nisan*, czas świętowania wolności. Kiedy otworzyliśmy oczy, zdało się nam, jakby to wyczarowane podejście było w tym miejscu od zawsze, bardziej rzeczywiste niż góry, które stały tam, odkąd stworzył je Bóg.

Jeszcze tego samego dnia grupa przybyszy ze wschodu wzbijała tumany kurzu na pustyni. Dojrzałam, że większość ich płaszczy ma kolor błękitu. Byli to pobratymcy ojca Nahary i Adira, nomadowie z gór Moabu. Przywieźli ze sobą najróżniejsze przyprawy oraz skarby z Petry i zaoferowali Rzymianom wsparcie, gdyż żyli z nimi w pokoju. Kiedy na nich patrzyłam, moje serce zadrżało, bo wiedziałam, jak bardzo są zajadli i jak trudno będzie ich pokonać.

Włosy miałam wilgotne po nocy spędzonej w cysternie i bolały mnie ramiona od tulenia mężczyzny, który zawsze zostawiał mnie we śnie. Oblepiona pyłem budziłam się samotna na otynkowanej półce na krawędzi głębin. Mimo wyдутego brzucha wychudłam. Mężczyzna, który był moim mężem w Moabie, zauważyłby to i zadbał, bym jadła daktyle i figi, gdyż uważał, że chuda kobieta jest jak chudy koń: zbyt słaba, by poradzić sobie w jego górzystej krainie. Kochał mnie, choć nigdy mi tego nie wyznał. Wpatrywał się we mnie, gdy byliśmy razem, jakby jego wzrok nie mógł się

nasycić mymi kształtami.

Eleazar nie dostrzegł, że widać mi żebra ani że moje barki i kręgosłup prześwitują przez skórę. Nie zauważył, że korzenie i groch, licha strawa, ujęły połysku moim włosom, gdyż zaplatałam je w warkocze i upinałam dwiema rogowymi szpilkami. Dla niego wciąż byłam tym dziewczęciem z kaskadą czarnych włosów przy studni w Jerozolimie, tak jak on był młodzieńcem stojącym ze mną w deszczu, moim oblubieńcem, który mnie do siebie wezwał i któremu od zawsze byłam obiecana.

Prawa ludzkie już nie obowiązywały, jedynie prawo boskie. W dzień i w nocy odmawialiśmy modlitwy. Starsi mężczyźni zbierali się w synagodze i w wąłym świetle kaganków, w których dopalały się resztki oliwy, błagali Boga o przebaczenie i łaskę. Rzymianie ułożyli na podejściu do twierdzy drewniane bale, po których niewolnicy wciąż przetaczali beczki pełne białej ziemi. Byli tak blisko, że mogli z nami rozmawiać. Pewnego dnia sam Silwa zawezwał ben Jaira. Nasi wojownicy odkrzyknęli, że wódz nie negocjuje z demonami, gdyż potrafią wysysać dusze ze słów. Przekonaliśmy się, że to prawda, bo gdy słuchaliśmy demona, który dowodził dziesiątym legionem, ogarnęła nas trwoga. Zatkaliśmy uszy, jednak wciąż słyszeliśmy słowa Silwy: „Poddajcie się, a puścimy was wolno”.

Dokładnie to samo usłyszeli wojownicy z Macherontu, nim Rzymianie wymordowali ich co do jednego, zostawiając na pastwę szakali, które rozwlekły szczątki po lesie, jak gdyby nigdy nie byli ludźmi, tylko kamieniami.

W odpowiedzi ben Jair kazał wystrzelić grad płonących strzał. Widziałam na murze najprzedniejszych łuczników, wśród nich moją córkę. Zużyła tyle strzał, że nie została jej ani jedna. Wieczorem pokazała Adirowi, jak się je wyrabia. Nauczyła go, jak ma trzymać krzemień, by nie poranił sobie ręk, uderzając o niego grotem, i jak przywiązać za pomocą cienkiego skórzanego rzemyka ostry grot do drzewca. Religia zabraniała Jehudzie dotykać broni, więc tylko zbierał gołębie pióra, które Adir doczepiał do strzał, by leciały z dłoni mej córki wprost w serca wroga.

Aziza wzięła mnie na stronę, nim znów ruszyła na mur z koszem nowych strzał. Była taka silna, umięśniona, piękna, harda i mroczna. Powiedziała, że uczyni wszystko, by nas ratować, oprócz jednego. Nie ugodzi strzałą żadnego wojownika w błękitnej szacie. Jeden z nich mógł być ojcem Nahary i Adira, niegdyś moim mężem, który na długo zapomniał, że Aziza nie jest jego synem z krwi i kości.

Udzieliłam jej błogosławieństwa, posypując krótko ścięte, czarne włosy popiołem ze skóry węża. Kochałam ją tak, że aż ścisnęło mnie w gardle. Nie mogłam głośno jej

tego powiedzieć z obawy, że sprowadzę na nią nieszczęście. Przytuliłam ją, więc poczuła, ile dla mnie znaczy, tak jak kiedyś czuła, że musi mi pomóc urodzić Naharę, a ja zaufałam jej i pozwoliłam jeździć u boku wojowników z Moabu. Niegdyś nadałam jej imię, dzięki któremu pozostała nieustraszona w świecie pełnym strachu, i był to najwspanialszy dar, jaki mogłam jej ofiarować.



Na szczęście między zboczem góry a podejściem wciąż była wyrwa. Kiedy tylko narzucano więcej ziemi na rampę, zapadała się u podnóża. Choć niewolnicy wtoczyli na nią tarany wielkie jak pnie palm daktylowych, to ostatnich metrów podejścia nie zdołali usypać i Rzymianie nie mogli przedrzeć się przez mur. Król Herod był pod wieloma względami niecny, jednak byliśmy mu wdzięczni za to obwarowanie i głązy noszące jego symbole. Uznaliśmy tę niemoc Rzymian za dobry znak i w podzięcie wznosiliśmy modły do Wszechmogącego.

Zbliżało się Święto Przaśników, czczone na pamiątkę dnia wyjścia naszego ludu z niewoli egipskiej. Wspominaliśmy Mojżesza na pustyni, to, że nie tracił wiary, nawet gdy nie było nadziei, a także to, jak poprowadził swych braci, mimo iż tyle wycierpieli. Liczyliśmy, że święto przyniesie nam szczęście w przyszłości. Nie rozumieliśmy, że tak jak dziewiąty dzień miesiąca *aw*, kiedy padły obydwie Świątynie, Mojżesz rozbił tablice i światem rządził smutek, niektóre dni są po to, by przypomnieć, że przeszłość wciąż jest z nami.

Rzymianie byli nieubłagani. Królewski mur był dla nich niczym w obliczu chwały ich cesarza. Wzniesli ogromną, mierzącą ponad sto metrów platformę. Drewno ściągnęli przez morze aż z Grecji. Później niewolnicy przydźwigali je tu na własnych barkach. Bale pachniały lasem. Riwka stwierdziła, że ociosano je z cyprysów, i rozplakała się na wspomnienie drzew rosnących w jej rodzinnych stronach. Patrzyliśmy, jak niewolnicy wykańczają platformę. Później wdrapali się na nią żołnierze i zaczęli nas przeklinać, zarzucając gradem płonących pochodni. Czuliśmy już wtedy tylko zapach ognia, a słodka woń cyprysów wydała się nam snem.

Platforma nie zdołała do końca zapełnić luki między podejściem a potężnymi murami twierdzy Heroda, więc legionieści ułożyli na niej wielkie oszlifowane głązy. Potem użyli najstraszniejszego wynalazku, jaki widzieliśmy, wymyślonego przez Wespazjana, z którego korzystał także Tytus. Ta wojenna machina była niczym dzieło demona wykonane przez tysiąc złych duchów. Przerażeni patrzyliśmy na nią w osłupieniu. Nawet mężczyznom ciekły po twarzach łzy. Rzymianie ustawili na

drewnianej platformie obitą metalowymi płytami trzydziestometrową wieżę. Mogli z niej atakować, nie zważając na nasze proce i łuki, a także zrzucić olbrzymie głazy na królewski mur, który ponoć miał przetrwać wieki.

I się zaczęło. Góra zatrzęsała się w posadach, odleciały ptaki. Kruki, skowronki, wróble, jastrzębie, wszystkie skrzydlate stwory uciekły od nas, oprócz gołębi z gołębników, które nie miały wyjścia i musiały zostać. Przysiadłszy na obramowaniu fontanny, czułam ruchy mojego nienarodzonego dziecka. Wokół rozpętało się piekło. Trzy- albo czteroletnie dzieci ścierały krew z rzucanych na stertę włóczni, które dobywano z ciał poległych. Zwłok było tyle, że przenoszono je na pole, gdzie na biało i różowo kwitły migdałowce. Następnie przemywano je deszczówką, namaszczano olejkami i okrywano całunem.

Kiedy skończyło się płótno, a trupów wciąż przybywało, zaczęliśmy okrywać je własnymi szalami. Dwóch młodych wojowników, ledwie chłopców w zbrojach, wymknęło się przez bramę, by walczyć z Rzymianami na własną rękę. Legioniści odcięli im głowy, które wrzucili do twierdzy za pomocą katapuły. Oczy mieli wciąż otwarte. Ich matki zaczęły drapać swe ciała, przerażone koszmarem, który nie był snem, lecz jawą.

Riwka i jej wnukowie oraz Jael z Arjem przenieśli się do nas, bo ich kwatery mieściły się zbyt blisko muru. Sąsiedzi Jael zginęli, gdy płonąca strzała przemknęła przez służący za okno otwór w murze i ogień strawił siennik. Miejsca mieliśmy dość. Aziza rozstawiła namiot na dziedzińcu. Nie chciała spać pod dachem. Była wojownikiem i wolała spędzać noce pod gołym niebem. Człowiek z Doliny przychodził z nią jadać. Siedzieli jak towarzysze broni i milczeli, lecz dobrze im było ze sobą. Jego synowie, Noe i Lewi, tylko zerkali na tego posępnego wojownika, gdyż był dla nich bardziej legendą niż człowiekiem. Raz dostrzegłam, że i on spogląda na nich. Jego twarz złagodniała i coś w nim tępnęło, ale szybko odwrócił wzrok i skupił się na skromnej strawie z grochu i soczewicy, którą ugotowała Aziza.

Riwka wyznała mi, że w dniu śmierci jej ukochanej córki zięć złożył dwa ślubowania: póki żyje, nie weźmie do łóża innej kobiety i już nigdy nie zetnie włosów. Jednak pewnego razu, gdy przyszedł na wieczerzę, Riwka aż jęknęła na jego widok. Przybiegła do nas cała roztrzęsiona. Jej zięć ściał włosy i ogolił głowę. Wzięłam ją za rękę. Szlochając, oświadczyła, że to koniec. Zięć ogolił głowę, bo nadszedł już czas, by rozstał się z życiem.

Tego samego wieczoru dostrzegłam, jak moja córka tuli go w ogrodzie. Wyglądał na okrutnika, cały w bliznach, z bransoletami wrzynającymi się w ciało, przyodziany jedynie w metalowe łuski. Ale w tym jednym uścisku dojrzałam to, czego nie

widziałam między córką a Amramem. Zobaczyłam, że miłość nie przywiodła jej do zguby, lecz do tego, co było jej przeznaczeniem. Nie mogłam liczyć, że powstrzymam ją na ścieżce losu. Człowiek z Doliny poprzysiągł, że nie pokocha innej kobiety, jednak nie ślubował, że nie będzie żywić uczuć względem wojownika. Przemieniając się w chłopca, Aziza sprawiła, że mógł ją pokochać.

Właśnie dlatego tak wielu uznawało moją córkę za *szeda*. Kiedy zarzuciła ręce na szyję tego mężczyzny oplatającego swe ciało paskami ostrego metalu, zdawała się jednym z tysiąca czuwających nad nami posłańców, którzy mają go ponieść na swych skrzydłach. Odwróciłam wzrok, ujrawszy jego łzy, bo pojęłam, że Riwka miała rację. To był koniec świata.

Tak zostało już zapisane.



Któż wskaże, o której godzinie padł mur Heroda? Kiedy nastąpiła ta straszliwa chwila, gdy wysunął się z niego pierwszy kamień? Najpierw padało, a kiedy deszcz ustał, wciąż grzmiało. Nagle pojęliśmy, że to nie odgłos piorunów, lecz tarana bezustannie tłukącego o mur twierdzy. Staliśmy i patrzyliśmy, jak opuszcza nas Bóg, po czym rzuciliśmy się do obrony. Wokół panował chaos. Wszyscy gnali jak szaleni na plac, by natychmiast wybudować drugi mur. Mój kuzyn postanowił, że stanie nieco bliżej, w miejscu, gdzie Rzymianie dokonali wyłomu. Wzniesiemy go z błota i trawy, by pod naporem tarana ugiął się, a nie rozpadał. Podczas burzy źdźbło trawy wytrzymuje wichry, które obracają w ruinę królewskie pałace. Nowy mur budowali wszyscy, gdyż wszyscy byliśmy przerażeni. Przyszli nawet esseńczyk Jehuda i mój kulejący syn Adir.

Łaska boska sprawiła, że nadciągnęła ulewa i w twierdzy było mnóstwo błota, które pod wpływem słońca szybko twardniało. Dzieci też się nim umazały, uwijając się wśród dorosłych przy budowie muru, choć wokół śmigały płonące strzały, które przypalały nam szaty i wzniecały pożary dachów i ogrodów.

Wszystko działo się jak we śnie. Widziałam ogarnięte ogniem dziecko, które skonało w ramionach matki, i mężczyzn oddających życie bez słowa skargi. Widziałam rzymski legion i złowrogą metalową bestię bez serca i duszy. Mur z błota zadrżał, ale się nie zawalił, bo był mocniejszy niż wały Heroda, choć wzniesli go starcy i dzieci. Widziałam anioła śmierci u boku mojej unoszącej łuk córki, głoszącego jej powabne ciało. Widziałam duchy pomordowanych w jaskini esseńczyków, wędrujące po ścieżkach, którymi przemykają czarne kozy. Mój kuzyn wyrwał się z tłumu, gdy pojął,

jak wielu z nas zginęło i że ich ciała trzeba złożyć na polu. Ruszyłam za nim i odnalazłam go szlochającego w mym ogrodzie.

Wtedy stanęła mi przed oczami przepowiednia, którą dojrzałam w kościach rozrzuconych w wieży. Wróżyły mi, że się utopię, tak jak wieszczył kapłan, kiedy jako dziecko wskoczyłam do fontanny w ogrodzie mojej matki. Nie w wodzie, lecz we własnej krwi.



Wciąż śniła mi się moja nienarodzona córka. Stała z otwartymi oczami zanurzona w wodzie, gdyż woda była jej żywiołem, tak jak i moim. Skoro miało dojść do rzezi, a ja miałam być jedną z ofiar, pragnęłam urodzić to dziecko, nim trafi do Przyszłego Świata. Tylko w ten sposób mogłam zapewnić jej imię, które pozwoli Bogu wezwać ją do siebie, bowiem nienarodzone, nienazwane dusze bląkają się bez celu przez wieczność.

Wiedziałam, że już czas, by przyszła na świat, bo wkrótce nie będzie go już w ogóle.

Przygotowałam wywar z ruty wywołujący poronienie i szybko go wypić. Sprawić, że dziecko urodzi się przedwcześnie. Krążyłam po izbie, podczas gdy Adir, Jehuda i wszyscy, którzy mieli jeszcze odrobinę sił, gorączkowo łatali ubytki w nowym murze. Zawołałam Jael, która przyrzekła kiedyś, że wspomocze mnie w potrzebie. Zostawiła Arjego pod opieką Riwiki i przyniosła kosz gołębiego łajna, które dorzuciła do ognia. Nauczyłam ją odbierać poród, więc teraz miała przyjąć moją córkę na świat.

Stanęłam nad ogniskiem, by dym otworzył moje łono. Jael przykucnęła obok, wyśpiewując imię Wszechmogącego zwyczajnie i na wspak, aż utworzyło w jej ustach jedną głoskę, dźwięk tak pradawny, iż żaden człowiek go nie pojmował. Wpatrzyłam się w figurkę Asztarte stojącą na ołtarzyku. Wyniosłam ją z komnat mojej matki zawiniętą w płótno wraz z jej księgą magicznych receptur i ukryłam w klatce dla gołębi pod wiązką słomy.

Wszystko, czego potrzebowałam, dostałam od matki. Wszystkiego, co wiedziałam, dowiedziałam się od niej. Sama wszystko poświęciłam córce.

Nalałam oliwy do kaganka w ofierze dla Asztarte i na jej cześć natarłam ciało olejkiem z granatu i wonnościami z lilii. Została już resztką tego zapachu. Wiedziałam, że więcej go nie będzie. Pomyślałam o liliach z fontanny w ogrodzie matki. Zdawały się teraz wyrastać z biało-czarnej mozaiki zdobiącej podłogę. Skupiłam się na ich niewidzialnych pąkach tak mocno, że wszystko inne zniknęło. Mocno parlałam, starając się przy tym nie krzyczeć, by nie zwrócić niczyjej uwagi.

Przygryzłam rękę, aż do krwi. Mimo tego, co działo się wokół, wciąż żyłam i mogłam dać życie.

Czas mijał, lecz dziecko się nie pojawiało. Bałam się, że córka, którą zaraz urodzę, będzie słaba, bo przyjdzie na świat za wcześnie. Poczułam w gardle przyływ paniki. Starszyzna może wygnać ją za bramę twierdzy i córka zginie, nim nadam jej imię. Poprzysięgłam sobie, że do tego nie dopuszczę. Moje dziecko nie zobaczy pustkowia, kruków, niepogrzebanych szczątków, rzymskich żołnierzy i szakali łypiących na nie z apetytem. Jego dusza nie ugrzęźnie w jaskini i nie będzie krążyć po dolinie, ale pozostanie w rękach Boga i pod jego czułą opieką. Dlatego wydam córkę na świat przedwcześnie. Niechaj doświadczy czegoś więcej niż rozpacz, niech pławi się w blasku chwały Wszchemogącego, w Jego łasce i mądrości, choćby przez moment lub jeden dzień.

Przyszła na świat o brzasku, po wielu godzinach. Straciłam mnóstwo krwi, lecz taka była cena jej narodzin. Mimo że urodziła się przedwcześnie, nie była słaba. Krzyknęła głośno, radując me serce. Oczy miała szare, po ojcu, a włosy płowe jak gołębie pióra. Poszłyśmy z nią na pole, by zakopać łożysko, choć ścięto już wszystkie migdałowce, które posłużyły do budowy muru. Podziękowałyśmy Asztarte i Adonaj. Zdjęłam płaszcz i stanęłam przed Nimi naga, mimo że byłam wyczerpana i nie minęło siedem dni. Nie wiedziałam, ile nam ich jeszcze pozostało, więc nie mogłam czekać z nadaniem imienia córce.

Nazwałam ją Jona, gdyż pojawiła się na świecie z powodu wieści przyniesionej przez gołębia.

„Moja żono, oblubienico, córko, mój świecie”.



Mieszkańcy twierdzy całą noc wzmacniali nowy mur, nasze jedyne zabezpieczenie. Łączyli ze sobą ścinane w pośpiechu gałęzie migdałowców, uzupełniając wyrwy błotem, by wał był elastyczny i tylko wyginał się pod naporem tarana. Nazajutrz przypadało Święto Przaśników. Zbieraliśmy się wtedy i dziękowaliśmy Bogu za uwolnienie z egipskiej niewoli. Tym razem jednak mieliśmy czas tylko na ciche modlitwy.

Mur, którego nie dało się rozbić, można było spalić. Powietrze wypełniła gorzka woń migdałów. Rzymianie podpalili wał i znaleźliśmy się w kręgu ognia.

Stanąwszy w progu, wpatrywałam się w spoczywającą w mych ramionach córkę, gdy nagle usłyszałam śpiew mężczyzn przebijający się przez odgłosy bitwy. Słyszałam

też płacz kobiet. Pośród tego nieszczęścia dojrzałam nagle cień – kruka, który przysiadł między grządkami. Wszystko obróciło się w proch. Mięta, ruta, kolendra i hizopy. Stałam w ogrodzie, który przestał być ogrodem.

Channa przyszła obejrzeć dziecko. Była wychudzona, jak wszyscy, lecz jej twarz pojaśniała, gdy dojrzała niemowlę na moich rękach. Przysięgła, że nie wspomniała nikomu o jego narodzinach, nawet mężowi, by go nie rozpraszać. Szepnęła, że wypuszczone przeze mnie gołębice przyniosły jej tę wiadomość. Były to ptaki z klatki w pałacowym ogrodzie, te same, które przyleciały z wieścią dla mnie do Moabu.

Przywołałam ją gestem. Przytruchtała jak pies z opuszczoną głową. Moja córka od razu ją oczarowała. Oczy Channy rozbłyły, kiedy uniosłam Jonę, by mogła lepiej jej się przyjrzeć. Patrzyłam, jak moja rywalka płacze nie ze smutku, ale ze szczęścia.

Wygnała mnie na pustynię, lecz już zapomniałam o swych bosych stopach, poranionych na nagich kamieniach. Oczerniła mnie i upokorzyła, ale nie pamiętałam słów, którymi mnie oskarżała, ani lat spędzonych w Moabie. Ogród płonął, a powietrze przeszywały iskry. Powiadają, że tak samo stanie się w Przyszłym Świecie, kiedy będziemy kroczyć u boku aniołów, nie lękając się ich światłości i mocy.

Pozwoliłam Channie potrzymać moją córkę. Radowałyśmy się urodą dziecka naszego męża, gdyż Jona była niczym sadzawka, spokojna i piękna. Zanurzyłyśmy się w tym cudzie jak w wodzie i ugasiłyśmy pragnienie, choć wokół szalał ogień i buchały płomień, trawiąc dachy i liście, które spadały na nas jak deszcz. Siedziałyśmy tam obok siebie, podczas gdy inni skryli się w domach lub gorączkowo gasili pożary. Nie dokuczało nam pragnienie ani nie łaknęłyśmy odwetu, bo nie byłyśmy już rywalkami.

Po kilku godzinach ogień ogarnął cały mur. Owinął się wokół nas niczym wąż, zamierzając nas pożreć. Uznaliśmy, że nasz czas już nadszedł, gdy nagle Bóg zesłał wiatr z północy, który skierował płomień w stronę Rzymian. Żołnierze płonęli żywcem. Ogień zajął także tarany. Patrzyliśmy na to i w podzięce padaliśmy na kolana.

Ale co Bóg daje, to także odbiera, byśmy pamiętali, że łaska pańska zależy wyłącznie od Jego woli. Był to chwilowy ratunek, gdyż wiatr znów zmienił kierunek. Ponownie zaczął wiać z południa i stał się naszym wrogiem. Czmychaliśmy, lękając się o swe życie, i polewaliśmy się resztkami wody, by uchronić przed zabójczym żarem. Słyszeliśmy, jak żądni krwi Rzymianie wiwatują i wznoszą buńczuczne okrzyki. Ustawili w dolinie tysiąc wartowników, aby nikt z nas nie wymknął się za mur Heroda.

Schroniliśmy się w moim domu. Wszyscy byliśmy brudni od sadzy. Piękny

ciemnooki Arje leżał cichutki. Pewnie wyczuwał grozę sytuacji i nie odważył się zapłakać. Polaliśmy głowy wodą z dzbana w nadziei, że nie zapalą się od iskier. Kołysałam córkę, myśląc o tym, jak to, zgodnie z obyczajem swego ludu, ojciec Nahary i Adira nie widział dzieci przez dziesięć dni po urodzeniu. Dopiero teraz zrozumiałam, że w nakazie tym nie chodziło tylko o to, by ojciec nie ujrzał dziecka, które płaciło swoim wyglądem cenę za ciężką podróż na ten świat. Po prostu oczekiwał, by mieć pewność, że ono przeżyje. Przywiązywanie się do kogoś, kto za chwilę umrze, nie miało sensu w oczach surowego ludu Moabu, który wciąż ocierał się o śmierć i składał do namiotów ciała poległych. Ci ludzie wiedzieli, że żywot ciała na tym świecie nie jest długi.

Posłucham tego nakazu i nie pokażę ojcu jego córki, by nie musiał pokochać czegoś, co wkrótce utraci. Tuliłam ją pod szatą i czułam dwa bijące serca. Ale każde stworzenie może mieć tylko jedno. Wiedziałam, że jedna z nas przeżyje, a druga umrze. Zaszlochałam na myśl, że nie usłyszę, jak moje dziecko mówi do mnie „mamo”.

Rzymianie dokonali wyłomu w nowym murze. Ta zgrzebna budowla, którą wznosiliśmy z mozołem krwawiącymi dłońmi, póki w polu nie ostało się ani jedno drzewo, ustąpiła pod naporem tarana. Wyschnięte błoto i giętkie gałęzie migdałowców popękały i obróciły się w pył. Uczyniliśmy wszystko, by powstrzymać falę tego, co miało nadejść – wdzierających się przez wał żołnierzy, rzeki krwi, tortur i mordów w dniu naszego największego święta. Na placu stanął Eleazar. Wezwał nas tam dźwięk przywołującego zwykle na modły baraniego rogu. Ruszyłam wraz z innymi z niemowlęciem na rękę, choć wciąż czułam się słaba po porodzie. Pozostawiałam za sobą krwawy, czerniejący ślad na kamieniach. Dobrze wiedziałam, co to oznacza.

Stanąwszy na skraju tłumu, widziałam kobiety, których dzieci przyjął na ten świat. Dostrzegłam też córkę z łukiem w dłoni, wymazaną błotem, mojego syna okaleczonego w walce, nim stał się mężczyzną, moich pograżonych w rozpacz ziomków i mężczyznę, którego pokochałam, od kiedy zrozumiałam, że do mnie przybędzie.

– Powzięliśmy postanowienie, że nie będziemy służyć Rzymianom, lecz jedynie Bogu. Nadszedł oto czas, byśmy udowodnili swą wiarę. Nie pozwolimy się pohańbić w oczach Pana ani zniewolić. Jeśli dostaniemy się żywi w ręce Rzymian, wszystko się skończy, nie tylko my, lecz także Syjon. Wszak byliśmy pierwszymi, którzy stanęli do boju z nimi, i ostatnimi, którzy ten bój toczą. Bóg dał nam tę łaskę. Odpłaćmy Mu za to, ginąc piękną śmiercią jako ludzie wolni^[14]

Na te słowa ben Jaira wszystkich ogarnęła panika. Wydawało się, że niektórzy będą

próbowali uciekać. Za to do przodu ruszyli ci najwierniejsi, którzy gorąco łaknęli wolności i nie zamierzali cofnąć się przed niczym.

– O brzasku wróg zaatakuje. Tym razem już go nie powstrzymamy. Możemy jednak wybrać szlachetną śmierć, w objęciach tych, których kochamy. Nie zdołamy pokonać Rzymian w walce, lecz możemy im odmówić tryumfu.

Kobiety stojące obok mnie zaczęły płakać. Współczułam Eleazarowi, że musi wypowiadać te słowa.

– Uczyniliśmy wszystko, by upomnieć się o wolność, i teraz nie możemy się zatrzymać. Nie wiemy, czemu Bóg wydał swoje najświętsze miasto na pastwę ognia, a swój lud na zaturę nieprzyjaciołom. Musimy dziś umrzeć. Wolność będzie naszym całunem, najchwalebniejszym ze wszystkich. Nie zostawimy wrogowi niczego. Gorzko smakować mu będzie to zwycięstwo. Nie odetnie nam głów i nie rzuci na pożarcie krukom.

Kobiety zaczęły zawodzić, niektórzy mężczyźni przyłączyli się do nich. Buchające wokół płomienie były błogosławieństwem, gdyż zagłuszały te salwy rozpacz i agonii.

– Niechaj nasze żony zginą niepohańbione, niech nasze dzieci nie zaznają niewoli. Chcecie, by pożarły je dzikie bestie, by zniewolone smagał ogień i bicze? Pośpieszmy się. Umknijmy przed zbrodnią. Wolimy śmierć od katuszy. Odejźmy z tego świata wolni, wraz z naszymi żonami i dziećmi. Niech historia zaświadczy, że czynimy to z wyboru, bo zawsze przedkładaliśmy śmierć nad niewolę.

Ben Jair posłał wojowników, by podpalili spiżarnie. Upał jeszcze się wzmógł, zrobiło się niczym w piekle, jakbyśmy wcześniej rozpoczęli miesiąc *aw*, porę, kiedy nasz lud opadają nieszczęścia i Bóg poddaje próbie nasze przywiązanie i wiarę.



Słuchaliśmy słów Eleazara jak we śnie, którego nie można powstrzymać i z którego nie można się wybudzić. Czułam, że darzę go miłością tak żarliwą, iż zaraz pęknę pod jej naporem jak gałąź migdałowca pod uderzeniami tarana. Wszyscy ruszyli biegiem do swych domów, nie po to, by się w nich skryć, lecz by zebrać i zniszczyć dobytek, aby nie wpadł w ręce Rzymian. Rozpalono wielkie ognisko z szat, sandałów, drewnianych mis i kłębow wełny. Kozom i owcom poderżnięto gardła. Ich ciała także dorzucono do ognia w ofierze Bogu, gdyż nie potrzebowaliśmy już mięsa ani mleka, a jedynie bożej łaski. Nie było już Świątyni i to będzie nasza ostatnia ofiara.

Ulubieńcy Eleazara, pokryci bliznami wojownicy walczący u jego boku, którzy ruszyli z Jerozolimy, by przemienić się w jastrzębie pustyni, otoczyli go kręgiem.

Niektórzy, pogrążeni w rozpacz, szlochali. Inni nie odczuwali już bólu, bowiem – tak jak tuż przed walką – byli w stanie uniesienia, skłonni do wszelkich poświęceń. Zebrało się ich pięćdziesięciu, może więcej. Wśród nich był Amram. Mieli przy sobie gliniane tabliczki, *ostraca*, z wypisanymi imionami bądź inicjałami. Szloch wzmógł się, gdy przystąpiono do losowania. Najwyższy kapłan i rabbiowie zaczęli modlić się i zawodzić, kołysząc się w przód i w tył w rytm odmawianych modłów.

Wybiorą dziesięciu wojowników, którzy zabiją resztę. Przyjmą na siebie brzemię katów, byśmy nie musieli zgrzeszyć, krzywdząc samych siebie. Kiedy przyjdzie pora, nawzajem pozbawią się życia, aż zostanie tylko jeden. To on poniesie na swych barkach ciężar wszystkich naszych występków. Będzie musiał przekroczyć trzy bramy Gehenny, doliny piekieł, gdzie demony przez wieczność będą zadawać mu męki.

– Czemu mamy bać się śmierci, skoro nie lękamy się snu?! – zakrzyknął w szale Eleazar tak nagle, że nikt nie mógł oderwać od niego wzroku. Znow zobaczyłam w nim tego młodzieńca przy studni, oburzonego niecnymi uczynkami bliźnich i przekonanego, że w imię Boga zdoła je naprawić. – Śmierć uwalnia nasze dusze. Trzeba prawdziwej odwagi, by odnaleźć prawdziwą wolność i zostać wezwanym przed oblicze Pana. Byłoby lepiej, gdybyśmy zginęli, nie widząc upadku Jerozolimy. Teraz, choć opuściła nas nadzieja, możemy wziąć odwet na wrogach świętego miasta i okazać litość tym, których kochamy, by nie patrzeć, jak idą do niewoli, gdzie nasze żony, dzieci i najdroższych przyjaciół czekałyby tortury i gwałty.

Mężowie jęli tulić żony, matki brały dzieci na ręce, synowie ruszyli do ojców, by zginąć u ich boku. Wybrano naszych dziesięciu wybawicieli i katów. Ben Jair dobył miecza, by ślubować na oręż, którym walczył dla Boga, swego ludu i dla nas.

– Urodziliśmy się, by umrzeć, tak jak i ci, których wydaliśmy na ten świat. Czeka to nawet najszcześniejszych spośród nas. Taki jest nasz los, który się teraz dopełni.

Mój los też się dopełniał.

Skinełam na Jael i Riwkę. Ruszyłyśmy do mojego domu, ciągnąc za sobą wnuki Riwki, Lewiego i Noego, by nie porwał ich tłum. Riwka o mało nie zemdląła w tym ścisisku.

Odziany w białe szaty Jehuda odmawiał w izbie modlitwę za dusze zmarłych. Adir gdzieś przepadł.

– Gdzie on jest? – Byłam tak zdenerwowana, że chwyciłam nieszczęsnego esseńczyka za taśes. Riwka, dla której był niczym własny wnuk, pochyliła się nad wystraszonego chłopcem, by ośmielić go do odpowiedzi.

– Martwił się o Azizę. Powiedział, że poszła tam za niego, że ją odnajdzie i tu

sprowadzi.

Podbiegłam do szafki po księgę zaklęć mojej matki, z mocno bijącymi dwoma sercami. Z placu dobiegały krzyki, gdyż dawcy śmierci już przystąpili do dzieła. Niektórzy nie mogli patrzeć na konanie swych bliskich, mimo że mordu dokonywali nasi wojownicy, miłosierne anioły, posłańcy naszego przeznaczenia. Drżały mi ręce. Może jednak było zapisane, że znajdę odkupienie. Może miłość nie przywiedzie mnie do zguby, lecz do zbawienia.

Wcisnęłam księgę zaklęć w rękę Jael, przykazując, by bacznie jej strzegła. Zauważyłam na jej ramieniu obroź lwa i nabrałam pewności, że słusznie wybrałam tę dziewczynę, gdyż była wierna i nieustraszona.

Wnukowie tulili się do Riwki trzymającej na kolanach Arjego. Był jeszcze maleńki, ale już dobrze wiedział, kiedy należy zachować milczenie. Gdy Riwka przytknęła palec do ust, zamilkł i też się do niej przytulił. Później poklepała po plecach Jehudę, który płakał, nie mogąc sobie wybaczyć, że nie przypilnował Adira. Przycupnęli całą gromadką na posadzce dawnej królewskiej kuchni, w której teraz cuchnęło i panował upał niczym w pustynnej mogile.

Moja córka, która była mym drugim sercem, zapłakała. Wyjęłam ją spod szaty i podałam Jael, jak wcześniej księgę zaklęć. Podeszłam do szkatułki z twardego drewna, która przybyła tu ze mną z Egiptu. Matka zamykała ją na klucz w kształcie węża i jako dziewczynka bałam się, że spełźnie mi on na dłoń. W szkatułce były składniki, które szykowałam na najczarniejszą godzinę: skóra czarnej żmii sypiającej pod kamieniami, popiół ze złożonego w ofierze gołębia, sproszkowany lapis-lazułi, kamień mający większą moc niż wszystkie pozostałe, sznurki z misternymi węzełkami. Wszystko, co tworzy ochronną sieć. Miałam to, czego potrzebowałam. Teraz odnajdę swoje dzieci na placu, a później pójdę do Eleazara. Poczułam przypływ paniki, gdyż wiedziałam, że bez względu na to, co zrobię, na koniec rzeczywiście się utopię. Taki los przepowiedziały mi kości rozrzucone w wieży.

Kiedy ruszyłam ku drzwiom, Jael położyła mi rękę na ramieniu i próbowała mnie powstrzymać, mówiąc, że już za późno.

– Czego byś nie zrobiła dla ukochanej osoby? – spytałam.

– Tego, co robię teraz – odrzekła, jakby naprawdę była moją córką. – Nie idź do niego.

Kiedyś przyrzekła, że uczyni dla mnie wszystko, o co poproszę. Przypomniałam jej o tym i dałam ostatni owoc, jaki mi pozostał, granat, tak jak wtedy, gdy się żegnałyśmy w Jerozolimie. Rozpoznała mnie natychmiast jako swą dawną piastunkę. Zarzuciła mi rękę na szyję i gdybyśmy miały czas, pewnie byśmy sobie popłakały.

Odsunęłam się jednak i wyjaśniłam jej, co ma zrobić. Liczyłam, że mnie posłucha, tak jak robiła to w dzieciństwie. Gdy dojrzy znak od gołębi, ma zapytać Riwkę, gdzie zobaczyła mnie pierwszy raz. Później ma się tam niezwłocznie udać.

Twierdzą zawładnął chaos. Z trudem przedzierałam się przez tłum. Ci, którzy sądzą, że nie sposób dojrzeć anioła śmierci, bardzo się mylą. Stał na wprost mnie z tuzinem osmolonych skrzydeł i tysiącem oczu, które widzą nas całych i wszystko, co czynimy. Porwał mnie w swój mroczny uścisk, obrazę dla bożej światłości i chwały. Musimy cierpieć w jego obecności, musimy przed nim stanąć, ale nie byłam gotowa na to spotkanie, póki nie odnalazłam swych dzieci.

Rzymianie zaczęli już układać deski, po których mieli wejść rankiem do twierdzy. Działo się to w przededniu rocznicy wyjścia naszych przodków z niewoli egipskiej, w wieczór, gdy rozpoczęła się nasza rzeź. Mężowie i żony kładli się obok siebie na spływającym krwią bruku, by razem wyjść na spotkanie śmierci. Dzieci czekały w kolejce, zawodząc. Dziesięciu katów czyniło swą ponurą powinność, chodząc od domu do domu, jak Wszechmogący w wieczór Święta Przaśników, kiedy Żydzi malowali swe drzwi sokiem z zakrwawionych kwiatów hizopu, by Adonaj wiedział, że szczerze w Niego wierzą, ominął ich dom i darował im życie.

Ruszyłam przez plac Zachodni i w dół po schodach do Pałacu Północnego. Czułam ból w piersi, kapąła ze mnie krew, lecz nie przystawałam. Wśród tego chaosu posłyszałam szczekanie psa mojej córki. Podążyłam za jego rozpaczliwym ujadaniem, unikając ludzi i kryjąc się w cieniu, aż dojrzałam jakieś postaci obok wejścia do niewielkiej sadzawki, gdzie niegdyś król zażywał chłodnych kąpielei pośród białych kwiatów lotosu sprowadzonych tu z Aleksandrii. Amram stanął za moją córką. Jej strzały rozsypały się, kiedy chwycił ją w pasie i poderzwał jej gardło. Wreszcie miał ją tylko dla siebie, jednak gdy rzeziła w jego ramionach, dojrzał na jej szyi srebrny medalion. Zrozpaczony przywarł do niej, bo przekonał się, kim Aziza była naprawdę – wojownikiem, który walczył u jego boku i który go uratował. Zaczął przeklinać to, co uczynił, oplakując wszystko, co odeszło wraz z nią.

Adir podbiegł do niego. Nie miał włóczni ani miecza, jedynie swoją kulę, którą zaczął okładać Amrama, gdyż widział śmierć siostry i stał w kałuży jej krwi. Amram obrócił się i przeszył go mieczem, po czym dokończył dzieła, szybkim cięciem podrzynając gardło mego syna. Miał na sobie tałas, jak wszyscy dawcy śmierci, szal zwykle przetkany pojedynczą niebieską wełnianą nitką, która miała przypominać jego właścicielowi o niebiosach i bożych przykazaniach. Teraz jednak tałas Amrama był poplamiony krwią i zdawał się brązowy.

Patrzyłam na to jak we śnie, jakbym już raz to widziała i przyszła tu jako świadek, by moje dzieci nie były samotne w godzinie śmierci. Modliłam się, by ogarnęła je Szechina, Boża Obecność.

Mój syn nie był wojownikiem, był ledwie chłopcem. Wojownikiem była kobieta, która nie spodziewała się, że zaatakuje ją ktoś, kto tak bardzo ją kochał.

Eran wpadł w rozpacz, widząc śmierć swojej pani. Zawodził, jakby był człowiekiem, nie bestią. Nie czmychnął, kiedy Amram na niego krzyknął. Położył się na ciele Azizy. Chronił ją, kłapiąc zębami, z pianą na pysku. Amram kopnął go, a później ugodził mieczem, lecz pies nie odpuszczał. Pragnął odwetu. Okazał się wierniejszy od wojownika, który dźgał go teraz raz za razem.

Wielki mastif, obrońca mojej córki, którą śmierć przemieniła w dziewczynę o krótkich włosach, przebraną w męskie szaty, nie chciał umierać. Wokół Azizy rozsypały się strzały ozdobione czerwonymi piórami, które były niczym kwiaty na pożegnanie. Śmiertelnie ranny Eran wbił kły w ciało swego wroga Amrama. Patrzyłam na ten pojedynek okryta żałobą. Obaj odnieśli takie rany, że już nie mogli walczyć, ale nie mogli też skonać.

Człowiek z Doliny powinien wypełniać powierzone mu przez wodza zadanie, gdyż był jednym z dziesięciu dawców śmierci, tymczasem zaczął szukać Azizy. Kiedy pojawił się, co się stało, poderżnął gardło Eranowi, by mógł odejść w chwale i już nie cierpiał na ziemi. Później stanął nad Amramem i tylko patrzył, jak kona, nie okazując mu litości ani miłosierdzia. Zięć Riwki, mężczyzna, który współczuł i wierzył, gdy nosił imię Joaw, pozwolił, by zabójca mojej córki wił się w agonii.

Kiedy Amram w końcu wyzionął ducha, Człowiek z Doliny pociął jego zbroję, by jeszcze bardziej go zbezczęścić. Ziemię pokryły srebrne łuski i Bóg się dowiedział, że oto leży przed Nim tchórz, który nie był godzien zwać się wojownikiem. Później Człowiek z Doliny okrył swym tałesem ciało Azizy, jakby to ona była wojownikiem poległym w walce. Może chciał wierzyć, że tak właśnie było. W takiej chwili nie mógł na nią patrzeć jak na ukochaną kobietę, dziewczynę z krwi i kości, nie z żelaza, która także pokochała jego.

Gdy ów szalony wojownik zniknął w tłumie na placu, pośpieszyłam do moich dzieci. Zamknęłam im oczy i pomodliłam się za ich dusze. Obmyłam im stopy i ręce, choć popiół sprawił, że woda w sadzawce zrobiła się czarna. Wplotłam im we włosy amulety, by nie spotkała je krzywda, jeśli już nie na tym, to w Przyszłym Świecie. Wspomniałam ich narodziny – Azizy w mrocznej izbie w Jerozolimie, gdzie trzy siostry uprawiające czary pomogły mi wydać ją na świat, i Adira w namiocie na Żelaznej Górze, gdy wyczekiwałam powrotu męża ze wschodnich rubieży Moabu.

Przybył na koniu po dziesięciu dniach, by zobaczyć syna i nadać mu tytuł króla swego ludu.

Dziesięciu wybrańców kontynuowało swą morderczą misję w obronie naszej czci i ku chwale Boga. Dobrze im szło. Kiedy weszłam po schodach na płaski wierzchołek góry, wszędzie ścieliły się ciała. Byli tam ci, co się kochali, ci, co nienawidzili, ci, którzy wierzyli w wolność Syjonu, ci, którzy podążyli za mężem lub bratem, ci, którzy urodzili się w tej twierdzy, i ci, którym śniło się, że tu zginą. Dostrzegłam kruka okrytego czarnym szalem, który wygnał mnie na pustkowie, zwiniętego w kłębek w ogrodzie. Dojrzałam skrytobójcę, ojca Jael, który zamordował tak wielu w zakamarkach Świątyni w Jerozolimie. Leżał nieopodal koszar, a jego krew była jaskrawa niczym kwiat.

Poszłam do gołębników i otworzyłam drzwi dwóch pierwszych. Na koniec zajrzałam do kamiennego *columbarium*, wieży, gdzie najczęściej przebywałam z córkami, gdzie zjawiała się okryta żałobą Riwka i gdzie Jael bezgłośnie przywoływała do siebie ptaki. Wiedziałam, że Bóg zesłał jej ten dar, gdy poszłyśmy na targ w Jerozolimie i zaczęła mnie błagać, bym wypuściła na wolność gołębia, a w zamian przyrzekła, że zrobi wszystko, o co ją poproszę.

Wypłoszyłam gołębie na dwór, powiewając szalem i pogwizdując jak jastrzęb, który zmusza je, by poderwały się do lotu. Od razu wzbiły się ku pociemniałemu niebu, rozświetlając sobą mrok i przekazując wiadomość, że jest czas, by umrzeć, i czas, by się podnieść.

Mężczyzna, którego kochałam, czekał na mnie przed drzwiami mego domu. Nie było tam nikogo, tylko on i ja, jak tamtego dnia, gdy wziął mnie do swego łóżka, w którym pozostawiłam ślady w kolorze cynobru, nie henny, lecz krwi. Inni umknęli. Jael dotrzymała słowa. Zrobiła to, o co prosiłam.

Pozostawiłam za sobą wszystko, oprócz mojego oblubieńca. Nie zważałam, że jest umazany krwią. Nie chciałam wiedzieć, ilu zabił, czy uściskał żonę, nim odebrał jej życie, ani nawet czy po tych wszystkich latach poprosił ją o przebaczenie.

– Śmierć kroczy obok, ale nie z nami – szepnął, biorąc mnie w ramiona.

Cieszyłam się, że nie widział swej nowo narodzonej córki. Gdyby ją ujrzał, zbyt mocno by cierpiał, będąc zmuszony ją zostawić, a ja nigdy nie chciałam przysparzać mu cierpień, tak jak i on mnie. Matka przestrzegła mnie przed miłością, lecz nie przejęłam się tym wtedy i nie przejmowałam teraz.

Miał szare oczy jak gołąb, jak mgła, która rozpierzchnęła się na początku świata,

w dniu, kiedy Bóg obdarzył nas słowem i mogliśmy przemówić, a słowa nasze uczyniły świat tym, czym się stał. Mogłam przeklinać swój los i okryć głowę. Mogłam błagać o więcej czasu, zaklinać go, by uciekł ze mną. Ale, być może, dostałam wszystko, czego potrzebowałam w tym życiu. Mój oblubieniec był człowiekiem upartym, wierzył do końca. Był bardziej skomplikowany niż jakikolwiek mężczyzna, którego znałam, i jedynym, który mógł mnie skłonić, bym przepłynęła Morze Soli, zostawiając męża i zielone wzgórza Moabu.

Właśnie to miała na myśli moja matka, przepowiadając, że miłość przywiedzie mnie do zguby. Miłość sprawia, że zapominasz o sobie, wiąże cię z tym światem i z losem bliźniego. Położyłam się u boku Eleazara. Byliśmy razem, tak jak wówczas, gdy byliśmy osobno, gdyż stanowiliśmy jedność, którą łączyło nie tylko pożądanie.

Mieliśmy swe ostatnie wspólne chwile na tym świecie, lecz po stokroć oddałabym życie, by wcześniej cieszyć się jego miłością. Pocałowałam go tak, jak nigdy nie pocałowałabym innego. Jego dusza splotła się z moją, gdy mnie posiadał. Jeśli płakałam, to tylko dlatego, że moim żywiołem była woda, której łaknęłam ponad wszystko. Kiedy skończył, płakałam, że muszę go puścić, choć przecież tak było zapisane. Kochałam go nawet w chwili, gdy przesunął sztyletem po moim gardle i gdy topiąc się we własnej krwi, szepnęłam:

15 dzień miesiąca *nisan* 73 roku naszej ery

[10] Chodzi o 3. część Biblii hebrajskiej – 1. to Tora, 2. to Prorocy, 3. to Pisma (przyp. red.).

[11] Fragment Psalmu 55 (przyp. red.).

[12] Ibidem.

[13] Ibidem.

[14] Za: Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, tłum. Jan Radożycki, Warszawa 1992, s. 421 (przyp. red.).

Aleksandria

80 rok naszej ery

Nazywają mnie Czarownicą z Moabu.

Tak zostało zapisane w Księdze Życia. Nim urodziła mnie kobieta, która już nie żyła, nim opuściłam Jerozolimę i zostałam ugryziona przez lwa, nim przybyli Rzymianie, by nas zniszczyć, już było wiadomo, że tak będzie.

Kiedyś byłam pewna, że już nigdy nie zaznam przyjemności obcowania z najprostszymi rzeczami: wrzecionem, stołem, grzebieniem. Myślałam, że moje życie dobiegło kresu i że u mych drzwi stanął anioł z tysiącem oczu. Myliłam się. Mam dom z białego kamienia. Murarze natrudzili się, by wznieść fontannę pośrodku dziedzińca w otoczonym murem ogrodzie, gdzie rosną palmy daktylowe, jaśmin w donicach i białe lilie, których nie znajdziesz nigdzie indziej, chyba że na łąkach świata poza naszym światem.

Gdy Malach ha-Mawet przyszedł po mnie, zbрызganym krwią mego ludu, miałam na sobie płaszcz niewidzialności. Zapadłam się tak głęboko pod ziemię, że musiałby przejść sto kroków, nim by mnie wypatrzył, choć wzrok miał niczym cała armia. Mimo tego daru i tak skryłabym się przed nim, bo ponoć Śmierć musi zamknąć oczy, kiedy wchodzi do wody, a byłam zanurzona w cysternie, studni tak przepastnej, że niektórzy wierzą, iż nie ma dna i sięga do jądra ziemi, do samego kamienia węgielnego Jerozolimy, gdzie rozpoczęło się dzieło stworzenia.

To woda nas ocaliła, chroniąc przed pełzającymi płomieniami i wyciągniętymi rękami Śmierci. Ruszyliśmy w dół po kamiennych schodach, umykając w mroku przed nią aż do utraty tchu, nim schroniliśmy się w wodzie niczym ryby, gdyż jesteśmy siostrami i braćmi takich stworzeń i możemy przetrwać tam, gdzie innych czeka zagłada.

Poranki w Aleksandrii są blade, a powietrze tak wilgotne, że miasto to wydaje się podwodnym światem, póki nie przenikną przezeń żółte promienie słońca. Patrząc na port, przygotowując herbatę, cukierki z sezamem i słodkie, pokrojone na ćwiartki

pomarańcze. W obórcie są trzy czarne kozy, w zagrodzie tuzin owiec i biały osiołek tak rączy, że gdy biega, wznieca tumany rudego kurzu. Naszym ziomkom różnie układało się w tym mieście, lecz my zdołaliśmy tu pozostać.

Po lekcjach Arje i Jona bawią się w ogrodzie, chowając się pośród trzcin przy sadzawce, gdzie przylatują na żer czaple. Naszą fontannę zawłasczył biały ibis. Staje na jednej chudej nodze i pije wodę, unosząc łąpek ku niebu. Może to jeden z tych, które pozostawiliśmy za sobą, przybył do nas pod tą postacią, gdyż wpatruje się w nas uważnie i ze współczuciem.

Wnukowie Riwki nie są już dziećmi, lecz mężczyznami rzucającymi cienie tak długie, że aż się dziwię, iż należały kiedyś do małych chłopców, którym opowiadałam bajki do snu. Ja i Riwka sypiamy niespokojnie, śniąc o mężczyznach, którzy nie chcieli się poddać, i kobietach, które sływały z oddania. Pamiętamy o wszystkim, o co walczyli, i o wszystkich, których kochali i którym pozostali wierni. Pamiętamy, jak wyglądał świat, gdy rządziła nim wojna.

Wieczorami, kiedy niebo zasnuwa delikatna cynobrowa poświata, w porze, gdy przestrzeń oddzielająca światy się otwiera, nim ziemię spowije granat nocy, do furtki od strony ogrodu podchodzą kobiety, pytając o Czarownicę z Moabu. Zjawiają się w najprzedniejszych szatach, w skórzanych sandałach wyciszających ich kroki, złotych pierścionkach na smukłych palcach, bransoletach na rękach i z powiekami obwiedzionymi kohlem. Proponują mi złote i srebrne monety oraz sznury pereł. W zamian rozrzucam ptasie kości i przepowiadam im przyszłość. Proszą o majeranek i rutę, o amulety i wywary, o dobre zdrowie, o to, by urodziły dzieci i by przepadli ich wrogowie. Niezmiennie też proszą o miłość. Otwieram pełną receptur księgę. Atrament wciąż zdaje się świeży, choć pergaminowe stronicie zbrązowiały. Zupełnie jakbym trzymała w dłoniach stertę zwiędłych liści.

Dla kobiet tych jestem bystra, przebiegła, piękna i mądra. Wyjawiają mi swoje sekrety, opowiadają o swych cierpieniach i snach. Nikomu innemu by tego nie wyznały, a przecież jestem dla nich obca. Pomagam im, jak tylko mogę. Przepowiadać przyszłość nauczyła mnie pewna mądra kobieta, za to jak słuchać, pokazał mi duch.

Często wyprawiam się krętą brukowaną drogą do portu, by popatrzeć na wielką latarnię morską na wyspie Faros, jeden z siedmiu cudów świata. Wypatruję sunących przez morze z Grecji okrętów o wielkich żaglach wydętych przez wiatry z czterech stron świata. Zewsząd otacza nas woda. Kiedy wylewa Nil, zielenią się pola i zaczyna się wielkie święto. Z drzew zwisają lampiony, całą noc dudnią bębny i tańczą tancerki w welonach i długich spódnicach. Rzeka mieni się wszystkimi znanymi ludzom odcieniami nieba: granatem, turkusem, lazurem, indygo, cyranką, błękitem

i ultramaryną. A jednak najbardziej tęsknię za pustynią. Za kością słoniową, alabastrem, skałami, które raniły mi stopy, sztyletem, którym odznaczałam dni, i za mężczyzną, którego kochałam. Wieczorami nadciąga znad Judei woń tej jałowej ziemi, przypominając mi, kim byłam. Włosy mam pachnące i zaplecione, ale nocą wyciągam szpilki i spływają falą po mych plecach.

Gdy siedzę w mroku, przylatują do mnie ptaki. Wciąż mnie rozpoznają.

Jestem dziewczyną z pustyni, choć tak tam daleko.

Jestem kobietą uratowaną przez gołębie, bo kiedy zobaczyłam, jak wzlatają chmurą nad twierdzą Masada w porze, gdy zapanowała ciemność, wiedziałam, że musimy uciekać.

Zamknęliśmy się w pałacowej kuchni i czekaliśmy, aż Malach ha-Mawet pojawi się w drzwiach pod postacią jednego z dziesięciu dawców śmierci, który przyjdzie poderżnąć nam gardła. Riwka tuliła otępiałe ze strachu dzieci, oszołomione niczym owce, które idą na rzeź, przywoływane dźwiękiem dzwonków. Krążyłam nerwowo po biało-czarnej posadzce, po czym podeszłam do drzwi i zaczęłam uważnie wpatrywać się w tłum. Miałam nadzieję, że wkrótce wróci Szira, wyłuskawszy z chaosu Azizę i Adira. Ale im dłużej się wpatrywałam, tym bardziej drżałam, gdyż na placu piętrzyły się ciała, a krew była niczym rzeka, fala, która zalewała gaje oliwne, palmy i obrócony w popiół sad. Wszędzie słychać było zawodzenia, aż po jakimś czasie zapadła niepokojąca cisza. Szira powiedziała mi kiedyś, że cisza to jedyna rzecz, jakiej należy się bać. To ona była naszym prawdziwym wrogiem. Oznaczała, że już nas nie ma, jak śladów, które zmywa ulewa, i że Bóg stracił nas z oczu.

Jona nagle wybuchnęła płaczem, przerywając ciszę słodkim głosem niemowlęcia, które domaga się jedzenia. Nadal karmiłam piersią Arjego i kiedy posłyszałam jej krzyk, wezbrał we mnie pokarm. Mimo że wokoło była śmierć, w tamtej chwili poczułam, że wciąż żyję.

Twierdza stanęła w ogniu, podpalona przez samych mieszkańców. Pod każdy dom podłożono ogień, wszystkie przedmioty trafiały do ogniska. Silny wiatr sprawił, że płomienie buchnęły pod niebo i już nikt nie mógł nad nimi zapanować. Iskry leciały na dachy i nieliczne drzewa, których nie wycięto, kiedy wznoszono nowy mur. Wiele ciał spłonęło na popiół, który wzbił się w powietrze i uczynił tę noc najczarniejszą, jaką pamiętam. Działo się to w przededniu Święta Przaśników, lecz manna nie leciała z nieba jak podczas ucieczki naszego ludu z Egiptu. Wszędzie tylko dym i ciemność. Wdychaliśmy popiół z kości naszych ziomków – ich marzenia, drobne swary, wiarę.

Wszyscy zginęli, rozpłynęli się w zabójczym mroku.

Nie świeciły gwiazdy, rządziła ciemność, jak przed pierwszym dniem dzieła stworzenia. I nagle ku niebu wzbiły się gołębie, jakby same były gwiazdami. Zaczęłam się zastanawiać, czy z manną też tak było, czy gdy Żydzi błakali się przez czterdzieści lat po pustyni, uniosła się nad ziemią jak te gołębie, byśmy wiedzieli, że jednak przetrwamy.

Ptaki nie latają nocą, był to więc znak, który obiecała mi Szira. Moja piastunka z czasów, kiedy dorastałam w Jerozolimie bez matki, znów się o mnie zatroszczyła. Otworzyła drzwi gołębników, a teraz my musieliśmy otworzyć sobie drzwi do wolności.

Wzięłam córkę Sziry i Arjego na ręce. Byli jak rodzeństwo. Ona ledwie urodzona, on od dwudziestu miesięcy na tym świecie. Kochałam jedno i drugie. Przykazałam Riwce, by przestała szlochać, bo musimy uciekać. Powiedziałam jej, że nie mamy czasu na śmierć. Moje słowa zaskoczyły mnie samą.

Riwka spojrzała na mnie, jakbym postradała zmysły, bo przecież byliśmy jeńcami Rzymian, naszego własnego ludu i przeznaczenia. Kazano nam zobojętnieć na świat, który i tak utracimy, i pogodzić się ze śmiercią. Ale dzieci, które trzymałam na rękach, wierciły się, żyły i był im pisany inny los.

Kazano nam umrzeć, zamiast się poddać. Może i bym usłuchała tego rozkazu, gdyby nie one. Szybko przekonałam do tego Riwkę. Uczynimy wszystko, by ratować tych, których mamy pod swoją opieką. Ona właśnie to zrobiła przy wodospadzie, gdy śmierć zajrzała w oczy jej wnukom. Ja natomiast nie zamierzałam utracić kolejnego lwa. Nie mogłam wypełnić woli wodza. Jeśli to była zdrada, trudno, byłam zdrajczynią.

Nieraz już łamałam nakazy i Bóg, świadek moich występków, mi wybaczył.

Zaczęłam ponaglać Riwkę i dzieci. Jehuda się wahał, gdyż uczono go, by nie opierać się przemocy, lecz jej poddać. Niepokoiło go, że okaże brak szacunku dla zasad esseńczyków. Przekonałam go, przypominając, że matka powierzyła go nam, by mógł przeżyć. Taki był jej zamysł, a jej wolę winien szanować ponad wszystko.

Ściągnęłam niewielki kobierzec z ukrytej w podłodze kłapy, która miała służyć Herodowi do ucieczki. Aziza wyznała mi kiedyś, że korzysta z tego wyjścia, by spotykać się z Amramem. Nikt inny o nim nie wiedział, oprócz zmarłego sto lat wcześniej króla.

W ciszy zeszliśmy w mrok. Gdy zatrzasnęłam klapę, znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach. Ruszyliśmy schodami do piwnicy, trzymając się za ręce. Poruszaliśmy się szybko i w milczeniu, jak szczury. Noe i Lewi nawykli do ciszy, gdyż stała się

częścią ich natury. Jehuda też był grzecznym i spokojnym chłopcem. Nawet Jona i Arje jakby wyczuli, że jeśli się odezwą, wpadniemy w sieć śmierci. Ani pisnęli, tylko mocno się we mnie wtulili.

Nie mogłam odgonić myśli o bracie, jednym z dziesięciu wybrańców ben Jaira. Byłam ciekawa, czy wciąż nosi pod zbroją skrawek błękitu i czy pamięta dzień, gdy stanęłam przy nim pod drzewem ognistym i zaklinałam go, by wyrzekł się sztyletu. Może ten nóż był teraz wszystkim, co miał, jedyną rzeczą, na której mu zależało, której ufał i pozostał wierny. Odmówiłam za niego modlitwę. Chyba poznałam odpowiedź na swoje pytania, bowiem wyszeptana przeze mnie modlitwa była pieśnią o pokój dla zmarłych w Przyszłym Świecie.

Przeszliśmy przez kamienną komnatę, wdychając zatęchłe powietrze, aż dotarliśmy do kolejnych schodów, które doprowadziły nas do ciężkich drewnianych drzwi. Kiedy je uchyliliśmy, znaleźliśmy się na dworze. Stanęliśmy w gryzącym dymie. Wiatr niósł ze sobą iskry pożogi i niespokojne dusze poległych.

Riwka wzięła mnie za rękę i spojrzaliśmy na siebie. Zrozumiałyśmy się bez słów.

Chciałyśmy żyć.

Zawinęłam Jonę w poły swych szat, by nie płakała i by nikt jej nie dojrzał. Arjego niosłam na ręku. Szeroko otworzył ciemne oczy i mocno uczeplił się rączkami mojej tuniki. Gdy wkroczyliśmy w noc, a drzwi tajnego przejścia już się za nami zamknęły, mieliśmy wrażenie, jakbyśmy przeszli przez pierwszą bramę Gehenny, wrota doliny piekieł. To, co ujrzeliśmy, nie przypominało ziemi, lecz świat, w którym goreją uczynki grzeszników. A może to była próba dla wiernych? Czy zdołamy stawić czoła piekłu i bez wahania przejdziemy przez ogień, czy też padniemy na kolana i wyrzekniemy się życia danego nam przez Boga?

Teraz już nie mogliśmy się cofnąć. Nasz świat był spustoszony, Pan stracił go z oczu. Riwka i chłopcy bali się iść dalej, gdyż wokół kłębił się tłum i ktoś mógł nas wypatrzeć. Powiedziałam im, by trzymali się cienia, tak jak ja na pustkowiu, kiedy chciałam podejść ptaki, które przysiadły w pobliżu.

Spytałam Riwkę, gdzie pierwszy raz zobaczyła Szirę, bo wedle tego, co mi przykazała, właśnie tam mieliśmy się udać. Myślałam, że mamy się skryć w gołębnikach lub czekać na nią przy Bramie Węża, lecz Riwka szepnęła mi coś, co mnie zaskoczyło. Wiele razy spotykała się z Szirą, ale dostrzegła, kim jest naprawdę, dopiero w największej cysternie zbudowanej w najgłębszej z wyciosanych w skale jaskiń pod najdalszym zakątkiem pola. Schodziło się tam po stu tynkowanych schodach.

Ruszyliśmy przez szalejącą wokół pożogę. Obeszliśmy koszary i minęliśmy wielkie buchające ognisko. Teraz piętrzyły się w nim ciała, zapasy jedzenia i szczątki zwierząt, wszystko, co mieściły nasze magazyny i spiżarnie. Choć dym gryzł mnie w oczy, stanęłam przerażona, bo obok stert broni dostrzegłam mego ojca wśród ciał poległych wojowników.

Podeszłam do niego i przykucnęłam, by zamknąć mu oczy. Z jego twarzy wyczytałam, że jest już u boku swej ukochanej żony, kobiety o płomiennych włosach, która była także moją matką. To jedno nas łączyło. Obok na ziemi leżał jego szary płaszcz. Mógł próbować umknąć przed przeznaczeniem, jednak zdjął go, by dojrzano, kim jest – Josefem bar Elchananem, który był moim ojcem i pozostanie nim na wieczność.

Wpatrując się w jego twarz, pierwszy raz pogodną, wspomniałam, co mi powiedział o swym darze znikania. Ludzie często nie dostrzegają tego, co mają przed nosem. Szperają w tajemnicach i w tym, co pogrzebane, ale to, co przed nimi, w pełnym świetle, oślepia ich i staje się niewidzialne. Mysz, która szybko przemknie po stole, trudniej złapać niż tę, która zaszyje się w kącie, bo każdy jej się tam spodziewa. Skrytobójca, który wejdzie do komnaty, wyda się zwykłym człowiekiem, jeśli zrobi to pewnie, z poczuciem, że ma do tego prawo.

Włożyłam płaszcz ojca. Pozostali ruszyli za mną i razem byliśmy niczym obłok, mgła, nic, co przypomina ludzką postać. Szybko przeszliśmy przez sad, gdzie niegdyś rosły migdałowce i – kiedy zerwał się *kadim* – w powietrzu wirowały różowe płatki kwiatów. Nic po nich nie zostało, żadna gałąź. Ziemię pokryły iskry świecące w ciemnościach niczym martwe, białe ćmy.

W tym ogołoconym gaju padło coś więcej niż tylko drzewa. Prędzej płynęła tu krew niżli żywica, a zamiast kwiatów można było znaleźć włosy. Wszędzie leżały ciała zabitych.

Riwka poradziła wnukom i Jehudzie, by wyobrazili sobie, że te ciemne kształty to drzewa, a nie mężczyźni, kobiety i dzieci z poderżniętymi gardłami. Dawcy śmierci niemal ukończyli swe dzieło. Wkrótce zajmą się sobą nawzajem, gdyż stali przy Bramie Wodnej i ciągnęli losy, by wskazać tego ostatniego, który weźmie na swoje barki grzechy braci i zabije pozostałych dziewięciu, nim sam ugodzi się mieczem.

Jednak zanim to nastąpi, zostało im jeszcze kilku. Ujrzelśmy męża i żonę z czwórką dzieci na schodach płonącej spiżarni. Milczeli niczym duchy, choć wciąż pozostawali w świecie żywych. Oczy mieli zapuchnięte i drżeli. Ojciec pierwszy podsunął gardło pod sztylet jednego z dawców śmierci, jakby uczył swe dzieci zaganiać

owce, strzelać z łuku lub modlić się o poranku. Nie była to piękna ani mądra lekcja, lecz przerażający pokaz ohydy. Dzieci podbiegły do konającego ojca i ciągnęły go za szaty, jakby w ten sposób mogły przywołać jego duszę z zaświatów.

Śmierć zadał mu Uri, wojownik, który odszukał mnie i mojego ojca na pustyni, przyjaciel mego brata, łagodny młodzieniec, który z takim podziwem drobiazgowo opisywał mi tę twierdzę, gdy siedzieliśmy na pustkowiu przy ognisku, jedząc pieczeń z upolowanego przeze mnie ptaka.

Opisywał mi freski przedstawiające siedem sióstr, wykonane przez najprzedniejszych rzymskich mistrzów, łaźnie ogrzewane glinianymi rurami, ogrody zawieszane na skałach i pałac od północnej strony, by władca był zawsze zwrócony ku Jerozolimie. Siedzieliśmy razem na pustyni o zachodzie słońca, a wokół unosiła się woń mirtu. Wpatrywaliśmy się w ogień, jakbyśmy widzieli nasz los, którego jeszcze nie rozumieliśmy. Byliśmy młodzi i pustynia objawiła nam swe nieziemskie piękno. Na niebie świeciło tyle gwiazd, że aż kręciło się nam od nich w głowie.

Teraz gwiazdy były przesłonięte przez ulatujące ku niebu słupy dymu. Uri wyszeptał modlitwę za duszę człowieka, którego uśmiercił. Jego ofiara była piekarzem z targu. Riwka przystanęła, widząc wystający spod tałesu biały fartuch pokrywający się szkarłatem. Zupełnie jakby rozpaczliwie zamachał do niej flagą. Chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą. Podążałam za gołębiami, które umykały z jedyne go domu, jaki w życiu miały. Sztylet Uriego właśnie odbierał życie dzieciom piekarza. Razem stanęły przed swym oprawcą, gdyż nie miały dokąd uciekać.

Być może to Riwka jęknęła, gdy stamtąd odchodziliśmy, może jeden z chłopców, który nastąpił na kamień, lub córka Sziry, nazwana Joną na cześć gołębia, zakwiliła pod moją szatą. Ponagliłam ich, lecz było już za późno. Odgłos ten sprawił, że Uri wypatrzył nas w mroku. Szybko dokończył dzieła, w końcu to były tylko małe dzieci. Kiedy skonały, ich matka już się nie opierała. Rozpostarła swą szatę, by jak najszybciej rozstać się z życiem.

Uri gorliwie ruszył za nami. Biegliśmy, poganiając się nawzajem. Chłopcy mknęli z przodu. Zdyszani, szukaliśmy ratunku. Noe i Lewi zatrzymali się, gdy spostrzegli, że nie ma wśród nas ich babci. Riwka została z tyłu, nie mogąc dotrzymać nam kroku. Wołała, byśmy nie przystawali, mimo że Uri już ją dogonił. Zaklinał ją, by pogodziła się z losem. Zaczęła się z nim szarpać. Przyszło mi do głowy, że celowo się potknęła, by młody wojownik nie zdołał nas dopaść.

Kazałam chłopcom biec dalej, dzieci zabrał Jehuda, a ja wróciłam do Riwki.

– Uciekaj! – krzyknęła, machając rękami, jakbym była gołębiem, którego próbowała

przepłoszyć z gniazda.

Kiedy zjawiłam się w gołębniku, nie miała o mnie najlepszego zdania. Słusznie traktowała mnie podejrzliwie. Nie byłam godna szacunku. Złodziejka, która nie wie, co to miłość, głupia kobieta niepojmująca, co może zrobić jej lew, gdy się przy nim położy.

Byłam dziewczyną z pustyni, gotową uczynić wszystko, by przetrwać.

Uri trzymał Riwkę w uścisku. Rzuciłam się na niego od tyłu, tak by nie mógł dojrzeć mojej twarzy. Rozpęd dodał mi sił. Miałam przy sobie sztylet ben Szymona, ten, którym dźgał w imię Syjonu. Podarował mi go, bym mogła się bronić. Wiedział, że wkrótce umrze, że grzeszyliśmy i że muszę radzić sobie dalej bez niego.

Zadałam cios, nim się zastanowiłam nad wagą tego postępuku, i poczułam na sobie ciepłą krew Uriego. Gdy polowałam na gołębie na pustyni, ich śmierć jawiła mi się niczym strużka białego dymu, szybka i cicha. Za to ta była niczym piekło, krwawa eksplozja gorąca. Uri puścił Riwkę i obrócił się ku mnie osłupiały. Wpatrywał się we mnie, jakbym była morderczynią, a on ptakiem schwytanym w sieć. Próbował mnie pochwycić i powalić, lecz nim zdołał, otrzymał cios z tyłu i padł na ziemię jak snop pszenicy podczas żniw. Jak ścięty w sadzie migdałowiec.

Ujrzałam przed sobą Człowieka z Doliny. Ledwo go poznałam, tyle było w nim z bestii, co z człowieka. Po to Wszechmogący dał nam modlitwę, by odróżnić ludzi od zwierząt i powstrzymać czające się w nas bestie, tak jak powstrzymuje się demony w ołowianych słojach. Wojownik ten był dla mnie teraz niczym więcej niż zadające ból, metalowe obręcze na jego ramionach i tunika przesiąknięta krwią.

Ale nieważne, jak wyglądał. Wciąż był człowiekiem, choć sam mógł temu zaprzeczać. Kiedy Uri próbował jeszcze chwycić mnie za nogę, Człowiek z Doliny krzyknął, bym się cofnęła. Sam błyskawicznie się zamachnął, pozbawiając życia Uriego. Zamach ten był tak szybki, jakby jego topór wykuto ze światła. Może archanioł Gabriel, władca ognia i zemsty, zaiste kroczył u jego boku.

Uśmierciwszy Uriego, Człowiek z Doliny uklęknął i odmówił modlitwę za zmarłych – według wielu ponoć jedyną, jaką zanosił do Boga. Zawodził jak natchniony. Gdy wreszcie wstał, spostrzegłam wypisane na jego piersi i ramionach imię Wszechmogącego, bowiem to on był ostatnim z dziesięciu, który miał zabić pozostałych dawców śmierci, by na koniec samemu sobie odebrać życie.

Kiedys Człowiek z Doliny był uczonym w Piśmie, człowiekiem wiary. Wziął udział w losowaniu, by się przekonać, kto będzie ostatnim z wojowników, i Bóg wybrał jego do wykonania tej przerażającej posługi. Spośród wszystkich dawców śmierci był najbardziej nieprzejednany, gdyż rosnąca w nim niezgoda na los, jaki spotkał jego lud, sprawiła, że nie wiedział, co to lęk. Był nieczuły na cierpienie: czy to zadawane sobie,

czy innym.

Nie miałam pewności, czy nas zamorduje, czy ocali. Chłopcy przystanęli i wpatrywali się w niego przerażeni. Wiedzieli, że to ich ojciec, i go zawołali, ale nie odpowiedział. Spojrzał za to na mnie z bezbrzeżną szczerością i dojrzałam w nim człowieka, jakim był kiedyś i znów się stanie, gdy wkroczy do Przyszłego Świata i pochyli głowę przed Stwórcą wszechrzeczy.

– Pozostawiam me dzieci tobie – rzekł zachrypniętym głosem. – Wszędzie, gdzie będą, będzie moja żona.

Wciąż nie umiał o niej zapomnieć, nie pogodził się z jej śmiercią z rąk tych bestii. Gdyby był inny, mógłby umknąć przed pożogą wraz z nami, bo szepnęłam mu, że uciekamy. Jednak od tak dawna szukał Śmierci, że już nie mógł wśród nas przebywać. I wreszcie miał spotkać tę, której tak wyczekiwał. Wkrótce wzniesie topór przeciwko sobie, by zmierzyć się z Malach ha-Mawet, w jedyny sposób, który zapewni mu zwycięstwo.

Dmuchnął w swą otwartą dłoń, po czym ujął moją rękę i powiedział mi, co mam zrobić.

Pobiegłam do tych, którzy na mnie czekali. Pomknęliśmy do cysterny, jak najszybciej zbiegając po schodach. Przed nami była ciemność, a pod nami echo odbijające się od tafli wody. U wejścia do jaskini przystanęłam i przykazałam Riwce, by ucałowała moją dłoń, tak jak pouczył mnie Człowiek z Doliny. Gdy to uczyniła, powiedziałam jej o darze, jaki przekazał jej zięć. *Neszama*, tchnienie duszy jej córki, powróciło do niej na wieczność. Zabierzemy je ze sobą wszędzie, dokąd pójdziemy.

Odgłos naszych kroków dudnił w czeluściach ziemi, lecz tylko my go słyszeliśmy, ponieważ nikogo innego już nie było. Wyczuliśmy wokół siebie milczenie zmarłych, ale nie podążyło za nami. Echem niósł się jedynie plusk wody, gdy spadały do niej kamienie spod naszych stóp. Kiedy zeszliśmy na dno studni, jej otynkowana na biało krawędź wskazała nam drogę, zupełnie jakby gwiazdy spadły pod ziemię.

Zanurzyliśmy się w wodzie i w niej skryliśmy przed śmiercią. Znaleźliśmy się tam szesnastego dnia miesiąca *nisan*, gdy brzask obwieścił Święto Przaśników.

*

Łuna pożarów przetoczyła się nad nami i uniknęliśmy śmierci. W taki sam sposób ocaleli nasi bracia w niewoli egipskiej, gdy Malach ha-Mawet przemknął ponad nimi. Zasnęliśmy przy wejściu do studni, gdyż byliśmy wyczerpani, spędziwszy wiele godzin w wodzie, pływając i czepiając się ostrej, raniącej nam palce krawędzi cysterny.

W końcu wyszliśmy z niej, by się nie potopić, i legliśmy pokotem. Nasze włosy wciąż snuły się po powierzchni wody, a palce krwawiły. Szaty mieliśmy całe przemoczone.

Może nam się śniło, że ci, którzy zginęli, są gdzieś niedaleko, gdyż szeptali nam nocą do uszu. Byli tak blisko, że ich słyszeliśmy – tak jak słyszemy wiatr podczas burzy – nawet gdy schroniliśmy się w bezpiecznej kryjówce. Po przebudzeniu nie mogliśmy się nadziwić, że nadal żyjemy. Woda zmyła z nas sadze i widzieliśmy sączące się promienie słońca, bo był już poranek i nastał nowy dzień.

Z przerażeniem spojrzeliśmy w górę, kiedy usłyszeliśmy przytłumione głosy. Pomyśleliśmy, że to zmarli, że jesteśmy jednymi z nich i że nie rozpoznaliśmy Przyszłego Świata, biorąc go za świat, który znaliśmy, nim zapadła mordercza noc. Widocznie nie dotarło jeszcze do nas, że już opuściliśmy swe ciała i, jak to dusze, błądzimy, nim udamy się w dalszą wędrówkę. Bojaźliwie pochyliliśmy głowy.

Lewi i Noe bali się, że czekają na nas demony, gdyż kiedyś widzieli już te stwory. Tulili się do siebie, szykując się na okropieństwa, które lada moment ich spotkają. Jehuda obwieścił, że nadszedł Koniec Czasów. Jego bracia powstali z grobów i jaskini, gdzie szakale rozwlekły ich kości, i wkrótce do nas dołączą. Zwróciwszy twarz ku Jerozolimie, zaczął się modlić. Mimo że byliśmy pod ziemią, umiał wskazać położenie świętego miasta, obserwując przenikające do wnętrza promienie słońca.

Posłyszeliśmy odgłos kroków na schodach. Ktoś schodził w głąb ziemi, gdzie czekaliśmy na to, co się zdarzy. Dźwięki te skojarzyły mi się z królewskimi końmi i z tym, jak stąpały po wąskiej ścieżce węża z przepaskami na oczach, które pozwalały im nie myśleć o zagrożeniu.

Podeszło do nas czterech legionistów. Na ich twarzach malowało się zdumienie. Jeden chwycił Jehudę. Zerwałam się na równe nogi z krzykiem. Moje włosy miały krwawy kolor, a ciało znaczyły szkarłatne piegi i plamy krwi mego wymordowanego ludu.

Żołnierz się cofnął. Może wierzył w duchy.

– Kim jesteś? – spytał.

Udałam, że nie rozumiem łaciny.

– Czy wy żyjecie?

Wtedy pojęliśmy, że tak jest w istocie, gdyż żołnierz ten widział nas, a był człowiekiem z krwi i kości. Odziany w białą tunikę legionisty, trzymał w ręku włócznię, której gotów był użyć. Ręka mu jednak zadrżała, bo nie wiedział, z kim ma do czynienia, a przecież ducha nie da się zabić bronią stworzoną przez człowieka.

W innych okolicznościach z pewnością byśmy zginęli, lecz żołnierze poczuli się

zagubieni. Widzieli to, co zdarzyło się na górze: setki zwęglonych ciał, nasz strawiony przez ogień dobytek i jestestwo.

– A pozostali? – spytał ten sam legionista.

Pomyślałam, że może schwytali jeszcze kogoś, ludzi, którzy ukryli się w domach lub pod murem twierdzy.

– Szukaliśmy wszędzie, znaleźliśmy same trupy.

Dotarło do nas, że tylko my przeżyliśmy i tylko my możemy opowiedzieć tę historię.

Ustawili nas w rzędzie. Wpatrywali się, jakby rzeczywiście zobaczyli duchy, i tak nas traktowali: z szacunkiem powodowanym lękiem. Mieliśmy krew na stopach i dłoniach. Jeden z żołnierzy chciał nas skrępować powrozami, ale ten, który z nami rozmawiał, natychmiast go powstrzymał.

– Dokąd pójdą? – rzucił. – Jak stąd uciekną?

Wbiwszy wzrok w ziemię, ruszyliśmy za legionistami. Dzień był suchy, w powietrzu unosił się kurz, jednak my byliśmy cali mokrzy. Woda kapała nam z włosów i przemoczonych tunik. Wyglądaliśmy, jakby ktoś wyłowił nas siecią z dna rzeki, jak ryby, które wychynęły z piekielnych wód.

Smród spalonych ciał przyprawiał o mdłości. Rzymscy żołnierze zakrywali usta i nosy, wielu bladło na widok tego, co ujrzeli. Wszędzie roiło się od much, a na niebie pojawiły się chmary kruków i jastrzębi. Rzymianie szykowali się na bitwę. Nie przypuszczali, że przyjdzie im stąpać po polu męczeństwa. Dziewięćset zamordowanych i spalonych. Najgorsze wspomnienie pozostawiał widok dzieci, kobiet i matek z niemowlętami, blade ciała wymazane krwią i krążące wokół pszczoły, jakby ciągnące do słodyczy tych szczątków. Zbrodnie te były hańbą dla legionu. Rzymian nie ucieszyło to zwycięstwo. Ci, którzy lękali się duchów, stali z dala, gdy wyprowadzono nas na plac. Ci, którzy lękali się swych bogów, stąpanie po tej ziemi uznawali za grzech.

Pochyliłam głowę przed legionistami, nie po to, by oddać im cześć, nie jako ich jeniec, lecz dlatego, że nie mogłam patrzeć na twarze tych, którzy przypuścili na nas szturm. Dzieci poszły za moim przykładem, a po chwili także i Riwka, choć wiedziałam, że korzenie się przed Rzymianami to dla niej hańba. Miałam nadzieję, że nie będzie mnie osądzać. Ja z pewnością nie zamierzałam osądzać siebie. Pozostałam to Wszchemogącemu. Miałyśmy dla kogo żyć i o kogo się troszczyć. Wciąż byłyśmy na świecie, który znałyśmy i do którego lgnęłyśmy, mimo że przepełniony był cierpieniem. Taki świat dali nam nasi ojcowie.

Silwa, wielki wódz, stanął przed nami. Żołnierz, który nas wytropił, krzyknął,

byśmy padli na kolana.

Wbiliśmy wzrok w piasek, widzieliśmy jednak cień Silwy. To on stał za tym obłączeniem i kazał wybudować rampę. To on wymordował naszych braci. Trudno było odgadnąć jego zamiary. Mógł nas przesłuchać, ukrzyżować lub rzucić na pastwę szakali. Strach ścisnął mi gardło. Było mi zimno, choć w powietrzu wisiał przesiąknięty krwią upał, z każdą minutą coraz bardziej morderczy.

Zza przesłony welonu spojrzałam na Silwę. Był wysoki, śniady, surowy, lecz nie jak zwykły wojownik zbudowany z mięśni i ścięgien. Był bezlitosnym potworem. Im dłużej się nam przyglądał, tym bardziej rosła we mnie pewność, że gdyby chciał nas zabić, zrobiłby to od razu. Rzadko widywano go wśród pospólstwa. Fakt, że przyszedł tu, by się nam przyjrzeć, dał mi nadzieję, że jesteśmy dla niego ważniejsi, niż mogłam sobie to wyobrazić. Może mieliśmy coś, na czym mu zależało.

Riwka trzymała na rękach Arjego, a ja Jonę. Może Silwa pomyślał, że ta dziewczynka to anioł i dlatego przeżyliśmy, gdyż kazał nam stanąć tak, by mógł dokładnie się jej przyjrzeć. Miała ledwie kilka dni, nie była skrzydlatym posłańcem, a jedynie niemowlęciem o płowych włoskach. Potem Silwa przeniósł wzrok na mnie – na moje czerwone piegi i włosy w kolorze drzewa ognistego, które pociemniały od wody i przypominały strumienie kapiącej krwi.

Popatrzyłam na niego. Przypomniał mi lamparta, którego spotkałam kiedyś na pustyni. Zabiłby mnie i pożarł, gdybym nie wskoczyła na głaz i nie wydała mu się większa, wymachując chustą i rycząc jak zwierz.

Usłyszałam, jak jeden z Rzymian mówi, że jesteśmy niczym, ladacznicami i bękartami zasługującymi na każdy rodzaj śmierci. Uznał, że choć mam włosy w kolorze róży, jestem jak chwast, który należy wyrwać i spalić. Na koniec mnie opluł. Mówił po grecku. Znałam grekę, nauczyła mnie jej Szira. Poprosił, żeby mogli się nami zająć jego ludzie, bo nie warto zbijać dla nas krzyży, by nie marnować gwoździ i drewna. Sam dopilnuje sprawy jako wierny sługa wodza.

Zawsze jest taki moment, gdy coś się zaczyna i coś się kończy. Poczułam, jak córka Sziry ciąży mi na rękach, dar i brzemię – teraz już moje dziecko.

– Chwasty lepiej karmią owce niż kwiaty – rzekłam po grecku.

Mój głos wbił się w ich rozmowę. Silwa spojrzał na mnie, zdumiony, że znam grekę i że ośmielałam się odzywać w jego obecności.

– Kwiat żyje zaledwie chwilę, a chwast będzie was nękał wiecznie – dodałam, już po łacinie, bo Szira nauczyła mnie także języka Rzymian.

– Jaki los was spotkał? – spytał Silwa. – Gdzie jest wasz wódz?

Uniosłam dumnie głowę i przyjrzałam się temu, który nas zniszczył. „Mężczyzna jak

każdy” – pomyślałam. Co by zrobił, gdyby stanął przed lwem bez włóczni i miecza? To był mój sekret i moja moc: przemówiłam do lwa i dlatego przeżyłam to spotkanie. Powiedziałam, że należę do niego. Podałam mu swe imię, a w zamian on stał się mój.

– Zamordowali go – skłamałam pośród szczątków naszych zmarłych.

– Jak to możliwe? – dopytywał się Silwa. – Nie przeszliśmy jeszcze przez mur, a wszędzie ścielił się trup.

– Ona nic nie wie – rzucił grubiańsko drugi po wodzu. – Co mogłaby wiedzieć o ich przywódcy i jego planach? – Omiótł mnie spojrzeniem. Pewnie już wiedział, co zrobi, nim mnie zabije.

Chwyciłam sztylet ben Szymona. Błysnął, kiedy przecięłam nim skórę. Wyciągnęłam rękę. Moja krew skapywała na piasek, plamiąc go i zawłaszczając. Rzymscy żołnierze mruknęli z podziwem. Zawsze wiedziałam, że skoro mam być ranna, to wolę zrobić to sama. Teraz zrozumiałam, że nacinając sobie skórę na pustyni, nie czyniłam tego tylko po to, by odliczać spędzone tam dni, lecz by przypomnieć samej sobie, że wciąż żyję.

– Eleazar ben Jair był moim krewnym – obwieściłam. – Znałam go jak nikt inny, gdyż byliśmy kuzynami. Jestem Szira, jego najbliższa towarzyszką. Tylko ja mogę opowiedzieć historię tej twierdzy.

W chwili, gdy zmieniłam imię, odmieniłam swój los.

– Opowiem wam ją – obiecałam. – Będzie to sama prawda. Przekażecie całemu Rzymowi, co się tu zdarzyło. W zamian proszę tylko o jedno.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem. Czułam, że obok przechodzi Śmierć, łypiąc na mnie swymi niezliczonymi oczami. Doskonale wiem, że są zimne, a jej spojrzenie może zmrozić serce. Owinęłam się płaszczem skrytobójcy, by zniknąć z oczu Malach ha-Mawet. Wspomniałam lamparta, którego przegnałam jako młoda dziewczyna na pustyni, i lwa, którego uwolniłam, gdy bez litości skuto go łańcuchem. Od tamtej pory nosiłam na ręku jego obrożę, niczym bransoletę lub amulet. Niektórzy zarzekali się, że krew lwa daje siłę przekonywania, której nie dorównają książęta i królowie. Zdjęłam obrożę i podniosłam ją wysoko – była na niej krew, gdyż schwytywany lew stawiał opór.

– Poznajecie ją?

Kilku rozpoznało. Cofnęli się w osłupieniu. Odkąd ktoś uwolnił bestię, pojawiły się plotki o czarach.

Silwa podszedł, wziął obrożę i powrócił z nią na drewniany podest. Przyjrząwszy się uważnie, stwierdził, że widnieją na niej insygnia dziesiątego legionu. Widziałam jego zdumienie, choć starannie je ukrywał. Skinął na mnie, bym się do niego zbliżyła. Poznałam ten gest. Tak samo przywoływał mnie ojciec, jak psa, kiedy chciał, bym za

nim podążyła. Psa często spotykają razy, kiedy już zrobi, co do niego należy, więc się nie ruszyłam. Nie miałam zamiaru mu ulegać.

– Potrzebuję twojej przysługi – rzekłam. – Tak jak ty mojej.

Silwa zmierzył mnie wzrokiem.

– Jedna przysługa – skinął głową. Pewnie miał mnie za prostytutkę o prostych marzeniach i spodziewał się, że poproszę o chleb i wodę. – Ale tylko jedna – przestrzegł.

Poprosiłam, by darował nam życie.

Wbiwszy we mnie wzrok, spytał, za kogo się uważam, że zwracam się do niego o taką łaskę.

Odrzekłam, że jestem Czarownicą z Moabu i że jest napisane, iż muszę opowiedzieć im o tym, co się stało w świecie stworzonym przez Adonaj, gdy latały nad nami gołębie. Dodałam, że bez mojej opowieści nikt się nie dowie, jak zjawili się tu Rzymianie i jak drżeliśmy przed lwem na łańcuchu.

– Będiesz rozpowiadać, że byliście nieustraszeni – powiedział, myśląc o hańbie, jaką sprowadzę na Rzym. – Opowiesz, że poszłaś do lwa, a ten się przed tobą pochylił.

– Tylko głupiec nie boi się lwa – odparłam, wspominając mężczyznę, który wymknął się bestii, choć wcześniej uśmierciła dziewięciu innych. – Moje mięso zwyczajnie mu nie smakowało – dodałam.

Silwa kiwnął głową, pragnąc usłyszeć więcej.

– Czemu miałbym przychylić się do twojej prośby?

– Co prawda byliśmy tylko kobietami i dziećmi, lecz jako jedyni przeżyliśmy tę falę śmierci. Słyszeliśmy, jak ben Jair przemawiał do swych wojowników i zapamiętaliśmy jego słowa. Tylko nam uwierzą, kiedy będzie się o tym mówić, gdyż jesteśmy jedynymi świadkami. Słyszeliśmy krzyki tych, którzy wiedzieli, że nie pokonają Rzymian.

Schyliłam głowę, gdyż powiedziałam już dość. Opowieść ma dla każdego inne oblicze. Dam mu taką, jaką chce usłyszeć, ale jak skryty w zakamarku skorpion, moja historia będzie kąsać. Nie powiedziałam, że nasi bracia woleli śmierć od niewoli. Nie wspomniałam też, że ta opowieść nas wzmocni, jeśli dane mi będzie ją przekazać, że nasze dusze będą prześladować Rzymian i że duch bywa silniejszy od imperium, gdyż nie tylko doprowadza lud do łez, lecz także każe mu działać.

Silwa wciąż się we mnie wpatrywał. Wiedziałam, że chce usłyszeć więcej. Jak Żydzi mogli się nawzajem wymordować, zwłaszcza tych, których kochali? Była to dla niego zagadka, a nawet takich nieprzejednanych ludzi intrygują zagadki, mimo że czasami mogą im zaszkodzić.

Kiedy wreszcie się zgodził, podeszłam do niego.

Kazał mi mówić. Spełniłam jego życzenie. Powiedziałam mu to, co chciał usłyszeć.

Udaliśmy się do Aleksandrii, bo było to właściwe miejsce dla Czarownicy z Moabu. Tęskniła do tego miasta, śniąc o wielkiej rzece, swej matce i białych liliach rosnących w jego ogrodach. Najpierw stanęliśmy przed legionem w Jerozolimie, by Rzymianie mogli zapisać naszą opowieść i przesłać ją cesarzowi. Opowiadaliśmy ją wielokrotnie i choć korzyliśmy się przed potęgą Rzymu za każdym razem, gdy ją snuliśmy, kolejne tysiąc osób wysłuchało historii o tym, jak to nie daliśmy się pokonać. Historia ta przemieniła się w chmurę, a chmura w ścianę deszczu, który padał w całym imperium.

Wypuścili nas za murami Jerozolimy. Ledwie rozpoznaliśmy to miasto. Żydom zakazano przekraczać jego bramy. Sprzedałam złoty amulet z rybą, by stać nas było na podróż. Ochronił nas przed wrogiem, więc już spełnił swoje zadanie. Pomyślałam o jeńcu z północy i modliłam się, by jego amulet również przyniósł mu szczęście i by odnalazł on drogę do swej krainy, gdzie przez większość roku zalegał śnieg, po łąkach biegały jelenie równie rącznie jak lamparty i gdzie czuł się wolny.

Jehuda mieszkał z nami przez kilka lat, lecz kiedy stał się mężczyzną, esseńczycy wezwali go do siebie. Osiedlili się na północy, w pobliżu Galilei. Wciąż wierzyli w pokój i surowe zasady życia ku chwale Wszechmogącego. W dniu, w którym od nas odszedł, Riwka płakała, gdyż pokochała go jak własnego wnuka.

Noe i Lewi też przemienili się w młodzieńców. Mieli śniadą skórę i ciemne oczy. Byli bardzo przystojni i oddani swej babce. Mogli zostać uczonymi w Piśmie jak ich ojciec, nim odmienił go los, ale wybrali fach swojego dziadka. Każdego ranka budziła nas woń chleba wypiekanego w zwieńczonym kopułą piecu ustawionym w szopie na skraju ogrodu. Czasami natykałam się tam na płaczących ludzi, których przywiódł do tego miejsca zapach będący zapachem ich dzieciństwa z czasów, kiedy Jerozolima była nasza. Teraz staliśmy się obywatelami świata i chleb, jaki pieką bracia, jest tego przykładem: miód pochodzi z uli w Egipcie, kolendra i kminek z Moabu, a sól z brzegów morza, które przemierzyła Czarownica z Moabu, bo tak jej było pisane.

Mój syn jest cichy i nieustraszony. Doskonale się uczy, zna cztery języki, lecz prześladują go senne koszmary. Trudno się temu dziwić po tym, co przeszedł, mimo że nigdy nie uskarża się na swój los. Odkryłam, że ma kłopoty ze snem, bo kiedy czasami wstaję w nocy, widzę, jak siedzi po ciemku. Sen wciąż pozostaje dla mnie obcą krainą, podobnie jak dla mego syna. Może gdy śni, przemawia do niego ojciec, tak jak mój do mnie. Nadal mam płaszcz skrytobójcy, ten ponoć utkany z pajęczych sieci, który skrywał bar Elchanana przed wzrokiem bliźnich. Wybaczyłam mu i mam nadzieję, że

w Przyszłym Świecie on wybaczy mnie, bo nie byłam bez winy. Gdybym teraz przed nim stanęła, oddałabym mu cześć, gdyż dał mi życie i za to zawsze będę mu wdzięczna.

Co roku, w rocznicę upadku twierdzy, opowiadam fragment historii, którego nie wyjawiałam Silwie, choć moje dzieci znają już tę opowieść na pamięć. Opowiadam o tym, jak żołnierze schwytali lwa, uwiązali go na łańcuchu i dręczyli, i o tym, jak ich przeczekał, leżąc w błocie, aż odzyskał wolność i ruszył na pustynię, gdzie w samotności przebywa do dzisiaj.

Lew ten jest panem własnej wolności. Nieważne, czy powstanie trzecia Świątynia, czy ludzie wzniosą pałace i doprowadzą miasta do ruiny, i tak to lew będzie musiał walczyć o krainę kamieni. Wszystko się zmienia, taka jest natura świata, jednak pewne rzeczy pozostają niezmiennie, nawet gdy przeminą. Powtarzam dzieciom, że miałyśmy kiedyś tysiąc gołębi i je wypuściłyśmy, ale kiedy spojrzymy w niebo, wciąż je widzimy, mimo że są tak daleko.

Każdego roku w miesiącu *nisan*, w wieczór poprzedzający święto upamiętniające ucieczkę Żydów z Egiptu, jadę z Joną nad rzekę. Mam nadzieję, że odbędziemy kiedyś tę podróż, gdy Jerozolima będzie znowu nasza. To długa wyprawa. W tym roku świętujemy Błogosławieństwo Słońca, gdyż ta cudowna złota kula znalazła się dokładnie w tym samym miejscu jak na początku dzieła stworzenia, gdy Bóg stworzył dobro i zło, dając je światu wraz ze słowem, które wydobyło nas z ciszy, byśmy mogli dokonywać własnych wyborów. Jeździmy na białym osiołku, którego trzymamy w szopie. Ja i Riwka dbamy o niego, by – w razie konieczności – był gotowy do drogi. Nasz lud nigdy nie wie, kiedy będzie musiał uciekać. Zawsze zabieramy ze sobą wszystko, co ważne, nawet jeśli nie zostało to zapisane.

Jona jest śliczną dziewczynką, choć z płowymi włosami i szarymi oczami zupełnie niepodobną do matki. Ciągnie ją jednak do wody. Nie zdołałabym jej przed nią powstrzymać. Pewnego razu zobaczyłam, jak pluska się w fontannie, gdzie trzymamy rybki. Nie uciekają przed nią, lecz się do niej garną, jak kiedyś do mnie gołębie. Woda to jej żywioł, tak jak Sziry, która uczyniła, co w jej mocy, by wydać ją na świat, mimo że było na to zdecydowanie za wcześnie i wiele ryzykowała. Krwawiła po porodzie tak bardzo, że i tak by nie przeżyła, nawet gdyby anioł śmierci nie pojawił się wśród nas w tamtą straszną noc. Obydwie to poczułyśmy, gdy wypięła wywar z ruty i stanęła nad dymem, który otworzył jej łono. Oddała swoje życie, by dać życie Jonie. Tym, którzy twierdzą, że Czarownica z Moabu nigdy nikogo nie kochała, że była samolubna i skupiona jedynie na własnym losie, odpowiem, że miłość ją zniszczyła, ale zarazem

wyzwoliła, i że Szira przekazała światu wspaniały dar, dziecko, które uwielbia stać w deszczu.

Nasze bose stopy grzęzną w błocie, kiedy zanurzamy się w wodach Nilu. Rzeka ma kolor granatu. Rosną tam ostre, zielone trzciny, a w powietrzu unosi się zapach balsamu. Kobiety piorą szaty i rozkładają je na przybrzeżnych skałach, by wyschły. Mężczyźni wynoszą na swych barkach łodzie z wody i podążają z nimi po piaszczystych ścieżkach. Wchodzimy coraz głębiej, aż obok nas zaczynają przemykać srebrne ryby. Gdy zapada zmierzch, zapalamy świeczkę na liściu lotosu, który rzeka unosi z prądem, póki nie zniknie w mroku. Po to tu jesteśmy – by dziękować naszym matkom, które czuwają nad nami w miejscu, gdzie pewnego dnia do nich dołączymy, w Przyszłym Świecie.

Gołębiarki

Spis treści

* * *

Część pierwsza

Córka skrytobójcy

Część druga

Żona piekarza

Część trzecia

Oblubienica wojownika

Część czwarta

Czarownica z Moabu

Aleksandria

Tytuł oryginału
THE DOVEKEEPERS

Projekt okładki
WKDesign
Zdjęcie na okładce
Joyce#x00A0;Tenneson

Redakcja
Edyta Domańska

Konsultacja merytoryczna
Regina Gromacka

Korekta
Jadwiga Piller
Jadwiga Przeczek

Copyright ©2011 by Alice Hoffman. By arrangement with the author.
All rights reserved.

Copyright © for the translation by Bohdan Maliborski, 2013
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

ISBN 978-83-63387-53-2



Odwiedź
nas na 




Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

ALICE HOFFMAN

Gołębiarki



 WIELKA LITERA